



Mander
Przepowiednia

Mander

Przepowiednia

© Copyright by
Mander & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Klaudia Trafalska
ISBN 978-83-7859-278-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2014

PROLOG

Linia ognia pojawiła się nagle. Potężny czar, błyskawicznie strawił tysiące ciał, zamkniętych w obrębie płomienia. Nad polem walki, zawisł odór palonego mięsa.

Ax cofnął się pośpiesznie od ściany ognia, wściekłym gestem otarł pot zalewający mu oczy.

– Do wszystkich choler świata! Co ten dumny czarodziej wyrabia? I po jaką cholere się wtrąca?

Za ścianą ognia zostali jego ludzie. Gwardziści Lwiego Pazura – najlepsi z najlepszych, doborowa gwardia króla Andarandisa. Jak miał im teraz pomóc, skoro został od nich odcięty?

Powiódł bezradnie wzrokiem po swoich szeregach. Gniew coraz bardziej przeradzał się w zdziwienie.

Zabrał ze sobą, pięć tysięcy ludzi, prawie całą ciężkozbrojną gwardią. Właściwie miał to być tylko patrol. Króla Andarandisa zaniepokoiły pogłoski, o nadciągającej ze wschodu ogromnej armii. Poleciał więc swojemu kapitanowi zbadać owych, jakże niepokojących plotek.

Dopiero teraz Ax zrozumiał, jak wielkim był głupcem. W swojej bezdennej ignorancji sądził, że Gwardia Lwiego Pazura jest w stanie sprostać każdemu wyzwaniu. Sam szkolił tych żołnierzy, sam wybierał ich do służby. Pięć tysięcy ludzi, a przecież, każdego z nich znał po imieniu. Tworzenie gwardii zajęło mu sześć lat. Nie wszyscy wytrzymywali

trudy morderczego treningu, wielu odpadło, lecz ci, którzy zostali, byli prawdziwymi mistrzami. Nigdy wcześniej nie było w krainach tak dobrych żołnierzy. Teraz, gdy spoglądał po twarzach swoich wojowników, miał przeczucie, że już nigdy, takich żołnierzy nie będzie, że nikogo i nic nie będzie, jeżeli ci, których miał przy sobie, okażą się zbyt słabi.

Wyprowadził swój oddział na równinę. Rozstawił w wypełniony kwadrat. Żołnierze stali od siebie w odległości czterech mieczy. Druga linia, była przesunięta w stosunku do pierwszej o dwa miecze. Trzecia równolegle do pierwszej, czwarta równolegle do drugiej.

Ax nazywał tę formację „maszynką do mielenia mięsa”. Sam ją wymyślił. Miała być przeciwwagą dla przytłaczających sił wroga.

Gwardziści uzbrojeni w bardzo długie, ciężkie, oburęczne miecze, wykonywali szybkie obroty wokół własnej osi, tnąc w ten sposób wszystko, co nawinęło się pod ostrze i żadna tarcza, żadna zbroja nie była w stanie wytrzymać impetu, tak rozpędzonego ostrza. Nie miało znaczenia, z której strony wróg zaatakuje. Formacja z każdej strony wyglądała tak samo i działała tak samo. Maszynka do mielenia mięsa. Dzisiaj Ax odkrył, że każda maszynka ma określony przerób i można ją zapchać.

Bitwa zaczęła się po myśli kapitana. Nie można było wymarzyć sobie lepszego początku. Gdy najeźdźcy ujrzeni stojący przed nimi oddział, prosto z marszu, bez żadnego

przygotowania ruszyli do szturm. Dokładnie na to czekali gwardziści. Potężnie zbudowani, opancerzeni wrogowie zbliżali się bardzo szybko. To, co wydobywało się z ich gardeł, można było określić jako nieludzkie, przeraźliwe wycie. Z tym potępieńczym zawodzeniem, wzbijając tumany kurzu, dopadli pierwszych szeregów gwardii. Zostali ścięci, niczym łany dojrzewającego na polu zboża. Ufni w swą siłę żołnierze, wymienili między sobą, pełne triumfu spojrzenia. Maszynka do mielenia mięsa działała bez zarzutu. Jednak już w wkrótce jakość ataku, przybrała bardziej zorganizowaną formę. Widocznie oficerowie wroga nie pozwalali już swoim podwładnym na bezładne, szaleńcze ataki. Przede wszystkim rozszerzyli front, posyłając do walki zwarte, zmasowane formacje. Gwardziści Lwiego Pazura zwijali się jak w ukropie, machinalnie wykonując wyćwiczony manewr, cięcie i obrót połączony z jednoczesnym krokiem w tył (ciała musiały mieć gdzie padać). Cięcie i obrót, cięcie i obrót. Nie byli jednak przygotowani na taką ilość wrogów. Napastnicy napierali tak szybko, że gwardziści nie nadążali ich zabijać.

Ax oderwał wzrok od płomieni, jeszcze raz lustrując pole walki. W momencie rozpoczęcia bitwy, zajmował pozycję dokładnie w środku kwadratu. Teraz stwierdził ze zdziwieniem, że stoi w drugiej linii. Pole przed nim zasłane było trupami, nie tylko najeźdźców. Przed nim samym, piętrzył się stos kilkunastu ciał. Co to właściwie było?

Ludzie nie byli ani tak wielcy, ani tak niezgrabni, nie mieli też, aż tak długich rąk. Kapitan uderzył mieczem w hełm, na głowie najbliższego stwora. Cios był tak potężny, że hełm martwego potwora, pękł z trzaskiem na dwie części, ukazując przerażającą twarz.

– Rany! Co to jest?

Na Kapitana patrzyły ogromne, osadzone głęboko, żółte ślepia. Nos – właściwie to nie był nos, jedyne porównanie, jakie przychodziło wojownikowi do głowy, to – ryj, świński ryj. Z otwartej paszczy wystawały przerośnięte, pożółkłe kły.

– Kapitanie?

Ax nieprzytomnym wzrokiem powiódł po najbliższej stojących żołnierzach, aż wreszcie natrafił na twarz porucznika Mandersa.

– Kapitanie Ax, Bum-Bam nie utrzyma długo tego czaru.

Przez chwilę Ax rozważał, co właściwie porucznik do niego mówi, szybko jednak wracał do rzeczywistości. Jeżeli napastnicy dotarli aż do środka jego formacji, mogło to oznaczać tylko jedno – wcześniejsze linie obrony już po prostu nie istniały. Żołnierze bądź polegli bądź wycofali się w ostatnie szeregi. Za ścianą ognia nie było już żadnych, żywych gwardzistów, a jeśli nawet któryś z nich jeszcze walczył – była to kwestia kilku najbliższych chwil. Wycie za ścianą ognia przybierało na sile, z każdą chwilą przybywało wyjących. Żołnierze z trudem powstrzymywali się przed zasłonięciem dłońmi uszu. Nagle wycie jakby pobiegło

w kierunku dwóch końców ściany ognia. Wróg chciał obejść przeszkodę. Manders miał rację. Nie było czasu. Należało natychmiast coś zdecydować.

* * *

Nadworny czarodziej Murren wpatrywał się w obraz, widoczny we wnętrzu szklanej kuli. Widzenie nie było zbyt ostre, musiał użyć dodatkowego czaru, a przecież cały czas był skoncentrowany na utrzymywaniu kontaktu. Dzięki potędze magii umysłu (uważał się za mistrza w tej dziedzinie) Murren nawiązał mentalny kontakt z umysłem Bum-Bama i teraz patrzył na świat, oczyma gwardyjskiego czarodzieja. By nawiązać kontakt musiał użyć całej intensywności swojego widzenia. Wpatrywał się natarczywie w szklaną kulę. Oczy starca obficie łzawiły, mokre krople spływały po siwej brodzie, kapiąc na otwarte strony, leżącej przed czarodziejem prastarej księgi.

Wiedział jednak, że mimo jego wysiłków, kontakt lada chwila ulegnie zerwaniu. Ale widział wszystko. Widział jak niezliczone hordy najeźdźców ruszyły na perruńskich gwardzystów. Pole bitwy widoczne było z odległej perspektywy, co świadczyło, że sam Bum-Bam, przebywa w znacznej odległości od walczących. Tak też było w istocie. Gdy gwardia wyruszyła z obozu na spotkanie wroga, Bum-Bam podążył za oddziałem. Wdrapał się na niewielką skałkę, skąd miał znakomity widok na otaczającą go okolicę: teren

przed nim, poprzez małe wzgórki i skałki łagodnie opadał, aż do linii lasu, przechodząc w niewielką, piaszczystą, z rzadka porośniętą kępami trawy równinę. Tam właśnie gwardia zajęła pozycję. Murren oczami Bum-Bama widział to, czego nie mogli dostrzec sami gwardziści. Widział jak równina wypełnia się napływającą masą sięgającą aż po krańce horyzontu. Byli jak powódź zalewająca wszystko na swojej drodze. Oddział Axa, sprawiał wrażenie maleńkiej skałki, która nieopatrznie wyrosła na drodze wielkiej rzeki. Ale o dziwo, pierwsze fale powodzi, rozbiły się o tę skałkę, nie czyniąc jej żadnej krzywdy. Fal było jednak nieskończenie wiele, a skałka taka maleńka. Nie mogła wiecznie stawiać oporu. Nie do pojęcia był fakt, że gwardia była w stanie, bronić się tak długo i tak skutecznie. Kiedy powódź pochłonęła piątą część skałki, pojawił się ogień. Murren musiał przyznać, że był pod wrażeniem tego co zobaczył. Można było rzucić taki czar, ale zupełnie czym innym, było utrzymanie go przez tyle czasu. Nie docenił Bum-Bama. Do czego jeszcze zdolny był jego uczeń? Próbował oszacować straty wroga. Liczba zabitych robiła wrażenie. Wrażenie robił również plan bitwy, genialny w swojej prostocie: zadać cios i wycofać się pod osłoną ognia. Tylko, dlaczego gwardziści wciąż tkwili na swoich pozycjach? Na co czekali? Obraz w kuli tracił ostrość, był coraz bardziej niewyraźny, zamazany i falujący. Murren nie do końca rozumiał, dlaczego tak jest? Miał przecież wciąż wystarczającą ilość mocy

do utrzymania kontaktu. Zdał sobie nagle sprawę z faktu, że przecież patrzy na świat oczami Bum-Bama. Wszystko wskazywało na to, że jego uczeń był bliski omdlenia. Magia miała swoją cenę. Najwyraźniej Bum-Bam ledwie już patrzył na oczy. Utrzymanie czaru, wyczerpywało zupełnie siły gwardyjskiego czarodzieja. – Mój uczeń! Mój uczeń? – Przemknęło przez myśl Murena. Bo rzeczywiście, czy aby na pewno Bum-Bam był jego uczniem?

Przybył do królestwa Perrunu parę lat temu, prosząc nadwornego czarodzieja by przyjął go na naukę. NieoczekiwanieprośbęprzybłędypoparłsamkrólAndarandis. Wobec takiego poparcia, stary czarodziej nie mógł odmówić pokornej prośbie przybysza. Nowy uczeń irytował go od samego początku. Bo czy ktoś na całym wielkim świecie, używał do tworzenia czaru bębna? Czy skomplikowaną, śpiewną inkantację, można zastąpić dźwiękiem tłuczonej byczej skóry? Czy wysublimowane precyzyjne gesty można było zastąpić waleniem w bęben? Starcowi nie podobało się takie podejście do magii. Było to jak zadawanie bólu komuś, na kim Murrenowi bardzo zależało, na kimś bardzo mu bliskim. Bo magia była dla niego wszystkim: jego kochanką, powierniczką, przyjaciółką. Stanowiła sens i cel jego życia. Poza tym, jak inni czarodzieje zareagują na takiego ucznia. Czy on, Nadworny Czarodziej Murren, nie zostanie aby pośmiewiskiem całego czarodziejskiego świata? Uczeń z bębniem, bębniący czarodziej. Też coś. Bzdura! Był to

problem, który koniecznie należało rozwiązać. Murren przydzielił więc swego nowego ucznia, do tworzonej właśnie gwardii. Dowódca gwardii Ax, nazwał nowego rekruta Bum-Bam, gdyż dźwięk ten, stale osobnikowi towarzyszył. Tak już zostało. Właściwie stary czarodziej niczego Bum-Bama nie nauczył. Wszystko co Bum-Bam umiał, zawdzięczał wyłącznie swojemu własnemu doświadczeniu i wiedzy z przeczytanych ksiąg, które to zapamiętał w wierzy Murrena studiował. Obraz w kuli był już zupełnie nieczytelny. Murren zerwał kontakt.

– Melodia! – zawołał w kierunku uchylonych drzwi sąsiedniej komnaty.

Młoda dziewczyna oderwała oczy od opasłego tomiska, uniosła głowę odgarniając do tyłu długie, jasne, niesforne włosy.

– Tak?

– Każ zaprzęgać!

– Ale pada...

– To ważna sprawa.

– Ale na dworze leje.

– To sprawa nie cierpiąca zwłoki.

– A nie może poczekać aż się wypogodzi?

– Melodia...

– Tak mistrzu, już idę.

Melodia była także uczennicą czarodzieja. Stało się to również za sprawą Andarandisa. Z tą jednak różnicą, że tę

dziewczynę musiał uczyć, albowiem była królewską córką.

Miała 16 lat. Była śliczną, wysoką, blondynką o niesamowitych czarnych oczach. Była dość inteligentna, by studiować magię, a jednocześnie na tyle silna i zwinna by ćwiczyć władanie bronią, o co zresztą Murren miał do niej wieczną pretensję. Broń była atrybutem tępaków i osiłków. Nie pasowała do subtelności intelektu, no chyba, że dobrze ukryty, zgrabny sztylet, który bywał czasami użyteczny w pewnych sytuacjach. Po krótkiej chwili dziewczyna była z powrotem.

– Mistrzu powóz czeka – oświadczyła ceremonialnie, przesadnie uniżonym tonem. Stała dumnie wyprostowana w uchylonych drzwiach. Gestem ręki odgarnęła z twarzy mokre, posklejane wodą włosy. Rękawy koszuli, jak i spodnie uszyte z delikatnej, jeleniej skóry, zdążyły już przylgnąć do ciała, zaś po czarnej skórzanej kamizelce, mającej imitować gwardyjski pancerz, wciąż jeszcze spływały krople wody.

– Zatem ruszamy – rzekł Murren – i nie marudź proszę, czekam na dole.

Melodia krętymi schodami zbiegała po kilka stopni na raz. Pędziła tak szybko, jak tylko mogła. Czarodziej był zawsze pierwszy na dole, nie miała pojęcia jak to robił. Irytowało ją to, tym bardziej, że Murren twierdził, że nie ma to nic wspólnego z magią. Postanowiła, że kiedyś będzie pierwsza. Jednak, jeszcze i tym razem, zmuszona została do uznania swojej porażki. Stary czarodziej czekał na nią w głównej

izbie. Wyszli na zewnątrz, poprzez podwórze podążyli w kierunku stajni.

– Co? Odkryty powóz? – Zdziwił się czarodziej.

– Kareta jest uszkodzona – oświadczyła dziewczyna z pewnym przekąsem w głosie.

– A gdzie mój woźnica?

– Nie ma czasu, żeby go szukać, sprawa nie cierpiąca zwłoki. Ja będę powozić!

Czarodziej wzruszył ramionami, z głośnym westchnieniem zajął miejsce w powozie, siadając na tylnej, wyściełanej ławie, z wysokim wygodnym oparciem. Melodia zajęła miejsce na koźle. Chwyciła podane przez stajennego lejce. Krzyknęła głośno: Eja! Eja! Nerwowo drepczące w miejscu konie ruszyły z kopyta.

Wieża Murrena znajdowała się w północno-wschodniej części miasta, niedaleko obronnego muru, z dala od miejskiego zgiełku i gwaru. Od królewskiego zamku dzieliło ich kilka dzielnic nie małego przecież miasta.

Diva była stolicą Peronu od niepamiętnych czasów. Było to jedyne w całych krainach miasto, zbudowane na bazie koła. Obrzeże stanowił niemal idealny okrąg obronnego muru. Dokładnie w środku umiejscowiony był królewski zamek, od którego bieгло symetrycznie osiem promieni stanowiących główne ulice miasta. Sam zamek będący jednocześnie najpotężniejszą twierdzą Perrunu był symetrycznym ośmiokątem, posiadającym osiem bram,

umieszczonych centralnie na każdej ze ścian i osiem baszt wznoszących się w każdym z kątów budowli. Otaczający miasto mur zewnętrzny, również posiadał osiem bram, którymi kończyły się główne, biegnące przez całe miasto ulice.

Powóz pędził poprzez wąskie, kręte uliczki w kierunku Alei Wilka, wiodącej już w prostej linii do zamku. Byli już na Szesnastej Ulicy, przy której umiejscowiony był plac targowy. Nieliczni przechodnie, uprzedzeni głośnym terkotem kół i stukotem kopyt pospiesznie uciekali z drogi rozpędanego zaprzęgu. Deszcz, ciągle nie tracił na sile. Brukowane ulice zdążyły już pochwycić całkiem sporych rozmiarów kałuże. Przy skrzyżowaniu Szesnastej z Aleją Wilka stała grupka mężczyzn. Mimo ulewy zaciekle rozprawiali między sobą, wymachując sugestywnie rękoma. Widocznie jeszcze nie dobito targu. Gdy rozpędzone konie skręcały w Aleję Wilka, wąskie koła powozu nie były w stanie zapewnić bryczce należytej przyczepności na śliskich kamieniach. Bok powozu sunął wprost ku krzykaczom, aż wyhamował w ogromnej kałuży wody, gdzie na powrót odzyskał wyznaczony przez konie kierunek jazdy. Jednak impet owego poślizgu, na tyle zachwiał równowagę kałuży, że znaczna jej część chlupnęła na ciągle rozprawiających nieszczęśników. Zamilkli natychmiast. Jednak, już za moment wymachując zaciśniętymi pięściami, posłali za odjeżdżającym powozem, całą serię siarczystych i jak najbardziej szczerych złorzeczeń.

– Co robisz ty bezmyślna dziewucho? – Czarodziej nawet nie próbował ukryć rozgniewania.

– No co? I tak byli mokrzy – Murren poprzez szeroko otwarte usta nabrał gwałtownie powietrza w płuca. Zdawało się, że za chwilę wybuchnie. On jednak znieruchomiał na moment, machnął z rezygnacją ręką i zapadł w obicie kanapy. Do zamku nie było już daleko.

CZEŚĆ I

Ax był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, jednakże jego naturalna skłonność do garbienia, sprawiała, że wydawał się nieco niższy, niż był w rzeczywistości. Nim został kapitanem perruńskiej gwardii, wędrował po całych krainach. Był poszukiwaczem przygód, awanturnikiem, błędnym rycerzem, mieczem do wynajęcia. Chciał służyć słusznej sprawie. Walczył tylko w dobrej wierze i tylko wtedy, gdy pozwalało mu na to poczucie honoru. Zdobył sobie nawet pewną sławę. Znany był jako: obrońca biedaków i mściciel pokrzywdzonych. Czasami trafił na jakiś turniej, gdzie można było uzupełnić ekwipunek; zwycięzca brał broń i wyposażenie pokonanego. Bywało, że znajdował zatrudnienie przy ochronie karawan, kiedy indziej znowu, angażował się w lokalne konflikty. Dwadzieścia lat wędrował po krainach. Poznawał zwyczaje miejscowej ludności, chętnie słuchał bardów w przydrożnych gospodach. Zawsze był zainteresowany nowym orężem, zarówno jego przydatnością i możliwościami, jak i sposobami wytwarzania. Najbardziej jednak interesowała go sama walka, ćwiczył nowe style przy każdej, nadarzającej się okazji. Z czasem wszedł w posiadanie całkiem pokaźnego arsenału. Musiał użyć całej swej pomysłowości, aby to wszystko jakoś sensownie na sobie pozawieszać. Sztyfty znalazły miejsce w specjalnych pochwach przypiętych do obu łydek. Miejsce na prawym

udzie zajął krótki miecz, z lewego biodra dumnie zwieszał się miecz długi. Wielki miecz oburęczny przewieszony był przez plecy. Również przewieszony przez plecy poprzecznie do miecza był długi łuk. Strzały wystawały z kołczanu z nad biodra pod lewą pachą. Z tyłu zamocowany do pasa był średniej wielkości topór, zaś z przodu – cep bojowy. Trzeba przyznać, że dzięki misternie przemyślanemu systemowi rzemieni i sprzączek wyglądało to wszystko zupełnie przyzwoicie. Całości obrazu dopełniał niewielki puklerz na lewym przedramieniu oraz dzierzona w prawej dłoni włócznia, pełniąca najczęściej funkcję podróżnej laski. Z ogromnym żalem zrezygnował z ciężkiego korbacza półtora-ręcznego miecza i dużej prostokątnej tarczy. Władał biegle każdą z niesionych przez siebie broni.

Był samotnym wilkiem nie mającym nic do straceni. Wszystko co posiadał – miał na sobie. Nie dbał o życie i bynajmniej nie zamierzał żyć wiecznie. Wolał paść w jakiejś honorowej walce, niż dożyć uciążliwej starości. Był w średnim wieku, choć nie wyglądał na swoje lata. Nauczył się wszystkiego, czego mógł się nauczyć. Wiedział, że jest u szczytu swoich życiowych możliwości. Wiedział również, że czas – dotychczasowy sprzymierzeniec – teraz już, będzie działał przeciwko niemu.

Nigdy nie wycofał się z żadnej walki, wybór był prosty: zwycięży lub zginie. Honor wojownika nie pozwalał na kapitulację. Zawsze zwyciężał. Był jednak w pełni

świadomy, że kiedyś przegra. Kiedyś w końcu trafi na młodszego, sprawniejszego wojownika. Przecież sam w taki właśnie sposób, pokonał kilku starych mistrzów. Taka była kolej rzeczy. Tak było i tak być powinno. Nie dbał o to. Lecz jak każdy prawdziwy wojownik był marzycielem. Pragnął dokonać w życiu czegoś wielkiego, jakiegoś niezwykłego czynu, o którym bardowie, będą śpiewać jeszcze przez wiele następnych pokoleń. To właśnie pragnienie, gnało go po gościńcach, zmuszając do ciągłej podróży, przynaglać do pośpiechu. Aż dotarł do Perrunu – rozległego i żyznego królestwa, położonego we wschodniej części krain.

Pewnego dnia, stał się świadkiem wydarzenia, które odmienić miało całe jego dotychczasowe życie. Trafił bowiem na kilku zbrojnych, którzy łupili bezlitośnie biedne gospodarstwo. Farmer szlochał i błagał o litość, prosząc, by zostawiono mu choć tyle ziarna, aby starczyło na zasiew, bo inaczej zemrze z głodu, z całą swoją rodziną. Jednak grabieżców nic nie obchodziło biadolenie nieszczęśnika, zabierali z obojętnością wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Ax nie mógł ścierpieć takiej nikczemności. Miejsce niby było nowe, ale śpiewka – stara. Stanął w obronie krzywdzonego chłopca. Zbrojni dobyli mieczy, kilku ranił, jednego zabił, herszta bandy, strojnego w kolorowe szaty, obil dotkliwie drzewcem włóczni, mając nadzieję, że delikwent zapamięta tę lekcję. Rzeczywiście zapamiętał. Skąd Ax mógł

wiedzieć, że był to królewski poborca podatkowy? Jakiś czas po tym wydarzeniu, szukała już Axa cała perruńska armia. Wreszcie dopadli go gdzieś na jakimś gościńcu. Powalił trzydziestu zanim został pochwycony w sieci. W taki oto sposób trafił przed oblicze króla Andarandisa.

Proces wydawał się być czystą formalnością; wina była bezsporna, zaś wyrok oczywisty.

– Czy przyznajesz się do napaści na mojego poborcę?

Oskarżony sprawiał wrażenie całkowicie zaskoczonego postawionym mu pytaniem.

– Na nikogo takiego nie napadłem Panie – zaś po chwili dodał – chyba zaszła jakaś pomyłka.

Przez całą salę przebiegł głośny szmer, zebrani tam ludzie, byli równie zdziwieni odpowiedzią, co sam Ax pytaniem.

– Taki głupi, czy taki bezczelny?

Król skinął ręką. Na sali pojawił się niski, otyły mężczyzna, w którym Ax rozpoznał strojnego herszta bandy.

– Czy widzisz na sali człowieka, który na ciebie napadł?

– Zapytał król nowoprzybyłego.

– Ten – wyciągnął przed siebie rękę zwróconą na Axa – to on Najjaśniejszy Panie! To on!

Król znowu zwrócił się do Axa z pozornie obojętnym wyrazem twarzy.

– Czy przyznajesz się do napaści na mojego poborcę?

Ax milczał przez dłuższą chwilę, spoglądając to na króla, to na niskiego mężczyznę.

– Na nikogo nie napadłem Panie. Przyznaję jednak, że przeszkodziłem rabunkowi, któremu ów człowiek przewodził.

Tym razem król sprawiał wrażenie kompletnie zbitego z tropu, po sali przebiegł kolejny głośny pomruk. Tymczasem Ax ciągnął dalej:

– Ten człowiek rabował ubogie gospodarstwo, pozostawiając całą rodzinę bez jakichkolwiek środków do życia. Jeżeli jednak jest on twoim poborcą Panie i działał z twojego przyzwolenia, przeto jesteś królu większym łajdakiem niż on sam!

Sala zamarła, król aż otworzył usta wpatrując się z niedowierzaniem w oblicze stojącej przed nim postaci. Tymczasem Ax kontynuował swoją wypowiedź, mocno podniesionym głosem.

– Zatem ja, rycerz i sługa sprawiedliwości, wyzywam cię do walki, wyzywam cię na sprawiedliwy bój. Żądam sądu miecza. Niech los rozstrzygnie, kto jest niewinny, a kto winny w tej sprawie!

Sąd miecza był bardzo starym i zarazem prostym prawem krain. Każdy postawiony przed sądem człowiek, mógł w ten sposób oczyścić się z zarzutów i dowieść niewinności, stając do walki osobiście, bądź też wystawiając swojego przedstawiciela. Ochłonawszy z pierwszego szoku król, przywołał jednego z dworzan. Ten wysłuchawszy rozkazu pośpiesznie opuścił salę. Wrócił po chwili w towarzystwie

dobrze zbudowanego rycerza. Inny dworzanin przyniósł miecze; jeden wręczył rycerzowi, z drugim skierował się w stronę Axa.

– Jeśli pozwolisz Panie, wolę własny oręż.

Dwóch ludzi wniosło do sali całe jego żelastwo. Ax sięgnął po mały puklerz i cep bojowy. Wpadł mu do głowy pewien pomysł. W Perrunie nie używano cepów. Wszyscy zbrojni nosili miecze. Istniała więc szansa, że może zaskoczy przeciwnika. Wybrana przez niego broń, była bardziej atrybutem rozbójników niż rycerzy. Była tania i prosta do zrobienia. W najprostszej postaci był to krótki drąg z przymocowanym na końcu łańcuchem. Wersja bardziej rozbudowana miała przymocowany do łańcucha, kawałek żelaznego pręta. Egzemplarz Axa posiadał najeżoną kolcami kulę. Broń tą nazywano również korbaczem. Ax skierował pytające spojrzenie w stronę tronu.

– Ser Greynie, czy zgadzasz się na broń twojego przeciwnika?

Ser Greyn obrzucił Axa badawczym spojrzeniem. Dyndająca na łańcuchu kula wyglądała raczej śmiesznie niż groźnie. Mała okrągła tarcza na lewym przedramieniu, też nie wyglądała za bardzo poważnie. Wzruszywszy ramionami, skinął głową. Król klasnął w dłonie.

– Zatem zaczynajcie.

Zbliżyli się do siebie, czujnie wzajemnie obserwując. Zachowując odległość ciosu poruszali się bokiem po okręgu,

którego środkiem obrotu był punkt, połowy dzielącej ich odległości. Wreszcie Ser Greyn zaatakował. Ostrze miecza wydało przeraźliwy zgrzyt natrafiając na stalowy puklerz. W tym samym momencie Ax wziął szeroki zamach swoją bronią. Zamach na tyle duży, że rycerz bez trudu zdążyłby wykonać zasłonę swoim mieczem. Tak też uczynił. Sygnalizowany cios cepa miał za moment uderzyć o miecz. Jednak, zanim do tego doszło, Ax wykonał nieznaczny ruch nadgarstka, unosząc jednocześnie do góry uzbrojoną rękę. Ruch ten sprawił, że kolczasta kula minęła klingę, oplatając łańcuchem ostrze. Gwałtowne szarpnięcie sprawiło, że miecz wyskoczył z dłoni zdziwionego rycerza. Kolejne szarpnięcie uwolniło ostrze, miecz ze szczękiem opadł na podłogę wielkiej, audiencyjnej sali. Ax błyskawicznie postąpił krok w przód, przygniatając stopą odbijającą się od podłogi broń. Kolczasta kula wirowała ze świstem, tnąc powietrze nad jego głową. Gdyby chciał uderzyć teraz, kula niechybnie zmiażdżyłaby głowę rycerza.

– Poddajesz się?

Ser Greyn nie miał zbyt wielkiego wyboru. Blokowanie gołą ręką, jakże groźnie wyglądającej teraz kuli, wcale mu się nie uśmiechało. Z westchnieniem opadł na kolana.

– Poddaję się! Proszę o litość! – Po chwili dodał jeszcze – Panie!

Ax uspokoił swój cep, opuścił broń, odstąpił o krok.

– Zatem odejdz! Jesteś wolny! – Po chwili również dodał

– Panie!

Król Andarandis powstał z hebanowego tronu, gestem rąk nakazując milczenie.

– Dobrze więc. Pokonując strażnika trybunału udowodniłeś, że masz prawo i godzien jesteś stanąć do walki ze mną. Jutro w połowie dnia, zmierzysz się z moim reprezentantem. Żądasz sądu miecza, więc walka będzie na miecze.

Po tych słowach król odwrócił się na pięcie i opuścił salę. Za nim, podążyli jego dworzanie. Ax stał jeszcze przez chwilę oszołomiony tym dość nieoczekiwanym zwrotem sytuacji. Pierwszy raz słyszał o strażniku trybunału. Zbyt krótko przebywał w Perrunie by poznać panujące tutaj prawa. Sądził, że już zwyciężył, tymczasem walka miała mieć miejsce dopiero następnego dnia. Nie pozwolono mu na dalsze rozważania. Pochwyciło go jednocześnie wiele par rąk. Został skrępowany i wrzucony do zamkowego lochu. Teraz mógł już spokojnie rozmyślać, przynajmniej do jutrzejszego południa.

* * *

Wprowadzono go na plac koszarowy. To właśnie tutaj ćwiczyli żołnierze, tutaj również odbywały się turnieje, wiece, a także takie jak ta – ważne walki.

Plac wypełniony był ludźmi. Byli wszędzie, nawet na

dachach zabudowań, ci zaś, dla których zabrakło miejsca na placu, usadowili się na murze obronnym, skąd zresztą mieli znakomity widok.

Bukmacherzy zacierali ręce, albowiem dawno już nie zawarli takiej ilości zakładów. Wielmoże i perruńscy szlachcice stawiali na królewskiego szermierza, przyznać trzeba, całkiem nie małe pieniądze. Biedota zaś upatrywała zwycięzcy w nieznanym bohaterze. Bo Ax, był już ich bohaterem. Wieści rozchodziły się szybko. Umęczeni ludzie dostrzegli w buntowniku swego obrońcę, kogoś, kto dawał im na powrót nadzieję. Wielu z nich, także brało udział w zakładach, nie brakło też desperatów zaciągających pożyczki, by mieć pieniądze na stawki.

Axa ogłuszył wrzask zgromadzonego tłumu. Spostrzegł ze zdziwieniem, że ci ludzie wiwatują na jego cześć. Dodało mu to otuchy. Sądził że jest sam, w obcym i wrogim mieście, nigdy by nie pomyślał, że znajdzie tutaj aż tylu zwolenników. Dla króla przygotowano okazałe krzesło w specjalnie wzniesionej, zadaszanej trybunie. Po bokach trybuny wznosiły się ku górze szeregi ławek, zajmowanych przez co znamienitszych obywateli, ludzie zaś byli wszędzie. Sam plac otoczony został niewielką barierką wyznaczającą jego granice. Ax stanął na środku placu. Rozcierał ręce, próbując przywrócić krążenie zdrętwiałym kończynom. Dopiero przed chwilą zdjęto mu więzy. Naprzeciw Axa wyszedł wysoki, dobrze zbudowany rycerz. Zatrzymał się kilka kroków przed

awanturnikiem. Wbiwszy w ziemię przed sobą swój miecz, oparł na nim obie ręce, patrzył natarczywie w stojącą przed nim postać. W spojrzeniu tym nie było ciekawości – była zawziętość... Nienawiść.

Uwagę Axa przykuła zbroja rycerza. Tors osłonięty był stalowym pancerzem, sięgającym nieco poniżej pasa, spod którego do połowy uda zwieszała się druciana siatka. Również całe ręce aż do nadgarstków ochraniała kolczugowa plecionka. Ax w pełni docenił wartość tej kompozycji. Pancerz doskonale chronił tors, zaś druciane rękawy gwarantowały doskonałą swobodę ruchów. Głowę rycerza ochraniał głęboki garnkowy hełm z trójkątną osłoną twarzy mocowaną do czoła hełmu grubym prętem, który przechodził następnie nieco przed nasadą hełmu, w ostro zakończony szpic. Ax pomyślał, że trzeba będzie na wszelki wypadek, uważać na ten kolec, chociaż wątpił aby jego przeciwnik atakował głową.

Ax wciąż jeszcze nie dostał do ręki miecza i chociaż bardziej cenił szeroką klingę, tym razem wolałby otrzymać wąskie ostrze, na tyle wąskie, aby mogło się wślizgnąć w oko przeciwnika, pomiędzy trójkątną osłoną a krawędzią hełmu. Zwrócił też uwagę na półkoliste wycięcie w pancerzu w okolicy szyi. Cóż, głowa musiała mieć możliwość ruchu. Tyle tylko, że trzeba będzie trafić w ten straszliwie mały, nieosłonięty fragment ciała.

Sam Ax, był właścicielem wysłużonej kolczugi, sięgającej

do połowy bioder. Osłaniała ona jedynie tułów, gdyż nie posiadała rękawów. Skórzany pas przyciskał ją ściśle do ciała. Prawe ramie wojownika chronione było stalowym naramiennikiem. Na gołych rękach, tuż za łokciami związane miał grube miedziane pierścienie, zaś na obydwu przegubach szerokie nabijane stalowymi ćwiekami skórzane bransolety. Używał jeszcze ochraniaczy na nogi. Długie, stalowe, półkolistości wygięte płytki, chroniły łydkę od kostki aż po kolano, gdzie przechodziły w ostry, nieco wystający stożek. Była to taka sama broń, jak kolec na hełmie jego przeciwnika. Rycerz nie posiadał ochrony na nogi. Być może więc, właśnie tutaj tkwił klucz do zwycięstwa. Atak na nogi.

Rozległ się dźwięk trąb. Król zasiadł na trybunie. Herold odczytał królewski posłanie. Axowi podano miecz. Ledwie poczuł chłód stali w dłoni, gdy powietrze przeciął świst rozpędzonego ostrza. Rycerz zaatakował. Ax odskoczył instynktownie, przechylając jednocześnie do tyłu cały tułów. Prawie udało mu się uniknąć zdradzieckiego ostrza. Prawie – gdyż poczuł pieczenie na lewym policzku i spływającą po twarzy krew.

– Zaiste zachowanie godne ryce... – Próbował szydzić Ax.

Nie zdążył jednak skończyć myśli, gdyż następny wyprowadzony z nad głowy cios, już zmierzał w jego kierunku. Błyskawicznie obrócił tułów równolegle do ataku, odskakując tym razem w przód, na tyle szybko, by ostrze jedynie otarło kolczugę na jego plecach. Kolejny rzut do

przodu sprawił, że udało mu się oderwać od prześladowcy. Jeżeli chciał przeżyć – musiał uważać, powinien skupić całą uwagę, tylko i wyłącznie na walce. Tym razem wyszedł naprzeciw kolejnemu atakowi, sparował cięcie i oparł mocno ciężar ciała na obu nogach. Prawie zdążył przyjąć pozycję, nim spadło nań kolejne uderzenie. Przeciwnik był szybki, bardzo szybki. Był też silniejszy. Ax dotkliwie odczuwał w ramieniu siłę każdego ciosu, kiedy parował ataki. Rycerz, był niewątpliwie mianowanym mistrzem miecza. Musiał studiować w jednej ze szkół walki. Szkoły te miały to do siebie, iż wpajały uczniom pewne schematy. Ściśle określone sekwencje, kolejno następujących po sobie ruchów. Ax był samoukiem. Wszystko co umiał, zawdzięczał doświadczeniu wyniesionemu z tysięcy potyczek. Miał talent do walki, oraz niespotykany instynkt. Zupełnie jakby jakaś tajemnicza siła, dbała o jego bezpieczeństwo. Ileż to już razy wygrywał z teoretycznie lepszymi od siebie. Ufał, że i tym razem będzie podobnie. Musiał tylko przetrwać ów wściekły napór. Musiał sprawić, by jego rywal uwierzył w swoją przewagę, by zaczął się nią upajać. Wtedy będzie mniej uważny i na tyle pewny swego, że nie dopuści do siebie myśli o jakimkolwiek kontrataku. Ax wiedział, że był trudnym przeciwnikiem dla wytrenowanych szermierzy, albowiem nie lubili oni walki, która wybiegała poza wyuczone przez nich kanony. Styl walki Axa, był absolutną improwizacją; gdy było to możliwe schodził z linii ciosu, gdy brakło na to czasu, wykonywał

zastawę lub parował. Starał się przy tym nie powtarzać zasłon i uników, żadnych schematów, jego przeciwnik nie mógł przewidywać jego ruchów. Tymczasem Ax bezbłędnie rozpoznawał kolejne sekwencje. Dzięki temu, wciąż jeszcze utrzymywał się przy życiu. Przewidując kombinacje ciosów był w stanie ich uniknąć, chociaż i tak, przychodziło mu to z największym trudem. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto byłby równie szybki. Koncepcja walki Axa polegała na rozpoznaniu przeciwnika i wykorzystaniu jego słabości. Jednak ów demon szybkości, z którym się potykał, nie miał żadnych, słabych punktów. Za to walory, były łatwe do zauważenia; szybkość i siła. Należało zatem, uczynić z nich słabe punkty i wykorzystać w możliwie najlepszy dla siebie sposób. Był tylko jeden problem. Jak to zrobić?

Rycerz panował niepodzielnie na placu boju. Obserwując pojedynki można było odnieść wrażenie, że Ax po prostu ucieka. Toteż wielcy panowie, uśmiechali się triumfalnie, zaś, co niektórzy ostentacyjnie ziewali, dając wyraz swojemu znudzeniu, tym jednostronnym spektaklem. Jednakże uważny obserwator, zauważyłby już pewną irytację w ruchach rycerza. Wprawdzie wciąż wykonywał swój taniec, w nienaganny, pełen gracji sposób, niczym baletmistrz, mający za partnera drewnianego, niezgrabnego pajaca. Jednak do tej wyszukanej elegancji wkradała się już pewna nerwowość. Już dawno powinien był wygrać tę walkę. Był przecież arcymistrzem miecza, jedynym w całym

Perrunie, a najprawdopodobniej i w całych krainach, nie znalazłby godnego siebie przeciwnika. Dlaczego więc przybłąda jeszcze żył, naigrywając się z jego kunsztu? Co więcej? Jakimś cudem wychodził bez szwanku z jego śmiertelnych ataków. Nie powinien był przeżyć pierwszego ciosu, a nie dość że przeżył, to jeszcze usiłował szydzić! Szydzić z arcymistrza Perrunu! Następna zabójcza sekwencja, ledwie pozostawiła krwawą pręgę na lewym ramieniu, draśnięcie zamiast śmierci! Rycerz lubił zabijać. Jakże byłoby pięknie, gdyby ta łajza skapitulowała, żebrząc o darowanie życia. Ach, z jaką rozkoszą poderznąłby mu wtedy gardło!

Przeciwnik jednak, nie miał najmniejszego zamiaru ułatwiać mu zadania. Było oczywiste, że awanturnik nie zamierza błagać o łaskę, należało więc go zabić z mieczem w rękę, jak rzeźne zwierze, jak bezpańskiego psa! Już prawie pół klepsydry gonił za tym błaznem. Przystąpił do kolejnego ataku, bardzo chciał zakończyć tę farsę. Atakował krótkimi cieciami coraz bardziej zawężając pole ataku. Wreszcie, przenosząc ciężar ciała na wysuniętej do przodu nodze, z mieczem stanowiącym idealną linię z wyprężonym ramieniem, wykonał rzut do przodu, mierząc w szyję przeciwnika. Ax momentalnie znalazł się w poważnych tarapatach, jego miecz odskoczył zbyt daleko na bok, aby na czas odbić pchnięcie. Instynktownie więc odchylił się w tył. Jednak nogi nie nadążały za tułowiem, pozostając

daleko w przedzie i właśnie w chwili, gdy miecz już miał sięgnąć jego gardła, lewa noga Axa wystrzeliła ku górze trafiając w wyciągniętą z mieczem dłoń. Takiego sposobu obrony rycerz nie przewidział. Kopniecie było na tyle potężne, że uzbrojona ręka odskoczyła wysoko w górę. Jednak mimo zaskoczenia i bólu, rycerz nie wypuścił z dłoni miecza! Ax tymczasem, ratując się przed upadkiem, usiłował podciągnąć pod siebie prawą nogę. Jakimś cudem zdołał na nią opaść. Wykorzystując chwile wahania wciąż jeszcze zdziwionego rycerza, będąc w pół przysiadzie, ciął rozpaczliwie w kierunku nóg przeciwnika. Jednak atak ten, był zbyt oczywisty, by po raz drugi zaskoczyć arcymistrza. Podskoczył lekko podciągając stopy nad tnącym powietrze ostrzem. Miecz Axa nie napotkawszy oporu wytrącił wojownika z niepewnej równowagi. Ax musiał użyć wolnej ręki do wykonania błyskawicznej podpórki, a i tak było oczywiste, że za chwilę upadnie.

To była okazja, na jaką czekał rycerz. Tym razem rywal był jego. Już nic nie mogło ocalić nieszczęsnego głupca. Wziął potężny zamach z nad głowy i ruszył aby skrócić dystans i przepołowić rywala. Ax jednak nie upadł, wręcz przeciwnie. Korzystając z pomocy lewej ręki, odbił się potężnie z przykuczonej wciąż jeszcze prawej nogi. Wystrzelił w górę jak kamień z procy, trzymając miecz w wyciągniętej na całą długość ręce. Ostrze przebiło gładko gardło rozpędanego rycerza.

Można by powiedzieć, że był to przypadek, że rycerz sam, trafił niechcący na przypadkowo wyciągnięte ostrze. Można by tak powiedzieć, gdyby nie był arcymistrzem.

Ax odstąpił o krok. Zatrzymany w połowie skoku rycerz wpatrywał się w niego natarczywie, tępym, nieprzytomnym, zadziwionym wzrokiem. Opuścił trzymany oburącz nad głową miecz, po czym jak długi runął na ziemię. Leżał bezwładnie na plecach z mieczem w gardle. Ostrze było wbite głęboko, tak, że znaczna jego część wyszła karkiem. Walka była skończona.

– Dobry jestem, ledwie zaatakowałem, a już po wszystkim – wymamrotał sam do siebie Ax, ocierając brudną dłonią spocone czoło.

Trybuny zamilkły. Zrobiło się nagle tak cicho, że aż kuło w uszy. Ludzie nie wierzyli własnym oczom. Aż wreszcie zawrzało. Widzowie powstali z miejsc wrzeszcząc i wymachując rękami. Publiczność oszalała. Nie wiadomo jak długo trwała by ta wrzawa, gdyby nie dźwięk czterdziestu trąb, wzywających do spokoju. Minęło jednak kilka chwil, nim podekscytowani ludzie, zdolni byli do zachowania jako takiej ciszy. Na plac wystąpił herold, ogłaszając, że król będzie przemawiał. Andarandis okryty purpurowym płaszczem powstał z tronu, nakazując gestem rąk milczenie.

– Ludu Perrunu, byliście świadkami sądu miecza! Wojownika Ax, dowiodłeś swojej niewinności. Przeto ogłaszam, że zwolniony zostałeś z zarzutu napaści na

królewskiego poborcę. Ufam, że stając w obronie jednego z moich poddanych działałeś w dobrej wierze. Obraziłeś jednak królewski majestat. Król Perrunu nie jest łajdakiem ograbiającym własny naród. Zatem ja, Andarandis Destentender pragnąc dowieść nieprawdziwości twoich zarzutów, żądam od ciebie sądu miecza. Niech los pokaże, że ja również mówię prawdę. Stanę do walki osobiście.

Ludzie wstrzymali oddech. Żaden szelest nie mącił wszech panującej teraz ciszy. Nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Toteż ciężkie i powolne kroki Axa sprawiały wrażenie wyjątkowo hałaśliwych. Wojownik podszedł do trybuny. Na dzisiaj miał dość walki, ledwie trzymał się na nogach, nie mógł jednak, nie przyjąć wyzwania. Jeśli trzeba – będzie walczył. Był przecież wojownikiem. Mógł machać mieczem nawet do końca dnia. Jego również zaskoczyła postawa króla. Musiał przyznać, że władca pokazał charakter. Być może zbyt surowo ocenił Andarandisa, a być może, było inne, o wiele prostsze wyjaśnienie całego, wcześniejszego zajścia.

Od niedawna przebywał w Perrunie, ale nigdzie w czasie swych wędrówek, nie widział tylu nędzarzy, co tutaj. Nigdzie też, nie widział tak wspaniałych pałaców i bogatych rezydencji. Widział króla zaledwie dwa razy, lecz zarówno wczoraj, jak i dzisiaj, królewski ubiór był dużo skromniejszy, niż okrycia jego świty. Nie dostrzegł też żadnych złotych ozdób, żadnych klejnotów, oprócz królewskiego pierścienia.

Być może król był surowym człowiekiem, a być może było inne, o wiele prostsze wyjaśnienie.

– Królu Andarandisie przyjmuję twoje wyzwanie – po tych słowach Ax ociężale opadł na kolana. Następnie mocnym, pewnym głosem podjął na chwilę przerwana myśl – jednocześnie powierzam swoje życie w twoje ręce – znowu przerwał na chwilę, by dać zebrany czas na zrozumienie sytuacji. Chciał, aby wszyscy mieli świadomość – iż podjął wyzwanie i się poddał.

– Jeśli pozwolisz Panie, chciałbym w inny sposób dowieść niewinności nas obydwu.

– A zatem, co proponujesz wojownikowi?

– Wysłuchaj panie swego ludu. Dlaczego cierpią nędzę? Jakie podatki płacą, a jakie ty sam nakazałeś? – Ax wiedział, że stąpa po kruchym lodzie, miał jedynie nadzieję, że nie popełnia błędu.

Słowa Axa szybko obiegły plac, krąg słyszalności był bowiem niewielki w stosunku do liczby zebranych. Toteż ludzie powtarzali zasłyszane wieści, stojącym dalej. W ten sposób nowiny docierały wszędzie.

Gwar narastał, tłum falował niespokojnie. Otaczający kordonem arenę żołnierze, nie byli już w stanie wytrzymać wciąż narastającego naporu. Kordon pękł w kilku miejscach. Kilkanaście sylwetek momentalnie wtargnęło na arenę, biegnąc w kierunku królewskiej trybuny. Znowu głos potężnych trąb przywrócił porządek, żołnierze zdołali na

powrót zewrzeć szeregi. Jednak przed królem zdążyło już paść na twarz kilkunastu biedaków. Władca zszedł z trybuny, podniósł z ziemi najbliższego, rozkazując powstać pozostałym. Chciał usłyszeć, co ci ludzie mają do powiedzenia.

Wstąpił na tron mając zaledwie 13 lat, gdyż król-ojciec będąc w pełni sił, zmarł nagle na tajemniczą chorobę. Przed śmiercią wymógł na synu przysięgę, iż ten będzie kontynuował jego dzieło. Stary król przygotowywał miasto do wojny, kładąc główny nacisk na rozbudowę fortyfikacji, a murów obronnych w szczególności. Przedsięwzięcie było ogromne. Dawno już zużyto wszystkie zasoby królewskiego skarbcza. Toteż w geście desperacji, Andarandis zarządził podatek wojenny w wysokości dziesiątej części wszystkich dochodów, od każdego obywatela królestwa. Podatek miał być płacony raz w roku. Teraz jednak, jego poddani twierdzili, iż podatek ów, był pobierany wielokrotnie, nie była to także dziesiąta część dochodów. Na poczet podatku, szły wszystkie ich zarobki. Tym zaś, którzy nie mieli, czym zapłacić zabierano zapasy, inwentarz, a nawet konfiskowano gospodarstwa. Król nie usiłował nawet maskować szoku, wywołanego przez nieoczekiwane nowiny. Z trudem panował nad ogarniającym go gniewem. Nie był jednak głupim zapaleńcem, działającym pod wpływem impulsu. Nadeszła chwila, aby zrewidować swój stosunek do królewskich doradców, zarządców i generałów. Ufał tym

ludziom od śmierci ojca. Brał pod uwagę ich opinię i rady. Nie podejrzewał nawet, że przez tyle lat, był jedynie marionetką w rękach perruńskich wielmożów. Komu mógł jeszcze ufać? Co mieli do powiedzenia jego doradcy? Jak postąpi armia? Co zrobią przysięgający mu wierność generałowie? Do sprawy należało podejść rozważnie.

– Ludu Perrunu, wstrząśnięty jestem tym, co usłyszałem. Niniejszym zawieszam podatek wojenny. Przysięgam wam na pamięć mojego ojca, że sprawę zbadam, winnych ukarzę, a krzywdy naprawię. Proszę tylko, abyście dali trochę czasu waszemu królowi. – Przez chwilę tłum rozważał królewskie słowa, by wybuchnąć niekontrolowanym, spontanicznym entuzjazmem. Wiwatom i okrzykom radości zdawało się nie być końca. Andarandis ponownie uniósł w górę ręce, żądając ciszy od rozentuzjasmowanego tłumu.

– Ludu Perrunu, cóż, zatem uczynić mam z tym oto wojownikiem? – Ogłuszający ryk zgromadzonych tłumów, nie stanowił jednoznacznej odpowiedzi. – Czy chcecie bym pozwolił mu odejść? – Chóralne „tak” nie pozostawiało żadnych wątpliwości, co do woli zebranych tutaj ludzi.

– Nigdy, co to – to nie! – Zakrzyknął Andarandis. Następnie zwracając się do Axa rzekł.

– Na kolana rycerzu! – Do uszu klękającego Axa dobiegł charakterystyczny chrzęst wydobywanego z pochwy miecza. Ax rzucił na króla zaniepokojone spojrzenie, akurat w momencie, gdy król wznosił oręż.

Trybuny zamarły, królewski miecz tymczasem zawisł pionowo w powietrzu naprzeciw głowy Axa.

– Poddaleś się wojownikowi. Powierzyłeś swój los w moje ręce! Zatem ja, Andarandis Destentender, władca królestwa Perrunu, mocą przysługującej mi władzy, pasuję cię na rycerza i obrońcę korony. Niniejszym mianuję cię kapitanem, powierzając zadanie stworzenia dla mnie przybocznej gwardii. Ufam, że będzie się ona składać z tak dobrych i tak uczciwych jak ty sam żołnierzy. Ufam również, że będą bronić swego króla z taką gorliwością jak ich kapitan, królewskich poddanych! Czy przyjmujesz królewską propozycję wojownikowi?

Ax długo milczał, wpatrując się w oczy Andarandisa. Król nie cofnął wzroku. Wreszcie Ax pochylając głowę odpowiedział wyraźnie.

– Tak, Panie.

Wówczas król opuścił trzykrotnie miecz na jego ramię.

Tłum wybuchnął ponownie kolejną falą wiwatów. Głosy rozchodziły się daleko, odbijały od murów i wielokrotnionym echem wracały na koszarowy plac.

– Powstań ser Axie.

* * *

W komnacie królewskiej panował półmrok. Za ledwie

przed chwilą pojawiło się światło na kilku miedzianych świecznikach. Był już późny wieczór. Ax zgodnie z królewską wolą przybył na służbę. Skierowano go do prywatnej komnaty Andarandisa. Wnętrze nie wyróżniało się niczym szczególnym. Duża szafa w rogu, masywna skrzynia, kilka obrazów na ścianach, jakiś wypłowiały gobelin. Nic, co byłoby godne królewskiego majestatu.

– Wejść ser Axie i siadaj proszę. – Odezwał się król z za stojącego w rogu komnaty okazałego biurka. W sąsiedztwie władcy rozbłysło kilka kolejnych świeczników. Dopiero teraz wojownik ujrzał pochylonego nad stertą papierów króla. W fotelu stojącym nieco z boku, siedział jeszcze jakiś starzec. Uwagę zwracało nakrycie głowy niepozornego człowieka. Był to, bowiem rodzaj kapelusza o dość wąskim oklapniętym rondzie, za to w górę sterczał ogromnie długi, również nieco oklapnięty stożek. Starzec odziany był w długą powłóczystą przepasaną złotym pasem szatę. Zarówno szata jak i kapelusz były idealnie czarne, zdobione tajemniczym wzorem złocistych punkcików.

– Nadworny czarodziej Murren – rzekł król wskazując Axowi starca.

– To zaś Murrenie jest ser Ax, mój nowy kapitan.

Murren mruknął pod nosem coś, czego Ax nie dosłyszał, mógł się tylko domyślać, że nie było to żadnego rodzaju pochlebstwo.

Król tymczasem ciągnął spokojnym głosem.

– Wezwałem was, ponieważ pilnie potrzebuję rady, a po długim namyśle stwierdziłem, że jedynie wam, mogę w pełni ufać. Przepraszam cię Murrenie, że oderwałem cię od twoich ksiąg i eksperymentów, lecz Perrun potrzebuje twojej mądrości. Do dzisiejszego dnia, nie miałem pojęcia, co naprawdę dzieje się za moimi plecami. Zbyt pochłonęła mnie budowa murów, niepokoje na południu, poselstwa z ziemi Czen.

Władca chciał mówić dalej, lecz tylko z rezygnacją machnął ręką, po czym podjął na nowo.

– Mydlono mi oczy klęską suszy, trudnościami obiektywnymi, delikatnością sprawy...

Znowu machnął ręką. – Przyznaję, że byłem głupcem. Muszę naprawić krzywdy, jakie wyrządzono mojemu ludowi, w moim imieniu. Lecz komu mogę ufać? Czy żołnierze wykonają moje rozkazy, czy raczej wepchną mnie do lochu? Muszę wiedzieć, kto tak naprawdę włada Perrunem. Co proponujecie panowie?

Starzec miał zatroskaną i zadumaną twarz. Wpatrywał się we wzór na wypłowiałym gobelinie, machinalnie skubiąc swoją siwą, długą brodę.

– Kapitanie?

– Cóż Panie, wydaje mi się, że potrzebujesz kilku tysięcy wiernych mieczy, aby zaprowadzić porządek.

– O to właśnie chodzi ser Axie. Skąd mam wiedzieć, że armia dochowa mi wierności?

– Nie wszyscy są zdrajcami królu. Nie możesz w ten sposób traktować swoich żołnierzy.

– Jakież sugestie kapitanie?

– Potrzebuję wojskowej listy płac.

Król zamieszał w stercie papierów, po dłuższej chwili rozwinął jeden ze zwoi, po czym podał arkusz wojownikowi. Nim Ax zdążył skupić uwagę na otrzymanym dokumencie, na świecznikach będących za jego plecami pojawił się płomień. Natężenie światła pozwalało wyraźnie postrzegać długie kolumny małych cyfr. Nie uszło uwadze Axa, że zapaleniu świeczników towarzyszył cichutki trzask palców dłoni czarodzieja. Jednak na twarzy starca nie drgnął ani jeden muskuł, wciąż zapatrzony w gobelin, skubał brodę. Ax skupił uwagę na trzymanym w rękach arkuszu.

– Gdzie stacjonuje szósta armia Panie?

– Szósta armia została wysłana do ochrony południowej granicy. Mamy tam ostatnio pewne kłopoty. To żołnierze o niskim morale, raczej kiepsko wyposażeni.

– Nic dziwnego skoro od dwóch lat nie dostają żołdu – powiedział Ax spokojnym głosem, nie odrywając wzroku od studiowanego dokumentu. Po chwili ciągnął dalej, tym samym bezbarwnym tonem.

– Natomiast pierwsza armia zawsze dostawała pieniądze na czas i to podwójną stawkę. Czy to ta armia stacjonuje w mieście?

– Owszem strzegą również pałacu.

Jakby na potwierdzenie słów królewskiej odpowiedzi, zza drzwi dobiegł do ich uszu, odgłos równego kroku kilkunastu ludzi. Odgłos narastał z każdą chwilą, aż dotarł pod same drzwi królewskiej komnaty, by zupełnie ucichnąć. Najwyraźniej żołnierze zajęli pozycję.

– Czy poleciłeś Panie, żeby wzmocnić strażę?

– Nie, ale być może generał Kasurs podjął specjalne środki bezpieczeństwa...

Król nie dokończył własnej myśli, zastanawiając się nad znaczeniem dopiero co wypowiedzianych przez siebie słów. Tymczasem w korytarzu znów zadudnił równy krok, strzegących pałacu żołnierzy. Do królewskiej komnaty zbliżał się kolejny oddział pierwszej armii. Ax odruchowo zacisnął prawą dłoń na trzonku Obiboka. Zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał pocierał trzonek swojego bojowego cepa. Lubił dotyk szorstkiego, surowego drewna. Wciąż trzymając papier, patrzył niespokojnie na drzwi, rozważając głośno zaistniałą sytuację.

– Dwóch wartowników, plus dwa oddziały, prawdopodobnie po dwie drużyny każdy, najwyżej pięćdziesięciu ludzi... Być może zdołamy się przebić. – Andarandis pytającym wzrokiem spojrzał na Axa, nie do końca rozumiejąc wypowiedź kapitana.

– W najlepszym wypadku, ci żołnierze, mają zadbać o to, byś pozostał w swych komnatach Panie!

– A w najgorszym wypadku?

– Spróbują cię pojmać.

Wyrazne zaniepokojenie odmalowało się na przystojnej twarzy władcy, nie mógł jednak odmówić racji wywodom kapitana.

– Musimy królu wydostać się z pałacu i dotrzeć do szóstej armii!

– Ale to nie są za dobrzy żołnierze ...

– Ale na pewno lojalni – Ax wszedł w słowo Andarandisowi, nie pozwalając mu skończyć zdania. – To, dlatego nie dostają żołdu, dlatego też, wysłano ich na odległą granicę. Musimy opuścić pałac, najlepiej zaatakujmy teraz, zanim przyjdą kolejni żołnierze.

Król wydawał się być nieco zagubiony. Wiedział, że Ax może mieć rację, czuł nawet, że ją ma, jednak nie mógł tak po prostu wyskoczyć z mieczem w ręku na swoich, być może bogu ducha winnych żołnierzy. No i była jeszcze Melodia. Przecież nie może zostawić córki. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie w kierunku Murrena, oczekując od czarodzieja wsparcia, jakiegoś ratunku w kłopotliwej sytuacji. Starzec zacisnął dłonie na poręczach fotela, podniósł się powoli, z wyraźnym wysiłkiem.

– Zatem opuśćmy pałac.

– Przepraszam Murrenie, ale chyba nie bardzo możemy od tak sobie po prostu wyjść.

Nadworny czarodziej Murren z politowaniem patrzył na wojownika. Trwało to dłuższą chwilę, jednak Ax nie miał

śmiałości, by przeciwstawić się tej niezbyt miłej lustracji. Wreszcie Murren kręcąc głową wymamrotał pod nosem coś, czego Ax nie dosłyszał. Zamknął oczy koncentrując myśli, prawą ręką kreślił w powietrzu jakieś dziwne wzory. Z ust starca popłynęła śpiewna inkantacja. Komnata wypełniła się światłem. Ax patrzył w jego kierunku. Powietrze falowało przybierając powoli kształt migotliwej, świecącej elipsy. Starzec podszedł do króla.

– Chodźmy Panie – powiedział ujmując króla za ramię, poprowadził władcę w kierunku różowej poświaty. Zanim Ax zrozumiał co się dzieje, króla i czarodzieja już nie było. Obaj znikli w migotliwym świetle. Wojownik w dalszym ciągu nie miał pojęcia, co się wydarzyło. Był jednak absolutnie pewien, że został w komnacie sam!

– A niech to! – Ax kręcąc głową ruszył w kierunku blednącego wyraźnie światła.

Znalazł się nagle w niewielkiej, wypełnionej księgami, półokrągłej komnacie. Na stojących wokół regałach, książki ułożone były od podłogi aż po sufit. Środek pokoju zajmowany był przez obszerne, stare biurko, przy którym stał równie wielki, stary fotel. Środek biurka zajmował jakiś kulisty przedmiot, przykryty czarnym materiałem. Nieco z prawej strony w przerwie między regałami było na ścianie niewielkie okrągłe okno. Właśnie tam stał król usiłujący tłumaczyć coś czarodziejowi.

– A moje dziecko? Przecież nie mogę jej zostawić! Muszę

po nią wrócić!

– Twoje dziecko?

– Tak moje dziecko! – Król niemal wrzasnął – Melodia jest moim dzieckiem. Już raz Murrenie to ustaliliśmy! Melodia jako moja córka, jest prawowitą dziedziczką korony! Będę rad, jeżeli zechcesz o tym łaskawie pamiętać!

– Aa. To dziecko. Twoja córka jest bezpieczna.

Ax energicznie zakasłał, pragnąc w ten sposób poinformować swoich towarzyszy, iż on również, jest już tutaj obecny. Nie chciał być mimowolnym świadkiem sprzeczki króla z czarodziejem. Już i tak za wiele usłyszał. To, że Andarandis miał córkę, a nie syna, nie stanowiło przecież żadnego problemu. W czasie swych wędrówek, często spotykał kobiety sprawujące władzę. Jakoś sobie radziły. Trudno byłoby powiedzieć, czy mężczyzna rządziłby lepiej w podobnych warunkach, może lepiej poradziłaby sobie jakaś inna kobieta. Dla Axa, ważniejsza była charyzma, mądrość, cechy charakteru. Płeć była czymś zupełnie drugorzędnym. Ale widocznie czarodziej był innego zdania. Oczywiście każdemu wolno było mieć własne poglądy, ale nie można przecież, narzucać ich innym. Toteż Ax w pełni rozumiał wybuch złości Andarandisa. Czuł jednocześnie jak obniża się poziom szacunku, jakim darzył nadwornego czarodzieja. Cóż, jeżeli reszta dostojników Perrunu, uważała podobnie, to dziewczyna nie będzie miała łatwego życia, gdy przyjdzie jej zasiąść na tronie ojca. Ale to już nie jego zmartwienie.

Poza tym Andarandis był przecież młodym mężczyzną i mógł mieć jeszcze choćby i dziesięciu synów.

– Tak więc jeszcze raz podkreślam, że twoja córka jest bezpieczna – powiedział czarodziej do króla bezbarwnym głosem, spoglądając jednocześnie w kierunku nadchodzącego Axa.

– Czy mogę spytać gdzie jesteśmy? – Wojownik patrzył, to na czarodzieja, to na króla.

– To wieża Murrena – odpowiedział król – tutaj pracuje i mieszka, a ta komnata to jego pracownia. Sama wieża umiejscowiona jest niedaleko muru obronnego w pobliżu bramy Wilka. Jesteśmy daleko od pałacu.

Trudno było uwierzyć w słowa Andarandisa. Diva była przecież ogromnym miastem. Jakim sposobem w jednej chwili przebyli tak dużą odległość?

– Ale jak? – Ax nie potrafił powstrzymać się, przed zadaniem tego pytania.

Ponieważ czarodziej w dalszym ciągu sprawiał wrażenie, jakoby nie zauważał kapitana, więc król pośpieszył z odpowiedzią.

– To portal, ser Axie.

– Portal?

Andarandis wskazał świecącą elipsę.

– To rodzaj magicznych drzwi, coś jakby korytarz, przejście.

– Czy można się w ten sposób dostać w każde miejsce?

– Wybacz kapitanie, lecz nie jestem czarodziejem, jeżeli magia tak cię interesuje, to porozmawiaj raczej z Murrenem.

– A tak oczywiście – odpowiedział wojownik, zdając sobie nagle sprawę, iż magia, zupełnie go nie obchodzi.

– A więc... Co teraz? – Ax nie bardzo wiedział jak wybrnąć z sytuacji. Wiedział tylko, że nie zwróci się wprost do czarodzieja. Nie można przecież rozmawiać z kimś, kto nie widzi rozmówcy, a jednocześnie jest zbyt ważny, aby się z nim nie liczyć.

Tymczasem Murren podszedł do ściany. Dopiero teraz Ax zauważył, że sterczy z niej coś w rodzaju lejka. Czarodziej pociągnął za łańcuszek. Z lejka wyskoczył korek. Wówczas starzec pochylił się i przemówił... Przemówił do lejka!

– Natychmiast przygotować powóz z zaopatrzeniem do długiej drogi i dodatkowe konie na zmianę.

Konie! I to jeszcze dodatkowe – na zmianę! – Ax gorączkowo rozważał dopiero, co zasłyszane słowa. Albowiem konie dopiero niedawno pojawiły się w krainach. Przywieziono je zza wielkiego morza. Dopiero poznawano specyficzną hodowlę, tych jakże wymagających i użytecznych zwierząt. Ich cena była wic bardzo wysoka i tylko najzamożniejsi, mogli sobie pozwolić na ich kupno.

Czarodziej musiał więc być, nie lada bogaczem, skoro posiadał, aż dwa zaprzęgi, a może nawet więcej niż dwa.

Jakaś myśl niepokoju przemknęła przez umysł Axa. W czasie swoich podróży, nabrał bowiem przekonania,

że nie można ufać ludziom z nadmierną ilością pieniędzy. Większość bogaczy posiadała tylko jedną zasadę – zysk. Ten zaś, rzadko kiedy, szedł w parze z uczciwością czy honorem.

Światło portalu zdążyło już przygasnąć. Zarys elipsy rozmywał się powoli, aż całkowicie zanikł. Ax domyślił się, że przejście do pałacu zostało zamknięte.

– Zechciej zejść na dół Panie – rzekł Murren do króla – ja będę tam za chwilę.

Skinąwszy głową, król przywołał kapitana. Obaj ruszyli do sąsiedniej komnaty, gdzie znajdowały się wiodące na dół schody. Szli długo wąskim, ciemnym, spiralnym korytarzem, aż wreszcie dotarli do dolnej gościnnej izby wieży. Jakież było zdziwienie Axa, gdy ujrzał siedzącego za stołem Murrena. Czarodziej najspokojniej w świecie zajadał kiełbasę, popijając obficie winem ze złotego pucharu.

– A jesteście, jużem myślał żeście pobłądzili.

Ax nie mógł stwierdzić czy była to kpina czy też szczerza troska. Ale jak można zabłądzić w wąskim korytarzu? Czyżby ten stary kozioł usiłował żartować? Mruknął, więc tylko pod nosem.

– Bardzo śmieszne.

* * *

Powóz toczył się powoli wyboistym traktem. Droga

powrotna trwała dużo dłużej, niżby tego chcieli. Podróż do południowej granicy trwała zaledwie pięć dni. Teraz jednak wracali w otoczeniu żołnierzy szóstej armii. Musieli, więc dostosować tempo podróży do możliwości znużonych piechurów. Od momentu wymarszu z nad granicy, minęły już dwa tygodnie i chociaż powoli, to jednak konsekwentnie zbliżali się do celu. Mieli nadzieję, że jeszcze dzisiaj, (gdyż był dopiero wczesny ranek) ujrzą mury miasta. Ta myśl najwyraźniej dodała skrzydeł zmęczonemu wojsku, gdyż żołnierze przez nikogo nieprzymuszeni, maszerowali znacznie szybciej, niż mieli zwyczaj to czynić.

Mylił się Andarandis, mówiąc, że są to żołnierze o niskim morale. Szósta armia owacyjnie przyjęła swojego władcę, zaś generał Bendrys ze łzami w oczach oświadczył, że porzucone sieroty znowu mają króla! Bendrys był starym przyjacielem ojca Andarandisa, jednak odpowiednio izolowany od nowego władcy, mógł być jedynie biernym obserwatorem i tylko bezradnie patrzeć, jak nowy król, zostaje powoli ograbiany ze swojego dziedzictwa. Staremu wojownikowi pozostał już tylko otwarty bunt, ale na tak desperacki krok, stary generał nie mógł się jakoś zdobyć. Toteż teraz, gdy poznał powód królewskiej wizyty, był szczęśliwy jak nigdy wcześniej. Kipiał entuzjazmem, jakiego nikt już dawno u niego nie widział. Od razu też polubił nowego kapitana nieistniejącej jeszcze gwardii. Ax czuł się coraz bardziej zażenowany, gdy Bendrys przy każdej sposobności dziękował mu za to, co

ten uczynił dla Perrunu. Wojownik miał wrażenie, że zbiera nie należne mu laury. Bo co właściwie zrobił dla Perrunu? Tak na dobrą sprawę, to ratował wyłącznie własną skórę! Cieszyła go jednak nowa przyjaźni, obdarzył Bendrysa ogromną sympatią i jeszcze większym szacunkiem.

Od momentu wymarszu szóstej armii, Ax szedł razem z żołnierzami, trzymał się jednak blisko powozu, stanowił bądź co bądź, przyboczną gwardię Andarandisa. Długi marsz był znakomitą okazją do nawiązania kontaktu z żołnierzami szóstej armii. Ciekawa rozmowa znacznie łagodziła trudy podróży, stanowiąc sposobność do wymiany poglądów i doświadczeń. Poza tym, wzbijany tysiącami nóg przydrożny pył, stanowił o wiele miłsze towarzystwo niż nadworny czarodziej Murren.

Drzwi powozu otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Przemknął przez nie król Andarandis. Podeszedł do idącego tuż za powozem Axa.

– Cóż, muszę rozprostować kości.

Szli długo obok siebie, nie zamieniając ani słowa. Ax miał wrażenie, że władca chce z nim pomówić, najwyraźniej jednak ciężko mu się było, do tej rozmowy zabrać. Postanowił, więc nieco królowi pomóc.

– Wybacz panie.

– Słucham kapitanie.

– Melodia to dość niespotykane imię dla dziewczynki.

– Masz racje kapitanie, dość niespotykane.

Znowu zapadła dłuższa chwila ciszy. Tym razem Ax postanowił nie przerywać milczenia. Nie będzie przecież królowi nadskakiwać. Był w końcu tylko zwykłym włóczęgą. Tym razem jednak, to król przerwał milczenie.

– Cóż, wiąże się z tym pewna historia.

– Chętnie posłucham Panie.

Król milczał jeszcze chwilę, wreszcie zaczął opowieść.

– Na zachód od Divy rozpościera się wielka Puszcza Purreńska. Las to gęsty i dziki, toteż pełno tam najrozmaitszej zwierzyny. Razem z ojcem i bratem mojej żony, postanowiliśmy tam zapolować. Wraz z moją królową oczekiwaliśmy wówczas narodzin naszego dziecka. Był jeszcze miesiąc do dnia rozwiązania. Nie było więc przeszkód, by nie skorzystać z zaproszenia mojego teścia. Wielki Książę Redgard pragnął pokazać mi, jak sprawna jest jego psiarnia. No i dał mi prezent – konia. To były pierwsze trzy rumaki sprowadzone do Perrunu. Mam wrażenie, że mój teść, miał niezłą zabawę, gdy uczył mnie dosiadać tę bestię. Tak więc całą trójką ruszyliśmy konno. Orszak nie mógł za nami nadążyć. W lesie nie było z koni zbyt wielkiego pożytku. Puszcza jest za gęsta. Na skraju lasu spotkaliśmy wilka. To nie był zwykły wilk. Wilczyca była cała biała, biała jak śnieg. Bił od niej jakiś dziwny blask, jakieś niepojętne dla mnie dostojeństwo. Była ogromna. Nie miałem pojęcia, że wilki mogą być takie wielkie. Stała spokojnie, wpatrując się w nas swymi ogromnymi, czarnymi ślepiami, zupełnie

jakby na nas czekała. Wówczas mój szwagier ruszył do szarzy. Wilczyca nie chciała walki, oddalała się spokojnie, oglądając do tyłu. Lecz koń szybko do niej dopadł, las nie był jeszcze zbyt gęsty. Zaskoczony wilk przegryzł gardło konia jednym kłapinięciem paszczy. Wilczyca nie chciała walki, oddalała się spokojnie. Lecz Bardon cisnął w nią oszczepem. Był wściekły, że stracił konia. Zwierze zawył żałośnie. Oszczep przeorał wilczy grzbiet. Bardon skoczył z toporem, aby dobić rannego wilka. Lecz to wilk skończył z Bardorem. Mój teść niemal oszalał z bólu i rozpacz. Przez cały dzień i całą noc tropiliśmy wilka. Właściwie szliśmy za nim. Nie próbował kluczyć, prowadził nas prosto do swojej jamy. Padł martwy na skraju nory, rana po oszczepie była bardzo głęboka. W wilczej jamie coś wyło, właściwie płakało, ale to nie był zwykły płacz. To był – śpiew. Ogromnie smutna, a zarazem niezwykle piękna melodia. W tym to momencie, dogoniła nas reszta wyprawy. Truchło konia i trup Bardona były wystarczającym powodem, by cały czas biegli naszym śladem, a my nie poruszaliśmy się za szybko, no i pozostawialiśmy wyraźny ślad. Staliśmy wszyscy jak skamieniali, zasluchani – w tą precudną melodię. Dziwna sprawa, ale nikt później nie potrafił jej powtórzyć. Pierwszy otrząsnął się mój teść. Zwlókł z nory wilcze ściervo i sam chciał wejść do wilczej jamy. Ze strachu że może utknąć – pochwyciliśmy go za nogi. Gdy go wyciągnęliśmy, Redgard trzymał coś w ręku, to była maleńka nóżka. Ciągnęliśmy

dalej, aż zobaczyliśmy całą resztę. To było dziecko. Maleńkie, ludzkie dziecko, niemowlę. Dziewczynka. Darła się wniebogłosy. Do dziś dnia, nie mogę się nadziwić, że taka maleńka istotka, mogła tak wrzeszczeć. Redgard chciał zabić dzieciątko. Krzyczał, że to wilcze szczenię. Lecz ja mu nie pozwoliłem. Wyrwałem miecz z ręki i odepchnąłem. Nie wiedział, co mówi, nie wiedział co robi, był oszalały z bólu i rozpacz. Wziąłem dziecko na ręce i wtedy ono przestało płakać, w jednej chwili. I wiesz co, uśmiechnęła się! Dziewczynka uśmiechnęła się do mnie. Zabrałem ją na zamek. Wracalem bardzo szybko. Niemowlę trzeba było nakarmić. Gdy dotarłem do murów miasta, naprzeciwko mnie biegł posłaniec z zamku. Moja żona umierała. Zmarła na moich rękach, wydając na świat dziewczynkę. Dziecko urodziło się za wcześnie. Jeszcze tego samego dnia, zmarło niemowlę z wilczej jamy. Nie zdążyłem nakarmić go na czas. Pochowałem je obok mojej królowej, a moja córka otrzymała imię – Melodia, na pamiątkę tego wydarzenia, tej smutnej przepięknej muzyki. Murren twierdził, że to ważne...

Ax niedbale stawiał stopy. Usłyszana historia poruszyła go do głębi. Rozumiał teraz jak musiało być trudno królowi ją opowiedzieć. Jakże mógł nie doceniać wartości tego wydarzenia. Toż to było niemal zwierzenie, skrywane przez króla w głębi serca. Andarandis nie był już tylko jego królem, władcą – któremu poprzysiągł wierność. W tym momencie stał się kimś znacznie bliższym, znacznie ważniejszym. Być

może był to moment, w którym narodziła się ich przyjaźń.

– Chcę cię o coś prosić kapitanie – powiedział król, nie patrząc przy tym na swego rozmówcę. Szli obok siebie wpatrzeni w naprzeciwległy horyzont.

– Słucham Panie.

– Gdyby coś mi się stało... Proszę byś zaopiekował się moim dzieckiem. Czy możesz mi to obiecać? – Ax przełknął ślinę.

– Obiecuję ci Pnie, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, abyś ty sam mógł opiekować się swoją córką.

– Dziękuję przyjacielu – odparł cicho Andarandis, starając się zapanować nad drżącym głosem, oraz powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Ale gdyby... Gdyby coś mi się stało...

Ax zwolnił nieco kroku, kilkakrotnie nieznacznie i powoli skinął głową, wydobywając z siebie tylko jedno słowo.

– Obiecuję.

Szli obok siebie w całkowitym milczeniu, jeszcze przez dłuższą chwilę połączeni jakimś dziwnym poczuciem jednoczącej ich więzi. Zarówno król jak i wojownik dorastali w pojedynkę, bez żadnego rodzeństwa. Jeden musiał się zmagać z nędzą ulicy, gdzie każdy dzień stanowił walkę o przetrwanie, zaś drugi otoczony dostatkiem pałacu toczył inną walkę. Walkę o swoje ja. O prawo do własnego zdania, o właściwy system wartości, o zachowanie własnej tożsamości na przekór dworskiej etykietce, racji stanu i dworskim

intrygom. Obaj jednak byli zupełnie osamotnieni w swoich poczynaniach, pozbawieni jakiegokolwiek wsparcia. Uczucie tej pustki towarzyszyło im przez całe życie. Aż do dnia dzisiejszego, aż do tej chwili. Obaj nie potrafili tego nazwać... Andarandis wiedział jedynie tyle, że gdyby nagle okazało się, że ma brata, czułby pewnie dokładnie to samo, co odczuwał w tym właśnie momencie. Ax miał jeszcze większy mętlik w głowie. Był przecież prostym człowiekiem, prawie, że dzieckiem ulicy, (choć z własnego wyboru) i tylko jakimś przedziwnym zrzędzeniem losu, zamiast zostać pospolitym przestępcą, wyrósł na ceniącego uczciwość i honor wojownika. Zawsze sam dokonywał osądu, sam decydował i sam ponosił konsekwencje własnych wyborów. Teraz miał wrażenie jakby tracił tę wolność, ale zyskiwał jednocześnie pewnego rodzaju wsparcie, jakby nagle zdjęto mu z pleców część, ciężającej na nim odpowiedzialności. Ale o dziwo, ciężar wcale nie zmaleł, a wręcz przeciwnie. Ax miał pełną świadomość, że sam nie dałby rady tego wszystkiego dźwigać. Serce wojownika wypełnione było w tej chwili całą masą kłębiących się, sprzecznych uczuć. Była tam radość, lecz był i smutek, zaś poczuciu pewności towarzyszył jakiś dziwny, nieznany mu rodzaj niepokoju.

Szli tak obok siebie, zatopieni we własnych myślach. Tymczasem przez okno powozu wychyliła się głowa nadwornego czarodzieja Murena.

– Chcę z tobą pomówić żołnierzu!

Ax spojrzał pytająco na króla, ten skinął głową. Ax niechętnie powlókł się w stronę powozu. Niestety, nic się nie wydarzyło, dotarł do drzwiczek. Pociągnął za klamkę, nabierając jednocześnie większą ilość powietrza do płuc, jakby za chwilę miała go przykryć tafla wody. Wszedł do środka. Usiadł naprzeciwko czarodzieja. Lecz nie zamierzał biernie oczekiwać na rozwój wydarzeń. Jego żywiołem była walka.

– Co masz do mnie czarodzieju?

Murren utkwiał w Axie zdziwione spojrzenie, był zaskoczony zachowaniem wojownika. Ludzie winni milczeć w jego obecności i jedynie odpowiadać na jego pytania. Ax wytrzymał piorunujące spojrzenie czarodzieja. Sam z kolei zogniskował własny wzrok na źrenicach Murena.

– Pytam o przyczynę twojej niechęci do mnie. Przecież nic złego ci nie zrobiłem.

Tkwili tak naprzeciw siebie, sprawdzając siłę swego wzroku, żaden z nich nawet nie mrugnął, gdyż oznaczałoby to porażkę.

– Chaos – wymamrotał Murren – kłopoty... Przyniosłeś kłopoty.

– Niczego wam nie przyniosłem. Te, jak to nazwałeś kłopoty, mieliście już od dawna. Ja jedynie pomogłem wam je dostrzec.

Na twarzy starca odmalował się wyraz intensywnej zadumy. Dłuższą chwilę zajęło mu uporządkowanie

własnych myśli, wreszcie spuścił wzrok.

– Czy pochowałbyś kapitanie obcego trupa, w jednej mogile z bardzo bliską Ci osobą?

Ax wytrzeszczył na czarodzieja zdumione oczy. Co to miało być? Co za bzdurne, absurdalne pytanie?

– Czy to o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

Muren poważnie skinął głową.

– Nie wiem, do czego zmierzasz czarodzieju. Być może nie jestem dla ciebie odpowiednio bystry, lecz nie mam ochoty na twoje gierki!

Mówiąc to Ax, opuścił powóz pozostawiając czarodzieja, nim ten zdążył w jakikolwiek sposób zareagować.

Kolumna wojska maszerowała leniwie, gdy nagle rozległ się dźwięk rogu. Alarm. Coś musiało zaniepokoić straż przednią szóstej armii. W szeregach żołnierzy zapanowało nagle ożywienie. Wszystkie oddziały, rozpoczęły przegrupowanie, chcąc dotrzeć jak najbliżej królewskiego powozu, aby stanąć w obronie swego władcy. Na razie jednak, nikt ich nie atakował. Ax z uznaniem patrzył na poczynania szóstej armii. Zajmowanie stanowisk przez poszczególne oddziały przebiegało bardzo sprawnie. Kątem oka dostrzegł generała Bendrysa, wykrzykującego rozkazy. Szósta armia była gotowa do walki. W międzyczasie nadbiegli żołnierze przedniej straży. Jakiś umorusany młody porucznik, stanął na baczność przed Bendrysem, meldując o przyczynie wszczęcia alarmu. Wysłuchawszy raportu, stary generał

podbiegł do stojącego przed karetą króla.

– Czwarta Armia Panie – oznajmił spokojnym, nieco zdyszczanym głosem.

* * *

Sztandar czwartej Armii powiewał dumnie przed szeregami żołnierzy. Wszystkie armie Perrunu miały identyczne sztandary, różna była jedynie cyfra. Dopiero teraz Ax dostrzegł, że czwórka wypisana jest, na tle rysunku zbrojnego w miecz ramienia. Emblemat był na zielonym polu otoczonym czerwoną obwódką. Proporzec szóstej armii, na który patrzył od dwóch tygodni, był zniszczony, przypominał bardziej zatkniętą na tyczce szmatę. W połowie spalony posiadał liczne dziury i rozdarcia. Można się było tylko domyśleć, co przedstawiał. Trzy sylwetki zbliżały się w kierunku ich pozycji. Żołnierze szóstej armii rozstępowali się przed nimi, umożliwiając przejście i jednocześnie wskazując drogę. Generał Tor i jego dwaj oficerowie dotarli przed oblicze króla. Na widok władcy opadli na jedno kolano, pochylając jednocześnie głowy.

– Powstań generale.

Tor dźwignął się na obie nogi, w ślad za nim jego podwładni. Generał zasalutował, uderzając pięścią w pancerz na swojej piersi.

– Chwała królowi Perrunu!

– Z czym przybywasz generale?

Nieco zmieszany generał Tor, kilkakrotnie odchrząknął zanim zaczął mówić.

– Cóż, przybyłem by służyć mojemu królowi. Jestem na twoje rozkazy Panie!

– Jakie wieści przynosisz? Co dzieje się w Divie?

Tor znowu odchrząknął.

– Cóż, wszystkie armie ściągnęły do miasta, po tym jak zostałeś Panie porwany.

– Porwany? Kto niby miał mnie porwać?

Tor był wyraźnie zaniepokojony, czerwienił się i chrząkał, wreszcie zaczął wyjaśnienia.

– Rada ogłosiła, że zostałeś porwany przez obcokrajowca, który podstępem wkradł się w twoje łaski.

Nie uszło uwagi Axa, jak Tor rzuca w jego kierunku podejrzliwe spojrzenie.

– Rada wezwała wszystkie armie by stanęły się w stolicy. Byłem w drodze do miasta, gdy dotarły do mnie nowiny o twoim powrocie Panie. Postanowiłem to sprawdzić no i pomyślałem, że może mógłbym się przydać...

Andarandis był wyraźnie zadowolony z rozwoju wydarzeń, może wcale nie było, aż tak źle jak początkowo sądził. Pomysł wysłania przodem kilku żołnierzy, by rozgłaszali o jego powrocie okazał się jak najbardziej trafny. Dzięki temu, dysponował już dwiema armiami. Była to już znacząca siła. Chociaż o wzięciu miasta szturmem, przy

pomocy dwóch armii, nie mogło być nawet mowy. Jeżeli bramy Divy będą przed nimi zamknięte, a miasto zechce się bronić, siłą, którą w tej chwili dysponują, na nic się nie zda. Mimo niedokończonej rozbudowy murów, stolica cały czas, była gotowa do obrony. Prace koncentrowano na wybranym fragmencie fortyfikacji, tak, że cała reszta, w pełni zachowywała swą funkcjonalność. Już teraz, miasto bez trudu, poradziłoby sobie z dwudziestotysięczną armią, a kiedy prace zostaną dokończone, Diva będzie po prostu nie do zdobycia.

Król był dumny z dzieła, jakie rozpoczął jego ojciec, a on sam, zapamiętale kontynuował, nigdy jednak nie podejrzewał, że może przyjść mu się z nim zmierzyć. Atak na miasto nie miał wszak żadnego sensu. Była jednak nadzieja, że rozwój wydarzeń, przybierze pomyślny obrót. Jeżeli czwarta armia dochowała wierności, być może z pozostałymi będzie podobnie. No i byli jeszcze obywatele miasta; niepozorna niby siła, drzemiąca i niepewna, lecz jak najbardziej godna uwagi. Bo czy wbrew woli mieszkańców, rada mogła się zdobyć na zamknięcie bram przed prawowitym władcą Perrunu? Póki żył, rada nie mogła pozbawić go królestwa w tak jawny i otwarty sposób. Póki żył. Być może, sam stworzył okazję swoim przeciwnikom uciekając z miasta. Gdyby przypadkiem zginął, pewnie rada ogłosiłaby, że został zamordowany przez swojego porywacza. Najprawdopodobniej wysłano też najemnych morderców,

aby zadbali o taki właśnie finał całej sprawy. Tyle tylko, że nie mieli pojęcia gdzie króla należy szukać, a gdyby nawet, to i tak nie byłiby w stanie nadążyć za powozem Murena. Teraz zaś, król powracał w otoczeniu armii, która dbała o jego bezpieczeństwo. Kapitan Ax ustalił specjalne sposoby komunikacji z generałem Torem. Łącznikiem między królem a czwartą armią, mieli być zawsze ci sami, dwaj żołnierze. Nie wolno im było również zbliżać się bezpośrednio do króla. Meldunki mieli składać wyłącznie kapitanowi gwardii. Zawsze była możliwość, że rada może mieć wśród żołnierzy własnych agentów. Wprawdzie Andarandis miał wrażenie, że jego kapitan nieco przesadza z wymyślaniem coraz to nowych środków bezpieczeństwa, ale przecież sam powierzył wojownikowi obowiązek ochrony swojej osoby. Wszystko wskazywało na to, że kapitan nie zamierza w tej kwestii niczego zaniedbywać.

Jeszcze tego samego dnia dotarli do Divy. Powitały ich wiwaty mieszkańców i sprowadzonych do miasta żołnierzy. Jeszcze tego samego dnia, pierwsza armia pod nowym dowództwem została wysłana do ochrony południowej granicy. Król zdążył jeszcze rozwiązać królewską radę i wydać proklamację, w myśl, której miano darować karę wszystkim, którzy przyznają się do winy i zwrócą cały zagrabiony majątek.

Wkrótce skarbiec królewski został zasilony całkiem sporą ilością gotówki. Fakt ten stał się z kolei okazją do

powołania specjalnych inspektorów finansowych. Kapitan Ax zaproponował, aby kandydatów do objęcia tych, jakże ważnych stanowisk, poddać próbie uczciwości. Test polegał na tym, że zainteresowanych wpuszczano po kolei (zupełnie samych), do królewskiego skarbcza. Ich zadanie polegało na jak najszybszym przeliczeniu zawartości komnaty. Nie wiedzieli, że każda moneta, każdy kamień, zostały naznaczone specjalnym zaklęciem Murrena. Gdy stanęli wszyscy razem przed królem ze swymi obliczeniami, Muren aktywował swoje czary. Klejnoty rozżarzyły się w kieszeniach niefortunnych właścicieli, parząc ciała, wypalając dziury w odzieży, wypadły na posadzkę. Z dziesięciu kandydatów tylko trzech nie doznało oparzeń. Jeszcze tego samego dnia objęli urzędy specjalnych inspektorów finansowych królestwa Perrunu. Wcześniej jednak obejrzeni egzekucję swych niedawnych rywali. Siedmiu ludzi zostało powieszonych za kradzież, w myśl królewskiej proklamacji zapowiadającej surowe kary nieuczciwym urzędnikom. Wkrótce rozpoczęło śledztwa sprawdzające uczciwość amnestionowanych. Kilku „skruszonych” uciekło za granicę. Zaczęto również sprawdzać finanse wielmożów nie poczuwających się do żadnej winy. Znowu kilku, co znamienitszych obywateli opuściło królestwo. Był wśród nich sam Redgard, Wielki Książę Perrunu – niedawny przewodniczący królewskiej rady. Zwracano prawowitym właścicielom bezprawnie skonfiskowane gospodarstwa, wypłacano odszkodowania.

Andarandis ze smutkiem zauważył, że i tutaj, wśród obywateli z samego dołu hierarchii, także miały miejsce próby wyłudzeń. Wszystkie tego typu udowodnione sprawy znajdowały swój finał na szubienicy koszarowego placu.

Wreszcie sytuacja unormowała się na tyle, że Ax mógł przystąpić do formowania swojej gwardii. Jednak mimo sporej popularności kapitana, niewielu chętnych odpowiedziało na obwieszczenie o zaciągu. W związku z tym, Ax podjął decyzję, aby zajrzeć do królewskich lochów. Zanim przybył do Purrenu, lokalne bunty i rozruchy były na porządku dziennym, za każdym razem krwawo tłumione przez pierwszą armię. Toteż pałacowe lochy, pełne były skazańców. Przed uwięzionymi postawiono prosty wybór: możliwość wstąpienia do gwardii lub dalsze odbywanie kary. Oferta kapitana znalazła tutaj, dużo większe zainteresowanie. Jednak żaden z kandydatów nie miał pojęcia, przez jakie próby będzie musiał przejść, zanim zostanie wcielony do służby. Pierwszy test miał określić poziom determinacji i wytrzymałości przyszłych gwardzistów. Wydobytym z lochu kandydatom dano tydzień na odzyskanie formy. Zostali zakwaterowani w koszarach z możliwością odbywania spacerów, otrzymywali również żołnierskie racje żywnościowe.

Nadszedł wreszcie dzień próby. Ludzie zostali objuczeni plecakami wypełnionymi kamieniami, ich ciężar odpowiadał mniej więcej wadze rynsztunku, który Ax miał na sobie.

Wszyscy otrzymali również torbę z suchym prowiantem i wodą.

– Nie interesuje mnie, kim byliście do tej pory, nic mnie nie obchodzi, z jakich rodzin pochodzicie, w tym momencie wasza przeszłość przestaje istnieć. W czasie trwania próby, możecie do niej wrócić. W każdej chwili wolno wam zrezygnować i udać się do miejsca skąd przyszliście. Ci, którzy wytrwają do końca, zakwalifikują się do dalszego szkolenia, ono zaś, uczyni z was przyboczną gwardię króla Andarandisa. Złożycie przysięgę i podpiszecie dziesięcioletni kontrakt. Będziecie dostawać trzy sztuki złota za każdy rok służby.

Ax umilkł, dając rekrutom czas na zrozumienie jego słów. Wyraźnie słyszał przebiegający wśród kandydatów szmer. Wynagrodzenie, które proponował, było trzykrotnie wyższe, od żołdu zawodowego żołnierza perruńskiej armii. Zaś trzydzieści sztuk złota stanowiło już spory majątek.

– Będziecie maszerować przez trzy doby wokół miasta, bez żadnej przerwy, żadnego odpoczynku, dzień i noc. Prowiant, który otrzymaliście ma wam wystarczyć na całą drogę. Nikt nie będzie wam wydzielał racji, sami musicie zadbać, by zjeść w odpowiednim czasie i ilości. Pamiętajcie jednak, że cały prowiant macie przy sobie, nikt nie da wam więc nawet kruszyny chleba. W czasie marszu nie wolno wam zdejmować plecaków. Jeżeli ktoś chce zrezygnować już teraz – może to uczynić. Wszyscy zaś, którzy są niezłomnego

ducha, niech idą za mną. – Mówiąc to, Ax ruszył powoli w kierunku bramy, na koszarowym placu pozostało kilku ludzi.

Na murach obronnych, było już sporo gapiów, i to zarówno mieszczan jak i żołnierzy. Marsz gwardzystów wydawał się stanowić okazję do całkiem niezłej zabawy. Zaczęto nawet typować potencjalnych przegranych, co z kolei doprowadziło do zawierania zakładów. Najwyraźniej Perruńczycy przepadali za hazardem i każde wydarzenie, stanowiło ku temu wyśmienitą okazję.

Kolumna tymczasem maszerowała powoli w odległości pół mili od murów miasta. W niewielkim odstępzie za kolumną, podążał mały oddział żołnierzy. Ich celem, było przechwycenie niedawnych skazańców, gdyby przypadkiem zapragnęli wrócić do lochu. Tyle tylko, że żołnierze zmieniali się przy okazji każdej z ośmiu bram.

Drugiego dnia marszu z wojskowej kariery zrezygnowała większość kandydatów niezwiązana z królewskimi lochami. Pojawił się również wóz, ciągnięty przez parę gorgon, na który eskortujący kolumnę żołnierze, pakowali wszystkich chętnych. Ludzie byli już bardzo zmęczeni. Ponadto wóz stanowił ogromną pokusę dla wyczerpanych piechurów. Każde spojrzenie do tyłu, budziło ogromną chęć kapitulacji; jakże cudownie musiało być usiąść na wozie, bez potrzeby ciągłego przebierania nogami, bez konieczności obciążenia obolałych stóp.

Wreszcie minęła trzecia doba marszu. Kolumna utykających ludzi, chwiejnym krokiem kierowała się w stronę koszarowego placu. Z pięciuset ochotników pozostało około dwustu. Ax rozesłał ludzi do baraków. Należał się im solidny odpoczynek, trzeba też było opatrzyć poranione stopy, oraz ramiona, w które nieustannie wpijały się paski plecaków. Sam jednak pozostał na placu. Nie wszyscy byli w stanie dotrzymać kroku głównej kolumnie. Na trasie marszu wciąż jeszcze pozostawało kilku maruderów. Właściwie, powinien był z nich zrezygnować, bo przecież nie potrafili dorównać całej reszcie. Jednak ich upór, nawet jemu zaimponował. Szczególnie podziwiał jednego z byłych buntowników. Był to młody chłopak, miał najwyżej piętnaście lat, jego fizyczna postura nie została jeszcze do końca ukształtowana. Dla młodego organizmu kamienny plecak, był nie współmiernie większym obciążeniem. Już pod koniec pierwszego dnia, chłopak miał trudności z nadążeniem za kolumną. Drugiego dnia, potykał się i przewracał, jednak wciąż uparcie wstawał i gonił towarzyszy niedoli. W połowie trzeciej doby, nie był już w stanie utrzymać się na nogach, pełził na czworakach. Jednak mimo ogromnego wyczerpania, ciągle uparcie odrzucał propozycję, chcących posadzić go na wozie żołnierzy. Ax szczerze podziwiał tego młodego, upartego człowieka. Kibicował mu z całego serca. Bardzo się martwił, gdy chłopak coraz bardziej zostawał z tyłu. Nie mógł jednak nic zrobić, zasady były jednakowe dla wszystkich.

Wreszcie wóz przetoczył się ociężale przez bramę. Ax odetchnął z ulgą. Dzieciaka nie było na wozie. Żołnierze ubezpieczający pochód, rozeszli się już do swoich kwater, pozostawiając ostatniego uczestnika marszu pod opieką pełniących służbę na murach kolegów. Nikt nie dopuszczał już myśli o możliwości ucieczki skazańca. Wreszcie chłopak przeczołgał się przez bramę. Ludzie w nabożnym milczeniu, patrzyli na tego niezłomnego duchem, młodego człowieka. Poruszał się bardzo powoli, często na dłuższą chwilę nieruchomiejąc. Za każdym razem, gdy opadał bezwładnie w pół drogi, wydawało się, że był to jego ostatni wysiłek. Chłopak jednak zebrawszy resztki sił, za każdym razem, ponawiał trud swojej maniakalnej wędrówki. Nie unosił już nawet głowy, jednak wiedziony jakimś dziwnym instynktem, pełził wciąż we właściwym kierunku. Był już wieczór, gdy dłoń chłopaka natrafiła na but stojącego na placu, od wczesnego poranka Axa. Chłopak jakby zdziwiony pojawieniem się niespodziewanej przeszkody, powoli z ogromnym wysiłkiem uniósł głowę.

– Jak Ci na imię chłopcze?

– Manders Panie.

– Jesteś przyjęty Manders.

Po twarzy chłopaka przemknął nikły uśmiech, po czym osunął się w pół drogi, tracąc przytomność. Ax podniósł z ziemi leżące ciało. Trzymając chłopaka na rękach ruszył w kierunku najbliższej świątyni, albowiem miał nadzieję,

iż znajdzie tam ratunek dla skrajnie wyczerpanego Mandersa. W Divie było wiele świątyń, wzniesionych ku czci najrozmaitszych bogów. Niektóre z braku aktywnych wyznawców zdążyły już popaść w ruinę. Większość jednak nadal prosperowała. Świątynie nie stanowiły wyłącznie miejsca kultu. Kapłani zajmowali się również świadczeniem najrozmaitszych usług dla ludności. Można tu było zamówić amulety na każdą okazję, zdjąć i rzucić kłutwę, wzmocnić posiadany oręż magicznym zaklęciem, nabyć wszelkiego rodzaju zioła, zapoznać się z wróżbą czy wreszcie otrzymać pomoc medyczną. Kapłani nie tylko posiadali wiedzę o ziołach, potrafili również stosować prostą magię leczniczą. Właśnie ten rodzaj usług, interesował w tym momencie kapitana. Niesiony przez niego chłopak rozpaczliwie potrzebował natychmiastowej pomocy. Ax cały czas dotykał kciukiem przeguby dłoni Mandersa. Puls był bardzo słaby, ledwie wyczuwalny. Życie uchodziło z chłopaka, z każdym stawianym przez wojownika krokiem. Gdy dotarł do stopni świątyni, pierś podopiecznego przestała się unosić. Wbiegł po schodach i ledwie uniknął zderzenia z masywnymi, zamykanymi akurat drzwiami. W ostatniej chwili zdołał wcisnąć stopę między drzwi, a rzeźbioną framugę. Mimo opancerzonego buta dotkliwie odczuł siłę uderzenia, nie cofnął jednak stopy.

Zza niedomkniętego skrzydła, doleciał do jego uszu poirytowany piskliwy głos.

- Zamykamy! Świątynia nieczynna!
- Cholera! Człowieku potrzebuję pomocy!
- Przyjdź jutro!

Ax poczuł, jakby właśnie został zdzielony obuchem bojowego młota. Przecież nie miał czasu. Dla Mandersa mogło nie być żadnego jutra. Jakimś cudem udało mu się wcisnąć w szczelinę drzwi kolano. Napał nim na masywne skrzydło, szczelina powiększyła się na, tyle, że mógł zaatakować drzwi barkiem. Chwilę później był w środku.

- Ogłuchłeś matole?! Przecież mówię, że zamknięte.

Stał przed nim grubawy, niewysoki, wyraźnie zdenerwowany mnich. Z pod nasuniętego na czoło, obszernego kaptura, małe oczka ciskały błyskawice. Ax nie zwracając uwagi na rozeźlonego kapłana ruszył w głąb świątyni, ułożył Mandersa na stojącej pod ścianą kamiennej ławie.

– Zabieraj się stąd, razem ze swoim ścierwem albo pożałujesz – wycedził mnich przez zaciśnięte zęby. Widząc, że jego słowa nie spotykają się z żadnym odzewem, uniósł w górę ręce rozpoczynając jednocześnie deklamację zaklęcia. W tym samym momencie powietrze przeszył rzucony przez wojownika sztylet. Ostrze wbiło się ze świstem w świątynne drzwi, przyszpilając do nich szeroki rękaw powłóczystej szaty kapłana. Zaskoczony mnich stracił zaklęcie, ze złością spoglądał na intruza. Wojownik jednak, nic sobie z tej furii nie robił.

– Jeżeli nie potrafisz rzucać zaklęć równie szybko jak ja sztyletów, to lepiej niczego nie próbuj. Jeżeli ten chłopak umrze, to klnę się na twojego boga, że umrzesz razem z nim!

– Głupcze, obraziłeś właśnie majestat wielkiego Tendorusa – najpotężniejszego boga krain.

– Słuchaj klecho, nic mnie nie obchodzi jego wielkość. Ratuj dzieciaka albo wkrótce sam przekonasz się, jak twój bóg jest wielki.

Ax starał się panować nad swoim głosem, nadając mu jednocześnie zimny, złowroźny ton. Ściągnął z ramienia łuk, nałożył strzałę, napinając cięciwę wymierzył w kapłana.

– Spróbuj tylko jakiejś sztuczki a ta strzała wbije się w twój beużyteczny, pusty łeb.

Mnich najwyraźniej próbował wyciszyć targające nim emocje. Żył dostatecznie długo aby wiedzieć, że gniew, jest nie najlepszym doradcą. Przeprowadziwszy zimną kalkulację, postanowił ratować chłopaka. Mógł oczywiście pod pozorem leczniczego zaklęcia posłać w kierunku intruza, coś naprawdę paskudnego, nie znał jednak żadnego zaklęcia na tyle potężnego, by spowodowało natychmiastową śmierć. Nawet gdyby je znał i nawet gdyby, (w co poważnie wątpił) byłby w stanie go użyć, to i tak nagły zgon wojownika spowodowałby niechybnie zwolnienie cięciwy, a nie miał zbyt dużej szansy, na ucieczkę przed wymierzoną w niego strzałą. Podeszedł do spoczywającego na ławie chłopaka. Nie wyczuł ani oddechu ani pulsu. Jednak ciało było nadal całkowicie

ciepłe i wiotkie. Wszystko wskazywało na to, że pośpiech wojownika, był jak najbardziej uzasadniony. Mnich uderzył potężnie pięścią w klatkę piersiową chłopaka, następnie układając na sobie dłonie zaczął nań rytmicznie uciskać. Co chwilę robił przerwę, w czasie której przywierał własnymi ustami do ust nieprzytomnego Mandersa, wdmuchując weń zgromadzone we własnych płucach powietrze. Po czym znowu wracał do ucisku klatki piersiowej. Trwało to tak długo, aż chłopak zaczął samodzielnie oddychać.

– Czyż powołaniem kapłana nie jest niesienie pomocy potrzebującym? Czy może twój bóg ma określone godziny urzędowania? A potem, co? Idzie spać? I co? Daje wolne swoim kapłanom? A co z wyznawcami? Jeżeli twój bóg śpi, to nie może przecież w tym czasie otaczać wiernych żadną opieką. Uważasz, że ludzie będą się garnąć do takiego przysypiającego boga? A może twój bóg jest tak ograniczony, że starcza mu mocy tylko do końca dnia? Czy to może jego kapłani są tak ograniczeni by pozbawiać ludzi boskiej łaski i opieki?

Mnich oderwał się na chwilę od wykonywanych czynności, jego wzrok spoczął na wciąż mierzącym weń z łuku człowieku. W oczach obcego nie dostrzegł żadnej drwiny, żadnego szyderstwa. Pochłonięty własnymi myślami wrócił do przerwanej na moment pracy. Życiu pacjenta nie zagrażało już niebezpieczeństwo, nadal jednak był bardzo słaby. Należało koniecznie wzmocnić tę niewielką isierkę

życia.

Każda magia miała swoją cenę, magia lecznicza również. Kapłan mógł wzmocnić pacjenta, mógł zaleczyć jego rany, jednak wszystko to, mógł czynić wyłącznie własnym kosztem. By ulżyć mu w cierpieniu musiał wziąć na siebie część jego bólu, musiał osobiście uczestniczyć w cierpieniach swojego pacjenta. By chorego wzmocnić musiał mu przekazać część własnej życiowej energii. Z tego też względu możliwości kapłanów były cokolwiek ograniczone, mimo iż ich organizmy regenerowały się nadzwyczaj szybko, tym szybciej – im wyższy był poziom kapłana. Ax widział jak rumiana twarz mnicha w pewnym momencie zrobiła się biała. Musiało minąć sporo czasu nim ponownie zauważył na niej, krążenie krwi. Kapłan wydobył, gdzieś z wnętrza swojej szaty niewielką flaszeczkę z zawartością o wyraźnie niebieskim kolorze. Pociągnął dobry łyk, resztę wlał w usta podopiecznego, zmuszając go do połknięcia. Manders otworzył oczy, powiódł dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

– Leż chłopcze, nawet nie próbuj wstawać dopóki ci nie pozwolę. Mnich wypowiedział te słowa zupełnie łagodnym, niskim głosem. Ax nie miał pojęcia, że kapłan w ogóle jest zdolny do takiego tonu.

Manders zrozumiałwszy polecenie skinął nieznacznie głową, wyraźnie się odprężył, po czym zapadł w głęboki sen.

– Musi porządnie wypocząć – powiedział mnich do Axa.

Kapitan dopiero teraz zdał sobie sprawę z faktu, że trzyma w ręku napięty i wycelowany łuk. Nieco zawstydzony, natychmiast zwolnił cięciwę, strzała wróciła do kołczanu.

– Jestem Kandas – trzeci kapłan świątyni Tendorusa

– Ax – kapitan gwardii króla Andarandisa.

Słyszając to Kandas, aż rozdziawił usta. Wprawdzie rzadko opuszczał świątynię, lecz wieści docierały nawet tutaj. Cała Diva nie mówiła o nikim innym.

– Naprawdę bardzo mi miło, że mogę poznać tak znamienitego wojownika.

Tym razem to Ax wytrzeszczył oczy, mierząc od stóp do głowy swego rozmówcę.

– Co ty kurwa powiesz? – Nieco zmieszany Kandas nie zamierzał bynajmniej tracić rezonu.

– Hm, tak, cóż, może moglibyśmy zapomnieć obaj o tym drobnym początkowym nieporozumieniu. Wiedz kapitanie, że zawsze mieć będziesz we mnie oddanego przyjaciela.

* * *

Rankiem następnego dnia Ax był znowu w Świątyni Tendorusa. Manders doszedł do siebie na tyle, by samodzielnie wrócić do koszar. Jednak nie tylko troska o chłopaka sprowadziła wojownika do świątyni. Wpadł mu bowiem do głowy pomysł, że gwardii bardzo by się przydał zatrudniony na stałe kapłan. Uznał, że jest jego obowiązkiem

zapewnienie żołnierzom właściwej opieki medycznej, a wczorajszy pokaz Kandas zrobił na nim spore wrażenie. Poza tym Kandas, był jedynym znanym mu w całym mieście kapłanem. Być może będzie mógł wskazać kogoś, kto byłby zainteresowany pracą poza świątynią. Trzeci kapłan musiał posiadać sporą wiedzę dotyczącą innych wyznań. Być może umiejętności kapłanów były zróżnicowane. Kapitana interesowały głównie tę świątynie, które niejako specjalizowały się w medycynie. Nie chodziło zresztą tylko o same umiejętności leczenia, również ważna była wiedza w zakresie ziół i leczących maści. Co z tego, że medyk wie jakiego leku należy użyć, jeżeli nie potrafi go przygotować? Zresztą i z dobrego aptekarza nie było by wielkiego pożytku, jeżeli nie potrafiłby rozpoznać i pozyskać właściwych składników. Idealny byłby medyk, posiadający wszystkie te umiejętności.

Jakiś czas, wojownik stał w opustoszałej głównej nawie. W świątyni panował półmrok, zaś w zasięgu wzroku nie było nikogo. Ruszył więc przed siebie zdecydowany odnaleźć któregoś z pełniących tu służbę kapłanów. W pewnym momencie, doleciał do jego uszu stłumiony dźwięk z jednego z mijanych bocznych korytarzy. Skierował się w tamtą stronę. Im dalej szedł, tym wyraźniej słyszał dolatujące do niego dźwięki, był już w stanie rozpoznać głosy, zaś po kilku kolejnych krokach można już było zrozumieć treść wypowiedzi.

– Chcesz powiedzieć że nie zamknąłeś na noc świątyni?

– Chcę powiedzieć, że powinniśmy czuwać każdej nocy, gdyby przypadkiem ktoś potrzebował pomocy.

Odpowiedź została udzielona piskliwym poirytowanym, dziwnie znajomym głosem. To mógł być tylko Kandas. Głos nie mógł należeć do nikogo innego. Ax zatrzymał się, pilnie nadstawiając uszu.

– Nasza świątynia już od setek lat ma ustalony porządek.

– I już od setek lat traci swoich wyznawców. Coraz mniej ludzi garnie się do Tendorusa. Do ofiarnej szkatuły nikt niczego nie wrzuca, a ustalenie cen za usługi tylko ograniczyło liczbę odwiedzających. Czyż naszym powołaniem nie jest niesienie ludziom pomocy? Czy sam potężny Tendorus, ma określone godziny urzędowania? A potem co? Idzie spać? Powinniśmy przecież służyć ludziom o każdej porze dnia i nocy. Wyjść naprzeciw ich potrzebom, sprostać ich oczekiwaniom.

Głos Kandasas stawał się coraz bardziej natarczywy i głośny, ostatnie słowa zostały niemal wykrzyczane.

– Czy się aby nie zapominasz trzeci kapłanie? Jak śmiesz podnosić głos w mojej obecności? Jeżeli pragnienie służby tak cię pożera to czemu nie opuścisz świątyni? Idź na ulicę, między ten motłoch, zamieszkaj wśród nich a nie będziesz mógł uciec od tej hołoty.

– Tak? Tak? To pójdę, a żebyś wiedział, że pójdę!

Mówiąc to Kandas obrócił się na pięcie i ruszył w kierunku

korytarza.

– Kandas! Jeżeli teraz opuścisz świątynię to już do niej nie wracaj.

Kandas stanął w miejscu, wykonał błyskawiczny zwrot w kierunku swego zwierzchnika, uniósł obie dłonie, dotykając kciukami uszu i jak rozzłoszczone dziecko „zatrąbił” na wysuniętym na całą długość jęzorzem. Znowu wykonał gwałtowny zwrot, aby kontynuować swój wcześniejszy zamiar i omal nie zderzył się ze stojącym wciąż w korytarzu kapitanem.

– Świetnie się składa Kandas.

– Ee?

– Mam dla ciebie robotę.

– Co?

– Witaj w gwardii chłopie.

* * *

Król Andarandis przechadzał się nerwowo środkiem swojej komnaty. Właściwie wszystkie sprawy przybierały korzystny obrót. Sytuacja królestwa była już całkiem stabilna. Naród darzył miłością swego dobrego i sprawiedliwego władcę. Dzięki pracy inspektorów finansowych zasoby królewskiego skarbcza zaczęły o dziwo rosnąć. Praca na murach ruszyła znowu pełną parą.

Pewnienniewielkiniepokój, budziły jedynie kontrowersyjne

postępki nowego kapitana. Andarandis ufał wojownikowi. Ba, polubił przybysza całym sercem. Jednak nie mógł jakoś polubić myśli, że jego osobista straż przyboczna, będzie posiadać kryminalne korzenie. Tak zwana „próba marszu” też jakoś nikomu nie przypadła do gustu i nie dotyczyło to bynajmniej uczestników pochodu. Tu i ówdzie słychać było głosy, że tylko zwyrodnialec, może w taki sposób traktować ludźmi.

– Co sądzisz generale? – Andarandis zwrócił się z tym pytaniem do obecnego w komnacie generała Bendrysa.

– Cóż królu, ten człowiek wie, czego chce i ma jaja żeby dopiąć swego!

Andarandis rzucił Bendryksowi badawcze spojrzenie. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Chodźmy do koszar generale, zobaczmy co dzisiaj porabia moja przyszła gwardia.

Na placu koszarowym nie było nikogo, a przecież właśnie tutaj rekruci winni odbywać intensywne ćwiczenia. W ogóle całe nowe koszary sprawiały wrażenie opustoszałych. Został im jeszcze do sprawdzenia tylko budynek mieszczący kantynę. Tylko, co żołnierze mogliby robić o tej porze w kantynie? Było już zdecydowanie po śniadaniu i stanowczo za wcześnie na obiad. Król wiedział jednak z całą pewnością, że ludzie Axa nie opuszczali tego dnia koszar. Zatrzymali się w otwartych drzwiach słysząc dolatujący z wnętrza głos.

– Następną literą alfabetu jest C. Ty tam – możesz podać

słowo zaczynające się od tej litery?

– Cipa – wykrzyknął po krótkim namyśle wywołany żołnierz, powodując wybuch głośniejszej salwy śmiechu.

– Sam jesteś cipa, całkowicie ciemny cwaniaczku ciężkiego ciemienia. – Wrzeszczał Kandas starając się przekrzyczeć dwie setki roześmianych mężczyzn. W tym też momencie spostrzegł dwie stojące w drzwiach postacie.

– A wy co matoly? Jak chcecie się nauczyć pisać, jeżeli spóźniacie się na zajęcia?

Podszedł do drzwi. Przyjrzawszy się bliżej przybyłym, ciągnął dalej:

– Zresztą ty stary pryku, możesz wracać od razu na swój zapiecek, taki stary osioł niczego się już nie nauczy!

Do króla zaś, zwrócił się ze słowami:

– A ty baranie przestań wytrzeszczać gały i zajmij swoje miejsce. Będiesz się tłumaczył kapitanowi, gdy ten tylko wróci.

Pierwszy z szoku otrząsnął się generał Bendrys.

– Czy mam mój królu kazać wychłostać tego człowieka?

Kandas rozdziawił gębę, było niemal pewne, że gałki oczne za chwilę wypadną mu z orbit. Stał tak z głupkowatym wyrazem twarzy, nie mogąc wykrztusić z siebie żadnego słowa.

Król zachowując całkowity spokój zwrócił się do kapłana:

– O ile pamiętam kazałem wyszkolić kapitanowi oddział żołnierzy, a nie skrybów?

Kandas wciąż stał jak zahipnotyzowany z niezmiernie inteligentnym wyrazem twarzy. Poczucie rzeczywistości przywróciła mu dopiero, wysoko uniesiona, jakby do ciosu, dłoń generała Bendrysa. Widząc jednak, jak mnich odskakując gwałtownie w tył, stary wojak podrapał się tylko w czubek głowy uniesioną ręką.

– Tak Najjaśniejszy Panie, ale dobry żołnierz, to światły żołnierz, a światły żołnierz to żołnierz czytany, potrafiący przelać na papier swoje myśli i odczucia.

– O cholera – wymamrotał Bendrys drapiąc się ciągle ręką w czubek głowy.

Kandas tylko jednym słowem skwitował całą wypowiedź generała.

– No.

– Gdzie jest teraz kapitan? – Zapytał Andarandis ogarniając ciekawym spojrzeniem wszystkich zgromadzonych.

– Załatwia sprawunki w mieście.

– Jakże znowu sprawunki?

– Jak to, jakie? – Kandas był szczerze zdziwiony – przecież potrzebujemy papieru, piór, atramentu... Nadto kapitan miał jeszcze odwiedzić cieślę, kowala, płatnerza i jakichś tam jeszcze.

– Nie przeszkadzajcie sobie – mówiąc to król skinął na generała. Obaj opuścili budynek.

– Mówilem... Mówilem – mamrotał pod nosem Bendrys.

Następny dzień wydawał się bardziej sprzyjać wojskowemu szkoleniu. Kapitan demonstrował rekrutom najrozmaitsze bronie, pokazując jednocześnie: jak i kiedy należy ich używać. Przez całe popołudnie okładał swoich podopiecznych kijami, chcąc im wpoić podstawowe odruchy obronne. Walczył w pojedynkę przeciwko dziesięcioosobowym oddziałom. W miarę upływu czasu, kije zostały zastąpione drewnianym orężem, imitującym prawdziwe bronie. Podobieństwo nie ograniczało się tylko do kształtu i rozmiaru, lecz również i wagi. W tym celu drążone drewno wypełniono ołowiem. Broń treningowa była jednak bardzo kosztowna, nie dość, że wymagała specjalnego gatunku drewna, które trzeba było poddać bardzo specyficznej obróbce, to jeszcze nie była zbyt trwała. Miała jednak tę zaletę, że trudno było kogoś nią zabić. Nikt wcześniej w Perkunie nie używał broni treningowych. Rekrutom od razu wręczano oryginalne żelastwo, którym okładali słomiane manekiny. Gwardia nie używała manekinów. Rekruci ćwiczyli na sobie.

Kolejny szok przeżył król kilka dni później, kiedy ponownie odwiedził koszary gwardii. Nie dostrzegłszy w nich żadnego ruchu, skierował się do kantyny, sądząc, że trafi na kolejną lekcję nauki pisania. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy zastał gwardzistów ślęczących nad szachownicami. Rekruci grali w szachy! Szachy były rozgrywką królów, zasady tej

gry wydawały się zbyt skomplikowane dla prostych ludzi. Jeżeli w cokolwiek grali, to zawsze były to kości. Prosta gra losowa, w żaden sposób nie nadwierała szarych komórek ludzkiego mózgu. Wygrana zależała wyłącznie od szczęścia. Tymczasem tutaj, na własne oczy widział jak zwykli ludzie próbują swych sił w tej królewskiej grze i musiał przyznać, że niektóre partie, wyglądały niezwykle interesująco. Wielokrotnie przystawał zaciekawiony przy różnych szachownicach, badając swym wprawnym okiem złożoność rozgrywki. Obdarzony pytającym spojrzeniem kapitan Ax, wypowiedział tylko jedno zdanie:

– Wojownik musi umieć myśleć!

Cóż, nie sposób było odrzucić logikę takiego stwierdzenia, mimo że powszechnie uważano, że wojownik musi umieć wyłącznie zabijać. Nowy kapitan dowiódł jednak już wielokrotnie swych kompetencji i zawsze, w ostatecznym rozrachunku wychodziło na to, że to on miał rację. Być może więc, tak właśnie należy szkolić ludzi na super wojowników. W końcu, nie chodziło tu o zwykłych żołnierzy, tylko o przyboczną królewską gwardię. Poza tym, król dał kapitanowi wolną rękę, zarówno w doborze kandydatów jak i w całym procesie szkolenia. Andarandis podjął jednak decyzję, że bliżej się temu procesowi przyjrzy.

– Czy jutro zastanę twoich żołnierzy zajmujących się haftem?

Ax obdarzył władcę badawczym spojrzeniem, odparł

powoli, pełnym namysłu głosem:

– Pomyślę nad tym Najjaśniejszy Panie, to może być niezły sposób ćwiczenia cierpliwości.

Andarandis westchnął głęboko, miał nadzieję, że kapitan żartuje.

* * *

Bycie kadetem gwardii, wcale nie było łatwym zajęciem. Dzień zaczynał się wcześnie rano, pięciomilowym biegiem. Potem śniadanie i lekcje. Były to na przemian: nauka pisania oraz nauka liczenia obejmująca: dodawanie, odejmowanie, mnożenie, dzielenie oraz ułamki. Po czterech godzinach ćwiczeń umysłowych, rekruci przechodzili do treningu fizycznego, ćwicząc władanie bronią. Obiad był późnym popołudniem. Po obiedzie godzina szachów i trzy godziny musztry lub zajęć taktycznych. Wreszcie dzień, kończyła późna kolacja. Co siódmy dzień, żołnierze mieli wolny. Chociaż nie całkiem, również w tym dniu ciążył na nich pewien obowiązek, a mianowicie – kąpiel. Każdy żołnierz musiał obowiązkowo udać się do łaźni. Był to przykry nad wyraz zwyczaj dla nieokrzesanych mężczyzn. Ale i to miało wkrótce ulec zmianie. W miarę postępów w nauce pisania, naukę liter zastępowano powoli nauką dobrych manier, prowadzoną przez ochmistrzynię królewskiego dworu.

Nie wiedzieć, czemu gwardziści stali się częstym

przedmiotem kpin i to zarówno wśród żołnierzy, jak i miejscowego plebsu. Działo się tak, aż do dnia wielkich manewrów, które miały wykazać jak sprawne są perruńskie oddziały. Od kiedy kadeci gwardii rozbili po kolei dwie armie, przestano się z nich naigrywać. Również wówczas zaczęła rosnąć liczba zgłoszeń, chcących służyć w gwardii ochotników. Wtedy też król zapomniał o wszelkich wątpliwościach, dotyczących kompetencji i metod szkolenia, jakie stosował jego kapitan, albowiem rezultat był absolutnie zadowalający.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym kapitan uznał, że jego podopieczni są gotowi do ostatecznych testów, potwierdzających ich przydatność. Egzamin nie był szczególnie skomplikowany. Należało wygrać sześć z dziesięciu pojedynków, jedną z trzech partii szachów, napisać wyczerpującą odpowiedź na pytanie: „Dlaczego chce służyć w gwardii?”. Następnie rozwiązać trzy z pięciu zadań matematycznych i wreszcie jak najlepiej wypaść w urządzonym specjalnie z tej okazji pałacowym balu. W każdym zadaniu kadeci zbierali punkty, od ich ilości zależeć miała przyszła pozycja gwardzisty. Stopnie oficerskie zarezerwowane były dla żołnierzy z najwyższą ilością punktów. Egzamin wypadł nadspodziewanie dobrze. Zaledwie kilkunastu kadetów oblało testy. Nie zrezygnowali jednak z wojskowej kariery. Wszyscy chcieli ćwiczyć dalej, aby wziąć udział w następnym egzaminie. Wkrótce potem

odbyło się uroczyste zaprzysiężenie gwardzistów, oraz mianowanie na oficerskie stopnie. Cały czas trwał również nabór nowych kandydatów i szkolenie nowych rekrutów. Ax miał już nieco więcej czasu, albowiem miał do pomocy kadrę oficerską, która przejęła część, ciężących na nim obowiązków. Cały czas również trwało dalsze szkolenie zaprzysiężonej gwardii. Wzrosła liczba zajęć w terenie, zaś oficerowie i podoficerowie zaczęli zajęcia z taktyki.

W tym też mniej więcej czasie wpadł kapitanowi do głowy pomysł stworzenia kroniki. Chociaż gwardia dopiero, co powstała, to jednak kapitan był pewien, czekającej ich chwalebnej przyszłości. Kronika miał zawierać historię powołanej właśnie do życia jednostki, miała być źródłem informacji dla przyszłych pokoleń żołnierzy i natchnieniem dla bardów. Ustanowiono też funkcje kronikarza.

Któregoś dnia koszary gwardii odwiedziła ponownie Melodia – córka króla Andarandisa. Ax pamiętał ich pierwsze spotkanie. Miało ono miejsce zaraz po tym, jak ogłosił pierwszy zaciąg. Przyszła wówczas do niego umorusana, rozczochrana dziewczynka. Widział jak chwilę wcześniej, goniła po placu koty. Oczywiście Ax nie miał pojęcia, że to księżniczka. Dziewuszka oświadczyła z powagą w głosie, że chce zostać gwardzistą. Ax sięgnął wówczas po swój oburęczny miecz, wywinął nim młynka i wręczył dziewczynce. Miecz był zbyt ciężki. Dziecko nie było w stanie go unieść.

– Sama widzisz mała, nie dasz rady. Zgłoś się do mnie, gdy będziesz w stanie podnieść tę broń.

Dzieciak skrzywił twarz, oczami pełnymi łez spojrzała na kapitana. Lśniące, czarne oczy sprawiły, że stary wojak poczuł się dziwnie nie swojo. Miał wrażenie jakby jakieś niewidzialne żądło wwierało się do jego umysłu, próbując dokonać wyrwy w postanowieniu jego wioli. Był jednak za starym wyjadaczem, aby ulec spojrzeniu tej małej jędzy. Dziewczynka obróciła się na pięcie, spuściła głowę i jak zbity psiak ruszyła w swoją drogę, wprost w objęcia elegancko odzianej, nieco otyłej kobiety, której towarzyszyło kilku zbrojnych.

– Dość tego moja panno! Myślisz, że nie mam nic do roboty jak tylko uganiać się za nieznosnym bachorem? Ojciec może Ci pobłazać, ale ja nie będę. Marsz do pałacu!

Dziwne to było spotkanie. Kapitan sądził, że pozbył się dzieciaka raz na zawsze. Dowiedział się potem od króla, że jego córka zamówiła u kowala oburęczny miecz i zestaw najrozmaitszych ciężarków.

Oto teraz dziewczyna szła przez koszarowy plac, wlokąc za sobą ciężką, większą od siebie broń. Bardzo się zmieniła przez ten miniony rok. Wyrośła, zaczynała już nabierać dziewczęcych kształtów, rysy twarzy wyraźnie wyszlachetniały. Tylko czarne, diabelskie oczy zdawały się być ciągle takie same. Weszła do sali treningowej. Żołnierze ćwiczyli właśnie wariant dwóch na dwudziestu.

– Powtarzałem setki razy, gdy jesteście we dwóch macie chronić wzajemnie własnych pleców, nie wolno wam stać w miejscu, tylko będąc w ciągłym ruchu macie szansę wyjść z tego cało, jeżeli pozwolicie zacieśnić otaczający was krąg – przegracie!

Ax beształ stojących na środku sali żołnierzy. Umilkł widząc zbliżającą się do niego księżniczkę, również żołnierze przerwali trening koncentrując uwagę na taszczącej miecz dziewczynce. Melodia stanęła kilka kroków przed kapitanem i powoli z ogromnym wysiłkiem dźwignęła w górę wleczoną za sobą broń. Gdy miecz osiągnął pion, dziewczyna znowu zrobiła w tył zwrot, patrząc wyzywająco w oczy kapitana.

– Zatem dobrze, Panienko! Zostajesz przyjęta na honorowego kadeta gwardii. Twoje szkolenie odbędzie się na specjalnych zasadach, które zostaną ustalone z twoim ojcem, królem Andarandisem. Możesz odejść kadecie, oczekuj na dalsze instrukcje w swoich komnatach.

– Chcę ćwiczyć – wycodziła Melodia przez zaciśnięte zęby.

– No dobrze, to będzie twoja pierwsza lekcja. Pamiętaj jednak, że kadet zawsze musi wykonywać rozkazy. Nawet kadet honorowy. Jasne?

Ax wiedział już, że nie pozbędzie się tak łatwo małego uparciucha. Miał jednak nadzieję, że kilka klapsów drewnianym mieczem stanowić będzie wystarczająco zniechęcający bodziec. Wyciągnął ze stojącego pod ścianą

stojaka, dwa treningowe krótkie miecze o wąskim ostrzu. Podrzucił jeden z nich w powietrze, wprawnym ruchem chwycił za ostrze opadającą broń, wyciągnął rękę z mieczem w kierunku Melodii, tak by dziewczyna mogła pochwycić rękojeść.

– No śmiało.

Melodia wpatrywała się w niego swymi czarnymi oczami.

– Drewniane miecze? Chcę walczyć prawdziwą bronią.

– Spójrz na mnie kadecie. Widzisz blizny na mojej twarzy? Nie chcesz chyba dorobić mi kilku kolejnych.

– No... Nie – odpowiedziała dziewczynka, nieco łagodniejszym głosem, wyciągając jednocześnie swą małą rączkę w kierunku rękojeści treningowej broni.

Chwilę wcześniej jeden z gwardzistów wyzwolił ją od ciężaru oburęcznego miecza. Ax odczekał aż dziewczyna chwyci pewnie swą broń. Zwrócił uwagę, że chwyt był jak najbardziej poprawny. Uniósł lekko swój oręż odskakując w bok wymierzył dziewczynie lekkie uderzenie w lewy pośladek. Podskoczyła zaskoczona, kierując na kapitana pytające spojrzenie.

– Zasada pierwsza: gwardzista musi być zawsze gotowy do walki – mówiąc to podszedł krok w kierunku dziecka i nieco przykucnął, tak, aby jego głowa znalazła się na wysokości twarzy dziewczynki.

– Widzisz mała, jeżeli chwytasz za broń stajesz się celem, musisz wiedzieć, że broń nie służy zabawie. Broń to ból.

Broń to...

Ax chciał ciągnąć dalej ten niewątpliwie interesujący wykład, jednak niewinnie stojąca przed nim dziewczynka bez mrugnienia oka, wymierzyła mu potężny cios prosto w czoło, swoim drewnianym mieczem. Kapitanowi aż pociemniało w oczach. Kto by przypuszczał, że w tym cherlawym ciele drzemie aż taka siła? Instynktownie odskoczył w tył, przyjmując jednocześnie pozycję obronną.

– Gwardzista musi być zawsze gotowy do walki
– oświadczyła pompacyjnie dziewczyna starając się naśladować ton głosu kapitana.

Ogarnęła salę śmiejącym się wzrokiem. Gwardziści nie wytrzymali, wszyscy ryknęli gromkim śmiechem. Ax za wszelką cenę próbował powstrzymać narastającą w nim wesołość. Powinien zachowywać powagę, lecz tej walki nie był w stanie wygrać. Już w następnej chwili śmiał się równie szczerze jak jego podopieczni, jednak na wszelki wypadek trzymał broń w pogotowiu, nie spuszczać z oka nieprzewidywalnego bachora. W końcu – gwardzista musi być zawsze gotowy do walki. Okazało się, że honorowy kadet jest nad wyraz pojętym uczniem. Miał nawet zwyczaj robić dużo więcej, niż się od niego oczekiwało.

Któż by pomyślał, że to nieistotne z pozoru wydarzenie, położy się długim cięciem na obliczu królewskiej gwardii. „Gwardzista musi być zawsze gotowy do walki”. Kierując się tym hasłem żołnierze zaczęli zastawiać istne zasadzki

na swoich beztroskich kolegów. Każde zwężenie ulicy, każdy zaułek stanowił miejsce potencjalnego zagrożenia. Wszędzie i o każdej porze gwardzista mógł oczekiwać ataku, ze strony swych towarzyszy broni. Doprowadzało to czasami do dość zabawnych sytuacji. Pewnego razu, król obserwował ze swego okna, dziwnie zachowującego się gwardzistę. Żołnierz chciał najwyraźniej dotrzeć do bramy wewnętrznej fortecy, jednak droga wiodła przez wąski zaułek z dodatkowym zwężeniem, spowodowanym rozbudową fortyfikacji. Żołnierz wielokrotnie podchodził z różnych kierunków do owego wąskiego gardła, za każdym razem czynił wysiłki, aby cokolwiek dostrzec. Kilka razy z dobytą bronią nabierał prędkości i gwałtownie zawracał, próbując wywabić ewentualnych napastników. Następnie rzucił w przesmyk kilka większych kamyków, za każdym razem uważnie nasłuchując. Wreszcie z mieczem w ręku, wziął potężny rozbieg, a tuż przed początkiem niebezpiecznego przewężenia rzucił się na ziemię pokonując kolejne cale metodą turlania. Ten niezaplanowany wcześniej przez kapitana trening, miał okazać się jednak bardzo pomocny już w niedalekiej przyszłości. Diva bowiem, była stale nękana całkiem nieźle zorganizowaną przestępczością. Mówiło się o kilku działających w mieście ugrupowaniach bandyckich, zwanych także gilidiami.

Diva była miastem otwartym, ściągali tu ludzie z całych krain, mający nadzieję na poprawę warunków swego bytu.

Praca przy murach stwarzała dla operatywnych ludzi, spore możliwości. Było to również znakomite miejsce dla chcących robić interesy, obrotnych, pracowitych ludzi. Liczba mieszkańców stale rosła, co z kolei było powodem rosnącego popytu, na najrozmaitszego rodzaju usługi. Nie brakło również amatorów szybkiego i łatwego zarobku. Przestępczość w mieście kwitła, niczym specjalnie hodowane kwiaty w królewskim ogrodzie. Straż miejska bezradnie rozkładała ręce.

Wówczas kapitan gwardii zaproponował udział swoich żołnierzy w miejskich patrolach, twierdząc że jego ludzie potrzebują bezpośredniego kontaktu z realnym przeciwnikiem. Przydzielono gwardii najgorszą dzielnicę, gdzie strach było wyjść z domu nawet podczas dnia. Straż miejska w ogóle nie patrolowała tych rejonów. Dzielnica Salsky była po prostu zbiorowiskiem biedoty. Wszyscy, nie mający grosza przy duszy imigranci, rozpoczynali swą przygodę ze stolicą, w tym właśnie miejscu. Bezkształtna ludzka masa, stanowiła doskonałą pożywkę i znakomitą bazę dla wszędobylskich bandziorów. To był ich teren, tu był ich dom.

Ax wysyłał ludzi w trzy osobowych patrolach tą samą trasą, tak by następny oddział mógł przyjść z pomocą wcześniejszemu patrolowi, gdyby ten napotkał jakieś kłopoty. Pierwszy dzień pracy gwardii w utrzymaniu porządku, nazwano później dniem rzezi szubrawców. Sam

fakt pojawiania się strażników w przestępczej domenie, wywołał natychmiastową reakcję wśród panoszących się tam zbirów. Było nie do pomyślenia, aby wojskowe patrole mogły beztrzesko bezcześcić swoją obecnością ich ulice i aby mogły z stamtąd odejść. W przyływie furii, nie zwrócono uwagi na fakt, że są to zupełnie inne patrole, inne niż te, z którymi miano wcześniej do czynienia. Żołnierze nie nosili emblematów miejskiej straży, mieli własny: na trójkątnym czerwonym tle – lwia łapa z wysuniętym pazurem.

Zabijanie strażników stanowiło ulubioną rozrywkę tutejszych gangów, dlatego też straż miejska unikała jak ognia dzielnicy Salsky. Teraz jednak sytuacja uległa radykalnej zmianie. Myśliwi stali się zwierzyną. Pierwsze, bezładne, szybko eliminowane ataki, niczego jednak zbirów nie nauczyły. Widząc jak gwardziści rozbijają małe grupki ich kamratów, skrzyknęli się po prostu w większe watahy, przypuszczając tym bardziej zajadłe ataki. Jednak wariant trzech na dziesięciu nie stanowił dla gwardzistów żadnego wyzwania i chociaż coraz to nowi bandyci przyłączali się do walki to i do napadniętych patroli, bardzo szybko docierały posiłki. Do prawdziwej bitwy doszło w okolicy gospody Rowentanta. Gwardziści nie mieli pojęcia że tutaj właśnie mieści się główna kwatera Krwawobrodego – nie kwestionowanego króla przestępczego świata dzielnicy Salsky. Krwawobrody był zatwardziałym, nie posiadającym sumienia zbirem. Brutalna siła wyniosła go na pozycję, którą

zajmował. Gdy pierwszy patrol dotarł w okolice gospody, Krwawobrody rzucił na nich natychmiast, wszystkich będących przy nim kamratów. Z niedowierzaniem patrzył na nadbiegające szybko patrole. Widział jak coraz więcej żołnierzy przystępuje do walki. Na własne oczy obserwował masakrę swoich ludzi. Lecz zamiast się wycofać i zalec w jakiejś bezpiecznej kryjówce, stał po podległych mu bossów przestępczego świata. Wreszcie zebrawszy koło siebie sporą watahę sam poprowadził atak. Bandytom nie można było odmówić odwagi. Na pewno nie byli tchórzami. Jednak uzbrojeni przeważnie w noże, odziani jedynie w łachmany, specjalizujący się w wbijaniu noża w plecy lub podrzynaniu gardła, nie byli w stanie sprostać odzianym w stal, świetnie wyszkolonym i czujnym gwardzistom. Pod koniec dnia, gdy słońce kończyło swą codzienną wędrówkę, z ulic i zaułków dzielnicy Salsky zniesiono dobrze ponad setkę zwłok. Kilku gwardzistów odniosło poważne rany, jednak Kandas był w stanie zachować wszystkich przy życiu.

Rozbicie bandy Krwawobrodego radykalnie zmieniło oblicze przestępczego świata dzielnicy Salsky. Bandyty nie przechadzali się już jawnie ulicami, pobierając haracze i podrzynając gardła opornym. Zostali zepchnięci do podziemia, mogli działać wyłącznie w ukryciu. Zaobserwowano też zmianę jakości przestępczego procederu. Brutalne krwawe napaści przestały już praktycznie istnieć, pojawiły się za to kradzieże kieszonkowe. Ludzie zaczęli

po prostu stwierdzać fakt braku sakiewki lub opróżnienie kieszeni. Sytuacja ta zaowocowała pewną zmianą metod pracy gwardii. Prócz zwykłych mundurowych patroli, na ulicach pojawili się również przebrani w cywilne ubrania żołnierze, wyposażeni jedynie w krótką broń, którą można było bez trudu ukryć w zakamarkach odzienia. Ich zadaniem było wtopić się w tłum i z tej pozycji prowadzić obserwacje. Po kilku tygodniach, dzielnicę Salsky uznano najbezpieczniejszą dzielnicą stolicy.

Faktem, choć niewątpliwie pozytywnym, przysporzył jednak poważnych zmartwień dla miejskich rajców. Albowiem również inne dzielnice, wystąpiły z żądaniem gwardyjskiej ochrony. Wreszcie sprawa została przedstawiona królewskiej radzie. Kapitan Ax był skłonny przystać na powiększenie obszaru działań, jednak pod warunkiem wprowadzenia odpowiedniego podatku za ochronę, który w całości zostanie przekazany na potrzeby ciągle rozrastającej się gwardii. Ku zaskoczeniu kapitana, mieszczanie chętnie przystali na tą propozycję. To z kolei zmusiło Axa do poważnych modyfikacji planu szkolenia. Patrolowanie ulic nie było przecież głównym zadaniem jego żołnierzy. Była to jedynie uboczna działalność, która w żaden sposób, nie mogła przeszkadzać nadrzędnemu celowi. Na szczęście gwardia posiadała już taką liczbę ludzi, że była w stanie sprostać coraz to nowym wyzwaniom. Plan szkolenia kadetów, był już jednak bardzo napięty.

Pewnego dnia doszło do bardzo przykrego dla Axa wydarzenia. Po raz pierwszy czuł się zawiedziony i rozczarowany, rozgoryczony i zdruzgotany. Jeden z gwardzystów dopuścił się gwałtu. Ofiarą była sierota z dzielnicy Salsky. Była jeszcze prawie dzieckiem. O całym zajściu kapitan dowiedział się dość przypadkowo. Siedział po prostu w karczmie nad kuflem piwa, w ciemnym kącie z dala od ludzkich spojrzeń i natrętnej ciekawości. Potrzebował chwili wytchnienia, krótkiej ucieczki od codziennych zmagania. Rzadko pozwalał sobie na luksus bezczynności. Brakowało mu na to czasu. Nie miał jednak nic przeciwko temu by jego żołnierze, wypili po służbie kufelek piwa. Jednak, jeden z obecnych w karczmie gwardzystów, nie młody już kapral, wypił znacznie więcej. Ax nie wierzył własnym uszom, gdy żołnierz zaczął przechwałki, jak to na jednym z patroli zdobył ślicznotkę i tak jej dogodził, że aż płakała i wyła z rozkoszy. Gdy podszedł do stołu kaprała, ten był zbyt pijany by rozpoznać swojego kapitana. Trafił, więc do paki za nadmierne pijaństwo i nie okazanie szacunku dowódcy. Ax tymczasem postanowił zbadać i wyjaśnić całe wydarzenie, mając nadzieję, że było to jedynie pijackie głędzenie. Kapral prowadził patrole w dzielnicy Salsky. Tam, więc postanowiono wszcząć poszukiwania. Sytuacja była bardzo niezręczna. Trudno, bowiem było wysłać żołnierzy, aby rozpytywali: czy przypadkiem jakaś panienka nie miała przyjemności z gwardzystą? W całą sprawę

kapitan wtajemniczył zaledwie dwóch swoich poruczników: Mandersa i Greyna.

Greyn – dawny strażnik trybunału był opanowanym, rozważnym człowiekiem z bogatym bagażem najrozmaitszych życiowych doświadczeń. Młodziutki Manders cechował się niecierpliwością i niczym nie skrępowanym entuzjazmem. Był bystry, zdolny i inteligentny. Kapitan wiązał z chłopakiem ogromne nadzieje. W jego oczach, obaj byli uczciwymi, godnymi zaufania, prawymi ludźmi. Przesłuchali razem żołnierzy, którymi dowodził podejrzany. Zeznali oni, że na jednym z ostatnich patroli istotnie natknęli się na śpiącą na ulicy młodą dziewczynę. Zostali odesłani wówczas do zbadania podejrzanych pobliskich zaułków. Gdy wrócili dziewczyny już nie było. Bez trudu wskazali miejsce owego zdarzenia. Przez dwa dni trójka oficerów błędziła po tej części dzielnicy. Sami, nie do końca wiedzieli, czego właściwie szukają. Sam los przyszedł im z pomocą.

Był już wieczór. Zrezygnowany kapitan szedł w stronę umówionego skrzyżowania, aby spotkać się z towarzyszami, gdy nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch na ciasnym zakręcie ulicy. Ruszył więc w tym kierunku. Zobaczył uciekającą drobną postać. Rozpoczął pościg. Kilkakrotnie krzychał – stój – za uciekającym człowiekiem, lecz nie przyniosło to żadnego rezultatu. Uliczka była wąska i długa. Uciekinier nie miał innej możliwości jak tylko biec wprost przed siebie. Mógł to być oczywiście drobny rzezimieszek wystraszony

widokiem munduru. W miarę doganiania uciekającej sylwetki, Ax dostrzegł wyraźnie długie kruczoczarne, rozwiane włosy, również sposób biegu, świadczył dobitnie, że była to kobieta. Wiedziony przecuciem kapitan, jeszcze bardziej przyśpieszył, już za chwilę miał dopaść uciekającą dziewczynę. Ta słysząc za sobą coraz bliższe, ciężkie kroki potknęła się. Siła pędu sprawiła, że przeokożłkowała kilka razy, uderzając w poczerniałą ścianę jednego z budynków. Ax musiał gwałtownie wytracić prędkość, omal nie stratował zwiniętej w kłębek dziewczyny. Wyhamował tuż przed nią, zlany potem, z ciężkim oddechem. Dziewczyna jakoś się pozbierała. Usiadła w kucki, drobnymi rękoma opłotła kolana, próbując zasłonić nogi strzępami swej porozrywanej szaty. Kręciła głową mamrocząc stale i monotonnie:

– Nie, nie, nie ...

Była przerażona, kulila się w swej drobnej postaci, jakby chciała się ukryć we wnętrzu swojej szaty, rozplynąć w łachmanach, zapaść pod ziemię.

Ax wiedział już, że znalazł tę, której szukał. Chciał podejść do dziewczyny, wziąć ją w ramiona utulić jej ból i rozpacz, uwolnić od strachu. Nagle w pół kroku zdał sobie sprawę, że jedynie pogarsza sytuację. Widział jak drgnęła, gdy tylko ruszył się z miejsca. Była roztrzęsiona, z wybałuszonych oczu płynęły łzy, znacząc dwie jasne strugi na brudnej mapie twarzy. Ax stanął w miejscu, nie wiedział co robić. Patrzył na dziewczynę ciekawym wzrokiem. Młodziutka, niewątpliwie

zgrabna. Zwrócił uwagę na paskudnie rozciętą dolną wargę i podbite oko. Całe ciało dziewczyny, tam gdzie nie osłaniała go porwana szata, naznaczone było licznymi sińcami. Nie wiedział co robić. Stał nieco zdezorietowany, gdy zdał sobie nagle sprawę, że słyszy chrzęst metalu, dźwięk obijającej się o pancerz broni. Zza zakrętu na końcu uliczki wybiegł Manders, a zaraz za nim Greyn. Widocznie zaalarmował ich hałas jego własnej zbroi, gdy pędził za dziewczyną i teraz żołnierze spieszyli z pomocą swojemu dowódcy.

– Manders sprowadź mi tu natychmiast kapłankę Ilmetrysy! Greyn zostań tam gdzie jesteś, dziewczyna jest śmiertelnie wystraszona, a nie chcę żeby uciekła.

Porucznik Greyn zatrzymał się natychmiast, dając znać uniesioną ręką, że wszystko rozumie, zaś Manders nawet nie zwolnił, zawrócił gwałtownie i zniknął za zakrętem.

Świątynia Ilmetrysy była jedną z wielu. Po prostu jeszcze jeden kult. Jedynym, co wyróżniało tę świątynię spośród wszystkich innych był fakt, że pełniły tu służbę wyłącznie kobiety. Kapłanki Ilmetrysy specjalizowały się w medycynie kobiecej. Głównym przedmiotem troski kapłanek były, bowiem kobiece przypadłości, chociaż z medycyną ogólną też od biedy sobie radziły. Tylko ta świątynia kształciła niezrównane zresztą w swym fachu położne i akuszerki.

Ax uznał, że powierzenie dziewczyny pod opiekę kapłanek będzie w tym momencie najlepszym rozwiązaniem.

Po kilku dniach Lana (tak, bowiem dziewczyna miała na

imię) doszła do siebie na tyle by móc złożyć zeznania. Trójka oficerów była wstrząśnięta relacją brutalnej napaści. Gwałty w perruńskich armiach miały miejsce już wcześniej. Zwykle jednak ukręcano łeb całej sprawie i kończono wszystko paroma batami za złamanie dyscypliny. Powszechnie patrzono z przymrużeniem oka, na tego typu żołnierskie wybryki, była to przecież część wojennego rzemiosła. Tym razem jednak miało być inaczej, co nie znaczyło wcale, że sprawy nie chciano zatuszować. Ku ogólnemu zdziwieniu, to właśnie kapitan gwardii był tą osobą, która wychodziła z siebie, byle by tylko doprowadzić do procesu.

Ogólnie uważano, że nic właściwie nie zaszło. Mieszczanie byli wdzięczni gwardzistom za wprowadzenie porządku w mieście, nigdy wcześniej ulice Divy nie były takie bezpieczne. Nawet w środku nocy, można było już wyjść na przechadzkę sennymi ulicami, gdyby kogoś przypadkiem naszła taka ochota. Co kogo obchodziła jakaś tam sierota? Gdyby to była szlachcianka albo przynajmniej dziecko zamożnego mistrza, któregoś z tutejszych cechów, wtedy owszem, sprawą należałoby zbadać. Ale tak... Dzieciak bez pieniędzy i znaczenia, kolejna niechciana, nikomu nie potrzebna przybłęda.

Lana przybyła do Divy przed niecałym miesiącem. Jej matka zginęła w pożarze gospodarstwa. Wówczas zrozpaczony ojciec, postanowił wraz ze swoją dorastającą, jedyną córką, iść do stolicy. Cały ich majątek przepadł

w pożarze. Stolica dawała nadzieję rozpoczęcia nowego życia. Los nie dał jednak staremu farmerowi tej szansy. Już pierwszego dnia ojciec Lany padł ofiarą bandy Krwawobrodego. Dziewczyna cudem uciekła. Ukrywała się w ulicznych zakamarkach, żebrząc i szperając po śmietnikach. Dopiero gdy gwardia oczyściła ulice, Lana była bezpieczna. Znalazła nawet pracę. Zwykle spała w piwnicach rozpadającej się rudery na rogu czwartej ulicy, lecz owego wieczoru po powrocie z targowiska, gdzie cały dzień przerzucała skrzynki z owocami, przysiadła pod ścianą swojego domu i po prostu zasnęła. Obudził ją gwardyjski patrol...

Wreszcie nadszedł dzień i czas procesu. Altaka – kapłanka Ilmetrysy w imieniu dziewczyny wniosła oskarżenie. Kapral wydawał się być rozbawiony całym tym zamieszaniem.

– A gdzie są świadkowie? – krzyczał ze swego miejsca.
– Czy ktokolwiek może potwierdzić słowa tej dziewczyny? Nikt? Nikt nie może ich potwierdzić? A wiecie, dlaczego? Dlatego, że są to oszczerstwa!

Patrzył wyzywająco na Altakę. Siedząc w areszcie nie miał pojęcia, co też dzieje się wokół sprawy. Nikt z nim nie rozmawiał. Gdy stanął przed sądem uznał, że to kapłanki Ilmetrysy winne są całemu zamieszaniu. Czuł, że jest bezkarny, był pewny siebie.

– Oświadczam, że jestem niewinny. Całe to oskarżenie to spisek, mający na celu pogrążenie królewskiej gwardii.

Jestem niewinny i zamierzam tego dowieść! Żądam sądu miecza!

Nie próbował nawet ukryć szyderczego uśmiechu wpatrując się w surową, kamienną twarz Altaki. W tym momencie Ax pożałował, że kazał uczyć tych ludzi poprawnej wymowy, wchodzącej w skład nauki czytania. Najwyraźniej żołnierz był pojętym uczniem. Kapitan wpadł we wściekłość. Z trudem panował nad targającymi nim emocjami. Powstał ze swego miejsca, walcząc z gniewem, podszedł powoli do ławy oskarżonego, oparł się o blat i gniewnym wzrokiem wpatrywał w twarz oskarżonego.

– Ty? Ty żądasz sądu miecza? Nie zasługujesz na honorową śmierć z bronią w ręku. Twoim przeznaczeniem jest szubienica. Tam winni kończyć tacy jak ty szubrawcy. Jakiej to niewinności chcesz dowieść? Chcesz byśmy uwierzyli, że to dziecko napadło na ciebie? Że zmusiła cię byś ją pobił, okaleczył i... Ax szukał przez chwilę właściwego słowa – wykorzystał? Splamiłeś honor gwardzisty, złamałeś przysięgę. Czyż nie ślubowałeś bronić i ochraniać obywateli królestwa? Czy tak ma wyglądać oferowane przez ciebie bezpieczeństwo? Złamałeś przysięgę, wykorzystałeś mundur do popełnienia zbrodni, bo zbrodnią jest to – co uczyniłeś! Teraz zaś śmiesz żądać sądu miecza? A z kim to chcesz walczyć? Z okaleczonym dzieckiem? Czy może z kapłanką? Czy tylko z kobietami i dziećmi potrafisz wojować? Czy tego właśnie cię uczyłem? Ale dobrze, będzie jak chcesz! Ja

będę reprezentował dziewczynę! Dajcie mu miecz!

Żołnierz pobladł gwałtownie, gdy dotarły doń słowa kapitana. Przez chwilę wydawało się, że padnie trupem tam gdzie stoi. Minęła dłuższa chwila zanim ochłonął i był w stanie wyciągnąć drżące ręce, po oferowaną mu broń.

Właściwie była to egzekucja. Kapitan uskoczył przed ciosem kaprała przepuszczając go za siebie, następnie ciął mieczem z pół obrotu. Głowa żołnierza potoczyła się po posadzce, znacząc za sobą szeroki, krwawy ślad.

Naruszona została sądowa procedura. Walka powinna mieć miejsce dopiero jutro, na placu przy starych koszarach. Jednak wypadki potoczyły się zbyt szybko, a wywołany nimi szok był tak duży, że nawet przewodniczący rozprawie sędzia, w żaden sposób nie zareagował. Nierozstrzygnięta pozostała tylko kwestia, jaką lawinę zdarzeń, pociągnie za sobą ów strącony z wysokiego zbocza kamień. Ax żywił poważne obawy co do reakcji własnych ludzi. Czy nie przekroczył przypadkiem pewnej granicy? W głębi serca czuł, że postąpił właściwie, lecz przecież nie chciał śmierci kaprała, chciał jedynie sprawiedliwego procesu. Butne, bezczelne słowa żołnierza wytrąciły go z równowagi, pozwolił aby uniosła go fala gniewu. Żołnierz nie miał żadnej szansy, lecz przecież sam z niej zrezygnował, sam siebie pogrążył. Czemu nie przyznał się do winy? Mógł przynajmniej wyrazić skruchę, podjąć próbę zadość uczynienia wyrządzonej krzywdzie. Ale nie... Jego serce było do gruntu złe. Im dłużej kapitan nad

tym rozmyślał, tym większej nabierał pewności, że gdyby cofnięto czas i dano mu jeszcze jedną szansę, postąpiłby tak samo.

Gwardziści wbrew jego obawom, nie uznali mordercy w osobie swojego dowódcy. Wręcz przeciwnie. Ich szacunek do kapitana ugruntował się i okrzepł. Podziwiali go. Podziwiali tak jak uczeń podziwia mistrza. Uznali go za wzór, za ideał prawości, skrywany pod maską surowego oblicza. Odczucia obywateli królestwa musiały być chyba podobne, gdyż mężczyźni i chłopcy masowo wstępowali w szeregi gwardii.

Ax na nowo odzyskał wiarę w ludzi. Musiał wierzyć, bo chciał ufać. Zgłosił też do królewskiej rady projekt modyfikacji perruńskiego prawa. Wniosek został przyjęty. Od tej pory, karą za gwałt, miała być kastracja, poparta dodatkowo finansowym odszkodowaniem, a gdyby sprawca nie miał, czym zapłacić, będzie musiał wówczas zgromadzić wymaganą sumę, poprzez pracę w królewskich kamieniołomach. Lana zdecydowała, że pozostanie wśród kapłanek Ilmetrysy. Koszt jej nauki miała pokryć gwardia, bo choć sprawiedliwości stało się zadość, to przecież wyrządzona krzywda pozostała, a kapitan gwardii uważał, że jest odpowiedzialny za każdego ze swoich żołnierzy. Lana nie była jedynym osieroconym dzieckiem wielkiego miasta. Ileż jeszcze dzieci wychowywanych było przez ulicę? Aby przeżyć musiały szukać pożywienia w śmietnikach, a jeśli

tam niczego nie znajdowały, musiały kraść.

Następnego dnia, gwardyjskie patrole wyruszyły z zadaniem sprowadzania do koszar, wszystkich napotkanych, nie posiadających żadnej opieki sierot. Ax był przerażony liczbą sprowadzonych do koszar, małych obywateli. Dzieciaki siłą zaciągnięto do łaźni, umyto i nakarmiono. Miały się uczyć i pracować. Dziewczęta znalazły zajęcie w gwardyjskiej kuchni, oraz przy produkcji i naprawie odzieży, zaś chłopcy w kuźniach i warsztatach. Sytuacja ta zaowocowała wprawdzie, pewnym wzrostem kosztów utrzymania, ale spadły nieco wydatki na rzemieślników. Dzieciaki miały pozostać pod opieką gwardii, do chwili osiągnięcia dorosłego wieku, wtedy mogły odejść i rozpocząć samodzielne życie. Sami gwardziści szybko przywykli, do towarzyszącego im dziecięcego gwaru. Wielu z pośród nich doskonale wiedziało, na czym polega życie na ulicy. Powszechnie starano się wynagrodzić dzieciom, doznane wcześniej krzywdy. Żołnierze starali się po prostu, na tyle, na ile mogli, zastąpić im rodziców. Zastąpić dom. Wbrew pozorom, nie byli nieczułymi twardzielami, za jakich chcieli uchodzić. Widok gwardzisty, czytającego bajkę, siedzącemu na jego kolanach malcowi, stawał się powoli czymś zupełnie normalnym.

* * *

Coraz to nowe zmartwienia zaprzętały umysł kapitana. Od kilku dni myślał tylko o koniach. Wpadł mu, bowiem do głowy pomysł posadzenia gwardii na końskich grzbietach. Szybkość i siła tych zwierząt, mogłaby zdecydować o losach niejednej bitwy. Czy cokolwiek, byłoby w stanie powstrzymać rozpędzoną formację jeźdźców na otwartym terenie? Oczyma wyobraźni widział, jak konnica trątuje szeregi niemrawej piechoty. Szybkość tych zwierząt stwarzała również ogromne pole do popisu w zakresie manewrowania, jak również tworzenia najrozmaitszych wariantów taktycznych. Konni łucznicy na przykład, mogliby zbliżyć się do wroga na odległość strzału, ostrzelać bezkarnie najbliższe szeregi a następnie, najspokojniej w świecie odjechać, pokazując przeciwnikowi co najwyżej końskie zady. Ax nie miał żadnych wątpliwości, że przyszłość, należeć będzie do koni. To konnica rozstrzygać będzie o losach bitew, a może nawet i całych wojen. Musiał mieć konie! Przynajmniej setkę, tak na początek. Tak już jednak jest z wielkimi planami, że zawsze rozbijają się o jakieś nieistotne szczegóły. Tak było i tym razem. Prawdopodobnie w całym Perrunie nie było aż stu koni. Oczywiście można je było sprowadzić, ale na to z kolei potrzeba było dużo czasu i jeszcze więcej pieniędzy a tych gwardia po prostu nie miała.

Któregoś dnia Melodia, niczym mała trąba powietrzna wtargnęła do biura kapitana. Widząc jego zafrasowaną minę, wprost zapytała:

– Czym się martwisz wujaszku? – Już wówczas kapitan i królewna byli ze sobą w znakomitej komitywie.

– Konie, moja mała. Potrzebuję koni.

– Konie? – Zapytała dziewczyna przewracając oczyma – mój tata ma kilka w stajni.

– Tak, kilka w swojej stajni ma też czarodziej Murren – odparł kapitan nieco rozżalonym tonem.

– Właśnie! Dziadzio Muren! Dziadzio Muren na pewno mógłby wyczarować dla ciebie jakiegoś konia.

– Tak? Chyba drewnianego... Na biegunach. – Niczego więcej kapitan po czarodzieju się nie spodziewał.

Sam jednak pomyśl, mógł się okazać całkiem interesujący. Przecież gwardia miała czarodzieja. Kilka dni temu Ax widział na własne oczy jak Bum-Bam ku uciesze dziatwy wyczarował kilka ptaków. Poznał czarodzieja kilka dni po pierwszej w historii próbie marszu. Siedział wówczas za jednym ze stołów w opustoszałej kantynie, starając się sporządzić listę koniecznych sprawunków. Do środka wszedł wysoki, chudy osobnik w dziwnie skrojonej powłóczystej jaskrawej szacie. Na szerokim, skórzanym, przełożonym przez ramię pasie, miał zawieszony bębenek. Okrągłą powierzchnię napiętej skóry zdobiły dziwne, jaskrawe wzory. Trudno jednak było powiedzieć, co właściwie przedstawiały. Ujmując rzecz najbardziej ogólnie była to płatanina różnej wielkości zygzaków. Bębenek był dosyć długi, a im bliżej końca tym jego średnica była mniejsza. Kończył się w sposób

podobny do cieńszego czubka jajka. Również właściciel bębna wyglądał dość osobliwie: długa pociągła twarz z wyraźnie wystającymi policzkowymi kośćmi, bystre, inteligentne głęboko osadzone oczy, z nad płataniny gęstych wąsów, sterczał długi, orli nos, całości obrazu dopełniała gęsta, czarna krótko przycięta broda. Z pod nasuniętego na głowę kaptura wystawały długie, czarne włosy. Obfity zarost nadawał twarzy pewnej okrągłości, łagodząc w znaczący sposób jej pociągły kształt.

– Szukam dowódcy królewskiej gwardii, wielce szanownego, wielkiego kapitana, szlachetnego ser Axa. – Oświadczył przybysz, niskim dudniącym głosem, trącając jednocześnie trzymanymi w prawej dłoni pałeczkami powierzchnię swego oryginalnie zdobionego bębna. Dźwięk bębna podobny był do głosu właściciela; niski i dudniący. Ax zastygł bez ruchu, zszokowany elokwencją przybysza. Otrzeźwiła go dopiero spadająca z uniesionego pióra na rozłożony przed nim papier, spora kropla atramentu.

– O cholera – nieco poirytowany, spojrział na chudzielca.

– Nie przesadzaj chłopie, taki z niego ser jak z koziej dupy trąbka.

Oczy kościstego człowieka zapłonęły nagle gniewnym płomieniem.

– Zważaj na słowa żołnierzu, obraziłeś właśnie mojego dowódcę a ja nie będę tego tolerował. Złowróżbny szum bębna, zdawał się potwierdzać wypowiedzianą groźbę.

W tym momencie w otwartych drzwiach stanął żołnierz, zasalutował uderzając zaciśniętą pięścią w pancerz na piersi.

– Kapitanie, przybył kowal, chce z tobą rozmawiać – Ax w Odpowiedzi skinął głową.

– Niech poczeka, zaraz idę.

Żołnierz wykonał zwrot i zniknął za drzwiami. Ax spojrzał badawczo na kościstego człowieka.

– Kim jesteś Bum-Bam i co cię tu sprowadza?

– Przysłała mnie wielki czarodziej Murren, jestem jego uczniem. Mój mistrz pragnie abym wspierał twoje wysiłki kapitanie, służył ci radą i pomocą.

– Jaką bronią władasz uczniu czarodzieja?

– Bronią? Nie używam broni, posługuje się magią, jestem czarodziejem.

– W takim razie nie mam dla ciebie żadnych rozkazów Bum-Bam, wracaj do swego mistrza i ksiąg.

Podobnie jak ogromna większość ludzi, również Ax nie przepadał za czarodziejami i ich magią. Być może, był to po prostu lęk przed nieznanym. Wiedział tylko, że jeśli w jakiejś walce, bierze udział czarodziej, należy go zabić w pierwszej kolejności.

Od owego dnia Bum-Bam codziennie rano przychodził po rozkazy i codziennie otrzymywał informację że nie ma dla niego żadnych zadań. Zaszywał się więc w wieży Murrena, w dolnej bibliotece, zgłębiając zgromadzoną w księgach wiedzę. Był więc bardzo zdziwiony, gdy pewnego ranka

kapitan Ax, po raz pierwszy od kilku lat, wskazał mu krzesło.

– Siadaj proszę, chcę z tobą pomówić.

Zdezorientowany kościsty człowiek usadowił się na krześle, nie spuszczając z kapitana badawczego wzroku.

– Widzisz, przydałyby mi się konie.

– A mnie latający dywan.

Bum-Bam sprawiał wrażenie jakby był cokolwiek rozbawiony treścią nieoczekiwanego zagajenia swojego rozmówcy.

– To, czemu go sobie nie wyczarujesz?

– A czemu ty kapitanie nie kupisz swoich koni?

– Bo nie mam pieniędzy

– A ja wiedzy i umiejętności.

– Więc nie potrafisz wyczarować koni? Ale przecież sam widziałem jak wyczarowałeś ptaki.

– Nie wyczarowałem ptaków.

– Widziałem na własne oczy! Kilka dni temu, gdy chciałeś rozbawić dzieciaki – upierał się kapitan.

– Nie wyczarowałem ptaków. Przywołałem je!

– Co takiego? Jak to przywołałeś ?

– Widzisz kapitanie nie posiadam mocy tworzenia nowych istot, żaden największy nawet czarodziej jej nie posiada. Tylko jeden Bóg–Stwórca może czynić takie cuda... Mogę jedynie przywołać już istniejące stworzenia. Zaklęcie otwiera coś jakby tunel prowadzący do miejsca przebywania stworzeń.

– Rodzaj portalu? – Zapytał kapitan przechadzając się nerwowo pomiędzy biurkiem a ścianą komnaty.

– Tak, jest to rodzaj portalu – odpowiedział czarodziej obdarzając kapitana zaciekawionym spojrzaniem.

– Otwarcie portalu jest najtrudniejszą częścią przywołania. Najpierw trzeba rzucić zaklęcie lokalizujące istoty, które chce się przywołać, potem należy uruchomić portal i zwabić stworzenia do wejścia. Najprościej przywołuje się owady, nieco trudniej ptaki, a do przywołania zwierząt, trzeba być już nie lada mistrzem, tym większym im większe stworzenie chce się przywołać. Księgi mówią, że dawni mistrzowie potrafili przyzywać nawet piekielne istoty z samego serca najgłębszych otchłani. Prawdopodobnie można przywołać konia, mogą poszukać właściwych zaklęć, ale nawet, jeśli to się uda, będzie to zawsze czyjś koń, nie sadzę, bowiem by w Perrunie były jakieś bezpieczeństwa rumaki.

– Cóż szkoda – wymamrotał zrezygnowany kapitan. Magia po raz kolejny poważnie go zawiodła. Chcąc nie chcąc musiał na razie zrezygnować z pomysłu stworzenia pierwszego w dziejach Perrunu oddziału jazdy.

Ax niewiele wiedział o magii, a im więcej się dowiadywał, tym mniej go ona pociągała. Nic dziwnego, że sztuka ta zanikała. Jaki właściwie był z niej pożytek? Przecież człowiek korzystając wyłącznie ze swego umysłu był w stanie osiągnąć wszystko to, co oferowała magia. Może nie tak szybko i nie na taką skalę, ale na wszystko,

kiedys przyjdzie czas. Cóż z tego, że czarodzieje chętni się swą potęgą. Prawie każdy potrafił stać się niewidzialny, lecz przecież wszyscy dobrzy złodzieje to potrafili, a zakłęcie ciszy – przecież każdy dobry tropiciel potrafił się bezszelestnie poruszać. Do czego właściwie miała służyć cała ta ogromna wiedza? Magia lecznicza owszem, ta była przydatna, chociaż i tu coraz bardziej panoszyła się nauka, wypierając powoli niezrozumiałe metody. Czar iluzji? Komu to potrzebne? Może tylko do zabawiania dziatwy i ciekawej jarmarcznej gawędzi. Być może, to właśnie targowiska zostaną ostatnim bastionem pradawnej potęgi, a uliczni sztukmistrze jej ostatnimi piastunami. Zawsze przecież będą ludzie, pragnący ujrzeć na własne oczy nieznane stworzenia, tym bardziej jeśli nie będzie trzeba nigdzie chodzić. O ileż bardziej interesująca była by pieśń barda, wzbogacona obrazami z opowieści. W krainach niewiele już było czarodziejów, a prawie wszyscy byli już starcami. Niewiele też młodych, miało chęć ich naśladować. Same chęci jednak nie wystarczały, trzeba jeszcze było mieć talent. Ten zaś nie trafiał się zbyt często. Ale nawet posiadanie tego niezwykłego daru nie gwarantował kandydatom podjęcia studiów. Starzy czarodzieje, zwracali bowiem wielką uwagę, na charakter swoich uczniów. Magia w przeszłości wyrządziła wiele szkód, chociaż nikt nie potrafił powiedzieć, co to właściwie było. Pamiętano jedynie, że wykorzystywana była w niecnym celach, przez zwykłych łajdaków i nie

rzadko skutkiem jej stosowania były ogromne tragedie, setek niewinnych ludzi. Toteż magowie dokładali szczególnej troski, aby ich wiedza nie trafiła przypadkiem w niepowołane ręce. Efektem tych działań była stale zmniejszająca się liczba czarodziejów. Magia odchodziła ze świata ludzi, wraz ze śmiercią wielkich mistrzów. Perrun był ostatnim królestwem, w którym wciąż istniał urząd nadwornego czarodzieja. Sam nadworny czarodziej królestwa, Perrunu był jedynym Wielkim Mistrzem posiadającym uczniów. Prócz Murena żyło jeszcze tylko dwóch starców posiadających godność wielkiego mistrza. Talblon żyjący gdzieś na północy oraz Pordranos zamieszkujący w ziemi Czen. Był jeszcze czarodziej Arosto – ten jednak wiele lat temu przepadł gdzieś w wielkiej puszczy perruńskiej i od tamtej pory, wszelki słuch o nim zaginął. Nikt nie wiedział czy jeszcze żyje. Murren wielokrotnie próbował nawiązać z nim kontakt. Nigdy jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Magia odchodziła z krain w sposób zauważalny. Wielu miało również nadzieję, że bezpowrotnie. Była oczywiście cała rzesza pomniejszych czarodziejów, praktykujących na własną rękę, ale zarówno ich wiedza jak i umiejętności były zaledwie cieniem potęgi wielkich mistrzów. Nie brakło tu również zwykłych oszustów, sztukmistrzów pragnących dodać sobie prestiżu, rzekomym panowaniem nad tajemnymi mocami. Najczęściej sami padali ofiarami własnych prób i eksperymentów. Ax widział kiedyś na własne oczy, na którymś z perruńskich jarmarków,

jak pewien czarodziej usiłując zabawić tłum, podjął próbę zonglerki wyczarowanymi przez siebie ognistymi kuleczkami. Pokaz zakończył się pożarem kilku straganów a niefortunny sztukmistrz, opuszczał rynek w wielkim pośpiechu, umykając przed gniewem wzburzonych mieszkańców. Magia odchodziła ze świata, a zwykli ludzie zdawali się być zadowoleni z takiego obrotu sprawy.

* * *

Któregoś popołudnia, Melodia wpadła do biura Axa. Oczywiście zapukała do drzwi, nim jednak kapitan, zdążył unieść głowę znad sterty papierów i wypowiedzieć choćby jedno słowo, dziewczyna była już w środku pozostawiając drzwi szeroko otwarte. Ax odruchowo przykrył swymi dużymi dłońmi leżące przed nim papiery. Nauczony doświadczeniem nie chciał tracić czasu na zbieranie dokumentów z podłogi a już najbardziej nie lubił żmudnego układania ich we właściwej kolejności. Zachowanie żołnierza było jak najbardziej właściwe, gdyż już w następnej chwili dziewczyna rzuciła mu się na szyję, śmiejąc się i obcałowywując zarośniętą twarz.

– Udało mi się, nareszcie mi się udało, pokonałam go, zwyciężyłam!

Miała już 15 lat urosła i wypiękniała. Ax z niedowierzaniem obserwował jak z dziecka zamienia się w kobietę, piękną

kobietę. Zgrabna, kształtna sylwetka przyciągała oczymag, jak magnes drobinki metalu. Poruszała się z wdziękiem i lekkością na swych długich, smukłych nogach, a ciasne przylegające do ciała spodnie, z cienkiej delikatnej, jelonkowej skóry dodawały sylwetce niezwyklego powabu. Ax kochał dziewczynę jak własną córkę. Z niepokojem postrzegał tę dziwną, zbyt nagłą przemianę. Nigdy wcześniej nie podejrzewał, że los podda go nawet i takiej próbie. Był rad, że nie miał własnych dzieci. Sprawowanie opieki nad pięcioma tysiącami gwardzistów, wydawało się być o wiele łatwiejszym zajęciem.

– Zaraz Robaczku, spokojnie, może zaczniesz od początku. Kogo udało ci się pokonać?

Mówiąc to kapitan powstał z krzesła starając się odsunąć od siebie dziewczynę na długość ramienia, by móc spojrzeć w jej piękne, czarne oczy.

– Jak to kogo? – Obruszyła się Melodia – Mandersa, mojego instruktora, a twojego najlepszego szermierza! Pokonałam go!

Ax nie fechtował się już z żołnierzami, trenował jedynie swoich oficerów i tych z pośród gwardzistów, których mianował instruktorami. Manders był jednym i drugim. Chłopak miał prawdziwy talent, władanie bronią miał we krwi, miał jeszcze to coś – bożą iskrę, błysk geniuszu. Trudno powiedzieć, co to właściwie było. Ogromna większość żołnierzy to byli po prostu rzemieślnicy – doskonale znający

swój fach, zaś Manders mimo swego młodego wieku był artystą w każdym calu. Ax ciągle jeszcze, był w stanie pokonać młodego mistrza, lecz nie miał żadnych złudzeń, że chłopak go przerośnie, o ile oczywiście będzie żył wystarczająco długo.

– Cóż moja mała, widzisz, raczej źle świadczy to o nim, niż dobrze o tobie.

– Nie rozumiem – zachnęła się dziewczyna. – Pokonałam go!

– Widzisz, nie mówię, że nie potrafisz walczyć, przeciwnie jesteś całkiem dobra. Dla większości gwardzystów jesteś równorzędnym przeciwnikiem, ale jesteś tylko kobietą. Oczywiście jesteś w stanie pokonać każdego nawet największego mistrza, pod warunkiem jednak, że zrobisz to szybko, w pierwszej chwili starcia, jeżeli walka przeciągnie się dłużej – przegrasz.

– Dlaczego?

– Bo jesteś kobietą. Widzisz, żaden wojownik nie potraktuje cię jako godnego siebie przeciwnika. Skupi swoją uwagę bardziej na... Powiedzmy twoich kształtach niż umiejętnościach walki. Będzie chciał zabawić się twoim kosztem. Może nawet spróbuje wytrącić broń z ręki. I właśnie w tym jest twoja szansa, jeżeli zaskoczysz go atakiem którego się nie spodziewa i na którego przyjęcie nie będzie gotów, wtedy zwyciężysz. Jeżeli jednak uda mu się przetrwać twoje pierwsze cięcia, wówczas dostrzeże w tobie

wojownika i zacznie traktować poważnie. Jesteś szybka zwinna lecz on silniejszy i doświadczony. Wierz mi moje dziecko, że ostatecznie to nie finezja bierze górę ale brutalna siła. Jeżeli walka przeciągnie się dłużej – przegrasz.

– Ale przecież Manders mnie zna, wie co potrafię! – Dziewczyna próbowała się jeszcze bronić.

– Owszem, ale najwyraźniej rozkojarzył się przez chwilę, zresztą wcale mu się nie dziwię – mówiąc to Ax obrzucił spojrzeniem całą postać dziewczyny i westchnąwszy głęboko ciągnął dalej. – No i to go właśnie zgubiło. Co by to zresztą nie było, w niczym nie umniejsza twojego triumfu. Zwycięstwo jest zawsze zwycięstwem.

– E tam – machnęła ręką – tak w ogóle to chciałam ci powiedzieć, że tata prosił, abyś do niego przyszedł.

Ax zdał sobie nagle sprawę z faktu że popsuł dziewczynie całą radość. Poczuł się w jednej chwili jakoś niezręcznie, jakoś głupio... Melodia była z siebie taka dumna... Tak się cieszyła, a on jednym kłapnięciem ozora pozbawił ją całej frajdy. Cóż, prawda była prawdą, ale nad taktownym zachowaniem, chyba powinien jeszcze trochę popracować. Uznał że najlepszym wyjściem z sytuacji będzie szybka zmiana tematu, tym bardziej że sama księżniczka stworzyła mu właśnie ku temu okazję.

– A to się nawet dobrze składa, bo będę mógł zwrócić mu medalion. Zdaje się, że zgubił go, gdy ostatnio razem trenowaliśmy.

– Medalion? Jaki medalion? – Zainteresowała się dziewczyna.

– Zwykły medalion z otwieranym wieczkiem z twoją podobizną w środku. Znalazłem go na podłodze w sali treningowej, po ostatniej walce z twoim ojcem – odparł wojownik, przypominając sobie owo wydarzenie. Ponieważ nie był pewien skąd medalion się tam wziął, dokładnie obejrzał znalezisko, zauważywszy z boku zatrzask otworzył wieczko. W środku był miniaturowy portrecik całkiem ładnej kobiety. Ax miał wrażenie, że skądś ją zna. Długo wpatrywał się w miniaturę zanim odkrył, że, to Melodia. Tyle tylko, że jakby dużo starsza, poważniejsza. Twarzyczka na portrecie, nie miała ani cienia dziecięcej radości, to była twarz dojrzałej kobiety, naznaczona już bólem i troską. Portret został namalowany jakby na wyrost. Być może, za kilka lat, Melodia tak właśnie będzie wyglądać. Ax pomyślał wówczas, że król już myśli o przyszłości jedynaczki. W końcu była księżniczką, spadkobierczynią korony najpotężniejszego w całych krainach królestwa. Andarandis myślał już z pewnością o małżeństwie córki. Prawdopodobnie zadaniem medalionu była prezentacja księżniczki na obcych dworach potencjalnym kandydatom. Myśl ta, jakoś dziwnie mocno ukuła serce starego wojaka. Ciężko było mu, wyobrazić sobie rozstanie z dziewczyną. Lecz przecież kiedyś ten dzień nastąpi. Uśmiechnął się na myśl, o minie ewentualnego zalotnika, gdy ten zamiast

delikatnej damy z portretu ujrzy rozczochną wojowniczkę w skórzanym pancerzu i myśliwskich spodniach.

– Mogę go zobaczyć? – Dziewczyna była wyraźnie zainteresowana zgubionym przez ojca medalionem.

– Pewnie, że możesz. Tyle tylko, że nie mam go przy sobie, został w mojej kwaterze.

– Szkoda w takim razie obejrzę go, kiedy indziej, poproszę tatę, gdy wieczorem wrócę do domu.

– Wieczorem? To znaczy że jeszcze się gdzieś wybierasz?

– Oczywiście, mam jeszcze dzisiaj lekcje magii. Właściwie to chyba powinnam już iść. Muren bardzo się gniewa, gdy się spóźniam. Powiedział, że zamieni mnie w żabę, gdy się to jeszcze raz powtórzy.

– Chyba nie wierzysz w te bzdury? Takie rzeczy się nie zdarzają. To po prostu, zwyczajnie – niemożliwe...

– Muszę już iść...

Nim Ax zdążył cokolwiek powiedzieć Melodii już nie było. Przez otwarte drzwi widział już tylko jej oddalającą się sylwetkę. Widział jak jej śladem ruszyło dwóch gwardzistów. Inni z pewnością czekali rozstawieni na trasie. Była to osobista straż księżniczki, choć ta jej wcale nie chciała, nie mówiąc już o akceptacji. Kapitan rozumiał takie zachowanie. W końcu nikt nie lubi, jeżeli ktoś za nim stale i wszędzie łązi. Mimo to, chociaż wbrew woli dziewczyny, gwardia stale jej strzegła, a nie było to wcale łatwe. Melodia robiła co tylko mogła, aby zgubić swoją ochronę. Czasami,

prawie jej się to udawało. Nie wiedziała, że część jej straży nie nosi mundurów, gdy była sama na ulicy zawsze ktoś nad nią czuwał: żebrak, kupiec, zamiatacz – zawsze, ktoś miał ją na oku.

Ax zamknąwszy drzwi wrócił do swoich papierów. Nie lubił papierkowej roboty, ale niestety, musiał ją wykonać. Głęboko westchnąwszy powrócił do przeglądania raportów. Nie dane mu jednak było pracować długo w spokoju. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – zakrzyknął wojownik, nie odrywając wzroku od dokumentów. Gdy to wreszcie uczynił ujrzał salutującego porucznika Mandersa. Żołnierz zatrzymał się w połowie izby, stanął na baczność uderzając pięścią w stalowy pancerz na wysokości piersi.

– Tak?

– Ważna sprawa kapitanie – widać było już na pierwszy rzut oka, że chłopak jest wyraźnie zakłopotany.

– Domyślam się, że chcesz mi powiedzieć, iż jeden z twoich patroli został poważnie poturbowany przez starą babę z kosturem?

– Co? Nic o tym nie wiem. Kto przyniósł taki raport?

– Manders był teraz jeszcze bardziej zmieszany. Wyglądał jak człowiek dźwigający na swych barkach zbyt wielkie brzemie, którego w żaden sposób, nie może się pozbyć.

– Nikt poruczniku, jeszcze nikt.

– Nie rozumiem kapitanie.

– Widzisz Manders, jeżeli instruktor zostaje pobity przez jakąś pałacową dziewuchę to czego można się spodziewać, po szkolonych przez niego żołnierzach?

– Manders chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle, spuścił jedynie głowę i przez chwilę wpatrywał się w podłogę. Podnosząc oczy rzekł:

– Chodzi o dzieciaka kapitanie. O Pita.

– A mnie chodzi o ciebie poruczniku. Jesteś naprawdę dobry Manders, a za jakiś czas będziesz lepszy niż ja byłem kiedykolwiek. Nieważne, czy walczysz na placu boju, czy ćwiczysz na treningowej sali, każda walka jest ważna, do każdej musisz podchodzić śmiertelnie poważnie, tak, jakby od tego, miało zależeć twoje życie. Bo rzeczywiście zależy. Wśród wojowników rzadko można spotkać kobiety, ale te, które są, naprawdę wiele potrafią. Nigdy nie lekceważ kobiety. Przeważnie są to przerośnięte babska, które potrafią nieźle przywalić, jak zajdzie potrzeba. Walczą podobnie jak mężczyźni idąc na wymianę ciosów. Dużo rzadziej trafiają się zgrabne smukłe i wcale nie wysokie dziewczyny. Te są o wiele bardziej niebezpieczne. Może nie są zbyt silne, ale cholernie zwinne i sprytne. Walcząc z taką nawet na moment nie wolno ci stracić głowy, bo możesz ją stracić na zawsze. Takie wojowniczkі są przebiegłe, użyją każdego podstępu, każdej sztuczki. Trzeba się naprawdę pilnować. Uważać na każdy ruch i tylko idiota będzie się ślinił na widok zgrabnej du... Znaczą kobiety i nie próbuj takiej obmacywać

wzrokiem, jeśli nie chcesz by pomacała cię swoim żelazem. Czy to jasne poruczniku?

– Tak jest kapitanie.

– Jeszcze jedno Manders. Być może chciałeś dziewczynie zrobić przyjemność i pozwoliłeś jej wygrać. Jeśli tak było, to jesteś głupszy niż myślałem. Po to jesteś instruktorem, by twoi uczniowie wiedzieli co potrafią. Muszą być w pełni świadomi, co do poziomu swoich umiejętności. Wojownik, który wie na co go stać, jest ostrożny. Oczywiście będzie walczył jeżeli zostanie do tego zmuszony, lecz sam guza szukać nie będzie. Zgoła inaczej ma się sprawa z młodymi narwańcami, którzy uważają, że są najlepsi na świecie. Taki skorzysta z każdej okazji, by tylko pokazać, jaki jest dobry. Sobie samemu musi to udowadniać, a jeśli sposobność się nie nadarza – sam ją prowokuje. Jeśli nie jest tak dobry, jak sądzi, to długo nie pożyje. Czy to jasne poruczniku?

– Tak kapitanie.

– Jeszcze jedno chłopcze. Chodzi o Melodię. Cały czas jest honorowym kadetem gwardii. Rozumiem, że żołnierze są ze sobą w jakiś sposób zżyci i wyrażają to w przeróżny sposób. Masz pod swoją komenda najmłodszych gwardzistów, przekaz swoim chłopakom, że jeżeli zobaczę, że któryś za często poklepuje dziewczynę i to nie koniecznie po ramieniu to tak go klepnę, że się z rozumem nie połąpie... Czy to jasne?

– Tak.

– Pit to ten piegowaty rudzielec, prawda?

– Tak

– Na wszelki wypadek poruczniku niech twoi ludzie trzymają się na razie z daleka od starych bab z kosturami...
Lepiej chuchać na zimne.

– Tak jest – wymamrotał Manders po raz kolejny wlepiając wzrok w podłogę.

– Co z Pitem?

– Nie żyje.

– Co?

– Kapitan wyraźnie pobladł i opadł na swoje krzesło. Pit był sierotą, dzieckiem ulicy, przygarniętym przez gwardię. Miał wesołe usposobienie, 12 lat, wszyscy go lubili.

– Nie żyje kapitanie.

– Jak to się stało?

– Menel go zabił.

– Wypadek?

– Nie. Chłopak to zaplanował. Udusił Pita w czasie snu. Yori wszystko widział. Zresztą Menel się przyznał, jest z siebie bardzo zadowolony, wręcz dumny.

– Dumny?

– No tak. Rywalizowali między sobą. Pit był zawsze lepszy a Menel, nie mógł tego ścierpieć.

– I zamiast więcej pracować, postanowił po prostu usunąć rywala?

– Właśnie tak kapitanie.

Ax długą chwilę siedział bez ruchu. Wpatrując się

szklistym, niewidzącym wzrokiem w otaczającą go przestrzeń. Manders stał niezdecydowany na środku izby. Nie miał pojęcia jak ma się zachować, co ze sobą zrobić. Nie chciał przeszkadzać swojemu dowódcy. Miał wrażenie, że zrobiłby najlepiej, zostawiając kapitana samego, ale odejść również było niezręcznie. Poza tym, przybył po rozkazy. Stał więc i czekał, uważając jedynie, aby swoim oddechem, robić jak najmniej hałasu.

– Pit chciał zostać gwardzistą. To był cel, który sobie wyznaczył. To było jego marzenie. To dlatego tak bardzo się starał. Chcę, aby pogrzeb odbył się ze wszystkimi, należnymi poległemu żołnierzowi honorami. Przygotuj rozkaz mianujący Pita gwardzistą. Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić. – Manders skinął głową. Stał dalej oczekując dalszych instrukcji, nic jednak nie wskazywało, aby miał jeszcze cokolwiek usłyszeć. Ośmielił się więc, przerwać milczenie.

– A co z Menelem Kapitanie?

– Z Menelem? – Ax spojrzał zdziwiony na porucznika, jakby dopiero teraz zauważył chłopaka.

– Co z nim zrobić ?

– Zabić.

– Co?

– Zabić – oświadczył Ax lodowatym, bezbarwnym głosem.

– Ale.. To jeszcze dziecko!

– Ax milczał dłuższą chwilę, nie spuszczając Mandersa

z oczu.

– A ilu morderstw musiałby dokonać, aby uznać go za dorosłego?

– No tak... No ale... Czy nie powinniśmy dać mu szansy?

Znowu zapadło dłuższe milczenie.

– Daliśmy mu szansę. Zabraliśmy go z ulicy, gdzie niechybnie wyrósłby z niego drugi Krwawobrody. Gwardia dała Menelowi szansę. Mógł pobierać nauki i pracować, mógł dorastać w spokoju. Dostał wszystko co trzeba, aby zostać uczciwym człowiekiem, lecz przekreślił to wszystko, zaprzeczył wartościom, jakie chcieliśmy mu wpoić. Zrezygnował ze wszystkiego co dobre. Jest jak chwast na polu. Czy widziałeś kiedyś, by rolnik próbował zmienić oset w pszenicę? Chwasty należy wrywać.

– Przepraszam kapitanie, ale czy aby nie jest to, zbyt wielkie uproszczenie? Chwast to tylko chwast.

– Doceniam twoją szlachetność Manders, ale jak zauważyłeś, a sam bym tego lepiej nie ujął, chwast jest tylko chwastem. Nic z niego nie wyrośnie. Winowajca zasługuje tylko i wyłącznie na karę, zaś współczucie i litość należy zachować dla ofiary. Dopilnuj, by podczas opisu zdarzenia w kronice pominąć imię sprawcy. Bowiem żaden zbrodniarz nie zasługuje na to, żeby o nim pamiętać.

* * *

Jeszcze tego samego dnia, Ax poszedł na zamek. Andarandis przywitał go szczerym uśmiechem. Przyjaźń obu mężczyzn ugruntowała się i okrzepla. Król darzył kapitana całkowitym zaufaniem. Ax zaś, zawsze pamiętał o dzielącym ich dystansie, nie pozwalając sobie nigdy, na zbyt daleko idące spoufalenie.

– Dobrze cię widzieć kapitanie. Jak radzi sobie moja gwardia?

– Dziękuję Panie, gwardia ma się dobrze, chociaż bywało już lepiej – odpowiedział wojownik odwzajemniając uśmiech, który jednak wypadł dość blado, gdyż obraz Pita zakorzenił się głęboko w świadomości żołnierza.

– Jakież kłopoty?

Kapitan machnął niedbale ręką.

– Powiedzmy problemy z dzieciakami.

– Aa słyszałem, skazałeś na śmierć jednego ze swoich wychowanków. Menela zdaje się.

Ax, bardzo był zdziwiony prędkością rozchodzenia się informacji. Całe wydarzenie miało przecież miejsce dzisiejszego ranka, jak to możliwe, aby wieści dotarły do króla tak szybko. Czyżby jego osąd wywołał aż takie poruszenie?

– Był u mnie Bestistus – ciągnął dalej Andarandis – to przywódca Bractwa Powszechnej Szczęśliwości. Sam nie wiem czy jest to kult czy tylko stowarzyszenie. W każdym bądź razie są świetnie zorganizowani i zdobywają coraz

większe znaczenie.

– Co nieco, już na ich temat słyszałem – wtrącił wojownik drapiąc się w tył głowy, po chwili namysłu dodał jeszcze:

– Chleb głodnym, sprawiedliwość pokrzywdzonym i takie tam bzdury.

– Hasła są szczytne, czemu uważasz że to bzdury?

– Bo tylko ich liderzy mają pełne brzuchy i opływają w dostatki, lecz żadnych biednych jakoś nie wspomagają. Za to – domagają się tego od innych. To żadna sztuka być dobrym czymś kosztem. Ich poczucie sprawiedliwości, również jest mocno pokręcone, albowiem sprawiedliwym jest jedynie to, co im samym przynosi korzyść. Dla mnie jest to zwykła banda obłudników, żerujących na cudzym nieszczęściu. Należałoby rozgonić ich kijami, póki jest jeszcze czas ku temu, jak sam Panie raczyłeś zauważyć, ciągle zyskują na znaczeniu.

– Być może masz rację kapitanie. W każdym bądź razie, Bestistus zażądał, abym ulaskawił skazanego przez ciebie chłopaka.

– Ax przełknął ślinę.

– No i?

– Odparłem, że wszelka działalność gwardii podlega władzy jej kapitana i że powinien, zwrócić się z tym do ciebie. Ale chyba na razie nie będzie miał ku temu sposobności. Mam dla ciebie zadanie kapitanie.

– Słucham mój królu.

– W Histon stacjonuje piąta armia. Dostałem raport od generała Murgaby. Wieści są bardzo niepokojące. Pojawił się oddział żołnierzy na koniach, przybyli zza południowej granicy, sięgają spustoszenie, grabią i palą okoliczne wioski. Murgaba donosi, że wyruszył na spotkanie z rabusiami. Chcę byś to sprawdził, poza tym martwię się o Histon. Miasto zostało bez garnizonu. Może się mylę, ale jeśli konni zostali wysłani, aby wywabić załogę z miasta to możemy mieć spore kłopoty.

– Jak liczny jest ten oddział?

– Hm, Murgaba donosi o dwóch tysiącach koni.

– Co?

Ax z niedowierzaniem otworzył usta. Dwa tysiące koni? Toż to potęga o jakiej gwardia mogła tylko pomarzyć.

– Skąd nagle wzięło się w Perrunie tyle koni?

– Może wcale nie tak nagle kapitanie. Od czasu ucieczki Redgarda minęło już 5 lat.

– Redgarda? A co on ma z tym wspólnego?

– Podobno to on dowodzi jeźdźcami – brzmiała zwięzła odpowiedź Andarandisa. – Chcę kapitanie byś wyruszył, tak szybko jak to będzie możliwe, nawet jutro – mówiąc to rzucił wojownikowi pytające spojrzenie. Spostrzegłszy kiwnięcie głową, ciągnął dalej.

– Poślę oczywiście w ślad za tobą większe siły, lecz moi generałowie potrzebują co najmniej kilku dni przygotowań.

– Rozumiem królu – odparł wojownik pewnym siebie

głosem i dodał:

– Gwardia wyruszy do Histon jutrzejszego dnia.

Władca z uznaniem kiwnął głową.

– Powodzenia przyjacielu.

Ax miał już odejść, gdy nagle przypomniał sobie o medalionie. Zatrzymał się w pół kroku, odwrócił gwałtownie, napotykając zdziwione spojrzenie Andarandis, sięgnął do kieszeni.

– Wybacz mi Panie, był bym zapomniiał. Wydobyl błyszczący przedmiot, trzymając łańcuszek w zaciśniętej pięści, wyciągnął rękę w kierunku władcy.

– Znalazłem go po naszym ostatnim treningu. Musiałem otworzyć wieczko by móc odgadnąć do kogo należy. Proszę Panie.

Król wysunął otwartą dłoń, na którą wojownik upuścił jego własność.

– Chociaż przyznaję, że ledwie rozpoznałem twoją córkę.

– Córkę? – Andarandis spojrzał na Axa bardzo zdziwionym wzrokiem.

– No tak – odparł nieco zbity z tropu wojownik – to przecież Melodia, Prawda?

Król otworzywszy wieczko wpatrywał się w portrecik. Przez długą chwilę, nie mógł oderwać od miniatury ciekawych oczu. Wojownikowi przyszła nawet do głowy myśl, że być może się popełnił błąd, może to wcale nie była Melodia.

– To moja żona kapitanie. Portret przedstawia moją nieżyjącą królową.

Jeszcze teraz po tylu latach, widać było iż wspomnienie Tercji, sprawia królowi ból. Bardzo musiał ją kochać, skoro tak długo nie potrafił zaakceptować jej śmierci. Tercja w jakiś sposób ciągle była obecna w życiu Andarandisa. Musiało tak być, bo czyż w przeciwnym razie, król nie wziąłby sobie innej kobiety? Tym bardziej że sąsiednie królestwa usilnie zabiegałyby o wyswatanie władcy Perrunu, z którąś ze swoich księżniczek.

– Ach tak. Oczywiście – Ax uderzył we własne czoło otwartą dłonią. – Stąd to podobieństwo. Że też sam na to nie wpadłem. – Kończąc ostatnie słowa ściszył nieco głos, gdyż Andarandis sondował go badawczym wzrokiem. Wojownik pomyślał, że pewnie znowu strzelił jakąś gafę, a przecież tak bardzo uważał.

Król ponownie skoncentrował całą swą uwagę na medalionie. Odwrócił się i odszedł powolnym, powłóczystym krokiem. Ax spoglądając za przyjacielem, wzruszył ramionami. Przecież było niemożliwe by inteligentny i bystry mężczyzna nie zauważył podobieństwa własnej córki do własnej żony. Chyba, że nie chciał dostrzec tego, co inni dostrzegali bez trudu, a może tylko Ax widział coś, czego wcale nie było.

* * *

– Noc nie była ani cicha, ani spokojna. Na rozkaz kapitana królewskiej gwardii zagoniono do pracy, prawie wszystkich, liczących się w mieście rzemieślników. Na nowo rozpalano paleniska w zamkniętych już kuźniach, na nowo rozfurczały się stolarskie warsztaty. Zatrudnieni na stałe przez gwardię majstrowie, nie byli by w stanie podołać ogromowi zamówienia. Kapitan chciał broni, nowej, zupełnie nietypowej broni. Do wschodu słońca miało powstać przynajmniej 2000 sztuk. Była to niby włócznia. Niby bo czterokrotnie dłuższa, o znacznie grubszym wzmacnianym stałą drzewcu. Ostrze broni przypominało nieco grot myśliwskiej strzały; wąski szpic rozchodził się łagodnie na boki – tym gwałtowniej im dalej od wąskiego ostrego czubka. Koniec ostrza w stosunku do przedniej jego części był niewspółmiernie szeroki. Trzy kolejne coraz to większe zadziory stanowić miały nie lada przeszkodę, gdyby ktoś próbował ściągnąć z ostrza to, co się nań wcześniej nabiło. Nie było to bynajmniej jedyne udziwnienie tej broni. W $\frac{1}{4}$ długości drzewca, miał być umocowany na zawiasie, sięgający prawie do ostrza drążek. Drugi, podobnie mocowany, lecz znacznie krótszy, był na końcu drzewca. Zawias umożliwiał ustawienie drążków prostopadle do osi drzewca. Była jeszcze zapadka zabezpieczająca przed niechcianym złożeniem drążków. Broń była zbyt długa do walki wręcz, zbyt nieporęczna i o wiele za ciężka. Pracujący przy jej tworzeniu ludzie, łamali sobie głowy i gubili w domysłach: co to właściwie

ma być i do czego może służyć.

– Był już ranek kiedy wyprodukowano i załadowano na wozy ostatnie egzemplarze. Gwardia wyruszyła do Histon. Czoło pochodu stanowiły trzy tysięcy-osobowe oddziały, maszerujące równym krokiem w zwartej czwórkowej kolumnie. Dalej ciągnął się długi rząd wozów załadowanych zaopatrzeniem i bronią. Ranek był chłodny, z pysków zaprzężonych do wozów zwierząt, były gęste obłoczki białej pary. Gorgony były niezwykle silne i wytrzymałe, podobne wyglądem do domowego bydła, lecz znacznie większe i lepiej zbudowane. Krążyła nawet opinia, że są to stworzenia magiczne, nikt jednak nie potrafił powiedzieć, na czym by ta magia miała polegać. Z gorgonami wiązał się pewien problem; już od bardzo dawna, nie narodził się żaden nowy osobnik, tak jakby zwierzęta uznały, że przyszła pora by odejść ze świata. Żyły bardzo długo (niektórzy twierdzili, że nawet o tysiąc lat) stanowiąc dziedzictwo kolejnych pokoleń rolników i wozaków. Mimo iż przestały się rozmnażać były wciąż w krainach obecne. Dopiero teraz zaczęto je doceniać. Nikt też nie chciał sprzedawać posiadanych zwierząt. Gwardyjskie gorgony służyły w perruńskiej armii od niepamiętnych czasów. Poganiacze twierdzili, że wiedzą o sztuce wojennej, dużo więcej niż wszyscy perruńscy generałowie razem wzięci. Pochód zamykały kolejne dwa oddziały po tysiąc żołnierzy każdy.

Ax obserwował ukradkiem Mandersa. Chłopak stanął jak

wryty na widok wozu załadowanego długimi jak nieszczęście tykami. Uważnie je obejrzał, wziął nawet jedną sztukę w ręce, ważąc dokładnie jej ciężar. Wreszcie nie wytrzymał.

– Co to jest Kapitanie?

– Broń.

– Broń? Czy chcemy werbować gigantów? Słyszałem że kiedyś żyły takie istoty, ale od wieków nikt ich nie widział.

– To broń przeciwko koniom

– Przeciwko koniom? Ale jak to działa?

– Nie wiem, jeszcze nikt tego nie używał.

– To skąd to się wzięło?

– Kazałem zrobić.

– Zrobić? Ale po co?

– Maszerujemy, aż do jutrzejszego wieczora. Na noc rozbijemy obóz. Chce żeby żołnierze byli wyspani i wypoczęci. Przez cały następny dzień, będziemy ćwiczyć z tą właśnie bronią. Przynajmniej połowa ludzi musi wiedzieć co z tym robić. Jeśli łaskawie poczekasz do tego czasu, wszystkiego się dowiesz, a póki co, obejmij dowództwo w przedniej straży.

– Tak jest kapitanie.

Młody oficer uderzył pięścią w stalowy pancerz, oddalił się pospiesznie by zająć się czekającymi nań obowiązkami. Rankiem następnego dnia gwardia natknęła się na kilkudziesięciu ludzi piątej armii Murgaby. Przedstawiali sobą dość żałosny widok: brudni, obici, pokrwawieni.

Dowodzący grupą młody sierżant utykał na lewą nogę, prawa ręka wzięta w łupki, zawieszona była na szyi za pomocą pętli, zrobionej z rozerwanego wojskowego płaszcza. Pozostali żołnierze wcale nie wyglądali lepiej. Manders przyprowadził do dowódcy zrezygnowanego sierżanta. Ax uważnie zlustrował przejącego się przed nim żołnierza.

– Mów!

– Pobili nas kapitanie, rozbili i stratowali

– Pobili całą armię? – Żołnierz zawahał się przez chwilę.

– Nie wiem czy całą. Generał Murgaba podzielił nas na dwie części, chciał wziąć wroga w kleszcze, nie wiem co się stało z drugim oddziałem.

– A co się stało z twoim?

– Zaatakowali, przetoczyli się po nas, zawrócili i znowu zaatakowali, znowu zawrócili. Nie mogliśmy nic zrobić.

– Chcesz powiedzieć że 2000 jazdy wybiło do nogi połowę piątej armii?

Żołnierz pociągając nosem, skinął głową.

– Myślę że poza nami nikt nie przeżył. Idziemy do Divy, chcę powiadomić króla...

– Dlaczego nie wróciliście do Histon?

– Wróg był pomiędzy nami a miastem, chcę powiadomić króla.

Ax potrząsnął głową.

– Wracajcie do miasta. Możecie iść razem z nami. W Histon jesteście bardziej potrzebni. Ja sam powiadomię

króla. – Następnie wydał rozkaz swojemu porucznikowi.

– Manders, każ wysłać ptaka z wiadomością do Divy.

– Tak jest kapitanie.

Ptaki pełniły w perruńskiej armii rolę doręczycieli. Jeden z gatunków gołębi był do tego celu wręcz idealny, albowiem ptaki te zawsze wracały do swego macierzystego gołębnika, mieszczącego się na górnym poziomie królewskiej fortecy. Nie ważne było, jak daleko i w którą stronę zostały wywiezione, zawsze wracały. Było nawet na królewskim dworze specjalne, wysoko cenione stanowisko ptasznika, którego zadaniem była hodowla i opieka nad noszącymi wiadomości gołębiami. Oczywiście ptasia poczta miała też pewne wady. Podstawową, był fakt, że informacje można było wysłać tylko w jedną stronę i zawsze w to samo miejsce. Cała treść musiała się mieścić na maleńkiej karteczce, mocowanej do ptasiej łapki a zabieranie w drogę kilku ptaków, stanowiło już pewien kłopot.

Do końca dnia Ax rozważał przerażające nowiny: 2000 koni starło na proch 10 000 perruńskich żołnierzy. Wojownik był niemal pewien, że drugą część piątej armii, spotkał dokładnie ten sam los. Bo czy mogło być inaczej? Oto koń zaczął decydować o wyniku bitew. Ax czuł, że tak właśnie będzie. Przecież dlatego właśnie, chciał mieć konie dla gwardii. Czemu więc, wynik starcia jazdy Redgarda z żołnierzami piątej armii tak bardzo go zaskoczył? Oto teraz, musi stawić czoło, tej nowo narodzonej potędze.

Tylko czy jego żołnierze są do tego gotowi? Nie ćwiczyli walki przeciwko konnicy, a większość z nich nigdy nie brała udziału w prawdziwej bitwie. Czym innym są przecież walki treningowe. W prawdziwej bitwie nie ma miejsca na błąd, pomyłka oznacza śmierć. Konsekwencją ciosu drewnianym mieczem był jedynie noszony przez parę dni siniec. Na podłodze treningowej sali nie walały się żadne wyprute flaki, nikt również nie potykał się tam o leżące ciała i nie ślizgał w kałużach posoki. Podczas treningu, krew nie lepiła się do ciała. W czasie bitwy, było inaczej...

– Żarty się skończyły – mruknął Ax sam do siebie.

Musiał wierzyć w swoich żołnierzy. Miał jednak, tylko jutrzejszy dzień, aby nauczyć ich, naprędce wymyślonej taktyki. Pocieszał się wspomnieniem, że przecież kiedyś mając zaledwie kilkuset kadetów, rozbił na manewrach dwie armie. Tyle tylko, że nie dwie naraz, tylko po kolei, a za plecami jego kadetów stała cała, czekająca na właściwy moment armia. Jego atak uznany był za działanie pozorowane a skierowany przeciw niemu oddział był liczebnie równy, ewentualnie niewiele większy. Zaś w walce jeden na jednego, jego ludzie już wówczas byli wystarczająco dobrzy. Gdy pokonali pierwszy oddział, wysłano kolejny, potem jeszcze jeden, a kiedy wreszcie przeciwnik zorientował się, o co chodzi, nie miał już za bardzo kogo wysyłać, tym bardziej, że był to moment, w którym spadała nań reszta będących w odwodzie sił. Wymyślili ten plan wspólnie z Andarandisem,

zaś jego ludzie po mistrzowsku go wykonali. Było to bardziej zwycięstwo myśli niż miecza.

Lecz tutaj nie było żadnych wydumanych manewrów. Z relacji sierżanta wynikało jednoznacznie, że była to najzwyczajsza w świecie masakra. Zimny dreszcz przebiegł po karku wojownika. Czy powstrzymanie na otwartym terenie szarżującej jazdy, było w ogóle możliwe? Miał nadzieję, że tak.

* * *

Od Histon dzieliło ich jeszcze pół dnia marszu. Gwardia zmieniała zasadniczo swój szyk. Droga, poruszały się jedynie wozy. Piechurzy szli po obu stronach wozów, w zwartych szerokich kolumnach. Z góry wyglądało o to prawie jak kwadrat. Kapitan nie chciał dopuścić do rozciągnięcia swoich sił na paru milach drogi, byli by wtedy zbyt łatwym celem dla niezwykle szybkiego przeciwnika. Wróg mógłby uderzyć w dowolnie wybranym przez siebie miejscu i spokojnie odjechać, zanim do zaatakowanych oddziałów, dotarłyby jakiekolwiek posiłki i choć formacja wyglądała nieco dziwnie, to kapitan nie wątpił w słuszność ustawienia. Martwiły go wprawdzie deptane przez piechotę przydrożne uprawy, lecz przecież mieli wojnę, zapewnienie żołnierzom bezpieczeństwa, było w tym momencie celem nadrzędnym, a dzięki takiemu ustawieniu, był gotowy na

przyjęcie ataku wrogiej jazdy praktycznie w każdej chwili. Przynajmniej taką miał nadzieję. Nie rozesłał zwiadowców. Pojedynczy ludzie, nie mieli przecież żadnej szansy przy zetknięciu z konnicą na otwartym terenie, a z wysokości końskiego grzbietu, z pewnością widać lepiej i dalej. Wróg pierwszy dostrzegłby jego żołnierzy. W równym tempie pokonywali kolejne mile drogi, szli i byli gotowi. Dzień był pogodny i ciepły. Słońce osiągnęło już szczyt swej codziennej wędrówki. Lekki wiatr dmuchał delikatnie w znużone twarze. Trawiasta łąka z prawej strony wznosiła się łagodnie, tworząc doskonale widoczne na płaskim terenie wzgórze. Kopiec ów, nie był ani szczególnie rozległy, ani wysoki. Jednak wystarczająco duży, aby zasłonić sobą dwa tysiące jeźdźców, którzy korzystając z pochyłości terenu, sprawnie i szybko rozpędziliby swoje rumaki, nadając uderzeniu odpowiedni impet. Ax z niepokojem obserwował wzgórze, gdyby to on dowodził jazdą, zaatakowałby właśnie w tym miejscu, wręcz idealnym do szarży kawalerii. No i rzeczywiście, również tym razem, przecucie go nie zawiodło. Gdy tylko gwardia osiągnęła wysokość wzniesienia, na jego szczycie pojawiły się początkowe dwie sylwetki. Jeźdźcy stali przez chwilę zupełnie nieruchomo. Bardzo szybko, całą linię wzgórza, została wypełniona sylwetkami jeźdźców. Aż wreszcie runęli w dół, niczym spadająca z górskiego szczytu lawina, z przeraźliwym bojowym okrzykiem. Ziemia zadudniła pod końskimi

kopytami. Ax znieruchomiał na moment, obserwując wrogie natarcie. To było piękne. Konie z wyciągniętymi szyjami pędziły na złamanie karku w dół zbocza. Gdyby nie słyszał tętentu, mógłby przysiąc, że zwierzęta nie dotykają kopytami ziemi. Dzikie i piękne, niesione skrzydłami wiatru. Szybko jednak otrząsnął się z tego pierwszego, jakże zaskakującego wrażenia. To był atak. Szarża na jego oddział, na gwardię, którą dowodził. Należało działać i to szybko. Pięć setek jego ludzi ściągając z pleców długie łuki, biegło naprzeciw nadciągającej konnicy. Stanęli w równej linii, pokonując zaledwie kilkanaście jardów. Wzniesli broń, napięli cięciwy, czekając za wróg będzie w zasięgu strzału. Nie musieli długo czekać.

Jakże śmiesznie musiało to wyglądać, z całą pewnością Wielki Książę Redgard, uznał go w tym momencie za kompletnego idiotę, z pewnością też uśmiechał się już, na myśl oczywistego zwycięstwa. Bo tylko idiota posłałby łuczników w pierwszej linii przeciwko konnicy. Winien raczej schować ich za plecami zbrojnych, skąd mogliby razić wroga strzałami. Nie mieli żadnych szans na powstrzymanie szturm, zginą, gdy tylko jeźdźcy ich dopadną. Zresztą zbrojni nie stanowiliby dużo większej przeszkody, zostali by rozbici i stratowani, zupełnie tak samo jak żołnierze piątej armii. Położenie Gwardii Lwiego Pazura nie wyglądało dobrze, ale właśnie tak miało wyglądać. Tymczasem za plecami łuczników, miała miejsce pośpieszna krzątania. Żołnierze

wbijali w ziemię owe długie, nieporęczne tyki. Rozłożono prostopadle do drzewca obydwą drażki, zabezpieczając je zapadkami. Końcowy drażek wraz z końcem drzewca został całkowicie wbity w ziemię, miało to zabezpieczać pikę przed cofnięciem, w momencie nagłego nań naparcia. Drażek wcześniejszy, został wbity w ziemię na tyle głęboko, by ostrze sięgało na wysokość piersi człowieka. Jęknęły cięciwy. Łucznicy wypuścili strzały. Niektórzy z nich byli w tym naprawdę dobrzy, potrafili wystrzelić drugą strzałę nim pierwsza osiągnęła cel. Cel jednak, zbliżał się niesamowicie szybko. Strzały wystrzelono bardziej w górę niż w mierzony punkt, miały one spaść na wroga po pokonaniu toru łagodnego łuku. W taki właśnie sposób osiągnano maksymalny zasięg. Większość strzał chybiła i chociaż cele były dość okazałe, to w przeciwieństwie do strzeleckiej tarczy nie stały w miejscu. Nim strzały spadły na ziemię, pierwsi jeźdźcy byli już daleko w przdzie a dzięki zachowaniu luźnego szyku straty kawalerii były naprawdę minimalne; zaledwie kilku ludzi spadło z koni, potknęło się zaledwie kilka wierzchowców. Na wystrzelenie kolejnej salwy nie było czasu. Ax z niezadowoleniem pokręcił głową. Mimo wszystko oczekiwał nieco lepszego efektu. Mógł mieć tylko nadzieję, że dalej sprawy potoczą się już po jego myśli. Tymczasem konnica już była przy łucznicach. Naturalnym odruchem przerażonego człowieka byłaby w takiej sytuacji ucieczka. Tak właśnie postąpili łucznicy. Żaden nie podjął

próby, aby z bronią w ręku spojrzeć śmierci w oczy. Pierzchali w kierunku własnych szeregów. Nie był to jednak paniczny, bezładny odwrót, lecz sprawnie przeprowadzony, uprzednio zaplanowany manewr. Nagle, przed rozpędzoną jazdą, pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda. Najeżona ostrzami grotów, prowizoryczna palisada nie stanowiła problemu dla pieszego człowieka. Gwardziści sprawnie przemykali między tyczkami, lecz dla koni, odległości pomiędzy pikami, były po prostu za małe. Pierwszy szereg jeźdźców wpadł na piki całym rozpędem. Cofający się łucznicy, dosłownie w ostatniej chwili odsłonili przygotowaną mement wcześniej niespodziankę. Kawalerzyści nie mieli czasu na jakąkolwiek reakcję. Rozległy się trzaski łamanego, wzmacnianego żelazem drewna, wrzaski przerażonych jeźdźców a nade wszystko wdzierający się głęboko w serce, kwik ranionych zwierząt. Wielka skarga, na niczym przecież niezасłużone cierpienie. Jazda musiała się zatrzymać, nie było miejsca na kontynuowanie szarży. Nawet tam gdzie tyczki zostały zupełnie wyłamane, bo oto przed oczami nacierających jeźdźców, pojawiła się kolejna przeszkoda – wozy. Wielkie, wyposażone w budy, zaopatrzeniowe wozy. Kolejni, nadciągający kawalerzyści, nie byli w stanie wyhamować rozpędzonych rumaków. Wierzchowce zderzyły się ze sobą, nierzadko wzajemnie przewracając, powodując ogromne zamieszanie, wzmagane dodatkowo gradem wystrzelanych z wozów strzał. Nagle dwa środkowe zaprzęgi rozjechały

się w przeciwnych kierunkach, w linii barykady otwarto jakby bramę, z której wysypali się zbici w ciasną kupę włócznicy. Jednocześnie z obu boków barykady rozpoczęto atak na skrzydła. W pierwszej linii biegli żołnierze uzbrojeni w owe długie tyki. Tym razem rozłożone były tylko końcowe wsporniki, które zostały oparte na biodrach. Uchwyt za sam koniec drzewca jedną ręką, oraz drugą – wyciągniętą maksymalnie do przodu, zapewniał broni jako taką stabilność i chociaż dzierzono piki z ogromnym wysiłkiem, jednak ów trud w ogólnym rozrachunku bardzo się opłacał. Owa ruchoma palisada skutecznie zniechęcała stłoczonych jeźdźców do kontruderzenia, tym bardziej, że zaledwie przed chwilą, widzieli jak bardzo broń ta jest skuteczna, a rzadko kiedy, żywi mają ochotę podzielić los poległych towarzyszy. W rezultacie, jazda cofała się przed atakującymi gwardzistami. Stłoczeni, wręcz zbici w ciasną gromadę stracili swój główny atut; szybkość i siłę wierzchowców. W coraz bardziej ciasnym kręgu nie sposób było chociażby pomyśleć o jakimś sensownym manewrze a co dopiero takowy przeprowadzić. Śmierć nadchodziła szybko, brutalna i nagle, lecz zawsze nieoczekiwana. Paniczne próby ucieczki pogłębiały jedynie panujący chaos. Lecz pierścień nie został całkowicie zamknięty. Związani walką gwardziści musieli momentalnie zwalniać, zaś żołnierze biegnący za ich plecami, nie byli po prostu w stanie, poruszać się aż tak szybko, wzdłuż coraz bardziej

wydłużającej się linii frontu. Cały wysiłek łuczników został teraz skierowany na ów otwarty wciąż odcinek. Strzelano po prostu na oślep, jednak w taki sposób, by strzały leciały jak najwyżej i jak najdalej. Było to zresztą jedyne miejsce, w którym nie było jeszcze gwardzistów. Mimo wszystko strzały trafiały, u wyjścia z kotła zrobiło się nagle bardzo ciasno. Większość kawalerzystów zorientowawszy się w sytuacji, chcąc wydostać się z okrążenia, próbowała zawracać. Toteż strzały trafiały w cel, a zaporowy ostrzał nie ustawał. Pięciuset najlepszych łuczników słało kolejne strugi świszczącej śmierci z niewiarygodną wręcz prędkością; nie musieli celować, ręka machinalnie sięgała kołczanu, napięcie cięciwy i świst, napięcie i świst. Kołczany zawierały 25 strzał. Najszybsi strzelcy opuścili swoje pozycje, biegli do stojącego opodal wozu, aby uzupełnić zapas amunicji. W rezultacie intensywność ostrzału nieco osłabła. Nim pierścień został ostatecznie zamknięty, kilkudziesięciu jeźdźcom udało się przebić. Ax obawiał się bardzo takiej sytuacji. Nawet niewielki konny oddział, korzystający ze swej szybkości, stanowił poważne zagrożenie dla jego ludzi. Gwardziści nie mieli już pik. Celne ciosy konnicy niechybnie rozbiłyby jego linie, tym bardziej, że gwardziści zajęci byli pacyfikacją kotła. Szybkie zaskakujące uderzenie od tyłu, musiałoby doprowadzić do przerwania okrążenia, a im więcej koni by się wydostało, tym większe kłopoty miałyby gwardia. Przewidując taki właśnie przebieg wypadków,

kapitan pozostawił w odwodzie pięciuset osobowy oddział, którego zadaniem było powstrzymanie ewentualnego kontrataku. Była to jednak tylko teoria. W rzeczywistości, ów oddział po prostu nie zdążyłby zastąpić drogi rozpędzonym koniom, no chyba, że przypadkiem znalazłby się na linii uderzenia. Na wojnie wszak, wszystko było możliwe. Jakże często przypadek, ślepy traf decydował o losach bitwy. Trzeba więc było być przygotowanym na wszelkie możliwe ewentualności i mieć nadzieję, że wszystko się uda. Tym razem jednak, obawy kapitana okazały się płonne. Jazda nie powróciła. Wśród poległych nie znaleziono ciała Wielkiego Księcia Redgarda. Ax miał dziwne przeczucie, że sprawy między nim, a księciem nie zostały jeszcze zakończone.

* * *

Masakrę przeżyło niecałe sto koni, to znaczy nie odniosło żadnych większych obrażeń. Ciężko okaleczone zwierzęta trzeba było po prostu dobić. W każdym bądź razie, gwardia weszła w posiadanie 72 wierzchowców. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że rumaki są zdrowe i w doskonałej formie. Jednak, gdy Ax wskoczył na grzbiet pierwszego z brzegu konia, jedyną reakcją zwierzęcia było niechętnie odwrócenie łba w jego kierunku. Nieco zdezorientowany kapitan uderzył konia dłonią po zadzie, lecz nie odniosło to żadnego rezultatu. Uderzył więc jednocześnie obydwoma nogami

w boki zwierzęcia – widział kiedyś, że jeźdźcy coś takiego robią. Rzeczywiście podziało. Koń leniwym, powolnym krokiem ruszył przed siebie. Należało teraz jedynie zmusić go do szybszego chodu, lecz zwierzę nie miało wyraźnie na to ochoty. Nie pomagały szturchnięcia ani słowna perswazja. Jedyne, co udawało się osiągnąć to obrócenie rumaka przy pociągnięciu z jednej strony za wodze, po czym koń znowu włókł się z nisko zwieszonym łbem. Gdy wreszcie Ax doczłapał do grupki swoich oficerów, zeskoczył z siodła na ziemię.

– Zdaje się że te zwierzęta są śmiertelnie zmęczone.

Żołnierze skwapliwie przytaknęli, żaden z nich nie znał się na koniach.

– Cóż, damy im odpocząć, trzeba też ściągnąć z nich całe to wyposażenie i wyjąć z pysków te pręty, bo chyba przeszkadzają w jedzeniu, tak myślę. – Jediną odpowiedzią jego ludzi było ponowne skinienie głów.

Zaopiekowano się końmi tak dobrze, jak tylko było to możliwe (w mniemaniu gwardzystów oczywiście). Niektórzy żołnierze tak przejęli się losem zwierząt, że poświęcili cały swój wolny czas, na rwanie dla nich co ładniejszej trawy. Jednak, kolejne dni, nie przynosiły żadnej poprawy w zachowaniu się wierzchowców. Z tą jedynie różnicą, że gdy Manders wskoczył na grzbiet dorodnego siwka, rumak stanął dęba na tylnych nogach a niefortunny jeździec znalazł się na ziemi. Dokonano także odkrycia, że nie należy podchodzić

do konia szczerzącego zęby i w żadnym wypadku, nie wolno podchodzić do zwierzęcia od tyłu. Jedynie koń Axa pozwalał się bezpiecznie dosiadać i to niestety było wszystko, na co stać było wierzchowca. Miłośników zwierząt ogarniało coraz większe zniechęcenie. W nie najlepszych, więc nastrojach dotarli wreszcie pod mury Divy. Dźwiękiem rogu, oznajmili swoje nadejście. Odpowiedziano im z kilku baszt jednocześnie. Cała dolina wypełniła się głębokim mocnym brzmieniem rogowej muzyki.

Grupka ludzi wybiegła naprzeciw powracającym żołnierzom. Były tam sieroty przygarnięte przez gwardię. Dzieciaki niecierpliwie oczekiwały powrotu swoich ulubionych wujków. Byli też kadeci, a także bliscy i znajomi żołnierzy. Młoda smukła dziewczyna wyprzedziła znacznie pozostałych, biegła lekko, w równym tempie pokonując kolejne jardy drogi. Śmiała się i pokrzykiwała. Kiedy róg zagrał po raz pierwszy, była w pobliżu bramy, zmierzała do wieży Murena na kolejną lekcję magii. Chociaż wiedziała, że jej mistrz będzie bardzo niezadowolony, to przecież wracali akurat jej przyjaciele. Co tam zrzęczenia starego czarodzieja? Już z daleka ujrzała radosny uśmiech Axa i rozpromieniony wzrok porucznika Mandersa. Oficerowie szli na czele, nieco z boku kolumny. Zawisła na szyi kapitana, ten uniósł ją w powietrze i zakręcił dokoła tak, że Manders musiał uskoczyć by nie dostać wirującymi w powietrzu nogami dziewczyny. Żołnierze parsknęli śmiechem. Melodia

tymczasem uściskała Mandersa, pobiegła wzdłuż szeregu witając nadchodzących żołnierzy. Szybko jednak powróciła do stojących na poboczu drogi śmiejących się oficerów.

– No mówcie, jak było? Miasto ocalało? A co z piątą armią? Znaleźliście kogoś? A wieśniacy? Bardzo ucierpieli? A...

– Czekaj Robaczku spokojnie, nie wszystko na raz!
– Dziewczyna znowu rzuciła się ze śmiechem na szyję wojownika.

Stali tak dłuższą chwilę śmiejąc się i obejmując. W oczach starego wojaka zalśniły łzy. W chwilach takich jak ta, miał wrażenie, że coś w życiu stracił, coś ważnego mu umknęło, nie wiedzieć gdzie i kiedy. Czuł w sobie jakąś dziwną pustkę, tym większą im bardziej starał się ją wypełnić. Był wojownikiem, człowiekiem o nieugiętej woli, twardym i zimnym jak stal, którą przy sobie nosił. Stale uczył się nowych rzeczy (lubił się uczyć) zaś w chwili obecnej przekonał się, że tęsknota mocniejsza jest od stali. Był wojownikiem, nie powinien sobie pozwalać na tkliwość i wzruszenie, lecz tulił do siebie rozchichotaną dziewczynę. Jakże pragnął, aby ta chwila trwała jak najdłużej. Mógł tak stać, nawet do końca świata. Ujął w dłonie głowę dziewczyny spoglądając głęboko w czarne, cudne oczy.

– No dobrze moje dziecko. Więc po kolei...

W tym jednak momencie, zrównał się z nimi jeden z wozów, do którego przywiązane były zdobyczne rumaki.

– Konie! – Wykrzyknęła radośnie dziewczyna. – Jakie piękne!

– Tak – odparł wojownik rzeczowym tonem – ocalały z bitwy, ale chyba są chore.

– Chore? – Melodia wyraźnie nie dowierzała kapitanowi.

– No tak – Ax poczuł się nieco zmieszany, lecz ciągnął dalej – o, na przykład ten kasztan ledwie powłóczy nogami, nie chce biegać, gdy się go dosiadzie, z początku myśleliśmy, że są zmęczone, wyczerpane walką, ale przez kilka dni nic się nie zmieniło. Być może doznały jakichś wewnętrznych obrażeń.

– Wszystkie?

– Nie wiem czy wszystkie, za bardzo się na tym nie znam...

– Niemożliwe – podeszła do pięknego siwka, zlustrowała zwierze wzrokiem, pogłaskała po łbie i szyi.

Ax i Manders w niemym zachwycie obserwowali jak szybko i sprawnie można konia osiodłać. Chwilę później była już na końskim grzbiecie. Pochyliła się głaszcząc łeb zwierzęcia i szepcząc coś do ucha. Koń poczuwszy na sobie jeźdźca zatańczył radośnie, miał już chyba dość człapania za wlokącym się wozem. Ściągnęła wodze uderzyła piętami, rumak ruszył stępa w kierunku przeciwnym do maszerującej kolumny. Przeszła do delikatnego klusa starając się powoli rozgrzać wierzchowca. Jadąc wzdłuż kolumny witała maszerujących gwardzistów. Pozdrawiali ją serdecznie,

żywo gestykulując. Wracała wyciągniętym kłusem. Jej ciało unosiło się i opadało w rytm kroku zwierzęcia.

– Ten chyba już wyzdrowiał – krzyknęła w kierunku Axa starając się tłumić śmiech.

Rozległ się charakterystyczny tętent galopu. Dziewczyna pędziła wprost przed siebie. Popuściła wodze. Poczuvszy swobodę siwek sam przeszedł do cwału. Ziemia uciekała spod końskich kopyt niewiarygodnie szybko. Obydwoje: dziewczyna i koń, zachłysnęli się szybkością, oszołomieni dzikim pędem. Siwek kochał biegać, wszak całe jego życie było niczym innym, jak tylko przygotowaniem do takich właśnie wyczynów. Melodia przysiadła w strzemionach pochyliła się nisko nad końską grzywą. Pęd powietrza rozwiewał jej długie, jasne włosy. Nie słyszała wołania przyjaciół, zatraciła się w owym pędzie, zapominając o całym świecie. Wszystko zostało w tyle, daleko za nią. Takie małe i nie ważne, zupełnie nieistotne. W tym momencie nic nie miało znaczenia. Liczyła się tylko ona i koń i ów szalony radosny bieg. Była to jedyna z nielicznych w jej życiu chwil, w których wiedziała, że jest wolna. Wolna! Naprawdę i do końca. Cóż to był za koń. Żaden z wierzchowców jej ojca, nie był ani tak szybki, ani tak wytrzymały. Było jeszcze coś. Wyraźnie to wyczuwała. To była więź. Między nią a siwkim istniała trudna do określenia nić porozumienia. Koń reagował na jej myśli, zanim jeszcze zdążyła wykonać jakikolwiek ruch. Jej samej wydawało się, że dzieli

z rumakiem kipiące w nim emocje. Niemal czuła jego radość, rozpierającą go energię, siłę – wyzwalaną w potężnych, wspaniałych mięśniach. Siwek cwałował w radosnym uniesieniu jakby chciał pozostawić za sobą niedolę ostatnich dni; grozę bitwy, utratę swego pana, czy wreszcie nieudolną opiekę troskliwych gwardzystów. Mknęli tak razem przez równinę, wolni i radośni. Byli wiatrem goniącym za chmurą, spadającym na zdobycz jastrzębiem, wystrzeloną z łuku strzałą. Byli wszystkim, co piękne, dzikie i szalone. Melodia mogłaby pędzić tak bez końca a siwek robił, co mógł, aby sprostać oczekiwaniom dziewczyny. W pewnym momencie, zdała sobie jednak sprawę, że coś jest wyraźnie nie w porządku. Ruch konia nie był już tak płynny. Siwek ciężko robił bokami, obficie tocząc pianę, lecz nie ustawał w szaleńczej gonitwie.

– Ależ ze mnie idiotka, przepraszam koniku, zwolnij proszę! – Choć była to zaledwie myśl zrodzona w umyśle dziewczyny, to jednak reakcja zwierzęcia była natychmiastowa. Dokładnie wykonał polecenie, jakby chciał dać do zrozumienia, że wcale się nie gniewa.

– Tata ma rację, nieodpowiedzialna ze mnie smarkuła, zmarnowałabym takiego konia – wyrzucała sobie księżniczka. Zwolniła do kłusa by za chwilę przejść do stępa. Nieco z boku ujrzała przed sobą plamę zielonych drzew, otoczonych soczystą bujną trawą. Skierowała siwka w tym właśnie kierunku.

– Odpocznijmy chwilę koniku. To będzie całkiem dobre miejsce – mówiąc to, poklepała siwka po karku. Koń zarżał potrząsając łbem. Dziewczyna roześmiała się.

– Cieszę się, że zgadzasz się ze mną koniku. Równy z ciebie kompan. – Siwek ponownie zarżał, unosząc przy tym łeb. Melodia śmiała się radośnie. – Nie dość, że równy to jeszcze i rozmowny. Proponuję byśmy zostali przyjaciółmi. Ale przecież nie mogę nazywać przyjaciela konikiem. Będę nazywać cię Wicher. Podoba ci się? Co ty na to?

Niespodziewanie koń stanął w miejscu, odwrócił łeb w kierunku dziewczyny i gdyby był człowiekiem, można by powiedzieć, że – poważnie skinął głową. Po czym znowu ruszył w kierunku zagajnika. Księżniczka przestała się śmiać. Całkowicie osłupiała, próbowała gorączkowo zebrać myśli.

Czy był to tylko zbieg okoliczności? Czy też koń rzeczywiście ją rozumiał? Zajęta tymi myślami nie zauważyła kiedy dotarli na miejsce. Siwek stanął, oczekując dalszych poleceń. Zeskoczyła z siodła. Wyjęła wędzidło z pyska zwierzęcia, odpięła popręg i zdjęła siodło.

– Odpocznijmy, poskub sobie trawę, wygląda całkiem apetycznie – mówiąc to uświadomiła sobie, że sama by coś zjadła. Rzuciła siodło w cieniu niewielkiego, wysuniętego przed zagajnik drzewa. Położyła się na trawie, opierając o nie głowę. Zamknęła oczy, wróciła myślami do przerwanych rozważań.

Przypomniła sobie, że czytała kiedyś o dość specyficznych czarodziejach, zwanych druidami. Otóż druidzi rozumieli mowę zwierząt. Potrafili rozmawiać z każdym stworzeniem ze swojej domeny. Byli sługami i strażnikami natury. Przeważnie mieszkali i żyli w lasach, z dala od ludzkich siedzib.

Ale przecież ona nie miała nic wspólnego z magią druidów. Poza tym wcale nie było pewne, że druidzi naprawdę istnieli. Wielu uczonych, w tym także sam mistrz Muren twierdziło, iż jest to tylko, jeszcze jedna legenda. Czy zwierzęta w ogóle potrafią się porozumiewać? Między sobą, w ramach konkretnego gatunku – pewnie tak. Powszechnie znany był fakt istnienia hierarchii nawet w niezbyt licznych stadach. Zwierzęta można było wytresować, nauczyć prostych sztuczek, sprawić by rozpoznawały swoje imię i przychodziły na wołanie. Lecz to wszystko świadczyło jedynie o inteligencji człowieka i o ograniczonych możliwościach zwierzęcia. Wymiana myśli nawet między ludźmi, bywała niekiedy bardzo trudna a czasami wręcz niemożliwa. Im więcej o tym myślała, tym bardziej nieprawdopodobne wydawało się jej, niedawno przeżyte doświadczenie. Nabierała przekonania, że musiał to być przypadek. Z rozważań wyrwało ją zaniepokojone rzenie siwka. Uniosła głowę podpierając się na łokciach, spojrzała w kierunku konia. Przez chwilę stał nieruchomo z uniesionym wysoko łbem i nadstawionymi uszami. Znowu zarżał, odwrócił łeb w kierunku gdzie leżała,

nerwowo dreptał w miejscu strzygąc jednocześnie uszami. Nagle skoczył przed siebie, ruszył pełnym galopem. Melodia natychmiast się podniosła.

– Stój koniku – wołała za uciekającym wierzchowcem – Wicher wracaj, proszę wróć!

Koń jednak nie zważał na rozpaczliwe wołanie dziewczyny, oddalał się coraz bardziej.

– No to mam ostateczne potwierdzenie – pomyślała z żalem księżniczka – oto jak doskonale koń może rozumieć człowieka.

Zła i bezradna rozejrzała się wokół siebie. Powoli zapadał zmierzch. Niewysokie drzewa rzucały niemożliwie długie cienie, w słabych promieniach zachodzącego słońca.

– No i co ja teraz zrobię? – Zapytała sama siebie, sama też udzieliła sobie odpowiedzi.

– Pójdiesz na piechotę idiotko!

Jeszcze raz zlustrowała wzrokiem okolicę. Już miała zrobić pierwszy krok, gdy pełne niepokoju myśli, napłynęły do jej umysłu.

– Przecież Wicher nie uciekł dlatego że miał taki kaprys, coś go musiało spłoszyć. Tylko co?

Jeszcze raz badawczym wzrokiem zlustrowała okolicę. Tym razem jej uwagę, przykuł cichy zagajnik. Jeżeli gdziekolwiek istniało jakieś zagrożenie to niewątpliwie w tym właśnie miejscu. Poczula się dziwnie nieswojo, zdając sobie nagle sprawę, że nie jest tutaj sama, tak jak wcześniej

sądziła. Miała całkowitą pewność: ktoś lub coś ją obserwuje. Wyrażnie czuła na sobie czyjś wzrok.

* * *

Gwardia wróciła do koszar. Żołnierzy rozesłano do kwater. Podczas krótkiego przemarszu przez miasto, Ax nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak. Niby przywitały ich wiwaty, lecz ani nie były tak głośne jak można by oczekiwać, ani liczba wiwatujących, nie była szczególnie wysoka, a już zupełnie zaskakujący był widok zasłanianych okien, czy pierzchających ludzi. Z całą pewnością, coś było nie tak. Ax postanowił posłać po porucznika Berga, pozostawionego w mieście wraz z dwustu żołnierzami oficera gwardii, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo króla i księżniczki. Lecz oto Berg przybył osobiście, aby złożyć raport, zanim jeszcze Ax zdążył wydać stosowne rozkazy.

– Co się dzieje poruczniku ?

Berg stanął na baczność, uderzając pięścią w pancerz.

– Złe wieści kapitanie.

– Mów.

– W mieście były rozruchy, straciłem dwóch żołnierzy.

– Do rzeczy Berg.

– Bestistus podburzył ludzi, rozeźlony motłoch zaatakował nasze patrole – szturmowali więzienie.

– Czego chcieli?

– Menela.

– Co?

– Chcieli uwolnić Menela. Bestistus przez pół dnia wciskał tłumom kit, aż wreszcie zawrzało.

– Co mówił?

– Takie tam bzdury.

– Co mówił poruczniku?

– Że gwardia dziś morduje sieroty, że jutro zażąda głów ich własnych dzieci i że nikt nie wie, czego zażąda pojutrze. Że w mieście panoszy się tyran bez serca i honoru i że najwyższy czas, żeby zrobić z tym wszystkim porządek. Same bzdury.

– Ale ludzie uwierzyli?

– Nie do końca. Tyle tylko, że to całe bractwo Bestistusa robiło straszną wrzawę, no i tłum zwariował.

– Czy nie można było rozgonić tej hałasty?

– Połowa moich ludzi była na patrolach, miałem niecałą setkę przeciwko dziesięciu tysiącom.

– A co z szóstą armią Bendrysa?

– Generał Bendrys został wysłany na wschód, zaraz po waszym wymarszu. Gimrowie przekroczyli granicę. Nic więcej nie wiadomo.

– Co zrobiłeś?

– Król nie pozwolił mi nic zrobić. Ułaskawił Menela – Axowi zawirowało w głowie, miał wrażenie jakby ziemia, na której stał, usunęła mu się nagle spod stóp, odsłaniając

bezdenną, chcąc go pochłonać czarną czelusć. Otwartymi ustami zaczerpnął powietrza.

– Co takiego?

– Menel jest na wolności na mocy królewskiego ułaskawiania.

– Chcę żeby Yori nie opuszczał koszar, ktoś powinien mieć go zawsze na oku.

– Rzecz w tym kapitanie że szukamy chłopaka od wczoraj, nigdzie go nie ma.

Ax przygryzł wargi, przywołał do siebie pozostałych oficerów.

– Manders postaw na nogi połowę naszych ludzi, chcę żeby sprawdzili każdą dziurę w tym mieście.

– Raxon zastąpisz Berga, złożysz też raport królowi z przebiegu wyprawy.

– Co zaś się tyczy ciebie Berg, jesteś najlepiej zorientowany w sytuacji w mieście. Przeprowadź śledztwo! Chcę mieć wszystkich, którzy szczególnie wsławili się w rozruchach a zwłaszcza zabójców moich ludzi. I nie obchodzi mnie kto za nimi stoi. Gwardia odpowiada za porządek w mieście i będzie tu porządek, bez względu na to, jak bardzo się to komuś nie podoba! Czy wszystko jasne? – Oficerowie skinęli głowami.

– W takim razie bierzcie się do roboty – odpowiedź stanowiło głucho uderzenie pięści o stalowe pancerze. Żołnierze ruszyli do wyznaczonych im zadań.

- A co ze mną kapitanie?
- Odpocznij Grey. Jutro zastąpisz Mandersa.

* * *

Zdawało jej się, że jakiś cień przemknął między krzakami, cienkie gałązki, drżały jeszcze przez dłuższą chwilę. Kątem oka dostrzegła ruch na drugim krańcu zagajnika i kolejną poruszoną gałązkę, dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym stała.

– Musi ich być kilku – pomyślała dziewczyna. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma przy niej gwardzistów, jej osobistej straży, której przecież tak nie znosiła.

– Oczywiście nigdy ich nie ma kiedy są naprawdę potrzebni! – Szybko jednak sama siebie zganiła. Bo niby jak mieli nadążyć za galopującym koniem?

Dotarło do niej nagle, że wyłącznie na własne życzenie wpakowała się w tarapaty.

– Tata ma rację, nieodpowiedzialna ze mnie smarkuła!

Jej ochrona z pewnością była gdzieś na równinie, podążając śladem końskich kopyt. A może nie? A może przyjaciele postanowili zrobić jej psikusa? A jeżeli to gwardziści są pochowani w krzakach zagajnika? Jeśli tak – to popsuje im kawał. Ale musiała być pewna. Uśmiechnęła się chytrze. Czasami potrafiła zmylić swoich strażników. Wiedziała, jeżeli nie było ich w pobliżu. Jakiś czas temu,

natrafiła w księgach na dość proste zaklęcie lokalizujące. Czar ten pozwalał na wykrycie obecności grupy ludzi, lub nawet konkretnego człowieka. Melodia była zdolnym i jak wielokrotnie podkreślał mistrz Murren – dobrze rokującym uczniem. Bez większego trudu dostosowała zaklęcie do swoich potrzeb. Kluczem tego czaru, był gwardyjski emblemat; wysunięty lwi pazur, ryt wykonany na trójkątnej miedzianej płytce. Każdy gwardzista zawsze miał ten emblemat przy sobie, zawieszony na własnej szyi. Wzdłuż górnej krawędzi blaszki wyryte było imię właściciela.

Melodia zebrała myśli, wydekłamaowała zaklęcie, nici magii zostały rzucone. Cisi zwiadowcy pobiegli we wszystkie strony, by po krótkiej chwili wrócić z raportem do swojej pani. W promieniu mili nie było żadnego gwardzisty. Pod dziewczyną ugięły się nogi. Była sama. Sama musi stanąć przeciw zagrożeniu, o którego rozmiarach, nie miała nawet pojęcia. Ale jest przecież królewską córką – księżniczką Perrunu, jest wojowniczką i czarodziejką zarazem i chociaż nikt jej tego nie uczył, to sama doszła do przekonania, że magia może być wspierana mieczem, a miecz posiłkowany magią. Miała już za sobą pierwsze, nieporadne jeszcze samodzielne próby. Nie było to nic wielkiego, ale wiedziała, że potrafi coś, o czym nawet kapitan Ax nie ma pojęcia. Potrafi łączyć w jedno magię i walkę.

Otoczyła się tarczą powietrza, to był skomplikowany czar i sporo musiała poświęcić czasu, aby go opanować,

ale było warto. Była to osłona przeciwko łucznikom. Zakłęcie polegało na zagęszczeniu powietrza. Niesiony wiatrem liść, bez trudu przedzierał się przez jej tarczę, lecz co innego wystrzelona z łuku strzała. Szybkość pocisku sprawiała że powietrze wokół niego gwałtownie gęstniało powodując wytracenie prędkości i w konsekwencji niwelację impetu uderzenia. Czarodziej osłonięty tarczą powietrza, doznawał co najwyżej drobnych skaleczeń. Oczywiście pod warunkiem, że strzał nie było zbyt dużo. Tarcza mogła przechwycić jednocześnie około dziesięciu pocisków. Do skuteczniejszej obrony konieczny był wyższy poziom czarodziejskich umiejętności, lecz był on na razie nieosiągalny dla dziewczyny. Murren często jej wypominał że nie może trwonić czasu na niepotrzebne bzdury. „Magia jest zazdrosna” – mówił, nigdy nie będziesz wybitnym czarodziejem jeżeli będziesz jednocześnie ganiać z siekierą po placu”. Zresztą Ax mówił dokładnie to samo, tyle tylko, że o profesji wojownika. Ale ona wiedziała swoje. Postanowiła, że będzie godzić jedno z drugim. Również teraz sądziła, że tarcza spełni swoje zadanie. Napastników nie mogło być przecież aż tak wielu, no i przecież nie będą chyba wszyscy na raz strzelać. Taką przynajmniej miała nadzieję. Lecz nie był to koniec jej przygotowań. Dobyła miecza. Rozległ się charakterystyczny dźwięk wydobywanego z pochwy ostrza. Jednocześnie zbierała piasek w lewej dłoni. Zakłęcie było banalnie proste, nie wymagało żadnej koncentracji, a piasek

się przyda! Nim zaatakuje, ciśnie piaskiem w oczy swoich wrogów. Niech no się tylko pokażą.

Lecz to, co ją spotkało, całkowicie wytrąciło księżniczkę z równowagi, na coś takiego, nie była przygotowana. Z lasu nie wyszedł żaden uzbrojony po zęby zbir, za to bardzo wyraźnie dotarły do niej słowa:

– Siostro, siostro!

Stała jak wryta w zupełnym osłupieniu, stopy jakby przyrosły do ziemi.

– Nie obawiaj się siostro!

Nagle zdała sobie sprawę, że dźwięki nie docierały do niej za pośrednictwem słuchu. Odbierała je bezpośrednio gdzieś w głębi swojego umysłu. Jeszcze raz usłyszała wyraźnie znany już werset – Nie obawiaj się. – Być może dalszy rozwój sytuacji miał potwierdzić prawdziwość owych słów, lecz dla Melodii, był ich bezwzględny zaprzeczeniem. Naprawdę miała się czego obawiać. Z lasu wyszły wilki. Dziewczyna stała z rozdziawioną buzią i wybałuszonymi oczami. Dwa wilki wystąpiły znacznie przed linię pozostałych. Biały wilk był ogromnym zwierzęciem, był duży, doskonale zbudowany, czarne ślepia stanowiły niesamowity kontrast dla śnieżnobiałego futra. Innym charakterystycznym szczegółem, była kozia bródka pod dolną szczęką zwierzęcia. Drugi wilk był szary, nie tak duży, chociaż większy od pozostałych. Pozostał nieco w tyle w stosunku do białego olbrzyma.

– Jestem Orhszurdb jestem starym wilkiem siostró, ty zaś młodym człowiekiem, to jest mój syn Horht to on zostanie po...

Lecz Melodia już nie słuchała. Nie chciała słuchać, miecz wypadł jej z dłoni, oburącz chwyciła się za głowę, jakby chciała w ten sposób sprawić by jej umysł zaczął na powrót normalnie funkcjonować.

– Neeeeee! – Długi przeciągły krzyk dziewczyny wypełnił równinę, by następnie odbić się echem od linii lasu.

– Nie, nie – powtarzała bełkotliwie, jak gdyby była to inkantacja jakiegoś, tajemniczego zaklęcia. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że odwróciła się na pięcie i niemal wbrew sobie pobiegła przez zieloną, soczystą łąkę, byle dalej od lasu, dalej od wilków, dalej od świdrującego jej czaszkę głosu. Biegła długo, aż do całkowitej utraty tchu. Wreszcie potknęła się o jakąś nierówność gruntu i upadła. Nie zamierzała wstawać. Leżała z twarzą w trawie z rękoma wciśniętymi nad głowę, cały czas szlochając. Nie wiedziała jak długo leży, a gdy wreszcie odzyskała przytomność umysłu, zrobiło się jeszcze gorzej. Prawda dotarła do niej z całą przerażającą mocą. Była tchórzem! Wielka następczyni tronu – zadufana w sobie głupia dziewczuszka, gotowa brać nogi za pas gdy tylko podmuch wiatru spowoduje wygenerowanie dziwnie brzmiących dźwięków. Zdolny uczeń czarodzieja – mający ambicje przerosnąć swojego mistrza, który to pierzcha przed rojącymi się w głowie iluzjami. Oto kim naprawdę była. I tak

miała szczęście, że jeszcze żyje. Zrobiła najgłupszą rzecz, jaką tylko mogła uczynić. Gdyby chociaż wdrapała się na drzewo, pod którym stała, a tak; mogła nad sobą płakać, tylko dzięki temu, że wilki nie ruszyły w pościg. Leżała wtulona w gęstą trawę łąki nie mogąc przestać szlochać, tracąc resztki szacunku dla swojej własnej osoby. Mroki nocy już dawno spowiły ziemię. Tylko błądy księżyc rzucał minimalne ilości światła na uśpioną łąkę. Zrozpaczona, zmęczona płaczem dziewczyna, także w końcu zasnęła. Gdy się obudziła słońce było już na początku szlaku, swej codziennej wędrówki. Nie obudził jej jednak chłód poranka, było przyjemnie ciepło. Ze zdziwieniem stwierdziła, że przykryta jest wojskowym płaszczem, a zaledwie kilka kroków dalej, płonie niewielkie ognisko, przy którym dwóch ludzi parzyło kawę z ziaren palonego zboża. Otworzyła szerzej oczy i uniosła głowę. Leżała między dwoma śpiącymi jeszcze żołnierzami. Kilka innych skulonych, opatulonych płaszcami sylwetek leżało kręgiem wokół ogniska.

– Dzień dobry księżniczko – kapral podszedł do dziewczyny, podając jej dymiący kubek gorącej kawy.

– Norbik – ucieszyła się Melodia, rozpoznając znajomą twarz – skąd się tu wzięliście?

– Hm... – Kapral Norbik zmarszczył czoło – przejęliśmy służbę o szóstej rano wczorajszego dnia, pod drzwiami twoich komnat. Potem eskortowaliśmy cię przez miasto do wieży czarodzieja, tak nam się przynajmniej wydawało,

a potem...

– No dobrze – dziewczyna przerwała żołnierzowi, zdawała sobie sprawę z wyrzutu w jego głosie. – Przepraszam, obiecuję że to się więcej nie powtórzy!

Kapral Norbik westchnął głęboko, mrużąc oczy, chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył otworzyć ust. Melodia była pierwsza.

– Ale jak mnie znaleźliście?

– Koń nas przyprowadził.

– Koń? Jaki koń?

Nieco zdziwiony gwardzista obrzucił badawczym wzrokiem swoją podopieczną.

– Twój koń księżniczko, ten, na którym uciekłaś... Znaczy ten, na którym byłaś łaskawa odjechać...

– A gdzie on teraz jest? – Jakby w odpowiedzi za jej plecami rozległo się ciche rzenie. Melodia wstała, oddała kubek kapralowi. Podeszła do konia.

– Wicher koniku, to znaczy, chciałam powiedzieć – przyjacielu. – Przytuliła głowę do końskiego pyska głaszcząc pieśczośliwie chrapy zwierzęcia.

– Musimy jeszcze coś załatwić koniku, czy jeszcze raz mi pomożesz? – Ciche rzenie zdawało się stanowić potwierdzenie. Jednym płynnym ruchem wskoczyła na koński grzbiet.

– Zaczekajcie tu, zaraz będę z powrotem – mówiąc to ruszyła galopem, w kierunku ledwie widocznego zagajnika.

Kapral Norbik stał przez chwile nieruchomo, wreszcie wymamrotał pod nosem:

– Jasne, jasne, oczywiście – za chwilę jednak ryknął na całe gardło – wstawać chłopaki koniec pikniku!

Zaledwie chwilę trwało zwinięcie obozu. Każdy żołnierz zdążył nawet wypić kawę. Zjedzą w czasie marszu – jak zwykle. Nie musieli jednak długo maszerować. Księżniczka Melodia rzeczywiście szybko wróciła. Nie uszło uwagi kaprała Norbika że koń był osiodłany a w pustej wcześniej pochwie u boku dziewczyny, znowu pojawił się miecz.

* * *

Pięć dni trwały poszukiwania chłopaka. Bardziej go wywąchano niż znaleziono, gdyż to właśnie odór rozkładającego się ciała przyciągnął uwagę żołnierzy. Nawet gwardziści wstrząśnięci byli tym, co zobaczyli. Miejszem kaźni była stara, opuszczona szopa, stanowiąca przybudówkę jakiegoś magazynu. Niewielkie podwórze ograniczone było z każdej strony zaniedbanym, opuszczonym budynkiem. Sporo było takich miejsc w dzielnicy Salsky. Czyniono w prawdzie starania, by uporządkować tę chaotyczną zabudowę, jednak sprawa ta podobnie jak wiele innych, wymagała przede wszystkim czasu, no i oczywiście pieniędzy, zaś administracja miasta, miała ważniejsze sprawy, niż rozbiórka rozlatujących się baraków.

Yori miał rozkrzyżowane ręce. Na przegubach malca zapięte były stalowe obręcze, poprzez które przykuty był do ściany. Cały ciężar ciała zwiślał bezwładnie na wyciągniętych ramionach.

– Kto mógł zrobić coś takiego? – Zastanawiał się głośno zszokowany Manders.

– Czy to aż tak trudno zgadnąć poruczniku?

– Ale dlaczego kapitanie? – Wymamrotał Manders po dłuższej chwili milczenia.

– Dlaczego? Przyjrzyj się uważnie. Wydłubał oczy dlatego, że widziały. Język wyrwał dlatego, że Yori opowiedział o tym co widział a wyprucie wnętrzości i pozostawienie dzieciaka przy życiu, miało być karą, tak by zanim skona zdążył się nacierpieć, by mógł rozpamiętywać dlaczego cierpi.

Manders nic nie odpowiedział, żadne słowo nie przeszłoby mu w tym momencie przez gardło. Nie możliwy do wytrzymania smród, pozbawiał wręcz oddechu. No i jeszcze muchy, cały rój paskudnych, obżartych, wielkich, czarnych much.

– Chodźmy – mówiąc to Ax zbierał się do odejścia, lecz Manders nadal stał jak kamienny posąg, nie mogąc oderwać oczu od makabrycznego widoku. Dopiero silne szarpnięcie za ramię przywróciło porucznikowi poczucie rzeczywistości.

– Dolor i Festus, zostańcie tutaj, reszta za mną.

Skierowali się przez podwórze do stojącego naprzeciwko szopy baraku albowiem poprzez ten właśnie budynek,

podwórze miało połączenie z ulicą. Od jakiegoś czasu nikt tutaj nie mieszkał, toteż uliczka była całkowicie pusta. Miejsca, takie jak to, wypełniały się ludźmi gdy do miasta przybywały kolejne fale emigrantów. Wówczas wielu nowoprzybyłych zamieszkiwało w tych ruderach, a nawet sami klecili kolejne budy, jeżeli w już istniejących brakowało miejsca. Na szczęście udało się zahamować cały ten proceder. Od kilku lat obywatelom Perrunu żyło się lepiej. Królewski edykt sprawił, że większa część emigrantów wróciła na wieś do swoich gospodarstw, ci zaś, którzy zdecydowali się zostać, mieszkali już w normalnych domach. Baraki jednak pozostały, stanowiąc schronienie dla tutejszych żebraków, rzezimieszków i pijaczków. Oddział Axa doszedł wreszcie do normalnej, pełnej ludzi szerokiej ulicy. Ax i Manders szli obok siebie. Kilka kroków za nimi, w dwóch równych rzędach kroczyło ośmiu gwardzistów. Oficerowie nie wiedzieli że brakuje dowodzącego drużyną kaprała Pirxa. Ludzie schodzili im z drogi, niektórzy uśmiechali się, pozdrawiając żołnierzy. Dotarli wreszcie pod pałac Bestistusa – siedziby Bractwa Powszechniej Szczęśliwości. Na placu panował ożywiony ruch. Bractwo rozdierało potrzebującym żywność. Te akcje zawsze bardzo dziwiły kapitana, niby karmiono tych ludzi, lecz czyniono to w taki sposób, by żaden z nich przypadkiem się nie najadł. Tym razem nalewano ludziom z kotła jakąś polewkę, do trzymanyh przez nich miseczek czy kubków, wręczano także każdemu kromkę chleba. Porcja zupy nie

była duża. Łyżka do nalewania była mniejsza od pięści.

– A ty stary gdzie? Już raz stałeś w kolejce. Wynoś się stąd, ty kłamiwy dziadu!

– Ale jestem głodny – usiłował tłumaczyć strofowany człowiek.

– Chcemy więcej! – Zakrzyknął ktoś z tyłu.

– Co? Co takiego? Czy ja dobrze słyszę? – Wrzeszczał stojący przy kotle człowiek – Chcacie więcej? Wy chcecie więcej? Ośmielacie się czegoś żądać? A kimże wy jesteście by podnosić głos? Powiem wam kim jesteście! Jesteście niczym! Jesteście śmieciem tego miasta! Łajnem walającym się po ulicach! Oto czym jesteście! Życie tylko dlatego, że Bractwo w swojej łaskawości nie pozwala wam zdechnąć! I wy chcecie więcej? Na więcej trzeba sobie zapracować. Ale jeżeli chcecie więcej, to wstąpcie do bractwa a może wtedy dostaniecie więcej!

Oddział Axa dotarł do schodów pałacu. Przy drzwiach stało dwóch strażników trzymających włócznie w ten sposób że były one skrzyżowane, uniemożliwiając przejście. Odziani byli w długie kolczugi i stalowe spiczaste hełmy. Uzbrojenie stanowił przytroczony do pasa miecz i trzymana w ręce włócznia oraz duża okrągła tarcza. Nawet straż miejska nie była tak dobrze wykwapowana.

Ax nie zwalniając kroku, podszedł do strażników. Nie zamierzali go przepuścić, lecz wojownik nie zamierzał bynajmniej ich o to prosić. Uderzył jednocześnie w drzewce

obydwu włóczy, te odskoczyły gwałtownie. Kapitan znalazł się między wartownikami. Prostując ramiona, błyskawicznym silnym ruchem, zlikwidował ostatecznie niedawną przeszkodę. Strażnicy zostali rozepchnięci na boki. Kopniakiem otworzył nieomknięte drzwi. Cała drużyna wkroczyła do obszernego, jasnego holu posiadłości. Duże, wysokie okna wpuszczały do środka całkiem sporo światła, a mimo to pod ścianami ciągnęły się dwa równiutkie rzędy srebrnych, fantazyjnie wykonanych, misternie zdobionych świeczników. Na wszystkich stały zapalone świece. Na ścianach nie było obrazów, albowiem łącznie z sufitem pokryte były najrozmaitszymi malowidłami. Całości obrazu dopełniła lśniąca posadzka z bardzo drogiego czerwonego marmuru, której środek zdobiła kunsztowna mozaika. Hol miał kształt koła a odbijająca się w podłodze kopuła, sprawiała iż miało się wrażenie przebywania we wnętrzu ogromnej kuli, zaś matowa mozaika sprawiała wrażenie, jakby była zawieszona w powietrzu na wysokości wchodzącego do wnętrza człowieka. Symetrycznie rozmieszczone po bokach schody biegły gdzieś w głąb pałacu. Schody znajdowały się również naprzeciw zewnętrznych drzwi. Te boczne, nie wyróżniały się niczym szczególnym, lecz te na wprost wyglądały naprawdę imponująco. Każdy stopień podkreślony był cienką, złotą linią krawędzi. Szerokie na dole – zwężały się stopniowo, wraz ze wzrostem wysokości. Na swym szczycie były nie wiele szersze od dwu-skrzydłowych drzwi,

do których prowadziły. Złoty łuk nad drzwiami, znakomicie harmonizował ze złotymi krawędziami poszczególnych stopni.

Ax prowadził swych ludzi w tym właśnie kierunku. U szczytu schodów stało dwóch kolejnych wartowników. Ci jednak nie mieli odwagi stanąć na drodze gwardzystów. Ba nawet usłużnie otworzyli przed nimi drzwi. Oczom kapitana ukazał się niemożliwie długi idealnie prosty korytarz. Co kilkanaście kroków mijali symetrycznie rozmieszczone drzwi, między którymi wisiały długie rzędy oprawionych w złote ramy obrazów i chociaż przyczyną ich obecności nie była bynajmniej chęć podziwiania malowideł, to jednak trudno było nie zwrócić uwagi na ohydne maskary, które przedstawiały. Korytarz kończył się kolejnymi drzwiami, przy których pełnili wartę kolejni strażnicy. Obaj zeszytnieli na widok gwardzystów, lecz żaden z nich nie wykonał jakiegokolwiek wrogiego gestu. Stali w całkowitym bezruchu i tylko nerwowo rzucane spojrzenia, świadczyły, że są żywymi ludźmi. Za tymi drzwiami, był gabinet Bestistusa. Komnata składała się jakby z dwóch części. Pierwsza bliżej drzwi była na nieco niższym poziomie w stosunku do drugiej. Na drewnianą podłogę schodziło się przy pomocy trzech stopni. Poza drzwiami po prawej stronie nie było tu nic: żadnego sprzętu, czy wyposażenia. Wnętrze tej części było absolutnie puste. Druga znacznie obszerniejsza część gabinetu wznosiła się cztery stopnie nad drewnianą podłogą.

Budulcem podłóża był tu ten sam co i w holu głównym czerwony marmur. Ściany ozdobione były w dość osobliwy sposób, albowiem namalowany był na nich ogień. Musiało być to dzieło naprawdę dobrego artysty, gdyż języki ognia ludzaco przypominały swój pierwowzór, a gdy człowiek był w ruchu, miał wrażenie, że ogień rzeczywiście płonie. Ogniste języki zdawały się drgać i rosnać w rytm stawianych przez człowieka kroków. Nieśmiałe płomyki za brały swój początek, już od końca drewnianej podłogi, a im dalej w głąb, tym były intensywniejsze, by rozżarzyć się niemal do białości w środku centralnej ściany. Było tam umieszczone okrągłe okno, obejmowane niemal w całości białym ogniem. Samo okno sięgało od podłogi aż po sufit i również nie było normalnym oknem. Było ono nieco pochylone w stosunku do pionowej ściany i skonstruowane tak, by wpadające przez nie promienie słońca, padały we właściwe miejsce. Owym właściwym miejscem, był środek podwyższonej sali, gdzie usytuowane było masywne biurko z czarnego mahoniu. Za biurkiem siedział Bestistus. Prostopadle do czarnego mebla umieszczone było jeszcze jedno dość długie i wąskie biurko, za którym siedziało dwóch ludzi. Zwróconymi byli twarzami w stronę Bestistusa. Nad głową Wielkiego Brata wisiał ogromny połączany żyrandol, z setkami tkwiących w nim świec. Wielkością i kształtem, do złudzenia przypominał okrągłe, jedyne tutaj okno. Trzy kolejne, coraz to większe obręcze połączone były w jednej płaszczyźnie

wieloma promieniami. Trzecia najmniejsza obręcz wisiała dokładnie nad głową Wielkiego Brata. W rogach komnaty znajdowały się jeszcze drzwi starannie maskowane ognistym malowidłem. Hałas wprowadzonych w ruch zawiasów zwrócił uwagę wszystkich trzech pracujących tutaj mężczyzn. Nikt nie miał prawa im teraz przeszkadzać. Kto śmiał?

Pchnąwszy masywne, ciężkie skrzydło drzwi, kapitan przystanął, musiał przymrużyć oczy. Wylewające się światło niemal go oślepiało. Korytarz, który właśnie pokonali był raczej ciemny. Widoczność zapewniało jedynie światło docierające z głównego holu, a im dalej się nim szło, tym stawał się ciemniejszy. Dodatkowo jeszcze, światła były tłumione przez idących z tyłu gwardzistów. Siłą rzeczy oczy musiały przywyknąć do panującego tam półmroku. Jedynym sztucznym światłem w korytarzu był jedno świecznikowy kinkiet nad wejściem do gabinetu, rzucający matowe światło na stojących przy drzwiach wartowników. Sami strażnicy raczej nie wielki mieli z tej świeczki pożytek, bardziej służyła ona potencjalnym interesantom Bestistusa, wskazując kierunek, w którym mają podążać. Zrobiwszy krok w przód Ax omal nie upadł. Nie zauważył schodzących w dół schodów. Ponownie się zatrzymał spoglądając pod nogi. Dopiero gdy stanął pewnie na drewnianej podłodze skierował wzrok w stronę Bestistusa. Pomimo, że jego wzrok zareagował właściwie do panującego w pomieszczeniu natężenia światła, to mimo wszystko, nie widział za

dobrze. Przez okrągłe okno, za plecami Bestistusa wlewał się słoneczny blask. Światło padało dokładnie na postać wielkiego brata, sprawiając, że ledwie można było na niego patrzeć. Dostrzegało się jedynie rozmazany zarys sylwetki. W tym momencie kapitan, już wiedział dlaczego Bestistus udziela audyencji godzinę przed zachodem słońca. Już teraz ledwie można było patrzeć na oczy, a było przecież dopiero wczesne popołudnie. Przemykając powieki Ax ruszył na przód. Był wściekły. To, co innych miało onieśmielać, na niego podziałało jak czerwona płachta na byka. Cała ta sytuacja dodatkowo wzmocniła, miotającą się w nim furję.

Wielki Brat stał za swoim mahoniowym biurkiem. Obiema dłońmi oparł się na blacie, coś wrzeszczał. Lecz nic to Axa nie obchodziło, żadne słowa nie miały teraz najmniejszego znaczenia. Karty w tej grze, zostały już rozdane, a teraz był jego ruch. Nie zwracał uwagi na krzyki odzianego w szkarłatne szaty człowieka. Prawie nie słyszał słów, widział jedynie poruszającą się nerwowo zuchwę.

Bestistus był mocno wychylony w przód, stanowiące punkt podparcia dłonie spoczywały prawie na końcu blatu, kapłan opierał na nich cały ciężar ciała. Ax chwycił za przeguby Bestistusa, z całej siły szarpnął w swoją stronę, gdy dłonie kapłana znalazły się poza blatem, błyskawicznym ruchem przeniósł ręce w górę by pochwycić nadlatujące ciało. Pochwycił natychmiast pod szyję skraj szkarłatnej szaty. Gwałtownie, całym ciałem rzucił się w tył. Miejsca

było akurat tyle, by wylądował barkiem przed początkiem schodów. Lecz Wielki Brat nie miał tyle szczęścia. Gdy zdał sobie sprawę, że jego ciało szybuje w powietrzu, opierał się już brzuchem na wyciągniętej na całą długość w górę, nodze gwardzisty. Potem znowu poczuł, że leci i że nic tego lotu nie kontroluje. Podłoże było bliżej niż oczekiwał, przeturlał się po schodach by ostatecznie zbadać twardość drewnianej podłogi. Wiedział co robi, gdy nie pozwolił tutaj położyć marmuru. Tylko on jeden, w pełni zdawał sobie sprawę z tego, jak ważne są szczegóły, chociaż czemu innemu miało to wszystko służyć.

Poderwał się tak szybko jak tylko mógł, lecz oto jego prześladowca już stał na nogach, już na niego czekał.

– Pójdiesz ze mną – głos był tak lodowaty że aż ciarki przebiegły po karku Bestistusa.

Oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru by gdziekolwiek z tym bandytą wychodzić, zanim jednak zdążył zaprotestować otrzymał tak potężne pchnięcie w ramię że wbrew własnej woli potoczył się kilka kroków w stronę wyjściowych drzwi, omal nie upadał. Cóż, ostatecznie może pójść z tym człowiekiem. Przybłęda odpowie mu za wszystko, przecież i tak odpowie mu za wszystko. Już on Bestistus, Wielki Brat, przywódca i arcykapłan Bractwa Powszechnej Szczęśliwości, o to zadba. Należał do ludzi, dla których wyrównywanie rachunków było szczególnie ważnym priorytetem. Nie będzie dłużny żadnej zniewagi,

żadnej krzywdy temu człowiekowi. Odda mu wszystko i to zawiązką, odplaci pięknym za nadobne, odplaci stokrotnie, a póki co, może przecież pójść. Znalazł się raptem między dwoma rzędami gwardzystów. Wylot od czoła kolumny zagroził jakiś młody oficer zaś z tyłu znienawidzony kapitan. Ax wskazał wzrokiem w kierunku wyjścia. Bestistus zwrócił się w stronę drzwi i powoli ruszył z miejsca. Wraz z nim podjęli marsz otaczający go żołnierze. Cały czas przebywał wewnątrz wąskiego, długiego czworoboku, czując na karku oddech swego największego wroga. Ale na wszystko przyjdzie czas. Teraz jednak musi zachować spokój. Tylko idiota będzie drażnił wściekłego psa swym postępowaniem, a on przecież idiotą nie był. Szli długim wąskim korytarzem. Z przodu dobiegał gwar krzątających się w głównym holu ludzi. Gdy dotarli do skąpanej w popołudniowym świetle sali, czekało już na nich kilkaset osób. W większości byli to zwykli członkowie bractwa, między którymi z dobytą bronią stało przynajmniej pięćdziesięciu świątynnych strażników a wciąż jeszcze z bocznego korytarza nadbiegali kolejni. Na twarzy Wielkiego Brata zagościł promienny uśmiech. Jego ludzie byli czujni. Zrobili to, co do nich należało. Być może ów nieszczęsny spacer już za chwilę dobiegnie końca, już tutaj, wbrew temu, co sobie wielki pan kapitan zaplanował. Setka jego świątynnych strażników nie ustąpi przecież przed dziesiątką żołdaków, a szczerze wątpił, aby żołnierze byli skłonni do przelania krwi, bo wtedy była by to już napaść, na

uznane i liczące się nie tylko w mieście ale i w całych krainach bractwo i chociaż prawo niewiele Bestistusa obchodziło to jednak przyjemnie było mieć świadomość że tym razem stoi ono po jego stronie. Być może będzie jeszcze w stanie, całe to zamieszanie wykorzystać i obrócić na własną korzyść. Wszak w snuciu intryg był niedoścignionym mistrzem. Jak nikt inny, potrafił chwytać nadarzające się okazje. Nawet z kłamstwa potrafił uczynić prawdę, a co dopiero z takich jak ta okazji. Gwardziści musieli się zatrzymać. Zbity tłum odgradzał ich od wyjścia szerokim, nieprzejezdnym murem.

– Ustąpicie! Powiadam wam ludzie po dobroci, ustąpcie! – Głos Axa nie pozostawiał cienia wątpliwości. Był zdecydowany przejść. Lecz nikt nawet nie drgnął. Zrobiło się nagle bardzo cicho, tak cicho, że aż dzwoniło w uszach. Chrząst dobywanego przez Axa krótkiego miecza, był więc doskonale słyszalny. Jak na komendę, dziewięć innych mieczy, w jednej chwili opuściło, przytroczone do pasów pochwy. Przeraźliwy zgrzyt wypełnił panującą tutaj niesamowitą ciszę. Mimo iż nawet kropla krwi nie splamiła jeszcze lśniącej marmurowej posadzki, to jednak w powietrzu można już było wyczuć, drażniący i mdły zapach posoki.

– Przejście dla królewskiej gwardii! – krzyknął ktoś donośnym głosem od strony głównego wejścia. Głowy wszystkich zebranych zwróciły się w kierunku drzwi, przez które przechodził właśnie potężnie zbudowany porucznik Greyn. Zaraz za oficerem, wszedł kapral Pirx, łobuzersko

puszczając oko do stojących wewnątrz kolegów.

– Melduję przybycie pierwszej kolumny, kapitanie – ponownie zakrzyknął Greyn swoim dudniącym głosem.

Kolejni gwardziści wchodzili do wewnątrz, torując sobie drogę opuszczonymi i wysuniętymi włóczniami. Zmusili zebranych członków bractwa do rozejścia się na boki. Tłum ustępował niechętnie, w głuchych pomrukach niezadowolenia. Jednak przybycie liczącego tysiąc ludzi oddziału, radykalnie zmieniło układ dotychczasowych sił. Nawet najbardziej zagorzali fanatycy bractwa, stracili ochotę by podjąć próbę czynnego stawienia oporu. Drużyna Axa, wraz ze swym dostojnym gościem, ruszyła poprzez szpaler utworzony z żołnierzy pierwszej kolumny. Podczas przemarszu gwardzistów przez miasto, wielu przechodniów zwróciło uwagę na ową nieoczekiwaną wojskową paradę. Nawet sam król nie korzystał nigdy z towarzystwa tak licznej eskorty. Najwyraźniej coś się działo, a ludzie jak to ludzie, chcieli wiedzieć co. Gdy wreszcie dotarli w okolicę zrujnowanych baraków, pierwsza kolumna stanęła przed zadaniem zatrzymania, przynajmniej kilkutysięcznego tłumu. Na szczęście ludzie nie byli agresywni a jedynie ciekawi. Fakt, że nikt nie miał najmniejszego pojęcia o co właściwie w tym wszystkim chodzi, nadawał całej sprawie szczególnej atrakcyjności, no i oczywiście sprawa wymagała natychmiastowego wyjaśnienia. Teren został jednak zabezpieczony tak dobrze, iż żadne wścibskie oczy, nie mogły

niczego dostrzec. Na otoczone ruderami podwórze weszła jedynie najbliższa obstawa Bestistusa. Przechodząc przez pierwszy barak, Ax zdjął ze ściany wiszący na haku zwinięty gruby sznur. Bestistus zakrywał dłonią nos. Zatrzymał się gwałtownie, ujrawszy przykute do ściany, okaleczone i sponiewierane zwłoki dziecka. Stał i patrzył szeroko rozdziawionymi oczami, również usta miał szeroko otwarte, opuścił nawet osłaniającą nos rękę, tak jakby smród, przestał mu już przeszkadzać. Potężny kuksaniec w ramię przywrócił mu poczucie rzeczywistości. By nie upaść, musiał wykonać kilka niechcianych kroków. Kiedy stanął w miejscu, powiódł pytającym wzrokiem po twarzach żołnierzy. Znowu został silnie popchnięty, znowu zrobił parę kroków, był coraz bliżej zwłok.

– Zaraz, może ktoś mi wreszcie wyjaśni o co tu właściwie chodzi? – Głos kapłana nie miał w sobie nic ze zwykłej stanowczości, był drżący i niepewny.

– Ten chłopczyk to Yori. To właśnie on widział jak Menel morduje Pita. To na podstawie jego zeznań skazałem mordercę na śmierć, a ty sprawiłeś, że jest na wolności. To ty jesteś winien śmierci tego dziecka!

– Ale, ale ja... – Kolejny kuksaniec wprawił w ruch ciało wielkiego brata. Był już niemal wewnątrz szopy.

Właściwie była to bardziej wiata, gdyż czołowa ściana w zasadzie nie istniała. W całości były tylko plecy i boki budynku. W poszyciu dachu również istniały poważne braki,

więcej było w nim dziur niż zachodzących na siebie desek.

Bestistus cofał się przed napierającym na niego kapitanem, Został wepchnięty pod dach, zaledwie kilka kroków od zmasakrowanych zwłok. Wyprute wnętrzności niemal dotykały jego stóp. Aż trudno było uwierzyć że jelita pochodzą z brzucha tylko jednego małego chłopca. Tak było tego dużo a wszystko nabrzmiące i cuchnące.

– Odwróć się! Twarzą do ciała! – Rozkaz kapitana wypowiedziany został stanowczym lodowatym głosem. Nie było tu miejsca na jakikolwiek sprzeciw. Bestistus posłusznie wykonał polecenie.

– Na kolana! – Brzmiała kolejna komenda.

Chmary wielkich, czarnych, obżartych, paskudnych much, bzyczały w powietrzu, niezadowolone z zakłócania panującego tutaj spokoju i harmonii. Bestistus posłusznie wykonał rozkaz. Klęczał na skraju rozwleczonych, cuchnących trzewi. Powietrze przeszył cichy świst. Kapitan przerzucił trzymany w ręku sznur przez jedną ze stropowych belek. Dziura w dachu była dokładnie nad głową Bestistusa. Zaledwie chwilę zajęło wojownikowi zawiązanie pętli, którą założył na szyję wielkiego brata. Bestistus zlany potem, drżał na całym ciełe. Porucznik Manders podbiegł do swojego dowódcy, usiłując odciągnąć wojownika na bok.

– Kapitanie, uczyłeś nas że wojownik nie mści się na bezbronnym wrogu.

– I dobrze was uczyłem poruczniku! Gdybym wyłupał

temu człowiekowi oczy, wyrwał język i wypruł flaki, byłaby to zaledwie sprawiedliwość, a przecież nie zamierzam uczynić żadnej z tych rzeczy. Ja się nie mszczę.

Manders wracał na swoją pozycję. Nie był do końca przekonany, nie do końca aprobował postępowanie przełożonego, chociaż wiedział że jest ono słuszne. Ileż to razy słyszał od kapitana że człowiek powinien robić to, co uważa za właściwe, bez względu na to, ile miałoby go to kosztować. Należy bronić prawdy, obstawać przy tym co sprawiedliwe. Bo drogą wojownika jest prawda i honor. Może więc i on sam powinien robić to co uzna za słuszne. Pomyłeńcowi należało dać nauczkę, ale żeby od razu go wieszać? Czy nie powinien powstrzymać kapitana? Tyle tylko, że to oznaczałoby bunt, a przecież nikogo na świecie nie darzył takim szacunkiem jak Axa wojownika. Kapitan nauczył go wszystkiego, to dzięki niemu zaszedł tak daleko. Jako syn biednego farmera mógł zostać co najwyżej szeregowcem w najgorszej perruńskiej armii. Stanowiska i zaszczyty trzymano wyłącznie dla szlachetnie urodzonym, on zaś – był nikim. Nikogo w Perrunie nie obchodziło co człowiek potrafił i jakie posiadał zdolności. Urodzenie decydowało o wszystkim. Lecz w gwardii było inaczej. Kapitan wyrócił do góry nogami, cały obowiązujący dotychczas porządek. Tymczasem Ax naprężył przerzuconą przez belkę linę. Zawiązał na niej pętlę i założył ją na szyję kapłana. Drugi koniec liny przywiązał do nóg Bestistusa, na

wysokości kostek. Ściągnął do tyłu obydwie ręce klęczącego człowieka i związał je nie zagospodarowanym jeszcze sznurem, dbając by lina była mocno napięta. Po czym znów wrócił z wiązaniem do kostek. Węzły związane były w taki sposób, że im bardziej się je szarpało i ciągnęło tym mocniej się zaciskały. Były jednocześnie bardzo proste a co za tym idzie, ich wykonanie zajmowało naprawdę niewiele czasu. Cała sztuka polegała na odpowiednim ułożeniu splotów.

Ax stał przez chwilę spoglądając na unieruchomionego wielkiego brata. Bestistus nie mógł wstać, nie mógł również upaść, gdyż każda próba ruchu spowodowałaby silniejsze naprężenie sznura, a to z kolei byłoby powodem uduszenia, przez zaciskającą się na szyi pętlę. Wojownik sięgnął następnie do umocowanej przy pasie sakwy. Gwardyjskie pasy prócz uchwytów na broń, wyposażone były również w różnej wielkości schowki, w których można było znaleźć bardzo dziwne rzeczy, jak np.: rulonik papieru i miedzianą fiolkę z atramentem, igłę i nici do szycia, hubkę i krzesiwo, trochę drutu i skrawek surowej skóry, zestaw do łowienia ryb, który stanowiła cienka, mocna linka z uwiązany haczykiem, zwinięte płótno na opatrunek i kawałek sznurka oraz cała masa najrozmaitszych drobiazgów. Ax wydobył z sakwy linkę z haczykiem. Chwycił palcami płatek ucha Bestistusa i bezceremonialnie przebił je haczykiem. Przeciągnął przez nie cały haczyk i kawałek linki. Następnie wcisnął haczyk w kącik ust Bestistusa i pociągnął za linkę,

w celu wybrania niepotrzebnego luzu. Zamocował napiętą linkę do bocznej ściany szopy, co nie sprawiło mu żadnych kłopotów, gdyż sporo tam było wystających gwoździ. Linka była wprawdzie napięta, ale nie na tyle by spowodować obrócenie głowy kapłana. Ax przeszedł na drugą stronę trzęsącego się człowieka, lecz nie miał drugiego zestawu do łowienia ryb. Zanim jednak zdał sobie z tego sprawę, podszedł do niego kapral Pirx, podając w usługnym geście na wyciągniętej dłoni własny zestaw wędkarski. Po chwili również drugie ucho i kącik ust kapłana uzyskały połączenie ze ścianą szopy. Gdyby Bestistus zechciał teraz kręcić głową to rozerwałby sobie uszy i uzyskał o wiele szerszy uśmiech. Był absolutnie unieruchomiony, mógł jeszcze co najwyżej mrugać powiekami. Nie pozostawiono mu żadnych możliwości ruchu. Musiał klęczeć i patrzeć, chociaż mógł oczywiście zamknąć oczy.

– Módl się Wielki Bracie, arcykapłanie Bractwa Powszechnej Szczęśliwości. Módl się jeżeli potrafisz.

Ax skinął na swoich ludzi, wszyscy opuścili podwórze pozostawiając wewnątrz szopy osamotnioną postać. Kiedy zajęli pozycję na ulicy, kapitan przywołał kaprala Pirxa.

– Czym się zajmowałeś przed wstąpieniem do gwardii?

– Melduję, że rozbojem.

– Ach tak. Hm, to ciekawe. Jak ci szło?

– Nieszczególnie. Biedaków nie było z czego rabować a bogacze zawsze mieli eskortę. Nie było lekko.

– Podoba ci się w gwardii?

– O tak, jasne. Nie dość że robię to co lubię, to jeszcze dostaję za to kupę złota. No i poza tym, robię wreszcie coś pożytecznego. – Ostatnie zdanie kapral wypowiedział ściszym nieco głosem, jakby obawiał się że ktoś go może usłyszeć.

Zza rogu wyłoniło się dwóch żołnierzy prowadząc odzianego w białe szaty człowieka. Ax rozpoznał w nim Serususa, drugiego kapłana bractwa. Człowiek miał poczerwieniałą od złości twarz, oraz gniewnie zaciśnięte usta i gdyby spojrzeniem można zabić to z pewnością ulica byłaby już gęsto zasłana trupami.

– Chcę się natychmiast widzieć z moim mistrzem!

– Przykro mi czcigodny Serusisie lecz twój mistrz jest zajęty a ja dbam o to, by mu nikt nie przeszkadzał. – Ax starał się mówić spokojnym a nawet uprzejmym głosem. Lecz przybyły człowiek był zbyt wzburzony. Kipiący w nim gniew, nie pozwalał na racjonalne myślenie, zaś uprzejmy ton wypowiedzi kapitana, wręcz zachęcał do dalszych wrzasków.

– Żądam widzenia z Bestistusem! Chcę wiedzieć gdzie jest i co robi!

– Bardzo proszę Serusisie byś raczył się uspokoić. Twój mistrz jest cały i zdrowy. Lecz nie możesz go teraz zobaczyć, aż do wieczora nie wolno mu przeszkadzać.

– Żądam...

– Jest na sąsiednim podwórzu zaraz za tym barakiem.
Modli się.

– Co?

– Modli się.

Twarz kapłana wyrażała teraz bezgraniczne zdziwienie, jakby modlitwa była ostatnią rzeczą, do której arcykapłan Bestistus był zdolny. Do uszu Axa dobiegło głośne kaszlenie kaprała Pirxa.

– Jak to modli się? – Głos Serususa nie wyrażał w tym momencie żadnych emocji.

– Po prostu się modli. Sam go o to poprosiłem.

– A czy twój mistrz zawsze używa takich wyrafinowanych metod koncentracji? – Zapytał Pirx nie przestając kaszleć. Groźne spojrzenie kapitana natychmiast przywołało kaprała do porządku. Wzruszył tylko ramionami.

– Przepraszam kapitanie, nie znam się na tym, więc pytam bo jestem ciekawy.

– W porządku kaprału – odpowiedział kapitan, a zwracając się do człowieka w bieli rzekł.

– Ręczę że wieczorem zobaczysz swego mistrza. Zapewniam cię również że jest cały i zdrowy.

Ledwie Ax pozbył się pierwszego niepożądanego gościa a już przybył następny. Tym razem był to sam król Andarandis. Władcy towarzyszył niemal cały pełniący w tym dniu służbę strażniczą oddział. Brakowało jedynie drużyny stanowiącej osobistą ochronę księżniczki. Ax z aprobatą skinął Bergowi

głową. Podjęte przez oficera środki ostrożności były jak najbardziej uzasadnione. Obok króla dreptał niski, gruby, odziany w biel człowiek, zachowujący się niczym merdający ogonem, łaszący się psiak, pragnący za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę swego pana.

– Ciekawe czy i aportować potrafi – wymamrotał pod nosem kapitan. Jakby w odpowiedzi usłyszał głośnie parsknięcie kaprała. Ax spojrzał na podkomendnego. Pirx zgięty w pół trzymał się za brzuch.

– Panuj nad sobą chłopie – skinąwszy głową żołnierz z najwyższym trudem przyjął pionową pozycję, nie przestawał jednak kaszleć. Ax oddalił go nieznacznym gestem dłoni. Po zaledwie kilku krokach dopadł kaprała kolejny atak kaszlu.

– Królewski orszak był już bardzo blisko. Kapitan w geście szacunku, pochylił przed królem głowę, pierwszy przemówił do władcy.

– Wielki to dla mnie honor mój Panie, że raczyłeś zaszczyścić swym przybyciem naszą skromną uroczystość pogrzebową. Doprawdy wielka to rzecz, gdy król przychodzi na pogrzeb sieroty – nic nie znaczącego chłopczyny. Nie na próżno mówi się że władca Perrunu kocha i troszczy się o wszystkich swych poddanych. Dziękuję ci królu w imieniu wszystkich sierot królestwa. Gościmy już samego Arcykapłana Bestistusa i nawet nie marzyłem o twoim Panie przybyciu. Pragnę cię też gorąco przeprosić, że zaczęliśmy obrządek bez ciebie. Racz mi panie wybaczyć.

Nie wiedziałem... Czcigodny Bestistus odprawia już modły nad ciałem naszego małego brata. Przybył tu wraz z nami by polecić swym bogom duszę tego biednego dziecka. Proszę cię więc Panie abyś wraz z nami w ciszy i skupieniu włączył się w modlitwę szlachetnego Bestistusa. Bardzo byśmy wszyscy chcieli, aby Yori przynajmniej po śmierci znalazł trochę szczęścia a ktoś może to wymodlić, jeśli nie dostojny Bestistus – Arcykapłan Bractwa Powszechnej Szczęśliwości. Bardzo pragniemy by owa powszechna szczęśliwość stała się udziałem naszego podopiecznego. Kochaliśmy go tak jak wszystkie nasze sieroty, nie mogliśmy dać mu niczego więcej i nigdy już, nic więcej mu nie damy. Odszedł zbyt wcześnie i zbyt nagle. O zachodzie słońca podpalimy stos. – Wypowiedziawszy te słowa Ax skłonił się królowi po czym wyprostował się i znieruchomiał.

Wszyscy gwardziści również stali nieruchomo niczym dumne kamienne posągi. Andarandis nieznacznie skinął w odpowiedzi głową. Gruby człowiek usiłował protestować wymachując rękoma, wyrzucał z siebie potok niezrozumiałych słów. Królewskie „Milcz!” natychmiast przerwało jego wypowiedź. Już nic nie zakłócało ciszy. Któryś z żołnierzy zaintonował pieśń żałobną, wnet zyskał wsparcie towarzyszy. Potężny głos wydobywający się z tysiąca żołnierskich gardeł wypełnił całą najbliższą okolicę. Zgromadzeni przez ciekawość ludzie wiedzieli już, że są na pogrzebie. Niektórzy włączali się do śpiewu,

inni ze spuszczonymi głowami ruszyli do swoich domów, do czekających ich spraw. Nadal jednak nie rozstrzygniętą była kwestia: czyj to jest pogrzeb, a skoro przybył sam król musiał być to ktoś naprawdę znaczny, toteż większość zebranych nadal tkwiła na zajętych przez siebie miejscach. Tak minęły kolejne dwie godziny. Słońce było już nisko nad horyzontem, nadchodził kres dnia. Kapitan przywołał Pirxa.

– Sprawdź czy Bestistus już skończył, czas przygotować stos.

Uderzywszy pięścią w pancerz na piersi kapral odszedł pośpiesznie ginąc w drzwiach baraku. Minęła dłuższa chwila zanim powrócił.

– Czcigodny Bestistus odprawił już modły możemy zaczynać.

Ruszyli do baraku, z którego przed chwilą wyłonił się kapral. Niski gruby człowiek dreptał niecierpliwie u królewskiego boku. Wszedłszy na podwórze ujrzeni leżącego twarzą w ziemi Bestistusa. Ciało kapłana drżało spazmatycznie a z piersi wydobywał się dziwny trudny do opisanego charkot. Mógł to być zarówno szloch jak i histeryczny chichot. Pomimo skupienia całej swej uwagi, Ax nie był w stanie stwierdzić czy Bestistus płacze, czy raczej chichocze.

Gruby kapłan natychmiast podbiegł do swego mistrza, usiłując niezdarnie podnieść arcykapłana, lecz Bestistus ciągle wymykał się z jego krótkich rąk. Dopiero z pomocą

dwóch gwardzistów, postawiono kapłana na nogi, lecz nie był w stanie stać o własnych siłach, żołnierze zmuszeni byli go podtrzymywać. Król patrzył w osłupieniu na zmasakrowane małe ciało, przykute do ściany szopy. Zaciśnął usta, lecz w kącikach jego oczu zalśniły łzy.

Tymczasem gwardziści rozebrali szopę. Z uzyskanych w ten sposób desek, zbudowali stos, na którym ułożono ciało Yoriego. Drewno było wysuszone, na wpół spróchniałe, stanowiło więc dla ognia idealną pożywkę. Gdy wreszcie słońce osiągnęło kres horyzontu – podłożono ogień. Stos zapłonął. Stojący w równych rzędach żołnierze pierwszej kolumny, dumnie prezentowali broń, oddając hołd zamordowanemu, małemu chłopcu.

* * *

Wracali w ciszy, skoncentrowani na dopiero co przebytych doświadczeniach. Wracali bez pośpiechu. Kiedy umiera starzec jest to naturalna kolej rzeczy. Śmierć nie wydaje się wtedy ani straszna, ani tym bardziej okrutna. Stanowi wręcz wybawienie, dla styranego życiem zniedołężniałego człowieka. Lecz zupełnie inaczej jest ze śmiercią dziecka. Dla schorowanego starca, śmierć jest czymś w rodzaju łaski, gdyż niesie wyzwolenie od cierpienia i niedołęstwa, od wszystkiego czym stary człowiek (mimo całego swego życiowego doświadczenia) nie jest sobie w stanie

poradzić. Śmierć jest litościwa. Przychodząc po starców daje tego najlepsze dowody. Lecz zabierając dzieci jest okrutna i bezsensowna. Burzy wszelki porządek, zaprzecza wymyślonej przez ludzi logice. Bo chociaż dzieje ludzkości to historia całych narodów to przecież postęp jest zawsze zasługą poszczególnych jednostek. To właśnie dzięki nim ludzkość podlega stałemu rozwojowi. Jakże często wielkie odkrycia, są dziełem wyśmiewanych, obsesyjnych dziwaków. Z owoców ich pracy korzystają później całe pokolenia, chociaż o nich samych, nikt już nie pamięta. Kto wie kim byłby Yori? Jaki wkład wniósłby swoim życiem do wspólnego dorobku? Jednostki tworzą społeczność, ubogacając ją swym talentem i osobowością.

– Słucham Kapitanie – nie wytrzymał idący obok Axa Andarandis

Wyrwany z rozważań gwardzista rzucił na władcę pytające spojrzenie.

– Nic nie mówiłem.

– I o to właśnie chodzi! Czy nie uważasz, że należy mi się jakieś wyjaśnienie?

– Hm, zwłoki znaleźliśmy dzisiaj koło południa, jest ciepło, a ciało zaczęło się już rozkładać. Trzeba to było załatwić od ręki.

– I dlatego czym prędzej porwałeś jednego z bardziej wpływowych obywateli królestwa? Przerwał król wojownikowi nieco poirytowanym tonem. Opanowawszy

złość ciągnął dalej:

– Bestistus nie jest byle kapłanem, jakiegoś tam kultu. Jego głos liczy się już nie tylko w Perrunie ale i w całych krainach. Nie można nie doceniać znaczenia Bractwa Powszechnej Szczęśliwości. Ubolewam nad tym co się stało. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci tego dzieciaka, ale na Bogów – człowieku, nie możesz traktować Bestistusa jak pierwszego lepszego rzezimieszka.

– To prawo w Perrunie nie dotyczy wielmożów? – Zapytał Ax opanowanym spokojnym głosem.

– Oczywiście, że dotyczy. Ale nie możesz... – Andarandis przerwał w pół zdania drapiąc się kciukiem w lewą brew, zdał sobie nagle sprawę, że oto dał się podejść wojownikowi. Sam przecież oficjalnie ogłosił, że wszyscy obywatele królestwa ponoszą równą odpowiedzialność wobec prawa, że ani pozycja, ani majątek nie czyni człowieka nietykalnym. Zbrodnie miały być karane bez względu na to, kto się ich dopuszczał. Przez chwile szli w milczeniu.

– W każdym bądź razie, w dalszym ciągu oczekuję wyjaśnień – Andarandis całkowicie panował już nad własnym głosem i emocjami. Ax milczał jeszcze przez chwile. Nie miał ochoty na tę rozmowę, lecz nie mógł przecież od niej uciekać, nawet nie powinien. Jego obowiązkiem było zdanie relacji z przebiegu wydarzeń, jak również przedstawienie własnej oceny (był w końcu dowódcą zamkowego garnizonu) – nawet, jeżeli sytuacja była cokolwiek niezręczna.

– Yori to tylko przypadkowa ofiara mój Panie. – Andarandis czekał cierpliwie na dalszy ciąg wypowiedzi. Nie chciał w żaden sposób przynaglać kapitana. Bardzo sobie cenił zdanie wojownika. – To była próba sił.

Gdy król skinął nieznacznie głową Ax podjął przerwany na chwile temat.

– Bestistus chciał sprawdzić, jak daleko może się posunąć. Skazanie Menela stworzyło pewną okazję lecz równie dobrze mógł to być każdy inny pretekst. Chodziło wyłącznie o sprawdzenie reakcji króla Perrunu. Króla, który nie dysponuje w danym momencie żadną, znaczącą siłą. Bestistus chciał po prostu wiedzieć co robi król Perrunu przyparty do muru. Wybacz mi śmiałość Panie, ale uważam, że była to próba Twego charakteru i ty ją przegrałeś...

Ax zamilkł, Andarandis również milczał przez dłuższą chwilę, ważąc w myślach słowa wojownika. Pierwszy przerwał milczenie.

– Cóż więc miałem zrobić? Jak się zachować? Miałem udawać że nic się nie dzieje, że nie ma żadnych rozruchów? Żadnych pożarów? Miałem czekać by sprawdzić czy zamieszki przerodzą się w jakąś poważniejszą rewoltę? A może miałem stanąć na czele setki gwardzistów i poprowadzić ich na własnych poddanych?

– Na burdowników i podpalaczy – wtrącił Ax nie podnosząc wzroku.

– Tak, ale w ogromnej większości byli to zwykli

ludzie, którym bractwo zrobiło wodę z mózgów. Polegli by w pierwszej kolejności, gdyż przewodrzy chowali się zręcznie za ich plecami. Takiemu tłumowi nie sposób przemówić do rozsądku, zaś próba użycia siły, zawsze powoduje wybuch agresji motłochu, a kiedy już do tego dojdzie, nic nie jest w stanie czegoś takiego powstrzymać. Musi wówczas upłynąć sporo czasu i jeszcze więcej krwi. Nie chciałem do tego dopuścić! Rozumiem, że masz od mnie żal o śmierć tego dzieciaka. Nie wiedziałem że taki będzie finał. Lecz nawet gdybym wiedział, to i tak postąpiłbym tak samo...

Tym razem Ax oderwał oczy od ziemi, obdarzając władcę pytającym, apatycznym spojrzeniem. Andarandis wytrzymał spojrzenie.

– Tak, postąpiłbym tak samo. Nawet gdybym znał cenę. Jeżeli, głębiej się nad tym zastanowić, to wcale nie była ona taka wysoka.

– O tak – wtrącił kapitan – tym bardziej, że to Yori ją zapłacił.

Andarandis posiniał z gniewu. Prawa dłoń zacisnął na rękojeści miecza. Lecz broń nie wysunęła się z pochwy nawet o cal. Widać było że władca toczy jakąś wewnętrzną walkę. Chciał dobyć broni, lecz jednocześnie angażował całą swoją wolę aby tego nie uczynić. Uchwyt na głowni miecza był tak silny, że zaciśnięta dłoń stała się niemal biała.

– Czy człowiek, który miał dość skrupułów, by nie

zaatakować wroga, będzie w stanie pozbyć się ich wszystkich, ażeby uderzyć przyjaciela? Z mojej strony Panie nic ci nie zagraża. Ax mówił spokojnie, jednak można było zauważyć żal i rozgoryczenie w tonie jego głosu.

– Mówisz Panie że cena nie była wysoka, cóż, w końcu to tylko jakiś osierocony chłopak. Czy równie chętnie poświęciłbyś każde inne życie? A gdyby chodziło o życie twojej córki? Czy za cenę jej życia, równie chętnie kupiłbyś spokój dla miasta? Czy wtedy też cena nie byłaby zbyt wysoka? – Dłoń króla ześlizgnęła się powoli z rękojeści.

– Przecież to ty posyłasz ludzi na śmierć – król próbował się jeszcze bronić.

– Posyłam żołnierzy... I nie posyłam ich na śmierć, lecz do walki. Zostali wyszkoleni by zwyciężać, by żyć. Gwardia nie zostawia swoich rannych na polu bitwy.

– Czy nie zostawisz jednego mogąc w ten sposób uratować stu innych?

– Raczej poprowadzę ich by ratować tego, który został i nie ważne ilu przy tym zginie. Gwardziści walczą jak lwy, bo wiedzą że mogą na sobie polegać. Wiedzą że towarzyszy ich nie porzuci i raczej polegą niż się cofną. Każde życie jest cenne! O każde warto walczyć, każde należy ratować.

– W takim razie co z życiem Menela? Przecież osobiście skazałeś go na śmierć!

– Skazałem mordercę! Nie zasługuje na życie ten, kto nim gardzi! Jeżeli zachowamy przy życiu mordercę, tym samym

przyznamy, że życie jego ofiary nie miało żadnego znaczenia, żadnej wartości. Jakim to niby prawem, wyżej należy cenić życie mordercy? W imię jakich to niby wartości? Dlaczego mamy się litować nad zabójcą a nie nad jego ofiarą? Zbrodnia zasługuje jedynie na karę.

– Chcesz więc powiedzieć, że zadajesz śmierć w imię życia, w imię jakiegoś wydumanego przez siebie wyższego dobra?

– Tak zadaję śmierć w imię życia, czynię gwałt w imię pokoju! Wróg, który mnie atakuje dokonuje napaści. Każdy zaś napadnięty ma prawo się bronić! Nie wszyscy jednak to potrafią i nie wszyscy mogą. Dlatego właśnie potrzebni są wojownicy. Po to aby bronić tych, którzy sami obronić się nie mogą. Hultaja można ukarać chłostą, złodzieja – napiętnować i zmusić do zadość uczynienia. Lecz dla mordercy jest tylko jedna kara. Zapłatą za śmierć – jest śmierć! Inaczej żadna sprawiedliwość nie będzie miała sensu. Oczywiście każdy ma prawo do własnych wyborów (jakie by one nie były) lecz musi się jednocześnie liczyć z ich konsekwencjami. Wróg, który dla łupów napada na twoje królestwo sam wydaje na siebie wyrok i każdy twój żołnierz ma obowiązek wymierzyć mu karę śmierci. Każdy zbir ściskający w garści sztylet musi czuć ściskającą mu gardło pętlę.

Ax patrząc w ziemię ciągnął jeszcze swoje wywody, lecz król już go nie słuchał całkowicie pochłonięty własnymi myślami. Jakże bardzo zazdrościł kapitanowi jego wizji

rzeczywistości. Świat wojownika był niemożliwie prosty. Ax wyróżniał zaledwie dwa kolory: biały i czarny. W tak postrzeganym dualizmie nie było miejsca na jakikolwiek kompromis. Albo coś było dobre i należało za to walczyć, albo coś było złe i walczyć należało właśnie z tym czymś. Żadnych kompromisów ze złem – żadnej polityki. Jakże różny był jego świat. Świat królów to świat intryg – ciągłych knowań i podstępów. To świat nieustającej gry. Było to brzemień ludzi sprawujących władzę. Cóż może o tym wiedzieć zwykły żołnierz. Lecz przecież Ax nie był zwykłym żołnierzem. Kapitan gwardii był dowódcą miejskiego garnizonu, gwardia stanowiła obsadę twierdzy. W polu, kapitan musiałby uznać zwierzchnictwo generałów, lecz tu w mieście jego władza była niekwestionowana. Był praktycznie drugą osobą w stolicy, zaraz po swoim królu. Straż miejska również podlegała jego rozkazom. Jak więc było możliwe by ów człowiek wciąż był wierny swoim ideałom? Nic się nie zmienił, mimo upływu lat. Co więcej: zaskarbił sobie szacunek obywateli i ślepe wręcz oddanie podległych mu żołnierzy. Król uśmiechnął się na wspomnienie obaw, jakich doświadczył przed laty, gdy Ax tworzył swoją gwardię – najwspanialszą formację w całej historii Perrunu. Gwardziści wielokrotnie już dowiedli swojej wartości. Nie szkoda było ani jednej sztuki wydanego na nich złota. Tak więc, władza była udziałem wojownika, lecz nikt nie postrzegał Axa jako tego – kto rządzi, raczej

widziano w nim tego – który służy. Jakże często, spotykało się ludzi, którym awans namieszał w głowie. We władzy było coś deprawującego. Nawet niewielka jej część, sprawiała że ludzie zmieniali się nie do poznania. Momentalnie wzrastała ich wiedza i mądrość. Z dnia na dzień stawali się ekspertami niemal w każdej dziedzinie, zmieniali też sposób bycia, przywdziewali wytworne szaty, obnosząc się dumnie ze swoim dostojenstwem. Często nie rozpoznawali dawnych przyjaciół. Nierzadko też dawali im odczuć siłę sprawowanego przez siebie urzędu. Lecz Ax był inny. Kapitan Królewskiej Gwardii nie miał nawet ordynansa. W czasie wypraw sam rozstawiał swój namiot, który niczym nie różnił się od namiotów zwykłych żołnierzy. Sam dbał o ekwipunek, jadał z żołnierzami przy jednym stole z tego samego kotła. Nie korzystał z żadnych przywilejów sprawowania władzy, nawet tych, które niejako prawnie mu przysługiwały i tak jak w dniu, w którym przybył do Perrunu, tak i dziś, cały jego majątek, mieścił się w podróżnej torbie. Ciągłe też był tym samym, niczym nieskrępowanym, wolnym człowiekiem. W tym przypadku władza nie była w stanie wycisnąć na obliczu wojownika, swego charakterystycznego piętna, na które inni, byli tak bardzo podatni. Może więc warto było rozważyć stawiane przez kapitana tezy. Ale czy zdanie jakiegokolwiek człowieka zasługuje na królewską uwagę? Wszak królowie zostali postawieni ponad narodami, by czuwać nad ich wzrostem i rozwojem. Królowie byli

wybrańcami bogów, dlatego dzierżyli nieskrępowaną niczym władzę. Musieli więc być właściwie wyposażeni we wszystkie talenty i konieczną inteligencję. Kształceni przez najwybitniejszych sofistów, posiadli całą, najwartościowszą, zdobytą przez ludzkość wiedzę. Królowie byli wybrańcami bogów, lecz czasami bogowie musieli mieć niezły ubaw, obserwując swych protegowanych, a może właśnie w tym celu ich wybierali? Może właśnie po to, by zabawić się nieco kosztem śmiertelników. Czy może być coś zabawniejszego niż uczynienie idioty królem i śledzenie jego poczynañ? Andarandis przypominał sobie, jak kiedyś podarował córce psa, przesympatycznego pudła. Melodia nauczyła go chodzić pionowo na dwóch łapach. Któregoś dnia ubrała psiaka w koronę i purpurowy płaszcz. Cały dwór miał niesamowitą uciechę obserwując śmiesznego zwierzaka, który nie miał nawet pojęcia, jak znakomitej rozrywki dostarczył perruńskiemu dworowi. Co do roboty mają nieśmiertelni bogowie? Jakże znudzeni muszą być swym niekończącym się życiem, czy można ich winić za to, że próbują rozwiązać otaczającą ich nudę, ubarwić istnienie kosztem zwykłych ludzi? Wszak są bogami, czymś w rodzaju króla dla poddanych. Nagle coś potrząsnęło sercem i umysłem Andarandisa, jakiś wewnętrzny sprzeciw, którego przyczyny ani źródła nie był w stanie odgadnąć. To coś wypłynęło gdzieś z głębi jego jestestwa, niosąc ze sobą przeciągłe i krzykliwe: nie!

– Nie! – On Andarandis nie będzie marionetką w rękach jakichś tam bogów. Mieli już swą rozrywkę. Popelnili błąd czyniąc go marionetką Rady i Wielkiego Księcia Redgarda. Była to lekcja, której nigdy nie zapomni. Wyciągnął wnioski z tamtej historii, nie będzie powtarzał dwa razy tych samych błędów i nie ma znaczenia jak potężne istoty usiłują igrzać jego losem. Widok drepczącego na tylnych łapach, przystrojonego w koronę i pelerynę pudła, wciąż stał mu przed oczyma. Królowie nie mają przyjaciół, mają jedynie doradców, poddanych i sojuszników. Lecz on miał przyjaciela! Miał przyjaciela chociaż był królem! W imię jakich to niby wartości, miał gardzić jego zdaniem? Z jakiego powodu miał lekceważyć rady człowieka, który mu dobrze życzył? Dodatkowo jeszcze, nie kierował nim, żaden prywatny interes. Czy król powinien odrzucić prawdę tylko dlatego że wyszła ona z ust człowieka o niższej pozycji? Jakie generalnie miało to znaczenie? Prawda jest prawdą, niezależnie od tego, kto będzie ją głosił. Tyle tylko, że nikt nie zwróci na nią uwagi, gdy będzie głoszona przez żebraka, a wszyscy będą klaskać gdy tą samą treść, wypowie człowiek o odpowiednio wysokiej pozycji. Lecz przecież niezależnie od reakcji słuchaczy będzie to ta sama prawda. Kapitan miał rację! Gdyby chodziło o życie Melodii raczej poświęciłby całe miasto, niż pozwolił, aby ktoś skrzywdził jego córkę! Pchnąłby do walki wszystkie perruńskie armie, a gdyby i tego było mało, posłałby uzbrojonych w pałki i widły mieszczan

i farmerów. Kapitan miał również rację, gdy mówił o cenie. Rzeczywiście, żadne kosztą nie są wysokie, jeśli płacą je inni. Przecież to właśnie królowie poświęcają swoich poddanych w imię jakiegoś wydumanego przez siebie wyższego dobra. Giną całe armie, cierpią całe narody, a wszystko po to, by zaspokoić ambicje jakiegoś nadętego władcy. Yori miał tylko swoje życie! Czy było ono mniej warte niż życie Melodii? Jakim prawem, on król Perrunu pozbawił chłopca jedyne skarbu jaki ten posiadał? Czy Yori również przychyliłby się do twierdzenia, że cena pokoju dla miasta nie była wysoka? Jeżeli prawdą jest że istnieje świat zmarłych, to co powie chłopcu jeśli przypadkiem go tam spotka? Jak spojrzy mu w oczy? Kapitan miał rację: każde życie jest cenne, o każde należy walczyć, o każde również należy się troszczyć! Takie powinno być zadanie królów – troska o poddanych! Król nie ma prawa żerować na własnym narodzie, nie może być pasożytem.

– Masz rację! – Andarandis przerwał wywody swojego kapitana.

Ax najwyraźniej nie był przygotowany na taką reakcję władcy, gdyż zatrzymał się gwałtownie z szeroko otwartymi ustami. Jeden z idących z tyłu żołnierzy wpadł na jego plecy! Być może dzięki temu Ax szybciej otrząsnął się z szoku. Podbiegł do ciągle idącego wolnym i równym tempem króla.

– Proszę?

– Mówię że masz rację. Obawiam się tylko czy

przypadkiem nie wrzuciłeś płonącej pochodni do wypełnionej słomą szopy? Nie wiemy co może teraz zrobić Bestistus, a w ogóle to coś ty mu zrobił?

– Właściwie to nic, powiedzmy że zadbałem o właściwe warunki do medytacji.

– A na czym polegały te właściwe warunki?

– Cóż, klęczenie przez kilka godzin musi w końcu skłonić do głębszych refleksji.

– Cały ten czas klęczał? I nie próbował wstać?

– Nie bardzo mógł. Miał pętle na szyi, która zaciskała się przy każdej próbie ruchu.

– To znaczy że mógł się udusić?

– Gdyby się szarpał, lub stracił równowagę to owszem – byłby martwy.

Andarandis zaczerpnął gwałtownie powietrza.

– Nie pomyślałeś co by się wtedy stało?

– Mielibyśmy jeden problem mniej.

Król ponownie wciągnął ze świstem powietrze, kręcił powoli głową, na koniec głęboko westchnął.

– A jeżeli Bestistus oskarży cię przed trybunałem?

– Nie sądzę Panie. Prędzej wbije mi nóż w plecy. Dostał dzisiaj konkretną nauczkę. W dodatku nie wie czy działałem samodzielnie czy też z twojego rozkazu. Dlatego tak wytrzeszczył gały, gdy cię Panie zobaczył. Teraz dobrze pomyśli, zanim zdecyduje się na jakiekolwiek działanie.

Ax nie wypowiedział ostatniej natrętej myśli, nie chciał

niepokoić i tak już wytrąconego z równowagi władcy. Wiedział, że Bestistus uderzy i zrobi to wtedy, gdy będzie pewien zwycięstwa. Dodał więc tylko:

– A my będziemy czujni.

– W każdym bądź razie dobrze, że nic mu się nie stało, bo trudno by było to wszystko wyjaśnić. Tym bardziej, że sam Bestistus nie brał udziału w zamieszkach, właściwie niczemu nie jest winien...

– Nie jest winien? – Wojownik nie potrafił się opanować. Sam zdziwił się gwałtownością swego wybuchu.

– Gdy wściekły pies porani przypadkowego przechodnia to czy winien będzie pies czy też właściciel, który nie upilnował judzonego przez siebie zwierzęcia? Bestistus jest winien zamieszek. On za nimi stoi i tchórzliwie chowa się za plecami innych. Gardzę nim i prowadzoną przez niego grą. Przyznaję, że zakładając mu pętlę na szyję, miałem nadzieję, że może się szarpnie, może zemdleje. Znikoma to była nadzieja. Lecz się jej chwyciłem, pragnąc by się ziściła. Wiedziałem jednak z całą pewnością, że arcykapłan wyjdzie z tego bez szwanku. Jest tchórzem i intrygantem, ale jest również twardy. Podejrzewam, że nie przez takie próby już w życiu przeszedł, zanim został tym kim jest. Być może niechcący wyświadczyłem mu przysługę i stanie się teraz ostrożny. Dlatego też musimy mieć go na oku. Zdobył przewagę ponieważ nas zaskoczył. Teraz jednak wiemy już; czego się po nim spodziewać. A i on sam nabrał przekonania,

że nie jest bezkarny. Wie, że nie będziemy tolerować jego wybryków. Jutro gwardia dokona pierwszych aresztowań. Udało się zidentyfikować większość szczególnie aktywnych awanturników, w tym prawie wszystkich zabójców. Nie zamierzam darować śmierci żadnego z moich ludzi, a przecież straż miejska również poniosła straty. I chociaż Bestistus jest głównym winowajcą, to na razie możemy unieszkodliwić jedynie szkolone przez niego psy. Większość burdowników to jego strażnicy. Aresztowań dokonamy jednocześnie, tak żeby nikt nie zdołał się wymknąć. Jestem pewien, że arcykapłan nie kiwnie nawet palcem w ich obronie, zbyt cieszy się z tego że jemu się upiekło. Poza tym ludzie go nie obchodzą, zjedna sobie innych. Ale może będą oni choć trochę ostrożniejsi, wiedząc jaki los spotkał ich poprzedników.

– A czy nie wydaje ci się kapitanie, że to ja jestem wszystkiemu winien? Przecież to ja ułaskawiłem Menela.

– Cóż, zrobiłeś Panie to, co musiałeś. On zrobił to, co zaplanował i co chciał zrobić. To on jest winien! Bez odpowiedzi pozostaje wciąż jednak pytanie o co mu naprawdę chodzi? Po co to wszystko? Nie rozdaje chleba po to, by nakarmić biedaków. On usiłuje coś stworzyć, coś zorganizować. Nie wiemy jednak co to ma być i czemu ma służyć. Musimy być czujni!

Król skinął głową, nic więcej już nie powiedział. Zaledwie kilkadziesiąt kroków dzieliło ich od bramy zamku – twierdzy.

Gdy wreszcie Ax znalazł się w swojej kwaterze, kazał wezwać natychmiast kaprała Pirxa. Wchodzący żołnierz wyglądał na lekko zdenerwowanego. Zasalutował, uderzając pięścią w stalowy pancerz. Czekał niespokojnie, spodziewając się ostrej reprimendy dotyczącej nie najwłaściwszego zachowania. Sam był zaskoczony że nie potrafił zapanować nad wybuchem wesołości. Miał nadzieję, że zostanie zbesztany i sprawa będzie zakończona. Służba poza kolejnością, absolutnie mu się nie uśmiechała.

– Czy ludzie trudniący się rozbojem potrafią zabić człowieka z ukrycia?

Pytanie kapitana zupełnie zbiło kaprała z tropu. Nie był przygotowany na coś takiego. Chrząknął tylko i wymamrotał:

– No, tak.

– W takim razie chcę żebyś pilnował moich pleców.

Kaprał szeroko otworzył oczy, obrzucając badawczym spojrzeniem swego kapitana.

– To wszystko, możesz odejść!

Pirx uderzył pięścią w pancerz, wykonał zwrot w tył i zniknął za masywnymi dębowymi drzwiami.

* * *

Minął cały rok od tamtych wydarzeń. Sam powrót gwardii do koszar, spowodował niemalże natychmiastowe przywrócenie porządku. Winni zamieszek zostali

ukarani. Nikt nie próbował już judzić obywateli. Bractwo Powszechnej Szczęśliwości jakby ponownie odkryło cel swojej misji, koncentrując działalność na pomocy charytatywnej. Tylko Ax z niepokojem obserwował, jak rosną wpływy bractwa, oraz liczba jego zwolenników. Miał przeczucie, że jest to jedynie cisza przed burzą. Lecz mógł się tylko przyglądać ekspansjonistycznej polityce Bestistusa. Nadal rozwijał swoją gwardię. Liczba zaprzysiężonych żołnierzy, przekroczyła już sześć tysięcy, plus około dwóch tysięcy kadetów. Zorganizowana też została sieć agentów, której celem było zbieranie wszelkich informacji, mogących mieć wpływ na bezpieczeństwo państwa. Melodia, będąc wciąż honorowym kadetem, została awansowana do rangi instruktora jazdy konnej. Jej zadaniem było wyszkolenie oddziału zwiadowców, którym przydzielono zdobyczne konie. Dziewczyna otrzymała białego rumaka, nazywanego przez nią Wichrem. Koń nie tolerował na swoim grzbiecie żadnego innego jeźdźcy. Również wszyscy porucznicy i sierżanci zostali uczestnikami kursu. Pragnieniem Axa było przeszkolenie każdego żołnierza, ciągle marzyło mi się stworzenie kawalerii. Na razie jednak musiał się zadowolić tym co miał. Mimo ogromnego wysiłku gwardii i straży miejskiej, nie udało się pochwycić młodocianego mordercy. Menel po prostu przepadł. Przeważyla wreszcie opinia, że chłopak najprawdopodobniej opuścił miasto i chociaż wciąż prowadzono poszukiwania, to jednak powszechnie wątpiono

by zakończyły się one sukcesem.

Czas płynął leniwie a zwykłe codzienne obowiązki wypełniły życie żołnierzy i mieszkańców miasta. Mało kto pamiętał jeszcze o nie dawnych zamieszkach.

Aż któregoś dnia w pałacu królewskim znowu zawrzało. Gimurowie ponownie przekroczyli granicę. Pierwszy incydent miał miejsce kilka miesięcy temu. Okazało się jednak, że była to zwykła pomyłka. Kilku młodych gimurskich oficerów, przypadkiem przekroczyło granicę w czasie manewrów. Zorientowawszy się w sytuacji, szybko opuścili perruńską ziemię nie wyrządzając żadnych szkód. Lecz tym razem było inaczej. Gimur był niewielkim królestwem leżącym na wschodzie. Nigdy wcześniej nie sprawiali żadnych kłopotów, a panujące między królestwami stosunki, można było określić mianem przyjaznych. Nie stacjonowała więc tam, żadna perruńska armia. Dlatego też najeźdźcy szybko posuwali się w głąb królestwa Perrunu. Andarandis posłał przeciw nowemu zagrożeniu szóstą armię generała Bendrysa. Wysłał również rozkazy do drugiej i piątej armii, na których czele zamierzał ruszyć na Gimur. Gwardia miała pozostać w stolicy, pomijając oczywiście kolumnę, stanowiącą osobistą straż przyboczną władcy. Zanim jednak zorganizowano wyprawę szóstą armia wyparła napastników z granic królestwa. Gimurowie zaś, przysłali poselstwo z przeprosinami i błaganiami o pokój. Andarandis podpisał pakt. Gdy już wydawało się, że zapanuje wreszcie

upragniony pokój, oto znowu na wschodzie pojawiło się kolejne zagrożenie. Wiadomo było tylko, że tym razem nie są to Gimurowie. Wieści znacznie wyprzedziły przybywających ze wschodu przerażonych uciekinierów. Mówiły one o bezlitosnych potworach niszczących wszystko co spotkali na swojej drodze. Nikt jednak nie potrafił powiedzieć niczego konkretnego. Król obawiając się nieznanego, wezwał kapitana gwardii, polecając mu zbadanie sytuacji. Ax doskonale pamiętał ten dzień. Andarandis wciąż miał w pamięci pogrom piątej armii, przez kawalerię Redgarda, nie wiedząc z czym ma do czynienia, nie chciał narażać żołnierzy, ufał tylko swoim gwardzistom. Ax nie potraktował zadania jako misji zwiadowczej, wyruszył, aby stoczyć bitwę.

CZEŚĆ II

Jeżeli prawdą jest, że człowiek tuż przed śmiercią, w mgnieniu oka widzi całe swoje życie, mogło to oznaczać tylko jedno: Ax za chwilę powinien być martwy. Raz jeszcze rzucił okiem na rwącą się już momentami linię ognia, jego umysł gorączkowo analizował sytuację.

– Gryn, raport!

– Około tysiąca zabitych, ze dwie setki rannych, kilkunastu ciężko.

Kapitan poczuł ukłucie serca, przestała istnieć cała kolumna. Stracił piątą część oddziału. Ilu wrogów udało im się zabić? Jego szeregi wielokrotnie zmieniały pozycję. Pozwalało to na chwilę wytchnienia wycofanym z pierwszych linii żołnierzom, oraz na dokonanie koniecznego przegrupowania. Każdy obrót oznaczał krok w tył, formacja mogła też atakować, wówczas każdemu obrotowi towarzyszył krok w przód. Lecz tym razem gwardia cofała się od początku bitwy. Napór wroga był zbyt silny. Ax próbował ocenić przebyta przez oddział drogę, lecz linia ognia zasłaniała mu widok. Próbował oszacować ile razy był w pierwszej linii(co pewien czas cały szereg wycofywał się na rozkaz, zajmując pozycję na końcu formacji) lecz nie był w stanie nawet w przybliżeniu tego określić, stracił wszelką rachubę. Ilu wrogów zdołali zabić do tej pory? Trzydzieści–pięćdziesiąt tysięcy? Może jeszcze więcej? Lecz nie było to

aż takie ważne, właściwszym pytaniem było: ilu wrogów jeszcze zostało? Linia ognia dała im chwilę wytchnienia, czas na spokojne uzupełnienie i zwarcie szyków. Gwardia była gotowa na przyjęcie kolejnej fali ataku. Zgładzą jeszcze przynajmniej drugie tyle, a może nawet więcej. Linia ognia wciąż zaprzętała myśli wojownika. Płomienie zebrały już swoje żniwo, dlaczego więc Bum-Bam ciągle ją utrzymywał? Czyżby wrogów było aż tylu, że czarodziej chciał osłonić ich odwrót? Nie, to nie mogła być prawda, w całych krainach nie istniała tak ogromna armia. Nagle Ax zdał sobie sprawę że nie jest ta armia z krain. Nie wiedział kim są, ani skąd przybyli najeźdźcy. Być może czarodziej wiedział więcej niż on, być może lepiej ocenił sytuację. Jeśli tak było w istocie, to rzeczywiście, nie można było dłużej marnować czasu. Nigdy dotąd gwardia nie wycofywała się w obliczu wroga. Dotychczas zwyciężali we wszystkich starciach. Ax sam wpajał żołnierzom zasady, w myśl których wojownicy walczą i giną honorową śmiercią, jeżeli zachodzi taka potrzeba – zaś tchórze, uciekają. Czy więc mógł wydać teraz rozkaz odwrotu? Miał zaprzeczyć temu, w co sam przecież wierzył? Nie, nie ustąpią. Zostaną i będą walczyć. Wiedział że jego ludzie gotowi są na śmierć. Tylko właściwie dlaczego mają umierać? Czy dlatego że ich pyszałkowaty dowódca coś sobie ubzdurał? Jeżeli najeźdźców rzeczywiście było tak wielu, to być może, trzeba będzie stoczyć więcej bitew, aby ich pokonać. Wówczas król będzie potrzebował

swoich najlepszych żołnierzy. Kto będzie bronił władcy, jeżeli gwardia przestanie za chwilę istnieć? Wiedział już przecież, że tej bitwy nie wygra i to nie dlatego, że gwardia nie stanęła na wysokości zadania, lecz dlatego, że wróg był zbyt liczny. Ścinali kolejnych napastników, lecz jakimś niewytłumaczalnym sposobem, ciągle ich przybywało. Na miejsce jednego zabitego pojawiała się od razu dwóch następnych i zdawało się, że nie ma temu końca. Spojrzał na dyszących ciężko żołnierzy. Tej bitwy nie mogli wygrać. Gdyby przeciwnik miał jakiegokolwiek pojęcie o walce, już było by po nich. Jeżeli rzeczywiście są tak liczni, wystarczyłoby żeby okrążyli jego oddział. Żaden sztywno ustawiony, najmocniejszy nawet płot, nie powstrzyma spadającej z góry lawiny. Zgnietliby ich po prostu swą masą. Jeśli zostaną – wszyscy zginą. To dopiero byłby temat dla bardów. Dzielna gwardia wyruszyła, aby spotkać wroga. Wyruszyła, aby nigdy nie wrócić. To dopiero będzie ballada. Ciekawe czy ktoś wspomni o głupim kapitanie, który ich prowadził? Wzrok Axa spoczął na poruczniku Kelgu. Oficer stał na szeroko rozstawionych nogach. Tułów żołnierza był wychylony w przód, ręce zwisały bezwładnie wzdłuż ciała, z pleców wystawało szerokie ostrze włóczni, na której opierał się cały ciężar martwego ciała, dzięki czemu została zachowana pionowa pozycja. Ax pomyślał, że nie minie zbyt dużo czasu, a wszyscy będą podobnie wyglądać, stanowiąc armię zimnych trupów. Nie! Jeszcze nie teraz. Król,

potrzebuje ich żywych! Nie uciekną, wycofają się by spotkać wroga w innym czasie i w innym miejscu. Nie spoczną, dopóki ostatni najeźdźca nie padnie martwy pod ciosami ich mieczy. Gdy uczył żołnierzy walki: jeden na dziesięciu, starał się im wpoić, że jedyną szansą zwycięstwa jest ciągły ruch. Należało eliminować kolejnych przeciwników i nie dać im się okrażyć. Ciągłe klucząc należało stosować uniki i bić, gdy tylko wróg nawinął się pod меч. Sytuacja w jakiej znalazła się gwardia, była przecież bardzo podobna, tyle tylko, że na dużo większą skalę. Nie mniej jednak zasada pozostawała ta sama. Jeżeli zostaną w miejscu – zginą. Należało się szybko cofać i bić przy każdej, nadarzającej się okazji.

– Greyn! Odwrót! Zabrać wszystkich poległych, wycofujemy się! – Widząc zdziwienie na twarzach stojących najbliżej żołnierzy, wrzasnął najgłośniejszym jak potrafił

– Już!

Po czym, zarzucił sobie na ramię ciało porucznika Kelga, pozbywszy się uprzednio, wbitej w nie, ciężkiej włóczni. Nim ruszył z miejsca, ujrzał biegnących już lekkim truchtem żołnierzy.

– Szybciej do ciężkiej cholery! Szybciej ! To nie jest poranny trening!

Wiedział że ludzie są zmęczeni, lecz nie mieli zbyt wiele czasu, co było zresztą jego osobistą zasługą. Teraz musieli biec, ile tylko sił w nogach, aby uciec od czającej się za ich plecami niecierpliwiej śmierci. Szybko dopadli ściany lasu.

Gdy zaczęli bitwę, las pozostał daleko z tyłu. Wszystko wskazywało na to, że w czasie walki, przemierzili prawie cały ten dystans. To nie był zły układ. Gdy ściana ognia opadnie, las osłoni ich przed oczami wrogów. Być może, nie widząc swych ofiar, wrogowie zaniechają pogoni. Pośpiech był więc, jak najbardziej wskazany. Las ciągnął się przez jakieś dwie mile. Drzewa i krzewy utrudniały bieg, spowalniając nieco tempo. To też miało swoje dobre strony. Ich prześladowcom znacznie trudniej będzie sforsować gęstwinę. Las był ich sprzymierzeńcem. Lecz czas, nieubłagany wrogiem. Ax stanął na chwilę, chciał mieć pewność, że wszyscy jego ludzie, dotarli do linii drzew. Szorstkim głosem ponaglał goniących ostatkiem sił maruderów. Muszą wytrzymać. Jeżeli mają żyć, muszą wytrzymać! Podrzucił spadające z ramienia ciało Kelga i ruszył biegiem za ostatnimi ze swoich żołnierzy.

* * *

Melodia ściągnęła nieco wodze. Byli już na koszarowym placu, zbliżając się szybko do bramy pałacu–twierdzy. W ciągu dnia wszystkie osiem bram stało otworem, zamykano je tylko na noc. Musiała zwolnić. Niedaleka brama, wcale nie była szeroka. Minęli już nowe koszary, zajmowane przez żołnierzy szóstej armii, stanowiącej obecnie podstawowy organizm stolicy. Kątem oka dostrzegła ćwiczący na placu

oddział. Nawet niezbyt wprawny obserwator dostrzegłby, jak bardzo niechętnie żołnierze wykonywali rozkazy oficera. Ćwiczano musztrę, nikt tego nie lubił, a już szczególnie w czasie deszczu. Sądząc po ich wyglądzie, żołnierze tkwili na placu przez cały czas ulewy. Nikogo więc nie powinno dziwić ich rozdrażnienie. Dowodzący oddziałem oficer, także bez zbytniego entuzjazmu wydawał komendy. Nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że jest mu zupełnie obojętne, w jaki sposób reagują jego ludzie. Żołnierze byli po prostu źli, że wygoniono ich na dwór. Mimo wszystko prezentowali się znakomicie. Błyszczące, lśniące zbroje, nawet teraz, pod wpływem spływającej po nich wody, nie straciły swego blasku. Można się było przejrzeć w nich jak w lustrze. Być może, to właśnie było powodem zdenerwowania żołnierzy. Przecież będą musieli spędzić całe godziny na polerowaniu pancerzy i konserwacji swego ekwipunku. W niczym nie przypominali już obdartusów, których przed sześcioma laty przyprowadził jej ojciec. Zbroje utrzymane były w idealnym stanie; błyszczące pancerze i hełmy, z których teraz smutnie zwisały posklejane wodą czerwone pióropusze. Wszystkie pasy i rzemienie ułożone były równiutko na zbroi. Broń była u każdego zawieszona dokładnie w tym samym miejscu a trzymane w lewych rękach wypolerowane okrągłe tarcze – kończyły się u każdego dokładnie na wysokości dwóch trzecich ramienia. Obiektywnie rzecz ujmując, wyglądali naprawdę świetnie.

– Aż miło popatrzeć – do uszy dziewczyny doleciał głos, siedzącego na tylnej kanapie powozu Murrena.

Widocznie czarodziej również nie oparł się urokowi ćwiczącego oddziału. Nagle niechciana myśl wdarła się do umysłu dziewczyny – „Ładni żołnierze nie wygrywają wojen!” Cały nastrój prysł jak mydlana bańka a w jego miejsce pojawiło się uczucie niepokoju. Kapitan Ax często powtarzał te właśnie słowa – „Ładni żołnierze nie wygrywają wojen!” Pewnie coś o tym wiedział, gdyż o pałacowej gwardii można było powiedzieć wiele, ale na pewno nie to, że jest ładna. Gwardziści nie przypominali żołnierzy szóstej armii. Ich pancerze były czarne i matowe, wiecznie porysowane i powgniatane, a w najlepszym wypadku, nosiły ślady niedawnego klepania czy naprawy. Chyba żaden gwardyjski pancerz nie miał idealnie równiutkiej powierzchni stalowej blachy. Jeśli chodzi o broń, to każdy nosił co chciał i tak jak chciał – wyżej, niżej, bardziej z boku, czy z przodu. Nawet nie wszyscy dysponowali tym samym orężem. Na hełmach nie mieli żadnego najmniejszego nawet piórka, a jedyną ozdobą zbroi stanowił gwardyjski emblemat. Sami gwardziści również cechowali się, dość specyficznym wyglądem. Ich ciała w miejscach nie skrywanych przez zbroję oznaczone były licznymi sińcami. Blizny na twarzach, były czymś tak oczywistym, jak słońce na bezchmurnym niebie. Ba, mało który miał wszystkie zęby, bo na złamane krzywe nosy nikt już nawet nie zwracał uwagi. To nie byli ładni żołnierze!

Powóz był już przy bramie. Od tego miejsca zaczynały się gwardyjskie posterunki. Mimo że gwardia wykonywała misję poza murami miasta, to jednak w pałacu przebywało ok. tysiąc gwardzistów. Stojący przy bramie żołnierze uskoczyli pod ścianę, robiąc miejsce dla przejeżdżającej karocy. Doskonale widzieli zarówno księżniczkę, jak i nadwornego czarodzieja. Stanęli na baczność. Morok uśmiechnął się szeroko, pozdrawiając dziewczynę uniesioną od piersi ręką. Nawet z wysokości kozła, w oczy rzucała się przerwa w uzębieniu górnej szczęki. Sierżantowi brakowało dwóch zębów na samym przedzie.

– Jak? Wszystko dobrze? – Zakrzyknęła wesoło dziewczyna. Morok uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiwając jednocześnie głową.

Powóz wtoczył się na wewnętrzny dziedziniec. Z powodu deszczu – prawie nikogo tu nie było. Brukowany plac otaczały równym rzędem, identyczne niemal budynki. Wszystkie te pomieszczenia przyklejone były do zewnętrznego muru stanowiącego szkielet Fortecy. Na dolnym poziomie mieściły się budynki gospodarcze, pomieszczenia dla służby, część kwater gwardii a także stajnie. W tę właśnie stronę, dziewczyna skierowała powóz.

Wyższe piętra budowli pełniły najrozmaitsze funkcje. Miały tu swą siedzibę różnego rodzaju urzędy, sale sądowe i sale audiencyjne, pokoje gościnne i wiele innych, o których księżniczka nie miała nawet pojęcia. Poznanie pałacowego

kompleksu znudziło ją już całe wieki temu.

Na środku dziedzińca wybudowana była „Igła”, tak zwano stojącą tutaj wieżę. Jednak wbrew temu co sugerowałaby jej nazwa, igła wcale nie była okrągła. Zbudowano ją na bazie kwadratu. Na dolnym poziomie nie było właściwie nic, nawet drzwi. Okna zaczynały się dopiero od, jednej trzeciej wysokości. Do wieży wiodła tylko jedna droga. Był nią zwodzony most, łączący igłę z obronnym murem zewnętrznym. Obok mostu, wybudowano kolejne kwatery gwardzystów. Wewnątrz wieży, były komnaty królewskiej rodziny, sala rady, oraz skarbiec. Pewną ciekawostką był szczyt budowli, albowiem tam właśnie powyżej poziomu fortyfikacji pyszniły się królewskie ogrody.

Melodia zatrzymała powóz. Natychmiast podbiegł do nich jeden ze stajennych. Dziewczyna zeskoczyła z kozła. Podeszła do koni by pogłaskać zwierzęta po rozgrzanych, mokrych pyskach. Gdy się odwróciła, Murren był już na nogach, podążał żwawo w kierunku pochylni. Na zewnętrzny mur obronny wiodła tylko jedna droga. Była nią właśnie pochylnia. Żadnych schodów, żadnych drabin. Na samym początku pochylni, drogi strzegła opuszczona żelazna krata, stanowiąca coś w rodzaju bramy. Następnie pochylnia ginęła wewnątrz muru, by łagodnymi zakosami osiągnąć jego szczyt. Dzięki takiemu rozwiązaniu, transport towarów przy pomocy niewielkich ręcznych wózków nie stanowił większego problemu. Żelazna krata była teraz podniesiona.

Dwóch kolejnych gwardzistów miało tutaj swój posterunek. Podążając za czarodziejem księżniczka uśmiechała się do nich przyjaźnie. Obaj odwzajemnili uśmiech. Dłuższą chwilę zajęło im dotarcie na szczyt muru. Musieli teraz pokonać jeszcze prawie połowę jego długości, nim wreszcie doszli do zwodzonego mostu.

Melodia podążała pół kroku za czarodziejem. Normalnie dystans ten powinien wynosić dziesięć kroków. W takiej bowiem odległości, wolno było uczniowi kroczyć za swoim mistrzem. Ponieważ jednak była królewską córką, status jej i nadwornego czarodzieja był niemal równy. Wiedziała, że gdy zasiądzie na tronie Murren będzie musiał podążać krok za nią. Nie mogła się już tej chwili doczekać. Był to jednak jedyny aspekt władzy, który ją pociągał i co do którego miała pewność że sprawi jej satysfakcję. Most opadał powoli. Ponieważ jednak rozpoczęto jego opuszczanie odpowiednio wcześniej, prawie nie musieli czekać. Posterunkiem przy moście dowodził sierżant Ron. Barczysty, wysoki, młody mężczyzna, nazywany przez wszystkich Mrukiem. Być może wynikało to z faktu, że Ron nigdy się nie śmiał, nigdy nie bawiły go żadne dowcipy. Nikt również nigdy nie widział, aby sierżant kiedykolwiek był uśmiechnięty, a przecież w codziennym życiu gwardii nie brakowało zabawnych sytuacji. Dziewczyna obdarzyła żołnierza, swym najbardziej promiennym uśmiechem. Ten jednak, zmarszczył tylko brwi.

– Wszyscy już są – oświadczył bezbarwnym, matowym

głosem.

Melodia skinęła w odpowiedzi głową, zaczynając się jednocześnie zastanawiać o co też żołnierzowi może chodzić i jakich to wszystkich ma na myśli.

Mistrz Murren najprawdopodobniej znał odpowiedzi, na dręczące dziewczynę pytania, gdyż przyśpieszył jeszcze kroku, pomimo, że i wcześniej szli naprawdę szybko. Nie kierowali się jednak do komnat jej ojca. Zmierali wprost do sali obrad królewskiej rady.

– Więc to, o to chodziło. Rada. Król zwołał na dzisiaj posiedzenie rady. No tak. – Przypomniła sobie nawet, że przy śniadaniu ktoś ją o tym informował. Ale kto by zaprzętał sobie głowę takimi sprawami.

Ucieszyła się jednak, że przypadkiem jest tutaj obecna. Chociaż bardzo ojca kochała, to jednak, miała już dosyć jego ciągłego zrzędzenia. Król kręcił tylko głową i to jego „Kiedy ty wreszcie dorośniesz?” Słyszała te słowa, tyle już razy, że zaczynała w nie wierzyć. Może rzeczywiście – nigdy nie dorośnie.

Gwardziści otworzyli przed nimi dwuskrzydłowe drzwi do sali rady. Była to prostokątna duża komnata, wypełniająca sobą cały poziom wieży. Poprzez podłużne zwieńczone łukiem, ozdobione witrażami okna wpadało do wewnątrz całkiem sporo światła. Odbijało się ono od równego tynku białych ścian i sufitu. Również podłoga była biała wykonana z białego marmuru. Na ścianach między oknami zamocowane

były miedziane, proste kinkiety, z których każdy mieścił trzy, nie zapalone teraz świece. Zawieszony centralnie na suficie żyrandol stanowiły trzy, coraz to większe obręcze. Także i on, był w całości wykonany z miedzi. Wokół ścian stały rzędy pustych, przeznaczonych dla plebsu ław. Zapełniały się one jedynie sporadycznie, kiedy zapraszano na posiedzenia rady zainteresowane obradami, grupy obywateli królestwa. Środek sali obrad zajmowany był przez okazały dębowy stół wykonany w kształcie litery „U”. Tylko członkowie rady mieli prawo przy nim zasiadać.

Gdy tylko księżniczka przeszła przez drzwi, momentalnie poczuła na sobie wzrok ojca. Czuła jak oblewa się rumieńcem. Mimowolnie spuściła wzrok. W jej umyśle huczały już niewypowiedziane jeszcze, ale jakże dobrze znane i tak nie lubiane przez nią słowa. Odegnęła od siebie natrętne myśli i dumnie uniosła głowę. Szła do swojego pustego krzesła, stojącego u podstawy stołu, obok królewskiego tronu. Jej buty dudniły po marmurowej posadzce. Panowała całkowita cisza. Wpatrywało się w nią ponad dwadzieścia par oczu. Musiała użyć całej siły woli, aby zachować spokój, by nie przyśpieszyć kroku, nie zawrócić i nie uciec. Gdy usiadła i podniosła wzrok, widziała jak ministrowie odwracają głowy usiłując zasłonić twarze maską obojętności.

– Jak ty wyglądasz? – Usłyszała ciche westchnienie ojca.

Być może rzeczywiście: myśliwskie spodnie i skórzany kaftan, nie pasowały do tego miejsca. Dopiero teraz

uświadomiła sobie, że jest całkowicie przemoczona. Ale właściwie o co mają do niej pretensje? Przecież pada deszcz. Spojrzała na Murrena, była pewna że znajdzie u niego ratunek. Niemalże odebrało jej oddech. Murren był suchy. Suche były jego szaty, we włosach i brodzie, próżno było szukać choćby drobiny wody.

– Jak to możliwe? – Gorączkowo w myślach szukała odpowiedzi.

Olśnienie przyszło prawie natychmiast. W ostatniej chwili, resztką świadomości powstrzymała się przed klaśnięciem w dłonie.

– Czar ochrony przed wodą – to musiało być to właśnie zaklęcie. Jakże banalne i proste. Nauka tego zaklęcia, zajęła jej zaledwie trzy tygodnie. Murren wielokrotnie powtarzał, iż o wielkości czarodzieja, nie decyduje moc posiadanych przez niego zaklęć, lecz umiejętność właściwego ich wykorzystania. Teraz miała konkretny tego przykład.

– Mistrzu Murrenie, obiecałeś nowiny – zwrócił się król do nadwornego czarodzieja. Wszystkie oczy patrzyły na starca.

Murren wydobył z siebie głębokie westchnienie. Oparł ciężar ciała na spoczywających na stole rękach. Ociężale dźwignął się na nogi. Kilkakrotnie pogładził dłonią po swej długiej siwej brodzie. Omiótł spojrzeniem wszystkich zgromadzonych, wreszcie skupiając wzrok na królu, rzekł:

– Twoja gwardia wydała bitwę najeźdźcy. – Wrażenie,

jakie wywarły słowa czarodzieja, było wręcz piorunujące.

Wszyscy zamarli w bezruchu. Melodia patrzyła na mistrza, jakby pierwszy raz w życiu widziała go na oczy. Nikt nie ośmielił się przerwać dzwoniącej w uszach ciszy. Murren tymczasem odchrząknął, nieco zdziwił wywołaną przez siebie reakcją.

– Myślę, że stało się to, tuż za wschodnią granicą, już na terenie Gimuru – ciągnął spokojnym pozbawionym emocji głosem.

– Gimurowie?

Murren patrzył na króla tak, jakby nie do końca rozumiał, o co właściwie jest pytany.

– Co Gimurowie? – Zapytał starzec nie spuszczając z Andarandisa badawczego wzroku.

– Pytam czy armia Gimuru wystąpiła przeciwko nam – odpowiedział król nieco podirytowanym głosem.

Murren podniósł wreszcie wzrok, ponownie głęboko westchnął i powiódł oczyma po twarzach zebranych.

– Myślę że Gimuru już nie ma.

– O czym ty mówisz? – Król zaczynał tracić cierpliwość.

Czarodziej pociągnął nosem, drapiąc się jednocześnie kłykiem w brodę.

– Najeźdźcy przeszli przez Gimur, dlatego też sądzę, że Królestwo Gimuru już nie istnieje. Zostało unicestwione, starte z powierzchni ziemi.

– Ale nie wiesz tego na pewno? – Nie ustępował

Andarandis.

– Nie, nie wiem tego na pewno – czarodziej spoglądał po sali łagodnym wzrokiem mędrca, zmuszonego tłumaczyć mało rozbawionym dzieciom, najbardziej podstawowe prawdy.

– Kim więc są najeźdźcy?

Murren spojrzał w oczy króla, powoli pokręcił głową.

– Nie wiem – widząc wyraźną irytację na królewskiej twarzy dodał natychmiast.

– Nie wiem tego w tej chwili, ale się dowiem.

Andarandis machnął ręką dając wyraz swemu zniecierpliwieniu.

– Kto zwyciężył?

– Zwyciężył? – Powtórzył jak echo Murren.

– Pytam kto wygrał? Czy możesz coś powiedzieć o stratach obu stron? – Król panował wciąż jeszcze nad swoim głosem, lecz przychodziło mu to, z coraz większym trudem.

– Tak mogę, oszacowałem wstępnie straty – władca wzniosł obie dłonie do wysokości piersi, energicznie nimi potrząsnął.

– Mów! – Wycodził przez zęby.

– Cóż. Wydaje mi się że gwardia straciła do tysiąca ludzi.

– A wróg?

– Cóż, myślę że od siedemdziesięciu tysięcy do stu tysięcy.

– Co?

– To tylko szacunki, nie mam pewności ilu zginęło w płomieniach. Osiemdziesiąt tysięcy poległo na pewno.

Ludzie ze świstem wypuszczali z płuc, zatrzymane tam powietrze. Na twarzach zgromadzonych widać było wyraźne odprężenie. Król zadarł do góry głowę, zamykając jednocześnie oczy. Po chwili powiódł po sali rozpromienionym wzrokiem.

– A więc już po wszystkim.

– Po wszystkim? – Murren znowu powtórzył królewskie słowa, świdrując władcę przenikliwym spojrzeniem.

– Przecież powiedziałeś osiemdziesiąt tysięcy. Wszystkie armie Perrunu, liczą łącznie sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a jesteśmy najpotężniejszym królestwem w krainach. Nie może być liczniejszej armii.

Murren powoli kręcił głową. Jak bardzo ograniczeni są ludzie w swoich osądach. Jak ciężko im wyjść poza określone ramy. Niczym pływające w sadzawce ryby, którym się wydaje, że świat i wszystkie sprawy z nim związane kończą się razem z linią wody. Sięgnął po stojący przed nim na stole puchar. Wyciągnął rękę z naczyniem w kierunku służącego. Podbiegł natychmiast, przechylając dzban z winem. Puchar był pełen. Lecz czarodziej nie cofnął wyciągniętej ręki.

– Lej! – Rozkazał.

Służący rozejrzał się niepewnie. Lecz wykonał polecenie. Puchar był pełen po same brzegi, tak że aż się przelało. Czarodziej przybliżył puchar do twarzy. Nie uronił ani kropli.

Patrząc na zebranych przyłożył naczynie do ust. Następnie odsunął od siebie puchar na całą długość ramienia, pokazując członkom rady jego zawartość. Ani jedna kropla nie przelała się przez brzegi naczynia.

– Czy możesz powiedzieć Panie w jakiej części opróżniłem puchar?

– W ogóle nie opróżniłeś, nie wypileś nic. Zaledwie umoczyłeś usta. Nawet nie jestem pewien czy poczułeś smak. – Kiwając głową Murren spoglądał po sali.

– Ano właśnie zaledwie umoczyłem usta. Takie mniej więcej straty gwardia zadała najeźdźcy. – Po krótkiej chwili milczenia dodał jeszcze – nawet nie jestem pewien czy poczuł smak.

W sali znowu zapanowała cisza. Minęło dużo czasu, nim ludzie ośmielili się wymienić niepewne spojrzenia. Andarandis opadł ciężko na krzesło. Czuł się zdruzgotany. Apatycznym wzrokiem wodził po twarzach swoich doradców, aż wreszcie dotarło do niego, że wszyscy ludzie mówią na raz, pomagając sobie gwałtownymi gestami rąk. W sali panował niemalże jarmarczny gwar. Lecz tak naprawdę, nikt nikogo nie słuchał. Król powstał uderzając jednocześnie otwartymi dłońmi o blat stołu. Kłasnienie było na tyle głośne, że zwróciło uwagę zebranych.

– Proszę o ciszę – powiedział władca wznosząc otwarte dłonie. Przez chwilę stał bez ruchu wpatrując się w twarze swoich doradców. Znowu zapanowała dzwoniąca w uszach

cisza.

– Czy prace na murach zostały już ukończone?

Z tym pytaniem zwrócił się król do ministra Bizona. Bizon był ministrem zabudowy już od ładnych kilku lat. Odpowiadał nie tylko za stan istniejących budowli, lecz również za planowane inwestycje i projekty. Każdy kto chciał cokolwiek w mieście zbudować, musiał mieć jego akceptację.

– No, nie zupełnie Najjaśniejszy Panie.

Z krzesła powstał ociężałe pulchny, raczej niski mężczyzna w średnim wieku. Rozłożył bezradnie ręce.

– Wprawdzie budowa murów miała się zakończyć jeszcze w zeszłym miesiącu ale pojawiły się nieoczekiwane komplikacje i stąd to opóźnienie. Myślę jednak że podwajając wysiłki, będziemy w stanie skończyć prace za jakieś dwa, no góra trzy tygodnie.

– Tydzień – wycedził król przez zaciśnięte zęby.

– Tydzień ? Ale...

– Powiedziałem!

Andarandis przerwał Bizonowi nie znoszącym sprzeciwu głosem. Minister przytaknął kiwając głową i opadł na swoje krzesło, starając się tak nań usadowić aby jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

– A co z zapasami żywności?

Kolejny minister stanął na nogi.

– Cóż, w tym momencie nie mamy zbyt wielkich

zapasów, ale plony w tym roku zapowiadają się naprawdę wyśmienicie. Dawno już nie było takiego urodzaju. W ciągu miesiąca nasze spichlerze wypełnią się po brzegi.

– W ciągu miesiąca...

Król zaciskając zęby, kiwał nieznacznie głową, by wreszcie energicznie nią potrząsnąć.

– Generale Bendrys, ilu ludzi możemy dodatkowo powołać pod broń ?

Również wywołany stary wojak, nie miał najszcześliwszej miny. W tym względzie do złudzenia przypominał swoich poprzedników. Nadal oficjalnie dowodził szóstą armią, jednak od chwili nominacji na ministra wojny nie był w stanie poświęcać swoim żołnierzom zbyt wiele czasu. Ministerialne obowiązki sprawiły, że bardzo się w ostatnim czasie postarzał. W niczym już nie przypominał dziarskiego, pełnego życia człowieka, jakim był jeszcze nie tak dawno temu.

– Cóż w ciągu kilku tygodni jesteśmy w stanie zmobilizować nawet 100000 ludzi, ale jest pewien problem...

– To znaczy?

– W zbrojowniach mamy wyposażenie dla dwóch armii, dla 20000 ludzi...

Andarandis wciągnął powietrze przez szeroko otwarte usta, nie próbował już nawet kryć irytacji.

– Czy ktoś z was, może mi powiedzieć jak to jest, że człowiek, całe życie przygotowuje się na nadejście

kłopotów, a gdy te wreszcie nadchodzą, to nic nie jest gotowe?

Członkowie królewskiej rady kulili się na swoich krzesłach. Siedzieli nieruchomo ze spuszczoneymi głowami. Każdy z nich wypatrywał czegoś, w znajdującym się naprzeciw niego fragmencie dębowego stołu, jakby właśnie tam można było znaleźć odpowiedź na postawione właśnie pytania. Nikt nic nie mówił. Przez dłuższą chwilę w sali obrad panowała dzwoniąca w uszach cisza. Wreszcie król przerwał milczenie.

– Trzeba jak najszybciej stworzyć te armię.

Wydawało się że Andarandis jest znowu całkowicie spokojny i opanowany.

– Tak jest! – Bendrys energicznie przytaknął.

– Za pozwoleniem Wasza Miłość ?– Minister rolnictwa uniósł do góry otwartą dłoń.

– Słucham ser Merdiju.

– Obawiam się Panie że nie możemy teraz rozpocząć werbunku...

– Słucham? – Król sprawiał wrażenie, jakby nie dowierzał własnym uszom.

– Rozpoczynają się właśnie żniwa, jeżeli ludzie zostaną wcieleni do wojska, to kto będzie pracował?

– Czy wszyscy moi poddani są rolnikami?

Tym razem to minister Merdij sprawiał wrażenie zaskoczonej i zakłopotanej osoby.

– No nie, ale to zawsze z chłopów, w razie konieczności robiono żołnierzy...

– W takim razie najwyższy czas to zmienić! W pierwszej kolejności: wszyscy zdolni do służby mężczyźni, którzy na co dzień wałęsają się bez celu po mieście i przesiadują w karczmach, potem synowie mieszczan a gdyby i tego było mało, rozejrzyjcie się wśród szlachetnie urodzonych. Wyszukanie żołnierza trwa całe miesiące, a my mamy zaledwie kilka tygodni. Werbunek trzeba zacząć natychmiast.

Pomruk niezadowolenia przebiegł wzdłuż dębowego stołu.

– Ależ Najjaśniejszy Panie...

– Słucham – odparł wyzywająco Andarandis.

– To nie do pomyślenia... Obywatelom to się nie spodoba...

– O nie wątpię! Bardziej podobałoby się obywatelom gdyby żony i dzieci chłopów tyrały dzień i noc w polu a farmerzy ginęli broniąc granic. Dość tego! Niniejszym ogłaszam stan wojenny i proszę Radę o jego zatwierdzenie. Niniejszym nakładam na każdą rodzinę królestwa, obowiązek dostarczenia armii jednego rekruta. Może tylko z wyjątkiem wdów posiadających jedyne dziecko, ale to już wszystkie odstępstwa. Jeżeli jeszcze tego nie wiecie, to oświadczam wam, że to nie będzie zwyczajna wojna. Wypełnia się nasze przeznaczenie. Przeznaczenie, do którego Perrun przygotowywał się przez ostatnie kilkadziesiąt lat i chociaż mało kto wierzył że ten dzień nadejdzie – to oto właśnie jest.

Oto nadszedł. To dlatego podwyższaliśmy i umacnialiśmy mury. To dlatego utrzymujemy najliczniejszą w krainach armię. To nie będzie wojna o łupy, ziemię, czy próżną chwałę. To będzie wojna o życie. Tak mówi przepowiednia. Przecież ją znacie. Przecież powtarzacie ją swoim dzieciom przed snem. Być może dla wielu są to tylko stare legendy, nic nie znaczące formułki, ale oto teraz ziszczają się one na naszych oczach.

Król zamilkł na chwilę, obrzucając zebranych gniewnym spojrzeniem.

– Miłościwy Panie...

Z krzesła podniósł się ser Lirk, przewodniczący królewskiej rady.

– Przecież nie możemy mieć pewności...

– Jakiej pewności do cholery wam brakuje? – Twarz władcy była sina od gniewu, oczy miały błyskawice.

– Czy któryś z was wątpi w słowa Mistrza Murrena – nadwornego czarodzieja ? Niech wstanie ten kto uważa że Murren kłamie !

Nikt się nie podniósł. Grobowa cisza znów wypełniła salę.

– Więc jakiej pewności wam brakuje?

Król znowu był spokojny, całkowicie już panował nad swoim głosem i emocjami.

– Czy pojawienie się armii tak licznej jak trawa na łące, o niczym ważnym waszym zdaniem nie świadczy ? Jakich znaków wam jeszcze potrzeba? To już nie jest bezładna

paplanina przerażonych uciekinierów ze wschodu. Sam Wielki Mistrz Magii daje wam swoje świadectwo a wy jeszcze nie macie pewności? Czy musicie zobaczyć wroga na własne oczy aby uwierzyć w jego istnienie? Otóż zaświadczam wam że go ujrzyście. Przyjdą tu! Pod te mury! Przyjdą po to miasto! Po was! Po wasze żony i dzieci! Radźmy jak zaradzić zagrożeniu! Nie traćmy czasu na spory czy ono istnieje. Zmarnowaliśmy do dnia dzisiejszego mnóstwo czasu i naprawdę już dużo go nie mamy.

Król umilkł, opadł bezwładnie na swój wyściełany, obity skórą fotel.

Siedząca po prawej stronie króla księżniczka, bacznie ojca obserwowała. Jakże bardzo wydawał się teraz zmęczony i przybity. Miała wrażenie, że w ciągu tej ostatniej godziny postarzał się o co najmniej kilka lat. Jakże bardzo było jej go żal. Gdyby mogła mu pomóc, w jakiś sposób wesprzeć. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak ogromne ciężary musi dźwigać jej ojciec. Zrozumiała również, jak niewielki dotąd, miał z niej samej pożytek. Winna być jego podporą. Przecież ojciec nie ma nikogo innego. Ma tylko ją. Lekkomysłną, nieodpowiedzialną i niesforną dziewczynę. Przez całe życie nie zrobiła nic, by mu choć trochę ulżyć. Nie zrobiła nic, by go przynajmniej zrozumieć. Przysparzała ojcu jedynie zmartwień i jeszcze domagała się bezwzględnego zrozumienia i akceptacji dla własnych wybryków. Zupełnie jakby była centrum świata, jakby ojciec nie miał żadnych

innych spraw na głowie. Uważała przy tym, że to ona jest poszkodowana i że to jej dzieje się krzywda. Ojciec był wyrozumiały, był cierpliwy, może nawet aż nad to. Dwie ogromne łzy spłynęły po policzkach dziewczyny. Szybko obtarła je wierzchem dłoni. Nie chciała, aby ktokolwiek je widział. Jeszcze gotów był by pomyśleć że córka króla Andarandisa płacze ponieważ się boi. Wystraszona mała dziewczynka.

– Weź się w garść kadecie—instruktorze.

Napomniała w myśli samą siebie, przecież wojownik musi być twardy jak stal, którą nosi przy boku. Kapitan Ax często powtarzał te właśnie słowa, a ona była wojownikiem. Była kadetem królewskiej gwardii. Musi być twarda.. Musi być silna dla ojca i dla samej siebie.

Tymczasem przy stole trwała już zupełnie rzeczowa rozmowa. Melodia z niedowierzaniem przysłuchiwała się wypowiedziom kolejnych ministrów. Trudno było uwierzyć że są to ci sami ludzie. Nie było jednak żadnej przerwy, skład rady nie został zmieniony, lecz zachowanie się jej członków, w niczym teraz nie przypominało tego, które tak rozgniewało jej ojca. Czyniono starania, aby rozwiązać istniejące problemy. Każdy chciał się teraz na coś przydać, przysłużyć sprawie na ile to tylko było możliwe. Narada trwała do późnej nocy. Udało się jednak omówić wszystkie istotne kwestie. Uznano, że sprawą najwyższej wagi jest zebranie plonów. Należało więc zapewnić zniwiarzom wystarczającą ilość

czasu. Realizację tego celu, miały zapewnić trzy perruńskie armie. Miały one niezwłocznie wyruszyć na wschód, by dołączyć do gwardii kapitana Axa. Zadaniem połączonych sił miało być zatrzymanie najeźdźców na linii rzeki Rimby, przez okres pięciu tygodni. Reszta perruńskich sił, miała w tym czasie zająć się: mobilizacją, pomocą w zbiorach, ewakuacją ludności oraz przygotowaniem stolicy do obrony. Zdecydowano również o wyprawieniu poselstwa do wszystkich ościennych królestw, z prośbą o udzielenie wsparcia. Do miasta miały zostać sprowadzone wszystkie zapasy z całego królestwa. Cały przemysł miał teraz służyć wojsku. Gdy wreszcie król ogłosił zakończenie posiedzenia, członkowie królewskiej rady opuszczali salę obrad pełni obaw, ale też i nadziei.

Zostali we trójkę: król, księżniczka i nadworny czarodziej. Obecność Murrena była jednak wyłącznie fizyczna. Starzec był tak pochłonięty własnymi myślami że najprawdopodobniej nie zdawał sobie nawet sprawy z faktu, że obrady dobiegły właśnie końca.

Król uśmiechnął się do córki.

– Dobrze że tutaj jesteś.

Wstał z miejsca, wolnym krokiem ruszył wzdłuż stołu, jakby chciał rozruszać zesztywniałe kości. Gdy po kilku krokach zawrócił obdarzył jedynaczkę pełnym miłości spojrzeniem.

– Chciałbym abyś od tej pory, uczestniczyła we wszystkich

posiedzeniach rady.

Melodia skinęła głową. Zastanawiał ją nieco ton głosu ojca. Brzmiał cokolwiek uroczyście, niemalże oficjalnie.

– Widzisz moje dziecko nadchodzą ciężkie czasy. To przepowiadane dni zagłady i chaosu. Być może mój czas też dobiega końca, musisz być gotowa, aby objąć po mnie tron.

– Ależ ojcze... Ja... Ja go wcale nie chcę...

Andarandis głęboko westchnął.

– Wiem moje dziecko. Ja też go nie chciałem, lecz nikt mnie o nic nie pytał. Zostałem królem mimo woli, ponieważ było mi to przeznaczone. Jest to również twoje przeznaczenie. Cieszę się, że nie chcesz władzy, gdybyś jej pragnęła to miałbym wątpliwości, czy jesteś gotowa na jej przyjęcie, a tak – jestem spokojny. Wiem, że nie będzie ci łatwo, lecz jestem pewien że staniesz na wysokości zadania. Albowiem Perrun musi być wielki pod rządami mądrych królów. Kiedy mnie zabraknie...

Andarandis nie dokończył zdania, gdyż Melodia poderwała się z miejsca i rzuciła na jego szyję.

– Ależ ojcze... Co ty mówisz ? Nie chcę żebyś tak mówił... Nie zgadzam się! To się nigdy nie stanie...

Król łagodnie odsunął od siebie córkę, tak by móc spojrzeć jej w oczy.

– Stanie się moje dziecko... Nie można uciec przed przeznaczeniem. Jeżeli w najbliższym czasie jest mi pisana śmierć, to ona przyjdzie i nic nie można na to poradzić...

Melodia znowu wtuliła się w ramiona ojca. Z oczu dziewczyny płynęły łzy.

– Ale ja nie chcę...

– Ja też nie chcę dziecinko... Nawet nie wiesz, jak bardzo stary człowiek nie chce umierać.

– Nie jesteś stary!

Zaprotestowała dziewczyna, ponownie przeszkadzając ojcu w wypowiedzeniu myśli. Król uśmiechnął się łagodnie.

– Może nie jestem aż tak stary jak nasz poczciwy Murren. Był już stary gdy ja byłem jeszcze dzieckiem. Tak stary rzeczywiście jeszcze nie jestem... Mam już jednak swoje lata i coraz bardziej dają mi się one we znaki. Kiedy zasiadłem na tronie, miałem 13 lat i nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się wokół mnie działo. Pewni ludzie wykorzystali sprytnie moją naiwność. Dopiero pojawienie się Axa wojownika, otworzyło mi oczy. Musisz okazać się mądrzejszą, niż był twój ojciec. Jesteś wprawdzie nieco starsza niż ja wtedy byłem, ale i stojące przed tobą zadanie jest...

Król zamilkł na chwilę, szukając w myśli odpowiedniego określenia, wreszcie rzekł pełnym powagi głosem:

– Wręcz przerastające możliwości człowieka... Lecz musisz mu sprostać, bo inaczej cały nasz świat obróci się w perzynę. Los krain zależeć będzie od ciebie. Wiem że nie przygotowałem cię należycie do tego zadania, lecz cieszyłem się wraz z tobą każdym dniem twojego dzieciństwa... Mnie

z niego ograbiono... Staralem się więc, abys przynajmniej ty je miała. Wyszedłem z założenia że na zmartwienia masz jeszcze czas, że same cię w końcu znajdą... No i w końcu cię znalazły... Być może za bardzo ci pobażalem... Murren tysiące razy mi to powtarzał, lecz dla mnie jeden dzień więcej twojego szczęścia, był więcej warty niż całe moje własne życie...

Melodia całą sobą przywarła do ojca, ściskając go tak mocno, jak tylko mogła. Tymczasem król podjął przerwana myśl.

– Więcej warty niż wszystkie przepowiednie świata! Staralem się być dobrym ojcem i pobażliwością wynagrodzić ci brak matki. Mnie także bardzo jej brakowało, nawet, nawet nie domyślasz się jak bardzo... Rzadko kiedy, los obdarza ludzi tym czego pragną, a jeśli nawet, to tylko na krótko, tylko po to, aby człowiek miał świadomość tego, jak wiele stracił. Nie oczekuj od życia zbyt wiele. Los jest kapryśnym panem. Nikt nie obiecuje nam łatwego życia. Często staje się ono ciągłą walką, nie kończącym się zmaganiem z przeciwnościami, a jeżeli w końcu odniesiesz zwycięstwo, to okazuje się, że był to tylko wstęp do kolejnych zmagień. Jeśli chcesz przejść przez życie z dumnie uniesioną głową, musisz wywalczyć kolejne, stojące na twojej drodze bramy. Nigdy się nie poddawaj. Nie szukaj sama walki, lecz także jej nie unikaj, kiedy trzeba walczyć – to należy stanąć do boju. Kieruj się rozważą. Pomyśl, nim podejmiesz decyzję.

Łatwiejsza droga, wcale nie musi być lepsza. Troszcz się o dobro królestwa, o dobro wszystkich swoich poddanych, gdyż to oni są Perrunem. Wszystkie dni człowieka są policzone. Masz mało czasu moje dziecko, dlatego też, staraj się wykorzystać swoje dni, tak dobrze, jak to tylko możliwe. Pamiętaj, że któryś z tych dni, będzie twoim dniem ostatnim... Nie wiesz, który...

– Ale to niesprawiedliwe... Dlaczego życie jest takie krótkie? A czy to prawda że elfy żyły nawet tysiąc lat ? To dlaczego...

– Ciii dziecko...

Andarandis przyłożył dłoń do ust córki i tłumaczył dalej łagodnym tonem.

– Dzisiaj nie ma już elfów, to tylko legenda. Jeśli nawet elfy kiedyś żyły to i tak ich długowieczność nie zapewniła im przetrwania. Dzisiaj świat należy wyłącznie do ludzi. Z dawnego świata zostały jeszcze tylko gorgony, ale to tylko zwierzęta i chyba ich czas, również dobiega już końca. Lecz człowiek pozostanie. To dzięki wysiłkom kolejnych pokoleń ludzkość podlega stałemu rozwojowi. Jesteśmy bogaci mądrością naszych ojców. Ufając fundamentom wiedzy naszych przodków, wnosimy na nich nowe wymyślone przez nas budowle. Mój dziad rozpoczął budowę murów Divy, mój ojciec zapamiętał dzieło to kontynuował a mnie dane było, dzieło to ukończyć. Do ciebie zaś, będzie należała obrona tego dzieła. Musisz ocalić dorobek Perrunu i dać

ludziom nadzieję na lepsze dni, a twój syn a może córka (wypowiadając te słowa król uśmiechnął się czule do Melodii) będzie musiała tę nadzieję urzeczywistnić. Sprawić aby ludzie na powrót mogli wieść swoje zwykłe, nudne, ale i szczęśliwe życie. Musimy żyć tak, abyśmy nie musieli się niczego wstydzić.

Król przerwał na chwilę aby całą pojemnością płuc zaczerpnąć powietrza.

– Już dawno temu prosiłem kapitana, aby okazał ci swą pomoc, jeśli tylko będziesz jej potrzebować. Wiem że bardzo go lubisz. To dobry i uczciwy człowiek. Stanie u twego boku.

– Ależ ojcie. Gwardia walczy gdzieś na wschodnich rubieżach i ma tam jeszcze długo pozostać. Jaką mają szansę by powstrzymać niezliczoną armię najeźdźców? Z kąś wiesz że kapitan w ogóle wróci? Jeżeli śmierć też zamierza rozpocząć zniwa, to gwardziści będą pierwsi...

Andarandis wyraźnie pobałdł. Drżącymi rękami odsunął od siebie dziewczynę. Znow ruszył wzdłuż dębowego stołu.

– Skąd wiem?

Zatrzymał się w pół kroku. Posłał Melodii pełne niepokoju spojrzenie.

– Nie wiem! Nie brałem pod uwagę żadnej innej możliwości. On... On musi wrócić...

– A ty musisz żyć ojcie!

Księżniczka znowu wtuliła się w ramiona króla.

– Bardzo bym chciał moje dziecko... Ale... Ale

przepowiednia...

Andarandis wypowiedział te słowa drżącym, łamiącym się głosem.

– Przepowiednia? Co za przepowiednia?

– Znasz ją: „Perrun musi być wielki. Królowie mądrzy a ludzie dzielni”.

Dziewczyna czekała na dalszy ciąg, lecz król najwyraźniej nie zamierzał już nic powiedzieć. Znała te słowa, oczywiście że je znała. Znało je każde perruńskie dziecko. Rozpoczynano i kończono nimi każdy perruński dzień. Były czymś w rodzaju modlitwy, tradycją, testamentem pozostawionym przez poprzednie pokolenia. Wypowiadane rano wyznaczały cel, zaś powtarzane wieczorem nadawały sens poniesionym trudom.

– To jest przepowiednia?

Dziewczyna z niedowierzaniem patrzyła na ojca. Andarandis poważnie skinął głową.

– Tak, to jest przepowiednia a właściwie jej znana część.

– Więc jak brzmi cała?

– „Perrun musi być wielki. Królowie mądrzy a ludzie dzielni, by życie zdołali ocalić i dni przyszłe chwalić. Kiedy nadejdzie chaos i czas próby, król i mędrycy, świat muszą ocalić od zguby. Nie wolno im nie wierzyć, ani się zniechęcić, muszą być gotowi by wszystko poświęcić. Jeśli pieczęć życia zostanie złamana, nic nie powstrzyma nadejścia nikczemnego Pana.”

Ton głosu króla był niemal nabożny. Nie można było

wypowiedzieć tych kilku zdań z większą czcią i szacunkiem.

– Przecież nie ma tu ani słowa o twojej śmierci.

Z nadzieją w głosie zaoponowała dziewczyna. Andarandis westchnął głęboko. Czuł się jak stary belfer usiłujący tłumaczyć podstawowe treści, niezbyt rozgarniętemu uczniowi.

– Mówiłem ci że to przepowiednia... To rodzaj proroctwa i trzeba nieco wysiłku aby dociec właściwego znaczenia...

– Nie ma mowy o śmierci, a wręcz przeciwnie. Jest mowa o ratowaniu życia.

Melodia ciągle nie dawała za wygraną.

– A co według ciebie oznacza: poświęcić wszystko?

Dziewczyna usiłowała gorączkowo zebrać myśli. Nie była jednak w stanie znaleźć żadnych racjonalnych argumentów. Ojciec miał rację. Życie było wszystkim co człowiek posiadał. Samo w sobie, było czymś tak oczywistym, że wymykało się prostym szacunkom wartości. Jednakże, nic co człowiek cenił, żadne marzenia, uczucia, doznania, nie mogły bez życia istnieć. Były czymś wtórnym, drugorzędnym. Życie było źródłem i celem wszystkiego. Przyszła jej na myśl postać Burbara, ojca obecnego króla Gimuru. Burbar był najmłodszym z dziesięciorga rodzeństwa i ostatnim z pośród nich pretendentem do tronu. Jednak objął władzę. Wymordował po kolei pięciu starszych braci i nawet cztery siostry. Wreszcie nawet samego ojca i zasiadł na jego tronie. Rządził przez niecałe trzy lata. Na łożu śmierci

przyznał się do popełnionych zbrodni. Ten człowiek nie cenił życia. To władza była dla niego najwyższą wartością. Lecz nie dane mu było zbyt długo się nią cieszyć. Melodia z całą mocą uzmysłowiła sobie kruchość ludzkiego istnienia. Tak, z pewnością ojciec ma rację. Liczy się ludzkość. Ludzie są jak kamienie, porzucane i nic nie znaczące, lecz zebrane wszystkie razem i odpowiednio ułożone tworzą mur. Ogromny i mocny, którego nic nie jest w stanie obalić. Każdy kamień jest ważny, każdy ma swoje miejsce. Gdyby któregoś zabrakło w murze powstała by dziura. Czy nie stała by się ona powodem osunięcia kolejnych kamieni? Każdy kamień był ważny, każdy musiał tkwić na swoim miejscu. Każdy człowiek ma do spełnienia jakąś misję i ma na to wyznaczony czas – swoje życie.

– Wiem!

Rozległ się nagle głośny okrzyk. Zaskoczona dziewczyna aż podskoczyła. Spojrzała na ojca. Wydawał się równie zaskoczony, jak ona. Obydwoje skierowali ciekawy wzrok w kierunku Murrena. Stary czarodziej stał wyprostowany z zarumienioną twarzą. Melodia nie pamiętała, aby kiedykolwiek widziała tak podnieconego mistrza. Murren spojrzał na nich tryumfującym wzrokiem.

– Wiem kim są najeźdźcy!

Oświadczył krótko i opuścił salę.

Kolumna wojska posuwała się powoli zachodnim traktem w kierunku Divy. Od bitwy na równinie minęły już dwa dni. Ax miał nadzieję, że jeszcze dzisiejszego dnia dotrą do granicy Perrunu. Udało im się oderwać od przeciwnika. Nie wiedzieć czemu wróg zaniechał pościgu. Maszerowali więc pośpiesznie, gdyż mieli przed sobą szmat drogi, lecz jeśli nie będą żałować nóg, mogą być w stolicy, nawet za dwa tygodnie. Przyszłość jednak, nie nastrajała zbyt optymistycznie. Ax ciągle rozmyślał o stoczonej niedawno bitwie. Spokoju nie dawały mu również raporty zwiadowców, dotyczące liczebności wroga. Żaden nie potrafił podać, przybliżonej chociażby liczby. Przebąkiwali jedynie o setkach tysięcy. Można też było przypuszczać że żaden z pięćdziesięciu zwiadowców, nie widział wroga w całości. Czy zatem możliwe było istnienie tak ogromnej armii? Koniecznie należało to wyjaśnić.

– Bum-Bam do mnie!

Wrzasnął Ax na całe gardło.

– Bum-Bam do kapitana!

Zakrzyknął ktoś z przodu. Niemal w tym samym momencie identyczne wołanie rozległo się za plecami Axa. Rozkaz będzie powtarzany wzdłuż maszerującej kolumny, tak długo, aż wreszcie trafi do uszu adresata. Minęło sporo czasu zanim czarodziej pojawił się u boku wojownika.

– Słuchaj Bum-Bam, chcę wiedzieć dlaczego wyczarowałeś linię ognia?

– Zapewne chodzi o ścianę ognia, który to czar rzuciłem podczas bitwy?

– A co to za różnica ściana czy linia?

– Oo zasadnicza. Otóż ściana...

– Dość! Słuchaj człowieku, chcę tylko wiedzieć dlaczego to zrobiłeś?

– Oczywiście kapitanie. Chciałem po prostu dać wam trochę czasu.

– Ale po co?

– Jak to po co?

Czarodziej wydawał się być nieco zagubiony, nie rozumiał stawianych przed nim pytań, nie mniej jednak podjął próbę odpowiedzi.

– Wyczarowałem ścianę ognia po to, abyście mieli czas, żeby się wycofać. Chciałem po prostu osłonić wasz odwrót.

– Ale dlaczego uważałeś że powinniśmy się wycofać ?

Bum-Bam obrzucił kapitana badawczym spojrzeniem. Im więcej było pytań, tym mniej dostrzegał w nich sensu. Nie wiedział do czego dowódca zmierza... Milczał dłuższą chwilę.

Tymczasem Ax, zaczynał powoli tracić cierpliwość. Chwycił czarodzieja za ramię i zmusił do zatrzymania. Wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Dlaczego pytam ?

Pomruki niezadowolenia maszerujących żołnierzy, zmuszonych do omijania niespodziewanej przeszkody, zmusiły kapitana do natychmiastowego opamiętania. Wprawdzie poirytowani wojacy milkli natychmiast, gdy tylko zorientowali się, kto jest przyczyną zamieszania, lecz w zupełności wystarczyło to Axowi do zrozumienia niestosowności swego zachowania. Cóż, wszyscy pyli podenerwowani. Wraz z czarodziejem na powrót włączył się w ruch kolumny.

– Dlaczego Bum-Bam?

– Ponieważ dostrzegłem nadciągające główne siły wroga.

– Co?

Ax aż przystanął z wrażenia.

– Co jest ku... O przepraszam kapitanie...

Jeden z żołnierzy wpadł na plecy Axa. Wojownik nawet nie spojrzał na składającego wyjaśnienia gwardzistę, podbiegł do znajdującego się już kilka kroków w przedzie czarodzieja.

– Coś ty powiedział? Że co zobaczyłeś?

– Powiedziałem że zobaczyłem główne siły wroga, a przynajmniej tak mi się wydawało...

Czarodziej był w pełni opanowany, wciąż jednak nie rozumiał zachowania dowódcy.

– Więc chcesz powiedzieć że zostaliśmy zaatakowani tylko przez przednią straż?

Bum-Bam skinął głową.

– Nie jestem żołnierzem, nie znam się na tym za dobrze, ale tak mi się właśnie wydaje...

– Niemożliwe! To nie może być prawda...

Przednią straż gwardii stanowiło pięciuset ludzi (w tym momencie nawet mniej) Z reguły była to dziesiąta część maszerującej armii. Czy wróg mógł stosować podobne standardy? Najeźdźcy ponieśli ciężkie straty. Ax szacował je na minimum 50000, a przecież była to zaledwie część grupy, z którą stoczył bitwę. Przednia straż wroga musiała być przynajmniej kilkakrotnie liczniejsza. Więc ile 200, 300 tysięcy? A jeśli pomnożyć to jeszcze przez 10... Nie, to nie mogła być prawda. Musiał to sprawdzić. Musiał wiedzieć. W końcu taki właśnie rozkaz otrzymał od króla. Miał przeprowadzić rozpoznanie, a nie wdawać się w niepotrzebne awantury. Mieli dużo szczęścia wychodząc cało z opresji, a zawdzięczali to wyłącznie swojemu czarodziejowi, który wykazał się większą rozważą niż oni wszyscy. Ostatecznie to przecież Bum-Bam uratował gwardię przed całkowitym unicestwieniem, to czarodziej sam jeden uratował ich dumne żołnierskie dupy. Ax nie cierpiał, gdy ciążyły na nim jakiegokolwiek zobowiązania. Świadomość że coś, komuś zawdzięcza, była dla niego wręcz nie do zniesienia. Czasami nawet rozmyślał czy to jeszcze ambicja, czy już może próżność? Starał się wystrzegać pychy, bo przecież nie jednego przywiodła ona do zguby. Ax w pełni zdawał sobie sprawę że sukcesy gwardii wcale nie są jego zasługą.

Oczywiście miał w nich swój udział, ale przecież coraz więcej zależało od jego żołnierzy. Zauważał ich trud i doceniał wysiłek. Ostatecznie taka była rola dowódcy. Bohaterski czyn, zawsze będzie bohaterskim czynem, niezależnie od tego, kto go dokonał. Dobry plan, będzie dobrym planem, niezależnie od tego, kto jest jego autorem i taki właśnie plan należało realizować. Mniejsza o zasługi, to naprawdę nie było ważne. Najważniejszy był cel, wspólne dobro, zwycięstwo. Temu właśnie celowi należało wszystko podporządkować, także własne ambicje. Bum-Bam od początku był lekceważony przez żołnierzy, tylko z nazwy był gwardyjskim czarodziejem. Nie lubiano magii, którą sobą reprezentował. Nikt więc nie darzył czarodzieja zbyt dużą sympatią. Bitwa na równinie pokazała, jak bardzo może on być podczas walki przydatny. Gwardia zbyt wiele mu zawdzięczała, aby nadal ignorować jego osobę. Posiadanie w szeregach czarodzieja otwierało zupełnie nowe, zaskakujące możliwości. Ax nie był głupcem, a tylko głupiec marnowałby dalej tak niewiarygodny potencjał. Przyszedł czas aby czarodziej zajął wreszcie w szeregach gwardii, od dawna należne mu miejsce.

– Mam dla ciebie rozkazy czarodzieju.

– Słucham kapitanie.

– Od dzisiaj należysz do sztaby gwardii, otrzymujesz stopień porucznika, masz brać udział we wszystkich naradach wojennych. Gwardia musi zacząć korzystać

z twoich umiejętności.

Bum-Bam skinął głową, nic nie powiedział, lecz widać było, jak wielką radość sprawiły mu słowa kapitana. Wreszcie, rzeczywiście został gwardyjskim czarodziejem. Tyle się naczytał o pradawnych magach bitewnych, wreszcie miał możliwość aby stać się jednym z nich.

– Możesz odejść.

Bum-Bam ponownie skinął głową, już ruszył w swoją stronę gdy ponownie doszły go słowa dowódcy.

– Jeszcze jedno poruczniku–czarodzieju.

– Tak kapitanie?

– Dziękuję...

Na twarzy czarodzieja zagościł na chwilę cień uśmiechu.

– Zawsze do usług kapitanie...

Po chwili, już odchodząc, dodał jeszcze:

– Ja również dziękuję.

Odchodził powoli, aby zająć swoje miejsce wśród maszerujących żołnierzy. Ax zatopił się we własnych myślach. Relacja czarodzieja dawała rzeczywiście wiele do myślenia. Cóż, chyba wreszcie przyszedł czas na wykonanie królewskiego rozkazu. Trzeba wziąć tylu ludzi, ilu trzeba i zbadać sprawę. Dwóch zwiadowców powinno stanowić właściwą liczbą. Niestety, wszyscy konni zwiadowcy byli teraz w terenie, no i mieli swoje zadania, nie można ich było odrywać od służby, to co robili było zbyt ważne. Kapitan musiał sobie poradzić w inny sposób, tym bardziej że

w ciągu najbliższej doby nie przewidywał powrotu żadnego z jeźdźców.

– Pirx! – Ax wrzasnął na całe gardło.

Kapral natychmiast pojawił się u boku dowódcy.

– Znajdź natychmiast Zaruka, jeżeli nie żyje to jakiegoś innego tropiciela. Weźcie dodatkowe racje żywnościowe, powiedzmy na 4 dni i zgłóście się do mnie. Pójdziemy popatrzeć na naszego wroga.

* * *

Poruszali się ostrożnie skrajem lasu. Znowu kierowali się na wschód. Początkowo przez pół dnia, maszerowali na południe. Ax miał nadzieję, że ten manewr zapewni im względne bezpieczeństwo. Sądził że w ten sposób uniknie frontalnego spotkania z wrogiem i zajdzie go z boku. Będzie mógł wówczas wszystkiemu się przyjrzeć. Tak ogromna armia nie mogła być zbyt mobilna. Samo rozbijanie i zwijanie obozu musiało trwać całymi godzinami, a co dopiero zaopatrzenie i dystrybucja żywności wśród takiej masy wojska. Wroga armia musiała być wyjątkowo niemrawym tworem. Z pewnością był to słaby punkt najeźdźcy a to z kolei stwarzało dla gwardzistów pewne możliwości. Można by nękać wroga niespodziewanymi atakami linie zaopatrzenia mogłyby być idealnym celem. Celne uderzenie i szybki odwrót, nim rozdęty moloch zdąży zareagować. Gdyby miał te swoje wymarzone tysiąc koni, doprowadziłby

wroga do stanu skrajnej furii. Na razie jednak, należało zbadać sprawę a dopiero potem ustalić właściwą strategię, stosowną do posiadanych środków. Ta sprawa musiała jednak na razie poczekać. Trójka gwardzystów miała w tej chwili przed sobą, zupełnie inny problem. Dotarli bowiem do bardzo dziwnego miejsca. Las urywał się gwałtownie i przez kilka mil nie było zupełnie nic, był tylko piasek. Potem znowu na horyzoncie pojawiały się drzewa. Była to jakby mała pustynia umieszczona wewnątrz lasu. Być może, dawno temu miejsce to zostało strawione przez pożar, ziemia wyjałowiała a życie już się nie odrodziło. Być może jakiś zadufany w sobie czarodziej, prowadził tutaj kiedyś jakieś swoje eksperymenty, a być może sama natura, nagromadziła tu tak wielkie złoża piasku, że nic na nich nie mogło wyrosnąć. Czym by zresztą miejsce to nie było stanowiło dla wędrowców poważną przeszkodę, albowiem zmuszało ich do wyjścia na otwarty teren, na którym byli doskonale widoczni. Miejsce to sprawiało, że każdy ciemniejszy na piasku punkt, wręcz krzyczał, domagając się wyjaśnienia przyczyny swojej obecności. Oczywiście żołnierze mogli miejsce to obejść, lecz patrząc na południe nie było widać końca pustyni. Ax nie chciał tracić aż tyle czasu. Z kolei obranie północnego kierunku, oznaczałoby niechybnie zmniejszenie dzielącego ich od najeźdźcy dystansu, a tego kapitan na razie robić nie chciał. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko przebyć ten teren możliwie szybko.

– Pirx, pięć kroków na prawo, Zaruk pięć na lewo. Gdy zrobię dziesięć kroków, ruszacie za mną. Trzymać formację! Pilnujcie tyłu i boków!

Ax poczekał aż żołnierze zajmą wyznaczone pozycje, po czym wkroczył zdecydowanie na piaszczyste podłoże. Ostrożnie stawiał stopy, wyętzając wzrok i nadstawiając uszu. Lecz zmysły wojownika nie były w stanie wychwycić niczego podejrzanego. Dostrzegał jedynie przesypujący się piasek, wprawiany w ruch mocniejszymi podmuchami wiatru. Na tym terenie nic im nie groziło, choć byli doskonale widocznii, to przecież sami również, szybko zauważą każde, potencjalne zagrożenie. Jeżeli było tu jakieś niebezpieczeństwo, to kilka mil dalej, tam gdzie zaczynała się ściana lasu. Lecz coś było nie tak... Wojownik czół mrowienie na karku. Nie wiedział co to jest, ani skąd się bierze, lecz już wielokrotnie miał okazję, aby się przekonać o prawdziwości tego dziwnego symptomu. Zawsze, w obliczu ukrytego niebezpieczeństwa – Ax czół mrowienie na karku. Nie pozwolił więc sobie na żadne rozluźnienie, również swoim ludziom nakazał wzmożoną czujność. Nic jednak się nie działo. Ax zaczął się nawet zastanawiać, czy czasem on sam, czegoś sobie nie wmawia. Może to jego podświadomy strach, powodował owo mrowienie. Z drugiej jednak strony instynkt, jeszcze nigdy go nie zawiódł, dlatego więc teraz miałby ignorować oczywiste ostrzeżenie. Cóż, musi być czujny i będzie, dopóki pod jego butem, nie umilknie chrzęst

ostatnich ziarenek piasku. Pokonali już większą część piaszczystego terenu. Do drzew zostało jeszcze tylko jakieś pół mili, gdy nagle kątem oka dostrzegł z lewej strony jakieś poruszenie. Zaledwie kilka kroków przed nim w chmurze opadającego piasku, stał wróg i choć piasek utrudniał nieco widoczność, Ax nie miał żadnych wątpliwości że jest to taki sam żołnierz, jak ci, z którymi nie tak dawno twemu stoczyli bitwę. To był ryj owiec. Wróg wyrósł dosłownie z pod ziemi. Wojownik był gotowy. Ryjowiec ruszył wznosząc topór. Ax odruchowo pochylił włócznię. Teraz. Opierając ciężar ciała na pozostawionej nieco z tyłu wyprostowanej nodze, całe ciało wyrzucił do przodu. Pchnął. Grot włóczni wystrzelił w kierunku napastnika. Ryjowiec zatrzymał się gwałtownie, wybałuszając oczy. Włócznia przebiła pancerz i utkwiała głęboko w piersi przeciwnika. Drzewce broni zatrzęszczało żałośnie, ale nie pękło. Ax czół w ramionach cały impet tego uderzenia, z najwyższym trudem utrzymał pozycję. Nie było czasu na wyciągnięcie włóczni. Oto nadbiegali dwaj kolejni, powstali z piasku przeciwnicy. Wojownik błyskawicznie odskoczył od powalonego wroga. Przyklękając na jedno kolano, dobył umocowanych na obu łydkach sztyletów. Zadra pierwsza przecięła powietrze, sztylet trafił dokładnie w oko nadbiegającego wroga i wbił się aż po rękojeść. Również drzazga nie zawiodła swego właściciela, chociaż rzucona lewą ręką, precyzyjnie trafiła w cel, przebijając i miażdżąc grdykę następnego wroga. Obaj bez życia runęli

w piasek, z którego przed chwilą powstali. Kilkanaście kroków za powaloną dwójką, biegł jeszcze jeden napastnik. Ax tymczasem dobył topora. Odwrócił się by sprawdzić, jak radzą sobie jego towarzysze. Zaruk powalił właśnie pierwszego przeciwnika, czynił przygotowania na przyjęcie następnych, lecz Pirx miał poważne kłopoty. Usiłował wymknąć się, trzem nacierającym jednocześnie wrogom. Lewe ramię kaprała zwisało bezwładnie wzdłuż ciała. Pirx był zbyt zajęty walką z trójką wrogów, by widzieć że czwarty napastnik zachodzi go od tyłu, biorąc potężny zamach swym ciężkim orężem. Lecz topór Axa był szybszy. Precyzyjnie rzucony toporek, wbił się między łopatki ryjowca, którego broń upadła na piasek, chwilę wcześniej przed swoim właścicielem. Pirx miał jednego wroga mniej. Tymczasem Ax zacisnął dłoń na rękojeści krótkiego miecza. Ostrze ze zgrzytem opuściło pochwę. Należało zająć się teraz, jeszcze jednym własnym wrogiem. Gdy Ax odwrócił się w jego kierunku, stwierdził z przerażeniem, że wróg jest o wiele bliżej, niż mógł podejrzewać.

– Cholera!

Zapomniał jak szybkie potrafią być te stworzenia. Ryjowiec stał nad nim z uniesionym do ciosu młotem bojowym, w odległości jednego kroku. Miecz Axa był już w ruchu. Wojownik wciąż klęczał na jednym kolanie, bez trudu więc trafił mieczem tuż poniżej pancerza przeciwnika. Ostrze nie napotkawszy żadnego większego oporu, bez trudu

przebiło brzuch napastnika. Lecz Ax się spóźnił. Młot bojowy ryjowca został już wprawiony w ruch. To że kapitan wypruła wrogowi flaki, nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Młot opadał całą, nadaną mu siłą na klęczącego żołnierza. Ax instynktownie wyprężył lewe ramię z małym, stalowym puklerzem, powinien zdążyć zablokować to uderzenie... Cios był zbyt silny. Ramię Axa odskoczyło bezwładnie, sparaliżowane potwornym bólem, który błyskawicznie ogarnął całe ciało. Mała tarcza nie zatrzymała uderzenia. Opadający młot, nie stracił zbyt wiele ze swego impetu. Było zbyt późno na unik. Ax mógł zrobić jeszcze tylko jedno. Ustawić głowę tak, aby uderzenie spadło na sam środek jego hełmu, tam gdzie posiadał specjalne, konstrukcyjne wzmocnienie i mieć nadzieję, że hełm wytrzyma. Ogłuszający łoskot wdarł się do wnętrza czaszki wojownika, wypełniając sobą nawet najbardziej odległe zakamarki mózgu. Tysiące złocistych punkcików, rozbłysło jednocześnie ze wszystkich stron, tylko po to, aby zgasnąć równie nagle jak się pojawiły, a potem, była już tylko ciemność.

* * *

Melodia nie mogła zasnąć. To był pracowity dzień. Wszyscy mieli teraz ręce pełne roboty, albowiem przygotowywano miasto do wojny. Dziewczyna była śmiertelnie zmęczona. Przez kilka ostatnich godzin, ledwie stała na nogach, niemal zasypiała na stojąco. Była pewna,

że uśnie natychmiast, gdy tylko oprze o coś głowę. Marzyła tylko o tym, aby pójść spać i gdy wreszcie padła na swoje łóżko, to nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, a sen wciąż nie przychodził. Była coraz bardziej rozdrażniona. Przecież położyła się bardzo późno, a do świtu nie zostało już dużo czasu. Niedługo wstanie kolejny, pracowity dzień. Najpierw liczyła czarne barany, potem próbowała nie myśleć o niczym, aż wreszcie zmęczenie wzięło górę. Czuła że zasypia. Lecz płytki, wymuszony sen nie przyniósł upragnionego odpoczynku. Ludzie śnią czasami, o różnych dziwnych rzeczach, następstwem których jest jedynie ból głowy po przebudzeniu. Tak właśnie było w przypadku księżniczki. Oto stanął przy jej łóżku bardzo dziwny starzec. Człowiek był wysoki i kościsty a właściwie niesamowicie chudy. Pod opiętą, pomarszczoną skórą, wyraźnie rysowały się wystające kości. Bez trudu można je było wszystkie policzyć. Starzec miał odkrytą głowę. Był zupełnie łysy, za to siwa broda sięgała niemal ziemi. Oczy zapadły się gdzieś w głąb czaszki, kryjąc pod krzaczastymi brwiami. Za to duży orli nos aż nadto odstawał od bryły głowy. Małe wąskie usta ginęły w zaroście twarzy. Dość wyraźnie rysowały się delikatne, wąskie zakończone spiczasto uszy. Szata człowieka pozbawiona była rękawów. Rozcięcie na jej przedzie sięgało pasa, odsłaniając kościsty wychudły tułów. Tkanina kończyła się tuż nad kostkami ukazując obute w sandały stopy. Staruszek przepasany był bardzo

grubym sznurem. Jego luźny koniec prawie dotykał ziemi. Najdziwniejsze jednak było to, że cała postać wydawała się być zupełnie nierealna. Coś w rodzaju ducha czy widziadła. Dopiero po dłuższej chwili, dziewczyna zdała sobie sprawę z faktu, że człowiek ów jest jakby przezroczysty. Miała wrażenie że patrzy przez niego... Kontur stołu był rozmazany, troszeczkę niewyraźny, lecz przecież widoczny. Starzec długo stał u nóg jej łóżka. Badawczym wzrokiem wpatrywał się w dziewczynę. Wreszcie zdał sobie sprawę z tego że ona również lustruje go wzrokiem.

– Nie bój się.

Powiedział łagodnym, ciepłym głosem. Bać się, a niby czego miałyby się bać? Słowa starca rozbawiły księżniczkę. Starzec wzbudzał w niej ciekawość, ale na pewno nie strach. Jeśli już miała się czegoś obawiać, to może tylko tego, że za chwilę ten obciążony skórą szkielet, przewróci się na jej łóżko.

– Wstań mamy mało czasu.

Nie miała ochoty wstawać, lecz ciekawość była silniejsza. Z głośnym westchnieniem dźwignęła się ociężale z pościeli.

– Kim jesteś?

Starzec pokręcił głową i rzekł tylko:

– Mało czasu...

Podszedłszy do księżniczki ujął jej rękę. Melodia aż zeszytniała. Oto stało się coś, czego się absolutnie nie spodziewała. Jej dłoń została zamknięta w kościstej dłoni

starca. Czuła wyraźnie jego uścisk. Więc to nie było żadne widmo, żaden duch. Starzec był jak najbardziej rzeczywisty. By mieć pewność, zacisnęła palce na dłoni starca, czuła opór. Ścisnęła twardą, kościstą dłoń.

– Chodźmy.

Powiedział starzec niecierpliwie szarpiąc ją za rękę. Mnóstwo pytań cisnęło się na usta dziewczyny. Od czego zacząć? Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, znów wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Oto stała bosymi stopami na zielonej trawie. Był środek dnia. Piękny letni dzień. Słońce grzało aż miło. Ona zaś stała boso w nocnej koszuli ściskając mocno dłoń swego przewodnika. Teraz już miała powody do obaw. Oto tuż przed nimi, stały niezliczone, równe szeregi wojska. Tysiące opancerzonych, uzbrojonych po zęby żołnierzy. Była nie ubrana. Księżniczka Perrunu stała w nocnej koszuli przed tysiącami mężczyzn. Poczuła się dziwnie nieswojo. Sytuacja była cokolwiek krępująca. Pewnie za chwilę stanie się pośmiewiskiem dla tej ogromnej armii, a co będzie potem?

– Nie bój się.

Usłyszała łagodny głos starca. Odetchnęła głęboko, musi mu zaufać. Uświadomiła sobie jednocześnie istnienie bólu w prawym ramieniu. Tak mocno ścisnęła rękę przewodnika. Poczuła lekkie ukłucie wstydu. Zaczepnęła powietrza, rozluźniła uścisk. Spojrzała na stojących naprzeciw niej żołnierzy. Ku jej zdziwieniu, nic się nie stało, żaden wojak

nie parsknął śmiechem, nikt nie wskazywał w jej kierunku, nikt nie krzyczał. Żołnierze wypatrywali czegoś na odległej linii horyzontu. Dziewczyna skorzystała więc z okazji, by lepiej im się przyjrzeć. Byli wysocy i smukli, zaś zbroje idealnie dopasowane. Uwagę przyciągały przepiękne zdobienia na każdej ze zbroi. Były to bogate, zawile ornamenty, połyskujące wszystkimi kolorami tęczy. Nawet jej ojciec, król Perrunu w swym najwspanialszym pancerzu, musiałby się wstydzić jego prostackiego wyglądu. Przy tych pancerzach, zbroja ojca, były zaledwie wyklepanym płatem stalowej blachy. Wzrok dziewczyny przyciągnął, wykonany na jednym z pancerzy, wizerunek smoka. Każdy detal odwzorowany był z najwyższą starannością i nie był to bynajmniej żaden malunek. Całą tę fantastyczną, misterną robotę wryto w metalu. Stała jak urzeczona nie mogąc oderwać oczu. Lekkie szarpnięcie zmusiło dziewczynę do odwrócenia głowy.

– Mało czasu.

Usłyszała znowu zrzędlivy głos starca. Ruszyła więc wraz z nim wzdłuż stojących szeregów. Przypomniały jej się słowa, często powtarzane przez kapitana Axa: „ładni żołnierze nie wygrywają wojen”. W serce dziewczyny zagościło nagle uczucie niepokoju.

– Czekaj!

Szarpnęła ramię swojego przewodnika.

– Kim są ci ludzie?

Starzec zatrzymał się, długą chwilę patrzył jej w oczy, wreszcie rzekł:

– To nie ludzie, to elfy.

– Elfy?

Jak echo powtórzyła księżniczka. Znowu skierowała ciekawy wzrok na żołnierzy. Szukała czegoś, co potwierdziłoby prawdziwość słów starca. Znalazła niemal natychmiast.

– Uszy!

Wszyscy oni mieli lekko spiczaste uszy. Wprawdzie większość żołnierzy miała na głowach hełmy, lecz każdy wojownik z odkrytą głową, potwierdzał prawdziwość jej odkrycia. Z zainteresowaniem spoglądała na swego przewodnika i aż zaparło jej dech w piersi. On również miał takie same jak tamci spiczaste uszy. Że też wcześniej tego nie zauważyła...

– Ty też...

Starzec z zaciekawieniem podniósł na nią wzrok.

– Ty też jesteś elfem.

Dodała Melodia wciąż jeszcze zszokowana dokonany odkryciem.

Głębokie westchnienie przewodnika nieco poirytowało księżniczkę. Wydawał się być nieco zawiedziony.

– A już myślałem że zaczynasz rozumieć...

O czym ten starzec znowu mówi? Oczywiście że zaczynała rozumieć. Dokonała właśnie niesamowitego

odkrycia. Oczywiście że rozumie. Zawahała się jednak... Bo niby co właściwie rozumiała? Nie miała pojęcia gdzie jest, co się dzieje i o co w tym wszystkim chodzi. Wzruszyła więc dyplomatycznie ramionami:

– Cóż... Twierdzisz zatem że to armia elfów...

Starzec skinął głową. Pełnym miłości wzrokiem powiódł po szeregach żołnierzy. W spojrzeniu tym było tyle tęsknoty, tyle żalu i bólu zarazem, że dziewczyna poczuła się zakłopotana. Miała wrażenie że odkryła właśnie jakiś cenny, głęboko skrywany sekret przezroczyściego człowieka.

Słyszała o elfach. Podobno kiedyś te istoty zamieszkiwały całe krainy. Legendy mówiły że świat przez całe tysiąclecia należał do elfów. Aż pewnego dnia, nie wiedzieć skąd, przybyli najeźdźcy, którzy zniszczyli elfie imperium. Podbiliby pewnie całe krainy, gdyby na ich drodze nie stanął dzielny i mądry król maleńkiego jeszcze wtedy Perrunu – jedyne królestwa ludzi w ogromnym elfim imperium. To właśnie jej przodek, król Tyrjanus położył kres zagrożeniu. Dzięki swej odwadze i pomysłowości, dowodząc niewielką, lecz waleczną armią rozbił i starł na proch niezliczone hordy najeźdźców. Wiele legend sławiło męstwo Tyrjanusa. Był wzorem bohatera, natchnieniem wojowników. To właśnie jemu ówczesny świat zawdzięczał ocalenie. Poczuła lekkie szarpnięcie. Wraz ze starcem ponownie ruszyła wzdłuż szeregów elfickiej armii.

– Ci żołnierze wydają się na coś czekać...

Przewodnik w zamyśleniu skinął głową.

– Czekają na nadejście sojuszników.

– Sojuszników?

– Tak, armii ludzi.

– Aha.

Bąknęła dziewczyna pod nosem, starając się sprawić wrażenie, że rozumie... Starzec mówił dalej.

– Ale się nie doczekali.

– Uhm...

Jednak nic nie rozumiała. Jakiś czas szli w milczeniu. Melodia przyglądała się elfickim żołnierzom, oczekujących na pomoc, która miała nigdy nie nadejść.

– Więc co się stało?

Starzec po raz kolejny obrzucił dziewczynę badawczym wzrokiem.

– Była bitwa.

Księżniczka przełknęła ślinę, musiała zadać to pytanie.

– Czy mimo braku sojuszników, elfy zwyciężyły?

Nieznośna cisza, nieskończenie długo drażniła uszy dziewczyny. Wreszcie stary elf spojrzał na nią i bardzo cicho rzekł.

– Udało im się osiągnąć to co zamierzali.

Melodia odetchnęła z ulgą. Sama nie wiedziała czemu było to dla niej takie ważne.

– A więc wygrali?

– Wygrali?

Głos starca był tak nabrzmiaty bólem, że aż dreszcze przebiegły po całym ciele dziewczyny. Dodał po chwili cichym, drżącym głosem.

– Żaden z nich nie przeżył.

Melodii zawirowało w głowie, czuła jak uginają się pod nią nogi.

– Przecież... Przecież powiedziałeś że wygrali...

– Powiedziałem jedynie że osiągnęli to co zamierzali osiągnąć, to co osiągnąć mogli, to co osiągnąć musieli.

Melodia z rezygnacją pokręciła głową.

– Nie rozumiem...

Staruszek mocniej ścisnął jej dłoń.

– Można było wygrać tę bitwę... Lecz ludzki król nie przyprowadził swojej armii, tak jak przyrzekał to zrobić. Elfy i ludzi łączyło przymierze, ponieważ ludzki król poślubił księżniczkę elfów.

Po raz kolejny spojrzał Melodii prosto w oczy.

– W twoich żyłach płynie elfia krew. Jesteś dziedziczką przymierza. Prawną spadkobierczynią elfiej potęgi, magii i mądrości. Jesteś także ostatnią nadzieją elfów... Oraz – jedyną szansą żyjących.

Jeżeli poprzednia konwersacja była dla dziewczyny cokolwiek nie jasna, to teraz pogubiła się już zupełnie.

– Jak nazywał się ten król, który nie dotrzymał przymierza ?

– A jakie to ma znaczenie? – Rzucił w odpowiedzi

poirytowany starzec.

– Właśnie że ma! – Upierała się księżniczka.

– Powiedz! Kto to był?

Starzec machnąwszy ręką, znowu spojrzał jej głęboko w oczy. Jakby chciał zajrzeć do głębi serca, zobaczyć duszę dziewczyny. Melodia nie była pewna czy ma się tego spojrzenia obawiać. Wiedziała jednak z całą pewnością, że bardzo tego nie lubi. Czuła się coraz bardziej zakłopotana, niepewna siebie i swoich sądów. To nie było miłe uczucie.

– Kto?– Powtórzyła raz jeszcze.

– Na imię mu było Tyrjanus – odparł powoli starzec przez zaciśnięte zęby.

– Co? To nie prawda! – Krzyknęła dziewczyna wrywając dłoń z ręki elfa.

– Przecież to Tyrjanus uratował krainy! Przecież to on pokonał najeźdźców!

Starzec pokręcił głową. Wprawiona w ruch długa siwa broda, falował jeszcze nieznacznie przez jakiś czas, podczas gdy jej właściciel mówił twardym, nie znoszącym sprzeciwu głosem.

– Nie, moje dziecko. Było dokładnie tak jak mówię. Ludzki król nie przybył! Ludzie nie pomogli elfom. Wiem, bo tam byłem. Widziałem wszystko na własne oczy. Zaręczam ci, że osobiście brałem udział w wydarzeniach, które ty znasz jedynie z przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowiadań. Można było wygrać tę bitwę.

Znowu zapadła dłuższa chwila milczenia. Najprawdopodobniej starzec rozpamiętywał, owe dawno minione dni, zaś księżniczka usiłowała gorączkowo zebrać myśli.

– Dlaczego przybycie ludzi było takie ważne? Legendy mówią że Tyrjanus miał bardzo małą armię.

Elf odwrócił twarz w stronę dziewczyny.

– Tak w obliczu milionowej armii elfów, siły ludzi rzeczywiście wydawały się mało istotne, lecz znaczyły bardzo wiele.

– Czy możesz mi to wytłumaczyć?

Odpowiedzią było jedynie głębokie westchnienie, jednak starzec po chwili podjął temat.

– Tak. Mogę.

Staruszek zmarszczył brwi. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiał. Znowu obdarzył Melodię badawczym spojrzeniem.

– Czy w twoim świecie znana jest waga?

Dziewczyna parsknęła w odpowiedzi.

– Też coś! Oczywiście że tak! Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Że ludzie to dzikusy? Chciała mówić dalej, lecz przerwał jej gestem ręki.

– Co się stanie jeżeli na obu szalkach, położysz takie same ciężarki?

– Jak to co? Nic! Waga pozostanie w równowadze...

Nie patrząc na księżniczkę starzec skinął głową.

– A co się stanie jeżeli do jednej z szalek dołożysz mały kamyk?

– Ciężar tej szalki się zwiększy i szalka opadnie, przeważy wagę... – Irytowały ją te banalne, niczemu nie służące pytania.

– No właśnie...

– Co właśnie? Do czego zmierzasz ? Co to ma wspólnego z armią Tyrjanusa?

– Przecież mówię... Armia ludzi była takim właśnie kamykiem... Można było wygrać tę bitwę...

Zrozumiała. Było to takie proste, takie oczywiste. Tymczasem przewodnik ciągnął dalej podjęty wcześniej temat.

– Najeźdźcy byli rzeczywiście trzykroć liczniejsi, lecz armia elfów nie miała sobie równych. Ponadto elfy dysponowały potężną magią, która znacznie podnosiła wartość bojową armii. Siły były w zasadzie wyrównane. Nie był to jednak byle jaki wróg. Przeciwnik nie znał strachu i także miał magię na swoich usługach. Zuub wiedział kogo przeciwko nam posłać... Oni byli chaosem, bezrozumnym żywiołem niszczącym wszystko na swej drodze. My mogliśmy przeciwstawić nasz rozum, ład i porządek. Były to przeciwieństwa, które wzajemnie się znoszą... Dlatego tak bardzo potrzebowaliśmy ludzi. Cały plan bitwy opierał się na ich przybyciu. Kiedy wreszcie dotarło do nas że zostaliśmy sami, było już za późno, aby cokolwiek zmienić... Wciąż

jednak mogliśmy powstrzymać zło. Zuub nie wie co to poświęcenie, nie wie co to miłość i braterstwo. Elfy dopełniły swego przeznaczenia. Wypełniły swój obowiązek, choć zapłaciły za to najwyższą możliwą cenę. Zapieczętowaliśmy grób. Zuub został zatrzymany.

Starzec chciał mówić dalej, lecz coś wydarzyło się w szeregach elfickiej armii. Obydwoje zwrócili głowy w kierunku miejsca zdarzenia. Melodia ze zdziwieniem przetarła oczy i wcale nie była pewna, czy dobrze widzi. Dotychczas mijali tylko piechurów. Rozmaicie wyposażone, przeróżne formacje, lecz byli to piechurzy. Teraz jej oczom ukazała się konnica. Dziesiątki tysięcy żołnierzy siedziało na koniach. Nie tylko jeźdźcy byli doskonale opancerzeni. Konie również miały pancerze. Zarówno łby jak i torsy zwierząt, chroniły doskonale wyprofilowane, przepięknie zdobione, zrobione ze stalowej blachy błyszczące w słońcu osłony. Działo się coś dziwnego. Konie padały na ziemię. Jeźdźcy, którym udało się w porę zeskoczyć z końskich grzbietów, stali bezradnie nad swoimi wierzchowcami. Próbowali je szarpać, zmusić do powstania, lecz wszystkie te wysiłki na nic się zdały. Młody chłopak klęczał obok leżącego rumaka. Trzymał na kolanach rozpancerzony koński łeb, po którym pieśczośliwie gładził ręką. Mówił coś do konia, lecz zwierzę było martwe. W oczach wojownika lśniły łzy. Melodia spojrzała pytająco na starego elfa.

– Zaczęło się! Bitwa się zaczęła.

Dziewczyna natychmiast omiotła wzrokiem całą okolicę, lecz nie dostrzegła żadnego wroga. Przewodnik jakby czytał w jej myślach.

– Przyjdą moje dziecko... Mało czasu... Chodź!

Znowu ujął jej dłoń i energicznie ruszył naprzód.

– A konie? Co z końmi?

Starzec pokręcił głową.

– Nic im nie pomożemy. Przeszłości nie da się zmienić. Mamy wpływ jedynie na obecne i przyszłe wydarzenia. Popełniłem błąd. Nie doceniłem Zuuba... Wiedz że kawaleria stanowiła główną siłę uderzeniową elfiej armii i zapewniam cię, że Zuub miał się czego obawiać. To co widzisz to magiczny atak. Żołnierzy chroni przed magią tarcza. Specjalna magiczna tarcza i nawet Zuub nie może im nic w tej chwili zrobić. Nie pomyślałem jednak o koniach. Za to Zuub pomyślał. Jednym paskudnym czarem przetrącił kręgosłup dumnej elfiej armii. Właśnie w tej chwili umierają wszystkie żyjące w krainach konie.

Szarpnięciem ponaglił do szybszego kroku, ociągającą się dziewczynę. Ta jednak, nie zamierzała go tym razem słuchać.

– Zaczekaj! Co teraz będzie?

– A co ma być?

– Co będzie z kawalerią?

Obejrzał się, obrzucając dziewczynę nieco pogardliwym wzrokiem.

– Nie ma już kawalerii.

– A żołnierze?

– Będą walczyć na piechotę! Chodź! Nic tu po nas. To chwila tryumfu naszego wroga, ale nie będzie się nią zbyt długo cieszył... My też przygotowaliśmy dla nich, kilka oryginalnych niespodzianek.

Szarpnął silnie, zmuszając dziewczynę do pójścia za sobą. Było dość zastanawiające skąd w tym cherlawym ciełe bierze się aż tyle krzepy. Melodia dreptała posłusznie za starcem, musiała nieźle wyciągać nogi, aby dotrzymać mu kroku. Elf szedł bardzo szybko. Starła się ogarnąć wszystko to, co się wokół niej działo. Uporządkować zdobyte informacje, lecz nie potrafiła dać sobie z tym wszystkim rady. Miała w głowie jeden wielki mętlik. Starzec nagle stanął. Dziwne. Księżniczka miała wrażenie, że z tego właśnie miejsca rozpoczęli ową dziwaczną wędrówkę, a przecież nie pamiętała, aby zawracali. Stary elf ujął dziewczynę za ramiona. Przenikliwie patrzył jej w oczy.

– Mało czasu... Tak mało czasu... Słuchaj moje dziecko...

Słuchała. Cała zamieniła się w słuch. Tak bardzo chciała zrozumieć. Może wreszcie starzec pomorze jej uporządkować myśli i zebrać to wszystko w jakąś logiczną całość.

– Gwiazdy się zbliżają...

Staruszek szeptał ledwie słyszalnym głosem, a w jego oczach czaił się strach.

– Moc pieczęci słabnie... Zuub będzie się chciał

wydostać... Nie możesz do tego dopuścić!

– O czym ty mówisz?

– Cii... – Położył dłoń na ustach dziewczyny.

– Zuub znowu będzie próbował, a nie ma już elfów... Jesteś tylko ty! Ja sam już nic więcej zrobić nie mogę... Jesteś tylko ty. Chciałem znaleźć ci pomoc lecz ludzie są tacy.... Tacy mali... Jest jednak wojownik o czystym sercu i czarodziej o otwartym umyśle... To dobrzy i dzielni ludzie... Mogą ci pomóc... Jest też twoje dziedzictwo, które do ciebie należy. Weź więc to co twoje...

Mówiąc to starzec położył obie dłonie na czole dziewczyny. Poczula ciepło. Świat nagle zawirował. Nie miała pojęcia co się dzieje, czuła jednak w sobie jakieś niesamowicie potężne moce, o których istocie nie miała żadnego pojęcia. Wir wokół niej zwęzał się i przyspieszał. Dłonie starca wręcz parzyły jej czoło. Uniosła ręce, objęła nimi głowę. Była bliska omdlenia. Krzyczała, czuła że za chwilę straci przytomność.

Świadomość wracała powoli. Było ciemno. Zrozumiała że ma zamknięte oczy. Uniosła powieki, czuła że ocierają o coś. To były jej dłonie. Zakrywała dłońmi twarz i czoło. Powoli opuściła ręce. Był już dzień. Mokra od potu, ze skrzyżowanymi nogami, siedziała na swoim łóżku. Rozejrzała się po pokoju. Służąca Helmi przyniosła właśnie dzban z ciepłą wodą do mycia. Powoli wracało poczucie rzeczywistości i bezpieczeństwa. Helmi przywitała się

wesoło, rzucając dziewczynie radosne spojrzenie, tak jak robiła to każdego ranka. Powinna teraz zażartować:

– Wstawaj śpiąca królewno i przemyj oczęta.

Lecz służąca nic nie mówiła. Stała jak wryta z uniesionym dzbanem, wpatrując się w dziewczynę.

– No co?

Nie wytrzymała Melodia.

– Nic, nic księżniczko.. – Odparła Helmi odstawiając dzban i wybiegła z pokoju.

Melodia wzruszyła ramionami. Pomyślała ze Helmi też musiała mieć złą noc. Nawet nie nalała wody do miski. Dziewczyna padła na łóżko, wyciągając ciało na całą jego długość.

– Co za dziwny sen?

Leżała jeszcze chwilę, zanim podjęła ostateczną decyzję. Musi wstać. Ochlapała wodą twarz, przeganiając definitywnie resztki senności. Podeszła do lustra. Usiadła na stołku, sięgając po szczotkę do włosów. Ręka księżniczki zamarła w połowie ruchu. Dziewczyna wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Na jej czole, jarzył się jasno niebieskim światłem, mały, okrągły tatuaż.

* * *

Było ciemno. Lecz był to inny rodzaj ciemności. Inny niż te, które znał dotychczas. Nie potrafił jednak określić, na czym ta różnica miałaby polegać. Jakie to zresztą miało

znaczenie? Panujący wokół mrok wcale nie był taki zły. Nic mu tutaj nie zagrażało, a sama ciemność wydawała się być – jakby przyjazna. Czule oplatała dryfujące ciało, starając się, niczym spragniona kochanka, jak najmocniej do niego przytulić. Ów mrok był jakby żywy, świadomy...

Ax miał poczucie ruchu, lecz i to było jakieś inne, nierealne. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczył. Można to było porównać do łagodnego ruchu, leniwie płynącej rzeki. Czuł – jakby dryfował, niesiony ledwie wyczuwalnym nurtem. Chciał się wyciągnąć, tak jak to robił zwykle po przebudzeniu. Mrok natychmiast zareagował. Ciemność gwałtownie zgęstniała, skutecznie udaremniając jakikolwiek ruch. Jednocześnie gdzieś w głębi mózgu słyszał szepty, że powinien się uspokoić, odprężyć, że teraz już wszystko będzie dobrze. Był zmęczony, nigdy jeszcze nie był aż tak wyczerpany, tak bardzo potrzebował wypoczynku. Czuł, że wreszcie może odpocząć. Zasłużył sobie na to! Nareszcie nic nie musiał i nic, go nie obchodziło. Pozwalał więc, aby ów senny nurt, powoli go unosił. Ciemność tuliła się do niego, szepcząc, że tak jest dobrze. Usłuchał tego dziwnego szeptu, zamknął oczy i dalej słuchał. Powoli, lecz nieustannie dryfował w nieznanym sobie kierunku. Czuł, że mrok wokół niego gęstnieje, że łąnie do niego coraz mocniej, wraz z każdym przebytym jardem. Dobrze było pogrążyć się w nicości, zatracać w zapomnieniu. Wszystko, czego dotychczas doświadczył, było takie małe, takie nieistotne.

Nareszcie, nic już go nie obchodziło. Nic nie musiał.

Lecz niecierpliwy duch Axa, nie dał się tak łatwo omamić. Ax nie cierpiał bezczynności. Było dobrze, lecz przecież trzeba się było ruszyć. Postanowił wstać. Lecz mrok znowu go uprzedził. Otulił tak szczelnie i tak mocno, że wykonanie najmniejszego nawet ruchu, nie było możliwe.

– Co jest?

Nie potrafił jednak odpowiedzieć na to pytanie. Udał, że rezygnuje, że słucha natarczywego szeptu. Ciemność odpuściła. Gdy Ax poczuł, że trzymająca go siła słabnie, spróbował stanąć na nogi. Nie zdążył. Mrok był szybszy. Przydusił go, nie pozwalając na jakikolwiek, najmniejszy nawet ruch. Ax zdał sobie sprawę z faktu, że jest więźniem. Wcale nie był zadowolony z dokonanego odkrycia. Krępowały go skutecznie, jakieś niewidzialne powrozy.

Mrok więził jego ciało, lecz przecież wciąż mógł myśleć. Musi przeanalizować to wszystko. Jak mało kto, zdawał sobie sprawę z potęgi wiedzy. Świadomość sytuacji była kluczem, dzięki któremu można było otworzyć nawet najzmyślniej skonstruowane zamki. Nie miał pojęcia gdzie jest, ani jak się tu znalazł. Jediną rzeczą jakiej był świadomy, był ten ledwie wyczuwalny ruch. Skupił więc na nim, całą swoją uwagę. Lecz niczego nie odkrył. Coś innego natomiast, zaprzątnęło jego myśli. Nic nie robił, czemu więc odczuwał stale rosnące zmęczenie? W każdym bądź razie, musiał odpocząć. Nagle, gdzieś w zakamarkach mózgu pojawiło się pytanie. Czym

się właściwie zmęczył? Lecz również i tym razem, nie znalazł odpowiedzi. Mrok zdawał się już dotykać jego myśli, chwycić je podstępnie, nie pozwalając na samodzielność.

– Odpocznij... Zaśnij.

Szept zdobywał powoli, coraz większe obszary jego świadomości i jak przystało na zdobywcę – narzucał tam swoją wolę – wymyślone przez siebie prawa. Ax czół się coraz bardziej ociężały, czół że zasypia, odpływa, traci resztki świadomości. Rozpaczliwie próbował znaleźć jakiś punkt oparcia, coś na czym mógłby skupić uwagę, za co mógłby pochwycić, lecz niczego takiego nie znalazł. Olśnienie przyszło niespodziewanie.

– Śmierć! Ja umieram...

Tak, to musiała być śmierć. Nie czuł bólu, nie czuł strachu, właściwie nic nie czuł. Przecież wiedział, że kiedyś moment ten nastąpi. Każda chwila doskonale się do tego celu nadawała. Była to przecież jedna z tych spraw, których nie można odłożyć na potem. Widocznie przyszedł jego czas

– Cóż, dobrze, niech, niech i tak będzie...

Był pogodzony z losem. Śmierć wcale nie była taka straszna.

Bardzo powoli zaciskał dłoń, wolniej od poruszającego się mroku, który go prowadził. Chciał poczuć twardość żelaza. Po raz ostatni chciał ścisnąć w ręku broń. Lecz dłoń była pusta. Nic w niej nie było!

– Co jest do cholery ?

Był wojownikiem. Miał prawo do śmierci z bronią w ręku. Dlaczego dłoń jest pusta? Gdzie jest miecz?

Całe ciężkie, pełne wyrzeczeń życie, podporządkowane było nadrzędnemu celowi, jakim była śmierć z bronią w ręku. Miał do tego prawo. Nie tak jak handlarz, rolnik czy rzemieślnik. Oni mogli tak umierać, ale nie on! Był wojownikiem. Jeżeli umiera to dlaczego nie ma miecza w ręku? To niegodziwe, niesprawiedliwe i niegodne!

Uczucie pogodzenia z losem prysło w jednej chwili. W jego miejsce pojawił się bunt.

Ax zaprzagnął żyć. Nagle poczuł potworny ból głowy. Ból ten ogarniał całe jego ciało i stawał się coraz bardziej intensywny. Mrok wokół niego delikatnie wibrował, lecz uścisk nie przybrał na sile. Wojownik ignorował ból. Pragnienie życia zaczynało powoli brać nad nim górę. Ból jednak stale narastał, ale razem z nowymi jego falami, zaczęła powracać świadomość. Przypomniawszy sobie ostatnie wydarzenia. Pamiętał spadający na jego głowę ogromny, bojowy młot. Poczuł napływające do wnętrza ciała ciepło. Miał wrażenie że jakaś potężna dłoń chwyciła go za kark i postawiła na nogi. Ktoś kazał mu iść. Długo zastanawiał się nad znaczeniem tego słowa, a gdy wreszcie je odkrył, postanowił, że pójdzie. Ból nie ograniczał się już tylko do wnętrza czaszki, obejmował sobą całe ciało. Ax odkrywał stopniowo istnienie kolejnych jego części. Wszystkie były zbolale i odrętwiały. Mrowienie i pieczenie obitego ciała,

nie było zbyt miłym doznaniem. Cały mózg wypełniony był jednym monotonnym furkotem. Zdawało się ze czaszka wojownika lada moment wybuchnie. Musiał odwrócić odrętwiałe ciało. Angażując wszystkie siły, z ogromnym trudem podciągnął się nieco na boku, lecz nie był w stanie utrzymać, tej tak ciężko wywalczonej przed chwilą pozycji. Znów osunął się bezwładnie na plecy. Z ust wyrwało się ciche jęknięcie. Pomyślał, że może zacznie od czegoś łatwiejszego, na przykład: od otwarcia oczu. Przeraził go jasne światło wdarło się natychmiast przez ledwo uchylone powieki. Znów jęknął zamykając szybko oczy. Poczuł lekkie szarpanie za ramiona. Ktoś pochylił się nad nim, zrobiło się jakby nieco ciemniej. Powoli otwierał oczy. Światło nie raziło już tak bardzo. Nic jednak nie mógł dostrzec. Przed oczami była tylko mgła. Zamrugał kilkakrotnie. Łzy przemyły źrenice, znowu zamrugał. To była twarz Mandersa. Porucznik wpatrywał się w niego z napięciem, wreszcie wrzasnął na całe gardło.

– Żyje! Kapitan żyje!

Po krótkiej chwili całe pole widzenia Axa wypełnione było twarzami. Wszystkie one wydawały się znajome. Kapitan zmarszczył czoło usiłując sobie przypomnieć do kogo należą.

– Jak to żyje? Niemożliwe... – Krzyczał ktoś z tyłu. Nowa twarz wcisnęła się w pole widzenia.

– No żyje. Cholera! Naprawdę żyje!

– Ciebie też miło widzieć Kandas – mówiąc to Ax starał się utrzymać otwarte powieki.

– Nie, nie kapitanie, nie żebym się nie cieszył ale jeszcze w życiu nie widziałem tak twardego łba...

– No to chyba jeszcze nie wiele w życiu widziałeś.

– Odsuńcie się ludzie! – Kandas wrzeszczał na całe gardło.

– Kapitan potrzebuje powietrza! Muszę go zbadać!

– Słuchaj Kandas... Ten łomot... Rozsadza mi czaszkę...

– A tak. To Bum-Bam.

– Co? Bum-Bam rozsadza mi czaszkę?

– No nie, nie Bum-Bam, tylko ten łomot.

– Dobrze się czujesz Kandas?

– Co? A tak, pewnie że dobrze się czuję a ty nie gadaj tyle żołnierzu. Bum-Bam cały czas katuje ten swój śmieszny bęben i stąd właśnie ten łomot. Patrz na mój palec kapitanie.

Mówiąc to Kandas przesuwiał powoli palcem przed oczami Axa. Badanie trwało jeszcze dłuższą chwilę, aż w końcu kapitan odszedł, mruczając do siebie coś pod nosem. Na koniec rzucił tylko:

– Jest dobrze.

W tym samym momencie przed kapitanem pojawił się Manders.

– Jak się tu znalazłem ? Odeszliśmy przecież dość daleko... Chyba nikt nie szedł za nami?

– Przyniósł cię Pirx kapitanie.

– Aa Pirx. Nic mu nie jest ? Pamiętam że był ranny...

– No tak. Ma strzaskane ramię, ale Kandas mówi że wydobrzeje. Usunął odpryski kości, poukładał co było trzeba i teraz zakłęcia mają zrobić swoje.

– Czekaj, czekaj. Jak kaprał mógł mnie przynieść ze strzaskanym ramieniem?

– Niósł cię na tym ramieniu bo w zdrowym ręku cały czas niósł broń. Mówił że bolało jak jasna cholera, ale miało to swoje dobre strony, bo zanim zemdlął z bólu to już znowu był przytomny. Gimurowie was uratowali. Pirx im nie ufał, więc niósł ciebie przerzuconego przez ramię i na wszelki wypadek gotowe do użycia ostrze w zdrowej ręce. Na szczęście nie było potrzebne. Gimurowie chcą walczyć po naszej stronie, więc pozwoliłem im iść z nami do Divy.

– A jakie znaczenie ma kilku Gimórow?

– To gimurska, przyboczna gwardia królewska a jest ich ze trzy tysiące a może i lepiej.

– Co?– Ax aż dźwignął się na łokciach – i idą z nami?

– No tak, uznałem, że mogą się przydać.

– Dawaj mi tu zaraz Greyna.

– Ciężko będzie kapitanie, bo poszedł w twoje ślady...

– Manders o czym ty do cholery mówisz?

– Jak Pirx Cię przyniósł, to Greyn uznał że teraz on musi wypełnić zadanie. Wziął całą drużynę i poszedł na zwiad. Już dwa dni jak go nie ma. Przekazał mi dowództwo i kazał jak najszybciej dotrzeć do Divy. Jutro dotrzemy do rzeki

i będziemy już w Perrunie.

Rzeka Rimba była rzeka graniczną, oddzielającą Gimur od Perrunu. Brała swój początek w odległych górach i ciągnęła się przez całą wielką równię, stanowiąc naturalną granicę między dwoma królestwami. Sąsiedzkie stosunki Perrunu i Gimuru nie wyglądały w ostatnim czasie zbyt dobrze. Gimurowie dwukrotnie przekraczali rzekę, łupiąc przygraniczne osady. Został wprowadzie zawarty rozejm, lecz nikt za bardzo w ten traktat nie wierzył. Przekraczając rzekę, gwardia pogwałciła warunki traktatu, ale kapitan Ax spodziewał się właśnie gimurskiej armii. Nie był przygotowany na to co spotkało jego oddział. Sami Gimurowie najwyraźniej też nie.

– Co mówią Gimurowie?

Manders zmarszczył czoło robiąc przy tym skwaszoną minę.

– Nie za wiele kapitanie. Chcą mówić z królem.

Axowi już nie podobała się ta sytuacja. Nie należał do osób szczególnie podejrzliwych, ale samo życie, nauczyło go dalece idącej ostrożności. Wietrzył podstęp: Gimurowie prowokują dużo silniejszy Perrun. W swojej misji zwiadowczej, gwardia trafia na nieznanego wroga, którego liczebności nawet nie jest w stanie określić. Weszli przecież bardzo głęboko w głąb gimurskiej ziemi i nie spotkali ani jednego gimurskiego żołnierza, a teraz raptem pojawia się gimurska gwardia, która chce się do nich przyłączyć i stanąć przed obliczem króla. Tylko po co? Czy rzeczywiście chcą

złożyć hołd i zaproponować swoje usługi? Czy może po to, aby zdradziecko uderzyć? Ax nie miał żadnych wątpliwości, że gdyby teraz pozbawiono życia króla Andarandisa, to w całym Perrunie zapanowałby trudny do ogarnięcia chaos. Być może o to właśnie chodziło Gimurczykom. Być może są w zмовie z najeźdźcami. Gdyby jednak tak było, to czy ratowaliby jego małą grupkę z rąk stworów? No chyba że chcieli w ten sposób zdobyć ich zaufanie, ale czy takie sztuczki były naprawdę konieczne? Armia stworów jest przecież w stanie rozdeptać wszystko, co stanie na jej drodze, zdusić każdy opór, a może jednak nie? Wiele pytań wymagała natychmiastowej odpowiedzi.

– Dobra Manders, daj mi tego ich kapitana.

– Dowodzi nimi porucznik kapitanie i...

Manders zawahał się na chwilę, lecz zaraz dodał:

– I to kobieta.

– Kobieta mówisz. W takim razie porozmawiam z nią później, jak tylko stanę na nogi.

Manders w odpowiedzi skinął tylko głową i dalej szedł w milczeniu obok wozu, wiozącego jego uwielbianego kapitana.

Ax nie chciał rozmawiać teraz z porucznikiem gimurów. Jeżeli był to podstęp, to należało to właściwie rozegrać. Gdyby wezwał ją teraz, zaprezentowałby się jako leżący na wozie z rozbitym łbem niedołęga i już na samym wstępie, kobieta miałaby nad nim przewagę. Między wojownikami

było inaczej. Dla mężczyzny takie okoliczności nie miały żadnego znaczenia, ale tutaj miał przecież do czynienia z kobietą. Nie wiedział czy jego podejrzenia są słuszne, ale ostrożności, nigdy nie za wiele. Wciąż jeszcze miał mętlik w głowie a przed oczami zamglony obraz. Gdy patrzył w dal, świat zaczynał wirować. Był zmęczony. Potrzebował snu. Krótka chwila aktywności wyczerpała go zupełnie. Czuł, jak ogarnia go senność. Powoli zasypiał kołysany monotonnym ruchem wozu. Tym razem jednak, miał być to sen, który przywraca siły.

* * *

Kiedy otworzył oczy kolumna wojska wciąż była w marszu. Wzbijany tysiącami stóp kurz, osadzał się na powiekach, zatykał nos i drażnił gardło, ale była to tylko niewielka uciążliwość. Rzut oka na słońce wystarczył, aby Ax nabrał pewności, że wstał właśnie nowy dzień. Było mu wstyd, że całą noc przespał na wozie, podczas gdy jego żołnierze maszerowali przez cały ten czas. Nie wiedział tylko od jak dawna. Powiódł wzrokiem po znużonych twarzach. Poznał że niektórzy wciąż jeszcze śpią podczas marszu. Żadna twarz nie wyrażała skargi. Ax był z nich dumny. Twardzi jak stal, którą nosili przy boku. W oddali usłyszał krzyki wodnego ptactwa.. Domyślił się że zbliżają się do granicznej rzeki. Pamiętał że była tutaj spora osada i jedyny znany mu most. Rimba była ogromną rzeką,

zdradliwą i głęboką. Zbudowanie mostu na takiej rzece nie było prostą sprawą. Istniało kilka przepraw, gdzie ogromne tratwy zabierały nawet po kilka wozów, ale most był tu tylko jeden. Wprawdzie rzeka w tym miejscu była znacznie szersza, lecz z wody wystawały, położone niemal w jednej linii dwie maleńkie wysepki, jednak na tyle duże, aby można było zainstalować na nich filary, na których została oparta konstrukcja mostu.

– Manders !

Okrzyk kapitana nie zdążył jeszcze przebrzmieć, a już młody oficer był przy wozie.

– Na rozkaz kapitanie !

– Wyślij przodem ze dwa oddziały. Most trzeba spalić jak tylko po nim przejdziemy.

– Już poszli kapitanie – oświadczył Manders starając się stłumić nutę dumy w swoim głosie. Ax się uśmiechnął.

– Dobrze poruczniku. Będzie z ciebie kiedyś dobry dowódca.

Mówiąc to, Ax położył młodemu oficerowi dłoń na ramieniu. Manders odwzajemnił uśmiech.

– Tylko jest kłopot kapitanie... Ta osada przy moście. Nakazałem ewakuację, ale oni nie chcą...

Kapitan wzruszył ramionami.

– To nie nasz problem poruczniku.

– Ale zginą jeśli zostaną...

– Ostrzegłeś ich?

- Tak jest!
- Zatem to ich wybór.
- No tak, ale jeśli nic nie zrobimy to wszyscy zginą...
- Nie obronimy miasta poruczniku, nie tutaj. Nic nie możemy zrobić.
- Możemy – Manders nie dawał za wygraną.
- Tak, a co? – Zainteresował się kapitan.
- Możemy ich zmusić żeby poszli do Perrunu... Upierają się że tu są ich domy, ich życie, groby ich ojców.
- Nie będziemy przenosić domów a tym bardziej grobów...
- Burknął poirytowany kapitan. Nieco zbity z tropu Manders ciągnął jednak dalej swój wywód.
- No to spalmy to miasto, wtedy nic nie będzie ich tu trzymać i pójdą z nami.
- Ax przez dłuższą chwilę wpatrywał się w twarz podopiecznego.
- Chcesz ich ratować wbrew im samym? A co będzie jeśli ci ludzie w obronie swych domów chwycą za broń? Czy każesz wyróżnąć mężczyzn, dla dobra ich żon i dzieci?
- Myślisz że sieroty i wdowy będą ci za to wdzięczne? Nie poruczniku! Odmawiam. Zostali ostrzeżeni, reszta należy do nich. Manders z westchnieniem skinął głową.
- Tak jest.

Koński tętent rozległ się na brukowanym gościńcu. Jeden z konnych zwiadowców galopował w stronę oficerów. Na widok Axa i Mandersa osadził konia w miejscu. Zręcznie

zeskoczył z siodła, podał wodze najbliżej idącemu żołnierzowi i podbiegł do dowódcy. Uderzając zaciśniętą pięścią w pancerz na piersi.

– Wróg w zasięgu wzroku. Doganiają nas.

* * *

– Zwolnić drogę dla wozów!

Oddziały żołnierzy natychmiast znalazły się poza ubitym traktem. Wozacy robili co tylko w ich mocy aby nakłonić zmęczone zwierzęta do biegu. Nie było to łatwe zadanie, a jeszcze trudniejsze będzie zatrzymanie rozpędzonych zaprzęgów. Na razie jednak, nikt o tym nie myślał. Teraz należało jak najszybciej przekroczyć rzekę. Nie było żadnej, innej alternatywy. Wreszcie udało się zmusić do biegu wszystkie zaprzęgnięte gorgony. Niezadowolone zwierzęta biegly coraz szybciej z głośnym, przeraźliwym prychaniem.

– Bieg od czoła! – Padł kolejny rozkaz.

– Tempo 1!

Pierwszy oddział natychmiast zaczął biec lekkim truchtem, zaraz za nim kolejny i następny. Niemal w jednej chwili cała gwardia zmieniła tempo marszu. Ax z Mandersem zajęli pozycję w tylnej straży. Kapitan z niepokojem oglądał się przez ramię. Wróg wyraźnie się do nich zbliżał.

– Tempo 2!

Krzyknął Ax tak głośno na ile pozwalały mu piekące płuca. Ludzie byli zmęczeni, ale muszą biec, muszą zdążyć.

Żołnierze natychmiast pochwycili w ręce objający się o ciało oręż. Wszystkie oddziały począwszy od pierwszego, przeszły natychmiast od truchtu do żwawego biegu. Rzeka nie była już daleko, ale i wróg był coraz bliżej. Axowi wydawało się że słyszy za plecami ich przyśpieszony oddech, czuje smród wydychanego przez nich powietrza.

– Tempo 3!

Padła kolejna komenda. Szybciej nie można już było biec. Było to szaleńcze tempo, w pełnym, nie lekkim przecieży ryzstunku. Lecz po tej stronie rzeki nie mieli żadnej szansy. Tylko drugi brzeg dawał im nadzieję przeżycia. Biegli więc co sił w nogach, starając się ignorować piekące płuca, kucie w bokach i obolałe nogi. Wróg nie tylko deptał im po piętach, Ax dostrzegł przeciwnika również od strony położonego nieco z boku względem mostu miasta. Pędzili aby odciąć im drogę. Ax był pewien że wrogowie nie zdążą. Gwardia była znacznie bliżej mostu niż nadciągający ze skrzydła przeciwnik, a pierwsze oddziały już prawie doń dobiegały. Nie tylko kapitan zauważył nowe niebezpieczeństwo. W stronę mostu podążała również w pośpiechu niewielka grupka mieszkańców miasta. Wróg był już w osadzie. Było to nawet słychać. Przeróżliwe wrzaski mordowanych ludzi dochodziły do ich uszu zupełnie wyraźnie.

Pierwsze oddziały gwardii dopadły wreszcie mostu. Drewniana konstrukcja zadudniła pod wpływem uderzeń setek opancerzonych butów. Ax odwrócił się, by cisnąć swoją

włócznie. Najbliższy nieprzyjaciół z jękiem opadł na kolana. Również włócznia Mandersa ze świstem przecięła powietrze i drugi przeciwnik upadł na ziemię. Na szczęście reszta wrogów nie była aż tak blisko. Obaj oficerowie zatrzymali się na chwilę, spoglądając w stronę nadciągającego wroga.

– No trze...

Ax przerwał w połowie słowa. Mandersa obok niego nie było. Spojrzał w kierunku mostu, lecz i tam nie dostrzegł porucznika.

– Cholera a gdzieś ty się podział? – Mruknął pod nosem sam do siebie, zaś na całe gardło wrzasnął:

– Manders!

Wreszcie go zobaczył. Młody oficer śpieszył w kierunku osady, naprzeciw grupki uciekinierów i goniącego ich wroga. Jako ostatnia z tej grupki biegła młoda dziewczyna, ciągnąc za sobą trzymanego za rękę małego chłopca, który wywijał trzymanym w drugiej ręce drewnianym mieczem.. Być może właśnie dlatego ta dwójka nieco została, nie nadążała za resztą grupy. Malec wyrывał się i wrzeszczał a dziewczyna ledwie mogła go utrzymać. Wreszcie wysiłki małego wojownika przyniosły pożądany przezeń rezultat. Jakims sposobem wyrwał się z uścisku dziewczyny i z krzykiem pobiegł na spotkanie najbliższego z wrogów, wznosząc do góry swój drewniany, mały miecz. Dziewczyna coś za nim krzyczała, widząc jednak brak jakichkolwiek rezultatu, ruszyła w pogoń za małym zapaleńcem. Ax biegł

już w ich kierunku. Wiedział że Manders chce osłonić ich ucieczkę. Kapitan był zły na podwładnego, nie cierpiał głupoty. Jeden z potworów ścigający uchodźców, znacznie wyprzedził swoich kompanów. Właśnie na niego szarżował mały wojownik z drewnianym mieczem. Ax widział jak ryjowiec jednym zręcznym ruchem pochwycił malca za włosy i uniósł w powietrze na wysokość swojej głowy. Chłopczyk wrzeszczał w niebogłosy, próbując dosięgnąć wroga swoim orężem. Ryjowiec przez chwilę przyglądał się dziecku z wyraźnym zainteresowaniem. Ta krótka lustracja zakończyła się wybuchem głośniego, szyderczego śmiechu. Recho ten dotarł aż do uszu Axa. Kapitan wiedział, że nigdy już nie zapomni jego brzmienia. Tymczasem wrogi żołnierz postanowił najwyraźniej pozbyć się swojej wrzeszczącej zdobyczy. Podrzucił malca w górę, wznosząc jednocześnie swój ogromny topór. Odchylił się błyskawicznie, biorąc potężny zamach. Lecz w tym samym momencie powietrze przeciął mały toporek Mandersa. Ostrze z impetem wbiło się w czaszkę oprawcy, dzieląc niemal idealnie na połowy jego wciąż jeszcze roześmianą twarz. Ryjowiec na moment zamarł w bezruchu a malec spadł na ziemię. Szybko się jednak pozbierał i ruszył po swój upuszczony podczas upadku drewniany miecz. Zanim jednak do niego dotarł, został pochwycony za kark przez swoją opiekunkę. W tej samej chwili znalazł się przy nich Manders.

– Uciekajcie! Szybko!

Chwycił oburącz zdjęty z pleców wielki miecz i przyjął obronną pozycję, zasłaniając sobą dziewczynę z dzieckiem. Zręczny zwód połączony z jednoczesnym, precyzyjnym cięciem sprawił że kolejny wróg leżał u stóp oficera. Było już jednak przy nim kilku następnych napastników. Ax przykucnął na moment i pędził dalej, nie zwalniając nawet biegu rzucił swoje sztylety. Rzucona prawą ręką zadra, pierwsza wbiła się w grdykę wroga, również drzazga osiągnęła swój cel. Manders miał już przed sobą tylko pięciu wrogów, z których trzech skierowało się w stronę nadbiegającego z wyciągniętym ostrzem kapitana. Kiedy Manders pokonał drugiego wroga, zobaczył kapitana odzyskującego swoje sztylety i usłyszał jednocześnie jego chrapliwy, gniewny głos.

– Do mostu! Już!

Biegli obok siebie ciężko dysząc. Wszyscy gwardziści byli już na moście, do którego dobiegali właśnie pierwsi napastnicy. Wciąż jednak, mieli jeszcze szansę, aby się przebić. Przeciw nim nadciągało trzech najbliższych wrogów, inni biegli zawzięcie w stronę mostu. Wkrótce będą ich tam setki. Manders przeskoczył przez trupa trzeciego wroga, starając się nadążyć za kapitanem. Nawet nie widział kiedy dowódca powalił dwóch pierwszych. Przy samym moście znowu zostali zmuszeni do walki. Tym razem jednak włączyli się do niej gwardyjscy włócznicy. Biegli gęsiego po jednej stronie mostu i gdy odległość pozwalała

na rzut, ciskali z impetem swoje włócznie i natychmiast zawracali. Wprawdzie włócznie rzucane były pojedynczo, lecz nieprzerwanie, co skutecznie osłoniło odwrót dwójki oficerów. Most już płonął kiedy Ax i Manders gonili po nim na drugi brzeg. Wraz z nimi biegli także ostatni włócznicy. Tymczasem na perruńskim brzegu trwały już przygotowania do bitwy. Należało powstrzymać wroga tak długo, póki płomienie nie strawią drewnianej konstrukcji.. Łucznicy zajęli pozycję po obu stronach i naprzeciw mostu. Dym i ogień ograniczały widoczność, lecz ostrzał już trwał. Wróg był bez szans. Most miał swoją przepustowość a padające ciała dodatkowo spowalniały atak. Jeżeli nawet któremuś udawało się przedrzeć przez płomienie, to natychmiast ginął od kąśliwych strzał. Mimo to, najeźdźcy nie rezygnowali. Nie licząc się ze stratami, uparcie prowadzili szturm. Wreszcie płomienie zrobiły swoje. Most zwałił się do rzeki razem z setkami nieprzyjacielskich żołnierzy.

Ax odetchnął głęboko.

– Udało się!

Inwazja została zatrzymana. Pozostawało jednak pytanie: Na jak długo? W końcu wróg sforsuje gdzieś, tę wodną przeszkodę. Na razie jednak byli bezpieczni. Rozbiją tutaj obóz, będą mieć baczenie na poczynania nieprzyjaciela i kiedy ludzie wypoczną, ruszą dalej, aby schronić się za ogromnymi murami stolicy Perrunu

Nie zawsze jednak los wychodzi naprzeciw ludzkim potrzebą i oczekiwaniom. Tak było i tym razem. Jeszcze tego samego dnia przybył królewski posłaniec z rozkazem zatrzymania wroga, przez okres co najmniej jednego miesiąca. Ax z tępyim wyrazem twarzy wpatrywał się w trzymany w rękach papier. Niby jak miał to zrobić? Był żołnierzem, nie żadnym cudotwórcą. Co z tego, że dwie armie były już w drodze? Przecież i 20 takich armii będzie za mało. Ptaki z raportami zostały już dawno wysłane, więc albo nie doleciały, albo król nie miał pojęcia o rozmiarze nadchodzącego kataklizmu. Bo czy żądałby od nich cudu? Może jednak miał pojęcie. Może właśnie dlatego każe im spowolnić wroga. Jeżeli nie dokona tego gwardia, to kto? Rzeka była jedyną nadzieją, ale jak przy pomocy 25000 ludzi upilnować brzegów rzeki, na długości setek mil?

Ax zaczerpnął głęboko powietrza, oderwał oczy od królewskiego rozkazu i skupił wzrok na odległej linii horyzontu, jakby stamtąd właśnie miał nadejść ratunek. Cóż, najlepiej by zrobił, przechodząc na drugi brzeg. Gdyby zaleźć porządnie wrogowi za skórę, to być może rozwścieczony najeźdźca, byłby skłonny ich ścigać. Wtedy pewnie dosyć długo, mogliby wodzić nieprzyjaciela za nos. Tylko czy byk zdecyduje się gonić za natrętną muchą? Mimo wszystko, była to jakaś szansa aby kupić dla Perrunu

trochę cennego czasu. Oczywiście nie mogli wyjść cało z takiej próby. W końcu wróg, by ich dopadł. Ich szansą była rzeka i w oparciu o rzekę należało szukać właściwego rozwiązania. Wróg skoncentruje w tej chwili swoje siły dokładnie na przeciwnym brzegu. Jak długo mogą się schodzić? Dzień, dwa? Na pewno minie trochę czasu, zanim nieprzyjaciel przejdzie do działania. Najeźdźcy też mieli problem. Musieli przejść przez rzekę. W tym miejscu raczej nie dadzą rady, muszą więc szukać przeprawy gdzie indziej. Należało zniszczyć wszystkie przecinające rzekę mosty, zanim przeciwnik je znajdzie. Być może zechce zbudować nowy, ale do tego celu będzie potrzebował czasu i drewna, dużo drewna. Tylko gdzie tutaj są lasy? Ax nie znał tej okolicy i nie miał pojęcia gdzie takich miejsc szukać. Było jednak oczywiste, że przeprawa musi nastąpić w miejscu bogatym w drewno. Musiał więc znaleźć wszystkie takie miejsca. Już teraz powinien wysłać oddziały w dół i w górę rzeki, lecz ludzie musieli odpocząć, przynajmniej tę jedną noc. Z konnych zwiadowców zrobi dwa oddziały i wyśle je wzdłuż brzegów. Konie bardzo się przydadzą. Zwiadowcy wyszukają i zniszczą mosty a wracając, będą mieć baczenie na poczynania wroga na nabrzeżu. Takiej masy wojska, nie sposób przecież ukryć. Zorganizowanie przeprawy z całą pewnością zajmie wrogowi mnóstwo czasu. Nieco uspokojony własnymi przemyśleniami, Ax ruszył w kierunku najbliższego ogniska. Usiadł na ziemi obok swoich

żołnierzy. Ktoś podał mu kubek świeżo zaparzonej kawy. Na strawę trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Żołnierze w skupieniu wpatrywali się w zawieszony nad ogniem bulgocący kociołek. Pokrywka kociołka podskakiwała co jakiś czas, wypuszczając kłęby pary. Ax również wpatrywał się w kociołek. To w jaki sposób zachowywała się pokrywka, było – co najmniej interesujące. Dziwne, że nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Sięgnął po leżący opodal niewielki kamień i podszedł do ognia. Położył go na pokrywce, w tym miejscu gdzie pokrywka unosiła się do góry. Przez chwilę nic się nie działo. Jednak już po niedługim czasie pokrywka na kociołku znowu podskoczyła do góry, wypuszczając kolejny nieco większy niż uprzednio obłoczek pary. Uchyliła się jednak, po przeciwnej stronie kamyka, a sam kamyk zsunął się na ziemię. Ax wypatrzył kilka większych kamieni. Oddarł też od swojego płaszcza rozcięty, zwisający kawałek płótna. Owinął nim przykrywkę i na wierzchu ułożył wszystkie znalezione kamienie. Znów usiadł i wpatrywał się w kociołek. Nic się nie działo. Obciążona przykrywka przestała się unosić, cała para pozostawała we wnętrzu kociołka. Nagle pokrywka odskoczyła z hukiem, a leżące na niej kamienie zostały wyrzucone w powietrze. Zgromadzona w kociołku para pokazała na co ją stać, była silniejsza od przyciskających przykrywkę kamieni. Tak, zjawisko było rzeczywiście ciekawe. Gestem ręki dał znać zgromadzonym przy ogniu żołnierzom, że nic się nie dzieje. Jeszcze raz

wstał, podniósł z ziemi przykrywkę, wytarł ją starannie i umieścił na parującym kociołku. Przykrywka wróciła do swojego poprzedniego zachowania, znów wypuszczała co chwilę małe obłoczki pary. Kapitan znowu usiadł i sięgnął po swój kubek. Dobrze było popijać kawę i patrzeć na radośnie tańczące płomienie. Wreszcie, choć przez chwilę, można było odetchnąć. Dobrze było czuć na twarzy bijące od ognia ciepło. Jakaś postać zbliżała się powoli w kierunku siedzących. Nie było by w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt że była to kobieta. Miała na sobie pancerz z godłem Gimuru, a przy boku wąski, krótki miecz. Stąpała lekko a jej zgrabna sylwetka przyciągała ciekawe spojrzenia siedzących wokół żołnierzy. Była co najwyżej średniego wzrostu i raczej drobnej budowy ciała. Ax patrzył jak wojowniczką pewnym krokiem podchodzi do ognia.

– Aicha, porucznik gwardii Gimuru.

Powiedziała pewnym siebie, mile brzmiącym głosem. Ax odpowiedział jej pytającym spojrzeniem. Nie był gotowy do odbycia tej rozmowy.

– Czy możemy porozmawiać kapitanie ?

Ax skinął głową, wskazując miejsce przy ogniu. Wojowniczką potrząsnęła głową.

– Chciałabym powiedzieć w cztery oczy.

Ax obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Cóż może być aż tak ważnego, aby miało pozostać w ukryciu? Powoli wstał z ziemi, rozciągając ciało. Ależ ten pancerz był

ciężki. Rozejrzał się jeszcze w koło, szukając wzrokiem Pirxa. Znalazł go przy sąsiednim ognisku, kaprał mrugnął porozumiewawczo. Ax miał pewność, że jego plecy były dobrze chronione. Podeszedł powoli do Aichy i obydwójce ruszyli wolnym krokiem. Dłuższą chwilę szli obok siebie w całkowitym milczeniu, aż wreszcie znaleźli się wystarczająco daleko od płonących ognisk i ciekawych uszu.

– Słucham porucznika.

Aicha skinęła głową, przełykając jednocześnie ślinę.

– Planuję wyprawę na drugi brzeg.

Ax ponownie obrzucił ją badawczym spojrzeniem, lecz jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Aicha mówiła dalej:

– Większość moich ludzi potrafi pływać, przepłyniemy przez rzekę. Pod osłoną ciemności podkradniemy się do ich obozu i poderżniemy tyle gardel, ile się tylko da. Wielu naszych wrogów już się nie obudzi a przed świtem będziemy z powrotem na naszym brzegu.

Ax wzruszył ramionami.

– Nie wydaję rozkazów żołnierzom Gimuru.

Aicha zatrzymała się. Ogniskując spojrzenie na oczach kapitana powiedziała powoli.

– Chcę żebyście z nami poszli...

Wojownik wytrzymał spojrzenie dziewczyny. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Tymczasem Aicha podjęła przerwana na chwilę myśl.

– Wystarczy, że każdy uśmierci tylko dziesięciu...

Ax potrząsnął głową. Dowodził królewską gwardią. Elitą wojsk Perrunu. Sam przecież ich szkolił. Przez lata starał się im wpajać pojęcie honoru. Uczynił z tych mężczyzn żołnierzy, lecz przecież nie morderców. Sam, zabił w życiu wielu ludzi, lecz wszystkich w uczciwej walce, twarzą w twarz, z bronią w rękę, a jednak przychodzili do niego. Przychodzili we śnie. Widział ich twarze, zastygłe w niemym wyrazie skargi. Wszyscy mieli do niego żal za odebranie życia. Budził się wtedy zlany zimnym potem, ledwie mogąc oddychać. Twarzy było wiele i nawet nie pamiętał do kogo należały, lecz jedna była szczególna. Była to twarz jego opiekuna Tirona, który przygarnął go z ulicy i uczynił wojownikiem. Kochał jak syna i nauczył wszystkiego co sam umiał. Kiedyś, na jakimś turnieju zostali już tylko we dwóch na placu boju. Stary mistrz i jego wychowanek. Ax walczył wtedy jak natchniony, chciał aby opiekun był z niego dumny. Wreszcie udało mu się wytrącić broń z ręki mistrza i przyłożyć ostrze do gardła. Zwyciężył. Wreszcie po wielu latach wycieńczającego treningu był lepszy od swego nauczyciela. Mimo, że minęły długie lata wciąż pamiętał twarz Tirona. Pamiętał radość i dumę. Obaj przez moment uśmiechali się promiennie do siebie. Stało się wtedy coś na co młody chłopak nie był absolutnie przygotowany, coś co wstrząsnęło nim do głębi serca, pozostawiając głęboką, wciąż jeszcze krwawiącą ranę. Jego mistrz rzucił się na ostrze. Ax wciąż przeżywał tę walkę, miał do siebie

pretensję że nie był dość szybki aby cofnąć broń. Przez rok nie wziął do ręki miecza. Teraz już wiedział, już rozumiał dlaczego Tiron tak postąpił, lecz wcale nie było mu lżej. Jak mógł zaakceptować propozycję porucznik Aichy? Żołnierze nie byli mordercami! On zaś, do niczego podobnego, na pewno się nie przyczyni. Nie słyszał nawet co Aicha mówi, dziewczyna bowiem ciągle próbowała coś tłumaczyć, żywo przy tym gestykulując. Ax przerwał jej wywody jednym krótkim słowem.

– Nie !

Wypowiedzianym z taką mocą i zdecydowaniem że Gimurka umilkła w pół słowa i z otwartymi ustami patrzyła na kapitana. Ax obrócił się na pięcie i ruszył w stronę ognia.

Żołnierze dzielili już między sobą zawartość kociołka. Rozgotowane suszone mięso z kaszą i warzywami, smakowało naprawdę wyśmienicie. W końcu był to pierwszy, od kilku dni, porządny, gorący posiłek. Ax dopijał kawę, kiedy nad brzegiem rzeki zaczęli się gromadzić pół nadzy gimurscy żołnierze. Wreszcie ujrzał i samą Aichę. Stała ostrożnie bosymi stopami, odziana jedynie w kusą białą koszulę, przepasaną rzemieniem, za który wetknięty był ciężki nóż. Patrzył jak porucznik weszła do wody a za nią około dwóch tysięcy mężczyzn. Wielu włożyło noże w usta aby mieć wolne ręce. Jak dla Axa wyruszyli trochę za wcześnie, chociaż na drugim brzegu, było wyjątkowo

cicho. Kapitan zastanawiał się nawet czy wróg aby na pewno jeszcze tam jest. Z drugiej jednak strony, im wcześniej rozpoczną swe makabryczne dzieło, tym lepiej. Mrok nocy szybko gimurskich żołnierzy. Rzeczywiście umieli pływać, z nad rzeki nie dochodziło żadne pluskanie. Ax widział jak jego ludzie pytają się wzajemnie: co się dzieje? Nikt jednak nic nie wiedział, a jego nikt nie śmiał zapytać. Powinien już pójść spać, lecz wciąż siedział przy dogasającym ogniu, wpatrując się w przeciwległy brzeg. Biała koszula nie była dobrym odzieniem na taką okazję. Być może dziewczyna nic innego nie miała, ale mimo wszystko nie był to dobry pomysł. Ax miał nadzieję że Aicha też zdaje sobie z tego sprawę i jak wyjdzie z wody to przynajmniej wytarza się w błocie. Już miał wstać, gdy na drugim brzegu rozległy się jakieś wrzaski. Mogło to oznaczać tylko jedno: Gimurowie zostali wykryci i chociaż Ax nie aprobował tej akcji, to przecież w głębi ducha życzył dziewczynie powodzenia. Pomysł nie był zły, a i o lepszą okazję raczej będzie trudno. Tego wroga należało nękać na wszelkie możliwe sposoby. Być może popełnił błąd. To nie byli ludzie. Nie wiedział: ani kim są, ani skąd przybyli, wiedział jedynie po co. On zaś był tutaj wyłącznie po to, aby pokrzyżować najeźdźcy plany. Przypomniawszy sobie obraz wchodzącej do wody Aichy. Może mu się tylko wydawało a może rzeczywiście dziewczyna odwróciła się na chwilę i spojrzała w jego kierunku. Gdzieś w okolicy serca pojawiło się jakieś bolesne ukucie.

– Niech to szlag...

Wymamrotał pod nosem wojownik i ociężałym krokiem powlókł się w stronę rzeki. Rwetes na sąsiednim brzegu jeszcze przez chwilę narastał, lecz wkrótce znów zapanowała niczym nie zmacona, nocna cisza. Wraz z innymi stał na brzegu, zapatrzony w ciemną powierzchnię wody. Nic nie było widać. Żadnego ruchu, plusku, nic. To czekanie trwało zdecydowanie za długo, przecież już powinni być... Ktoś przecież powinien wrócić... Wreszcie jeden ze stojących na brzegu żołnierzy coś dostrzegł, wyciągniętą ręką wskazywał kierunek. Rzeczywiście, po chwili już każdy mógł zauważyć ruch na wodzie. Wracali! Po niedługim czasie można już było dostrzec wystające z wody głowy. Powoli wychodzili na brzeg. Ci, którzy wrócili oczekiwali przybycia następnych. Aicha wyszła z wody jako jedna z ostatnich. Lekko utykała na lewą nogę. Ax odwrócił się plecami do rzeki i ruszył w kierunku swojego namiotu. Do świtu nie zostało już dużo czasu.

* * *

Spał zdecydowanie za długo. Kiedy wyczołgał się ze swojego namiotu, słońce było już dość wysoko.

– Wszyscy oficerowie mają stawić się natychmiast w namiocie rady. Gimurka też – rzucił do pełniącego służbę żołnierza. Ten uderzył pięścią w pancerz na piersi i pobiegł wykonać rozkaz. Kapitan nie musiał długo czekać. Wkrótce

w namiocie rady pojawili się jego porucznicy: Manders, Kirus i Bum-Bam. Jako ostatnia przybyła porucznik Aicha, nieco zaskoczona nieoczekiwanym zaproszeniem. W świetle dnia wydawała się być nieco starsza. Czas zdążył już wyręć niewielkie zmarszczki na jej pięknej, śniadej twarzy. Dopiero teraz Ax zauważył głęboka bliznę tuż przy uchu na prawym policzku. Trudno jednak było mu stwierdzić od jakiej broni może ona pochodzić.

– Mamy nowe rozkazy. Musimy zatrzymać wroga tutaj.

Widząc pewne niedowierzanie na twarzach oficerów, ciągnął dalej spokojnym, monotonnym głosem.

– To może być długa wojna. Perrun potrzebuje czasu żeby się do niej przygotować a my musimy o ten czas zadbać.

– A niby jak?

Porucznik Kirus nawet nie próbował kryć swego poirytowania. Kapitan, udał że tego nie dostrzega i ciągnął dalej swoim spokojnym, pozbawionym emocji głosem.

– Dwie armie idą już nam z pomocą.

Kirus chciał coś powiedzieć, lecz tylko mimowolnie pokręcił głową. Zaś Ax mówił dalej:

– Rzeka to nasza jedyna szansa – mówiąc to wskazał na leżącej na stole mapie, niebieską wstążkę rzeki.

– Niestety ta mapa obejmuje tylko mały fragment terenu, a nic więcej nie mamy. Zaznaczony jest tutaj tylko jeden most. Nasz most, ale, nie wierzę żeby był tylko jeden. Trzeba je znaleźć i zniszczyć. Naszych konnych zwiadowców

podzielimy na dwa oddziały; jeden uda się w górę a drugi w dół rzeki. Ich zadaniem będzie obserwacja przeciwnego brzegu, a jeśli spotkają jakieś mosty, to należy je bezwzględnie spalić. Jeżeli znajdą jakiś bród na rzece, to będziemy musieli natychmiast przerzucić tam nasze siły. Dobrze by też było rozstawić posterunki wzdłuż brzegu. Jako sygnału użyjemy ognia w nocy, a dymu w dzień.

Bum-Bam uniósł rękę.

– Jeśli pozwolisz kapitanie to ja również zajmę się patrolowaniem rzeki.

Gdy kapitan posłał mu pytające spojrzenie, odparł pewnym siebie głosem.

– No mam takie swoje sposoby.

Kapitan skinął głową.

– Dobrze Bum-Bam, odpowiadasz za zwiad, Kirus posterunki, Manders porządek w obozie. Obóz musi być tak zorganizowany, aby żołnierze w ciągu pacierza byli gotowi do wymarszu. Połowa ludzi ma być stale pod bronią. – Porucznik Manders skinął głową.

– Oczywiście kapitanie.

Teraz Ax zwrócił się w stronę Aichy. Dziewczyna miała już na sobie pełną zbroję. Był to lekki skórzany pancerz ze stalowymi naramiennikami, idealnie dopasowany do jej figury. Skórzane, ćwiekowane, tworzące spódniczkę szerokie pasy kończyły się w połowie uda, odsłaniając długie zgrabne nogi. Na uwagę zasługiwała również fryzura wojowniczeki.

Długie, kruczoczarne włosy zaplecione były w mnóstwo cieniutkich warkoczyków, w które wplecione było rzemienie. Każdy rzemień kończył się małą żelazną kuleczką.

– Dopóki nie dotrzemy do Divy, gwardia Gimuru zostaje włączona w skład wojsk Perrunu i nie życzę sobie żadnych samowolnych akcji.

Być może porucznik Aicha miała ochotę zaprotestować, ale jedynie nieznacznie skinęła głową.

* * *

Melodia sięgnęła po kolejną księgę. Była to historia magii ognia. Niedbale i bez entuzjazmu przerzuciła kilka kartek, po czym odłożyła księgę na miejsce. Nie tego szukała. Zaczęła się zastanawiać dlaczego nie umieszcza się tytułów na grzbietach książek, znacznie ułatwiłoby to poszukiwania. Cała dolna biblioteka Murrena była teraz do jej wyłącznego użytku. Normalnie przesiadywał tu Bum-Bam, lecz teraz gwardyjski czarodziej był razem z żołnierzami. Była więc całkowicie pewna, że nikt nie będzie jej przeszkadzał. Murren zamknął się w swojej pracowni, dolna izba zupełnie go nie obchodziła. Dolna biblioteka przeznaczona była dla uczniów. Wszystkie cenniejsze woluminy były w pracowni mistrza. Jednak i zbiór dolnej biblioteki mieścił w sobie ogromną wiedzę, a na jej przyswojenie, nie starczyłoby jednego życia. W swoim gabinecie Murren trzymał te książki, które uznał za niebezpieczne lub wyjątkowo cenne. Nie były one dostępne

dla uczniów, póki on sam o tym nie zdecydował. Kolejny opasły tom zapowiadał się dość obiecująco, zatytułowany był: Istoty z otchłani. Tak, to mogło być to. Dziewczyna przerzuciła kilka kartek. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że w ten sposób raczej niczego istotnego nie odkryje. Ważne były szczegóły, a te zazwyczaj kryły się złośliwie przed niecierpliwym czytelnikiem. Już dawno straciła nadzieję, że znajdzie księgę pod tytułem: Zuub. Było by to zbyt proste, a szkoda. Szukała więc czegokolwiek, co rzuciłoby jakieś światło, na nurtujący ją temat. Kim był Zuub? Nie wiedziała o nim absolutnie nic, a gdyby nie przezroczysty człowiek, nie wiedziałaby nawet o jego istnieniu. Długo zastanawiała się jak ma potraktować ten dziwny nocny spacer w towarzystwie starego Elfa. Najchętniej, całe to wydarzenie uznałaby za sen, za wytwór przemęczonego umysłu, lub wybujałej wyobraźni i pewnie by się tak stało, gdyby nie tatuaż na jej czole. Nie miała pojęcia co to może być. Wiedziała tylko że jest jak najbardziej prawdziwy, a zatem i sen nie mógł być żadną fikcją. To wszystko wydarzyło się naprawdę, choć nie miała pojęcia w jaki sposób. Wszystko co do tej pory zrobiła, w następstwie nocnej wycieczki, to założenie na głowę szerokiej skórzonej opaski. Chciała ukryć to jarzące się coś na swoim czole. Ojciec był zbyt zajęty aby zawracać mu tym głowę, no i nie znał się na magii. Jediną osobą mogącą jej pomóc był Mistrz Murren. Ten jednak od czasu ostatniego posiedzenia rady, zaszył się w swojej pracowni a drzwi

zapięczętował przy pomocy magii, tak że nikt nie mógł tam zajrzeć. Księżniczka nie miała z kim porozmawiać. Były tylko księgi. Być może że znajdzie w nich coś użytecznego, jakieś wskazówki lub chociaż strzępy informacji. Łudziła się nadzieją, że może będzie w stanie jakoś to wszystko poskładać. Na razie jednak, nie znalazła nic. Było wprawdzie sporo wzmianek o królu Tyrjanusie, ale były to tylko, doskonale znane wszystkim bezwartościowe i nieprawdziwe bzdety. Żałowała, że nie ma dostępu do górnej biblioteki. Tam na pewno musiało coś być. Mogła mieć tylko nadzieję, że również tutaj w bibliotece uczniów, znajdzie coś ważnego, musi tylko starannie poszukać. Z ciężkim westchnieniem wzięła księgę i usiadła z nią przy stole. Przystudiowanie tylko tego jednego tomu zajmie jej, przynajmniej kilka dni.

* * *

Mijał już tydzień, odkąd gwardiarz obóz na zachodnim brzegu Rimby. Wszystko wskazywało na to, że wróg zatrzymał się na linii rzeki, która stała się w tym momencie dla niego przeszkodą nie do pokonania. Zwiadowcy zniszczyli jeszcze dwa niewielkie mosty. Nie znaleziono żadnych nadających się do przeprawy brodów. Rimba była głęboką rzeką. Stale trwały obserwacje wschodniego brzegu, wróg koncentrował swe siły, dokładnie naprzeciw gwardyjskiego obozu. Nie podejmowali jednak żadnych działań w celu sforsowania rzeki i właśnie ten fakt wydawał się kapitanowi bardzo

podejrzany. Przecież najeźdźcy nie przybyli nad rzekę aby łowić ryby. Obiecanych posiłków ciągle jeszcze nie było. Ax pragnąc się czegoś dowiedzieć, wysłał nawet zwiadowców na zachód. Minął kolejny tydzień, mimo wzmózonych obserwacji niczego podejrzanego na zajęтым przez wroga brzegu nie dostrzeżono. Wydawało się że gwardia może wykonać powierzone sobie zadanie bez zbytniego wysiłku. Były to jednak tylko pobożne życzenia kapitana Axa i jego żołnierzy. Już wkrótce miało się to zmienić.

Był jeszcze wczesny ranek, kiedy rozgorączkowany Bum-Bam odnalazł w obozie kapitana.

– Znalazłem przeprawę! Wróg szykuje się do przejścia przez rzekę.

– Zwiadowcy nie zauważyli niczego podejrzanego.

– I nie zauważą – brzmiała krótka odpowiedź czarodzieja.

– Zatem mów co wiesz.

– Las jest kilka mil od brzegu, z naszej strony nawet go nie widać. Ścinają drzewa,

Bum-Bam gładził przez chwilę swoją krótko przystrzyżoną czarną brodę, wreszcie powoli i z namysłem zaczął mówić:

– Budują tratwy. Mają już chyba wszystko czego im trzeba, ba przestali wycinać a dzisiaj w nocy będzie mgła...

– Skąd wiesz co będzie dzisiaj w nocy? – Kapitan zmarszczył brwi

– Wiem, gdybym nie miał pewności, nie zawracałbym głowy. Zaklinanie mgły nie jest łatwe i potrzeba na to kilku

dni przygotowań. Wszystko się zgadza. Dziś w nocy będzie tam mgła.

– Gdzie to jest?

Ax nawet nie próbował kryć zdenerwowania, miał w tej chwili wyraźne ku temu powody.

– Myślę że jakieś 50 mil w dół rzeki.

– O cholera, daleko... Możemy nie zdążyć.

Mówiąc to Ax zaczął rozwijać posiadaną przez siebie mapę. Dzięki zwiadowcom i obserwacjom prowadzonym przez Bum-Bama, dodał do niej całkiem sporo szczegółów. Mapa bardzo się obecnie różniła od swego pierwowzoru. Ax spojrzał pytająco na czarodzieja.

– Gdzie?

– Tutaj –powiedział Bum-Bam, pokazując kościstym palcem puste miejsce na mapie.

– Tutaj wycinają las.

Ax narysował tam kilka miniaturowych drzewek, po czym zaczął bacznie przyglądać się mapie. Rzeka tworzyła w tym miejscu bardzo łagodny, niewielki łuk. Posterunki obserwacyjne zaznaczone były na ich brzegu po obu stronach owego wybrzuszenia.

– Zatem pod osłoną nocy i mgły chcą przenieść to wszystko nad rzekę i się przeprawić

Wpatrujący się w mapę czarodziej, mówił powoli i z namysłem.

– Jest tam cała armia i mam wrażenie że większa niż ta

tutaj.

Ax wzruszył ramionami.

– To nie ma znaczenia, trzeba dużo czasu aby przy pomocy tratw przewieść wojsko. Nawet niech te tratwy obróć kilka razy, ile mogą przewieść? A ja nie zamierzam się temu biernie przyglądać... Postaramy się, aby przepłynęły tylko raz.

Bum –Bam ciągle gładząc swoją krótko przyciętą brodę, spojrzał na kapitana.

– A jeżeli chcą zbudować most? Sporo lin tam mają i sporo luźnego, nie zbitego w tratwy drewna.

– Most?

Kapitan zaczął się zastanawiać nad słowami czarodzieja. Cóż, rzeczywiście było to możliwe. Pierwsza tratwa mogłaby przeprowadzić się przez rzekę wlokąc za sobą linę, którą następnie zamocowano by po przybiciu do brzegu, a tratwa została by tam zakotwiczona. Następna tratwa korzystałaby już z tej rozciągniętej liny i oczywiście ciągnęła własną, potem kolejna, aż wreszcie lin było by wystarczająco dużo aby utrzymać napór spiętych ze sobą na całej szerokości rzeki tratw. Oczywiście można było jeszcze, te tratwy ze sobą dla pewności pozbijać. Rzeczywiście, powstałoby wtedy coś w rodzaju mostu, dzięki któremu armia najeźdźców zyskałaby sposobność, szybkiego przerzucenia większej ilości wojska. Jeżeli tak było w istocie, to nie było czasu do stracenia.

– Zatem musimy natychmiast wyruszyć, ale tak żeby

z sąsiedniego brzegu niczego nie zauważono.

Bum-Bam skinieniem głowy przyznał rację dowódcy.

– Trzeba zwołać natychmiast wszystkich oficerów do namiotu rady.

Mówiąc to kapitan zwinął mapę i oddalił się szybkim, sprężystym krokiem. Również Bum-Bam pospieszył natychmiast do wykonania powierzonego mu zadania.

Kiedy oficerowie weszli gromadnie do namiotu rady zastali Axa pochylonego nad płachtą mapy.

– Podejdźcie proszę, spójrzcie.

Wypowiadając te słowa, kapitan nawet nie spojrzał na przybyłych żołnierzy, cały czas wpatrywał się w mapę. Kiedy podeszli do stolika, wskazał palcem punkt.

– Prawdopodobnie w tym miejscu wróg będzie próbował dokonać przeprawy. Nie wiemy co jest na tamtym brzegu, ale wiemy co jest na naszym. Spójrzcie tutaj –kapitan przesunął nieznacznie palec.

– Cały ten teren to bagna, cholernie zdradliwe grzęzawisko, ale wróg o tym nie wie. A kiedy się dowie, będzie już za późno. Będą musieli poruszać się po twardym terenie przy samej rzece. Myślę że chcą zaatakować nasz obóz, a zatem po sforsowaniu rzeki, pomaszerują wzdłuż brzegu. Te bagna są nam bardzo na rękę. Gdy wróg się przeprawi, niczego nie będzie podejrzewał. Idąc wzdłuż brzegu natkną się w końcu na bagna, będą więc musieli stłoczyć się na twardym gruncie w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki. Nie wiedzą że im dalej,

tym węższy będzie pas twardej ziemi, a przy końcu bagna jest naprawdę bardzo wąsko. Będą więc strasznie stłoczeni.

Ax obrzucił podwładnych badawczym spojrzeniem a widząc malujące się na ich twarzach skupienie, ciągnął dalej.

– W tym właśnie miejscu powinniśmy ustawić sztywną obronę. Nie mogą wyjść z tego klina. Po prawej mają rzekę, po lewej bagna. Jeżeli utrzymamy tutaj obronę i jednocześnie zaatakujemy od tyłu, to mamy drani.

Ax umilkł na chwilę. Tym razem to oficerowie obrzucili go badawczymi spojrzeniami.

– No oczywiście wcześniej musimy zlikwidować przeprawę, być może, będzie to most... Musimy go zniszczyć. Wyjście z klina zamknie czwarta armia, są najbliżej, więc powinni zdążyć. My obejdziemy bagna, zlikwidujemy przeprawę i ruszymy w głąb klina w ślad za grupą uderzeniową, idącą na nasz obóz. Być może trzecia armia zdąży do nas dołączyć, ale nie jest to pewne... Wysłałem już kurierów z właściwymi rozkazami. Wyruszamy natychmiast, ale tak żeby wróg niczego nie zauważył, właśnie z tego powodu musimy obejść bagna, chociaż dużo krócej było by przy rzece. Obóz zostaje, wozy też. Zostawiamy również naszych rannych. Ich zadaniem będzie udawanie że wciąż tu jesteśmy. Mają robić dużo ruchu i hałasu. Czy są pytania?

Oficerowie popatrzyli po sobie, lecz nikt nie miał nic do powiedzenia. Głos Axa był twardy i zdecydowany.

– W takim razie do roboty!

* * *

Generał Tor poganiał swoich ludzi. Plan kapitana Axa mógł się udać. Zbyt wiele jednak było tu uwarunkowań. Zamierzał wykonać swoją część planu. Ma zająć pozycję i utrzymać ją za wszelką cenę i nie wątpił że będzie ona wysoka. Tylko czy było to w ogóle wykonalne? Już wkrótce będzie to wiedział. Przeżycie będzie oznaczało wykonanie zadania. Śmierć stale towarzyszyła żołnierzom, ale zawsze były to jedynie konieczne i akceptowalne straty. Tym razem jednak miało być inaczej. Najważniejsze było utrzymanie pozycji, wróg nie mógł się przebić. Wiedział, że prowadzi swoich żołnierzy na pewną śmierć. Wielu z nich nie przeżyje tej bitwy. Wiedział już wystarczająco wiele, aby mieć pewność że tak właśnie będzie. Szkoda że martwi żołnierze nie mogą walczyć. Wozy już dawno zostały w tyle, całe zaopatrzenie żołnierze nieśli ze sobą. Pod tym względem czwarta armia już dorównała gwardii, oby i w walce było podobnie. Muszą zdążyć na czas i będą musieli poradzić sobie tylko tym, co mają ze sobą. Torowi wcale się to nie podobało. Żołnierze już gonili resztkami sił, a przecież muszą jeszcze pokonać szmat drogi. Gdy dotrą na miejsce powinni wypocząć, a zamiast tego będą musieli walczyć z dużo silniejszym wrogiem. Jeśli jednak się spóźnią, to cały misternie ułożony plan, weźmie w łeb. Warunkiem właściwego przebiegu bitwy było ich

terminowe dotarcie na wyznaczoną pozycję, warunkiem zwycięstwa było utrzymanie tej że pozycji. Oczywiście warunek, że gwardia połączy się wcześniej z trzecią armią, zniszczy przeprawę i będzie miała wystarczającą ilość ludzi, aby zgodnie z planem uderzyć od tyłu, na wroga, którego on będzie się starał zatrzymać. Tor nie wątpił jednak, że nawet jeśli tylko sam Ax przeżyje atak na przeprawę to i tak będzie realizował swój plan. Dlatego też musiał wykonać swoją część zadania. Mimo wszystko zdecydowanie za dużo było tych uwarunkowań, jedno niepowodzenie i wszystko się posypie...

* * *

Trzecia armia posuwała się leniwie na zachód. Dowodził tutaj generał Olen. Wywodził się on ze starego arystokratycznego perruńskiego rodu. Niegdyś był serdecznym przyjacielem Księcia Redgarda. Nie podobało mu się wykonywane zadanie. Wysyłanie armii w pole było najczystsza formą głupoty. Nigdy nie miał dobrego zdania o królu Andarandisie, lecz tym razem jego królewska mość raczyła przejść samego siebie. Wszystkie armie należało zgromadzić w Divie, w obrębie obronnych murów i tam oczekiwać na wroga. Wcześniej należało skonfiskować całą dostępną w królestwie żywność. Dla dworu i wojska starczyłoby na pewno a kogo obchodzą rzesze wieśniaków? Nie powinno się ich nawet wpuszczać do miasta, bo żaden

z tej hołoty pożytek. Niech by się pochowali po lasach i był by spokój. Może i samego króla należałoby umieścić wśród chłopów, skoro tak zależało mu na tym motłochu.

Trzecia armia wyruszyła na zachód jako pierwsza. Dość wcześniej Olen rozkazał opuszczenie głównego traktu. Odbili znacznie na południe i dopiero po tym manewrze podążali na zachód. W ten sposób powinni uniknąć kontaktu z innymi armiami a gwardią w szczególności. Olen nie zamierzał angażować się w żadne awantury. Zgodnie z rozkazem dotrze do Rimby a ponieważ nie napotka żadnych jednostek, będzie mógł spokojnie wrócić do bezpiecznych murów stolicy. Poruszał się tak wolno jak to tylko było możliwe, ale każda droga ma przecież gdzieś swój kres. Był już bardzo blisko rzeki. Właściwie, to nie było sensu pchać się dalej. Najlepiej będzie rozbić na noc obóz, a rano rozpocząć szybki odwrót. Cień uśmiechu przemknął po twarzy lorda–generała. To był dobry plan, tak właśnie robi. Punkt dowodzenia mieścił się na wielkim krytym wozie. Żaden luksus, ale była to przynajmniej jakaś namiastka warunków, do których przywykł i na jakie zasługiwał z racji swego urodzenia i zajmowanej pozycji. Na wozie miał biurko, fotel, szafę no i przede wszystkim łóżko, tak, że nawet w ciągu dnia, mógł uciąć sobie pocrzepiającą drzemkę. Gdy rozbiją obóz, żołnierze postawią dla niego namiot, też nic specjalnego ale z racji większej przestrzeni zapewniał nieco lepsze warunki odpoczynku.

– Służba!

Płótno na tyle wozu odchyliło się natychmiast, czyjaś głowa zajrzała do środka.

– Słucham Lordzie Generale.

– Każ oficerowi dyżurnemu ogłosić postój. Rozbijamy obóz a jutro rano wracamy do domu.

Służący zniknął za płócienną zasłoną. Wóz odbił nieco w bok, w stosunku do poprzedniego kierunku jazdy, a następnie został zatrzymany. Olen wciąż jeszcze leżał na łóżku. Nie chciało mu się wstawać i wychodzić na spiekotę dnia. Do wieczora było jeszcze daleko i słońce mocno grzało. Sięgnął więc po bukłak z winem, pociągnął spory łyk i ponownie opadł na poduszkę. Poleży jeszcze tylko chwilkę i zaraz wstanie. Musi przecież dopilnować żołnierzy. Zasłona na tyle wozu znowu się odchyliła. Oficer dyżurny zakomunikował dość niepewnym głosem:

– Lordzie Generale przybył posłaniec z rozkazami.

– No masz cholera! Jeszcze nam posłańców brakuje... Co za posłaniec? Od Króla?

– Nie Lordzie Generale. Posłaniec ma rozkazy od Kapitana Axa.

– Co? Od tego kmiotka! Rozkazy, dla mnie? Śmiechu warte! Niech czeka! Może przyjmę go jutro.

– Wybacz Lordzie Generale, ale posłaniec twierdzi że wróg przekroczył rzekę i pomoc naszej armii jest konieczna do jego zatrzymania.

– No proszę, wielka gwardia potrzebuje naszej pomocy. Dobrze niech czeka, przyjmę go za chwilę.

– Jak sobie życzysz Lordzie Generale.

Olen ponownie sięgnął po bukłak z winem. Wstał wreszcie z łóżka i stanął przed lustrem. Ugładził potargane włosy, poprawił mundur. Niezadowolony ruszył w kierunku zasłony. Kiedy wyszedł z wozu jego osobista ochrona już na niego czekała. Pierwsza drużyna pierwszej kolumny, jego osobista straż, najbardziej oddani żołnierze jakich miał w tej armii.

– Dawać tego posłańca – zakomenderował Olen.

Oficer dyżurny oddalił się pośpiesznie i już po chwili wracał z przybyłym kurierem. Gwardzista stanął przed generałem na baczność, oddał honory i sięgnął do sakwy. Wydobyl z niej zapieczętowany list i bez słowa podał go Olenowi. Generał przełamał pieczęć i rozłożył papier. Po przeczytaniu listu podarł go na kilka części i powoli po jednym kawałku wypuszczał z dłoni.

– Jak wygląda sytuacja?

– Wróg zamierza dzisiaj w nocy przeprowadzić się przez rzekę. Kapitan Ax potrzebuje pomocy przy zniszczenia przeprawy, ja poprowadzę do miejsca spotkania, ale musimy się śpieszyć bo droga jest długa a mało czasu. Myślałem że jesteście dużo bliżej, ale powinniśmy zdążyć... Trzeba tylko natychmiast wyruszyć.

– A co jeśli twój kapitan się myli ?

– To nie możliwe generale... A niby w jakiej kwestii miał by się mylić?

– Milcz prostaku! Ja tutaj zadaje pytania a ty masz tylko odpowiadać! Jak daleko jest do miejsca spotkania?

– Nie daleko, jakieś 20 mil. Gwardia jest od rana w drodze, ja poprowadzę.

– 20 mil? To ma być niedaleko? A my właśnie szykujemy się do noclegu.

– Otóż to generale, szkoda każdej chwili, musimy wyruszyć natychmiast...

Olen przywołał stojącego z boku oficera dyżurnego.

– Zmiana planów poruczniku, trzeba natychmiast zwinąć obóz, ruszamy jak najszybciej.

Porucznik skinął głową, uderzył pięścią w pancerz na piersi i pośpieszył wykonać rozkaz. Gwardzista wyraźnie odetchnął. Olen przez chwilę się w niego wpatrywał.

– Jak ci na imię synu?

– Saren generale.

– Kim jest twój ojciec Sarenie?

– Jeśli to cię interesuje generale, to ojciec należy do szlachty. Jest zarządcą południowo wschodniej prowincji.

Olen przekrzywił głowę, a z jego ust wydobyło się krótkie gwizdnicie. Przyglądał się teraz kurierowi z wyraźnym zainteresowaniem.

– Proszę, proszę. I ty, syn lorda wysługujesz się temu przybłędzie w roli chłopca na posyłki?

Saren zignorował tę zaczepkę, na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, powiedział tylko:

– Stanowiska w gwardii zajmowane są według kompetencji a nie według urodzenia, jestem zwiadowcą ponieważ jestem w tym dobry a droga awansu stoi przed każdym otworem...

– Musisz być wyjątkowo tępy zwiadowcą skoro pozwalasz aby pomiatali tobą zwykli chłopcy, ojciec musi być z ciebie bardzo dumny...

Twarz Sarena zrobiła się nieco rumiana, odpowiedział jednak całkowicie spokojnym głosem:

– Jest dumny ponieważ służę królowi i ojczyźnie a służba u boku kapitana Ser Axa jest zaszczytem.

– Tak, tak szlachcic z ręki Andarandisa, jeden wart drugiego...

W tym momencie pojawił się pełniący służbę porucznik.

– Lordzie Generale armia gotowa do wymarszu.

– Doskonale poruczniku. Ruszamy! Kierunek Diva.

Oficer stał przez chwilę niezdecydowany, nie był pewien czy dobrze słyszał.

– Przepraszam Lordzie Generale, kierunek Diva?

– Głuchy jesteś matole ? Przecież mówię wyraźnie! Zawracamy!

– Rozkaz Lordzie Generale!

Oficer dyżurny wykonał w tył zwrot i już go nie było. Najwyraźniej wybuchy gniewu lorda generała były dobrze znane żołnierzom trzeciej armii. Saren stał jak wryty, szybko

jednak oprzytomniał. Postąpił kilka kroków naprzód, stanął tuż przed Olenem, przez zaciśnięte zęby wycodził:

– Co to ma znaczyć generale?

– A coś ty sobie myślał? Twój kapitan może wydawać rozkazy takim idiotom jak ty, ale mnie byle kmiot–przybłęda rozkazywać nie będzie. Mam nadzieję że wrogowie wyświadczą przysługę Perrunowi i wyślą do diabła twojego kapitana i tę całą żalosną gwardię. Ale ty już tego nie doczekasz! Straż, zabić go!

Saren chciał sięgnąć po miecz, lecz w tym samym momencie otrzymał potężny cios w plecy.

W szyi zwiadowcy, tuż pod jabłkiem Adama, na moment pojawił się grot włóczni. Oczy gwardzisty zasnęła mgła a z ust popłynęła krew. Ostatnim tchnieniem wyszeptał jeszcze ledwie słyszalnym głosem.

– Zdrajco!

* * *

Bum-Bam miał rację. Tej nocy rzeczywiście była mgła. Gwardziści pokonali całą zaplanowaną trasę i dotarli do miejsca, w którym spodziewali się połączyć z trzecią armią. Było już dobrze po północy a trzeciej armii ciągle nie było. Gwardia zajęła pozycję dość daleko od rzeki. Teren był tutaj znacznie podniesiony w stosunku do płynącej w dolinie Rimby. Być może dzięki temu mgła była tu mocno przerzedzona, ale wystarczyło zejść, jakieś

pół mili w kierunku rzeki, a mgła stawała się tak gęsta że było widać zaledwie na długość wyciągniętego ramienia. Walka w takich warunkach byłaby cokolwiek kłopotliwa. Istniało duże prawdopodobieństwo, że żołnierze mogliby się po prostu sami nawzajem pozabijać. Podczas walki nie ma miejsca, aby się zastanawiać, do kogo należy majacząca we mgle sylwetka. Albowiem w chwili, w której dostrzeżono by cel, należało bezwzględnie wyprowadzić cios, każda chwila zwłoki mogła oznaczać – wyłącznie śmierć. Nie było sensu pchać w to mleko całości posiadanych sił. Po dłuższej chwili namysłu Ax uznał że jest to robota dla jednego człowieka. Będzie on wówczas miał pewność że każdy żołnierz, na którego się natknie, będzie wrogiem. Dla wroga zaś, wcale nie będzie to takie oczywiste.

– Manders do mnie!

W jednej chwili młody oficer był gotowy do służby. Niecierpliwie czekał na rozkazy.

– Słuchaj Manders, pod moją nieobecność dowodzisz tym bałaganem. Ja pójde się rozejrzeć. Niech ludzie trochę odpoczną, kiedy wrócę pomyślimy co dalej. Gdyby pojawiła się trzecia armia, to zatrzymaj ich tutaj.

– Przepraszam kapitanie, ale to chyba nie jest najlepszy pomysł...

– Posłuchaj dzieciaku robię w tym fachu dłużej niż ty żyjesz i to jest dobry pomysł, ale jeśli masz lepszy to chętnie posłucham.

Manders najwyraźniej nie miał lepszego pomysłu, bo

spuścił głowę i nic nie odpowiedział.

– Gdybym nie wrócił do świtu, to musisz bezwzględnie zniszczyć tę przeprawę, więc będziesz miał okazję na własną inicjatywę, a póki co, to będę się trzymał własnych pomysłów. Jeżeli usłyszysz pohukiwanie sowy – to będę ja.

Mówiąc to kapitan złożył razem dłonie, obrócił je tak, że zgięte pod kątem prostym kciuki, znalazły się na jednej wysokości. Wojownik pozostawił między nimi niewielką szczelinę. Nabrał w płuca powietrza i przyłożył kciuki do szeroko otwartych ust. Niemal w tej samej chwili rozległo się wołanie sowy.

– Dokładnie taki sygnał, każdy zwiadowca to potrafi. Gdybym stracił orjeticę w tej cholernej mgłę, to będę udawał sowę, jak odpowiecie to będę wiedział, gdzie jesteście.

Manders skinął głową.

– No to wszystko jasne.

Mówiąc to Ax poklepał porucznika po ramieniu. Odwrócił się na pięcie i lekko pochylony pobiegł w kierunku rzeki. Porucznik długo jeszcze stał bez ruchu wpatrując się w miejsce, w którym dowódca zniknął mu z oczu. Właśnie odkrył że nie cierpi mgły. Nie zauważył nawet jak podeszła do niego porucznik Aicha. Wciąż stał i wpatrywał się w białą pustkę, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że widział swojego kapitana po raz ostatni.

* * *

Ax szedł powoli, ostrożnie stawiając stopy. Zależało mu, aby robić jak najmniej hałasu, co zresztą wcale nie było takie trudne, ponieważ mgła doskonale tłumiła dźwięk. Starał się iść w linii prostej, w ten sposób, musiał w końcu dojść do brzegu. Pewnym problemem było jedynie miejsce, do którego chciał dotrzeć. Jeśli rzeczywiście, najeźdźcy zbudowali prowizoryczny, pływający most, to musi go odnaleźć. Jeśli dotrze do rzeki i niczego interesującego nie napotka, będzie to oznaczać że jest za daleko i powinien zawrócić w górę rzeki. Jeśli jednak przypadkiem, trafi na dużą liczbę przeciwników, będzie to oznaczać, że most jest zdecydowanie w dole rzeki. Z tych dwóch możliwości, kapitanowi znacznie bardziej odpowiadał pierwszy wariant.

W życiu nie widział takiej mgły, było w niej coś nienaturalnego. Nie wiedział co to może być, ale na pewno nie była to zwyczajna mgła. Widoczność była zaledwie na długość wyciągniętej ręki, co chwila zresztą to sprawdzał. W ręku cały czas trzymał krótki miecz, lecz ani razu, nie dostrzegł końca ostrza, gdy wyciągał przed siebie ramię. Noc była pogodna, lecz mgła była dużo wyższa od człowieka, co też nie było naturalne, na próżno zadzierał do góry głowę, szukając gwiazd na niebie. Wokół niego była tylko i wyłącznie mgła. Pomyślał, że równie dobrze mógłby być całkowicie ślepy, w końcu i tak nic nie było widać. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Miał wrażenie, że słyszy coś jakby dudnienie, być może był to odgłos,

stawianych na drewnie stóp. Jeśli tak było, to rzeka musiała być naprawdę blisko. Powoli ruszył naprzód. Coś przed nim zamajaczyło. Nie wahał się ani chwili. Ciął na wysokości gardła. Ostrze napotkało opór. Zręcznie pochwycił upadające ciało i delikatnie ułożył na ziemi. Wyciągnął szyję i znowu nasłuchiwał. Nic podejrzanego jednak nie usłyszał. Znowu powoli ruszył przed siebie. Dudnienie dochodziło wyraźnie z prawej strony. Dobrze, tak właśnie powinno być. Ostrożnie ruszył naprzód, badając grunt wysuniętą do przodu stopą. Nie wiedział jak wygląda brzeg rzeki a nie chciał wpaść do wody. Badająca teren stopa, natrafiła na coś miękkiego, przeszkoda wyraźnie się cofnęła. Znowu błyskawiczne cięcie. Również i tym razem ostrze napotkało opór. Przykucnął pilnie nasłuchując. Nic. Dla pewności przebił leżące na ziemi ciało i ostrożnie wznowił przerwana wędrówkę. Przeszedł jeszcze kilkanaście kroków, wreszcie badająca grunt stopa, nie znalazła podłoża. Opadł na kolana i na czworakach zaczął macać ziemię rękoma. Nie było wątpliwości, w tym miejscu teren gwałtownie opadał. Mógł to być stromy brzeg rzeki. W takim razie należało teraz iść wzdłuż tego uskoku. Pełzł na czworakach, pilnując aby nie zgubić brzegu. Jeśli natknie się na wrogów, nie zobaczą go, a on nie da im szansy sprawdzenia, co też otarło im się o nogi. Ci dwaj, których zabił, byli najprawdopodobniej wystawionymi na wszelki wypadek strażnikami. Dudnienie przed nim przybierało na sile, miał też wrażenie, że słyszy w dole plusk płynącej rzeki.

Dłoń znowu na coś natrafiła, instynktownie ciął.

– Cholera! – Syknął z bólu przez zaciśnięte zęby. To było drzewo. Znow zamarł w bezruchu, cały zamienił się w słuch. Potrząsnął bolącą dłonią, zaczął macać po ziemi, musiał odnaleźć upuszczony miecz. Ominął złośliwe drzewo, aby ostrożnie wznowić wędrówkę. Natrafił na jakieś krzaki. Tuż przed sobą słyszał kroki. Most musiał być tuż przed nim. Nie było rady. Musiał iść dalej, w końcu po to przecież tu przybył. Tym razem dotknął do czegoś czołem. Delikatnie zaczął dłonią badać przeszkodę. To była lina. Gruba naprężona lina. Minimalny ruch ręki i znalazł następną i jeszcze jedną. Było ich przynajmniej kilkadziesiąt. Delikatnie i bezszelestnie schował do pochwy miecz i wydobył zza pasa nóż. Już miał się zabrać za cięcie, gdy uświadomił sobie, że takie działanie pozbawione jest sensu. Przecięcie tych lin zajmie mnóstwo czasu, a należało to zrobić szybko. Liny musiały być gdzieś zamocowane. Powoli, trzymając dłoń na splotach, zaczął się wzdłuż nich przemieszczać. Dość długo szedł na czworakach, oddalając się od brzegu i mostu. Wreszcie znalazł drzewo, wokół którego oplecione były liny. Potężny pień stanowił wystarczająco pewny punkt mocowania. Jeśli wszystkie liny wychodziły z tego miejsca, to miał szansę. Tym bardziej, że wcześniej nie zauważył, aby cokolwiek odbiegało od głównego pędu. Wymacał dłońmi najbardziej odpowiedni fragment pnia.

– Tak, tutaj powinno być dobrze.

Wydobył zza pasa topór. Przejechał dłonią wzdłuż ostrza. Z dezaprobatą pokręcił głowa, było zdecydowanie za krótkie. Był to bardziej toporek niż topór i bardziej przeznaczony do rzucania niż do stosowania go w roli siekiery. Ax zły był na siebie, że nie pomyślał wcześniej. Topór dwuręczny byłby w sam raz do tej roboty, ale trudno, trzeba sobie radzić tym, co miał w ręku. Nie wiedział ile lin owiniętych jest wokół drzewa, wiedział jednak że zajmują długość trzech, może czterech łokci. Postanowił zacząć od tych położonych najniżej. Ustawił ciało pod właściwym kontem, wziął potężny zamach i uderzył. Topór wbił się w drewno. Jakaś lina puściła od razu i odskoczyła gwałtownie, wydając przy tym charakterystyczny dźwięk. Teraz już nie było czasu do stracenia. Należało jak najszybciej wykonać robotę. Szarpnął silnie za koniec trzonka by uwolnić zagłębione w drewnie ostrze. Znow potężny zamach i cięcie. Śpieszył się jak mógł. Uderzył w pień kilkanaście razy, zanim dobiegł do niego odgłos, zbliżających się szybko kroków. Akurat wyrwał topór. Padł na plecy i odturlał się od pnia. Ktoś potknął się o niego, błyskawicznie ciął toporem – trafił. Jakiś cień zamajaczył z boku, ponownie uderzył trzymanym oburącz toporem. Dopadł do pnia, by przeciąć kilka kolejnych lin. Przerzucił topór do lewej ręki a prawą sięgnął po Krwiopijcę – swój długi miecz, wyprostował się i ciął na odlew za siebie, wykonując jednoczesny obrót zakończony atakiem topora na liny. Jeszcze raz powtórzył ten sam manewr.

Jakaś odskakująca naprężona lina uderzyła go w twarz. Uderzenie było tak mocne, że aż pociemniało mu w oczach. Wykorzystał to zdarzenie aby paść na ziemię i się odturlać. Ciął za każdym razem, gdy plecy dotykały ziemi. Ostrze, za każdym razem trafiało w cel. Wokół niego robiło się tłoczno.

– Tutaj dranie ! Chodźcie!

Usłyszał tuż obok czyjeś wołanie. Jego przeciwnicy ruszyli w tamtą stronę. Ktoś, najwyraźniej chciał odciągnąć wrogów od drzewa. Ax nie tracił czasu. Dopadł pnia i zapamiętałę weń uderzał.

– Tutaj, tutaj! – Słyszał dochodzące z boku wołanie. Przeszedł na drugą stronę pnia i ponownie wprowadził w ruch swój toporek. Kolejne liny odskakiwały z żalonym jęknięciem. Od strony mostu dobiegły jakieś wrzaski. Na nic nie zważając, robił dalej swoje. Tuż za plecami usłyszał charczenie, wyprowadzony z nad głowy cios, trafił w bliski cel. Znowu wziął potężny zamach na obwiązane wokół pnia sploty, znowu uderzył. Nie było to już jednak potrzebne. Liny, które jeszcze pozostały, nie były w stanie utrzymać ciężaru połączonych tratw. Pękały z trzaskiem jedna po drugiej. Wrzask od strony rzeki przybierał na sile. Woda porwała most. Zadanie zostało wykonane.

– Cofamy się!

Wrzasnął wojownik i ruszył biegiem byle dalej od rzeki. Słyszał za sobą czyjeś ciężkie kroki. Ktoś go gonił. Gwałtownie wytracił prędkość i przykucnął. Nie musiał

długo czekać. Jakaś ogromna postać potknęła się o niego. Nim wrogi żołnierz padł na ziemię, już nie żył.

– Cofamy się! Słyszysz?

– Słyszę, słyszę! – Dobiegł go z boku czyjś głos.

* * *

Bieganie nocą we mgle zdecydowanie nie należy do dobrych pomysłów. Ax przebiegł zaledwie kilkanaście kroków gdy o coś zawadził i jak długi runął na ziemię. Szybko się jednak pozbierał i biegł dalej. Należało jak najszybciej oddalić się od wroga. Tym razem miał zdecydowanie więcej szczęścia. Biegł dłuższą chwilę nim lewa łydka zahaczyła o przeszkodę. Ponownie runął na ziemię. To było mocne uderzenie. Gdyby nie chroniące łydki nagolenniki, z całą pewnością doznałby poważniejszego urazu. Mimo wszystko upadek był bardzo dotkliwy a co za tym idzie, również dość bolesny. Przekoziółkował kilka razy, nim wreszcie się zatrzymał. Niezadowolony pokręcił głową, ani trochę mu się to nie podobało. Już wstawał gdy nagle jakaś postać runęła wprost na niego. Znów był na ziemi a na dodatek ktoś starał się go przygnieść. W ostatnim momencie pochwycił zbliżającą się do jego gardła rękę. Dłoń była dziwnie mała i to nie tylko jak na najeźdźcę. Odepchnął się silnie z prawej nogi, opierając jednocześnie wolną rękę na twarzy przeciwnika. Wróg nie pozwolił się zepchnąć, lecz zdecydowanie ustępował wobec siły wojownika. Razem zwarcia, przeturlali się kilka obrotów.

Tym razem to Ax był górą. W trakcie szamotaniny pochwycił drugą dłoń przeciwnika. Obie ręce rozrzucone na boki, zostały mocno przyciśnięte do ziemi. Ax siedział okrakiem na jego brzuchu. Napastnik był unieruchomiony.

– Ktoś ty?

Zadając to pytanie kapitan pochylił się nad przeciwnikiem na tyle blisko aby dojrzeć jego twarz. To była Aicha. Zdziwiony wojownik nie wierzył własnym oczom. Wciąż dociskał dziewczynę do ziemi.

– Porucznik Aicha, gwardia królestwa Gimuru, obecnie w służbie gwardii króla Andarandisa.

Ax jeszcze przez dłuższą chwilę nie był w stanie otrząsnąć się z szoku, do rzeczywistości przywołały go dopiero ponowne słowa dziewczyny.

– Trochę mi ciężko kapitanie...

– A komu dziś kurwa lekko?

Z pewnym ociąganiem Ax uwolnił dłonie wojowniczkę i z ciężkim westchnieniem dźwignął się na nogi. Podał dziewczynie rękę i pomógł jej wstać.

– Wszystko dobrze? Jesteś cała?

– Nie jestem pewna ale mam taką nadzieję...

– Ale co ty tu do cholery robisz?

Aicha wydeła wargi:

– Jeśli to ma być podziękowanie za pomoc, to nie ma o czym mówić.

Ax obrócił głowę, nie chciał aby Gimurka zauważyła

uśmiech na jego twarzy. Cała ta sytuacja wydała mu się nagle bardzo zabawna.

– Hm, no tak, owszem dziękuję. Cóż, wiem że kobiety na mnie lecą, ale żeby aż tak? Nie uważasz porucznika że to jednak lekka przesada?

– Cóż kapitanie... Jak by to powiedzieć? Są sytuacje, w których kobiety tracą głowę... Albo równowagę... A bywa, że i jedno i drugie jednocześnie...

Tym razem Ax nie był w stanie zapanować nad ogarniającą go wesołością. Jeszcze przez chwilę próbował walczyć, lecz wiedział, że tej walki nie wygra. Parsknął radosnym, szczerym śmiechem. Aicha zareagowała dokładnie w ten sam sposób. Przez chwilę stali naprzeciw siebie, radośnie chichocząc. Oboje umilkli w tym samym momencie, jednocześnie kładąc palec na ustach. Oboje też powiedzieli jednocześnie: – najeźdźcy. Znow nastąpił atak wesołości, tym razem jednak, już kontrolowany i stosownie tłumiony. Ax zdał sobie nagle sprawę z faktu, że świat stał się właśnie jakby trochę lepszy, może też odrobinę ładniejszy i chyba mgła zaczynała rzednąć... No właśnie – mgła. Rozejrzał się wokół siebie. Niezbyt chętnie to przyznał, lecz należało wracać do rzeczywistości. Raz jeszcze spojrzał na Aichę:

– Powinniśmy iść.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, skinęła tylko głową. Jednak już po chwili zapytała zaniepokojona:

– Tylko, w którą stronę?

Ax również nie wiedział. Przez tę szarpaninę, nie trudno było stracić orientację. Uśmiechnął się chytrze i przyłożył do ust złożone dłonie. Zahukał jak sowa. Przez chwilę nasłuchiwał, lecz nic nie było słyhać. Jeszcze raz przyłożył do ust dłonie. Tym razem była odpowiedź. – Tam. – Powiedział Ax wskazując głową kierunek. Jeszcze dwukrotnie naśladował nocnego łowcę, chcąc mieć pewność, że idą we właściwą stronę. Za każdym razem odpowiedź była wyraźniejsza i bliższa. Wreszcie opuścili obszar gęstej mgły. Po drodze, Ax dowiedział się od Aichy, dlaczego za nim poszła. Kiedy uzyskała od Mandersa informację, o jego samotnym zwiadzie, uznała za stosowne podążyć jego śladem, albowiem czuła, że może być potrzebna. Kapitan nie bardzo wiedział co ma z tym fantem zrobić. Faktem było że Gimurka bardzo mu pomogła, jak by jednak na to nie patrzeć, był to klasyczny przejaw niesubordynacji i nie mógł tolerować takich zachowań. Tymczasem doszli do pierwszych gwardyjskich posterunków. Chwilę później był przy nim porucznik Manders.

– Co tam poruczniku? Olen się pojawił?

Z twarzy Mandersa momentalnie zniknął szeroki uśmiech i nabrała ona gniewnego wyrazu.

– Olen się nie pojawił... Przybył tylko jeden z jego ludzi..

– Aa, to by znaczyło że są w drodze i wkrótce tu będą, czy tak?

– Niestety nie kapitanie...

Po tych słowach Manders zwrócił się do stojącego tuż obok żołnierza:

– Dawać tu tego trzeciaka.

– Co się dzieje?

Ax czuł że coś musiało się wydarzyć a chłopak nie wie jak ma mu o tym powiedzieć, bo rzeczywiście wyglądał na mocno zakłopotanego.

– Ten żołnierz z trzeciej armii... On wszystko widział... Uciekł żeby nam o tym powiedzieć...

– Co takiego? – Słowa Mandersa, absolutnie nie przypadły kapitanowi do gustu. – A od kiedy to, słucha się dezertków?

– To nie tak kapitanie... Musisz go wysłuchać... O już go prowadzą!

Ax niezadowolony pokręcił głową, spojrzał na prężącego się przed nim żołnierza trzeciej armii. Był to młody chłopak, średniej budowy ciała, wystraszony i zdenerwowany.

– Spokojnie synu. Co takiego chciałeś mi powiedzieć? Jak ci na imię?

– Jestem Peryk kapitanie...

– Dobrze Peryk, w takim razie powiedz mi z czym przychodzisz.

Peryk skinął głową, trochę się chyba uspokoił, lecz głos ciągle jeszcze mu drżał.

– Widziałem jak przybył wasz zwiadowca, więc na ile mogłem to chciałem się zbliżyć do wozu dowodzenia Lorda Generała Ser Olena...

Po twarzy Axa przebiegł nieznaczny uśmiech, Olen musiał mieć o sobie bardzo wysokie mniemanie, skoro kazał swoim ludziom używać aż tylu tytułów.

– Posłuchaj synu, w wojsku to tylko generał Olen, i opuszczaj te nic nie warte określenia, bo nie mamy aż tyle czasu. Zatem co usłyszałeś?

Słowa Kapitana najwyraźniej ośmieliły Peryka, bo zaczął dużo pewniejszym głosem.

– Nic nie słyszałem kapitanie, byłem za daleko... Zwykłym żołnierzom nie wolno zbliżać się za bardzo do Lor... Do generała Olena. Ma osobistą straż... A wszelkie sprawy załatwia oficer dyżurny. Ale widziałem że Generał Olen strasznie się zdenerwował rozmową z waszym zwiadowcą, nawet krzyczał... Wcześniej kazał rozbić obóz na noc, a jak nakrzyczał na waszego zwiadowcę to kazał zwijać obóz i wydał rozkaz wymarszu...

Ax w dalszym ciągu nie dostrzegał problemu. Nawet jeśli Olena, nieco zdenerwował otrzymany rozkaz, to i co z tego?

– To znaczy że trzecia armia idzie tutaj, tak?

Peryk energicznie potrząsnął głową.

– Nie kapitanie. Trzecia armia wraca do Divy...

– Co takiego?

Ax nie był pewien czy dobrze słyszy, lecz Peryk obstawał przy swoim

– Wydał rozkaz powrotu do Divy i wojsko zawróciło. Ja powiedziałem kapralowi że muszę za potrzebą i...

I przybyłem do was.

Kapitan wydał wargi. Cała sprawa wydawała się nieco dziwna. Co też mogło skłonić Olenę właśnie teraz do powrotu? Nagle coś zaświtało wojownikowi w głowie; a może to był kurier od króla? Tak, to by wiele wyjaśniało. Tymczasem do rozmowy wtrącił się Manders:

– Peryk powiedz kapitanowi co stało się z naszym zwiadowcą.

Ax spojrzał na Mandersa a zaraz potem na Peryka.

– Mów chłopcze, śmiało.

Peryk stracił całą nabytą dotychczas pewność siebie, patrząc na kapitana powiedział łamiącym się głosem:

– Zabili go...

– Co takiego?

Świat nagle zawirował, jakiś niewidzialny ciężar opadł nagle na plecy kapitana. Z trudem mógł wciągnąć w płuca powietrze, wypuścił je ze świstem aby złapać kolejny oddech. Był wściekły. Nikt nie będzie mordował jego ludzi!

Jakim głupcem musi być Olen skoro sądzi że coś takiego ujdzie mu płazem? Na co ten zdrajca liczy? Sądzi że najeźdźcy załatwią za niego sprawę? Jeśli tak, to się zdziwi i to bardzo. Ax zamierzał wrócić z gwardią do Divy. Wróci i wymierzy sprawiedliwość. Wszystko w swoim czasie. Teraz trzeba zlikwidować wroga, który przekroczył rzekę. Lord Generał Ser Olen, będzie musiał trochę poczekać.

– Wszyscy oficerowie do mnie!

Zakrzyknął jak mógł najgłośniejsze. Czas uciekał. Ax miał nadzieję że Tor nie okaże się tchórzem pokroju Olena i wypełni powierzone mu zadanie, a jeśli nawet było inaczej, to i tak nie miało to znaczenia. Jeśli wróg nie napotka oporu to wyróżnie rannych gwardzystów i cywilów, którzy pozostali w obozie. Nie było czasu na rozdrapywanie ran, powinni natychmiast wyruszyć. Cała kadra oficerska stanęła przed kapitanem.

– Jak już zapewne wszyscy wiecie, trzecia armia nam nie pomoże. Mam nadzieję że Tor zajmie pozycję, dlatego też musimy się spieszyć. Most został zniszczony, ale nie wiem ilu wrogów przelazło na naszą stronę i ilu czeka na nas nad rzeką. Niedługo będzie świtać, więc może i ta mgła się wreszcie przerzedzi, to może będzie coś widać...

– Mgła już długo się nie utrzyma kapitanie.

– Dobrze Bum-Bam, tym lepiej dla nas, ale póki co trochę nam przeszkadza. Ustawiamy ciasny szyk, tak żeby żołnierze stykali się ramionami i idziemy w stronę rzeki. Wszystko co spotkamy – jest do zabicia. Gdy dotrzemy do rzeki, pomyślimy co dalej. Są pytania? Jeśli nie – to formować szyk.

Zaledwie chwilę zajęło gwardii ustawienie właściwego szeregu, ruszyli w zwartym szyku, w równym tempie. Mgła rzeczywiście rzedła. Widać już było przynajmniej na kilka jardów. To z kolei zmusiło Axa do zmiany formacji. Gwardia poruszała się już w czterech równych rzędach.

O dziwo nie napotkali oporu. Bez przeszkód dotarli do rzeki. Ax pobiegł do swojego drzewa, przyjemnie było nacieszyć oczy, widokiem dobrze wykonanej roboty. Z zadowoleniem patrzył na pocięte, leżące przy pniu liny. Przeskakując nad zwłokami, pobiegł na brzeg rzeki. Widział zryty tysiącami stóp piasek, ale po moście nie zostało nawet śladu. Mgła nie pozwalała jeszcze dostrzec przeciwległego brzegu.

– Aicha do mnie!

Zza pleców Axa, natychmiast dobiegł głos dziewczyny.

– Do usług kapitanie.

– Chcę żebyś zabezpieczyła to miejsce. Być może, będą jeszcze czegoś próbować, a nie widać co się tam dzieje, gdyby jednak pojawiła się jakaś tratwa na rzece, to wiesz co robić?

– Oczywiście kapitanie. Czy setka ludzi wystarczy?

Ax wzruszył ramionami i wyduł dolną wargę.

– Myślę że tak.

Dziewczyna skinęła głową i już jej nie było. Ax przez krótką chwilę wpatrywał się jeszcze we mgłę, zasłaniającą przeciwległy brzeg. Nic jednak nie dostrzegł, wykonał gwałtowny zwrot i pobiegł do swoich żołnierzy. Oficerowie już na niego czekali.

– Wszystkie kolumny w szyku bojowym! Ruszamy!

* * *

Czwarta armia goniła resztkami sił. Żołnierze z trudem

łapali świszczący oddech w piekące płuca, a generał Tor ciągle nawoływał do pośpiechu. Był już niemal świt, kiedy dotarli na wyznaczoną pozycję. Tor był bardzo zadowolony że dostał gwardyjskiego zwiadowcę za przewodnika. Dzięki temu maszerowali jak po sznurku i przynajmniej nie musiał się martwić o właściwy kierunek. Tylko tego brakowało, żeby pobłądzili. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie zwiadowca oznajmił że są na miejscu. Nie było widać żadnych śladów przemarszu większej ilości wojska. Zdążyli na czas. Tor ciekawym wzrokiem lustrował okolicę. Po lewej miał rzekę a po prawej bagna. Od razu wysłał kilku ludzi aby sprawdzili dokładnie ile mają twardego terenu. Miejsce rzeczywiście doskonale nadawało się do obrony. Bagna z rzeką były połączone czymś w rodzaju kanału. Kanał ów nie był specjalnie głęboki. Woda sięgała najwyżej do pasa, a im bliżej bagien tym bardziej się rozszerzał, tworząc coś na kształt lejka. Ale to jeszcze nie było wszystko. Teren po tamtej stronie kanałku był dużo niżej, mniej więcej na wysokość człowieka, a od jego brzegu pięło się w górę piaszczyste, strome zbocze. Wprawdzie nie zbyt długie, ale dobre i to. Kanał na chwilę zwolni tępo ataku nieprzyjaciela, a i skarpa, też nie umili mu życia. Tor popatrzył po twarzach swoich ludzi. Nie wyglądali najlepiej. Ledwie stali, a ich ciężki oddechy słyhać pewnie było na milę. Dobrze że są trochę wcześniej, może będą mogli nieco odpocząć. Generał zaczął się zastanawiać jak ma rozegrać to starcie. Gdyby był

tu kapitan Ax, to na pewno by coś wymyślił. Tor szczerze podziwiał pomysłowość wojownika. Ax lubił zaskakiwać. Tor był pewien, że sukcesy gwardii to w ogromnej mierze pomysłowość dowódcy. On tak nie potrafił. Najchętniej postawiłby w tym miejscu mur, albo przynajmniej palisadę, tylko z czego? Rozejrzał się dookoła. Kilka drzewek rzeczywiście było do wzięcia, ale to wszystko nic. Na wszelki wypadek kazał ściąć te drzewka, wbije w ziemię przynajmniej kilka palików. Tak, gdyby mógł tutaj postawić palisadę i kilka strzelniczych wieżyczek, to z pewnością utrzymałby pozycję. Niestety, będzie musiał obejść się bez muru... Ale, ale, czy aby na pewno? Zrobi mór ze swoich ludzi, jeśli ustawi bardzo ciasny szyk, to będzie mur... Żołnierze muszą tylko w nim stać i dźgać wroga włóczniami. Czwarta armia to przecież włócznicy. Specjalnie szkoleni do walki na włócznie, które stanowiły ich podstawowe wyposażenie. Do kompletu żołnierze mieli jeszcze ogromne prostokątne parawany z łukowatym wcięciem z prawej strony, które ułatwiało władanie włócznią, z pod osłony tarczy. Prócz tego posiadali oczywiście krótkie miecze, lecz podstawowe uzbrojenia stanowiła włócznia i wielka prostokątna tarcza. W skład czwartej armii wchodził też pięciuset osobowy oddział łuczników. Tor zastanawiał się jak najlepiej może wykorzystać swoich ludzi. Pierwszy szereg włóczników to będzie mur. Parawany zapewnią dość dobrą osłonę. Drugi szereg będzie podtrzymywał pierwszy i kontrował ataki na

pierwszy szereg wysokimi, wyprowadzanymi z wysokości ramion pchnięciami. Jeśli żołnierzy ustawi się wystarczająco ciasno, to nawet jeśli zostaną zabici, nie będą mogli upaść. Chytry uśmiech przemknął po twarzy generała i kto powiedział że martwi żołnierze nie mogą walczyć? Dzisiaj zamierzał to sprawdzić. Wpadł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Obserwował kiedyś ćwiczenia gwardii. Sytuacja była wtedy dość zbliżona do tej, jaką miał tutaj. Gwardziści ćwiczyli wtedy ustawianie sztywnej obrony ze wsparciem łuczników. Tor pamiętał, że pierwsze szeregi były najeżone włóczniami, a za ich plecami, nad głowami łuczników, ustawiali się łucznicy. Stojący w dwóch rzędach żołnierze mieli położone na ramionach parawany i na te właśnie, ułożone z tarcz podesty, wspinali się łucznicy. Górując nad pierwszymi szeregami mieli doskonałe warunki prowadzenia ostrzału. Tak, to było to! Wprawdzie jego żołnierze nie ćwiczyli takich ustawień, ale dadzą radę. Gdyby jeszcze miał z czego zbudować fragmentaryczną chociaż palisadę... Ale od czego miał włócznie? Owszem, palisada jest pomocna, ale z daleka ją widać i wiadomo że trzeba ją ominąć. On zrobi taką palisadę, której nie będzie widać. Każe powiązać żołnierzom zapasowe włócznie tak by stanowiły coś w rodzaju płotu, dwie poprzeczne i kilkanaście równoległych po długości poprzeczek. Położą je na ziemi i przysypią piaskiem a do górnej poprzeczki przywiążą linki, za które pociągną w odpowiednim momencie. Wtedy przeszkoda

wyrośnie tuż przed nosami szarżujących wrogów. Własnym rozpędem nabiją się na groty. Tor był z siebie zadowolony, chyba nawet sam kapitan Ax, nie wymyśliłby bardziej szatańskiej koncepcji. Wezwał oficerów aby wtajemniczyć ich w plan obrony. Piki na całej długości, ukryta palisada na środku i łucznicy na skrzydłach, ścięte i zastrzone paliki wbijają po bokach, by zapewnić jako taką ochronę łucznikom.

Żołnierze rozbiegli się, aby wykonać rozkazy. Tymczasem przed Torem zasalutował gwardyjski zwiadowca.

– Panie generale! Idą!

Tor ze spokojem skinął głową. Raz jeszcze zlustrował wzrokiem miejsce bitwy. Miał nadzieję, że wszystko jest gotowe. Zaczerpnął głęboko powietrza i wrzasnął na całe gardło:

– Wszyscy na stanowiska! Ciasny szyk! Pospinać się pasami!

* * *

Gwardia poruszała się ostrożnie naprzód. Mgła mocno już zrzedła, lecz w dalszym ciągu stanowiła wystarczającą osłonę. Tym razem jednak służyła żołnierzom Perrunu. Ax nie chciał aby zostali zbyt wcześnie wykryci. Plan zakładał atak na tyły zaskoczonego wroga. Gdyby najeźdźcy odkryli ich obecność już teraz, z całą pewnością zawróciliby przeciwko nim i doszłoby do frontalnego starcia a do takiej sytuacji nie można było dopuścić. Wróg musi zaatakować czwartą

armię, wtedy znajdzie się między kowadłem a spadającym młotem i musi zostać zmiażdżony. Przynajmniej tak to sobie kapitan wyobrażał. Kilku najlepszych zwiadowców dbało o to, aby odległość do przeciwnika była wystarczająca. Jednak mgła wyraźnie rzedła. Jeśli tak będzie dalej to w końcu muszą zostać wykryci. Utrzymywanie zbyt dużej odległości też nie było wskazane. Kapitan nie wiedział jak długo czwarta armia jest w stanie zatrzymać wroga, przypuszczał jednak, że niezbyt długo... Atak gwardii musiał nastąpić zaraz po uderzeniu najeźdźców na czwartą armię Tora, bo w przeciwnym wypadku, mogłoby się okazać, że nie będzie kogo ratować. Ax musiał znaleźć jakiś sposób, aby nadal maskować ich obecność. Przyszedł mu na myśl Bum-Bam. Skoro wykrył że ta mgła się pojawi, to może będzie też w stanie zatrzymać ją na nieco dłużej. Dość szybko czarodziej pojawił się u boku kapitana.

– Możesz utrzymać tę mgłę ?

Bum-Bam wzruszył ramionami.

– To robota dla maga pogody a ja nim nie jestem. Gdyby ewentualnie chodziło o jakąś małą błyskawicę, to proszę bardzo, ale mgła – to zupełnie inna sprawa.... Obawiam się kapitanie że w tym względzie nie potrafię pomóc...

– Widzisz, chodzi o to że wróg nie może odkryć naszej obecności, nie mogą widzieć, że za nimi idziemy, jeśli mgła całkiem opadnie to w końcu któryś się obejrzy i nas zobaczy...

W tym momencie kapitanowi wpadła do głowy

niepokojąca myśl, a co jeżeli za nimi idzie kolejny oddział wroga? Może przeprawa wcale nie została porwana przez rzekę? Może już ją odbudowali i są na ich brzegu. Wprawdzie Aicha miała zabezpieczyć rzekę, a żadnych odgłosów walki nie było słyszeć, ale jak on niszczył most to też przecież robił to po cichu...

Dostrzegł przez chwilę twarz kaprała Norbika. Przywołał go do siebie.

– Weź swoją drużynę i zajmij pozycję na tyłach. Miej baczenie czy nikt za nami nie lezie.

Kapral skinął tylko głową i już go nie było. Ax odetchnął z ulgą. Głupio było by wpaść we własną pułapkę. Ponownie spojrzał na czarodzieja i nowa myśl wpadła mu do głowy.

– Czekaj Bum-Bam, a co z niewidzialnością ? Podobno jest taki czar, że magowie stają się niewidzialni?

Bum-Bam zmarszczył brwi. Chyba wiedział, do czego zmierza kapitan. Ignorancja dowódcy w kwestii magii, czasami nieco go irytowała.

– Owszem kapitanie. Jest takie zaklęcie. Mag może rzucić na siebie czar niewidzialności i utrzymywać go tak długo, dopóki nie podejmie żadnych działań, bo w przeciwnym razie, czar pryśnie, ale nie wymagaj ode mnie, abym ukrył istnienie całej armii, to jest po prostu niemożliwe... W każdym bądź razie niemożliwe dla mnie...

Po raz kolejny Ax zawiódł się na magii, znowu z całą mocą dotarło do niego, że nie ma co liczyć na cuda. Trzeba liczyć

jedynie na siebie. Wyłącznie na to, co człowiek sam może wymyślić i zrealizować. Tylko co tutaj można wymyślić? Bezradnym wzrokiem powiódł po okolicy. Mgła wyraźnie rzedła, było coraz mniej czasu. Widział już przed sobą całkiem wyraźnie pobliskie zarośla, jakieś drzewa i bujną wysoką trawę. Jednak nie na tyle wysoką aby ukryła jego ludzi, chyba że każe im się czołgać. Tylko, że wtedy będą się pokonywać dystans, w iście ślimaczym tempie.

Wzrok kapitana przykuły krzaki. Cały brzeg rzeki był nimi obrośnięty a i na bagnach nie brakło karłowatych drzewek. Zatrzymał się gwałtownie i gestem ręki nakazał to samo swoim żołnierzom. Już wiedział co zrobią. Zetną krzaki. Pierwszy szereg zostanie przebrany za drzewa i ukryje obecność reszty wojska. Przy zachowaniu właściwej odległości, nawet jeśli któryś z wrogów się obejrzy, to zobaczy tylko ścianę lasu. Ax miał nadzieję że wróg nie przywiązywał zbytniej uwagi do jakości terenu, po którym się poruszał. Mgła zasłaniała przecież także i rosnące tutaj drzewa. Mogli przejść przez las i wcale nie zwrócić na to uwagi a prawdopodobnie byli na tyle pewni swego, że nie będą się za bardzo oglądać za siebie. Zresztą mają w tej chwili mały problem z bagnami i tam muszą koncentrować swoją uwagę. Kto by się zastanawiał nad rosnącymi z tyłu drzewami? Ten pomysł, miał szansę powodzenia. Kiedy rozgorzeje bitwa , ruszą biegiem i przeprowadzą uderzenie zgodnie z planem.

Generał Tor mógł tylko bezradnie patrzeć jak giną jego ludzie. Umierali stojąc, wierni do końca powierzonemu im zadaniu. Tor był z nich dumny. Żaden z nich nie sprzedał tanio swojej skóry. Walczyli do ostatniego uderzenia serca a i martwi stali twardo na swoim miejscu nie pozwalając wrogom na przerwanie obrony. Z pewnością najeźdźcy musieli się zastanawiać, co to za czary sprawiają, że ich przeciwnicy są nieśmiertelni i stoją na pozycji mimo otrzymywanych razów. Ci zaś, którzy odkryli prawdę nie mieli czasu aby komukolwiek ją przekazać, bo gdy znaleźli się wystarczająco blisko, padali zadźgani włóczniami. Łucznicy również zbierali krwawe żniwo, wręcz prześcigali się w wypuszczaniu śmiercionośnych strzał. Trafiali dokładnie bo cel był bliski i raczej mało ruchliwy. Kanałek rzeczywiście wyhamował impet ataku a dzięki staraniom łuczników, został szybko zapełniony trupami. To z kolei powodowało, że następni wchodzący do wody wrogowie, jeszcze bardziej musieli zwolnić a łucznicy tylko na to czekali. Mimo wszystko wielu z nich w końcu sforsowało tę niewielką wodną przeszkodę i z impetem ruszyło na szeregi stojących na skarpie obrońców. To był ich błąd. Nagle, pojawiły się przed nimi włócznie, które wyrosły dosłownie z pod ziemi. Pierwsi wrogowie sami się na nie nabili a następni, nacierający żołnierze napychali ciała głębiej na

drzewce. W ten sposób powstała kolejna przeszkoda, którą wróg musiał obejść. Zaś łucznicy obrońców nie próżnowali. Do pierwszego szeregu włóczników czwartej armii dotarł mocno przerzedzony atak najeźdźców. Wielu wrogów nie zdążyło nawet zadać ciosu, zostali zadźgani gdy tylko znaleźli się w zasięgu włóczni. Jednakże napór nie ustawał, wróg miał znaczną przewagę liczebną. Łucznicy mieli zbyt wiele celów, coraz więcej wrogów docierało do pierwszego szeregu obrońców i coraz mniej włóczni, było gotowych na ich spotkanie. Tor z niepokojem patrzył jak nieruchomieją kolejni żołnierze. Jednak nic nie mógł zrobić, nie mógł wykonać żadnego manewru. Wszystko na co było ich stać, to utrzymywanie linii obrony bez względu na cenę. W odwodzie miał wprawdzie jeszcze jedną kolumnę, lecz ci żołnierze służyli do łatania dziur. Byli wysyłani tam gdzie pojawiała się realne zagrożenie przerwania obrony. Podpierali mur, powstrzymywali przed upadkiem poległych wcześniej kolegów, dźgali włóczyniami każdy będący w zasięgu ciosu cel. Jeszcze starczało na to ludzi, ale prawie połowa liczącej 1000 żołnierzy kolumny, została już wykorzystana.

* * *

To był ten moment, na który czekała gwardia. Dochodzące odgłosy walki świadczyły dobitnie o zażartości starcia. Nie było już na co czekać. Ax odrzucił trzymane w ręku gałęzie.

Wzniósł do góry włócznię i potrząsnął nią jakby chciał rzucić. W ten sposób pokazał żołnierzom jakiej broni i w jaki sposób mają w pierwszej kolejności użyć. Następnie ruszył biegiem naprzód. Żołnierze podążyli za nim. Wszystko to odbywało się w kompletnej ciszy, nie licząc oczywiście chrzęstu wyposażenia i tupotu opancerzonych stóp. Kapitan biegł co tchu kilkanaście kroków przed pierwszym szeregiem, tak, aby żołnierze mogli go widzieć. Szybko zbliżył się do wroga na odległość rzutu, lecz zapamiętałe biegł dalej. Chciał aby walka w zwarcu nastąpiła zaraz po pierwszym ciosie zadanym przez spadające na wroga włócznie. Wreszcie z całych sił cisnął swoim orężem. Pierwszy szereg żołnierzy dobiegł do miejsca, w którym dowódca wykonał rzut i wszyscy jednocześnie, również cisnęli swoimi włóczniami. Następnie stanęli bokiem, robiąc miejsce dla nadbiegających z tyłu kolegów. Ci wykonali swój rzut zaraz po tym jak wyprzedzili pierwszy szereg. Stanęli tak samo jak ich poprzednicy robiąc miejsce dla kolejnej fali ataku. Działo się tak aż do momentu, gdy ostatni szereg wykonał atak. Ax w tym czasie, ciągle biegł naprzód. Widział jak jego włócznia przebiła wybrany cel. Widział jak kolejne włócznie powalają na ziemię kolejnych wrogów. Nie odkryto ich obecności aż do tej pory. Najeźdźcy nawet nie wiedzieli z czyjej ręki giną, byli zbyt zajęci atakiem na czwartą armię. Ax był już zaledwie kilka kroków od przeciwnika. Znowu odwrócił się w kierunku własnych żołnierzy, wznosząc w górę ramię

uzbrojone w krótki miecz. Wrzasnął jak mógł najgłośniej:

– Perrun! Perrun!

Okrzyk ten został natychmiast powtórzony przez kilka tysięcy gardeł. Nim jeszcze przebrzmiał, z prawego skrzydła odpowiedziało głośnie:

– Gimur! Gimur!

Ax uśmiechnął się na ten nieoczekiwany wybuch entuzjazmu sprzymierzonych z gwardia Gimurczyków, dobył jeszcze z za pasa nóż i z głośnym wrzaskiem skoczył na najbliższego wroga.

Atak gwardii był dla najeźdźców całkowitym zaskoczeniem. Szturmując obronę Tora byli już mocno stłoczeni, a uderzenie gwardzistów sprawiło, że na polu walki zapanował niewyobrażalny wręcz ścisk. Ciężka, ofensywna, dwuręczna broń najeźdźców okazała się w tych warunkach całkowicie bezużyteczna. Nie było miejsca, aby wziąć nią przyzwoity zamach, a podejmowane, rozpaczliwe próby jej użycia, kończyły się niechcianym trafieniem własnego sąsiada, co jedynie wzmagało panujący na polu walki chaos. Za to krótkie miecze, znakomicie sobie w tych warunkach radziły. Do ich użycia, nie trzeba było: ani miejsca, ani siły. Krótkie miecze zbierały przerażające żniwo. Gwardziści depcząc po trupach pokonanych wrogów powoli acz systematycznie zdobywali teren. Najeźdźcy zostali zamknięci w potrzasku. Wprawdzie nadal mieli przewagę liczebną, lecz utraciwszy zdolność manewrowania, nic nie mogli zrobić.

Szybko zdali sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz w niczym im to nie pomogło. Stało się wówczas coś, czego nawet Ax nie przewidział. Coś o czym nawet nie marzył. W szeregach wroga zapanowała panika. Ci, którzy byli na skrzydłach próbowali ratować się ucieczką. Skakali do rzeki, lub brnęli w bagno. Obie jednak próby, miały ten sam, tragiczny finał. Zdradzieckie bagno nie zamierzało zwracać wolności raz pochwyconej zdobyczy, coraz głębiej wciągało swe ofiary. Również rzeka była przeciwko nim. Nawet tak silne istoty nie miały prawa utrzymać się na powierzchni wody. Ich żołnierski ekwipunek, był zdecydowanie za ciężki. Nie było ratunku.

Rejterada skrzydłowych oddziałów sprawiła, że po bokach zrobiło się trochę miejsca, lecz natychmiast, wypełnili je gwardziści. Środek wrogiej armii, nadal był zbity w bezładną kupę. Było tam coraz ciasniej. Prawe skrzydło gwardii, od strony rzeki zajmowali Gimurowie. Porucznik Aicha dwoiła się i troiła aby jej żołnierze nadążyli za Perruńczykami. Wprawdzie z najwyższym trudem, lecz byli w stanie dotrzymać kroku wojownikom Axa. Ucieczka wroga bardzo ułatwiła im zadanie. Aicha zadbała o to, aby natychmiast wypełnić powstałą lukę, miała dziwne przeczucie że Ax, nigdy by Gimurczykom nie darował, gdyby nie stanęli na wysokości zadania. Nie powinno jej tu być. Pewnie kapitan myślał, że pilnuje rzeki, ale równie dobrze mógł tam zostać jeden z jej sierżantów wraz z setką

ludzi. Młodziutki porucznik Manders mógł sobie dowodzić prawym skrzydłem, ale wojskami Gimuru dowodziła ona i tak będzie, bez względu na to, czy to się komuś podoba czy nie.

Tymczasem bitwa przerodziła się w rzeź. Najeźdźcy nie mieli dokąd uciekać, nie mogli się również przegrupować, aby stawić czoło nieoczekiwanemu atakowi. Jedyną dla nich nadzieją, było przerwanie obrony Tora. Dla włóczników czwartej armii, były to naprawdę ciężkie chwile. Lecz Tor był zbyt doświadczonym dowódcą, aby pozwolić wrogą na przerwanie linii obrony. Cena nie grała roli, wiedział, że nie może do tego dopuścić. Wykorzystał już wszystkie rezerwy, ale miał jeszcze łuczników i żołnierzy trzymających na swych ramionach parawany, na których stali łucznicy. Gwardziści byli już zbyt blisko aby kontynuować ostrzał, zlikwidował więc strzelające platformy a odzyskanych w ten sposób ludzi wysłał do wzmocnienia wciąż stojącego, żywego muru.

Gwardzistów ogarnął amok. Była to mroczna strona żołnierskiego życia. Ax doskonale znał to uczucie. Zazwyczaj go unikał, wiedział bowiem, że początek amoku oznacza koniec człowieczeństwa. Ludzie zamieniali się wtedy w żadne krwi potwory, przestawali myśleć i rozumieć, pragnęli jedynie krwi. Tym razem jednak kapitan, nie zamierzał niczego tłumić. To nie byli ludzie! Nie wiedział skąd i po co przybyli, ale wiedział, że tutaj nie ma miejsca na kompromis. Sprawa była oczywista; jeśli nie wybiją

najeźdźców do nogi, to z całą pewnością drogo za to zapłacą. Przeciwnik nie będzie miał takich skrupułów. Zwycięstwo oznaczało śmierć wszystkich wrogów, klęska zaś – będzie oznaczać unicestwienie całego Perrunu. Nie było tu miejsca na litość, nie było tu miejsca na pakt i kapitulację. Toteż kapitan zakrzyknął na całe gardło.

– Nie brać jeńców!

Nie musiał wydawać tego rozkazu, bo ani wróg nie zamierzał kapitulować, ani jego ludzie nie mieli zamiaru aby kogokolwiek oszczędzać. Amok krwi miał swoje prawa, kiedy już się zaczął, zakończyć go mogła dopiero śmierć ostatniej ofiary. Dopiero wtedy ludziom wracał rozsadek. Dopiero wtedy przecierali oczy, patrząc na swoje ubabrane we krwi ręce. Bywało, że w ten właśnie sposób mordowano całe miasta. Jeśli armia atakująca pokonawszy obronę wdarła się w obręb murów, a nie było już z kim walczyć, kierowali swe ostrza przeciw ludności cywilnej i nie było sposobu, żeby to powstrzymać. Tak jak ogień, gaśnie dopiero gdy strawi wszystko na swojej drodze, tak i amok krwi musiał się sam wypalić.

Axowi zaczynało brakować wrogów, rozejrzał się wokół siebie, lecz widział tylko własnych ludzi dożynających napastników. Wreszcie, kilka kroków przed sobą, dostrzegł, jak jeden z wrogów wstaje z ziemi. Nim zdążył stanąć na nogi, Ax już przy nim był. Zadał krótkie, niesygnalizowane pchnięcie, lecz przeciwnik jakimś cudem podbił mu rękę,

w której trzymał broń. Mocno pochylony Ax, wykonał obrót w ślad za odbitym ramieniem i wykorzystując impet obrotu uderzył przeciwnika w brzuch. Ten natychmiast zgiął się w pół. Ax błyskawicznie wzniosł obie ręce nad jego głowę i uderzył pochylonego wroga w kark, głównią trzymanej w rękę broni, podstawiając jednocześnie pod twarz kolano. Szpic nagolennika bez trudu przebił gardło. Ten najeźdźca, nie powinien już więcej sprawiać kłopotu. Znów skoczył naprzód, dostrzegł plecy kilku wciąż jeszcze stojących wrogów. Jednym ciosem, przejechał jednocześnie ostrzem noża, po trzech odsłoniętych karkach, lecz nie zrobiło to na przeciwnikach najmniejszego wrażenia. Poirytowany wojownik szarpnął najbliższego z nich za ramię, chciał go odwrócić by sprawdzić, czy i gardło będzie miał równie odporne. Przeciwnik jednak wciąż stał jakby wrósł w ziemię. Dopiero po chwili Ax zdał sobie sprawę z faktu, że atakuje trupy, byli nabici na wystające z ziemi włócznie. Cała skarpa zasłana była gęsto trupami. Dopiero teraz ujrzał wypełniony ciałami kanałek, łączący bagna z rzeką. Dziwne, nie pamiętał aby przez niego przechodził, ale przecież był po drugiej jego stronie. Kapitan obszedł stojące zwłoki i ze zdziwieniem stwierdził, że tuż przed sobą ma równiuteńki szereg perruńskich żołnierzy. Czwarta armia Tora. Bitwa była skończona.

* * *

Nie był zachwycony swym obecnym położeniem,

jednakże tysiące lat nauczyły go cierpliwości. Pomimo faktu, że obecny stan rzeczy, trwał już bardzo długo, to przecież nigdy się z nim nie pogodził. Wiedział również, że nigdy go nie zaakceptuje. Wiele razy już próbował to zmienić, lecz do tej pory bezskutecznie. Nie miał jednak żadnych wątpliwości, że w końcu musi się udać, że wreszcie przełamie pieczęć i odzyska wolność. Miał teraz kolejną szansę, układ gwiazd zmierzał do właściwego położenia. Do takiego jak wtedy, gdy Stwórca wtrącił go do otchłani. Tylko teraz mógł złamać pieczęć. Minie wiele tysięcy lat, nim przyjdzie kolejna szansa. Dlatego też, musi wykorzystać tę obecną. Był cierpliwy, miał już jednak dosyć czekania. Poprzednim razem Elfy pokrzyżowały jego plany. Bardzo drogo ich ta zuchwałość kosztowała i oto teraz nie ma już Elfów, a jego śludzy są w drodze. Tym razem nic nie stanie mu na przeszkodzie.

Wiele czasu i trudu poświęcił na przygotowania, ale było warto. Czasu miał wprawdzie pod dostatkiem, ale działania wymagały dość wyrafinowanej koordynacji. Nigdy wcześniej nie miał w ręku tylu atutów co obecnie. Tym razem Stwórca zostanie pokonany, a on wreszcie zajmie należne mu od wieków miejsce i zacznie panować nad wszystkimi światami. Stwórca był potężny, lecz każda potęga ma kiedyś swój kres. Najwyższy czas aby nastąpiła nowa era. Jego era!

Pamiętał dni kiedy chodził w chwale Stwórcy. Pamiętał tak dokładnie, jak gdyby miało to miejsce zaledwie wczoraj,

a przecież już dawno temu stracił rachubę czasu. Pamiętał jak razem ze Stwórcą przechadzał się po nowo stworzonych światach, jak radował się ich pięknem i porządkiem. Sam również był dziełem Stwórcy. To Stwórca obdarzył go istnieniem, mądrością i nieśmiertelnością. Przez tysiące lat służył Stwórcy wykonując gorliwie i wiernie jego wolę. Służył tak długo aż wreszcie odkrył największy, skrywany zrećźnie przez Stwórcę sekret: Stwórca był słaby! Zbyt miękki, nie potrafił zapanować nad stworzonym przez siebie światem, stworzenie powoli wymykało mu się z rąk. Nie był jedynym, który odkrył prawdę, podzielało to zdanie wiele istot z otoczenia Stwórcy, zaś wielu innym, sam otworzył oczy. W końcu obóz oświeconych uznał w nim swojego przywódcę. Wreszcie było ich tylu, że sytuacja dojrzała do buntu. Dzisiaj już wiedział, że nie docenili Stwórcy, był potężniejszy niż przypuszczali. Stracił ich w otchłań, a jego samego zaklął w kamieniu. Po raz kolejny Stwórca dowiódł swej słabości. Powinien był ich wszystkich zgładzić, on sam tak by właśnie zrobił. Czemu niby miała służyć taka wspaniałomyślność? Jaki pożytek mógł odnieść Stwórca z okazania im łaski? Czego chciał dowieść? Zyskał tylko tyle, że wszyscy zbuntowani nienawidzili go teraz tak bardzo, jak nigdy przedtem. Pozostawienie ich przy życiu nie było żadnym aktem łaski, tylko szczytem głupoty, a dla głupców – nie ma litości. Stwórca umrze przy najbliższej okazji. Wiedział, że stwórca słabnie, a to że ostatnim razem posłużył

się Elfami dla ratowania pieczęci, było tego najlepszym dowodem. Tym razem Stwórca nie będzie już miał się kim posłużyć. Sam o to zadbał. Zabił ostatniego Kar-Szi zanim ten zdążył się narodzić. Potęga magii Elfów przepadła raz na zawsze. Świat został stworzony dawno temu a więc Stwórca nie był już do niczego potrzebny. Świat potrzebował teraz Pana.. Twardego i zdecydowanego władcy. Tylko on jeden potrafił temu zadaniu sprostać. Tylko on, mógł zastąpić Stwórcę.

W tej chwili był tylko świadomością, lecz niezwykle potężną. Sama świadomość zamieniała się w potęgę a ta dawała mu władzę. Stwórca się mylił, sadząc że zaklęcie w kamieniu unieruchomi jego wolę. Bez trudu wchodził do oczekujących go umysłów. Podsuwał nieświadomym niczego głupcom wizje, które uznawali za własne. Dziwiło go nawet nieco, że przychodzi mu to z taką łatwością. Służyli mu, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Jego wola uczyniła z nich marionetki. Miał też świadomych wyznawców i było ich wystarczająco wielu. Stworzenia, które niegdyś Stwórca powierzył mu w opiekę należały wyłącznie do niego. Dla nich był bogiem! Cztili go i byli gotowi mu służyć i dla niego umierać. Przy ich pomocy już wkrótce złamie pieczęć, odzyska wolność i uwolni zbuntowanych. Świat będzie jego!

* * *

Porucznik Greyn z niezadowoleniem potrząsnął głową.

Od południa ukrywał się wraz ze swoją drużyną na krańcu lasu. Już nawet nie pamiętał ile minęło czasu, odkąd opuścił gwardię, aby dokonać zwiadu. Miał nadzieję że kapitan Ax doszedł do siebie i na powrót objął dowództwo. Nie był zbytnio zadowolony ze swojej misji. Nie dość, że w dalszym ciągu nie potrafił oszacować liczebności wroga, to odkrycie, którego dokonał, było jeszcze bardziej niepokojące. Mieli dużo szczęścia, że nie zostali wykryci podczas przemarszu wrogiej armii. Zagrzebani w jakimś rowie, przez kilka dni oczekiwali na okazję do opuszczenia kryjówki. Kiedy wreszcie to nastąpiło, postanowił iść dalej na wschód. Chciał zobaczyć, co zostało z królestwa Gimuru. Nie zostało nic. Gimur wyglądał jak łąka po żerowaniu szarańczy. Wszystko co żyło zostało unicestwione, najeźdźcy zostawili po sobie jedynie wypaloną ziemię. Minie wiele czasu zanim życie zdoła się na tych terenach odrodzić. Kiedy już uznał że dość się napatrzył i chciał zawrócić, znowu trafili nieoczekiwanie na kolejną falę najeźdźców. Aby uniknąć zbyt bliskiego spotkania, odbili szybko na północ. Przez kilka kolejnych dni, znowu poruszali się powoli w kierunku morza, przeciwnie do ruchu wrogiej armii. Greyn sądził, że zobaczy tam okręty, którymi przybyli najeźdźcy. Ciekawość pchała go na przód, nie był w stanie wyobrazić sobie liczby tych okrętów. Chciał to zobaczyć na własne oczy. Gdy wreszcie dotarli do wschodniego wybrzeża, nie zobaczył ani jednego statku. Wrogowie przybyli tutaj w zupełnie inny sposób,

choć faktem było, że od strony morza. Oto teraz leżał wraz ze swoimi żołnierzami zagrzebany w piasku, kryjąc się pomiędzy pozółkłymi kępami uschniętej trawy. Przed nimi rozpościerała się rozległa piaszczysta plaża a na jej końcu bezkresne, sięgające aż po horyzont morze. Kilkanaście kroków od linii wody jarzyło się coś. Było to wysokości dwóch ludzi i miało kształt elipsy. Pulsowało nieustannie jasno fioletowym światłem. Co chwila, wychodził z tego światła jeden wróg. Greyn liczył do trzech i pojawiał się kolejny. Raz, dwa, trzy i następny. Co stu przybyłych była trochę dłuższa przerwa. Porucznik zdążał wtedy doliczyć do dziesięciu. Wrogowie zbierali się w stu-osobowe kupy i odchodzili nieco na wschód, gdzie oczekiwała na nich dużo większa gromada. Było tam najmarniej kilka tysięcy najeźdźców. Greyn był pewien, że i ta grupa odejdzie bardziej na wschód, kiedy tylko osiągnie właściwą liczebność, robiąc tym samym miejsce, dla wciąż przybywających wrogów.

– Lęgną się w tym jaju czy jak?

Greyn spojrzał na twarz leżącego obok kaprała.

– Nie sędzę Stander. Myślę raczej że to jakieś drzwi.

– Drzwi? A niby do czego? Poza tym migającym jajem nic więcej tu nie ma.

– Tutaj nie ma, ale może gdzieś jest drugie takie jajo. Wchodzą tam a wychodzą tutaj.

– Ale gdzie? Po drugiej stronie morza? To ile oni idą między tymi światłami? Muszą być cholernie głodni.

– Może po drugiej stronie, a może na dnie morza, a może jeszcze całkiem gdzie indziej. Myślmy raczej jak to zamknąć. A jeśli wychodzą w tym samym momencie w którym wchodzi to wcale nie są głodni. Zresztą wcale na takich nie wyglądają.

– No faktycznie nie wyglądają... Za to mi burczy w brzuchu jak cholera...

Stander miał rację. Przed wczoraj opróżnili sakwy z resztek żywności a nie było sposobu na zdobycie zapasów. Greyn skwapliwie przytaknął.

– Wiem Stander, mi też chce się jeść, Ale musimy coś zrobić z tym jak to nazwałeś jajem.

– Najlepiej jajecznicę – wyszeptał kapral i oblizał się na samą myśl o upragnionym posiłku.

– Jajecznicę mówisz? – Porucznik zaczął się zastanawiać nad żartem kaprała.

– Żeby zrobić jajecznicę trzeba rozbić jajo, tylko kurwa, jak?

Tym razem to Stander wzruszył ramionami.

– Może zwyczajnie, walnąć ostrzem i po krzyku...

– Obawiam się, że to nie będzie takie proste. Oni z tego światła wychodzą, więc jak walniesz mieczem to będzie tak jak byś chciał wejść, włożysz tam broń i rękę i nic się nie stanie... A może jednak się stanie?

Greyn rozmyślał gorączkowo nad nową możliwością. Dotychczas nie brał jej pod uwagę. Wiedział, że nie

zdobędą elipsy, chociaż zdobyć ją mogli, tylko jak długo by ją utrzymał, mając zaledwie dziesięciu ludzi? Lecz jeśli rzeczywiście były to drzwi, to między nimi musiał istnieć jakiś niewidzialny korytarz. Nie potrafił tych drzwi zamknąć, ale jeśli korytarz nie był zbyt szeroki a nie mógł być, skoro wrogowie wychodzili pojedynczo, to może uda się go zapchać. Jeśli wejdą od tej strony, to w środku zrobi się zator, korek, który sprawi że już nic z tego jaja nie wylezie. Pomysł wydawał się dość sensowny. Niczego mądrzejszego i tak pewnie nie wymyślą.

– Wycofajmy się na bezpieczną odległość.

Szepnął do kaprała i począł się czołgać, aby zwiększyć dzielący ich do portalu dystans. Gwardziści ruszyli za nim. Kiedy już byli wystarczająco daleko, Greyn kazał ludziom rozsiąść się wygodnie w kółeczku na piasku. Kiedy siedzieli w taki sposób, nic nie mogło ich zaskoczyć, a o to przecież chodziło.

– Dobra chłopaki. Słuchajcie! Kiedy się ściemni, zaatakujemy to jajo.

Nikt się nie odezwał. Żołnierze byli gotowi na śmierć. Zrobią co trzeba. W końcu jak zwykł mawiać ich dowódca; nikt nie żyje wiecznie, no i lepiej późno niż wcale.

– Zakradniemy się pod osłoną nocy i uderzymy wtedy gdy zrobią sobie tę większą przerwę, chodzi mi o ten moment kiedy liczymy do dziesięciu. Zabijemy tych co akurat wyleżą i wskoczmy do środka. Myślę, że może w ten sposób uda

nam się zablokować przejście. Widzieliście ile już się tej hałastry tutaj nalazło, a kto wie ile ich się tu jeszcze wybiera. Nie wiem czy to zadziała, ale to wszystko co możemy zrobić... Chyba że macie jakieś pomysły?

– Tylko jak wyczuć ten właściwy moment? – Sander drapał się dłonią w czubek głowy.

– Tym bardziej że będzie ciemno

– Trafne spostrzeżenie kapralu, ale może właśnie po to kapitan uczył nas liczyć. Każdy weźmie w sakwę po 100 kamyków. Jeszcze za widoku wyłapiemy długą przerwę, potem co trzy odkładamy jeden kamyk. Kiedy w sakwie zabraknie kamyków, będzie to oznaczać, że oddział wroga odchodzi od jaja i możemy liczyć do 10. Nie możemy podejść za blisko, żeby nas zbyt wcześnie nie wykryli. To jajo daje chyba całkiem sporo światła, dlatego musimy zaatakować we właściwym momencie, bo im głębiej wbijemy się w korytarz, tym lepiej.

– No to wszystko jasne – Sander uśmiechnął się do kolegów.

– Wreszcie przestanie mi w brzuchu burczeć.

– No niekoniecznie kapralu, bo ty wracasz do kapitana. Pójdzie jeszcze z tobą dwóch ludzi. Niezależnie od tego co się stanie, zdasz kapitanowi raport. Musi wiedzieć co tu się dzieje.

– Dlaczego ja? – Sander próbował jeszcze protestować.

– Dlatego że jesteś tropicielem i masz stopień podoficera.

Ktoś w końcu musi dowodzić. Musicie dotrzeć do naszych.

Kapral Sander skinął nieznacznie głową, wiedział że Greyn nie ustąpi.

– Kto jeszcze idzie ze mną?

– Będziecie ciągnąć losy. Wracasz ty i dwóch ludzi. Przygotuj patyczki.

Kapral oddalił się na chwilę, aby wykonać polecenie. Wrócił trzymając w zaciśniętej dłoni 10 słomek. Oznajmił bezbarwnym głosem:

– Są dwie długie. Długie przegrywają i wracają ze mną..

Podchodził kolejno do każdego z żołnierzy, aby każdy wyciągnął swoją słomkę. Kiedy już wszystko było jasne, rozpoczęto przygotowania do akcji. Każdy zebrał w sakwę 100 kamyków, niektórzy zajęli się jeszcze ostrzeniem i tak już ostrą bronią. Wreszcie wrócili na poprzednią pozycję aby kontynuować obserwacje. Kiedy zapadł zmrok, ruszyli w kierunku migocącej elipsy. Jeszcze przez chwilę Sander obserwował czołgających się kolegów. Wiedział, że już więcej żadnego z nich nie zobaczy. Wreszcie skryła ich ciemność nocy, w którą się wtopili. Sander również odliczał swoje kamyczki. Nie musiał tego robić, wystarczyło aby czekał na mające nastąpić wydarzenia. Czas jednak włókł się niemiłosiernie a dzięki liczeniu kamyków, miał zajęętą uwagę. Odczuwał też pewien rodzaj solidarności, pewną więź z przyjaciółmi. W końcu to była jego drużyna. W jakiś sposób był z nimi, poprzez to durne odkładanie kamyczków.

Wreszcie ręka kaprała, niczego nie znalazła. Sakwa była pusta.

– Teraz! Teraz powinni uderzyć.

No i rzeczywiście. Niemal w tym samym momencie w kręgu migotliwego światła rzucanego przez elipsę, pojawiło się kilka postaci. Trzech pierwszych od razy wskoczyło do portalu, ginąc w jego wnętrzu.

– Przeszli przez drzwi! Dalej chłopaki zapchajcie ten cholerny tunel!

Kilku najeźdźców zawróciło, lecz mieli do pokonania pewien dystans. Ten, który był najbliżej elipsy, już nie żył. Kolejni gwardziści wskakiwali do wnętrza światła. Greyn ich osłaniał. Wymachując swym ulubionym cepem bojowym, oczekiwał na wrogów. Ostatni z gwardzistów był już wewnątrz portalu. Tymczasem jeden z najeźdźców doskoczył do Greyna. Porucznik wyprowadził z nad głowy uderzenie cepa. Najeźdźca zasłonił się przed ciosem i w dodatku zrobił to gołą ręką. Sander pomyślał że to jakiś skończony debil. Tymczasem przeciwnik Greyna, wyrwał broń z ręki porucznika. Lecz uczepona na łańcuchu kula nie służyła do zabawy, wróg musiał odczuć siłę tego ciosu, bo na chwilę znieruchomiał. Greyn natychmiast wykorzystał ten moment zawahania. Nie sięgał już po kolejną broń. Z pół obrotu wymierzył przeciwnikowi potężnego kopa w twarz wyprostowaną, wzniesioną wysoko nogą. Kopniak w twarz zawsze działał. Wróg upadł. Greyn zrobił zwrot

w miejscu i w ślad za swymi ludźmi skoczył w obręb świetlnych drzwi. Kilku kolejnych wrogów podbiegło do portalu. Stali bezradnie i chyba nie bardzo wiedzieli co mają robić. Powoli wstał z ziemi ten, którego powalił porucznik. Musiał być kimś ważnym, bo wrzeszczał gniewnie na pozostałych. Migocące światło elipsy, wyraźnie zmieniało barwę, stawało się ono coraz jaśniejsze, aż oczy bolały patrzeć. Coraz szybciej pulsowało. Stojący dotąd przy elipsie wrogowie, rzucili się pędem w kierunku, z którego przed chwilą przybyli. Oślepiające, białe światło pulsowało już w zawrotnym, szalonym tempie. Nagle, cisza nocy została rozdarta przez przerażający huk, od którego zadrżało powietrze i podskoczyła ziemia. Potem znowu zapanowała cisza. Znowu było ciemno i zupełnie cicho. Przejście do odległego świata przestało istnieć.

Sander i jego dwaj towarzysze jeszcze przez długą chwilę, wpatrywali się w mrok. Wreszcie kapral odetchnął głęboko i ze złością powiedział:

– A mnie kurwa dalej burczy w brzuchu...

* * *

Bestistus był zadowolony z efektu jaki wywarły jego słowa. Posiedzenie królewskiej rady trwało już bardzo długo, ministrowie i doradcy musieli już być cokolwiek znużeni niekończącymi się obradami. Sam zwołał dzisiejszą naradę, jako przewodniczący rady kościołów miał do tego

prawo a i sytuacja wydawała się wyjątkowo korzystna, prawdopodobnie lepszej okazji już nie będzie. Odczekał jeszcze chwilę, zanim na nowo podjął temat;

– Tak więc jako przewodniczący rady kościołów wnoszę o uznanie generała Olena naczelnym wodzem. Tylko on jest w stanie zapewnić nam bezpieczeństwo.

Król do tej pory milczał, przysłuchując się wywodom wielkiego brata, ale miał już tego dość.

– Pozwolę sobie zauważyć, szlachetny Bestistusie, że dowódcą garnizonu Divy jest kapitan Ax, zaś wodzem naczelnym perruńskiej armii jest obecny tutaj minister, generał Bendrys. Poza tym gdybyś jeszcze tego nie zauważył, to Perrun ma jeszcze króla, który jest zwierzchnikiem naczelnego wodza i który, o ile pamiętam, ma prawo mianowania i odwoływania dowódców. Królewska rada nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia, a jeżeli wypowiadasz się w imieniu rady kościołów, której przewodzisz, to równie dobrze Bestistusie możesz nic nie mówić.

– Oczywiście Wasza Wysokość. – Bestistus nie tracił jednak rezonu. – Ale spójrzmy trzeźwo na sytuację. Kapitan Ax razem z pałacową gwardią jest w polu.

– Poza jedną kolumną, która pełni służbę w pałacu. – Andarandis wszedł w słowo rozzuchwalonemu kapłanowi. Mówiąc to, uderzył pięścią w stół, po chwili dodał nieco łagodniejszym tonem.

– Poza tym, jest tu jeszcze cała szósta armia generała

Bendrysa, więc zapewniam szlachetny Bestistusie, że tym razem żadnych ustępstw nie będzie. Żadnych rozruchów – też nie.

– Ależ Wasza Wysokość jesteśmy w przededniu wojny i nie do pomyślenia są jakiekolwiek walki bratobójcze... Chyba tylko zdrajca chciałby do nich doprowadzić. Bo ja, na pewno nie.

Wypowiadając słowo zdrajca Bestistus patrzył natarczywie na Andarandisa. Król udał że tego nie dostrzega. Był ciekaw, co jeszcze ten człowiek ma do powiedzenia. Ośmielony królewskim milczeniem, wielki brat ciągnął dalej swój wywód:

– Tak więc gwardia jest w polu i nawet nie wiemy czy kapitan Ax jeszcze żyje. Ze wszystkich wysłanych na wschód armii wróciła tylko trzecia armia generała Olena, od którego wiemy, że nasze siły zostały pobite, prawdopodobnie gwardii już nie ma. Czy pokonany kapitan, jeśli nawet przeżył, nadaje się na dowódcę garnizonu? Znam oczywiście zasługi generała Bendrysa, ale niektórych z tu obecnych nie było jeszcze nawet na świecie, kiedy miały one miejsce. Z całym szacunkiem dla naszego ministra wojny, ale w obecnej chwili to tylko zniedołężniały starzec. Tymczasem generał Olen wykazał się dużą roztropnością wracając z wojskiem do miasta. Dzięki temu Diva ma obronę.

– Bez trzeciej armii Bestistusie, Diva również miała obronę.

– Tak, tak, oczywiście Wasza wysokość, ale teraz mamy w mieście doskonałych żołnierzy i świetnego dowódcę. Pozwolę sobie również zauważyć Wasza Wysokość, że głos rady kościołów to głos całego narodu. Ja tu jedynie mówię o tym, czego oczekuje i pragnie lud Perrunu a jego mądry król z pewnością nie zlekceważy woli narodu.

Andarandis wstał gwałtownie uderzając pięścią w stół.

– Dość tego. Rada kościołów nie jest już tym czym była. Zostałeś przewodniczącym rady tylko dlatego, że dwóch innych kandydatów na to stanowisko, opuściło świat w dość tajemniczych okolicznościach.

– O Tak, to rzeczywiście wielka strata dla nas wszystkich, ale widocznie sami bogowie tak chcieli, bo czyż w przeciwnym wypadku nie ustrzegliby swoich kapłanów? Oczywiście że by ustrzegli, a kim że my jesteśmy, aby kwestionować boskie wyroki?

– A jeżeli każę zaraz ściąć ten twój zuchwały łeb, to czy też będzie to wola bogów?

– Ależ Wasza Wysokość, niepotrzebnie się gniewasz. Nadchodzą ciężkie czasy i Perrun potrzebuje rozważnego, mądrego i wielkiego władcy. Władcy na miarę legendarnego króla Tyrjanusa. Potrzebujemy bohatera, który tak jak Tyrjanus natchnie Perruńczyków do walki i powiedzie do zwycięstwa.

W sali obrad panowała cisza, wszystkie oczy skierowane były teraz na Bestistusa. Nagle zabrzmiał w tej ciszy ledwie

słyszalny głos:

– Tyrjanus był tchórzem i zdrajcą. Jakże mali jesteśmy, skoro stawia się nam za wzór nikczemników.

W sali obrad zrobiło się teraz tak cicho, że aż dzwoniło w uszach. Wszystkie oczy skierowane były na księżniczkę Melodię. Tymczasem królowna otrząsnęła się z własnych myśli i rozejrzała po sali. Dlaczego było tu tak cicho? Dlaczego wszyscy się w nią wpatrywali? Zrozumiała. Wypowiedziała głośno myśli, które nie powinny być wypowiedziane. Stojący cały czas Bestistus, odszedł od swojego krzesła, obszedł ramię ułożonego w kształt podkowy stołu, tak że znalazł się w jego środku i powoli, wlepiwszy w dziewczynę oczy, szedł w jej kierunku. Zatrzymał się tuż przed nią. Oparł dłonie na krawędzi stołu i pochylał w jej stronę, gdy nagle grot włóczni dotknął jego gardła. Zdziwiony kapłan podniósł wzrok. Tuż za krzesłem księżniczki stał rozwścieczony gwardzista. Bestistus poczuł jak ostrze grota napiera mocniej na jego grdykę. Chcąc nie chcąc, musiał ustąpić. Wyprostował się i cofnął o krok. Cały czas czuł na gardle ostrze włóczni, zaś na sobie nienawistne spojrzenie żołnierza. Na wszelki wypadek, wykonał jeszcze krok w tył. Włócznia wróciła do swojego normalnego położenia, lecz żołnierz nadal stał za plecami dziewczyny, gotów w razie potrzeby, zrobić użytek ze swojej broni. Bestistus jeszcze przez chwilę wpatrzony był w księżniczkę. Odwrócił się i zrobiwszy kilka długich kroków, stanął pośrodku stołu. Teraz zogniskował swój

wzrok na pierwszym siedzącym ministrze, szybko przeniósł spojrzenie na następnego.

– Czy ja dobrze słyszę? – Wielki brat przenosił wzrok na kolejnych ministrów.

– Czy to powiedziała następczyni tronu? Córka króla Andarandisa?

Znowu na sali zapanowała nieznosna cisza, którą ponownie przerwał Bestistus.

– Czy ktoś kiedyś słyszał podobną bzdurę?

Teraz kapłan podszedł do stołu, rzucając pytające spojrzenie siedzącym po drugiej stronie blatu dostojnikom.

– Czyżby nasza królowna postradała zmysły?

Andarandis poderwał się z krzesła. Był wściekły.

– Dość tego! Zapominasz się arcykapłanie!

Tym razem jednak Bestistus nie ustąpił. Obdarzył władcę nienawistnym spojrzeniem i zaczął krzyczeć podnieconym, piskliwym głosem.

– O nie Wasza Królewska Mość! Tym razem nie będę cicho! Tym razem to szanowne gremium usłyszy co mam do powiedzenia! Mam prawo do wypowiedzi na tym forum i o ile pamiętam, nawet ty, nie możesz mi tego zabronić.

Kapłan odwrócił się do króla plecami, rozrzucił ramiona, spojrzał w górę jakby tam szukał natchnienia i na powrót powiódł wzrokiem po sali.

– Słuchajcie ludzie! Królestwo Perrunu jest zagrożone a jeszcze na dodatek jedyna następczyni tronu, jest bądź

szalona, bądź głupia. Tak wiem, to mocne słowa, ale spojrzymy prawdzie w oczy. Nawet gdyby to była prawda, choć oczywiście jest to straszna bzdura, ale gdyby nawet była to prawda, to czy następczyni tronu powinna o niej opowiadać? Otóż nie powinna! Bo tego wymaga racja stanu. Tego wymaga dobro królestwa. Pozbawienie narodu wiary w uznanego bohatera, to tak jak wytrącenie broni z ręki żołnierza. Dlatego proszę zebranych tutaj, wielce czcigodnych, dostojnych panów o zachowaniu tego co tu słyszeli w tajemnicy. Ta sprawa nie może się rozejść.

Bestistus umilkł na chwilę by sprawdzić wrażenie jakie wywarły jego słowa. Ministrowie skwapliwie kiwali głowami.

– W dalszym ciągu jednak pozostaje do omówienia sprawa naszej dziedziczki. Raz jeszcze pytam: Czy dziecko króla może się tak zachowywać? Otóż nie! Nie morze! Więc czemu się tak zachowuje? Być morze istnieje dość proste wyjaśnienie tej zagadki. Kilkanaście lat temu nasz król, wraz ze swoją świtą był na polowaniu. Natknęli się na dziwnego wilka, który zagryzł jednego z łowców. Tropiąc zwierzę dotarli do wilczej jamy. Czy tak było ministrze Bendrys? Czy może jesteś już zbyt stary aby to pamiętać?

Stary generał wpatrywał się w Bestistusa. Skinieniem głowy potwierdził słowa kapłana.

– Pamiętam to polowanie. W wilczej jamie było ludzkie niemowlę...

Generał urwał nagle swoją wypowiedź. Nie był pewny intencji Bestistusa. Zmieszany spojrzał na króla. Być może zrozumiał, że tym razem to on powiedział o kilka słów za dużo. Opuścił głowę i utkwiał wzrok w powierzchni stołu, którą miał przed sobą.

– Ano właśnie!

Bestistus tryumfował. Był pewny swego. Miał w ręku wystarczająco dużo atutów. Być może wciąż jeszcze istniała szansa, aby osiągnąć znacznie więcej niż sobie zaplanował. Już poważnie podkopał pozycję księżniczki, a był to dopiero początek. Nie miał żadnych wątpliwości że Andarandis dotkliwie odczuje siłę tego ciosu. Raz jeszcze z naciskiem powtórzył wypowiedziane już raz słowa.

– Ano właśnie. W wilczej jamie było ludzkie niemowlę. Nikt nie wie co to było za dziecko, nikt się do tej znajdy nie przyznał, nikt jej nie szukał. Król zabrał to dziecko na zamek. Może dlatego, że sam spodziewał się lada dzień zostać ojcem. Jego żona miała wkrótce rodzić. Zapewne wielu z was pamięta że królowa zmarła przy porodzie. Zmarła też znajda z wilczej nory.

Bestistus szedł przez salę z założonymi do tyłu rękoma. Znów znalazł się przed siedzącą za stołem u boku ojca księżniczką. Ponownie pokazał im plecy i po raz kolejny omiół wzrokiem salę. Nie uszło jego uwagi że pod ścianami sali obrad stali już gwardziści a kolejni żołnierze wchodzili ukradkiem przez uchylone drzwi.

– Na szczęście przeżył królewski potomek. Królowa urodziła córkę. Tylko czy aby na pewno ta dziewczyna jest dzieckiem wydanym na świat przez zmarłą królową Perrunu?

Mówiąc to Bestistus obrócił się gwałtownie na pięcie i wyciągniętym ramieniem wycelował w księżniczkę.

– Zmarła królowa i zmarła znajda. A co jeśli znajda przeżyła? A co jeśli ktoś podmienił dzieci? Król mógł nawet o niczym nie wiedzieć, był zrozpaczony po śmierci żony, być może ktoś postanowił mu oszczędzić kolejnego cierpienia. A może właśnie sam król w akcie desperacji i rozpaczcy postanowił pozostawić przy sobie znajdę z lasu. Osobiście jestem skłonny twierdzić że był to ktoś z otoczenia króla, niepokoi mnie tylko fakt, że zmarła królowa i zmarła znajda zostały pochowane w jednym grobowcu, w królewskim grobowcu. Czymże znajda z lasu, zasłużyła sobie na taki honor, na taki pochówek?

Na sali panowała niczym niezmacona cisza. Bestistus znowu ruszył powłóczystym, powolnym krokiem wzdłuż stołu obrad, ze złożonymi z tyłu rękoma.

– A czy pamiętacie zachowanie naszej małej księżniczki? Pamiętanie jak ganiała po podwórzu koty? Zachowywała się bardziej jak polujące wilcze szczenię niż jak ludzkie dziecko.

– Bredzisz człowieku! – Oświadczył generał Bendrys wzburzonym głosem i zaraz dodał:

– Ty na pewno tego nie pamiętasz, a to z tej prostej przyczyny że cię tu wtedy nie było. Jak już zauważyłeś

jestem stary, ale sporo pamiętam. Jesteś w Perrunie zaledwie od dwóch lat, a próbujesz nam opowiadać co się tutaj wydarzyło? A gdybyś nie wiedział, to większość dzieci zachowuje się w taki właśnie sposób. Ba, czasami można nawet zobaczyć malca nadmuchującego żabę. Ciekawe, w jakiej to dziurze takiego zucha znaleźli. Sam bawiłem się z księżniczką w polowania na koty i żadnego wilczego zachowania w tym nie zauważyłem. Może jeszcze nam powiesz, że widziałeś jak kowal przycinał naszej księżniczce kły i pazury? A morze widziałeś jak wyje do księżycy? Bredzisz człowieku, Bredzisz!

Kilka osób parsknęło śmiechem. Bestistus nie spodziewał się tego ataku ze strony poniżonego zaledwie przed chwilą generała. Nie mógł dopuścić aby sprawa wymknęła mu się z rąk. Rzucił ukradkowe spojrzenie na króla. Jakiś gwardzista szeptał coś władcy do ucha.

– Proszę, proszę. Nasz minister obrony, naczelny wódz wojsk Perrunu raczy sobie żartować. Ale czy to kogoś śmieszy? Czy ktoś jeszcze uważa że sprawa jest śmieszna?

Król Andarandis podniósł się z miejsca.

– Czy wnosisz Bestistusie pod głosowanie wnioszek o śmieszności sprawy?

Nieco zbity z tropu kapłan wymamrotał pod nosem:

– Ee, no nie, oczywiście że nie.

Król wykorzystał moment zawahania kapłana i wchodząc mu w słowo oświadczył;

– W takim razie zamykam dzisiejsze posiedzenie rady.

– Protestuję – Wrzasnął Bestistus. Widać było że jest wściekły. – Nie możesz!

– Ależ mogę Bestistusie. Złożyłeś jedynie wniosek o mianowanie generała Olena dowódcą obrony. Wniosek oddalam, ponieważ jest on bezpodstawny. Nasze armie wysłane na wschód właśnie wracają. Wraca też gwardia, więc domyślam się, że wcale nie została pobita, wraca również kapitan Ax, który jest dowódcą garnizonu. Nie ma więc potrzeby aby cokolwiek zmieniać. Nie tym razem. Dzisiejsze obrady uważam za zamknięte. Kolejne posiedzenie rady zwołuję na jutro, bo pewnie wszyscy ciekawi jesteście nowin ze wschodu. Murren też zapowiedział swoje przybycie i chyba również on, ma dla nas jakieś nowiny.

Na sali zapanowało nagłe ożywienie. Wszyscy chcieli wyjść naprzeciw powracającego wojska. Melodia korzystając z zamieszania wymknęła się chyłkiem do swojej komnaty.

* * *

Widać już było mury miasta, lecz nikt jakoś nie cieszył się z powrotu. Czy miało jakieś znaczenie gdzie umrzeć? Patrząc na miasto wiedzieli, że dni Divy są policzone. Nie było na świecie twierdzy, która była by zdolna oprzeć się takiemu wrogowi. Najeźdźcy nie musieli nawet atakować, wystarczy że zablokują miasto i cierpliwie poczekają. Diva już była przeludniona, a wciąż napływali pod ochronę murów kolejni

uchodźcy. Na jak długo starczy z takim wysiłkiem zebranych plonów?

Wykonali swoje zadanie. Przez 4 tygodnie powstrzymywali wroga na linii rzeki. Od czasu bitwy na bagnach jeszcze dwukrotnie udaremнили wrogowi przeprawę. W końcu i tak agresor sforsował rzekę. Nie byli w stanie upilnować brzegu na całej jego długości. Pocięgą było tylko to, że minie trochę czasu zanim przeciwnik wróci na właściwy kierunek marszu. Dlatego też kapitan poganiał swoich ludzi. Musieli być pierwsi. Gdy spoglądał na ich zmęczone twarze, wiedział co myślą. Toczyli beznadziejną wojnę, walczyli z wrogiem, którego pokonać nie mogli. Dotąd krzepiła ich nadzieja powrotu do miasta. Mieli gdzie się schronić. Lecz czy mury Divy okażą się dostateczną obroną. Stąd nie ma już ucieczki. Przez ich powrót do miasta, wróg ma wszystkie wojska perruńskie w jednym miejscu. Czy aby sami nie pchają się w pułapkę bez wyjścia? Na otwartym terenie, zawsze była szansa, zawsze można było gdzieś się wycofać, chyba że zostali by okrążeni. Prawdopodobnie kiedyś by to nastąpiło, przeciwnik był dostatecznie liczny.

Ax z dezaprobatą kręcił głową. Mieszkańcy miasta nie mogą widzieć żołnierzy w takim stanie. Zmęczonych, przybitych, nie wierzących w zwycięstwo. Tak wygląda armia, która została pobita, a oni nie zostali pokonani. Musiał coś zrobić, musiał przywrócić żołnierzom wiarę.

– Gwardia stać! Zagiąć skrzydła! Kolumna 1,2 i Gimur –

front, kolumna 3,4 – prawe, kolumna 5,6 lewe! Ciasny szyk!

Ponieważ gwardia rozciągnięta była na znacznym odcinku drogi, minęło trochę czasu, zanim żołnierze wykonali rozkaz. Na drodze zostały tylko wozy. Ustawienie gwardii przypominało teraz literę U, tak jak stół w sali narad w królewskim zamku.

Ax czekał cierpliwie aż oficerowie zgłoszą wykonanie rozkazu.

– Żołnierze! Przyjaciela! Oto nasz dom!

Mówiąc to Ax wyciągnął ramię w kierunku miasta.

– Dzielnie stawaliście w jego obronie! Jestem z was dumny. Nie zawiedliście! Ale to dopiero początek! Wojna o Perrun rozegra się tutaj. Wróg jest od nas stokroć liczniejszy, ale czy to znaczy że ma zwyciężyć? Są od nas silniejsi i szybsi. Ale czy to znaczy że mają zwyciężyć? Są także zawzięci i nieustępliwi, ale czy to znaczy że mają zwyciężyć? Jeśli tak, to dlaczego jeszcze nas nie pobili? A wręcz przeciwnie! To my przetrzepaliśmy im skórę. Nie pokonali nas na równinie Gimuru! Nie pokonali na brzegu Rimby! Owszem przeszli rzekę ale tylko dlatego że nas tam nie było! Nie bójcie się cyfr. Przewaga liczebna niczego jeszcze nie przesądza! Nie bójcie się siły, bo spryt jest ważniejszy! Nie bójcie się zawziętości, bo ważniejszy jest rozsądek. To prawda że są liczni. Nie można ich pokonać w jednej bitwie. Ale stoczmy tych bitew tyle, ile będzie trzeba! Żaden wróg nie ujdzie z życiem z naszej ziemi! Macie w ręku broń i potraficie jej

użyć! Czy żołnierzom króla Andarandisa brakuje odwagi? A może determinacji? Czy chcecie zwyciężyć?

Ax zamilkł, powiódł wzrokiem po równo stojących szeregach.

– Nie słyszę! Pytam więc raz jeszcze, czy chcecie zwyciężyć?

Tym razem nie musiał czekać na odpowiedź. Gromki okrzyk rozległ się niemal natychmiast.

– Żeby zwyciężyć – trzeba tego chcieć. Trzeba w to wierzyć! Jeżeli stajecie do walki bez wiary, to jesteście pokonani zanim się jeszcze ona zacznie. Po co stawać jeśli nie wierzy się w zwycięstwo. Wierzycie w zwycięstw?

Począł aż przebrzmiały ostatnie okrzyki.

– A wiecie dlaczego wygramy? Bo walczymy w słusznej sprawie. Bo bronimy naszej ziemi, naszego domu. Nie będziemy się więcej cofać! Poczekamy na wroga tutaj! Obronimy nasze miasto. Nie uczyłem was umierać! Uczyłem was zwyciężać! Macie żyć i macie zwyciężać, bo Perrun was potrzebuje! Wróg już wie że niepokonani jesteście. Na nic zdała się jego liczebność, na nic zdała się jego siła. Nie pokonał was! I nie pokona! Te mury spłyną naszą krwią, ale z krwi naszych wrogów powstanie morze pod murami Divy! Obronimy to miasto! Jesteście ze mną ?

Zanim umilkły ostatnie okrzyki, Ax wydobył z pochwy miecz. Trzymał broń nad głową w wyciągniętej ręce.

– Zwyciężymy?

Głośny okrzyk entuzjazmu przebiegł przez szeregi gwardii. Również żołnierze dobyli broni i trzymali ją w górze. Kiedy gwar nieco ucichł Ax opuścił miecz i wzniosł go ponownie. Z całych sił krzyknął:

– Niepokonani!

– Niepokonani! – Odpowiedzieli chórem żołnierze.

– Perrun!

– Perrun!

– Wracajmy do domu.

Ax ruszył w kierunku miasta. Głównią trzymanego w ręku miecza uderzył w swój stalowy pancerz na piersi. W trakcie pierwszego kroku wziął zamach i przy drugim kroku znowu uderzył. Natychmiast podchwycili to najbliżsi żołnierze, zaraz po nich następni. Co drugi krok, głośnie uderzenie stali rozlegało się w szeregach maszerującej gwardii. Wracali do domu wybijając mieczami rytm.

Aicha nie mogła oderwać oczu od kapitana. Postanowiła przystać do wojsk Perrunu tylko dlatego, ponieważ sądziła, że w ten sposób, może bardziej najeźdźcy zaszkodzić. Pragnęła zemsty, lecz była rozsądna. Walka u boku Perruńczyków miała o wiele większy sens niż przeprowadzenie jednego samobójczego uderzenia. Wciąż żyli i wciąż trzymali w ręku broń. Po raz pierwszy jednak od czasu rozpoczęcia się inwazji, uwierzyła w sens tej walki. Po raz pierwszy wierzyła w zwycięstwo.

Melodia siedziała otępiała przy stole w swojej komnacie. Był już schyłek dnia, i chociaż na dworze wciąż jeszcze świeciło słońce, to w pokoju panował już półmrok. Wciąż jednak było zbyt jasno. Dziewczyna najchętniej skryłaby się w ciemnościach, tak żeby nikt nie mógł jej odnaleźć. Normalnie pędziłaby już na spotkanie powracającej gwardii, ale od tej pory nic już nie mogło być takie jak dawniej. Pewne wydarzenia zaczynały powoli do siebie pasować. To dlatego słyszała mowę wilków. To dlatego biały wilk nazwał ją siostrą. Była znajdą z wilczej nory. Jakże często w dzieciństwie widziała jak ojcowie tulili swoje dzieci, jak bardzo zazdrościła tym dzieciom. Jej – ojciec nigdy tak nie tulił... Wiedziała już dlaczego. Wszystko to, co do tej pory było ważne, wszystko w co tak mocno wierzyła, przestało nagle mieć sens. To nie był jej świat. To nawet nie było jej życie. Przypadkiem znalazła się na nie swoim miejscu... Musi odejść... Kim naprawdę była? Kim byli jej prawdziwi rodzice? Skąd wzięła się w wilczej jamie? Zadawała sobie te pytania, lecz tak naprawdę wcale nie chciała poznać odpowiedzi. Bała się, że to co może odkryć, będzie zbyt przerażające aby mogła z tym żyć. Być może jej matka była leśną wiedźmą, które miały zwyczaj przedłużać swoje życie kradnąc je kolejnym swoim córkom, a może jej rodzice byli zwyrodniałymi czarodziejami i oddali ją wilkom na przykład

w formie zapłaty za usługi. Tym razem dziewczynie nie zależało na poznaniu prawdy. Właściwie na niczym jej już nie zależało. Najchętniej zapadła by się teraz pod ziemię... Może rzeczywiście było by to w tym momencie najlepsze rozwiązanie. Sięgnęła do cholewki buta i wydobyła stamtąd sztylet. Nazywał się Świst, od charakterystycznego dźwięku, który wydawał podczas rzutu. Był doskonale wyważony. Nie ważne było jak się go rzuci i tak, zawsze wbijał się w cel. To była doskonała broń, dostała go od ojca na urodziny i zawsze miała przy sobie. Położyła Świst przed sobą na stole i wpatrywała się w ostrze. Wystarczy jedno pchnięcie...

Wiedziała że musi odejść, musi opuścić pałac, może nawet Perrun. Tylko dokąd ma iść? Jej przeszłość będzie ją ścigać wszędzie gdziekolwiek się uda. Nigdzie nie znajdzie azylu przed prawdą, którą właśnie poznała. Jedno pchnięcie i to wszystko się skończy... Czowała jak wali jej serce. Czowała każde mocne uderzenie. Każde kolejne było już niepotrzebne i niechciane. Jedno pchnięcie i przerwie to... Przerwie ten bezsensowny łomot... Jedno pchnięcie... Łzy same napłynęły jej do oczu. Zaciśnęła zęby. Drżącą ręką sięgnęła po broń. W gardle czuła jakiś dziwny ucisk, łzy spływały po policzkach, mocząc wysłużony blat stołu. Otarła rękawem nos. Przecież jest silna. Stać ją na to. Powoli odwróciła ostrze w swoim kierunku. Całą objętością płuc zaczerpnęła powietrza. Jedno pchnięcie i wszystko się skończy...

Ax mijał właśnie wschodnią bramę. Wydał już wszystkie niezbędne rozkazy. Owacyjnie witani żołnierze maszerowali do koszar. Kapitan stanął z boku, kiedy pojawiła się kolumna Mandersa, Ax skinął głową na młodego oficera.

– Idę na piwo, jeśli masz ochotę, to zapraszam.

– Oczywiście kapitanie, ale co z żołnierzami?

– Niech odpoczną do jutra, na dzisiaj nic nie planujemy, wydałem już odpowiednie dyspozycje. Czyżby do ciebie nie dotarły?

– Oczywiście że dotarły kapitanie, tak tylko pytam...

– To nie gadaj tyle, idziemy się napić, chyba że wolisz popijawę ze swoimi chłopakami, jeśli tak – to rozumiem.

– Nie, nie kapitanie. Chętnie przyjmę zaproszenie.

– No to idziemy do Słodkiej Mery, jestem pewien że zdecydowania nas tam brakuje.

Nagle jak z pod ziemi, przed oficerami pojawiła się Aicha.

– A co z nami kapitanie?

Ax drapiąc się ręką w czubek głowy, wzniósł wzrok na porucznik Aichę.

– Nie jestem pewien o czym mówisz poruczniku... Ale z pewnością będzie tak jak w każdej bajce, będziemy żyć długo i szczęśliwie, tylko jeszcze nie wiem czy razem czy osobno... Muszę to jeszcze przemyśleć, ale chyba nie zaprosiłem cię na noc do mojej kwatery?

Aicha figlarnie przekrzywiła głowę:

– Jak się za bardzo zadziera nosa, to się nie widzi co jest pod stopami. Pytam o żołnierzy Gimuru.

– Dzisiejszą noc spędzicie w naszych koszarach, jest tam wystarczająco dużo miejsca, kwatermistrz już otrzymał odpowiednie rozkazy. Jutro załatwię wam audiencję u króla. Reszta należeć będzie do ciebie. Idziemy z Mandersem do Słodkiej Mery, jeśli masz ochotę to zapraszam.

– I co? Mam wam podpowiadać jak to się robi? Czy chcecie mieć przyzwoitkę?

– Słodka Mery to nie żadna dziewczka, tylko karczma, idziemy na piwo.

– A jeśli tak, to chętnie się przyłączę... A czy mogę zabrać jednego z moich sierżantów?

– Oczywiście. Wołaj swoją przyzwoitkę i idziemy, bo szkoda czasu.

W Słodkiej Mery było dość tłoczno. Nie było w tym zresztą nic dziwnego, miasto roiło się od uchodźców. Kilku grajków w kącie izby stroiło swoje instrumenty. Wśród przybyłych tu gości można było zauważyć kilku szlachciców, byli tu także żołnierze, rzemieślnicy, ale przede wszystkim okoliczni farmerzy. Ludzie siedzieli na ławach pod ścianami i przy masywnych ustawionych w izbie stołach. Panował tutaj normalny karczemny harmider. Przez małe okienka wpadało do środka nie zbyt wiele światła, toteż w naściennych kinkietach i na stołach paliły się świece. Czarne okopcone

ściany nie wyglądały może zbyt estetycznie, ale kto by na takie głupstwa zwracał uwagę. Kilku ludzi wstało od stojącego pod ścianą stołu. Ax trącił łokciem Aichę i wskazał stół:

– Wygląda na to że mamy szczęście, zajmijcie stół a ja z Mandersem, zorganizuję jakiś dzban i żarcie, bo karczmarz urzęduje w sąsiedniej izbie i pewnie najeżdźcy będą tu wcześniej niż on.

Aicha uśmiechnęła się i skinęła głową, razem z sierżantem poszła w stronę stołu, zaś obaj perruńscy oficerowie znikli przechodząc przez otwarte drzwi do sąsiedniej izby. Było tutaj jeszcze bardziej tłoczno niż w pierwszym pomieszczeniu. Wielu mężczyzn stało bezpośrednio przy barze, tak że trudno było się tam dopchać. Od czego jednak są łokcie? Dzięki ich intensywnej pracy, wkrótce stanęli przy barze.

– Witaj Bernardzie. Masz może jeszcze to dobre piwo z południa?

– Oo, pan kapitan! Dla naszych najlepszych żołnierzy zawsze się dzbanek znajdzie.

Karczmarz uśmiechnął się szeroko i zaczął rozglądać po izbie:

– Keri! Keri! Chodź tu szybko!

Znów zwrócił się w stronę oficerów:

– Nigdy nie ma tej dziewczki pod ręką gdy akurat jest potrzebna.

Nie była to chyba do końca prawda, bo dziewczyna

zjawiała się niemal natychmiast. Bernard przyciągnął ją do siebie i przez chwilę coś szeptał do ucha. Dziewczyna skinęła głową i znikła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze.

- Chcielibyśmy jeszcze coś do jedzenia Bernardzie.
- Oczywiście kapitanie, ale mam tylko gulasz i kaszę.
- Gulasz i kaszę? Niebo w gębie! Dawaj 4 porcje.

Kiedy Keri wróciła z pełnym dzbanem, karczmarz wydał jej kolejne polecenie, dziewczyna ponownie podreptała na zaplecze.

- Od dawna taki ruch?
- Od dawna kapitanie, ciężko nastarczyć a wolnych łóżek to już od tygodnia nie mam, żeby tylko karawana zdążyła przybyć, bo już mi się gorzałka kończy a piwa i wina też za wiele nie mam.

- No to chyba nie powinienes narzekać.
- Toteż nie narzekam.

Zjawiała się Keri niosąc na tacy cztery miski kaszy z gulaszem. Ax rzucił na ladę kilka miedziaków. Bernard wyciągnął rękę po monety:

- Przepraszam kapitanie, ale to nie wystarczy...
- Jak to nie wystarczy? Chyba się nie pomyliłem...
- Nie, nie, ale ceny poszły w górę...

Czując na sobie badawczy wzrok żołnierzy, karczmarz dodał jeszcze nieco drżącym głosem:

- W całym mieście jest drożyzna a u mnie i tak jest najtaniej...

Ax rzucił na stół kolejne monety, cały czas nie spuszczał z karczmarza wzroku.

– Akurat po tobie Bernardzie nie spodziewałem się takiej pazerności... Oblężenie jeszcze się nawet nie zaczęło a już podnosicie ceny? Bogaciecie się kosztem nieszczęścia królestwa! Nie podoba mi się to...

Karczmarz położył dłoń na monetach, wymamrotał jeszcze tylko:

– Takie czasy kapitanie, takie czasy...

Ax nic nie odpowiedział. Zabrał dzban i 4 kufle i ruszył w kierunku przejścia do pierwszej izby. Coś się tam działo. Wszyscy stali pod ścianami, ze środka sali dobiegały odgłosy walki. Ax z trudem przepychał się przez stojącą ciżbę, chciał jak najszybciej dotrzeć do swojego stołu. Kiedy wreszcie udało mu się przebić na otwarty teren, ujrzał Aichę walczącą z czterema żołnierzami szóstej armii. Widział jak dziewczyna robi unik i wystawia nogę, szarżujący na nią żołnierz runął jak długi, nim upadł na ziemię Aicha zdążyła jeszcze zdzielić go płazem miecza przez pośladki. Błyskawicznie obróciła się na pięcie, gotowa na przyjęcie kolejnego napastnika. Również też żołnierz miał pecha, znalazł się zbyt blisko dziewczyny. Ta błyskawicznie zakręciła głową a jej długie, cieniutkie z wplecionymi kulkami warkoczyki, uderzyły żołnierza w twarz, znacząc na niej krwawe pręgi. Zaskoczony żołnierz na chwilę znieruchomiał, wystarczyło to wojownicze aby precyzyjnym kopnięciem wytrącić mu

broń z ręki, w następnym momencie żołnierz był już na ziemi.

– Dobra jest.

Ax rzucił porucznikowi wymowne spojrzenie i pokręcił głową.

– Efekciara i tyle, ale skończmy to zanim komuś stanie się krzywda.

Pośpiesznie doszedł do stołu gdzie postawił drogocenny dzban i z wydobytym ostrzem ruszył w kierunku walczących.

– Dość tego!

Staął pomiędzy dziewczyną a żołnierzami. Ci rozpoznali go natychmiast.

– To Gimurka kapitanie!

– No i co z tego?

Jeden z żołnierzy wysunął się naprzód.

– Oni zabili mojego brata!

Pod Axem ugięły się nogi.

– Co? Kiedy?

– Podczas ostatniej wojny z Gimurem.

Żołnierz patrzył na Aichę nienawistnym wzrokiem.

– Chłopie przecież to było rok temu, teraz żołnierze Gimuru są naszymi sprzymierzeńcami. Król wysłał poselstwo po pomoc do wszystkich sąsiednich królestw. Gimurowie już tu są a wy ich tak witacie? Wynoście się stąd zanim każę was zamknąć za wszczynanie burd w mieście.

Żołnierze niechętnie schowali broń, pomogli pozbierać

się sponiewieranym przez Aichę kolegom i we czwórkę opuścili karczmę. Ax z przekąsem przekrzywił głowę:

– Siadajmy bo gulasz stygnie.

Zanim usiadł rozlał jeszcze piwo do czterech kufli a zwracając się do Aichy powiedział z przekąsem:

– A ty jak chcesz zdobyć życzliwość Perruńczyków, jeżeli okładasz żelazem po dupie ich żołnierzy?

– Sami zaczęli – Odburknęła wojowniczką a po chwili dodała jeszcze:

– A niby czym powinnam ich okładać?

Kapitan udał zakłopotanie.

– No nie wiem, nie wiem... Hm, a może okład z... No nie, nie wiem, ale taka wszędobylska dziewczyna na pewno coś wymyśli.

Aicha śmiejąc się, pokręciła głową. Patrząc figlarnie na Axa rzuciła od niechcenia:

– Pewnie miałeś dużo kobiet, kapitanie?

Zaintrygowany Manders zapomniał na chwilę o swoim talerzu, wpatrywał się bacznie w kapitana, który akurat w tym momencie wypchał sobie policzki kaszą.

– Opowiedz nam... Opowiedz kapitanie, tylko jedną historię

Aicha natychmiast poparła Mandersa:

– Właśnie kapitanie, prosimy opowiedz.

– Też chętnie posłucham.

Wtrącił się milczący dotąd gimurski sierżant. Manders

i Aicha również nie przerywali przymilnego nalegania. Ax przełknął wreszcie resztki kaszy, pociągnął z kufla spory łyk i zaczął swoją opowieść:

– Pamiętam, że było to po jakimś turnieju. Byłem wtedy początkującym wojownikiem, ale jakimś cudem udało mi się ten turniej wygrać. Stać mnie więc było na to, aby wynająć izbę w karczmie.

Manders odsunął talerz, Aicha usadowiła się wygodniej na krześle i wpatrywała w kapitana. Ax ciągnął dalej swoją historię:

– Zjadłem porządną wieczerze i już miałem pójść spać gdy ktoś zapukał do drzwi. To była kobieta. Domyślałem się że ma dla mnie jakąś robotę, bo często po turniejach trafiały się intratne zlecenia, więc zaprosiłem ją do środka. Głędziła coś o turnieju, o pięknej walce, o silnych i młodych mężczyznach. Wreszcie zrzuciła z ramion narzutkę czy jak to się tam nazywa i oświadczyła że strasznie u mnie gorąco...

Manders wpatrywał się w kapitana z szeroko otwartymi ustami:

– No, no i co?

– No to otworzyłem okno i drzwi do głównej sali żeby zrobić przeciąg.

– No i co? – Tym razem Aicha nie wytrzymała.

– No i nic. Wzięła swoją narzutkę, powiedziała idiota, i tyle ją widziałem. Żadnego zlecenia...

Parsknęli wszyscy troje, szczerym, nieskrępowanym

śmiechem. Tylko Ax zachował powagę co tylko dodatkowo jeszcze wzmogło wesołość pozostałych. Ax zauważył że Aicha ślicznie się śmieje, Kiedy się śmiała była jeszcze ładniejsza.

Muzykanci w rogu izby, nastroili wreszcie swoje instrumenty. Całą izbę wypełniła skoczna, porywająca muzyka. Aicha chwyciła Axa za rękę:

- Zatańczysz kapitanie?
- Co, ee ja?
- Ładnie grają, zatańczmy – nie ustępowała dziewczyna.
- Ale ja nie umiem...

Aicha ponownie parsknęła śmiechem (ślicznie się śmiała, robiły jej się na policzkach takie śmieszne, małe dołeczki) zaś Ax czuł że się czerwieni.

– To nic trudnego kapitanie, na pewno potrafisz, chodź, pokażę ci.

Dziewczyna szarpnęła Axa za rękę, podniósł się niechętnie ale ruszył za nią. Manders i sierżant mieli niezły ubaw obserwując jak Aicha uczy kapitana najprostszych kroków. Wkrótce do tańców przyłączyli się będący w karczmie goście.

Perruńskie armie wróciły do miasta a komendant garnizonu bawił się wesoło w karczmie, sytuacja więc nie mogła być aż taka groźna jak ją przedstawiano. Siedzący na ławie pod ścianą mężczyzna ani na moment nie spuszczał z oczu kapitana i jego towarzyszy. Kiedy wyszli na zewnątrz,

on również opuścił karczmę i podążył ich śladem.

* * *

Ktoś położył rękę na jej ramieniu. Jednocześnie usłyszała głos:

– Nie dziecko, nie możesz.

Powoli odwróciła głowę. Za jej plecami stał stary, przezroczysty elf. Nawet za bardzo jej to nie zdziwiło, bo czy jeszcze cokolwiek mogło ją dziwić? Nic nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i ponownie skoncentrowała wzrok na utrzymanym w ręku ostrzu.

– Nie możesz. Jesteś zbyt ważna. Jesteś jedyną nadzieją żyjących, chociaż nikt o tym jeszcze nie wie. Musisz zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem.

Pociągnęła tylko nosem.

– Nic nie muszę.

Elf zdjął rękę z jej ramienia, powoli okrążył stół i usiadł przy nim, naprzeciwko niej na krześle. Wpatrywał się w dziewczynę pełnym miłości i współczucia wzrokiem.

– Król Andarandis jest twoim prawdziwym ojcem a jego żona twoją prawdziwą matką. W twoich żyłach płynie jedynie czysta królewska krew. Korona Perrunu z racji pochodzenia prawnie ci się należy.

Melodia oderwała wreszcie wzrok od sztyletu, spojrzała na elfa i zapytała drwiącym głosem:

– A jest smok w tej bajce?

– Jest wystarczająco wiele demonów, a jeden z nich już próbował cię zabić.

– To szkoda że mu się nie udało...

– Posłuchaj dziecko... Mój czas jest bliski, więc słuchaj uważnie, bo nie będę dwa razy powtarzał. Prawdziwie jesteś królewskim dzieckiem. Jesteś również jedynym spadkobiercą pradawnej mocy elfów. Nie wiem ilu pra musiałbym użyć, ale jesteś też moją wnuczką. Elfia księżniczka, która została poślubiona przez króla Tyrjanusa była moją córką. Zostałem na świecie specjalnie dla ciebie, tylko po to, aby cię przygotować. Przeżyłem w uśpieniu tysiące lat, lecz moja moc jest już na wyczerpaniu. Zuub też o tobie wiedział i postanowił cię zgładzić, bo tylko ty mogłaś pokrzyżować jego plany. Nie wiedział jednak że było dwoje dzieci. Miałas siostrę bliźniaczkę. Zuub ją zabił. Zabił też twoją matkę. Dla ludzi nic nadzwyczajnego się nie stało. Królowa urodziła martwe dziecko i zmarła zaraz potem. Przejrzałem jego plany i ocaliłem cię przed śmiercią. Przeniosłem cię z łona twojej matki do wilczej nory. To prawda, że na świat wydała cię wilczyca, opiekowała się tobą, ssiałaś wilcze mleko, ale byłaś tam bezpieczna. Wróciłaś pod opiekę ojca tak szybko, jak to tylko było możliwe. Oszukaliśmy Zuuba. Jest przebiegły i podstępny, nie cofnie się przed niczym a tylko ty możesz go powstrzymać.

– Miałam siostrę?

Elf skinął głową.

– Tak. Miałas, ale tylko jedną z was mogłem ocalić. Król nie wiedział że adoptując znalezione niemowlę, bierze własną córkę.

– Dlaczego ja? Może to moją siostrę powinienes był ratować?

– Być może, zrobiłem to co mogłem zrobić i ufam, że mnie nie zawiedziesz. Mamy tylko ciebie.

– I niby co ja mam zrobić?

– Mówiłem ci co masz zrobić. Musisz go powstrzymać.

– Nawet nie wiem, kim jest ten twój Zuub.

– To demon, który chce zawładnąć światem i to nie jest mój Zuub.

– Jak mam tego dokonać?

Elf podniósł się z krzesła, ruszył powolnym krokiem wzdłuż stołu.

– Nie wiem dziecko. To twój czas i twoja walka. Sama musisz znaleźć sposób. Ja zrobiłem już wszystko co zrobić mogłem. Namaściłem cię, jesteś teraz Kar-Szi. Póki mogłem chroniłem ciebie i twoich przyjaciół. Udało mi się wyrwać wojownika Axa z objęć śmierci, wraca teraz do miasta na czele swoich żołnierzy, lecz moja moc już się wyczerpała. Od tej chwili musicie liczyć tylko na siebie. Nic więcej nie mogę uczynić. Teraz wszystko zależy od ciebie. Musisz być mądra, bo tylko tak sprostasz wyzwaniu. Musisz poznać co nie poznane, odkryć co nie odkryte, ujarzmić i wykorzystać posiadaną moc. Żałuję, że nie mogłem pokazać ci niczego

więcej. Resztkę posiadanej mocy poświęciłem na to spotkanie, przejście ze świata snu do świata żywych wcale nie jest łatwe, kiedyś z pewnością sama to odkryjesz. Teraz muszę odejść. Nie zobaczysz mnie więcej. Mój czas się wypełnił. Wierzę w ciebie dziecko. Bądź dzielna...

Starzec zniknął jej z oczu, znów znalazł się za jej plecami. Chwilę później znowu poczuła jego dłoń na swoim ramieniu. Położyła swoją dłoń na jego dłoni. Wierzyła mu, choć tak niewiele rozumiała. Odwróciła głowę by spojrzeć starcowi w oczy. Miała jeszcze tyle pytań...

Zamrugła powiekami, przez chwilę miała wrażenie że wzrok płata jej figle. To był jej ojciec. Król Andarandis trzymał rękę na jej ramieniu.

– Nie słuchaj bzdur tego nikczemnego kapłana. Nie przejmuj się tym całym jego gadaniem. Jesteś moim dzieckiem... Moją córką.

– Tak ojcze. Wiem. Zawsze nią byłam...

* * *

Lord Generał Olen przechadzał się nerwowo wzdłuż ściany, zastawionej regałami mieszczącymi bardzo stare i cenne woluminy, godne Przewodniczącego Rady Kościołów. Pracownia arcykapłana prezentowała się naprawdę znakomicie. Pradawne księgi nie stanowiły bynajmniej jedynej ozdoby. Sama komnata była bardzo obszerna. Mahoniowe regały ustawione były tylko pod jedną

ze ścian. Same zaś ściany wyłożone zostały białym, bardzo drogim marmurem, podobnie zresztą jak podłoga i sufit. Łączenia marmurowych bloków ścian zasłaniały delikatne złote listwy, tworząc bardzo oryginalny i ciekawy wzór. Obszerne mahoniowe biurko, za którym siedział Bestistus również wykończone było złotymi zdobieniami, podobnie zresztą jak wyściełane krzesła i stojące w koncie kufry. Złote były także kinkiety na ścianach, jak i stojący na biurku sześćcioramienny fantazyjnie wykonany świecznik. Całości obrazu dopełniały kunsztownie wykonane, złote klamki w drzwiach. Wszystko do siebie idealnie pasowało, tworząc wrażenie gustownego przepychu.

– Chyba niepotrzebnie się denerwujesz lordzie generale, a jeden z moich szpiegów, dosłownie przed chwilą, doniósł mi o pewnej słabości naszego, dzielnego kapitana. Ser Ax przywiódł ze sobą do Divy gimurską dziewczkę i bynajmniej nie jako brankę ale jako sojuszniczkę. Podobno nieźle włada mieczem.

– A niby w czym miałyby to nam pomóc?

Olen wcale nie wydawał się uspokojony wywoдем przyjaciela, sprawiał nawet wrażenie bardziej zdenerwowanego. Wciąż nerwowo, spacerował wzdłuż ściany.

– Oo, stwarza to dużo nowych możliwości. Łańcuch jest tak mocny jak mocne jest jego najsłabsze ogniwo, a kto wie, może właśnie odkryliśmy, które to ogniwo.

– E tam, zawracanie głowy. Muszę uciekać i to szybko. Pewnie ten przybłąda już rozmyśla jak by mnie aresztować.

– Aresztować? A za co?

– Za zdradę, ucieczkę w obliczu wroga, niewykonanie rozkazu, zabicie jego kuriera. Mówić dalej czy wystarczy?

– Och, spokojnie Olenie, Przecież nie ma przeciwko tobie żadnych dowodów. Przecież nie otrzymałeś od niego żadnych rozkazów, jego kurier nigdy do ciebie nie dotarł, pewnie najeźdźcy go zabili, a zawróciłeś ponieważ uznałeś to za najlepsze rozwiązanie i za swój święty obowiązek wobec bogów i korony.

Olen zatrzymał się gwałtownie i obrócił w stronę kapłana.

– Jeden z moich żołnierzy nie wrócił ze mną do Stolicy. Oddalił się, niby za potrzebą i nikt go już więcej nie widział.

– No to co z tego? Pewnie zdybali nieboraka w krzakach ze spuszczoneymi spodniami, albo coś mu się przytrafiło po drodze.

– Też tak myślałem, nikt go nie widział aż do dzisiaj. Wrócił razem z gwardią. Ten pies musiał o wszystkim donieść. Muszę uciekać...

Generał znów rozpoczął swoją nerwową przechadzkę, wzdłuż zastawionej regałami ściany.

Tymczasem Bestistus usadowił się wygodniej na wyściełanym krześle, jakby od niechcienia skubał brodę. Powoli cedząc słowa, zwrócił się do żołnierza.

– Nie możesz. Twoja ucieczka nic nam nie da. Musisz

zostać.

W lorda generała jakby piorun strzelił. Poczerwieniał na twarzy i wrzasnął.

– Co? Mam się dać zabić! Masz mnie za głupca?

– Nie podnoś na mnie głosu przyjacielu...

Bestistus wypowiedział te słowa z wyjątkową zjadliwością, kładąc szczególny nacisk na ostatnie, co sprawiło że krewki żołnierz natychmiast spuścił z tonu.

– Jeśli zostanę, aresztuje mnie. Jestem tego pewien...

– No i właśnie o to chodzi...

Wielki brat wciąż skubał od niechcenia brodę, lecz najwyraźniej myślami błądzić już gdzieś bardzo daleko. Olen ponownie się zatrzymał i zwrócił w stronę kapłana:

– Nie rozumiem Bestistusie...

– A co tu jest do rozumienia? Jeśli nie będziesz stawiał oporu i cię aresztują to musi być proces.

– Na którym zostanę uznany za winnego i skazany.

– Tak, ale wszystkiemu zaprzeczysz i powołasz się na prastare prawo krain. Zażadasz sądu miecza.

– Zabije mnie.

– Nie, nie zabije, bo nie ty będziesz walczył. Będziesz miał reprezentanta.

– Reprezentanta? W całym Perrunie nie ma nikogo, kto mógłby pokonać tego prostaka.

– A kto mówi że reprezentant będzie z Perrunu?

Wyraźnie zaniepokojony lord generał Olen podszedł do

arcykapłana.

– No nie powiem, brzmi dość interesująco, ale czy jesteś pewien swego człowieka? Kto to taki? Może go znam?

– Nie znasz Olenie. Mogę cię jednak zapewnić, że to będzie bardzo ekscytująca walka i będzie na co popatrzeć. Mamy szansę dorwać kapitana i nie wolno nam jej zmarnować.

– Ale czy jesteś pewien że twój człowiek da radę? Bo jeśli nie, to już po mnie...

– Och Olenie zasmucasz moje serce. Czyżbyś mi nie ufał?

– Oczywiście że ci ufam Bestistusie, ale zrozum, przecież tu idzie o moją głowę.

– Mylisz się Olenie, idzie o coś znacznie ważniejszego. Pozwól się aresztować i o nic się nie martw. Ja, wszystkim się zajmę. Upieczemy kilka pieczeni przy jednym ogniu. Ocalimy twoje życie i oczyścimy cię z zarzutów, pozbędziemy się Axa, a więc zwolni się stanowisko komendanta garnizonu. Będzie tylko jeden kandydat na to miejsce, chyba się domyślasz kto? Stawka jest zbyt wysoka, abyśmy mogli sobie pozwolić na przegraną. Zaufaj mi przyjacielu, a teraz odejdź proszę, bo mam jeszcze sporo spraw, którymi muszę się niezwłocznie zająć.

Olen nic nie odpowiedział, uklonił się nisko na pożegnanie i opuścił salę. Przewodniczący Rady Kościołów, Wielki Brat, Arcykapłan Bractwa Powszechnej Szczęśliwości Bestistus został sam. Uśmiechał się chytrze sam do siebie. Olen nic go nie obchodził, nic nie znaczył, stał się bezużyteczny, no

chyba że Ax rzeczywiście został by zabity. Wtedy ten stary dureń rzeczywiście może być jeszcze użyteczny, a jeśli nie, to trudno, zapłaci za swoją niekompetencję. Najważniejsze było to, że Ax będzie cierpiał. Nawet jeśli przeżyje, będzie cierpiał.

* * *

Jeszcze przed północą Ax był u króla. Gdy wrócił z karczmy, czekał już na niego królewski posłaniec. Marzenia o kąpieli i łóżku, musiały więc zostać przełożone na nieco późniejszy termin. Widocznie musiało się wydarzyć coś ważnego, skoro monarcha posłał po niego o tak późnej porze, bo z pewnością nie chodziło wyłącznie o raport z wyprawy.

– Dobrze cię widzieć, kapitanie.

Król wstał od biurka i szybkim krokiem ruszył na powitanie rycerza. Długo ścisnął podaną przez wojownika dłoń. W komnacie był jeszcze generał Bendrys, który również serdecznie przywitał kapitana. Król nie wyglądał najlepiej, gdyby nie czyste szaty, można by przypuszczać że również on maszerował od wielu dni z gwardzistami. Wydawał się być jakiś wymizerowany, czerwone, podkrążone oczy dobitnie świadczyły że monarcha sypia zdecydowanie za krótko.

– Dziękuję kapitanie za wszystko, czego już dokonałeś. Powiedz proszę, czy rzeczywiście mamy do czynienia z wrogiem, którego nie da się policzyć? Ilu ich jest?

Ax mógł jedynie wzruszyć ramionami, spuścił oczy, przecież nie wykonał zadania.

– Nie wiem Panie. Mnie nie udało się ich policzyć...

Król natychmiast dostrzegł zakłopotanie przyjaciela.

– Nie szkodzi kapitanie, sam ich sobie policzę jak staną pod murami. Kiedy ewentualnie możemy się ich spodziewać?

Ax ponownie wzruszył ramionami, nie wszystko potrafił przewidzieć. Wcześniej odniósł wrażenie, że wrogom się śpieszy, ale nad rzeką nabrał podejrzeń, że na coś muszą czekać, nie wiedział co powiedzieć.

– Myślę Panie, że to kwestia kilku dni, najdalej dwóch tygodni.

– W takim razie nie mamy zbyt wiele czasu, ale chyba jesteśmy gotowi.

Wojownik szczerze w tę gotowość wątpił, ale zachował dla siebie swoje myśli. Faktem jednak było, że nie mieli dużo czasu, a on sam również miał sprawę nie cierpiącą zwłoki, którą chciał załatwić jeszcze przed oblężeniem.

– Chcę cię prosić Panie o zgodę na aresztowanie generała Olena.

Król nie wydawał się być tą prośbą szczególnie zaskoczony, Zapytał tylko krótko:

– Co się stało?

– Dostał rozkaz dołączenia do gwardii i ataku na wroga, zabił mojego kuriera i uciekł zanim zaczęła się bitwa.

– A mnie powiedział że widząc klęskę twoją i Tora, uznał

że powinien czym prędzej wracać do miasta.

– Pewnie sądził że tak się właśnie stanie, ale się przeliczył. Czwarta armia rzeczywiście poniosła ciężkie straty, ale wygraliśmy tę bitwę, to było wielkie zwycięstwo. Sądzę że do tej pory, wróg stracił jakieś 200 tysięcy żołnierzy.

Król aż gwizdnął.

– To skąd się ta szarańcza wzięła skoro tylu ich jeszcze zostało?

Ax znowu pokręcił głową.

– Nie wiem Panie, ale co z Olenem?

– Oczywiście aresztuj go. Ma to poniekąd związek ze sprawą, w której cię wezwałem. Bestistus znowu szaleje. Pewnie jeszcze nie wiesz że chciał nominacji Olena na twoje miejsce?

– Dobrze że nie domaga się jeszcze korony Perrunu...

Ax usiłował ironizować całe zajście, lecz król najwyraźniej nie miał ochoty na żarty.

– Wcale nie jestem tego taki pewien kapitanie.

Wojownik z niedowierzaniem spojrzał na króla.

– Nie rozumiem Panie.

Monarcha westchnął głęboko, przez dłuższą chwilę patrzył na żołnierza.

– Próbuje podkopać prawo Melodii do korony... – Milczał dłuższą chwilę zanim ponownie podjął temat.

– Wyraża głośno wątpliwości, czy Melodia jest aby na pewno moją córką. Pamiętasz jak opowiadałem ci kiedyś

historię jej imienia?

Ax skinął głową. Doskonale pamiętał opowieść o dziecku wyciągniętym z wilczej jamy i o muzyce, którą słyszeli przybyli tam ludzie.

– Otóż Bestistus ośmiela się twierdzić że Melodia nie jest moją córką, tylko znajdą z wilczej nory.

Ax stał przez chwilę jak wryty. Nie wiedzieć czemu przypomniła mu się rozmowa z nadwornym czarodziejem Murrenem (o ile oczywiście można to było nazwać rozmową). Murren zadał wtedy Axowi absurdalne pytanie: czy pochowałby w jednym grobie zwłoki drogiej sobie osoby i obcego trupa. Ax nie pamiętał zbyt dokładnie tego pytania, ponieważ wtedy wydało mu się ono wyjątkowo głupie i pozbawione jakiegokolwiek sensu. Teraz jednak zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem czarownik nie chciał mu wtedy powiedzieć, czegoś bardzo ważnego.

– Melodia jest i zawsze była moją córką.

Andarandis wypowiedział te słowa z taką mocą i przekonaniem, że Ax poczuł się przez chwilę tak, jakby zamierzał zdradzić ich przyjaźń. Król powiedział jeszcze z naciskiem:

– I zawsze nią będzie.

– W dalszym ciągu nie wiem Panie na czym polega problem.

– Widzisz kapitanie, Bestistus cały czas zyskuje na znaczeniu, podczas twojej nieobecności zastał

przewodniczącym Rady Kościołów. Obawiam się, że spora część moich poddanych jest skłonna mu uwierzyć. Tym bardziej, że znaleźliśmy się w dość kłopotliwej sytuacji, a ludzie pójdą za tym, kto im więcej obieca. Bestistus obiecuje im ratunek. Mam wrażenie że arcykapłan szuka kozła ofiarnego, już próbował zrobić swojego człowieka naczelnym wodzem. Jeśli rada uznałaby jego racje i odebrała Melodii prawo do korony, to po mojej śmierci, musiałyby nastąpić wybory na nowego króla, nie mam pojęcia, co mogłoby się wtedy wydarzyć...

– W takim razie koronujemy księżniczkę już teraz.

Zarówno Król jak i stary generał Bendrys wydawali się całkowicie zaskoczeni propozycją wojownika. Widząc to Ax zaczął tłumaczyć:

– Jesteśmy w przededniu wojny, król może poleć, a królestwo nie może sobie pozwolić na jakąkolwiek anarchię w tym czasie. Dlatego też koronacja księżniczki przed rozpoczęciem oblężenia jest jak najbardziej uzasadniona. Władzę sprawuję dotychczasowy władca, lecz gdyby coś mu się stało, to natychmiast Perrun ma nowego króla, który od razu może przejąć rządy. To chyba ma sens?

Król uśmiechnął się znacząco

– Chyba ma.

Stary generał również wydawał się być zadowolony takim rozwiązaniem, więc Ax dodał jeszcze:

– Tym bardziej że w mieście jest w tej chwili większość

lordów. Księżniczka założy koronę, przyjmie od lordów przysięgę wierności, poddani złożą ukłon i po sprawie. Zresztą sam Bestistus też będzie musiał złożyć przysięgę, albo aresztujemy go za zdradę. Reszta Lordów nie będzie wtedy miała innej możliwości jak tylko przybyć do Divy i złożyć hołd nowej królowej.

Uśmiechnięty Andarandis kiwał z aprobatą głową, zwrócił się jeszcze do Bendrysa:

– Co myślisz generale? Chyba wszystko będzie zgodnie z perruńskim prawem, chociaż takiego przypadku, jeszcze nie było.

Uśmiechnięty stary minister, odrzekł dyplomatycznie:

– No to najwyższy czas aby taki przypadek miał miejsce.

Król ponownie zwrócił się do Axa:

– Dziękuję przyjacielu, bardzo cenię twoją pomoc.

– W takim razie Panie chciałbym cię jeszcze o coś prosić.

Uśmiechnięty ról założył ręce na piersi, z przekąsem przekrzywił głowę.

– Słucham kapitanie.

– Chciałem prosić o audiencję dla gimurskiego porucznika, który przybył tutaj ze mną wraz z trzema tysiącami wojska. Już walczyli u naszego boku.

– Dobry żołnierz?

Ax zmarszczył czoło, po krótkiej chwili zastanowienia skinął głową.

– Dobry.

– Załatwione, jutro w czasie rady udzielę audiencji. Potrzebujemy każdego żołnierza.

* * *

W sali obrad panował ożywiony gwar. Posiedzenie rady jeszcze się nie zaczęło, lecz wszyscy byli już obecni. Ciekawi byli nowin przyniesionych przez wracających ze wschodu żołnierzy. Mało kto zwrócił uwagę na zwiększoną liczbę pełniących służbę gwardzistów. Wreszcie woźny uderzył w gong. Przez szeroko otwarte drzwi, do sali obrad, wmaszerowali gwardziści, pełniący w tym dniu służbę w przybocznej straży króla. Chwilę potem wszedł Andarandis, tuż za nim księżniczka Melodia, nadworny czarodziej Murren i dowódca garnizonu kapitan ser Ax. Wszyscy członkowie rady natychmiast zajęli swoje miejsca. Król podziękował zebrany za przybycie, następnie poprosił kapitana Axa o złożenie raportu z przebiegu wschodniej kampanii. Ludzie słuchali z zapartym tchem o pierwszym starciu na równinie Gimuru, o zniszczeniu mostu na Rimbie na głównym szlaku wschodnim, o bitwie na bagnach i kilku pomniejszych potyczkach podczas obrony zachodniego brzegu rzeki. Wreszcie Ax zakończył swoje sprawozdanie.

– Całkowite straty naszych wojsk to 4293 zabitych, całkowite straty wroga szacuję na ok. 200 tysięcy. Mówię około ponieważ nie wiem ilu zginęło w płomieniach i ilu utonęło w bagnie i w rzece. Myślę że ich straty mogą być

nawet nieco wyższe.

– Są wyższe.

Wszyscy spojrzeli na Murrena, gdyż to właśnie on wypowiedział te słowa, lecz czarownik nie miał zamiaru mówić niczego więcej. Ax ponownie zabrał głos.

– Wraz z nami przybyli do Divy gimurscy żołnierze. Walczyli już u naszego boku i mogę zaświadczyć o ich wartości i intencjach. W obecności Wysokiej Rady proszę więc Waszą Wysokość o udzielenie audiencji ich delegacji.

Monarcha skinął głową.

– Niech wejdą!

Otworzyły się jedne z bocznych drzwi, przez które wkroczyła Aicha z drużyną żołnierzy. Pośpiesznie i sprawnie sformowali właściwy szyk. Umundurowanie każdego z nich, było już w idealnym stanie, stalowe pancerze odzyskały swój blask a skórzane pasy połysk. Prezentowali się znakomicie. Doprowadzenie ekwipunku do takiego stanu, w ciągu zaledwie jednej nocy, musiało kosztować Gimurczyków sporo trudu.. Ax domyślał się, że Aichy bardzo zależało na zrobieniu jak najlepszego wrażenia.

– Drużyna, naprzód – marsz!

Ruszyli defiladowym krokiem. Głośnie dudnienie stóp wypełniło salę obrad.

– Drużyna – stój!

– Prezentuj – broń!

Cały oddział zatrzymał się w tym samym momencie

z głośnym przytupem dostawianej jednocześnie prawej nogi. Rozległ się charakterystyczny chrzęst wydobywanej broni. Rękojeść mieczy znalazła się dokładnie na wysokości mostka klatki piersiowej a ostrza skierowane ku górze w idealnym pionie. Aicha zręcznie przerzuciła swój miecz do lewej dłoni, opuściła rękę tak że klinga oparła się na ramieniu. Zasalutowała po perruńsku, uderzając zaciśniętą pięścią prawej ręki w pancerz na piersi.

– Porucznik Aicha! Gwardia Gimuru!

Następnie pochyliła głowę przyklękając na jedno kolano.

– Proszę wstać poruczniku! – Powiedział Andarandis donośnym a zarazem łagodnym głosem. Aicha nie wstała od razu, odczekała jeszcze chwilę, zanim się podniosła. W ślad za nią, powstali jej żołnierze.

– Co sprowadza gwardię Gimuru do królestwa Perrunu?

– Królestwa Gimuru już nie ma, najeźdźcy zostawili jedynie wypaloną ziemię, prosimy jedynie o przywilej walki u boku perruńskich żołnierzy.

– W takim razie cieszę się, że mogę was powitać w moich szeregach. Będziecie traktowani na równi z żołnierzami Perrunu i otrzymywać żołd taki jak moi żołnierze. Póki to możliwe będziecie autonomicznym oddziałem, lecz podlegacie pod rozkazy dowódcy garnizonu. Po zwycięstwie możecie zostać w Perrunie i dalej pełnić służbę, lub jeśli będziecie chcieli, wrócić na wasze ziemie, aby odbudować Gimur. Takie są moje warunki.

– Przyjmujemy je bez żadnych zastrzeżeń.

Monarcha skinął głową. Aicha ponownie zasalutowała po perruńsku i odprowadziła swój oddział, nie opuścili jednak sali obrad, zajęli pozycję przy głównych drzwiach. Kiedy już zrobiło się cicho, król zwrócił się do czarodzieja.

– Mistrzu Murrenie wszyscy ciekawi jesteście tego, co masz nam do powiedzenia.

Jeszcze dłuższą chwilę czarodziej siedział bez ruchu na swoim krześle, wreszcie podniósł wzrok i powiódł nim po sali.

– To nie są zwykli najeźdźcy, to wróg, który był zapowiadany przez przepowiednie. Nie ma ich nigdzie w krainach. Przybyli tutaj z innego świata. Są to istoty magiczne. Są wojownikami. Struktura ich społeczności opiera się na kastach wojowników. Nazywają się Orkliny. Może nie są szczególnie inteligentni, ale na pewno nie są prymitywni. Nie znają strachu. Na tym właśnie polega ich magia. Służą potężnemu demonowi, który to demon, obdarzył ich ową magią. Bez leku zaatakują każdego wroga, nawet samego Stwórcę, jeśli by znalazł się na ich drodze. Żywią się śmiercią i z niej czerpią siły. Ich odwaga bierze się z siły grupy, posiadają bowiem zbiorową świadomość odczuwania. Jeśli nawet któryś zazna strachu, to grupa pochłania ten jego strach, a on sam napelnia się odwagą całej grupy i dalej będzie walczyć, dalej będzie atakować, nie zważając na rany ani straty. Dlatego są tak liczni, bo z tej

liczebności bierze się ich siła. Jednakże każda magia ma swoją cenę, każde zaklęcie można przełamać. Jeśli trzy razy zmusi się ich do ucieczki, jeśli trzy razy poddadzą się panice, ich magia zostanie przełamana. Staną się wtedy najbardziej tchórzliwymi stworzeniami na świecie. Od ostatniego ataku tych istot na nasz świat mija właśnie dziesięć tysięcy lat, tak przynajmniej podają pradawne zapisy. Zostali wtedy pokonani.

Przez salę przebiegł szept – Tyrjanus – Murren skinął nieznacznie głową.

– Tak, działo się to w czasach Tyrjanusa.

Bestistus jakby na to czekał. Poderwał się z miejsca, wskazując ręką na Melodię, wrzasnął na całe gardło:

– No właśnie, a ta dziewczka usiłuje dyskredytować naszego bohatera, naszego wielkiego króla, nazywając go tchórzem i zdrajcą!

Przez salę przebiegł kolejny pomruk, ludzie zdawali się podzielać zdanie Bestistusa. Murren gestem ręki poprosił o ciszę i spokojnym głosem oznajmił:

– Księżniczka powiedziała prawdę.

Na sali zapanowała przerażająca cisza. Ludzie wstrzymali oddech.

– Niemówiłem że Tyrjanus pokonał Orkliny, powiedziałem jedynie że działo się to za jego czasów. Orkliny zostały pokonane przez Elfy, a Tyrjanus przywłaszczył sobie ich zwycięstwo. Przywłaszczył sobie nie należną mu chwałę.

Księżniczka powiedziała prawdę.

Nikt nie oponował, nikt nie śmiał poddawać w wątpliwość słów nadwornego czarodzieja.

Panującą ciszę przerwał król:

– Skoro już wiemy z czym mamy do czynienia, przejdźmy do kolejnego, muszę przyznać, przykrego punktu naszych dzisiejszych obrad. Proszę wprowadzić oskarżonego.

Czterech gwardzystów wprowadziło na salę lorda generała Olena. Ax bacznie obserwował Bestistusa. Ku zdziwieniu kapitana, kapłan wcale nie wydawał się zaskoczony, sprawiał nawet wrażenie zadowolonego. Król wziął podany mu przez pisarza akt oskarżenia.

– Lordzie Olenie. Zostałeś oskarżony o zdradę, ucieczkę z pola bitwy w obliczu wroga i o morderstwo. Czy przyznajesz się do winy?

– Nie! Zawsze działałem w interesie królestwa Perrunu.

– W takim razie dość opacznie rozumiesz ten interes. Proszę wprowadzić świadka.

– Nie ma potrzeby Panie. Ten świadek to dezterter z mojej armii i to on według naszego prawa powinien zastać ukarany za dezercję.

Ax jako oskarżyciel poprosił o głos. Król skinął głową.

– Częściowo masz rację generale Olenie. Ten żołnierz rzeczywiście opuścił twoją armię, ale po to, aby mi opowiedzieć o dokonanym przez ciebie morderstwie na moim zwiadowcy. Kazaleś zabić mojego kuriera. Zaś

co do dezercji tego żołnierza: nawet jeśli ktoś uzna jej zasadność, to oświadczam że niema ona podstaw, ponieważ zgodnie z przysługującym mi prawem werbunku, wcieliłem tego żołnierza w szeregi mojej gwardii, a więc zgodnie z królewskim nadaniem, obejmuje go amnestia od wszelkich popełnionych w przeszłości czynów. Twój protest nic nie znaczy.

– Nie przyznaję się do winy i chcę tego dowieść. Żądam sądu miecza!

Nawet Ax sprawiał wrażenie zaskoczonego takim obrotem sprawy, podszedł do Olena i wyszeptał przez zaciśnięte zęby.

– Jeśli liczysz na szybką śmierć, to nic z tego. Zadbam, żebyś umierał długo i powoli.

Olen usiłował odpowiedzieć bezczelnym uśmiechem, który jednak wypadł dość blado. W związku z zaistniałą sytuacją królowi nie zostało nic innego jak ogłoszenie sądu miecza.

– Zatem dobrze. Ogłaszam, że walka odbędzie się jutro o zwykłej porze na koszarowym placu. Ze względu na wagę oskarżenia możemy sobie darować w tym wypadku strażnika trybunału. Nawet dobrze się składa bo wiąże się to z kolejnym punktem naszych obrad. Niniejszym ogłaszam że po jutrzejszej walce, odbędzie się koronacja księżniczki Melodii.

Na sali zapanowało pewne poruszenie. Ludzie nie bardzo wiedzieli co to ma znaczyć. Król poprosił o ciszę.

– Wyjaśnię, jeśli tylko pozwolicie mi mówić. Nasze królestwo jest w przededniu straszliwej wojny. Słyszeliście z jakim wrogiem mamy się zmierzyć. W związku z tym uważam że musimy zadbać o bezpieczeństwo naszego królestwa. Nie możemy sobie pozwolić na bezkrólewie. Jeśli coś by mi się stało, a w czasie wojny wszystko jest możliwe, to w normalnym trybie, minie przynajmniej kilka dni, zanim moja córka zostanie koronowana. Nie możemy sobie pozwolić nawet na jednodniową anarchię. Poprzez jutrzejszą koronację księżniczki zapewnimy Perrunowi natychmiastową ciągłość władzy. Dopóki żyję, będę królem Perrunu, gdyby jednak coś mi się stało, Perrun ma w tym samym momencie królową, która jest w stanie kontynuować walkę. Uważam że obecna sytuacja wymaga nieco szerszego spojrzenia i między innymi takich właśnie rozwiązań.

Widząc że ministrowie ze zrozumieniem kiwają głowami, dodał jeszcze:

– W takim razie jutro po walce, odbędzie się ceremonia koronacyjna.

– Ta ceremonia nie może się odbyć!

Wszystkie oczy ponownie zwróciły się na Bestistusa. Król najwyraźniej zaczynał tracić cierpliwość. Nie spuszczać wzroku z kapłana, oznajmił nie znoszącym sprzeciwu głosem.

– Raz jeszcze powtarzam: ceremonia odbędzie się jutro i nowa królowa Perrunu odbierze podczas niej przysięgę

wierności od lordów i obywateli królestwa.

– Ta dziewczka nie ma prawa do tronu! To znajda z wilczej jamy!

Bestistus nie dawał za wygraną. Na sali znowu zapanowała cisza, którą przerwał minister Bendrys.

– Nie było cię tutaj człowieku! Skąd możesz to wiedzieć? Król uznaje w księżniczce Melodii swoją córkę, która jak dwie krople wody podobna jest do swej zmarłej matki! Do królowej Tercji! Ale skąd ty to możesz wiedzieć skoro cię tu nie było? Wciskasz nam tu jakieś brednie i tyle!

– Powtarzam że to znajda z wilczej nory! Wiem to!

– A niby skąd możesz to wiedzieć?

Wściekły kapłan wypalił jednym tchem:

– Bo sam Wielki Bell-Zuub mi powiedział!

Ludzie patrzyli po sobie pytając się: kto to taki? Lecz nikt nie potrafił odpowiedzieć. Stary generał znowu zabrał głos.

– A kto to taki, do ciężkiej cholery? Twój tresowany szczur, z którym uczyniasz sobie co wieczór pogawędkę?

Zebrani na sali ludzie parsknęli śmiechem. Bestistus demonstracyjnie opuścił salę. Zrozumiał że przegrał, zrozumiał też, że zdradził jednocześnie swoją największą tajemnicę.

Tylko jednej Melodii nie było do śmiechu. Odprowadzała Bestistusa przerażonym wzrokiem.

* * *

Aicha stała na jednej nodze, drugą postawiła na krześle co bardzo ułatwiało zapinanie sprzączek przy bucie. Spieszyła się. Trochę przyspała i teraz zwijała się jak w ukropie. Miała przecież złożyć wkrótce przysięgę wierności nowej królowej Perrunu. Bardzo chciała też zobaczyć walkę kapitana ze zdrazieckim generałem. Znała całą sprawę i uważała że taki właśnie powinien być jej finał. Zdrajca zasługiwał na śmierć. Była spokojna o rezultat starcia, widziała już przecież w akcji kapitana perruńskiej gwardii, ale musiała tę walkę zobaczyć. Ax był naprawdę dobry, walczył trochę dziwnym stylem, ale za to wyjątkowo skutecznym. Zastanawiała się nawet, czy sama byłaby w stanie pokonać wojownika? Miała nadzieję że nigdy nie będzie musiała tego sprawdzać.

Jako oficer dostała w koszarach własną izbę. Była to w istocie niewielka klitka, ale było tu wszystko co trzeba. Żołnierze dostali do dyspozycji komnaty, w których mogło się pomieścić 11 osób. Akurat drużyna i kapral. Prycze były tam piętrowe, tylko kapral miał normalne łóżko. Dla każdego żołnierza był też przewidziany dość duży kufer, pełniący jednocześnie rolę stołka. Całości wyposażenia dopełniał, stojący pod ścianą stół, przy którym mogli zasiąść wszyscy zakwaterowani w komnacie żołnierze. Aicha nie miała stołu, ale miała biurko i krzesło, a prócz kufra była jeszcze szafa. Część komnaty oficerskiej była oddzielona zasłoną, za którą znajdowała się stojąca na taborecie miska do mycia, dzban na wodę i wiadro na zlewki, lustro i niewielka szafeczka

na przybory toaletowe. Niby żaden luksus, ale powodu do narzekania też nie było, w końcu były to wojskowe koszary. Spojrzała na stojący w wazonie na biurku bukiet pięknych czerwonych róż. Było ich 12. Bukiet przysłał jej wczoraj rano kapitan Ax, z dołączonym bilecikiem: „Miłego pobytu na nowych śmieciach”. Gest był niewątpliwie miły, chociaż co do zapisanych na karteczce słów, można było mieć pewne zastrzeżenia. Była w Divie zaledwie drugi dzień a już czuła się tutaj jak w domu. Wprawdzie niektórzy mieszkańcy stolicy wciąż jeszcze krzywo patrzyli na gimurskich żołnierzy, ale nie da się przecież zmienić przeszłości. Osobiście uważała że zatargi z Perrunem były zupełnie niepotrzebne i po dzień dzisiejszy nie rozumiała ich przyczyny. Być może wszystkiemu był winien tajemniczy człowiek, który nie wiadomo skąd przybył do Gimuru i od razu został pierwszym doradcą króla. Próbowала rozpytywać o owego przybysza, ale nikt nic nie wiedział. Zresztą, to wszystko nie miało już znaczenia. Liczyła się wyłącznie teraźniejszość, a ze swej strony dołoży wszelkich starań, aby zatrzeć nieprzyjemne wspomnienia o gimurskich najazdach. Na to jednak, jak i na wiele innych spraw – trzeba było czasu. W końcu gimurscy żołnierze udowodnią, że warto im było zaufać.

Król, któremu wczoraj poprzysięgła wierność – bardzo jej się podobał. Odniosła wrażenie, że to dobry i sprawiedliwy człowiek. Nie miała jeszcze żadnego zdania o jego córce, ale z całą pewnością służba dla królowej (o ile oczywiście

do takiej ewentualności dojdzie) stanowić będzie miłą odmianę. Dostali szansę i wiedziała, że nie mogą tej szansy zmarnować. Była pewna że jej żołnierze, także dzielą tę opinię. Na razie zabroniła podwładnym szwędania się po mieście, nie chciała aby doszło do powtórki karczemnego incydentu, gdzie została zaatakowana przez perruńskich żołnierzy. Wierzyła, że czas zablizni stare rany. Perruńczycy muszą się do nich po prostu przyzwyczaić. Składając przysięgę wierności królowej Melodii, uczyni znaczący krok w kierunku normalizacji gimursko–perruńskich stosunków.

Uporała się wreszcie z ostatnią sprzączką, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść!

W drzwiach stanął nieco zakłopotany żołnierz.

– No co jest? – Dziewczyna ponagliła podwładnego.

– Wybacz Pani, ale jakiś człowiek chce się z tobą natychmiast widzieć...

– Co? Teraz? Wykluczone! Śpieszę się na walkę kapitana Axa, a potem koronacja, niech przyjdzie jutro.

– No właśnie tak mu powiedziałem, ale on twierdzi że zajmie ci tylko chwilę, że chodzi właśnie o tę walkę, o życie kapitana Axa i że musisz o czymś koniecznie wiedzieć...

Zaniepokojona Aicha spojrzała na żołnierza.

– No to dawaj go!

* * *

Tego dnia na placu koszarowym było wyjątkowo tłoczno. Królewscy heroldowie stanęli na wysokości zadania. Z drugiej jednak strony, miasto wypełnione było ludźmi w takim stopniu, jak nigdy wcześniej, więc nowiny rozchodziły się lotem błyskawicy. Koronacja księżniczki Melodii była nie lada wydarzeniem i każdy, kto był w mieście, chciał wziąć w niej udział. Sąd miecza, stanowił jedynie dodatkową atrakcją, ale nie było chyba w całej Divie osoby, która nie chciałaby tej walki zobaczyć. Ze względu na ceremonię koronacji, na placu roilo się od wojska. Sztandary poszczególnych armii, dumnie powiewały przy królewskiej trybunie. Obok trybuny, sterczały w górę, dwie specjalnie zbudowane na tę okazję, najeżone łucznikami strzelnicze wieżyczki. Prócz gwardii, nie brakło również żołnierzy szóstej i czwartej armii. Miejsca po bokach trybuny przeznaczone były dla perruńskich wielmożów, zaś w jej centrum ustawiono dwa trony. Oba na tym samym poziomie. Od dzisiaj bowiem, księżniczka Melodia miała być równa ojcu. Wszyscy dostojnicy zajęli swoje miejsca. Dźwięk czterdziestu trąb, obwieścił początek uroczystości. Był to sygnał, że nadchodzi król Perrunu. Trasa z Igły na koszarowy plac, wyznaczona była przez szpaler żołnierzy szóstej armii. Stali w równych odstępach, po obu stronach drogi. Wreszcie pojawił się oddział gwardii, prowadzony przez porucznika Berga. Za gwardzistami, szedł dostojnym krokiem król Andarandis z córką. Za nimi kolejny oddział

gwardii prowadzony przez porucznika Mandersa. Ax stał już na koszarowym placu, obok królewskiej trybuny. Musiał mieć pewność, że wszystko pójdzie zgodnie z planem, z tego miejsca widział dużo więcej niż prowadzący gwardzystów Berg.

Kapitan ze współczuciem patrzył na Melodię. Pierwszy raz w życiu widział dziewczynę kroczącą w przepięknej, niezwykle strojnej sukni. Czterech paziów niosło za księżniczką tren. Jednak Melodia wyglądała jak wszystkie nieszczęścia świata razem wzięte. Ax w pierwszej chwili omal nie parsknął śmiechem. Lecz, już w następnej, w pełni solidaryzował się z dziewczyną. Gdyby umiał, to pewnie odmawiałby teraz modlitwę, aby księżniczka zdołała, bez żadnych incydentów dotrzeć do swojego tronu. Stąpała tak niepewnie, że Ax był pełen obaw, czy aby nie potknie się o własne nogi.

– Co zrobić dziecinko, będziesz musiała przyzwyczaić się do tej nowej zbroi, chociaż cholernie niewygodna...

Wiele myśli kłębiło się w umyśle wojownika. Przede wszystkim był dumny z dziewczyny. Wiedział co teraz przeżywa, rozumiał jak musi być jej ciężko i tym bardziej doceniał wysiłek, każdego stawianego przez nią kroku. Jednakże dojście do tronu, nie stanowiło końca drogi. To był dopiero początek.

Pierwszy oddział Berga, zajął sprawnie pozycje w wokół trybuny. Król i księżniczka usiedli na swoich miejscach.

Porucznik Manders podzielił swój oddział na dwie części. Stanęli oni w dwóch, zwartych rzędach przed trybuną. Kiedy umilkły wiwaty, król osobiście powitał wszystkich zebranych.

– Ludu Perrunu to nie jest zwyczajny dzień. Zebraliśmy się tu dzisiaj, aby złożyć hołd nowej królowej Perrunu. Od dzisiaj, Perrun będzie miał dwóch królów. Niezwykła to sytuacja, nigdy wcześniej czegoś takiego nie było, lecz i czasy, w których przyszło nam żyć i z którymi musimy się zmierzyć – są niezwykle. Wszystko co czynimy – czynimy dla dobra naszego królestwa. Przepowiednia mówi, że: królowie Perrunu muszą być mądrzy. Zwróćcie uwagę, że nie użyto słowa król – lecz słowa królowie. Wyjdziemy więc naprzeciw prorocztwu zawartemu w przepowiedni. W Perrunie od dzisiaj, rządzić będą królowie! Pragnę was zapewnić, że zarówno ja sam, jak i moja córka, zrobimy wszystko aby sprostać czekającemu nas wyzwaniu. Oby królowie Perrunu okazali się tak mądrzy, jak dzielni są jego obywatele!

Przez zgromadzony tłum, przelała się kolejna fala entuzjazmu. Okrzykom i wiwatom nie było końca. Dopiero ceremonialne trąby przywołały ludzi do porządku.

Przyszwał czas na sąd miecza. Przyprawdzono z celi lorda Olena. Herold trybunału odczytał akt oskarżenia, gdy skończył, wezwał do walki rycerza, mającego udowodnić winę oskarżonego. Ax natychmiast wystąpił na plac. Szedł

sprężystym, pewnym krokiem. Zatrzymał się w odległości kilkunastu kroków od królewskiej trybuny. Wtedy herold ponownie zawołał:

– Wzywa się do walki rycerza, który ma udowodnić nieprawdziwość stawianych zarzutów!

Ax kątem oka obserwował Olena. Ku jego zdziwieniu lord generał, nawet nie drgnął.

Po krótkiej chwili, herold trybunału ponownie zakrzyknął:

– Wzywa się do walki rycerza, który ma udowodnić nieprawdziwość stawianych zarzutów!

Ax patrzył wyzywająco na stojącego wciąż nieruchomo z boku trybuny Olena. Jeśli po raz trzeci zlekceważy wezwanie herolda, będzie to oznaczało jego bezsporną winę, zupełnie tak samo, jak gdyby przegrał walkę. Wydawało się że Olen jest mocno zdenerwowany, miał czerwoną twarz i chyba dygotał, ale Ax nie był tego pewien, być może wyobraźnia płatała mu figle. Nieoczekiwanie Olen podniósł ręce i krzyknął starając się zapanować nad drżącym głosem:

– Nie będę walczył osobiście! Zamierzam udowodnić swoją niewinność poprzez mojego reprezentanta!

Oczywiście Olen miał do tego prawo. Ax pogardliwie wydał wargi, kręcąc z dezaprobatą głową. Póki co, wielmożny lord–generał dowodził jedynie swego tchórzostwa. Herold zakrzyknął po raz trzeci:

– Wzywa się do walki rycerza, który ma udowodnić nieprawdziwość stawianych zarzutów!

Olen nadal stał jak sparaliżowany, Ax nie miał już wątpliwości, generał dygotał, lecz jeśli zaraz się nie ruszy, to przegra proces bez walki, w najbardziej haniebnym dla siebie sposób.

Jakieś poruszenie zapanowało w stojącym wokół areny tłumie, ktoś przedzierał się przez ciżbę. Do uszu Axa dobiegł znajomy głos:

– Przejdźcie dla reprezentanta ser Olena!

Ludzie rozstępowali się przed idącym. Nawet niewprawny obserwator dostrzegłby ulgę na twarzy lorda. Generał uspokoił się w jednej chwili, przyjmując butną, pewną siebie postawę.

Ax wpatrzony był w powstały w tłumie korytarz. Nie był zdziwiony, gdy ujrzał wychodzącego stamtąd Bestistusa. Arcykapłan rzucił mu pogardliwe, nienawistne spojrzenie i skierował się w kierunku trybuny, aby zająć należne mu tam miejsce. Jednak za Bestistusem szedł ktoś jeszcze. Dopiero teraz, kapitan doznał prawdziwego szoku. Na plac wystąpiła Aicha.

* * *

Ax postąpił kilka kroków w stronę dziewczyny

– Co to do cholery ma być? Czemu bierzesz stronę zdrajcy?

Aicha odwróciła głowę w kierunku wojownika, patrzyła na niego tak, jak gdyby nie rozumiała co do niej mówi, jakby

widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Poddaj się! To jedyne wyjście! Albo się wzajemnie pozabijamy, bo ja nie ustąpię...

Aicha wciąż wpatrywała się w kapitana, jednak w żaden sposób nie zareagowała na jego słowa, ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy dziewczyny. Ax z dezaprobatą pokręcił głową.

– Jak chcesz...

Ponownie głos zabrał herold trybunału:

– Niech zwycięży prawda! Zaczynajcie!

Rozległ się charakterystyczny chrzęst wydobywanych z pochwy mieczy. Aicha ruszyła do wściekłego ataku. Ax się cofał, ograniczał się jedynie do obrony, skupiony był wyłącznie na odpieraniu ataków. Przy każdej nadarzającej się okazji próbował coś mówić do dziewczyny, lecz jedynie wzmagало to jej agresję.

Melodia obserwowała walkę z zapartym tchem. Co chwila rzucała ukradkowe spojrzenia na Bestistusa. Kapłan tryumfował, nawet nie krył swego zadowolenia z przebiegu pojedynku. Melodia miała wrażenie, że coś jest nie tak, ale sama nie wiedziała, o co właściwie jej chodzi. Coś czuła, lecz nie potrafiła tego określić. Zwróciła jednak uwagę na oczy walczącej Aichy. Oczy Gimurki były puste. Przychodziło jej na myśl porównanie do zawieszanej na stojaku zbroi. Z daleka można myśleć, że ktoś stoi, ale jak podejść bliżej, to okazuje się, że to tylko pusta stalowa blacha, że nikogo w środku nie

ma. Księżniczka poznała gimurską wojowniczkę zaledwie wczoraj, podczas obrad królewskiej rady, lecz wczoraj oczy Aichy były zupełnie inne, były normalne. Jeśli to pusta zbroja, to musi się o tym przekonać, musi podejść bliżej. Skupiła całą swoją uwagę na oczach dziewczyny, wydawały się być podobne do otwartego portalu, przez który można przejść na drugą stronę. Miała nadzieję że przynajmniej zajrzy przez ten portal do środka. Coś jednak stało jej na drodze, nie pozwalało wejść. Melodia raz jeszcze zebrała całą siłę posiadanej przez siebie woli. Wysłała tę moc.

– Wpuść mnie.

Coś jakby pękło. Weszła do środka. To było bardzo dziwne uczucie. Dziwne i niezbyt przyjemne. Wreszcie Melodia zdała sobie sprawę z faktu że jest w umyśle walczącej wojowniczki. Zewsząd otaczały ją tysiące myśli, tysiące wspomnień. Nic jednak nie tłumaczyło obecnego stanu Gimurki, nigdzie nie było żadnego uzasadnienia dla toczącej się walki. Melodia broniła się przed zalewem niepotrzebnych informacji, nie chciała ich, nie były jej, nie po to tu przyszła. Skoncentrowała się na otaczającej ją pustce.

– Pokaż mi.

Znowu coś pękło. Tym razem jednak opór był dużo silniejszy. Melodia wstrzymała oddech, tuż przed oczami miała wykrzywioną złym grymasem twarz Bestistusa. Widziała bardzo wyraźnie, słyszała każde wypowiedane z mocą słowo. Przed jej oczami pojawił się nagle zawieszony

na złotym łańcuszku, oprawiony w złoto, nienaturalnie błyszczący klejnot. Przyciągał wzrok jak magnez żelazo, nie można było oderwać od niego oczu. Bestistus wprowadził klejnot w ruch wahadłowy.

– Skoncentruj się na klejnocie, jest tylko on. Poza klejnotem nic nie istnieje. Jesteś tylko ty i klejnot...

Nagle Melodia poczuła nieodpartą potrzebę zabicia kapitana Axa. Wszystko co ją otaczało domagało się śmierci gwardzisty. Potężna magia gęstniała wokół niej, coś przejmowało nad nią kontrolę. Melodia wiedziała że nie może się poddać. Musi odeprzeć ten mentalny atak, zanim on całkowicie ją pochłonie. Straszny ból wypełnił jej czaszkę, czuła, że traci oddech a być może nawet przytomność, wiedziała jednak, że musi podjąć walkę. Raz jeszcze musi zebrać siły, całą posiadaną przez siebie moc, bo inaczej pogrzeży się zaraz w otaczającym ją czarnym wirze. Ostatkiem sił i świadomości zdołała krzyknąć: – Nie! – Ból nagle ustąpił, znowu mogła zaczerpnąć powietrza.

Kilka najbliższych osób zwróciło uwagę na jej krzyk. Był on jednak całkowicie zrozumiały. Starcie wciąż trwało. Ax potknął się pod naporem ciosów wojowniczk, jego upadek mógł oznaczać koniec walki, lecz kapitan odturlał się błyskawicznie a ostrze Gimurki uderzyło w pustą ziemię. Ax znowu był na nogach i znowu odpierał zajadłe ataki.

Dla Melodii wszystko było już jasne. Porucznik Aicha została zaczarowana przez Bestistusa. Był kapłanem

i jak każdy kapłan mógł poszczycić się znajomością zaklęć uzdrawiających, lecz to, co księżniczka właśnie odkryła, nie miało nic wspólnego z magią uzdrawiającą. To była czarna magia. Została ona zakazana już całe wieki temu. Bestistus był nie tylko kapłanem, był również potężnym magiem. Może nawet dorównywał samemu Murrenowi. Melodia przypomniała sobie krzyk Bestistusa z ostatnich obrad Rady Królewskiej, kiedy to kapłan oświadczył, że sam Bell-Zuub powiedział mu o jej pochodzeniu. O Zuubie wiedziała tylko tyle, że jest demonem. Kim w takim razie jest Bestistus skoro rozmawia z demonami? Kim jest, skoro wchodzi do umysłu innych ludzi i każe im mordować jej i ojca przyjaciół? Postanowiła poznać prawdę, odkryć wszystkie skrywane przez wielkiego brata tajemnice.

Jednak w tym momencie, była ważniejsza sprawa do natychmiastowego załatwienia. Walka ciągle trwała, księżniczka zrozumiała już strategię Axa. Wojownik nie chciał skrzywdzić Gimurki, i wiedziała dlaczego. Zaledwie przed chwilą, widziała wspomnienia gimurskiej wojowniczkii. Wiedziała już gdzie podziały się róże z królewskiego ogrodu. Prawdopodobnie Ax czekał aż dziewczyna się zmęczy i wtedy spróbuje ją obezwładnić. Biorąc pod uwagę furię wojowniczkii, taki stan rzeczy musiał w końcu nastąpić. Był jednak pewien problem. Gimurka była świetnym wojownikiem. Ax wiele razy był już w poważnych tarapatkach i najmniejszy błąd z jego strony, mógł doprowadzić do

tragicznego finału. Tym bardziej, że Aicha wcale jeszcze nie wykazywała żadnych oznak zmęczenia. Było jeszcze coś. Księżniczka dobrze знаła kapitana: Ax był cierpliwy, ale i jego można było ostatecznie wyprowadzić z równowagi. Jeśli to nastąpi – to wojownik w końcu zapragnie rozplatać Gimurkę. W przyptywie furii, ludziom zdarza się zrobić w gniewie coś, czego potem do końca życia nie mogą sobie wybaczyć. Melodia rozumiała, że nie wolno dopuścić jej, do powstania podobnej sytuacji. Ataki Aichy były coraz groźniejsze, coraz bliższe celu. Akurat w tym momencie Gimurka znalazła się tuż przy Axie, gdy ten zablokował jej niski cios. Wojowniczką natychmiast wykorzystała to zbliżenie. Energicznie zarzuciła głową, uderzając kapitana po twarzy swoimi długimi warkoczykami. Ax odepchnął dziewczynę, otarł krew z porozcinanej twarzy i ruszył do przodu. Najwyraźniej miał już tego dość.

Melodia po raz kolejny zebrała i ukierunkowała myśli. Wydała Gimurce jeszcze jedno polecenie:

– Zbudź się!

Aicha stanęła gwałtownie, rozglądając się w koło zdziwionym wzrokiem. Lecz Ax nie zamierzał jej naśladować. Natychmiast wykorzystał moment zawahania swojej przeciwniczki. Głównią miecza wymierzył silny cios w brzuch. Skórzany pancerz osłabił nieco uderzenie, lecz ugiął się pod wpływem jego siły. Gimurka zgięła się w pół. Ramiona Axa były już w górze, Złożył nad głową

dłonie i silnie uderzył pochyloną dziewczynę w kark. Padła nieprzytomna u jego stóp. Walka była skończona. Herold trybunału mógł już ogłosić wyrok.

– Niniejszym ogłasza się, że oskarżenie w ostateczny sposób dowiodło swoich racji. Lord Olen zostaje uznany winnym stawianych mu zarzutów i skazany na śmierć. Wyrok jest ostateczny i nie ma od niego odwołania!

Ax poczekał aż przebrzmiały słowa herolda. Pochylił się nad nieprzytomną dziewczyną. Miał nadzieję, że nie uderzył za mocno. Uspokoił się nieco, gdy stwierdził że wojowniczką wciąż oddycha. Uniósł głowę i wrzasnął na całe gardło:

– Kandas do mnie!

Wziął dziewczynę na ręce i ruszył w stronę koszar. Natychmiast pojawili się gimurscy żołnierze. Ax oddał im ich oficera. Na plac wbiegł również Kandas z małym, płóciennym workiem w ręku.

– Zajmij się nią – krzyknął wojownik w stronę kapłana. Kandas skinął głową i pobiegł za gimurskimi żołnierzami.

Ax podszedł do stojącego pod trybuną, otępiełego Olena. Zatrzymał się tuż przed nim, niemal go dotykając.

– Gwarantuje ci szybką śmierć jeśli powiesz co planujecie. Olen milczał. Ax ras jeszcze pochylił się w jego stronę.

– Co knuje Bestistus?

Olen w dalszym ciągu nie zamierzał udzielać odpowiedzi.

– Twój wybór.

Następnie zwrócił się do stojących za Olenem żołnierzy.

– Do lochu z nim! Ma wisieć w bransoletkach i ani kropli wody.

* * *

Plac koszarowy ponownie wypełnił się dźwiękiem potężnych trąb sygnałowych. Na koszarowy plac wystąpiły oddziały reprezentacyjne wszystkich perruńskich armii. Poczty sztandarowe stojące dotąd przy królewskiej trybunie, ruszyły defiladowym krokiem do swoich jednostek. Król Andarandis dokonał uroczystego przeglądu wystawionych oddziałów. Kiedy dobiegł on końca, poszczególni oficerowie odprowadzili reprezentacyjne jednostki na wyznaczone im miejsce. Środek placu znowu był całkowicie pusty. Stał tam, tylko król Andarandis. Głos trąb ponownie wypełnił miasto. Księżniczka Melodia wstała ze swojego miejsca, opuściła trybunę i powoli ruszyła w kierunku stojącego na środku placu ojca. Ax miał wrażenie, że gdyby nie tren i trzymający go paziowie, marsz ten byłby dużo szybszy i nie koniecznie w pożądanym przez wszystkich kierunku. Orszak księżniczki dotarł wreszcie do celu, Melodia stała kilka kroków przed królem. Chwilę trwało zanim paziowie ułożyli starannie na ziemi tren jej sukni, po czym rozbiegli się na cztery strony świata. W centrum uwagi był już tylko król i jego córka. Stali obydwójce dumnie wyprostowani. Król oburącz chwycił, noszoną przez siebie koronę. Uniósł ją ku górze na całą długość wyciągniętych

ramion. Wpatrzony w koronę wykonał pełen obrót wokół własnej osi, w czasie jego trwania zatrzymał się trzykrotnie z rękoma wyciągniętymi w kolejne strony świata. Opuszczał wtedy koronę na wysokość własnej głowy, trzymając przez chwilę w takiej właśnie pozycji. Po czym znowu wznosił ją w góry i kontynuował obrót. Kiedy ów ceremoniał dobiegł końca, król zwrócony był twarzą na wschód, dokładnie tam gdzie stała jego córka. Dłuższą chwilę trzymał koronę przed oczami dziewczyny, następnie znowu wznosił ją ku górze. Księżniczka uklękła na oba kolana. Król wykonał kilka kroków w jej kierunku. Już miał nałożyć koronę na jej głowę gdy nagle potężna błyskawica rozdarła niebo nad ich głowami. Było to o tyle dziwne, iż dzień był bezchmurny, słoneczny i piękny. Sama błyskawica również była dość osobliwa. Zanikała od końców by na środku przybrać kształt kuli. Kula ta przez moment zawisła w powietrzu, następnie w szalonym pędzie runęła w kierunku ziemi. Zmierzała dokładnie na środek placu, dokładnie tam, gdzie klęczała Melodia. Dziewczyna instynktownie poderwała się na nogi i w chwili gdy kula już, już miała jej dosięgnąć, wyrzuciła naprzeciw niej dłoń, z szeroko rozwartymi palcami. Kula uderzyła w jakąś niewidzialną zaporę, rozbiła się na tysiące iskrzących zygzaków, które jeszcze przez chwilę tańczyły wokół Melodii i jej ojca. Nikomu nic się nie stało. Żołnierzy byli zbyt daleko od źródła uderzenia aby odpryski błyskawicy mogły im zaszkodzić.

Na pusty plac natychmiast wbiegli gwardziści, Ax biegł z wysoko uniesionym puklerzem, szybko jednak opuścił ramię, zdając sobie sprawę, że mała stalowa tarcza przed niczym go nie osłoni, nie powstrzyma żadnej błyskawicy. Prędejj jednak da się spopielić, niż dopuści by jego podopieczną, spotkała jakakolwiek krzywda. Jednakże przeciwko takiemu zagrożeniu, nic nie mógł poradzić.

– Jak możemy cię chronić dziecinko?

Melodia potrząsnęła energicznie głową.

– Nie możecie. To moja walka i tylko ja mogę ją prowadzić... Dziękuję kapitanie. Wracajcie proszę na swoje miejsca...

Ax spojrzał na Andarandisa. Król wciąż jeszcze był w szoku wywołanym niespodziewanym uderzeniem pioruna. Skinął jednak głową, potwierdzając słowa córki. Ax niechętnie zabrał żołnierzy na poprzednią pozycję. Melodia miała rację, tym razem nie mógł jej chronić. Mógł osłonić ją przed wystrzeloną z łuku strzałą, odbić cios uzbrojonego w miecz ramienia, lecz nie potrafił powstrzymać błyskawicy. Mógł jedynie zapobiec niebezpieczeństwu, którego powodem była stal i chociaż kulisty piorun był jak najbardziej realnym zagrożeniem, to był świadom, że w tej kwestii jest całkowicie bezradny. Nie mniej jednak ze swej strony uczyni wszystko, co tylko można, aby wywiązać się z powierzonych mu obowiązków. Wiedział, że za kulistym piorunem, musi stać ktoś niezwykle potężny i był pewien, że go znajdzie.

Tymczasem król włożył koronę na głowę klęczącej dziewczyny. Pomimo zaskakującego wydarzenia, ceremonia koronacji została wznowiona. Rozległy się głośnie wiwaty. Nikt już nie miał już żadnych wątpliwości, co do słuszności sprawy. Pomysł koronacji był dobrym pomysłem. Perrun miał teraz nową, potężną królową. Wszyscy widzieli jej moc. Andarandis podał córce rękę i pomógł wstać, albowiem suknia księżniczki była nie tylko piękna, ale i bardzo ciężka. Była to prastara szata, przeznaczona wyłącznie na takie właśnie okazje. Następnie Andarandis wydobył zatknięte za pasam berło i uroczyście wręczył je nowej królowej Perrunu. Podał córce ramię i oboje zwrócili się w stronę trybuny. Natychmiast przybiegło czterech, odpowiedzialnych za tren paziów. Królowie Perrunu ruszyli razem w kierunku pustych tronów. Kiedy zajęli swoje miejsca, herold wezwał Perrun do złożenia przysięgi nowej władczyni. Było już tradycją że w pierwszej kolejności przysięgę składała armia. Głos herolda brzmiał oficjalnie i uroczyście.

– Królowa Melodia wzywa przed swoje oblicze żołnierzy gwardii!

Cała gwardia wmaszerowała na plac. Ax wraz z poczem sztandarowym zbliżył się do tronu

Przyklęknął na jedno kolano. Chorąży pochylił trzymany w ręku proporzec.

– Gwardia Lwiego Pazura gotowa jest ci służyć Pani i jeśli będzie trzeba oddać za ciebie życie.

Królowa Melodia skinęła głową.

– Dziękuję kapitanie.

Ax powstał, uderzył pięścią w pancerz na piersi i już chciał odejść, gdy Melodia go zatrzymała.

– Kapitanie?

– Tak Pani?

Dziewczyna sprawiała wrażenie nieco zakłopotanej.

– Czy nadal mogę być kadetem gwardii?

Ax zrobił wielkie oczy.

– Nadal? Kadetem? A jak długo jeszcze zamierzasz się obijać moja panno? Może byś wreszcie zdała egzamin.

Melodia chciała się rzucić kapitanowi na szyję, lecz ciężki tren zadziałał jak kotwica. Więc Ax wskoczył na trybunę i pozwolił królowej, aby go uściskała. Dziewczyna szepnęła mu do ucha :

– I dalej jesteśmy kumplami?

– Oczywiście!

Raz jeszcze uściskali się serdecznie. Zanim Ax się odszedł, dziewczyna zdążyła jeszcze mrugnąć łobuzersko okiem. Kapitan posłał jej jeszcze jeden uśmiech. Podeszedł następnie do stojących równiutko szeregów. Lewą rękę położył na sercu a prawą uniósł do góry na wysokość ramienia. Donośnym głosem recytował po jednym wersecie tekstu przysięgi, który był następnie chóralnie powtarzany przez każdego stojącego w szeregach gwardzistę. Kiedy przysięga gwardii dobiegła końca, herold wezwał przed

oblicze królowej żołnierzy szóstej armii. Jako ostatni złożyli przysięgę Gimurczycy. Porucznik Aicha zdążyła już dojść do siebie. Ona również została zatrzymana przez Melodię.

– Poruczniku Aicha. Wiem co się stało. Nie ponosisz odpowiedzialności za to niefortunne wydarzenie. W moich oczach nadal jesteś lojalnym sojusznikiem Perrunu. Ale bądź ostrożna, bo mamy potężnych wrogów.

Aicha była wyraźnie zakłopotana.

– Wybacz Pani... Nie wiem jak do tego doszło... Nic nie pamiętam... Nie wiedziałam...

– Wiem poruczniku. Wiem o tobie dużo więcej niż byś chciała. Wiem również że mogę liczyć na ciebie i twoich żołnierzy. Perrun jest wam wdzięczny.

Aicha odeszła do swoich szeregów, by wyrecytować tekst przysięgi. Nie miała czasu zastanawiać się nad słowami królowej.

Po opuszczeniu placu przez żołnierzy Gimuru, herold wzywał po kolei do złożenia przysięgi członków królewskiej rady. Zabrakło wśród nich Przewodniczącego Rady Kościołów, arcykapłana Bestistusa, nikt nie zauważył jego odejścia. Zgodnie z perruńskim prawem miał trzy dni na dopełnienie formalności. Gdyby nie wywiązał się z tego obowiązku, zostałby okrzyknięty zdrajcą, co było równoznaczne z wyrokiem śmierci. Potem przyszła kolej na przysięgę lordów, stawili się niemal wszyscy. Ceremonię zakończył zbiorowy hołd złożony przez zwykłych obywateli.

Kiedy było już po wszystkim, Melodia zdjęła koronę ze swojej głowy i w obecności całego zgromadzenia zwróciła ją ojcu.

* * *

Kiedy Manders wszedł do kwatery kapitana, ten kreślił coś zapamiętale na wielkim, zajmującym całą powierzchnię biurka papierze. Rysunek przedstawiał niby kociołek, ale bardzo dziwny. Spód kociołka był w zasadzie normalny, może tylko trochę za szeroki, ale cała reszta była już mocno uduziwniona. Przede wszystkim, kociołek był bardzo długi, a im bliżej góry, tym był węższy, w pewnym momencie jednak bardzo gwałtownie się rozszerzał. Manders był tak zaintrygowany dziwnym rysunkiem że tylko stał i patrzył na poczynania dowódcy, który wydawał się być całkowicie pochłonięty swoim dziełem. W jeszcze większe zdziwienie wprawiała porucznika linia, którą kapitan szkicował wewnątrz kociołka. Manders domyślił się że wyznacza ona grubość ścianki, tylko na co komu naczynie o tak grubych ścianach. Gruba ściana dochodziła aż do przewężenia na szyjce, od tego miejsca, aż do końca, była już o połowę cieńsza.

Ax nie patrząc nawet na porucznika zaczął tłumaczyć:

– Wyobraź sobie że to przekrojony po długości kociołek, normalnie jest zamknięty i okrągły. Musiałem jednak narysować go w ten sposób aby zaznaczyć pewne istotne szczegóły, żebyś mógł wytłumaczyć w odlewni, co

właściwie mają dla mnie zrobić.

Manders skwapliwie przytaknął, ale i tak nie miał pojęcia o czym kapitan mówi. Ax wskazał wewnątrz kociołka.

– Tę przestrzeń wypełnimy wodą, nalewać się będzie normalnie od góry, napelnimy gdzieś tak do tego miejsca, żeby para miała się gdzie gromadzić. Tutaj położymy coś jakby pokrywkę, tylko że będzie to kratka. Na tę kratkę pójdzie płótno, wywinięte i zamocowane na lejku a na płótno narzuci się czegoś ostrego i ciężkiego, no i trzeba będzie to wszystko porządnie ubić. Jeżeli rozpali się pod tym ogień to w pewnym momencie woda w środku zacznie się gotować i zamieniać w parę. Jeśli pary zbierze się odpowiednio dużo, to powinna ona wyrzucić z wielką siłą ten tutaj korek.

Kiedy kapitan skończył objaśniać spojrział z zainteresowaniem na Mandersa.

– No i co o tym myślisz?

– Ale po co to kapitanie?

Ax przekrzywił głowę i z przekąsem skrzywił wargi.

– Hm. Słuszne pytanie. Myślę że może to nam pomóc podczas oblężenia. Potrzebujemy czegoś z dużym kopem, czegoś co by miało większy zasięg od katapult i większą siłę rażenia.

– To ma być broń?

– Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, to może... – Ax wykrzywił wargi, przez chwilę szukał właściwych słów, na koniec powiedział: – To może da się z tego strzelać. Wpadło

mi to do głowy, gdy siedziałem przy ognisku i patrzyłem jak na kociołku podskakuje pokrywka. Jeszcze dzisiaj pójde do odlewni, żeby mi coś takiego zrobili. Warto by przeprowadzić próby, zanim zjawią się nasi goście.

Manders jakby przypomniał sobie, po co właściwie przyszedł.

– No właśnie kapitanie, ja w związku z ich wizytą...

– No to mów.

– Chodzi o bractwo Bestistusa, powinieneś kapitanie posłuchać tych bzdur, które zaczęli wygadywać. Myślę że to naprawdę ważne. Jeśli wyjdziemy w tej chwili to powinniśmy zdążyć na zapowiadane na dzisiaj przez bractwo nauki.

Kapitan tylko westchnął.

– Skoro to takie ważne, to nie traćmy czasu.

Szli szybkim krokiem na plac przed pałacem bractwa, bo trudno było nazwać tę budowlę świątynią. Porucznik pomyślał o stosownym przebraniu. Obaj mieli na sobie obszerne długie płaszcze z głębokimi kapturami, które doskonale skrywały ich tożsamość. Im bliżej byli celu, tym robiło się tłoczniej. Kiedy dotarli na plac, był już tutaj całkiem spory tłum. Podejście do ustawionej przed pałacem mównicy, wymagało pewnego wysiłku, ale ostatecznie zajęli miejsca w bezpośrednim sąsiedztwie niewielkiej trybuny. Na wszelki wypadek nie przepychali się do pierwszego rzędu słuchaczy. Otoczeni ze wszystkich stron ludźmi, byli spokojni o swoją anonimowość, zlewali się ze spragnionym

nauk bractwa tłumem.

Nie musieli długo czekać, kiedy trybuna została otoczona przez strażników bractwa, na mównicę wstąpiło trzech odzianych w białe szaty kapłanów.

– Słuchajcie ludzie. Naszemu miastu grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Jak wiecie idzie na nas wielka armia, której nie można pokonać. Ale czy wiecie komu to zawdzięczamy? Czy wiecie dlaczego tutaj idą? Jeśli nie wiecie to posłuchajcie. Ci wrogowie to Orkliny, potężne istoty i niezrównani wojownicy. Nie przyszli do krain po to aby walczyć z Perrunem. Przyszli po to, aby unicestwić Gimur, naszego odwiecznego, upierdliwego wroga. Tym czasem nasz mądry król wysłał tam swoją gwardię, a nasz dzielny kapitan wydaje Orklinom bitwę. Orkliny zostały zaatakowane przez Perrun na ziemiach Gimuru. Jak te istoty miały potraktować ten atak? Wszak była to niczym nie sprowokowana agresja Perruńczyków. Oto Perrun przyszedł Gimurowi z odsieczą. Co w takiej sytuacji mogli zrobić orklinscy wojownicy? Mogli zrobić tylko jedno. Ruszyć na Perrun. A teraz nasz mądry król, chce z nimi walczyć. Zabierają z domu nasze dzieci i wcielają je do wojska. A co robi nasz dzielny kapitan? Pije w karczmie z przyprowadzoną do nas gimurską dziewczką. Czy obecność żołnierzy Gimuru w naszym mieście nie jest potwierdzeniem agresji na Orkliny? Ale to nasze dzieci zostaną wysłane na śmierć a kiedy Orkliny zdobędą miasto, nikt nie przeżyje.

Ale czy musi tak być?

Kapłan zamilkł, patrzył na zgromadzonych ludzi, jakby chciał zobaczyć jakie wrażenie wywarły jego słowa. Na placu było cicho. Ludzie z uwagą słuchali mówcy, kiedy ten jeszcze przemawiał, przytakiwali głowami, zgadzając się z narzuconym im tokiem rozumowania. Zadowolony z osiągniętego efektu kapłan, podjął przerwany temat:

– Jest tylko jeden sposób na uniknięcie zagłady. Trzeba poddać miasto!

Tym razem, słowa kapłana wywołały wśród zebranych niemałe poruszenie. Ludzie otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, zaczęli głośno rozprawiać między sobą.

– To jedyne wyjście! Poddać miasto i prosić Orkliny o łaskę. A może się ulitują i nas oszczędzą. Pytanie tylko czy zechcą nas słuchać, po tym wszystkim co spotkało ich od żołnierzy Perrunu? Być może moglibyśmy wzmocnić naszą pozycję przetargową. A gdybyśmy tak wydali im winnych całego nieporozumienia?

Ax miał tego dość. Usłyszał już wystarczająco wiele. Szepnął do Mandersa żeby został na miejscu a sam wyszedł z tłumu i podszedł do trybuny. Natychmiast zastąpili mu drogę strażnicy świątynni. Ściągnął kaptur i zrzucił z siebie płaszcz. Strażnicy cofnęli się natychmiast a wśród tłumu dał się słyszeć głośny szmer. Ax został rozpoznany. Kapłan momentalnie zamilkł i spoglądał na kapitana wystraszonym wzrokiem. Jednym susem Ax znalazł się na mównicy.

Zwrócił się wprost do kapłanów:

– Chcecie mojej głowy? To ją sobie weźcie! – Następnie zwrócił się do tłumu:

– Przysięgałem że będę bronił obywateli Perrunu i tej przysięgi dotrzymam. Chciałbym się jednak dowiedzieć co takiego przysięgało wam Bractwo Powszechnej Szczęśliwości, że tak tłumnie tu przybyliście aby ich słuchać. Wydaje się wam, że moja głowa uchroni was od śmierci? Głupcy! To nie gwardia zaatakował Orkliny, lecz Orkliny gwardię. Nic ich nie obchodziło czy jesteśmy Perruńczykami, czy Gimurami. Byliśmy jedynie ludźmi do zabicia, przeszkodą na ich drodze. Owszem, najeźdźcy przybyli ze wschodu, ale nieustannie prą na zachód. Gimur był na ich drodze i dlatego już nie istnieje. Najeźdźcy niszczą wszystko co napotkają. Porozmawiajcie z uchodźcami ze wschodu. Porozmawiajcie z Gimurczykami, którzy schronili się w naszym mieście. Owszem, są z nami również gimurscy żołnierze, ale są tu po to, by bronić tego miasta, są po to, by walczyć z naszym wspólnym wrogiem. Wysłaliśmy poselstwo do wszystkich naszych sąsiadów, lecz tylko gimurscy żołnierze są zdecydowani walczyć dla Divy i za Divę umierać. Powiem wam jeszcze że żołnierze Perrunu już kilka razy pokonali tych niezwyciężonych i niezrównanych wojowników. Zapewniam was że można ich pokonać. To dzięki żołnierzom Perrunu mieliście czas, aby zgromadzić plony i schronić się za murami miasta. To dzięki rozpaczliwej

obronie na Rimbie, zyskaliśmy nieco czasu, aby powołać pod broń nowe armie. Tylko dzięki roztropności naszego króla, nie zostaliśmy przez wroga zaskoczeni. Dzięki temu że gwardia została wysłana na zwiad, wiemy o rozmiarach niebezpieczeństwa. Ale jeśli moja głowa może zapewnić wam bezpieczeństwo, to proszę bardzo. Czynię owego kapłana posłem Perrunu do Orklinów. Niech rozmawia z nimi. Jeśli zgodzą się oszczędzić miasto, kosztem mojej głowy, to oddam się w ich ręce. Jeśli jeszcze ktoś chce rozmawiać z Orklinami to niech się zbiera. Jeśli ktoś uważa, że za murami miasta będzie bezpieczny, to niech tam idzie. Niech dołączy do poselstwa naszego mądrego dyplomaty. Jeszcze wczoraj przysięgaliście wierność królowej Melodii, a już dziś gotowi jesteście ją zdradzić za mglistą obietnicę przeżycia. Ale przyznaję że kapłan miał rację. Jeśli miasto padnie, to nikt nie przeżyje. Dlatego musimy to miasto obronić. Dlatego powołujemy i szkolimy nowe armie. Lecz jeśli jest szansa uniknięcia rozlewu krwi, to spróbujemy dyplomacji. Dlatego zabieram ze sobą tych braciszków. Jeden z nich pójdzie do Orklinów, by przekonywać ich do swoich racji. Bo to z nimi powinien rozmawiać, a nie z obywatelami Perrunu. Pozostała dwójka otrzyma zakwaterowanie na murach, by mogli się przyjrzeć z bliska na czym polega żołnierska służba. A teraz ludzie rozejdźcie się! Stojąc tutaj nie pomożecie miastu. Ciągłe potrzebujemy rekrutów, ciągle potrzebujemy rąk do pracy w warsztatach

i przy umocnieniach. Jeśli chcecie się do czegoś przydać to zgłaszajcie się do wyznaczonych punktów, bo nikt za nas tego miasta nie obroni. Nauki skończone! Rozejdźcie się.

* * *

Bestistus był wściekły. Nic nie szło tak jak powinno. Nawet nie podejrzewał że sprawy mogą przybrać aż tak niekorzystny obrót. Cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Najbardziej zdumiewający był wyczyn młodziutkiej królowej. Coś takiego nie powinno mieć miejsca. Zaklęcie było tak potężne, że powinno spopielić każdego, najpotężniejszego nawet czarodzieja. Sam Zuub użył mu niezbędnej do tego zaklęcia mocy. Faktem było, że dziewczyna studiowała magię u Murrena, ale nawet sam nadworny mag, nie sprostaby kulistemu piorunowi. Jakim więc cudem dziewczyna wyszła z tego bez szwanku? Najpotężniejsze zaklęcie tego świata spłynęło po niej jak woda po kaczce. Rozbiło się o jej osłonę i straciło całą moc.

Bell-Zuub z pewnością nie będzie zadowolony. Bell-Zuub był potężny i obiecał podzielić się z nim swoją potęgą. Już teraz czerpał z jego mocy pełnymi garściami, a przecież był to dopiero początek. Tylko jak długo balor, będzie jeszcze znosił jego niepowodzenia. Potrzebował zwycięstwa. Rozpaczliwie potrzebował zwycięstwa. Nie wiedział kim jest istota, z którą się związał, nawet za bardzo go to nie obchodziło, cóż jej moc i w zupełności mu to

wystarczało. Nie było na świecie potężniejszej istoty. Ta moc już prawie była jego. Bell-Zuub obiecał mu przecież władzę nad krainami. Musi tylko doprowadzić do upadku Divy. Zadanie z pozoru wydawało się łatwe, lecz teraz nic nie szło po jego myśli. Wielki Zuub go potrzebował, co stawiało go na uprzywilejowanej pozycji, nie wiedział jednak, jak dużym kredytem zaufania balor go obdarzył. Musiał być czujny. Musiał być bardzo ostrożny. Jeszcze dodatkowo kończył mu się czas. Jutro będzie musiał złożyć w pałacu przysięgę wierności. Myśl ta napawała go tak olbrzymim obrzydzeniem, że aż kwas z żołądka podszedł mu do gardła. Zrobił wszystko co mógł, żeby nie dopuścić do koronacji, ale przegrał i zdawał sobie z tego sprawę. By ostatecznie zwyciężyć będzie się musiał ukorzyć... Będzie musiał paść na kolana, przed tą nic nie wartą dziewczką. Lecz jeśli tego nie zrobi, to będzie miał na karku tego znienawidzonego przybłędę, królewskiego sługusa Axa. Wiedział że musi się go pozbyć, musi znaleźć jakiś sposób. Teraz jednak czekało go ważniejsze zadanie.

Raz jeszcze spojrzał na wyrysowane przez siebie na podłodze runy. Niby wszystko było w porządku, ale wystarczy minimalna nieścisłość, minimalne przekłamanie w linii wzoru, a runy przed niczym go nie ochronią. W obcowaniu z potężniejszymi od siebie istotami, należało zachować szczególną ostrożność. Raz jeszcze musi sprawdzić każdą linię, tym bardziej że do starego wzoru, dodał kilka własnych

zabezpieczeń. Przekuł palec, jeszcze tylko kropla krwi na rozżarzone węgle i ostatnie zaklęcie przywołania.

* * *

Ax obserwował poczynania żołnierzy Pierwszej Ochotniczej. Nie był zadowolony z tego co widział. Tę armię sformowano już prawie miesiąc temu. Składała się ona w zasadzie z samych ochotników. Ci żołnierze przynajmniej mieli entuzjazm, lecz sam zapął, jeszcze nikomu nie zagwarantował przeżycia. Nie mieli żadnych szans w starciu, do którego byli szkoleni, ledwie potrafili trzymać broń. Kapitan uznał, że jak najszybciej musi wysłać do szkolonych armii własnych instruktorów, chociaż wiedział, że zbyt wiele to nie pomoże. Żołnierska kariera ludzi z Pierwszej Ochotniczej, nie będzie zbyt długa. W końcu nie wytrzymał, podszedł do ćwiczącej grupki.

– Posłuchajcie ludzie! Czeką was prawdziwa walka, to nie będzie bójka w karczmie. Zapomnijcie o wymianie ciosów. Tego wroga nie da się w taki sposób pokonać. Tylko głupiec będzie stał na drodze rozpędzonego byka z zamiarem zatrzymania zwierzęcia. Należy zejść z linii ciosu, bo zapewniam was, że nie można ich zablokować. Wasi wrogowie są od was dużo silniejsi, więc wy musicie być sprytni. Jak można powalić kogoś dużo większego i silniejszego od siebie?

– Większego i silniejszego to się nie da powalić. – Bąknął

ktoś z drugiego szeregu.

– I tu się mylisz żołnierzu. A co się stanie jeśli podstawisz wielkoludowi nogę?

– No, przewróci się...

– Ano właśnie, przewróci się, a do podstawienia komuś nogi wcale nie trzeba dużej siły. Trzeba mieć sposób! Chcecie wiedzieć jak można to zrobić?

Oczywiście chcieli wiedzieć, więc skwapliwie kiwali głowami.

– Należy zamarkować atak i wykonać unik. Odskokczyć tak, by wróg przeleciał obok was i wtedy należy uderzyć. Najlepszym miejscem do wykonania cięcia są nogi od tyłu na wysokości kolan. Jeżeli uda się wam przeciąć ścięgna, wróg upadnie i już się nie podniesie, łatwo go wtedy dobić. Kark też jest dobrym miejscem na uderzenie ostrzem. Da się to zrobić! Zwód, unik i atak. Tylko tak możecie z nimi wygrać. Jest ktoś chętny, to pokażę?

Nikt się szczególnie nie wyrywał, więc Ax sam wybrał ochotnika. Kilka razy prezentował jak praktycznie powinna wyglądać omawiana przez niego, przed chwilą akcja, aż wreszcie wydawało się że kilku żołnierzy, zrozumiało istotę pokazu.

Tymczasem przez plac, na spienionym koniu pędził jeden z gwardyjskich zwiadowców. Zatrzymał się przed kapitanem i zeskoczył z siodła. Oddał honory i zameldował świszczącym głosem.

– Już są kapitanie! Jakieś trzy, cztery klepsydry i pewnie będzie ich widać z murów.

Ax skinął głową.

– Dziękuję Noel. Przekaż jeszcze raport do króla i odpocznij. Musimy zamknąć bramy, powiedz królowi że będę na murach przy wschodniej bramie.

Żołnierz uderzył pięścią w pancerz na piersi i ponownie wskoczył na siodło. Ax ruszył w stronę murów.

Zanim ostatecznie zamknięto wschodnią bramę, wypchnięto przez nią kapłana, mającego zanieść poselstwo do przybywającego wroga. Sam poseł specjalnie się nie kwapił do realizacji powierzonego mu zadania. Żołnierze musieli użyć wobec niego siły. Kiedy opadły rygle, kapłan wciąż tkwił pod bramą, błagając by wpuszczono go do środka. Kapitan gwardii postanowił w końcu przywołać go do porządku:

– Słuchaj człowieku! Jeszcze nie tak dawno temu zapewniałeś, że nikt nie musi umierać, proponowałeś ludziom jedyne, słuszne rozwiązanie, więc czemu teraz nie chcesz zrealizować swojego pomysłu? Idź! Przekonaj się o ich pokojowym nastawieniu, przeproś za całe nieporozumienie, przedstaw swoją propozycję. Jeżeli miałeś rację to nie masz się czego obawiać. Pokaż ile warte są nauki bractwa. Ruszaj, za nim będzie za późno, albo sam naszpikuję cię strzałami.

Wreszcie kapłan zrozumiał, że nic nie wskóra. Powoli powlókł się naprzeciw nadchodzącego wroga. Wkrótce

do stojącego na murach Axa dołączyli jego porucznicy. Stali wszyscy w milczeniu, obserwując jak cały horyzont wypełnia się nadciągającą, wrogą armią.

Porucznik Manders wyszeptał ledwie słyszalnym głosem.

– Niech bogowie mają nas w swojej opiece.

Ax pociągnął nosem i spojrzał na Mandersa.

– A widzisz tu jakichś bogów? Bo ja nie.

Manders nic nie odpowiedział, wpatrywał się w horyzont.

Ax postanowił rozwinąć swoją myśl.

– Żadni bogowie nam nie pomogą, jeśli nawet istnieją, to nasze sprawy nic ich nie obchodzą. Jesteśmy zdani wyłącznie na siebie, nie będzie żadnej boskiej interwencji. Jesteśmy tylko my.

Stojący nieco z tyłu Bum-Bam, położył rękę na ramieniu Axa.

– Czy widziałeś kiedyś wiatr kapitanie?

Ax spojrzał na czarodzieja.

– Oczywiście.

– Nie widziałeś wiatru kapitanie. Widziałeś jedynie poruszające się na drzewach liście, lecz samego wiatru nie widziałeś. Nie możesz jednak zaprzeczyć jego istnieniu, ponieważ jest ono oczywiste. Czy budowano by wiatraki, gdyby nie było wiatru? A czy budowano by świątynie gdyby nie było bogów. Czy to że kogoś nie widać, ma oznaczać że go nie ma? Złodzieja, który kradnie sakiewkę też nie widać, ale czy to ma oznaczać, że nie ma żadnych złodziei? Jeśli go

nie ma, to gdzie jest sakiewka? O istnieniu pewnych ludzi czy zjawisk, możemy się jedynie domyślać, na podstawie obserwacji skutków ich działania.

Ax nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną.

– Czego w takim razie dokonali ci twoi obecni bogowie, że masz tak niezachwianą pewność ich istnienia i obecności?

Bum-Bam zmarszczył czoło, ręką gładził swoją bujną brodę.

– Czego dokonali? A czy zastanawiałeś się kiedyś kapitanie skąd wziął się świat? Skąd wziął się człowiek? Czy to wszystko co nas otacza wzięło się z niczego? Czy może była jakaś siła, która poprzez swą wolę sprawiła, że stało się to – na co patrzymy? To tak jak z wiatrem. Nie widzimy boga, lecz widzimy ziemię, widzimy góry, morza, rzeki, tysiące rozmaitych stworzeń. To wszystko – to dzieło boga. Zbyt piękne, zbyt uporządkowane aby mogło być przypadkowe. Abyś mógł ścisnąć teraz w rękę swój miecz, wcześniej musiały mieć miejsce konkretne wydarzenia. Górnik musiał wydobyć rudę, hutnik musiał wytopić z niej żelazo i dopiero kowal wykuł z niego broń. Twój miecz nie powstał z niczego, nie powstał z przypadku. Sprawilo to świadome działanie. Nasz świat również powstał w wyniku świadomego działania a istotę, która tego dokonała, z całą pewnością możemy nazwać bogiem. Świat powstał z magii. Z tej samej magii, która wciąż jest w świecie obecna. Magia, która jest tą, którą posługują się magowie, którą posługują się

ja sam, to jedynie odpryski pozostałe po dziele stworzenia. Im więcej czasu minie od dnia stworzenia świata, tym mniej będzie w nim magii. Kiedyś będzie jej tak mało, że ludzkość zapomni o jej istnieniu, lecz magia będzie zawsze, aż do końca świata, bo świat został dzięki niej stworzony.

– Który zatem z czczonych przez ludzi bogów, jest owym bogiem stwórcą? – zapytał kapitan. Bum-Bam zastanawiał się dłuższą chwilę.

– Być może żaden, a być może wszyscy po trochu. Wielu bogów zostało wymyślonych przez samych ludzi, według ich wyobrażeń i nie są prawdziwi. Boską cześć oddaje się też sługą boga, którzy wszelako bogami nie są. To tak jak król i jego lordowie, mogą się cieszyć sławą, lecz król jest tylko jeden, albo tak jak dowódca wojska i jego oficerowie. Który ze znanych bogów jest bogiem prawdziwym? Nie wiem. Ja nazywam go Stwórcą, Lecz w całym Perrunie nie ma takiej świątyni.

– Poczekaj Bum-Bam, skoro twierdzisz że Stwórca stworzył świat poprzez magię, więc może jest nim ten bóg, którego kapłani dysponują największą mocą.

Bum-Bam wykrzywił wargi.

– No niekoniecznie kapitanie. Posiadana moc to przede wszystkim kwestia talentu i umiejętności, nie traktowałbym jej, jako wyznacznika prawdziwości bóstwa. Magią mogą się posługiwać nawet kapłani wymyślonych bogów, ponieważ magia istnieje niezależnie od nich i czczonych przez nich

bóstw. Tak jak każdy może władać twoim mieczem, jeśli weźmie go do ręki, tak też każdy może władać magią, jeśli oczywiście potrafi. Ja władam magią, a przecież nie wyznaję żadnego ze znanych bogów. Zanoszę modły jedynie do Boga–Stwórcy.

Ax podrapał się za uchem.

– W takim razie niech twój Bóg–Stwórca, ma nas w swojej opiece. – Po chwili jednak dodał pełnym determinacji głosem:

– Ale i tak kurwa możemy liczyć tylko na siebie.

* * *

W międzyczasie na murach pojawił się król z córką. Towarzyszył im minister wojny, generał Bendrys. Monarcha z zainteresowaniem słuchał toczącej się dysputy. Dopiero po jej zakończeniu, zrównał się z dowodzącym garnizonem Axem.

– Rzeczywiście sporo ich...

Kapitan tylko przytaknął kiwnięciem głowy

– Rzeczywiście sporo, ale mam wrażenie że jeszcze przez jakiś czas będą się schodzić. Dopiero wtedy będzie ich sporo.

– Kiedy zaatakują?

Ax wzruszył ramionami:

– Myślę że odczekają jakiś czas. Muszą się wszyscy zejść i chociaż trochę odpocząć. Zajęcie pozycji wokół miasta też zajmie im trochę czasu, no i muszą jeszcze zbudować lub

sprowadzić maszyny. Mogą specjalnie zwlekać z atakiem, aby bardziej nas wystraszyć. Im dłużej będą czekać, tym gorsze będą nastroje wśród naszych żołnierzy i ludności. Najlepiej dla nas było by, gdyby zaatakowali teraz, ale takiego prezentu raczej nam nie zrobią. Myślę że dadzą nam jeszcze kilka dni spokoju, oczywiście będą nas nękać, będą pozorować ataki, ale nie będzie to raczej nic poważnego. Zauważymy kiedy rozstawią się do szturm. Oczywiście ludzie na murach muszą być cały czas gotowi, bo będą nas szarpać, chociaż by po to, aby sprawdzić zasięg naszych katapult i łuków.

– Czy mi się zdaje? Czy jeden idzie w naszą stronę?

Ax przyłożył dłoń do oczu.

– Nie zdaje ci się Panie. Rzeczywiście jeden z nich się zbliża.

– Posel?

– Raczej odpowiedź na nasze poselstwo, pewnie niedługo się przekonamy.

– Wyprawiłeś do nich poselstwo?

Ax z przekąsem przekrzywił głowę.

– No, poselstwem to bym tego nie nazwał, ale wyprawiłem do nich jednego z braciszków Bestistusa, którego wcześniej aresztowałem. Myślę, że za chwilę zobaczymy jego nadzianą na pikę głowę.

Kapitan się nie mylił. Orklin trzymał przed sobą długą włócznię, na ostrzu której była zatknięta, okrwawiona ludzka

głowa. Orklin podszedł na tyle blisko, aby stojący na murach ludzie mogli dostrzec niesione przez niego trofeum. Przez chwilę stał bez ruchu, następnie wbił tyczkę w ziemię. Kiedy zamierzał odejść Ax skinął na swoich łuczników. Jęknęły cięciwy, strzały ze świstem przecięły powietrze. Wszystkie osiągnęły cel, chociaż nie wszystkie się w niego wbiły.

– No to już znają zasięg naszych łuków.

– Jeszcze nie Panie. Na razie tylko wiedzą, że odległość, którą uznali za bezpieczną, wcale taką nie jest. Nie wiedzieli że wysłałem tego człowieka, po to żeby wykonali na nim wyrok, dla nich był to poseł, a jego głowa to ich odpowiedź. Więc my także udzieliliśmy im odpowiedzi: Żadnego paktowania już więcej nie będzie. My wiemy że zabiją każdego, wysłanego do nich posła, a oni wiedzą że z ich posłami postąpimy dokładnie tak samo. Pogaduszki się skończyły, zanim się zaczęły, ale resztę naszych głów, muszą już sobie wziąć sami i będą za nie płacić własnymi.

– Byle by tylko było je komu ścinać.

– Cóż, ciągle jeszcze możemy wycofać się do puszczy, zachodni kierunek jest wciąż otwarty. Przez całe lata będą się za nami uganiać.

Andarandis potrząsnął głową.

– Nie kapitanie. Nie będziemy uciekać. Zatrzymamy ich tutaj.

– Jak sobie życzysz Panie, ale w dalszym ciągu będę się upierał że przynajmniej część przebywających w mieście

uchodźców, powinniśmy tam wyprowadzić. Być może, nawet w puszczy będą mieli większe szanse na przeżycie niż tutaj.

– Być może, ale nikogo nie odprawimy. Wszyscy zostaną w mieście.

Ax zwrócił się w stronę króla i lekko uklonił.

– Jak sobie życzysz Panie.

Znowu stali w milczeniu patrząc w skupieniu na wschód. Czoło wrogiej armii już się zatrzymało, najwyraźniej planowano rozbić obozu, wciąż jednak nadciągały kolejne kolumny, wysyłano je na boki, tak że zaczynali powoli oskrzydlać miasto.

Tymczasem na murach zapanowało jakieś poruszenie. Od strony wieży, mieszczącej prowadzące na dół schody, nadbiegał posłaniec. Uklonił się nisko przed Andarandisem:

– Panie, do zamku przybył Przewodniczący Rady Kościołów arcykapłan Bestistus, pragnie dopełnić formalności związanych ze złożeniem przysięgi.

Król tylko westchnął:

– Ten to sobie zawsze właściwy moment znajdzie...

Kapitan wyraźnie się ożywił. Kolejny oryginalny pomysł, wpadł mu właśnie do głowy.

– To niech czeka. Właśnie zaczyna się oblężenie i królowie Perrunu nie mają teraz czasu na jakieś tam pierdoły, a jutro sam poderżnę mu gardło.

– Nie kapitanie. Złożenie przysięgi to nie są jakieś tam pierdoły, Bestistus może być bardzo cennym

sprzymierzeńcem.

– Nigdy nim Panie nie był i nigdy nim nie będzie, ja tylko mówię że będziemy mieli wystarczająco dużo zmartwień, żeby jeszcze pilnować tego węża, a wiem że martwy już by nam nie szkodził.

– Cenię twoje zdanie kapitanie, lecz jeśli Bestistus sam do nas przychodzi aby złożyć przysięgę, to ją złoży.

– A niech składa, a ja i tak mu nie ufam.

Już mieli odejść kiedy Manders przytrzymał Axa za ramię, pokazując ręką na wschód.

– Atakują!

Kapitan podszedł do zewnętrznej krawędzi. To było bez sensu, ale rzeczywiście Manders miał rację. Wróg wyraźnie się do nich zbliżał. Oddział składał się z ok. 10 000 żołnierzy parł wyraźnie na wschodnią bramę.

– Ogłosić alarm?

– Nie Manders. Spokojnie. Ściągnij tylko tutaj nasze siły z dalszych odcinków muru. Łuki i włócznie wystarczą. Przecież nie rozbiją bramy, nie mają nawet tarana... Chyba że za chwilę zawrócą.

Tak się jednak nie stało. Pomimo ostrzału łuczników, Orkliny wciąż szturmowały bramę. Zaledwie kilkudziesięciu z nich do niej dotarło, niektórym nawet udało się uderzyć w bramę toporem czy młotem, lecz o jej sforsowaniu nie mogło nawet być mowy.

– Jeśli będą tak atakować, to chyba nie mamy się czego

obawiać.

– Nie wiem Panie co o tym myśleć. Tych żołnierzy wysłano na pewną śmierć i nie mam pojęcia po co? Stracili 10 000 wojowników, nic w zamian nie zyskując, w żaden sposób nie potrafię tego racjonalnie wytłumaczyć, to bez sensu, a nie są głupi...

– W każdym bądź razie możemy poinformować naszych poddanych o odparciu pierwszego ataku, a to z pewnością podniesie panujące w mieście morale. Ale szkoda czasu, chodźmy do pałacu bo Bestistus czeka.

Ax wydał jeszcze ostatnie rozkazy i wraz z królem i Melodią udał się na zamek. Całą drogę rozmyślał nad zachowaniem Orklinów. Był przekonany, że ten atak miał jakiś cel, tylko nie miał pojęcia jaki.

* * *

Arcykapłan Bestistus był nieco poirytowany. Jak długo jeszcze będą go trzymać w poczekalni. Była to duża kamienna, prostokątna komnata. Pod ścianami stały nieco toporne, drewniane ławy. Siedziało na nich kilka osób, jacyś mało ważni ludzie, liczący na audiencję u króla. Wielki Brat przechadzał się nerwowo środkiem izby. Towarzyszyły mu spojrzenia pełniących tu służbę gwardzistów. Wreszcie otworzyły się drzwi, prowadzące do audiencyjnej sali. Jakież było zdziwienie Bestistusa, kiedy woźny zaprosił na audiencję pierwszego z siedzących na ławie kmiotków.

To była ewidentna zniewaga, policzek wymierzony w jego godność i urząd. Nie miał jednak innej możliwości, musiał przełknąć tę gorzką pigułkę i czekać dalej. Kiedy poproszono ostatniego z oczekujących wieśniaków, usiadł zrezygnowany na twardej drewnianej ławie. Nie była szczególnie wygodna, lecz siedział na niej bez ruchu, zatopiony we własnych myślach. Został upokorzony. Zwykli wieśniacy zostali potraktowani lepiej od niego. Trzymano go jak psa przed zamkniętymi drzwiami. Wreszcie stanął przed nim woźny:

– Twoja kolej człowieku. Kogo mam zapowiedzieć?

Tego było już za wiele. Bestistus poderwał się z ławy, chwycił woźnego za szaty pod szyją i przyduśił do ściany. Rozwścieczony, wycodził przez zaciśnięte zęby:

– Jestem Bestistus. Arcykapłan Bractwa Powszechnej Szczęśliwości, Przewodniczący Rady Kościołów...

W tej samej chwili po bokach kapłana było już dwóch gwardzistów. Bestistus czoł pod pachami ostrza ich włócznie. Puścił woźnego, powoli się wyprostował i opuścił ręce. Z pewnym ociąganiem, gwardziści cofnęli włócznie. Woźny poprawił swój uniform.

– Zatem pozwól za mną arcykapłanie Bestistusie.

Ruszył przodem. Bestistus podążył za nim. Stojący za kapłanem gwardziści, także przyłączyli się do konduktu. Ostrza ich włócznie były tuż za plecami kapłana.

Sala audiencyjna była raczej skromna. Jediną ozdobę stanowiły stojące w szeregu, w niewielkiej odległości od ścian

kolumny. Pierwsza część była znacznie większa od drugiej. Było to miejsce dla interesantów, oraz urzędników. Część druga, oddzielona była od pierwszej trzema wznoszącymi się stopniami. Ustawione były tutaj dwa trony na jednym z nich siedział król Andarandis. Za jego plecami, pod ścianą stał kapitan gwardii z dwiema drużynami żołnierzy. Również w sali ogólnej, obecni byli rozstawieni pod ścianami, stojący nieruchomo gwardziści.

Bestistus zatrzymał się przed stopniami, eskortujący go żołnierze stali tuż za nim z bronią, gotową do użycia. Kapłan pokłonił się królowi.

– Przybyłem aby dopełnić formalności złożenia przysięgi.

– Bardzo mnie to cieszy Bestistusie, ale królowa Melodia jest w tej chwili nieco zajęta, zaraz wyślę posłańca, będziesz jednak musiał jeszcze trochę poczekać.

Mówiąc to król, powstał z tronu i opuścił salę. Zaraz za nim wyszedł Ax oraz obecni tam dostojnicy. Bestistus został zupełnie sam, nie licząc oczywiście nie spuszcających z niego oczu gwardzistów. Stał otępiały nie rozumiejąc co się dzieje. Oficjalnie był wciąż na audiencji, tyle tylko że nikogo poza nim tutaj nie było, lecz audiencja trwała. Kiedy do sali weszli nowi gwardziści, już miał nadzieję że wreszcie sprawy potoczą się dalej. Tymczasem była to jedynie zmiana warty, pełniących służbę żołnierzy. Po jego bokach stali już dwaj nowi gwardziści, lecz tak samo jak poprzednicy, trzymali w rękach wymierzone w niego, gotowe do pchnięcia

włócznie. Powoli zaczęło docierać do Bestistusa że jest to gra na zwłokę. Był pewien że jest to pomysł znenawidzonego kapitana. Zaczynał rozumieć o co tutaj chodzi. Poczekają do północy a potem zechcą go aresztować za niedopełnienie obowiązku złożenia przysięgi. To musiało być to. Musiał sam przed sobą przyznać że pomysł nie był zły i nawet jemu samemu się podobał, tyle tylko że chodziło tutaj akurat o niego. Nigdy by nie podejrzewał, że Andarandis będzie do czegoś takiego zdolny. Jednak znowu się pomylił. Sala ponownie zaczęła wypełniać się ludźmi. Na koniec wszedł król Andarandis i jego córka, królowa Melodia. Oboje zasiedli na ustawionych dla nich tronach. Melodia rzeczywiście wyglądała jakby oderwano ją od jakichś zajęć, nawet nie włożyła na siebie ceremonialnej szaty. Ubrana była w swój codzienny, dobrze znany w mieście przyodziewek; skórzana kamizelka i obcisłe spodnie z jelonkowej skóry. Całości stroju dopełniały długie, skórzane sięgające kolan buty. Widocznie dla dziewczyny była to również mało znacząca formalność. Arcykapłan pochylił w ukłonie głowę. Kiedy się wyprostował, nieoczekiwanie został zagadnięty przez młodą królową.

– Czy mogę go zobaczyć Bestistusie?

Zaskoczony kapłan nie bardzo rozumiał, co właściwie dziewczyna chciała oglądać. Nieco ochłonąwszy, odpowiedział dyplomatycznie:

– Oczywiście Pani, tylko co chcesz zobaczyć?

– Jak to co? Kamień! Chcę zobaczyć kamień.

– Kamień? Jaki kamień?

Bestistus nawet nie musiał udawać zdziwienia, nie miał pojęcia o co jest pytany.

– Taki czarny, oprawiony w złoto, na złotym łańcuszku. Ten, który jarzy się czarnym światłem.

Bestistus na moment znieruchomiał, lecz maska obojętności nie znikła z jego twarzy.

– Wybacz Pani, ale nie wiem o czym mówisz.

– Och, na pewno wiesz Bestistusie. Chodzi mi o ten kamień, przy pomocy którego nakłoniłeś porucznik Aiche do walki w obronie zdrajcy Olena. To były czary, prawda?

Wielki Brat wyraźnie pobladł. To nie mogła być prawda. Przecież nikt nie mógł o tym wiedzieć. Nawet sama Gimurka, nie powinna o niczym pamiętać. Potrząsnął głową.

– Nie rozumiem Pani... Nie wiem o czym mówisz...

– Rozczarowujesz mnie Bestistusie, a mnie powiedziano że przybyłeś aby złożyć mi przysięgę wierności?

– Ee, no tak, po to przybyłem.

– A to ciekawe. Więc jak wyobrażasz sobie lojalność, wobec faktu zatajanie prawdy?

– Ja, ja nie rozumiem...

Melodia udała zniecierpliwienie, figlarnie przekrzywiła głowę, wpatrując się w kapłana swoimi czarnymi, diabelskimi oczami. Unikał jej wzroku, stał ze spuszczoną głową, wpatrując się w podłogę.

– To może w takim razie porozmawiamy o tresowanych szczurach.

Bestistus nawet nie drgnął, wciąż wpatrywał się w podłogę. Melodia zadała kolejne pytanie:

– Co jeszcze powiedział ci Zuub?

Na sali panowała całkowita cisza, wszyscy spoglądali ciekawie to na Melodię, to na kapłana.

– Opowiedz mi o nim.

– Wybacz Pani, ale nikogo takiego nie znam...

– Jak to nie znasz? Przecież to on powiedział ci o moim pochodzeniu... Jak można nie znać kogoś z kim się o takich sprawach rozmawia? A tak, zapomniałam, dla ciebie jest to Wielki Bell-Zuub. W takim razie opowiedz mi o Wielkim Bell-Zuubie, od dawna mu służysz?

– Nie służę mu, ja nikomu nie służę!

Melodia podniosła się z tronu, stała na wyprostowanych, szeroko rozstawionych nogach, splotła na piersi ręce.

– To bardzo ciekawe Bestistusie. Wydawało mi się że służysz mojemu ojcu... Wydawało mi się że przybyłeś tu po to, aby również i minie przyrzec swoją służbę.

– Nie, nie, to nie tak Pani, wyraziłem się cokolwiek niefortunnie, oczywiście że służę...

Melodia postąpiła krok w przód, podniosła głos niemal do krzyku:

– Dość tego! Mów natychmiast co wiesz o Zuubie! Żarty się skończyły Bestistusie! Straże! Brać go!

Bestistus wyrzucił na boki ręce. Dało się słyszeć coś, jak by trzask. Fala uderzeniowa wywołana przez kapłana powaliła i odrzuciła stojących za nim żołnierzy. Ax poczuł jak jakaś niewidzialna siła, przygniata go do ściany. Przez chwilę nie mógł wykonać żadnego ruchu. Wreszcie angażując wszystkie siły, odepchnął się od ściany. Tymczasem Bestistus kreślił w powietrzu ręką kształt elipsy. Migotliwe, jaskrawe światło wypełniło komnatę. Ax pędził w jego stronę. Lecz wielkiego brata już nie było, zniknął w jarzącej się elipsie. Ax obiema nogami odbił się od pierwszego ze stopni i szczupakiem rzucił w gasnący portal. Nie zdążył. Elipsa znikła tak samo nagle jak się pojawiła. Ax upadł na pustą podłogę.

* * *

Biegli obok siebie na czele drużyny gwardzistów. Ax pamiętał swoje pierwsze doświadczenie z portalem. Wówczas Murren otworzył przejście w królewskiej komnacie, dzięki czemu wraz z królem, mogli niepostrzeżenie i bezpiecznie opuścić pałac. Ax jeszcze długo potem, rozmyślał nad owym fenomenem. Był ciekaw czy można podróżować w ten sposób na duże odległości, bo chociaż pałac opuścili przez portal i znaleźli się w wieży Murrena, to dalszą drogę przebyli w powozie, chcąc dotrzeć do żołnierzy szóstej armii, która stacjonowała na południowej granicy. Ax domyślił się wtedy, że jeden portal musi być w jakimś miejscu, otwarty na stałe, wtedy – była to wieża Murrena. Wówczas mag,

może stworzyć drugie drzwi, w dowolnym miejscu i gdy zachodzi taka potrzeba, może szybko przejść do bezpiecznej komnaty, w której ma stale uruchomiony portal. To musiało tak właśnie działać.

Bestistus posłużył się teraz podobną sztuczką. Było tylko jedno miejsce, do którego mógł uciec, w którym był bezpieczny i gdzie mógł zostawić – na stałe otwarty portal. To był pałac bractwa a w nim prywatna pracownia Bestistusa.

Ax rzucił na biegnącą u jego boku Melodię, ukradkowe spojrzenie. Dziewczyna biegła lekko i bez wysiłku, jej równy oddech świadczył, że znakomicie radzi sobie z rytmem biegu. Wojownik był przeciwny jej obecności, lecz dziewczyna się uparła. Miał ją chronić a nie wystawiać na niebezpieczeństwo. Miał jednak wrażenie, że w ostatnim czasie wiele się zmieniło. To nie była już rozpuszczona, kapryśna dziewczyna. Melodia wydorosłała, stała się osobą w pełni odpowiedzialną i myślącą. Widział czego dokonała, podczas ceremonii koronacji i zaledwie przed chwilą był świadkiem jak owinęła sobie wielkiego brata w okuł małego palca. Wystarczyła jej krótka chwila rozmowy, aby zdecydować się na krok, na który jej ojciec, nie mógł się zdobyć przez kilka ostatnich lat. Szkoda tylko, że nie uprzedziła go o zamiarze aresztowania Bestistusa. Wtedy na pewno, gwardia byłaby w stanie zapobiec jego ucieczce. Wciąż jednak była szansa pojmania kapłana. Wiele jednak zależało od jego zachowania. Jeśli rzeczywiście wrócił do

pałacu i uznał że jest tam bezpieczny, to mają okazję aby go dopaść. Oczywiście istniała spora szansa, że Bestistus zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, być może spodziewa się ich wizyty i już czyni do niej stosowne przygotowania. Było to zresztą bardzo prawdopodobne. Dlatego właśnie kapitan ustąpił Melodii, dlatego wyraził zgodę na jej towarzystwo. Wiedział już że Bestistus nie jest zwykłym przeciwnikiem. Kto wie jakie diabelskie sztuczki, szykował dla nich przebiegły kapłan? Drużyna potrzebowała osłony czarodzieja a ściągnięcie Bum-Bama z biblioteki Murrena, zbyt długo by trwało. Król Andarandis również chciał ścigać Bestistusa, ale na to Ax nie wyraził już zgody. Równie dobrze mogła to być zręcznie zastawiona pułapka. Przynajmniej jeden z królów Perrunu, powinien być poza jej zasięgiem. Ostatecznie to Melodia przekonała ojca że powinien pozostać w pałacu. Oświadczyła bowiem, że skoro już jest królową, to musi zachowywać się jak królowa, że również ona musi być gotowa na poświęcenie wszystkiego dla ratowania Perrunu. Ku zdziwieniu Axa, król przyjął tę argumentację.

Wreszcie dobiegli na plac przed pałacem bractwa. Zatrzymali się przed obszernymi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Było dość zastanawiające, że przed drzwiami nie było strażników. Również na placu nie było nikogo, prócz przypadkowych przechodniów, którzy zajęci byli swoimi sprawami.

Ax przytrzymał Melodię za ramię:

– Nie podoba mi się ten spokój. Plac zawsze wypełniony był ludźmi, gdzie oni są? Czemu przy wejściu nie ma strażników?

Melodia rozejrzała się uważnie. Skinęła głową.

– Mogą czekać na nas w środku.

– Też mi się tak wydaje.

– No to chyba nie możemy zawieść oczekiwań naszych gospodarzy. Skoro czekają, to powinni się doczekać. Wrzucę im do środka małą niespodziankę.

Mówiąc to, Melodia odeszła na kilka kroków, obróciła i stanęła naprzeciw drzwi. Gwardziści przywarli do muru po obu stronach rzeźbionej futryny. Ax słyszał jak dziewczyna recytuje zaklęcie a w jej dłoniach pojawia się mała kulka ognia, która gwałtownie zaczęła rosnąć. Ax potężnym kopniakiem otworzył drzwi i odskoczył na bok. Kula ognia pomknęła do środka. Melodia skoczyła szczupakiem pod ścianę. Ogień eksplodował wewnątrz świątyni. Czerwone jęzory pojawiły się na moment aż przed drzwiami. Niemal w tym samym momencie z holu dobiegły głośnie jęki. Droga została oczyszczona. Ax rzucił się naprzód:

– Za mną! Uważać pod nogi!

Żołnierze natychmiast ruszyli do akcji. Kula ognia znakomicie wykonała swoje zadanie. To było proste zaklęcie, jeden z podstawowych czarów bitewnych, znany nawet przez początkujących magów. Na otwartym terenie, zaklęcie nie czyniło zbyt wielkiej szkody, ale było zupełnie

inaczej, gdy to samo zaklęcie, zostało użyte w zamkniętym ścianami pomieszczeniu. Podłoga była gęsto zasłana trupami i poparzonymi, jęczącymi ludźmi. Pod ścianą przeciwną do głównego wejścia wciąż jeszcze stało, kilkunastu żywych świątynnych łuczników. Nie mieli jednak szansy, aby otrząsnąć się z szoku. Gwardziści już przy nich byli. Ax rozejrzał się po okopconym pomieszczeniu. Nikogo więcej już tutaj nie było. Nagle, otwarto z trzaskiem, kilkoro znajdujących się po bokach drzwi. Świątynni strażnicy z wrzaskiem wpadali do holu. Rozgorzała walka.

– Zablokować wejścia!

Gwardziści natychmiast pośpieszyli do otwartych na oścież drzwi, jednak strażników było zbyt wielu, żołnierze Axa byli powoli spychani na środek sali.

– Do koła! Plecami do siebie!

Nie było innej możliwości, musieli zająć pozycję obronną. Ax zrozumiał, że popełnił kolejny błąd. Tym razem to on nie docenił Bestistusa, nie sądził, że może on mieć aż tylu strażników.

– Nie jest dobrze! Tracimy czas! Musimy się przebić

Walcząca obok kapitana Melodia skinęła głową.

– Jestem gotowa!

– No to do roboty! Schowaj się do kółeczka i przygotuj nową kulkę, jak otworzę drzwi, to oczyścisz korytarz.

Wojownik oderwał się od kręgu i rzucił w stronę drzwi, za którymi był korytarz, prowadzący do komnat Bestistusa.

Melodia zaś, jednym susem wskoczyła do wewnątrz kręgu walczących gwardzystów. Żołnierze natychmiast zwarli szyk, w obwodzie koła nie było żadnej wyrwy.

Ax szybko wyrąbywał sobie drogę. Między nim a drzwiami był jeszcze tylko jeden świątynny strażnik. Wbił mu miecz w gardło i oburącz pochwycił, zanim ten zdążył upaść. Pchnął ciało wprost pod nogi, kilku szarżujących na niego przeciwników. Dwóch zawadziło o zwłoki i upadło. Ten, który przeskoczył nad ciałem, trafił wprost na wysunięty miecz Axa. Jego towarzysze nie żyli dużo dłużej od niego. Jeszcze jeden strażnik, wpadł między Axa a drzwi. Wojownik chwycił go za gardło wolną ręką, a w podbrzusze wbił swój krótki miecz. Wreszcie miał możliwość realizacji właściwego zadania. Kopnął z całych sił, aż się zatrzęsła futryna, drzwi odskoczyły z trzaskiem. Kilkanaście strzał wbiło się w plecy, trzymanego przez niego martwego strażnika. Ax popchnął zwłoki, wyciągnął z nich jeszcze swój krótki miecz i odskoczył na bok. W tym samym momencie przez korytarz popędziła, wysłana przez Melodię kula ognia. Z racji wąskiego korytarza, ta eksplozja była głośniejsza od poprzedniej a płomienie wystrzeliły na kilkanaście stóp w głąb holu.

Ax, co tchu pędził zadymionym korytarzem, tuż przed sobą miał drzwi do gabinetu przyjąć, wszystkie boczne drzwi były przez niego ignorowane. Interesowały go tylko te, które miał przed sobą. Otworzył je kolejnym kopniakiem

i rzucił się szczupakiem pod boczną ścianę. Zanim upadł na posadzkę, zdążył dostrzec kilku łuczników i dwóch mamrocących zaklęcia, odzianych w białe suknie kapłanów. Upadając podciągnął nogi, Drzazga i Zadra były już w jego dłoniach. Sztylety ze świstem przecięły powietrze, biali magowie upadli niemal jednocześnie, żaden z nich nie skończył zaklęcia. Jakaś strzała świsnęła tuż koło jego ucha, inna trafiła w pancerz, odbiła się i złamała, stalowa blacha doskonale spełniała swoje zadanie.

Poturlał się w kierunku najbliższego łucznika, który nerwowo starał się nałożyć na cięciwę strzałę. Nie zdążył. Ax pędził już do następnego. Znowu jakaś strzała ześliznęła się po jego pancerzu.

Łucznik odrzucił łuk i wydobył miecz, lecz była to ostatnia rzecz jakiej w życiu dokonał. Kolejni dwaj również postanowili użyć białej broni, jednocześnie zaatakowali nadbiegającego wojownika. Pochylił się gwałtownie, obaj przelecieli nad nim, kiedy się prostował rozrzucił jednocześnie ramiona. W lewej ręce był nóż, w prawej krótki miecz. Obaj strażnicy upadli bezwładnie na podłogę. W tym momencie do komnaty wbiegła Melodia. W prawej dłoni trzymała swój miecz, zaś lewą rękę wyciągnęła przed siebie, w kierunku trzech kolejnych, stojących w kącie komnaty łuczników. Z pomiędzy rozczapierzonych palców dziewczyny, wystrzeliła błyskawica. Ax widział jak błyskotliwe zygzaki przeskakują na kolejnych, skręcających

się z bólu wrogów. Byli martwi nim do nich doskoczył Mieli przed sobą już tylko jedne drzwi. Tym razem Ax uchylił je delikatnie przy pomocy miecza, sam stał ukryty za ścianą. Nic się nie stało. Przeskoczył na drugą stronę. Również i tym razem nic zauważył żadnej reakcji. Ostrożnie z wyciągniętym mieczem przeszedł przez próg. Komnata była pusta. Trochę przypominało to pracownię Murrena. Podobnie jak tam, było tu mnóstwo książek.

Melodia wśliznęła się tuż za Axem. Uwagę dziewczyny przykuł natychmiast wyrysowany na podłodze wzór. Nie rozumiała tych run. Domyślała się jedynie że są to runy ochronne. Kiedy wreszcie podniosła wzrok ujrzała kapitana, wychodzącego z ostatniej komnaty.

– Tam jest już tylko sypialnia, ale tam też go niema.

Dziewczyna nie zwracała uwagi na słowa wojownika. Podeszła do małego, ustawionego przy ścianie ołtarzyka, przy którym na podłodze wyrysowane były owe tajemnicze wzory. Na ołtarzyku wciąż jeszcze w złotej misie żarzyły się węgle. Melodia spojrzała na kapitana.

– To tutaj rozmawiał z Zuubem.

– A kto to właściwie jest ten Zuub?

Dziewczyna bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Domyślam się jedynie że to jakiś prastary demon.

– No jeśli taki stary to chyba nie może być za bardzo groźny.

Melodia zmarszczyła czoło, potrząsnęła głową i powiedziała:

– Może. Demony się nie starzeją. Są wieczne.

Ax poczuł mrowienie na karku. Przez jego ciało przebiegł dreszcz. Nic nie odpowiedział. Kiedy wracali korytarzem do głównej sali, zawadził o coś nogą. Był to obraz. Z pewnością spadł wcześniej ze ściany. Wojownik podniósł malowidło. Był to portret jakiejś maskary. Długo stał bez ruchu wpatrując się w obraz. Wreszcie zniecierpliwiona dziewczyna zajrzała mu przez ramię. Z odrazą potrząsnęła głową.

– Czy to jakiś twój krewny wujaszku?

Ax nie poznał się na dowcipie. Dłuższą chwilę patrzył na dziewczynę poważnym wzrokiem. Wreszcie rzekł:

– To Orklin.

* * *

Noc minęła spokojnie. Bractwo Powszechnej Szczęśliwości zostało ostatecznie rozwiązane. Majątek i zapasy bractwo uległy konfiskacie. Aresztowano wszystkich ważniejszych kapłanów a pozostałych przy życiu strażników, wcielono do czwartej armii. Było ich około setki. Sama zaś budowla została oddana w użytkowanie przybyłym do miasta uchodźcą, dzięki czemu, kilka tysięcy ludzi zyskało dach nad głową.

Był jeszcze ranek, kiedy na plac przed nowymi koszarami wtoczył się leniwie ciężki wóz, ciągnięty przez parę gorgon.

Ax poznał zapręg. Było to jego zamówienie, specjalnie wykonane dla niego dwa kociołki. Należało je teraz tylko wypróbować. Z ogromnym wysiłkiem wtaszczo kociołki na wschodni mur. W zestawie były również specjalnie przygotowane stojaki, służące do zawieszenia prototypów. Konstrukcja była dość wymyślna, ponieważ musiała zapewnić możliwość zalania kociołka wodą a następnie jego załadowanie i uciekanie pocisków. Służył do tego specjalnie wykonany szeroki podest, na który wchodziło się przy pomocy dwóch stopni. Po załadowaniu, kociołek należało ustawić w pozycji poziomej, służył do tego napinany korbą łańcuch. Była też specjalna zapadka, zabezpieczająca korbę przed cofnięciem. Po tym wszystkim należało już tylko rozpaść pod całą tę maszynę ogień i czekać na wybuch. Ax dwa razy odwracał już klepsydrę i wciąż nic się nie działo. Gdyby zalać urządzenie wrzącą wodą, pewnie by było szybciej. Zaczął się zastanawiać czy przypadkiem nie wlało zbyt mało wody, bo gdyby tak było to próba wcale się nie powiedzie. Podeszedł do kociołka by sprawdzić temperaturę. Metal dopiero się rozgrzewał. To musiało jeszcze potrwać. Tymczasem zebrało się całkiem sporo gapiów, w tym prawie wszyscy jego oficerowie. Spojrzał poza mur, zastanawiając się, jaki też może być zasięg wyrzutu. Dobrze by było, gdyby ów zasięg był większy od możliwości łuku. Domniemywał, że im mocniej uderzą pociski, tym w środku powstanie więcej pary i tym silniejszy będzie wyrzut, lecz wszystko

to, należało sprawdzić. Odruchowo powiódł wzrokiem po obozie Orklinów. Coś się tam działo. Ruch był wyraźny, zarówno na wprost wschodniej bramy, jak i po bokach. Wróg najwyraźniej zajmował pozycję. Jeśli tak było, to rzeczywiście najeźdźcy, nieco się pośpieszyli. Zapomniał o swoich kociołkach, ważniejszy teraz był wrogi atak. Podeszedł do swoich oficerów.

– Ogłosić alarm! Wszystkie jednostki na wyznaczone pozycje. Obsadzić wszystkie katapulty. Pierwsza i Druga Ochotnicza w rezerwie, postawić też w stan gotowości Trzecią i Czwartą Poborową. Oby nie byli potrzebni.

Porucznicy natychmiast pobiegli do wyznaczonych zadań.

Zwarte formacje Orklinów leniwie zajmowały pozycję do szturmy. Być może to dlatego w obozie wroga od rana były bębny. Zastanawiał Axa brak machin oblężniczych. Żadnych katapult, żadnych wież i nawet żadnych taranów. W jaki sposób wróg zamierzał sforsować mury? Nawet drabin nie można było dostrzec. Przecież nie mogli sadzić że rozbiją bramy, chyba, że ktoś by je otworzył od środka. Pamiętał portret z siedziby bractwa, było ich zresztą dużo więcej, cały korytarz był nimi obwieszony. Na wszelki wypadek polecił aby jedna drużyna łuczników pilnowała każdej bramy od środka. Mieli strzelać do każdego, kto będzie się chciał zbliżyć do bramy. Być może, to właśnie planował Bestistus a wciąż był na wolności i prawdopodobnie wciąż był

w mieście. Wprawdzie stracił całe zaplecze, ale to wcale nie czyniło z niego bezradnego przeciwnika. Związek Bestistusa z agresją Orklinów, był dla kapitana aż nadto oczywisty.

Orkliny były już na tyle blisko że gołym okiem można było dostrzec szczegóły ich formacji. W pierwszym rzędzie byli żołnierze wyposażeni w ogromne zbite z drewna osłony. Kilka następnych szeregów to byli łucznicy a dalej ciężko już było rozeznaczyć. Na pewno jednak nie mieli drabin. Chyba że były one starannie ukryte. Ax przywołał łącznika.

– Jeśli wejdą gdzieś w zasięg katapult, to strzelać bez rozkazu.

Goniec natychmiast pobiegł przekazać rozkaz. Na murach zaczęli zajmować pozycje, żołnierze z zaalarmowanych jednostek. Ax podszedł jeszcze do dwóch przykutych do muru aresztowanych wcześniej członków bractwa.

– Witajcie czcigodni bracia, będziecie teraz mieli okazję, aby przemówić do właściwych osób. Waszemu przyjacielowi za bardzo się nie powiodło, ale wam na pewno pójdzie lepiej. Gdybyście jednak stwierdzili że wrogowie nie są skłonni was słuchać to macie tutaj miecze. Możecie się bronić, możecie walczyć w obronie miasta, możecie również dać się zarżnąć. Wasz wybór.

Jeden z żołnierzy wręczył braciszkom krótkie miecze, zostali sami na odcinku długości swoich łańcuchów.

Wszystko już było gotowe, wszyscy obrońcy byli na pozycjach. Niektóre katapulty rozpoczęły ostrzał. Ustawione

były po dwie przy każdej wieży broniącej bramy. Po obu jej stronach. Dla machin przygotowano specjalne obrotowe, podesty. Katapulty nie miały kół, służyły bowiem wyłącznie do obrony, opierały się na potężnych, sztywnych podporach. Miały jednak pewną możliwość ruchu, ponieważ podesty, na których były ustawione, zostały wyposażone w specjalny mechanizm obrotowy, który pozwalał na pewną korektę ostrzału. Zastosowano tutaj potężne przekładnie z kół zębatych, które wprowadzone w ruch przez kołowrót, obracały podest wraz ze zbudowaną na nim machiną. Aby zakręcić kołowrotem, potrzeba było sześciu ludzi. Każdą katapultę obsługiwało łącznie dziesięciu żołnierzy.

Wróg poirytowany nieco ostrzałem musiał się cofnąć, byli już gotowi do walki, czekali tylko na sygnał. Z rozmieszczenia oddziałów wynikało że główny atak, pójdzie na wschodnią bramę, albowiem tutaj najeźdźcy skoncentrowali największe siły. Nieprzyjacielskie bębny nieustannie huczały, aż rozległ się przeraźliwy wrzask. Gwardziści znali ten krzyk, słyszeli go już podczas bitwy na równinie Gimuru, lecz dla reszty perruńskich żołnierzy było to nowe, przerażające doświadczenie. Wrzask był naprawdę nie do wytrzymania. Kilku żołnierzy chciało uciekać z zasłoniętymi uszami, lecz zostali szybko przywołani do porządku.

Najeźdźcy ruszyli. Na czele biegli żołnierze z ogromnymi zbitymi z balików tarczami. Pod osłoną tarcz biegli, potężnie zbudowani wojownicy, na ramieniu każdego

z nich, ułożone były grube zwoje zwiniętej liny, na końcu której uwiązana była sporych rozmiarów żelazna kotwica. Kotwicę trzymali w rękach, starając się aby nie utrudniała im biegu. W następnej kolejności podążali łucznicy, ze względu na zasięg broni musieli zmniejszyć dzielący ich od murów dystans. Za łucznikami biegli zbrojni z zawieszoną na plecach bronią. Wszystko było jasne. Ax już wiedział, jak najeźdźcy zamierzają sforsować mury.

Artylerzyści zwolnili mechanizmy spustowe napiętych katapult, potężne ramiona zatrzeszczały przeraźliwie, wyrzucając w powietrze kamienne pociski. Jęknęły cięciwy łuków, grad strzał spadał na głowy nadbiegających wrogów. Łucznicy wroga również rozpoczęli ostrzał, starając się osłonić idący na mury atak. Lecz i obrońcy posyłali już na wyścigi swoje strzały. Tym czasem wróg był na tyle blisko, że można było użyć włóczni. Rzucone z tak dużej wysokości bez trudu przebijały wrogie pancerze. Mimo to wielu niosącym kotwice miotaczom, udało się dopaść murów, pod osłoną tarcz, przygotowali kotwice do rzutów. Mury były wysokie i wiele kotwic nie osiągnęło celu, lecz wiele innych zahaczyło się o blanki. Miotacze natychmiast obciążyli sznury. Odhaczenie z muru obciążonej kotwicy, było wręcz niemożliwe a jej długa szyjka sprawiała że przywiązana lina była poza zasięgiem ostrzy. Lin nie można było odciąć.

Na coś takiego obrońcy nie byli przygotowani. Spodziewali się drabin, na murze poniewierały się

niepotrzebne bosaki. Nagle powietrzem wstrząsnął potężny huk. Jeden z kociołków odskoczył gwałtownie od krawędzi muru. Spustoszenie jakiego dokonał wystrzał było naprawdę ogromne. W atakujących szeregach powstała nagle wielka dziura, przynajmniej kilkuset wrogów zostało uśmierconych w jednej chwili.

Ax był pod wrażeniem. Nieźle to wypadło. Nie miał jednak czasu na cieszenie się swoim wynalazkiem. Pierwsi żołnierze wroga byli już na murach.

* * *

Andarandis zbiegał pośpiesznie krętymi schodami z obronnej wieży przy wschodniej bramie. Miał już dość bycia jedynie biernym obserwatorem. Wraz z żołnierzami stanowiącymi obsadę wieży, wystrzelał już cały zapas zgromadzonych tutaj strzał. Nie pozostawało już nic innego, jak tylko włączyć się, do toczącej się na murach walki na miecze. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Coraz więcej najeźdźców było na murach. Wielu łuczników zamieniło łuki na ostrza, starając się powstrzymać nieustający napór. Wielu obrońców zdążyło polec pod ciosami potężnych orklińskich wojowników. W wyniku czego ostrzał przedpola znacznie osłabł, co z kolei sprawiło, że wroddy żołnierze coraz łatwiej i liczniej docierali pod mury, gdzie czekały na nich gotowe do wspinaczki liny. Wspinali się jeden za drugim, tak, że na każdej linie wisiało ich kilkunastu. Część kotwic, obrońcy

byli w stanie zrzucić, jednak stojący pod murami miotacze, natychmiast znowu zahaczali je o blanki.

Pojawienie się króla na czele ochraniających go gwardzistów, poprawiło nieco sytuację broniących tego odcinka żołnierzy. Ogólnie jednak rzecz biorąc, położenie obrońców było wręcz rozpaczliwe. Andarandis dostrzegł przez moment walczącego kapitana. Musiał do niego dotrzeć. Trochę to trwało, w końcu jednak królowi udało się przebić. Król i kapitan natychmiast zostali otoczeni przez krąg gwardzistów.

– Jak sytuacja kapitanie?

Ax potrząsnął głową.

– Nie utrzymamy się! Musimy się wycofać do wewnętrznej fortecy!

– Nie! Jeśli to zrobimy to skarzemy ludzi w mieście na śmierć!

– Jeśli tego nie zrobimy to zginiemy i my i oni!

– Nie zostawię ludzi na pastwę Orklinów!

– Mówilem żeby wysłać ich do puszczy, kiedy był jeszcze czas, nie obronimy zewnętrznego muru, jest ich zbyt wielu.

– Wprowadź do walki rezerwy.

– Nie mamy już żadnych odwodów, wszystkie nasze jednostki są już na murach.

– A pierwsza i druga ochotnicza? Myślałem o nich.

– Walczy nawet trzecia i czwarta poborowa. Nie mamy już rezerw. Trzy bramy proszą o natychmiastowe posiłki.

– Naprawdę jest tak źle?

– Jest! Wysłałem tam po drużynę gwardii, ale to nie wystarczy. Musimy się wycofać. Mamy dość ludzi do obrony wewnętrznej fortecy. Tam możemy się bronić całe tygodnie. Zewnętrzny mór jest już stracony.

Król potrząsnął głową:

– Nie możemy się wycofać!

– W takim razie miejmy nadzieję że Orkliny nie lubią ciemności i pójda spać jak się tylko z ciemni, ale za bardzo bym na to nie liczył. A teraz wybacz Panie. Mam robotę.

Mówiąc to Ax skoczył na wdrapującego się na mur Orklina.

Andarandis stał oszołomiony. Przecież nie mogło być aż tak źle. Jak to możliwe, że wysiłek dwóch pokoleń Perruńczyków, okazał się zbyt mały w konfrontacji z pierwszym atakiem wroga? Bezradnie rozglądał się wokół siebie. Kapitan miał rację. Tylko cud mógł ocalić miasto. Przypomniały mu się słowa przepowiedni, że królowie muszą być mądrzy i muszą być gotowi do wielkich poświęceń. Czy teraz ma poświęcić własny naród? Pogodził się z myślą, że poświęci siebie, lecz na takie poświęcenia nie był przygotowany. Ludzie płacili podatek na mury w nadziei, że zapewni im to bezpieczeństwo, tymczasem okazuje się że była to jedynie mrzonka. Królowie muszą być mądrzy... Jaki pożytek odniesie mądry król z uśmiercenia wojska? Jaki pożytek będą z tego mieli ludzie? Jeśli armia zostanie

stracona teraz, to nawet nie będzie komu bronić wewnętrznej fortecy, nastąpi wtedy totalna zagłada miasta. Ax miał rację. Należało ratować to co jeszcze było do uratowania. Jeśli nie można ocalić wszystkich, to trzeba, przynajmniej niektórych. Przynajmniej tych, których ocalić można. To była trudna decyzja, lecz każda chwila zwłoki, oznaczała śmierć kolejnych żołnierzy. Pełną piersią zaczerpnął powietrza, wzniosł w górę głowę, już miał wydać rozkaz odwrotu, gdy zobaczył stojącego na szczycie wieży Murrena. Była to ta sama wieża, którą opuścił nie tak dawno temu. Czarodziej stał nieruchomo na samej krawędzi. Gwałtownym ruchem rozrzucił na boki ramiona. Król zamrugał powiekami, nie był pewien czy może wierzyć własnym oczom. Oto Murrena otoczyły płomienie. Z rąk czarodzieja wystrzeliły ogniste promienie, które spotkały się z dwoma sąsiednimi promieniami. Na dwóch bocznych sąsiednich wieżach również stali czarodzieje. Andarandis słyszał że przybyli do miasta, wiedział też, że zatrzymali się w wieży Murrena, lecz nie miał czasu by się z nimi spotkać. Teraz oto trzech największych czarodziejów w krainach, stało na trzech obronnych wieżach Divy. Ognisty promień utworzył linię między nimi. Stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Wszyscy trzej jednocześnie ruszyli naprzód. Jedyne co przyszło królowi do głowy, to myśl, że czarodzieje postanowili popełnić w ten sposób samobójstwo. Jednak żaden z nich nie spadł w dół, rzeczywiście opadali, ale bardzo powoli. Było

jeszcze coś... W miarę opadania stawali się coraz więksi. Ostatecznie ich postacie osiągnęły gigantyczne rozmiary. Stopami dotykali ziemi, zaś głowami niemal sięgali murów. Łączący ich promień ognia, zamienił się w ścianę, która pochłaniała łakomie wszystko, co było w jej zasięgu. Stojący pod murami miotacze, osłaniający ich tarczownicy, wojownicy wspinający się po linach, wszyscy oni w jednej chwili zostali strawieni przez ogień. Żar był tak wielki, że Andarandis czół go na twarzy. Cała trójka płonących magów, ruszyła jednocześnie naprzód. Orklińscy wojownicy, rzucili się do wściekłego ataku. Zostali pochłonięci przez ogień. Czarodzieje szli coraz szybciej, pozostawiając za sobą wypaloną ziemię i zwęglone zwłoki. Walczący na murach żołnierze szybko uporali się z obecnymi tam Orklinami. Wschodni odcinek muru został oczyszczony i żaden nowy wróg już się tam nie pojawił. Ax natychmiast wysłał ludzi w obie strony, na całej reszcie długości muru, wciąż jeszcze toczyła się zażarta walka. Trójka żagiewników zdążyła już spopielić oddziały szturmujące wschodni odcinek, szybko zbliżali się do orklińskiego obozu. Nastąpiło wtedy coś, czego się nikt nie spodziewał. Najeźdźcy zaczęli się cofać. Ten nieoczekiwany odwrót przeistoczył się w paniczną ucieczkę. Uciekali tak szybko, że płonący magowie, ledwie mogli dotrzymać im kroku. Murren odwrócił się na chwilę, tak jakby po raz ostatni, chciał zobaczyć miasto. Andarandis widział wyraźnie jego płonącą, wykrzywioną ogromnym

bólem twarzy. Poczuł się tak, jak gdyby to on sam znajdował się wśród tańczących płomieni. Dopiero teraz zauważył że tuż obok niego stoi Melodia. Dziewczyna wczepiła się w jego ramię, była blada jak kreda, po policzkach spływały łzy.

– To czar płomiennej trójcy... Najpotężniejsze zaklęcie ognia. Tylko najwięksi czarodzieje są do niego zdolni. Zaklęcie samo z siebie zwielokrotnia ich moc. Moc środkowego maga jest mnożona przez 3, wynik jest znowu mnożony przez 3 i jeszcze raz przez 3. To dlatego jest tak potężne...

Melodia chciała jeszcze mówić, lecz głos uwiązł jej w gardle, jedynie mocniej ścisnęła ramię ojca. Andarandis przytulił córkę.

– Murren nas ocalił.

Melodia otarła rękawem nos, łamiącym się głosem zaczęła znowu tłumaczyć:

– Oni się spalają... Ogień czerpie moc z ich bólu, im bardziej cierpią, tym większy płomień. Taka jest cena tego zaklęcia, a Bum-Bam przez cały czas utrzymuje na nich zaklęcie ochrony przed ogniem, ale jego zaklęcie ich nie chroni... Jest po to, żeby dłużej żyli... Żeby dłużej cierpieli...

Nie była w stanie mówić więcej, wtuliła się w ramię ojca, nie potrafiła powstrzymać płaczu.

Żołnierze wracali z bocznych odcinków. Mury zostały oczyszczone. Ax stanął przed królem.

– Atak został odparty.

Andarandis skinął głową, wpatrywał się w płonących magów. Ax podążył za wzrokiem monarchy. Czarodziej z lewej strony, potknął się i upadł. Ściana ognia między nim, a pozostałą dwójką, zaczęła się rwać. Murren jakby zbierał siły. Z jego płonących dłoni, w ślad za uciekającym wrogiem, popędziła ogromna kula ognia. Czarodziej po prawej też się zatrzymał. On miał najbliżej do uciekających wrogów. Nie rzucił kuli, ogień wydobył się z jego ust. Ognisty podmuch pochwycił i pochłoniął najbliższe Orkliny. Ci, którzy uniknęli podmuchu, nawet się nie obejrżeli, uciekali najszybciej jak mogli. Jednak wydech wyczerpał czarodzieja, osunął się na kolana i upadł. Stał jeszcze tylko Murren. Jeszcze jedna kula ognia pomknęła za najeźdźcami, była już jednak znacznie mniejsza od poprzedniej. Czarodziej raz jeszcze obrócił głowę w kierunku miasta, zachwiał się jak pijany i upadł. Postacie wszystkich trzech magów gwałtownie zmały, ogień przygasał. Stojący na murze ludzie nie byli w stanie wypowiedzieć słowa, stali i patrzyli. Milczenie przerwała Melodia:

– To dlatego nie włączali się do walki... Oszczędzali siły na ten czar... Oni wiedzieli...

Znowu zapanowała dzwoniąca w uszach cisza. Zadudniły na murze czyjeś kroki. Przed Axem zasalutował dowódca straży więziennej.

– O co chodzi sierżancie?

– Więzień Olen zbiegł.

Kapitana aż odrzuciło.

– A to jakim cudem?

Sierżant był wyraźnie zakłopotany.

– Zgodnie z rozkazem zabrałem ludzi na mury. Lochu pilnowało dwóch żołnierzy. Zostali zabici. Olena nie ma w celi.

Ax przygryzł wargi, ledwie słyszalnym głosem wyszeptał tylko:

– Bestistus.

* * *

W sali obrad panowało skupienie. Obecni byli wszyscy ministrowie. Miejsce Bestistusa, zajęła Altaka – kapłanka bogini Ilmetrysy. Wszyscy wsłuchani byli w słowa, składającego raport, dowódcy garnizonu. Ax stawiał długie, powolne kroki, idąc wzdłuż stołu wewnątrz podkowy. Jakoś nie potrafił ustać na miejscu. Starał się mówić rzeczowo i w sposób dla wszystkich zrozumiały:

– Szturm został odparty wyłącznie dzięki poświęceniu trzech czarodziejów. Jednym z nich był nadworny czarodziej Murren. Pozostałych dwóch przybyło do miasta na jego wezwanie, nawet ich nie znałem... Lecz to właśnie oni, uratowali nam skórę. Dzięki nim, miasto wciąż istnieje. To oni są prawdziwymi bohaterami.

Naszym żołnierzom, również nie można niczego zarzucić.

Wszyscy stanęli na wysokości zadania. Walczyli dzielnie, gotowi raczej zginąć, niż przepuścić wroga. Ponieśliśmy w tej bitwie ogromne straty. Jeszcze trwa liczenie zabitych, wstępne szacunki to ponad 30 000 ludzi. Trzecia i Czwarta Poborowa, przestały praktycznie istnieć. Konieczne jest przeformowanie armii, trzeba też pomyśleć o uzupełnieniu stanu. Mimo determinacji naszych żołnierzy nie byliśmy w stanie, obronić zewnętrznego muru. Wszystkie nasze siły, okazały się niewystarczające, nie byliśmy w stanie obronić muru na całej jego długości.. Wróg zastosował nieznana dotąd taktykę, na którą nie byliśmy przygotowani. Do szturmowania miast używa się wież oblężniczych, taranów i drabin. Tu nic takiego nie miało miejsca. Najeźdźcy użyli kotwic.

W tym momencie, do kapitana podszedł jeden z gwardzystów, podając dowódcy orklińską, szturmową kotwicę. Ax wziął ciężkie żelastwo.

– To właśnie jedna z tych kotwic, mamy ich dużo więcej. To dobre żelazo. Zrobimy z nich groty do strzał i włócznie. Zobaczcie jak jest zbudowana. Te trzy pazurki sprawiają, że kotwica zahaczy się o każdą krawędź a ten długi czpień uniemożliwia odcięcie przywiązanej do niej liny. Strasznie to ciężkie i żaden człowiek nie jest w stanie podrzucić tej kotwicy, na tyle wysoko, aby zaczepiła się o krawędź naszego muru. Musimy jednak pamiętać, że nasi wrogowie nie są ludźmi. Wyobraźcie sobie jaką muszą dysponować

siłą. Na szczęście nie wszyscy byli zdolni do użycia tych kotwic. Mieli do tego zadania specjalnie wyznaczonych żołnierzy a i spośród nich, nie wszystkim się to udawało. Mam wrażenie że wróg nie spodziewał się, aż tak wysokich umocnień. Otoczyli miasto i zaatakowali jednocześnie ze wszystkich stron, ale popełnili błąd. Gdyby podzielili swoje siły równo, byłoby już po nas i nawet poświęcenie naszych czarodziejów nie wiele by w tej kwestii zmieniło. Główne siły skoncentrowali od wschodu, tutaj też było najwięcej kotwic. Cała reszta ataków miała jedynie na celu rozciągnięcie naszej obrony. Oczywiście otwarcie, którejkolwiek z bram, równałoby się zagładzie miasta. Nie wiem jakim cudem Murren przewidział tę niezrozumiałą dla mnie strategię, ale wykorzystał ją idealnie. Trzecia część armii wroga przestała istnieć. Murren dał nam szansę. Wróg nie jest już zdolny do powtórzenia takiego ataku. Oczywiście wciąż są groźni, wciąż mają nad nami miażdżącą przewagę liczebną, ale nie zagrażają już miastu w takim stopniu jak poprzednio. Zdążyli się już zebrać i wrócić do obozu. Niestety nie jesteśmy w stanie przeprowadzić kontruderzenia. W dalszym ciągu musimy się bronić, lecz nasze położenie, mimo poniesionych strat, jest w chwili obecnej dużo korzystniejsze niż było przed atakiem. Decydującą rolę podczas obrony odegrał ogień. Wprawdzie nie mamy już czarodziejów, ale ogień mamy i możemy się nim posłużyć. Najważniejsze, to nie wpuścić wroga na mury i ogień nam w tym pomoże. Wystarczy że napełnimy baryłki

wrzącą oliwą, a do każdej beczułki przymocujemy mocno skręconą i nasączoną smołą szmatę, którą trzeba podpalić. Wystarczy zrzucić barylkę z murów, rozbije się na ziemi, a oliwa rozleje i zapali. W ten sposób pozbędziemy się lin i miotaczy. Dużo kotwic stracili, dzięki Murrenowi stracili również najlepszych miotaczy kotwic. Z tym co im zostało powinniśmy sobie poradzić.

Jest jeszcze coś nad czym musimy się zastanowić, a mianowicie ich magia. To chyba dlatego Murren przewidział ich zachowanie. Powiedział nam że, te istoty nie znają strachu, że czerpią siłę ze swej liczebności, a ja myślę że każdy z nich z osobna jest tchórzem! Są odważni, dopóki są w kupie, lecz co się dzieje, kiedy tę kupę się rozgoni. Murren ją spalił. Orkliny początkowo atakowały czarodziejów, tracili pewność siebie w miarę marszu naszych magów, aż w pewnym momencie, ci którzy jeszcze żyli, rzucili się do ucieczki. Myślę że stało się tak dlatego, że zasadnicze zgrupowanie przestało istnieć. Gdyby w ich obozie były większe siły, niż te wystawione w polu, to dalej parliby do walki. Boczne ataki też się załamały prawie w tym samym momencie, a przecież oddziały walczące od strony puszczy nie mogły wiedzieć co się dzieje na wschodzie. Myślę że to po prostu czuli, poczuli strach pozostałych. Dlatego sądzę, że nie będą już rozciągać swoich sił. Jeżeli ta ich magia ma działać, to muszą trzymać się razem. Jak długo są w kupie – są silni. Właśnie dlatego myślę że mamy

szansę. Ta ich magia jest jednocześnie ich słabością, ich przekleństwem. Może jest to dobre w czasie bitwy w polu, ale tutaj mają do czynienia z ogromnymi murami. Pierwszy atak przeprowadzili wzorcowo i niewiele brakowało żeby się powiódł, ale wciąż żyjemy i wiemy już czego się po nich spodziewać. Obronimy to miasto.

Ax umilkł na chwilę, wreszcie się zatrzymał i omiół wzrokiem salę.

– Jeśli są jakieś pytania dotyczące bitwy, to chętnie na nie odpowiem.

Generał Bendrys uniósł nieco głowę.

– Podobno użyłeś kapitanie, jakiejś magii podczas obrony?

Ax potrząsnął głową, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Nie użyłem żadnej magii, nie jestem czarodziejem.

– Walczyłem po zachodniej stronie, ale nawet tam słysząc było potężny huk – Bendrys nie dawał za wygraną.

– Ten huk to nie była żadna magia, a jedynie próba nowego rodzaju broni. Jeśli kocioł zaleje się wodą i zakorkuje, a następnie rozpali pod nim ogień, to w pewnym momencie nagromadzona wewnątrz para, wyrzuci korek i właśnie stąd ten huk. Mamy dwie takie kociołkownice, niestety, nie zbyt wielki z nich pożytek. Mają wprawdzie niezły zasięg i spore rażenie ale strzelają wtedy, gdy same uznają, że przyszedł na to czas. Ogień trzeba rozpalać dużo wcześniej, aby w środku

zebrało się wystarczająco dużo pary, nie można jednak dokładnie przewidzieć kiedy nastąpi wybuch. Równie dobrze pociski mogą spaść na pusty teren, gdy nikogo już tam nie będzie. Zamierzam jeszcze użyć kociołkownic do ostrzelania wrogiego obozu, ale podczas obrony, nie będzie z nich zbyt wielkiego pożytku. Wciągniemy je na wschodnią wieżę i ustawimy nie poziomo, lecz skierowane nieco w górę, tak aby osiągnąć największy, możliwy zasięg. Mam nadzieję że pociski spadną wtedy na obóz wroga. Będą musieli, jeszcze trochę się cofnąć i zawsze będzie kilku mniej. Musimy ich eliminować w każdy możliwy sposób. Przy każdej nadarzającej się okazji.

W tym momencie do sali wszedł jeden z pełniących służbę gońców. Nie bardzo wiedział jak się ma zachować i do kogo zwrócić. Był to kurier z Czwartej Poborowej. Armie zawodowe zostały wycofane do koszar. Kapitanowi zależało, aby żołnierze zdążyli należycie wypocząć. Akurat teraz nie spodziewał się ataku. Na murach została Pierwsza i Druga Ochotnicza, oraz niedobitki z Poborowej. Goniec podszedł do kapitana i szepnął komendantowi coś do ucha. Sprawa musiała być ważna, bo Ax nie zwrócił nawet uwagi na sprzeczne z regulaminem zachowanie. Zamienił z posłańcem kilka słów. Wszyscy widzieli jak w jednej chwili pobladł i stał jak skamieniały. Kurier niezręcznie wycofywał się w kierunku drzwi. Król Andarandis, podniósł się z krzesła.

– Co się stało kapitanie?

Ax jakby otrzeźwiał, wyprostował się i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Wróg otrzymał posiłki, jest ich więcej niż było...

* * *

Była już noc. Melodia siedziała w kucki na podłodze swojej komnaty. Otaczały ją sterty książek. Za sprawą stojącego na podłodze świecznika, jaj drobna postać, rzuciła na ścianę ogromny cień. Były to księgi z komnaty Bestistusa. Kazała je tutaj sprowadzić, zaraz po tym jak zdobyli pałac bractwa. Miała nadzieję, że coś tu znajdzie. Przecież musiało być w tych księgach coś użytecznego. Zwłaszcza teraz, gdy nie było już Murrena, a ona sama była jednym z ostatnich żyjących w Perrunie magów. Pierwsza selekcja ksiąg, miała wykluczyć te, które na pewno się nie przydadzą. Było ich rzeczywiście sporo, z tego prostego powodu że napisane były w języku, którego nie знаła. Nie potrafiła go nawet nazwać. Jeśli Bestistus je czytał, to musiał być nie byle jakim mędrce. Reszta księgozbioru nie przedstawiała się szczególnie atrakcyjnie. Mimo to, podzieliła księgi na kategorie. Nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że marnuje czas. Wiedza, której potrzebowała z całą pewnością, była ukryta w tych niezrozumiałych dla niej woluminach. Była jeszcze prywatna biblioteka Murrena, tam też mogło coś być, lecz i ta wiedza była dla niej niedostępna. Murren dbał o swoją prywatność. Uczniom nie wolno było wchodzić do jego

pracowni. Zresztą dla ich własnego dobra. Gabinet Murrena był magicznie zabezpieczony. Był to o wiele skuteczniejszy sposób, niż wszystkie klódki i najwymyślniejsze nawet zamki. Tylko mag mógł próbować tam wejść, lecz wiązało się to z bardzo poważnym ryzykiem. Dziewczyna nie miała żadnych wątpliwości, szansa przełamania zaklęć Murrena była, naprawdę minimalna, a każda taka próba, mogła się tragicznie zakończyć. Uwierzyła że ma moc, była przecież Kar-Szi, chociaż nie miała pojęcia, co to właściwie oznacza. Podczas koronacji, zadziałała instynktownie, nie do końca zdając sobie sprawę z tego co właściwie robi. Zadziałała instynktownie, to instynkt sprawił, że wyrzuciła w górę rękę, po prostu najzwyczajniejszy w świecie odruch. Chciała się zasłonić i pomyślała o tarczy. Do tej pory nie wiedziała dlaczego to zadziałało. Jednak udało się. Osloniła siebie i ojca. Gdyby jeszcze tylko wiedziała w jaki sposób tego dokonała? Moc wyzwoliła się sama. Magia odpowiedziała na potrzebę chwili, na niezaplanowane, spontaniczne wezwanie. Kilka już razy, ilekroć była sama, próbowała to powtórzyć, był to jednak daremny trud. Czuła się jak dziecko, które ściska w rękę stylisko topora, a nie ma siły by go podnieść. Potrzebowała wiedzy. Musiała jednak zdobyć ją sama. Wiedziała, że przezroczysty elf, już więcej nie przyjdzie, nawet nie wiedziała jak miał na imię, a przecież zasłużył na ludzka pamięć. Poza nią, nikt nawet nie wiedział o jego istnieniu. Żałowała, że nie potrafiła lepiej wykorzystać,

ofiarowanego jej czasu. Od Murrena również nic już się nie dowie. Wciąż nie mogła pogodzić się ze śmiercią mistrza. Murren ich ocalił. Wiedziała tylko, że nie może pozwolić aby to poświęcenie okazało się daremne. Diva musi przetrwać a ludzie muszą przeżyć. Gdyby chociaż mogła z kimś na ten temat porozmawiać...

Nagle pewna, szalona myśl wpadła jej do głowy: Po co właściwie ma szukać zapisków o Zubbie, skoro z nim samym może sobie pogawędzić... Jeżeli Bestistus rozmawiał z demonem, to najwyraźniej było to możliwe. Przypomniały jej się dziwne rysunki w komnacie Bestistusa. Wiedziała że były to runy ochronne. Przed czym lub przed kim, mogły ochraniać kapłana? Że też wcześniej o tym nie pomyślała. Znała kilka niskopoziomowych zaklęć przywołujących. Wiedziała też, że wcale nie potrzeba wielkiej mocy do kontaktu z demonem. Jeżeli demon uzna spotkanie za atrakcyjne, to sam na nie przybędzie. Był to w zasadzie, pewien rodzaj zaproszenia. Wystarczy tylko wypowiedzieć jego imię i rzucić zaklęcie. Słyszała o wielu takich próbach. Szkoda tylko, że wszystkie znane jej historie kończyły się śmiercią zaklinacza. Podobno czasem demon materializował się w świecie ludzi, siejąc śmierć i spustoszenie, ale temu właśnie miały zapobiec runy Bestistusa. Arcykapłan twierdził że nikomu nie służy, musiał więc do każdego spotkania należycie się przygotowywać. Wstała z podłogi. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Musi spróbować.

W otoczeniu drużyny gwardzistów, biegła pustymi już o tej porze ulicami miasta. Wokół niej płonęły trzymane przez żołnierzy pochodnie. Kapral Norbik nie był zadowolony. Ilekroć wpadały dziewczynie do głowy, jakieś szalone pomysły, to zazwyczaj miało to miejsce na jego służbie. Było to tym bardziej irytujące, że do północy nie zostało już dużo czasu i jego drużyna została by złuzowana. Miał jedynie nadzieję, że wizyta w pałacu bractwa nie potrwa zbyt długo. Zastanawiał się czego też królowa, może tam o tej porze szukać. Wątpił aby spodziewała się znaleźć Bestistusa, gdyby zresztą miało tak być, to z całą pewnością towarzyszyłby im kapitan. Gwardia wciąż poszukiwała arcykapłana. Musiało chodzić o coś innego. Zresztą, co by to nie było, jego zadaniem było chronienie dziewczyny i był gotów wywiązać się z tego obowiązku. Jeśli będzie trzeba, odda za nią życie.

Na placu przed pałacem, panował spokój. Zwolnili. Szli teraz ostrożnie, bacznie się rozglądając. Jacyś ludzie, pośpiesznie cofnęli się w cień, na widok żołnierzy. Nie podobało się to kapralowi, powinni to sprawdzić. Jednak Melodia zdawała się niczego nie dostrzegać, zmierzała wprost do drzwi. Na rozkaz Norbika, dwóch żołnierzy pobiegło przodem, znikli za masywnymi drzwiami. Kapral zastąpił dziewczynie drogę. Wiedział że tego nie lubi, lecz

wykonywał jedynie swoje obowiązki, nie pozwoli jej wejść do środka, zanim nie wrócą wysłani zwiadowcy. Melodia zatrzymała się tuż przed kapralem, westchnęła głęboko, mierząc go niecierpliwym spojrzeniem.

– Będziemy tak stać do rana?

Norbik nie wydawał się być zakłopotany.

– Będziemy stać tak długo, jak będzie trzeba. Bestistus wciąż jest na wolności, zdrajca Olen – też. Bractwo miało spore grono zwolenników. Nie wejdziemy tam, póki nie będę miał pewności że możemy tam wejść.

– Nie przesadzaj, mieszkają tu teraz normalni ludzie, i pewnie śpią.

– A gdzie się podzieli zwolennicy Bestistusa, gdzie są ci wszyscy, których bractwo karmiło? Jestem pewien że to właśnie oni koczują teraz w świątyni. Każdy może mieć ukryty sztylet, jak mam upilnować setki śpiących ludzi. Wystarczy że tylko kilku się obudzi, nie ma to jak zdradziecki cios w plecy. Piękna sprawa. Dopiero by się wielki braciszek ucieszył.

– Hm, może masz i rację. Wiesz co? Udajmy, że kogoś szukamy. Wtedy nikt się nie domysli, po co właściwie tu jesteśmy.

– A po co właściwie tu jesteśmy? Bo sam chciałbym wiedzieć.

– Muszę po... Muszę poszukać czy kogoś tu nie ma.

– Dobra, rozumiem. Już szukamy.

Zza drzwi wyłoniło się dwóch wysłanych żołnierzy.

– W środku śpią ludzie

– No to już się naspali – Norbik sprawiał wrażenie, jakby cała sytuacja zaczynała go bawić, a może uważał że skoro on nie śpi, to i inni – też nie powinni.

Weszli wszyscy do środka. Melodia z kapralem i dwójką żołnierzy po bokach, stanęła przy ścianie po prawej stronie od wejścia. Pozostali gwardziści, budzili śpiących ludzi i kolejno przyprowadzali przed oblicze młodej Królowej. Melodia kręciła głową i ludzie odprawiani byli na zewnątrz. Dziewczyna zauważyła ze zdziwieniem że byli tu głównie mężczyźni, wszyscy zdawali się być jacyś niespokojni. Czyżby rzeczywiście mieli coś do ukrycia. Spodziewała się zastać tutaj przede wszystkim kobiety i dzieci, tymczasem z obecnych tutaj mężczyzn można by uformować kilka pełnych oddziałów. Rzeczywiście było to dziwne. Zaczęła baczniej obserwować, stawianych przed nią ludzi. Na jednym z nich nieco dłużej zatrzymała wzrok. Człowiek był niespokojny, wyraźnie zdenerwowany...

– Przeszukać go!

Dwóch żołnierzy natychmiast, pochwyciło wskazanego za ręce, zaś trzeci rozpoczął przeszukanie. Nie znaleziono nic szczególnego: nóż, złotą monetę i małą sakiewkę z jakimś żółtawym proszkiem. Melodia rozsypała proszek na dłoni, wysunęła rękę w kierunku trzymanego za ręce właściciela sakiewki.

– Co to jest? – Zapytała.

Mężczyzna jakby pobladł, próbował się wyrwać, lecz gwardziści nie zamierzali mu na to pozwolić. Melodia zrobiła krok w przód, stała tuż przed zatrzymanym.

– Pytam po raz ostatni, co to jest? – Mężczyzna uparcie milczał. Uniosła dłoń z proszkiem na wysokość jego twarzy

– W takim razie, zjedz to! – Mężczyzna rzucił się gwałtownie, chcąc się wyrwać trzymającym go żołnierzom, nie zdołał jednak tego uczynić. Norbik dopadł do niego jednym susem. Chwycił człowieka za twarz, wbijając palce między żuchwę a górną szczękę, zmusił go do rozchylenia ust. Melodia natychmiast wykorzystwała okazję, błyskawicznie przycisnęła dłoń z proszkiem do rozwartych szczęk człowieka. Bronił się, chciał wypluć, lecz kaprał uderzył go nasadą dłoni w podbródek, powodując natychmiastowe zwanie szczęk. Dociskając żuchwę, zatkał jednocześnie nos mężczyzny, zmuszając go do połknięcia proszku. Ciałem człowieka wstrząsnęły drgawki, na jego ustach pojawiła się piana, a zaraz potem krew. Rzucił się gwałtownie, tak, że żołnierze ledwie mogli go utrzymać. Wreszcie się wyrwał, lecz tylko po to, aby bezwładnie upaść na podłogę. Był martwy. W świątynnym holu nikt już nie spał. Ktoś zaatakował nożem zbliżającego się do niego żołnierza. Włócznie gwardzisty była szybsza. Przy zabitym również znaleziono złotą monetę i sakiewkę z żółtawym proszkiem. Następnym dwudziestu nie miało przy sobie nic podejrzanego. Jednak kolejny, sam

połknął posiadany proszek, zanim gwardziści zdążyli go pochwycić. Także i on posiadał złotą monetę. Było jeszcze sześć identycznych monet, jednak wszyscy ich właściciele wybrali śmierć z własnej ręki. Wreszcie hol opustoszał. Melodia poprowadziła żołnierzy do komnaty Bestistusa. Wreszcie miała to, po co tu przyszła. W komnacie nie było nikogo. Po wyrysowanych uprzednio na podłodze runach, nie zostało nawet śladu.

* * *

Kandas z zainteresowaniem wpatrywał się w rozsypany na stole żółtawy proszek. Drewnianą szpatułką, rozgarniał usypaną górkę, jakby spodziewał się że jeszcze coś ciekawego tam znajdzie. Udało mu się wreszcie odizolować pojedynczą grudkę. Poślinił palec i dotknął nim stołu, w miejscu gdzie znajdowało się maleńkie ziarenko. Grudka proszku, przykleiła się do palca. Zbliżył palec do oczu, obracał nim tak aby obejrzeć grudkę z każdej, możliwej strony. Następnie zbliżył nieco palec do nosa i kilkakrotnie wciągnął powietrze. Wzruszył ramionami i wydał wargi. Jakiś czas przyglądał się grudce, wreszcie wysunął język i dotknął do niego palcem. Tajemnicze ziarenko znikło w jego ustach. Smakowanie trwało dłuższą chwilę.

– O cholera! – Kandas splunął na podłogę. Podbiegł do stojącego w rogu izby wiadra. Drewnianym kubkiem zaczerpnął wody, nabrał jej w usta i zaraz wypluł wszystko

na podłogę. Powtórzył płukanie jeszcze kilka razy.

– Ależ to cholerstwo mocne, pali jak wszyscy diabli.

Kapral Norbik ze spokojem obserwował poczynania kapłana. Dopiero co wrócił z pałacu Bestistusa. Noc i tak była już stracona, zresztą będzie miał wolne po służbie, a sprawa wydawała się ważna. Kandas był wściekły z powodu przedwczesnej pobudki, słońce dopiero co wzeszło, a nie miał zwyczaju wstawać o tak wczesnej porze. Teraz jednak żółtawy proszek, pochłonał go bez reszty. Kapral splótł ręce na piersi.

– No i co o tym myślisz?

– Co myślę? – Kandas zastanawiał się przez chwilę, znów podszedł do stołu z rozsypanym proszkiem.

– Myślę że to doskonała trucizna, wręcz idealna. Nawet nie podejrzewałem, że może istnieć coś takiego. Doskonała pod każdym względem.

Kandas spojrział nagle na wiadro z wodą. Ponownie zaczerpnął wody i z drewnianym kubkiem w ręku podszedł do stołu. Postawił kubek na blacie i wsypał do niego szczyptę proszku. Wsypane grudki niemal natychmiast wchłonęły wodę i bardzo szybko zaczęły opadać na dno kubka. Nim zdążyły sięgnąć dna, cały wsypany proszek uległ rozpuszczeniu. Woda w kubku była tak samo klarowna jak wcześniej. Kandas powtórzył eksperyment jeszcze dwukrotnie. Nic nie wskazywało, aby ktokolwiek mógł nabrać podejrzeń, że wodę w kubku czymś nasyciono.

– Doskonała trucizna, bezbarwna i bez zapachu, rozpuszcza się błyskawicznie bez potrzeby mieszania, praktycznie nie do wykrycia, a biorąc pod uwagę moc jednej grudki, musi być bardzo silna, szkoda że nie możemy jej przetestować. – Kendas westchnął i opadł na krzesło, nie mógł jednak oderwać oczu od cudownej substancji.

– Ilu ludzi można by tym wytruć?

Kapłan zmarszczył brwi.

– A bo ja wiem, jeśli jest to tak dobre jak mi się zdaje, to dużo...

– Dużo to ile? 10, 20?

Kandas obdarzył kaprała pogardliwym spojrzeniem, z politowaniem kiwał głową.

– Myślę że ten woreczek wystarczyłby, żeby załatwić całą armię...

– Armie? Przecież to 10 000 ludzi...

– Wiem ilu żołnierzy liczy armia, a o ile pamiętam, to chyba ja ciebie uczyłem liczyć.

Pod kapralem ugięły się nogi, aż oparł się plecami o ścianę izby.

– A co by się stało, gdyby ten woreczek wsypać do studni?

Kandas drgnął, sprawiał wrażenie jakby go nagle olśniło, tym razem z uznaniem spojrzał na kaprała, na wysokość głowy wzniosł rękę z wyprostowanym wskazującym palcem.

– To musi być to! Idealne zastosowanie dla tak idealnej rzeczy. Cała woda w studni zostanie wtedy zatruta – po

krótkiej chwili dodał jeszcze – doskonała trucizna.

Kapral Norbik zrobił się szary na twarzy, tak szary jak ściana, o którą się opierał. Dłuższą chwilę stał jak sparaliżowany, z trudem łapał powietrze. Wreszcie zebrał się w sobie na tyle, aby zakomunikować drżącym głosem.

– Zbieraj się Kandas. Idziemy do kapitana.

* * *

Ax nerwowo przechadzał się wzdłuż ściany swojej niewielkiej izby. Kwatera kapitana była tylko nieco większa od kwater oficerskich. Różniła się jeszcze tym, że na łóżko przewidziano oddzielną komnatę. Sam gabinet nie wyróżniał się niczym szczególnym. Na środku stało duże biurko, wiecznie zasłane stertą papierów, przy nim kilka krzeseł, pod ścianą szafa i stojący w kącie kufer. Obok szafy stał kapral Norbik z Kandasem. Melodia siedziała z boku biurka, na jednym z krzeseł. Papiery na biurku były, od tej strony zsunięte, a na blacie leżało kilka niewielkich, skórzanych sakiewek. Kapitan zatrzymał się gwałtownie i zwrócił do Kandasas:

– Możesz przygotować odtrutkę na tę truciznę? – Kapłan bezradnie rozłożył ręce.

– Gdybym wiedział co to jest, z jakich składników zostało zrobione, to być może, wtedy mógłbym coś pomyśleć... Ale tak... Nie ma szansy...

– Więc nic nie możemy zrobić?

– Możemy zadbać żeby to coś nie dostało się do naszych studni.

– To co tutaj jest, na pewno się tam nie dostanie, ale co jeśli jest tego więcej?

Przez dłuższą chwilę, nikt nic nie mówił. Ax ponownie rozpoczął swoją wędrówkę wzdłuż ściany.

– A w ogóle to jakim cudem żeście na to wpadli? – Tym razem pytanie skierowane było do Melodii. Dziewczyna wzruszyła jedynie ramionami.

– To czysty przypadek. Chciałam coś sprawdzić w pracowni Bestistusa... Nic nie wiedzieliśmy o truciznie.

Kapitan, znów się zatrzymał, obrzucając dziewczynę badawczym wzrokiem.

– Ale po jaką cholerę polazłaś tam w środku nocy? – Dziewczyna westchnęła.

– Gdy byliśmy tam pierwszym razem, na podłodze w pracowni były wyrysowane runy. Mało o tym wiem, więc chciałam je zbadać, ale niestety nic z nich nie zostało... Może gdybym wybrała się tam wcześniej... A tak, cóż, wszystko przepadło. Na szczęście nie była to daremna wyprawa. Bo dzięki niej, udało nam się chyba odkryć kolejny ruch Bestistusa. Zastanawiająca jest też, ta złota moneta, przy każdym, kto posiadał truciznę. Myślę że to zapłata – Ax skinął głową.

– Myślę że masz rację i musimy szybko coś z tym zrobić.

Podszedł do drzwi, otworzył je, do pełniącego tam służbę

żołnierza rzekł:

– Wołaj natychmiast oficera dyżurnego!

Żołnierz uderzył pięścią w pancerz na piersi i już go nie było. Nie minęło wiele czasu, gdy w komnacie kapitana zameldował się porucznik Berg.

– Słuchaj Berg. Sprawa jest ważna. To co widzisz na biurku to cholernie niebezpieczna trucizna. Podejrzewamy, że bractwo Bestistusa zamierzało zatruć wodę w mieście. Nie mamy pewności czy przechwyciliśmy wszystko, nie mamy też pewności czy któraś ze studni, już nie została zatruta. Postaw wartowników przy każdej studni w mieście, niech przeszukują dokładnie każdego kto przyjdzie po wodę. Szukamy takich sakiewek, albo takiego żółtego proszku, albo takich złotych monet. Aresztować każdego, kto będzie miał chociaż jedną z tych rzeczy. Jeśli w mieście ktoś zapłacił lub zapłaci taką złotą monetą, to też chcę o tym wiedzieć, trzeba go znaleźć i też zatrzymać do wyjaśnienia. Trzeba też sprawdzić wodę w każdej ze studni. Mamy w lochu kilku braciszków Bestistusa. Na pewno są spragnieni, dajcie im pić. Dopiero jak przeżyją, pozwól czerpać wodę ludziom. Szczególnie dokładnie sprawdź studnie w koszarach. Wszystko jasne? –Berg skinął głową.

– Wykonać!

Porucznik zasalutował i zniknął za drzwiami. Ax zwrócił się do dziewczyny:

– Co jeszcze możemy zrobić? – Melodia pokręciła głową.

– Miejmy nadzieję że to wystarczy.

– Oby – dodał po chwili kapitan. Podeszedł następnie do biurka i ważył w ręku jedną z sakiewek.

– Skoro Bestistus zadał sobie aż tyle trudu, to szkoda by było, żeby to zmarnować. Nie uważacie że powinniśmy wykorzystać tę truciznę?

Wszyscy wpatrywali się w kapitana. Melodia odezwała się pierwsza:

– Nie rozumiem...

Ax krzywiąc wargi i drapiąc się w podbródek, na nowo podjął swoją przerwana przechadzkę.

– No bo pomyślmy... Mamy na zewnątrz wroga, który ma nad nami miażdżącą przewagę. Mamy też wroga wewnątrz, któremu bardzo zależy na naszej klęsce. Gotów jest nawet posłużyć się trucizną, aby tylko dopiąć swego. Bardzo im się śpieszy i gotowi są dopuścić się każdej zbrodni. Ta trucizna była przeznaczona dla nas, ale skoro wpadła w nasze ręce, to dlaczego nie użyć jej przeciwko nim?

Milczący dotąd Kandas, ze świstem wypuścił z płuc powietrze, z podziwem patrzył na dowódcę.

– Myśl jest przednia, tylko, jak to zrobić?

Ax cmoknął, przekrzywiając jednocześnie głowę powiedział nieco przytłumionym głosem:

– Idealnie by było zatruć wodę w ich obozie... Zastanawiam się tylko czy jest to wykonalne? Być może w nocy, dobry zwiadowca mógłby się między nimi przedrzeć... Ryzyko jest

spore, ale chyba warto je podjąć...

Kandas klasnął nagle w dłonie:

– Myślę że nie warto! Bo jeśli go złapią, a złapią go na pewno, to cała ta doskonała trucizna, po prostu przepadnie, a szkoda by było. Gdyby udało mi się, zrobić z niej balsam, to moglibyśmy zatruć nim nasze strzały, wtedy każde draśnięcie, będzie oznaczało wyeliminowanie wroga. Wiem że nie wszystkie strzały dojdą celu, sporo połamie się na pancerzach, ale chyba lepszy taki sposób, niż ryzyko utraty wszystkiego?

Kandasowi śmiały się oczy. Pomysł rzeczywiście nie był zły.

– A dasz radę zrobić taką maść?

– Myślę że tak, zaraz wezmę się do roboty, potrzebuję tylko odpowiedniego roztworu stężającego.

Kapitan skinął głową.

– Dobrze Kandas, w takim razie bierz się do pracy, a ty Norbik prześpij się trochę, dzień dopiero się zaczyna...

Ax zamarł przez chwilę w bezruchu.

– Słyszycie? – Oczy wszystkich zwróciły się na kapitana.

– Bębny biją! W obozie wroga biją bębny. Trzeba natychmiast ogłosić alarm! Wszystkie jednostki na pozycje...

Mówiąc to Ax wybiegł z izby, w ślad za nim wybiegł Norbik i Kandas. Melodia jeszcze przez chwilę siedziała nieruchomo na swoim krześle, jakby się nad czymś zastanawiając. Wreszcie podniosła się, zdecydowanym

ruchem sięgnęła po leżące na biurku sakiewki z żółtawym proszkiem.

* * *

Żołnierze pośpiesznie wbiegali na mury. Na szczytach wież, pod ogromnymi, wypełnionymi oliwą kotłami, rozpalano ogień, obok stały rzędy pustych jeszcze baryłek. Specjalne wozy rozwoziły po murach, dodatkowe zapasy, świeżo wyprodukowanych strzał i włóczni. Obrońcy szykowali się na odparcie kolejnego ataku.

Najeźdźcy zajmowali pozycje do szturm. Ax obserwował ich poczynania ze wschodniej wieży. Wiedział już, że ten atak będzie inny. Tym razem nie otaczali miasta. Widział dokładnie, gdzie kończą się skrzydłowe oddziały. Wróg zamierzał szturmować jedynie 3 bramy od wschodu. Jednak koncentracja sił wydawała się raczej niewielka. W pierwszym rzędzie (podobnie jak i za pierwszym razem) stali tarczownicy, za nimi kłębiły się szeregi łuczników. Tym razem jednak wróg zamierzał użyć machin. Na każdą z bram przeznaczono po trzy tarany. Prócz taranów były jeszcze wieże oblężnicze, które posuwały się bardzo powoli i majestatycznie. Trudno było zgadywać, ilu ludzi potrzeba było do ich przemieszczania. W każdym bądź razie maszyny nabierały tempa. Kiedy zbliżały się do zasięgu katapult, ruszyli tarczownicy, a w ślad za nimi strzelcy. Ostrzał z murów już trwał. Kapitan postanowił wzmocnić

wschodni odcinek, oddziałami zajmującymi pozycję na zachodzie, pozostawiając tam, jedynie minimalną obsadę. Kurierzy pędzili co tchu, aby przekazać rozkazy. Artylerzyści napinali ramiona katapult na cały przewidziany naciąg, pociski musiały polecieć jak najdalej. Pierwsza salwa nie wyrządziła w zasadzie żadnych szkód, jednak celem katapult były maszyny. Ładowano więc na wyrzutnie, ogromne i ciężkie głazy. Dopiero na podstawie pierwszego strzału, artylerzyści mogli dokonać stosownej korekty, biorąc oczywiście poprawkę na stale, acz powoli malejący dystans. Druga salwa unieruchomiła, jeden z taranów, zmierzających do północno-wschodniej bramy. Łucznicy wroga byli już na tyle blisko, że rozpoczęli ostrzał. Stojący na murach zbrojni, pochwycili parawany. Specjalnie do tego celu szkoleni żołnierze, starali się osłaniać przed strzałami obsługę katapult. Wprawdzie ostrzał wroga, utrudniał nieco akcję obronną na murach, lecz wyrządzane w ten sposób szkody, były stosunkowo niewielkie. Za to ziemia przed murami miasta, była już gęsto usłana trupami. Natychmiast jednak, poległych łuczników zastępowali nowi strzelcy. Do biegu ruszyli uzbrojeni w kotwice miotacze. Jednak tym razem, obrońcy byli na to gotowi. Wrząca oliwa, już była rozlewana do specjalnie przygotowanych, wyposażonych w zapalniki baryłek. Gdy tylko kotwice, zahaczały o blanki, natychmiast zrzucano w tym miejscu beczułkę. Baryłka rozbiła się w zetknięciu z ziemią, a rozlany olej

natychmiast się zapalał. Nawet, jeśli płomień nie obejmował od razu wiszącej liny, to skutecznie uniemożliwiał, dostęp do niej. Napastników, którzy w ten sposób dostali się na mury, tym razem nie było zbyt wielu i szybko z nimi kończono. Artylerzyści mieli względny spokój, mogli więc skupić całą uwagę na machinach oblężniczych. Udało się unieruchomić trzy tarany i dwie wieże. Inne dwie zostały uszkodzone, lecz wciąż powoli parły naprzód. Najgorsza sytuacja była przy południowo-wschodniej bramie. Wszystkie trzy tarany, były wciąż sprawne, udało się wprowadzić zatrzymać jedną z wież, lecz tarany wciąż stanowiły ogromne zagrożenie. Było jasne że przynajmniej jeden z nich osiągnie cel. Wysłano tam dodatkowe wsparcie łuczników i włóczników, lecz tarany były osłonięte i nie na wiele, to wszystko się zdało. Tarany były bardzo podobne do tych budowanych przez ludzi, tyle że nieco większe. Ogromna kłoda zawieszona była linami do zbudowanej z belek konstrukcji. Całość przykrywał spiczasty, dwuspadzisty dach, który doskonale osłaniał, pracujących w środku żołnierzy. Trzy masywne, zakończone ogromnymi kołami osie, zapewniały konstrukcji możliwość przetaczania. Zadaniem zgromadzonych pod dachem żołnierzy, było dopchnięcie maszyny pod bramę. Blokowano wtedy koła i wprowadzono w ruch wiszący pień. Solidna brama, nie od razu ustępowała pod naporem uderzeń, było to jednak wyłącznie kwestią czasu.

Zgoła inna była rola wież oblężniczych. By były one

skuteczne, musiały być nieco wyższe, od szturmowanych murów, a co za tym idzie, ich podstawa musiała zapewniać konstrukcji wystarczającą stabilność. Im wyższa była wieża, tym było to trudniejsze. Szczyt wieży, niczym specjalnym się nie wyróżniał, było to po prostu miejsce, gdzie umieszczano łuczników, którzy z racji wysokości, byli równorzędnymi przeciwnikami dla broniących murów ludzi, a ich głównym celem była osłona właściwego ataku. Na uwagę zasługiwała natomiast czołowa ściana wieży, która jednocześnie zapewniała osłonę łucznikom. W rzeczywistości był to ruchomy pomost. Kiedy wieża zbliżyła się dostatecznie blisko, pionowa ściana opadała, pełniła teraz rolę poziomego trapu, łączącego wieżę z murami. Od pomostu aż do ziemi, zrobiona była pochylnia, po której atakujący żołnierze, bardzo szybko wbiegali na szczyt konstrukcji. Jeśli obrońcy dopuścili do desantu, momentalnie znajdowali się w poważnych tarapatach.

Na szczęście wieże, były jeszcze stosunkowo daleko. Mimo to Ax wydał rozkaz dla wszystkich katapult, aby w pierwszej kolejności niszczyć, te właśnie maszyny. Jeśli chodziło o tarany, to i tak, wróg będzie mógł w danej chwili, użyć tylko jednego z nich. Kiedy dotrze on do bramy, to jednocześnie zablokuje do niej dostęp dla pozostałych. Zostaną wówczas zatrzymane, więc staną się o wiele łatwiejszym celem. Zaś taran atakujący bramę, nie zniszczy jej od razu. Wrota jakiś czas wytrzymają. Być może,

wystarczy wtedy czasu do spalenia natrętnej maszyny. Oslaniający żołnierzy dach wykonany był z drewnianych bali, wystarczy zrzucić kilka wypełnionych wrzącym olejem baryłek, żeby taran stanął w płomieniach. Wieże były dużo groźniejsze. Ax był pewien że taranów, użyto głównie dla odwrócenia uwagi, ale oczywiście nie można ich było lekceważyć. Kolejne dwie wieże, zostały unieruchomione, w trzecią trafiono tak, że podwozie zostało nietknięte, lecz kamienny pocisk, rozbił doszczętnie opuszczany pomost, czyniąc maszynę praktycznie bezużyteczną. Mimo to, wciąż popychano ją naprzód. Pierwszy z taranów był już przy Bramie Niedźwiedzia. Potężne uderzenie zatrzęsło jej potężnymi skrzydłami. W tej samej chwili, z góry poleciały dwie baryłki. Spiczasty dach, natychmiast stanął w ogniu. Zadaszenie miało chronić przed strzałami, jednak jego twórcy nie uwzględnili rozgrzanej oliwy. Olej skapywał z dachu, wprost na głowy i barki, chroniących się pod nim żołnierzy, ich wrzaski słychać było, aż na murach. Mimo to nie zaprzestali ataku, taranujący pień wciąż uparcie tłukł w bramę, do której już zmierzał przygotowany do szturm oddział. Ostrzał broniących bramy łuczników, skupił się na tym właśnie oddziale. Na taran zrzucano kolejne dwie baryłki. Cała maszyna stała już w płomieniach. Stało się wtedy coś niespodziewanego. Płonący taran zaczął się wycofywać. Koła ustawiono w taki sposób, aby jak najszybciej wykonać skręt i odblokować drogę do bramy. Manewr się powiódł. Droga

do bramy była wolna. Następny wrogi taran, natychmiast skorzystał z tej okazji. Płonąca machina została zastąpiona przez inną. Obrońcy nieco się pośpieszyli z baryłkami oleju. Musieli czekać na nowe.

Ax zbiegał po kilka stopni naraz. Na dole, pod Bramą Niedźwiedzia, czekała już na niego cała pierwsza kolumna gwardii.

– Formuj klin!

Żołnierze natychmiast zmienili ustawienie. Formacja przyjęła kształt wąskiego, długiego klina. Ax zajął miejsce na samej szpicy. Jeden z młodszych kadetów podał mu natychmiast parawan.

– Zewrzeć szyk – brzmiała kolejna komenda.

Od bramy oderwała się jakaś deska, kilka innych już wyraźnie odstawało od pozostałych, górny, prawy zawias ledwo trzymał.

– Odsunąć się od bramy. Droga dla wojska.

Podpierający bramę ludzie, cofnęli się pospiesznie. Ledwie zdążyli odskoczyć, gdy prawe skrzydło bramy zeskoczyło z górnego zawiasu i z trzaskiem opadło na ziemię. Napastnicy powinni teraz wycofać taran, aby zrobić miejsce dla szturmujących zbrojnych. Tak też się stało. W otwartej w połowie bramie, kłębił się przez chwilę jedynie dym i kurz.

– Dziękuję za wszystko kapitanie. To był zaszczyt...

Ax spojrzał na twarz stojącego tuż obok Mandersa.

– Co ty pieprzysz dzieciaku?

– Nasze przeznaczenie za chwilę się dopełni...

– Pieprzyć przeznaczenie!

Ax niemal wykrzyknął ostatnie słowa, zwątpienie było najgorszym wrogiem wojownika. Żołnierz musi robić swoje, jeśli nawet polegnie, to walcząc o zwycięstwo. Ku zdziwieniu kapitana, kilku najbliższych stojących gwardzistów powtórzyło okrzyk, w następnym momencie powtórzyła go cała kolumna. – Pieprzyć przeznaczenie! – Ax pokręcił głową, To nie był autoryzowany okrzyk bojowy. Ryknął więc na całe gardło – Perrun! Perrun! – Pierwsza kolumna ochoczo podchwyciła okrzyk.

Lewe skrzydło rozbitej bramy odskoczyło gwałtownie i oczom żołnierzy ukazali się pierwsi napastnicy.

– Teraz!

Pierwsza kolumna gwardii ruszyła biegiem w stronę bramy, roztrącając i tratując atakujących wrogów.

* * *

Czuła ich obecność. Była pewna że są w pobliżu. Dzieliła ich niepewność i niepokój. Obserwowała wydarzenia z południowej wieży, ojciec zabronił jej zbliżać się do wschodniego odcinka, lecz południowa wieża, była dla niej, jak najbardziej dostępna. Wieża zachodnia byłaby lepsza do nawiązania kontaktu. Nie chciała jednak, oddalać się za nadto od miejsca bitwy. Z południowej wieży mogła obserwować zarówno skraj puszczy jak i walkę przy

południowo-wschodniej bramie. Sytuacja nie była dobra. Wiedziała że brama została wyważona, gwardziści własnymi ciałami zasłonili powstały wylom. Brama Niedźwiedzia, rozpaczliwie potrzebowała wsparcia. Nie była pewna swoich osądów, coś takiego nigdy wcześniej nie miało miejsca, ale czuła że się nie myli. Czuła ich obecność. Wiedziała że zebrały się w wielkiej liczbie. Wołały do niej. Były gotowe. Czekwały tylko na sygnał.

Dotknęła dłońmi czoła, zamknęła oczy, pozwalając, by myśli same się rozwinęły. Była między nimi, czuła ich niepewność i niepokój. Bały się, lecz były gotowe stanąć u jej boku. Próbowwała je uspokoić. Gromadziły się wokół niej, czuła na twarzy ich niecierpliwe, gorące oddechy.

Sytuacja była cokolwiek dziwna. Z jednej strony, były gotowe ją wspomóc, ale jednocześnie miały nadzieję, że ich nie wezwie. Zawahała się. Jakże miała prawo, aby wysyłać je na śmierć? Co z tego, że to one ją znalazły? Była ich siostrą, lecz, czy miała prawo decydować o ich życiu i śmierci. To nawet nie była ich wojna, a może jednak była? Przecież w jakiś sposób były świadome, wiedziały co się dzieje, przecież to one ją znalazły. Przyszedł jej na myśl przezroczysty człowiek. Wraz z tym wspomnieniem pojawił się żal i smutek. Jakże bardzo brakowało jej tego starca. Dużo bardziej niż mistrza Murrena. Pamiętała jak się zezłościła, gdy zapytał ją o wagę, a chciał jej powiedzieć tylko tyle, że wystarczy mały kamyk, aby przeważać pozostające

w równowadze szalki. Miała teraz sposobność, aby taki właśnie kamyk, na jednej z szalek położyć. Nie była pewna czy jego ciężar będzie wystarczający, ale wiedziała, że może dołożyć kamyk. Wątpliwości znikły, musiała zrobić to, co zrobić należało. Zawołała w swych myślach, najgłośniej jak mogła.

– Przybywajcie! W imię jednej krwi – przybywajcie.

Otworzyła oczy, zwróciła na wschód zaniepokojone spojrzenie. Do Bramy Niedźwiedzia zbliżał się kolejny wrogi oddział. Była zła, że nie pozwolono jej wziąć udziału w bitwie. Mogła tylko bezradnie patrzeć, jak giną jej przyjaciele, jak giną walczący na murach żołnierze. Bezczynność była nie do zniesienia. Mogła tylko stać i patrzeć, a przecież jej miejsce było wśród walczących żołnierzy. Odwróciła się, skierowała wzrok na zachód. Nie była pewna, czy dobrze widzi? Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Na miejsce walki zmierzały tysiące wilków. Biegły, tuż obok siebie, ze zjezoną na karku sierścią. Głodne krwi, biegły z wyciągniętymi do przodu szypkami. Na twarzy dziewczyny pojawił się szeroki uśmiech.

– Dziękuję bracia, dziękuję...

Walczący przy wschodniej bramie gwardziści, otrzymują za chwilę niespodziewane wsparcie.

Usłyszała nagle dochodzące z dołu wrzaski i skowyty. Zaskoczona opuściła wzrok. Zdrętwiała z przerażenia. Południowa brama, była szturmowana. Tuż przy murze pojawiła się nagle wieża oblężnicza. Za wieżą podążała cała

chmara gotowych do szturmów zbrojnych. To właśnie tych żołnierzy zaatakowały wilki. Stała jak otepiała, nie wiedząc co się dzieje. Przecież, jeszcze przed chwilą nikogo w tym miejscu nie było, a odcinek był niemal pozbawiony obrony. Żołnierze na wieży, byli tak samo zaskoczeni, jak ona. Stali jak z paraliżowani, wytrzeszczając przerażone oczy.

Dziewczynie przypomniały się słowa Murrena: „O wielkości maga, nie decyduje moc posiadanych przez niego zaklęć, lecz umiejętność ich właściwego wykorzystania” Coraz bardziej była na siebie zła. Obok niej stali zwykli żołnierze, ona zaś była jedynym magiem w tym towarzystwie. Żołnierze mogli być zdziwieni, lecz ona – nie miała do tego prawa. Czy nie było dziwne, że wróg atakuje tak wąskim frontem? Zamiast stać beczynn timer i użalać się nad sobą, mogła to przecież sprawdzić. Wystarczyłby prosty czar, jakim było wykrycie niewidzialności. Wrogowie skorzystali z zaklęcia niewidzialności grupowej. Było oczywiste że nie dokonał tego, byle czarodziej, lecz nawet byle czarodziej, nawet taki czarodziej jak ona, mógł to wykryć. Dopóki wrogowie pozostawali bierni, byli niewidzialni. Podeszli bezkarnie pod same mury. Dopiero atak wilków sprowokował ich do działania i całe zaklęcie prysło. Ludzi mogli oszukać, lecz wilków – nie.

– Nie stójcie tak! Napiąć łuki! Zebrać ludzi do zablokowania wieży! – Melodia pierwsza otrząsnęła się z szoku. Żołnierze natychmiast napięli cięciwy, strzały

ze świstem przecięły powietrze. Towarzyszący dotąd dziewczynie gwardziści, pośpiesznie zbiegali po krętych schodach prowadzących na poziom muru. Zostało przy niej dwóch ludzi. Żołnierze na murze, biegli do miejsca desantu. Nie mieli szansy. Było oczywiste, że nie powstrzymają szturm. Melodia była zdruzgotana. Gorączkowo próbowała zebrać myśli. Wiedziała, że musi coś zrobić. Musi wyrównać siły. Szaleńcza myśl wpadła jej do głowy. Skoro atakuje ich armia demona, to nich też demon, stanie w ich obronie. Przyzwie demona i zmusi go do walki po ich stronie. Nie była pewna, czy to się uda, nigdy czegoś takiego nie próbowała, ale, co miała do stracenia? Potrzebowała tylko imienia – imienia demona. Tylko Zuub przychodził jej na myśl. Gorączkowo przeszukiwała zakamarki pamięci, czytała o demonach, musi pamiętać...

– Sun–Surm –wyszeptała cicho, kreśląc dłońmi w powietrzu sobie tylko znane kształty.

Jej usta szeptały śpiewnie skomplikowane zaklęcie. Lewą ręką wskazała miejsce na murze, a prawą nakreśliła w powietrzu elipsę. Na cały głos zakrzyknęła: Sun–Surm!

We wskazanym przez nią miejscu, powietrze zaczęło powoli falować. Falowało coraz szybciej, przechodząc w migotanie. Ogromna elipsa jarzyła się czerwonym, płomiennym światłem. Powietrze rozdarł przeraźliwy ryk. Cała elipsa stała w płomieniach. Ogień znikł tak samo nagle, jak się pojawił. W miejscu elipsy stała, ogromnych

rozmiarów poczwara. Wielki, rogaty łeb z wydłużonym, najeżonym kłami psim pyskiem. Potwór przysiadł na zadzie, prawie nie miał szyi. Potężne barki. Niesamowicie długie, zakończone szponami ramiona, opierały się o podłóżę. Bestia wyprostowała się, prostując tylne nogi. Szponiaste ramiona zostały wzniesione do góry, na plecach rozwinęły się groteskowe, skórzaste skrzydła. Demon rozejrzał się zaciekawionym wzrokiem. Natychmiast spostrzegł stojącą na pobliskiej wieży dziewczynę. To jej zawdzięczał, to nieoczekiwane zaproszenie. Skorzystał z okazji, bo jak mógł nie skorzystać? Nikt w świecie śmiertelników nie mógł mu się równać, a i w jego domenę większość balorów, wołała schodzić mu z drogi. On sam, chociaż nie należał do pierwszego kręgu, uznawał jedynie zwierzchnictwo Zuuba. Przez tysiące lat nie miał w zasadzie nic ciekawego do roboty, dręczenie pomniejszych demonów, przestało go bawić całe wieki temu. Nawet nie marzył, że w świecie śmiertelników, narodzi się kiedyś, ktoś na tyle głupi żeby go wezwać. Musi tylko rozszarpać tę głupiutką, kruchą istotkę i będzie wolny.

* * *

Taran zbliżał się do Bramy Lwa. Wymknął się już z zasięgu katapult. Wszystko wskazywało na to, że już nic go nie powstrzyma. Andarandis obawiał się że północno-wschodnia brama, podzieli za chwilę los Bramy Niedźwiedzia.

– Napełniajcie baryłki –zwrócił się do żołnierzy

obsługujących kocioł z oliwą.

Spojrzeni po sobie nieco niepewnym wzrokiem. Taran był jeszcze stosunkowo daleko, a jeśli baryłkę napełniło się wrzącym olejem zbyt wcześnie, to olej stygł i stawał się niepalny.

– Napełniajcie mówię – król zaczynał tracić cierpliwość. Żołnierze z pewnym ociąganiem, przystąpili do wykonania rozkazu.

– Szybciej! Nie możemy dopuścić żeby taran podszedł pod bramę. Trzeba rzucić beczułki tak daleko, jak się tylko da. Nie przejdą przez ogień. A jeśli będą próbować, to tym lepiej dla nas, bo zapalą się dużo wcześniej. Ruszajcie się!

Ta argumentacja najwyraźniej trafiła do przekonania żołnierzy, bo pracowali dużo szybciej i sprawniej. Widzieli przecież co stało się przy wschodniej bramie. Gdy tylko zapalono zapalnik, król osobiście, pochwycił oburącz za baryłkę. Oparł się plecami o wewnętrzny mór wieży i wznosił beczułkę nad głowę na całą długość wyprostowanych ramion. Wieża nie była zbyt szeroka, na rozpęd było zaledwie kilkanaście kroków. Monarcha zatrzymał się gwałtownie przy zewnętrznym obmurowaniu i z całych sił, cisnął trzymaną w rękach beczkę. Poleciała rzeczywiście daleko, rozbijając się w niewielkiej odległości przed taranem. Obsługa maszyny nie od razu zauważyła zmianę sytuacji. Taran najechał na ogień. Rozległ się wrzask głośniejszy od panującego na polu bitwy zgiełku. Dwóch palących się Orklinów wyskoczyło

spod zadaszenia. Łucznicy obrońców nie spieszyli się, aby skrócić im męki. Orkliny wrzeszcząc, biegly na oślep. Rozpaczliwie wymachiwali rękoma, roztrącając własnych łuczników. W kierunku taranu poleciała następna baryłka, tym razem rozbiła się o przednią ścianę maszyny, która natychmiast zajęła się ogniem, płonęło również koło, po prawej stronie osi. Nie dość że taran został zatrzymany, to jeszcze skutecznie zablokował drogę do bramy dla kolejnej maszyny, a wszystko to działo się w bezpiecznej odległości od murów. Andarandis odetchnął z ulgą. Zyskali trochę czasu. Ostatni sprawny taran, musiał teraz ominąć przeszkodę, a wcale nie było to takie proste. Jakaś kotwica, zahaczyła swym pazurem o krawędź muru. Dwóch żołnierzy z nadstawionymi włóczniami, już czekało na pojawienie się pierwszego wroga, już nalewano olej do kolejnej baryłki. Inna, nie dość mocno rzucona kotwica, odskoczyła od ściany i spadała na ziemię. Wydawało się, że przynajmniej tutaj, sytuacja jest pod kontrolą. Gdy nagle do uszu króla, jakby z oddali, dobiegło głucho kłapięcie. Obejrzał się, szukając źródła podejrzanego dźwięku. Przy północnej bramie stała wieża oblężnicza. Był pewien, że nie powinno jej tam być. Pomost został już zrzucony. Pierwsi napastnicy wbiegali na mury. Nieliczni obrońcy próbowali zagrozić im drogę. Po pochylni dudniły kroki kolejnych najeźdźców, inni mrowili się przy początku rampy, jeszcze inni, dopiero tam biegli. Andarandis odruchowo sięgnął po miecz.

– Za mną – rzucił do obecnych przy nim gwardzistów i krętymi schodami pobiegł na spotkanie nowych wrogów.

* * *

Opór wcale nie był tak duży, jak kapitan sądził. Klin bez trudu odbił, rozbitą przez wrogi taran bramę. Szpic klina wysunął się znacznie naprzód, a jego podstawa wypełniła cały prześwit, w którym jeszcze nie tak dawno temu zawieszone były potężne odrzwia.

Wróg atakował dosyć luźnym szykiem. Miało to sens, ponieważ ograniczało straty wyrządzane przez łuczników. Nie wystarczało już strzelać byle gdzie. Przy luźnym szyku, strzelcy zmuszeni byli do precyzyjnego namierzania celów. Jednak, gdy na polu walki pojawiła się zwarta formacja gwardzistów, pojedynczy wrogowie w żaden sposób nie mogli jej zagrozić. Ax próbował ocenić sytuację. Utrzymywanie klina, nie miało już w zasadzie sensu. Spełnił on swoje zadanie, odbili bramę i odrzucili wroga. Potrzebny był teraz czas na przeprowadzenie koniecznych napraw. Jednak utrzymywanie sztywnej obrony na przedpolu, nie wchodziło raczej w grę. Z czekania na wroga nie mogło wyniknąć nic dobrego. Natomiast luźny szyk Orklinów, stwarzał pewne możliwości. Być może, wróg obawiał się kolejnej niespodzianki ze strony czarodziejów, którzy we trójkę spopieliли przy pierwszym ataku, trzecią część nacierającej armii. Na szczęście dla obrońców, nie wiedzieli,

że ludzi już po prostu nie stać na podobny wyczyn. Pojawiła się nieoczekiwanie okazja na kontratak. Wciąż było kilka machin, których za wszelką cenę, należało się pozbyć. Ax był pewien, że mogą tego dokonać. Przy machinach, byli głównie łucznicy, którzy całą swą uwagę koncentrowali na murach. Pewnie nawet, nie wiedzieli że obrońcy walczą na przedpolu. Wystarczyło tylko związać walką nadbiegających wciąż zbrojnych, a dotarcie do machin nie powinno być szczególnie kłopotliwe.

Klin się rozsypał. Ax na czele dwóch oddziałów, biegł naprzeciw atakujących zbrojnych, reszta pierwszej kolumny, podążyła w stronę machin. Najeźdźcy nie spodziewali się takiego obrotu sprawy. Sądzieli, że jedyne zagrożenie, na które muszą uważać, to strzelający z murów łucznicy. Tym czasem, ludzie wyszli im naprzeciw. Wielu orklińskich wojowników, zbyt późno odkrywało ten fakt. Padali z poderżniętymi gardłami, zanim zdążyli rozpoznać sytuację, a panujący chaos i wzbijany kurz, wcale tego nie ułatwiał. Gwardziści pierwszej kolumny, parli uparcie naprzód. Nie wiedzieli jednak, że obraz bitwy, uległ pewnej, dość istotnej zmianie. Prawdziwe ataki szły na południową i północną bramę.

* * *

Aicha biegła w ślad za ostatnimi ze swoich żołnierzy. Już prawie była na schodach, gdy nagle czyjaś silna dłoń szarpnęła ją za ramię. Dziewczyna obejrzała się natychmiast.

Ujrzała rozwścieczoną twarz porucznika Berga. Domyśliła się, że to zapewne jemu, kapitan pod swoją nieobecność, przekazał dowództwo.

– A ty kurwa dokąd?

– Chyba mnie z kimś mylisz panie oficerze – Aicha próbowała obrócić całe zdarzenie w żart. Jednak Berg nie ustępował.

– Natychmiast wracaj ze swoimi ludźmi na mury! – Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Zobacz co się dzieje Berg! Pierwsza kolumna przeszła do kontruderzenia, jeśli natychmiast nie osłonimy ich prawego skrzydła, to zostaną odcięci i otoczeni. A na murach chwilowo jest spokój i nie jesteśmy potrzebni. Zadbaj lepiej o naprawę bramy i zabezpiecz nam powrót, bo nigdzie daleko się nie wybieram. Domyślam się że kapitan chce zniszczyć maszyny i pewnie mu się uda, ale koniecznie trzeba osłonić flankę.

Nie czekała na zgodę gwardzisty, odwróciła się i pobiegła w dół schodów.

Porucznik Berg jeszcze przez chwilę stał w miejscu. Może rzeczywiście Gimurka miała rację. Za chwilę to sprawdzi, musi tylko podejść do krawędzi muru. Nim jednak zdążył zrobić chociażby jeden krok, ujrzał pędzącego co tchu kuriera. Żołnierz wyhamował tuż przed nim.

– Panie poruczniku! Potrzebne natychmiastowe wsparcie na północny odcinek. Rozkaz króla!

– Króla? A co tam takiego ważnego się dzieje?

– Wiem tylko że Orkliny są na murach. Doszło do desantu, wieża...

– Co wieża?

– Orkliny doprowadziły wieże i leżą na mury...

– O cholera! I co? Nikt tego nie widział?

Goniec wzruszył jedynie ramionami. Miał tylko przekazać pierwszemu napotkanemu oficerowi królewski rozkaz. Berg nie tracił czasu. Wrzasnął na całe gardło.

– Trzecia kolumna za mną! Na północny odcinek!

Nieco ciszej wybełkotał jeszcze pod nosem –i ruszać się do ciężkiej cholery.

* * *

Wiedziała, że to dopiero początek. Przyzwanie demona było jedynie pierwszym i najłatwiejszym elementem przywołania. Demona należało sobie teraz podporządkować. Pamiętała że księgi wspominały coś o walce umysłów, nie miała jednak pojęcia na czym taka walka miałaby polegać. Ogarnęła ją nagle fala chłodu. W jednej chwili zrozumiała całą ohydę i szpetotę, przywołanej przez siebie istoty. Nie sądziła nawet, że może istnieć ktoś, aż tak zły. Czuła coraz większą odrazę. Demon wydawał się być rozbawiony całą sytuacją. W ironicznym, złym uśmiechu wykrzywił wargi, odsłaniając połówki kły. Oddech stworzenia był cuchnący, odór docierał aż do miejsca, w którym stała. Zdała sobie nagle sprawę, że

dygoce na całym ciele. Musiała jak najszybciej zapanować nad tym drżeniem. Zaczynało jednak braknąć jej powietrza. Gdy otworzyła usta, aby napęłnić płuca, zrozumiała że ściskają ją, jakieś niewidzialne, wielkie łapska. Miała wrażenie, że za chwilę, zostanie po prostu zmiażdżona. Nie mogła się ruszyć. Stała niczym pozbawiony woli i życia kamienny posąg. Ucisk stawał się coraz mocniejszy, chciała krzyczeć z bólu, lecz głos uwiązł jej w gardle.

Demon świetnie się bawił. Karmił się jej bólem i przerażeniem. Być może był to jedyny powód, dla którego jeszcze jej nie zabił. Bestia rozkoszowała się swoim tryumfem. Smakowała ją, tak jak dziecko smakuje swój ulubiony deser. Gorączkowo starała się zebrać myśli. Wiedziała, że nie może się poddać. Musi walczyć. Tylko jak miała to zrobić, skoro nie mogła wykonać najmniejszego nawet ruchu? Księgi mówiły coś o walce umysłów... Jej umysł wciąż był wolny, wciąż należał do niej. Musi uderzyć siłą swojej woli, a zamiast miecza wykorzystać myśli. Postanowiła że będzie ignorować ból, musi być skupiona wyłącznie na walce umysłów. Uścisk jakby nieco zelżał, a sam demon wydawał się być cokolwiek zdziwiony, nieoczekiwanym oporem. Miał tę istotę w garści, był pewien że już ją złamał. Czyżby nie docenił przeciwnika? Jeśli tak było w istocie, to oznaczało to dopiero początek zabawy. Za chwilę wejdzie do jej umysłu i sprawi, że jej ostatnie chwile, staną się koszmarem, któremu żaden śmiertelnik nie potrafi

sprostać.

Melodia czuła gęstniejący w okuł niej mrok. Cała czaszka wypełniona została niesamowitym, narastającym z każdą chwilą bólem. Nie można było już dłużej go ignorować. Była pewna że za chwilę oszaleje, albo jej czaszka eksploduje. Mrok i chłód był już nie tylko w jej umyśle, czuła jak wdziera się do jej wnętrza, jak zatruwa ją duszę. Cała się trzęsła. Było przeraźliwie zimno. Nie pamiętała aby kiedykolwiek w życiu doświadczyła takiego zimna. Wszystko, na co było ją w tym momencie stać, to sprzeciw. Całą siłą swojego jestestwa wykrzyknęła: – Nie! Napór demona jakby zelżał. Musiała jednak pozbyć się jego obecności, wypchnąć go z przynależnych tylko jej – dziedzin. Zdołała unieść ręce, objęła dłońmi głowę, jakby chciała przytrzymać na miejscu kości swojej czaszki, zanim te rozsypią się w drobny pył

Musiała znaleźć w sobie nadzieję, iskierkę, którą mogłaby rozdmuchać i zamienić w ogień. Znalazła ją. Całe jej ciało trzęsło się z zimna, lecz tatuaż na czole, był gorący. Palcami dłoni czuła wyraźnie emanujące z tego miejsca ciepło. Zdecydowała, że ukryje się pod jego osłoną. Wszystkie swoje myśli skupiła na owym żarze. Zdarła z głowy skórzaną przepaskę. Wiedziała, czuła, że tatuaż zaczyna się jarzyć. Przyjemne ciepło zaczęło powoli rozchodzić się po jej ciele. Przestała drżeć. Wciąż nie mogła się ruszyć, ale przestała drżeć. Wreszcie mogła nabrać w płuca powietrza, wracało krążenie krwi. Odepchnęła od siebie mrok. Całą uwagę

skupiła teraz na demonie. Zogniskowała wzrok na jego przekrwionych ślepiach. Poznawała istotę bestii, widziała jego ohydny charakter i paskudne usposobienie. To było samo zło, sama jego kwintesencja. Bardzo powoli zdobywała teren. Demon bardzo niechętnie, lecz wyraźnie się cofał.

– Jesteś mój Sun-Surm, należysz do mnie.

W odpowiedzi usłyszała jedynie głośny ryk potwora. Powtórzyła więc raz jeszcze, bardziej zdecydowanie i głośniejsze: – Jesteś mój Sun-Surm, należysz do mnie. Wykonasz to, do czego zostałeś wezwany!

– Czego ode mnie chcesz?

– Będziesz robił to co ci rozkażę.

– Czego ode mnie chcesz?

– Sługa nie musi znać woli swego pana. Będziesz robił to co ci rozkażę!

Demon raz jeszcze wydał z siebie przerażający ryk, po czym pochylił swój rogaty łeb.

– Tak Pani, przybywam by spełniać twoje rozkazy.

Wieża oblężnicza była już we właściwej odległości od muru. Ruchomy pomost opadł z trzaskiem. Czekający na tę chwilę orklińscy wojownicy, ujrzeni tuż przed sobą potężnego, groźnego demona. Niezdecydowani stali na pomoście. Demon zagradzał im drogę.

– Zabij ich! Zabij wszystkie Orkliny!

– Tak Pani.

Sun-Surm groźnie warknął i ruszył na pomost. Jednym

pociągnięciem ramienia, strącił najbliższe Orkliny. Jednego z nich pochwycił za nogę i uniósł w powietrze. Wolnym ramieniem pochwycił za drugą kończynę Orklina. Rozdarł go na pół, tak jak by to była zbutwiała szmata. Odrzucił jedną okrwawioną połówkę, a w drugą wbił swoje ogromne kły.

Orklińscy wojownicy szybko otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia. Wiedzieli już że mają przed sobą wroga. Sun-Surm rozbił szczyt wieży, zrzucając z niej łuczników. Masakrując swych wrogów schodził po pochylni.

* * *

Ax pędził naprzód, był głodny krwi. Wciąż było mu mało, wciąż chciał więcej i więcej. Rzucił się w największe kupy wrogów i gonił ku następnym. Jego ludzie nie nadążali za nim, lecz nie zwracał na to uwagi. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Łaknął krwi. Walka była jego żywiołem, dopiero tutaj, dopiero teraz, czuł, że żyje. Był panem tego świata. Miał moc odbierania życia. Był dawcą śmierci. Był śmiercią. Nikt, kto stanął mu na drodze, nie miał prawa przeżyć. Ciął i kół z przerażającą skutecznością. Żadnego zbędnego ruchu, każdy cios służył zadawaniu śmierci. Wyglądał równie przerażająco jak jego makabryczne dzieło. Cały utyłtany we krwi, do której lepił się wszechobecny kurz. Po brudnej twarzy spływały stróżki potu, zastawiając nierówne, jaśniejsze smużki. Błyskały złowrogo zdradzające oblęd, białka oczu. Do prawego ramienia, przyczepił się

niewielki fragment jakiegoś jelita, sprawiając wrażenie przypiętej szarfy. Początkowo orklińscy wojownicy, rzucali się na niego z zapalem, jednak luźny szyk sprawiał, że nadbiegali pojedynczo. Ax miał więc wystarczająco dużo czasu, na ich zabijanie i wciąż biegł naprzód. Doszło w końcu do sytuacji, w której orklińscy wojownicy, obawiali się atakować szalonego człowieka w pojedynkę, czekali na nadbiegających kompanów i dopiero wtedy podejmowali walkę. Axowi w niczym to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie: oszczędzał siły, bo nie musiał gonić za każdym z osobna, wzrastała również niepomrotnie jego skuteczność, bo w jednej chwili eliminował nie jednego, lecz kilku wrogów. Nawet nie wiedział, że wrogie oblężnicze maszyny stoją już w ogniu. Nic go to nie obchodziło. Pragnął krwi, a im więcej jej wylał, tym większe stawało się pragnienie. Parł więc naprzód, bo tylko tak miał szansę się nasycić. Orklińscy wojownicy starali się już, schodzić mu z drogi, uciekali przed nim.

Manders skończył z ostatnią wieżą. Powinni teraz się wycofać, jednak kątem oka dostrzegł, że dwa osłonowe oddziały, wciąż kontynuują natarcie. Pobiegnął za nimi. Kiedy wydostał się z chmury kurzu i dymu, ujrzał kilku stojących beczynnym gwardzystów. Szybko się z nimi zrównał. Już chciał podwładnych zbieszczać, gdy zobaczył na co patrzą. Ax atakował właśnie kolejną grupkę wrogów, Było ich czterech, może pięciu. Kapitan rzucił się szczupakiem pod nogi

pierwszego, upadł na plecy, ślizgając się po ziemi, wbił od dołu swój krótki miecz w jego podbrzusze. Pozostała trójka, natychmiast skierowała się przeciw leżącemu gwardziście, ciężkie topory po kolei trafiały w pustą ziemię. Ax turlając się unikał ciosów. Przeciwnicy ścigali go. Kiedy już, już mieli go dopaść, wojownik zmienił nagle kierunek turlania. Ściął z nóg dwóch wrogów, nim upadli, byli martwi. Nadbiegał czwarty. Ax wybił się jednocześnie z obu nóg i oparł karkiem o ziemię, wykonując jednocześnie skręt tułowia. Obie nogi wystrzeliły w powietrze, trafiając w szczękę Orklina. Nim wróg otrząsnął się z zaskoczenia, Ax był już na nogach a jego nóż tkwił w gardle przeciwnika.

Manders aż jęknął z podziwu.

– Dobra chłopaki, właśnie tak to się robi, ale nie jesteście w teatrze do ciężkiej cholery! Chcecie żeby kapitan sam jeden rozgonił tę hałastę? Jazda! Zadbajmy o jego plecy! Pilnować skrzydeł.

* * *

Sun–Surm odpierał zajadłe ataki orklińskich wojowników. Perruńscy łucznicy, z wysokości murów, robili co mogli, aby zapewnić mu osłonę. Znaczne siły Orklinów zostały związane walką przez wilki. Atak wilczych watach był całkowitym zaskoczeniem. Jednakże kły i pazury nie mogły na dłuższą metę sprostać stalowym pancerzom o ostrym toporom. Większość zwierząt już była martwa. Również

demon popełnił błąd. Walcząc na pochylni oblężniczej wieży, miał by wrogów jedynie przed sobą, a i to w liczbie ograniczonej szerokością pomostu. Kiedy oddalił się od wieży, został natychmiast otoczony. Walczył dzielnie, lecz przegrywał tę walkę. Pusty krąg w środku, którego się znajdował był coraz mniejszy, a liczba zgromadzonych wokół niego wrogów z każdą chwilą wzrastała. W każdym bądź razie niebezpieczeństwo na południowym odcinku zostało zażegnane. Melodia rozkazała spalić, oblężniczą wieżę, gdy tylko Sun-Surm opuścił pomost. Najeźdźcy ponieśli tutaj ogromne straty. Ukryty atak się nie powiódł. Żaden z obrońców nie zginął. Demon wciąż siał spustoszenie w szeregach Orklinów, był jednak poważnie ranny. Lewe ramię zwisało bezwładnie wzdłuż ciała, z lewego skrzydła zostały jedynie potargane strzepy. Z pyska sterczały powbijane strzały. Jego los nie obchodził dziewczyny. Uważała nawet że powinien zginąć, za wszystkie niegodziwości, których się dopuścił zasługiwał na śmierć. Wiedziała jednak, że tak naprawdę, zabić demona można tylko w jego świecie. To, że zostanie zabity tutaj niczego nie zmieni, zostanie zniszczony jedynie jego przywołany obraz, a sam demon powróci do swojego świata, gdzie nadal będzie wiódł swoje plugawe życie. O wiele bardziej interesował ją los wilków. Serce jej pękało, gdy patrzyła na ich śmierć. Ich atutem było zaskoczenie, lecz we frontalnym starciu nie miały żadnej szansy. W żaden sposób nie mogła im pomóc.

Skupiła myśli, szukając łączącej ich więzi.

– Uciekajcie bracia! Wracajcie do lasu. Ratujcie się.
Wracajcie do lasu.

Wilcze sfory zawróciły. Na polu walki pozostały jednak tysiące martwych zwierząt.

Wojownicy walczący dotychczas z wilkami, zwrócili natychmiast swój gniew przeciw demonowi. Strzelający z murów łucznicy nie musieli już uważać na wilki. Na wyścigi posyłali w dół, swoje śmiertelne strzały. Mimo to demon znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Rycząc z bólu, wyrwał z prawego uda, wbity topór, cisnął nim w nadbiegającego wroga.

– Odeślij mnie – Melodia wyraźnie słyszała głos demona w swoim umyśle.

– Walcz!

Demon po raz kolejny wydał z siebie rozpaczliwy, przepełniony bólem ryk. Pociągnięciem ramienia rozplątał kolejnego, zbyt pewnego siebie Orklina.

– Pani, proszę, uwolnij mnie...

Melodia nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Sam fakt że demon zniżał się do poziomu prośby, był czymś niezwykłym, chyba że był to jedynie podstęp, co zresztą wydawało się być o wiele bardziej prawdopodobne. Mimo wszystko dziewczyna zaczęła się zastanawiać, co właściwie zyska, jeśli Orkliny doprowadzą do śmierci potwora. Zapewne demon, jeszcze kilku rozszarpie, lecz zwycięstwo będzie należało

do wroga, a dla tych istot, cena, najwyraźniej nie miała żadnego znaczenia. Jeśli odeśle demona, Orkliny pozostaną z poczuciem porażki, będą się też mogli zastanawiać, gdzie podział się ów mocarny przeciwnik i kiedy ponownie może się pojawić. Ten drugi wariant, znacznie bardziej dziewczynie odpowiadał. Zastanawiała się jednak, czemu demonowi tak bardzo na tym zależy? Tak mało jeszcze wiedziała... Nie obchodził jej demon, musiała jednak szybko podjąć decyzję.

– Sun–Surm, uwalniam cię. Wracaj do swojego świata.

Demon obrócił łeb w jej stronę, miała wrażenie że dostrzega na jego wstrętnym pysku, cień szyderczego uśmiechu, a może tylko, tak się jej wydawało.

Powietrze wokół demona, zamigotało gwałtownie. Sun–Surm zniknął.

* * *

Sharranterdyrwartey spoglądał zaniepokojony w stronę toczącej się bitwy. Nie miał pojęcia dlaczego Bell–Zuub, kazał mu słuchać tego człowieka. Kimże jednak był, aby kwestionować osąd swego boga. Po prostu nie rozumiał. On był orklińskim królem. Osiągnął tę godność, ponieważ był najlepszy. Był mistrzem mistrzów, największym w dziejach swego ludu czempionem. Nie rozumiał, dlaczego bóg powierzył dowództwo byle człowiekowi. Popołniono już wystarczająco wiele błędów w tej kampanii. Jego generał nieco się pośpieszył. Głupiec, chciał zdobyć miasto przed

jego przybyciem, przed przybyciem głównych sił. Srogo za to zapłacił, lecz tego błędu nie można już było naprawić. Być może Bell, rozgniewał się na swój lud za to niepowodzenie i chcąc ich pokarać, ustanowił nad nimi człowieka. Jednak człowiek był głupcem. Takim samym, jak jego generał. Chcąc zminimalizować straty, nakazał wojownikom luźny szyk, a przecież Orkliny tak nie walczą. Ich siłą jest jedność. To właśnie jedność sprawia, że są niepokonani. Jedność sprawia, że nie znają strachu, ponieważ jedność pochłania obawy, z osobna wziętych wojowników. Jedność jest ich siłą, a ich moc bierze się z jedności. Żaden Orklin, w żadnym wypadku, nie zrezygnowałby z tego daru, lecz człowiek nie był Orklinem. Był człowiekiem, był głupim człowiekiem. Atakujący wojownicy nie mieli oparcia w jedności, skąd więc mieli brać moc, skąd mieli czerpać odwagę? Nie mogli mieć oparcia w jedności, bo jedność została rozproszona.

Nie spodziewał się, że kiedykolwiek zobaczy, cofających się orklińskich wojowników. Uciekali przed ludźmi. Ponieważ nie mieli oparcia w jedności, ich strach udzielał się następnym. W ten właśnie sposób, uciekający żołnierze stawali się jednością i pochłaniali kolejnych atakujących w luźnym szyku wojowników. Siła jedności została odwrócona. Mimo wszystko, nie do pojęcia było dla Sharranterdyrwarteya, że jego podwładni, uciekają przed ludźmi. Właściwie, przed jednym człowiekiem. Kimże on był, aby wystraszyć nieustraszonych zdobywców? Przecież

to tylko człowiek. W każdym bądź razie należało z tym skończyć. Głupi człowiek–dowódca miał już swoją szansę i nic dobrego z tego nie wyniknęło. Najwyższy czas, aby prawowity wódz i król, wziął sprawy w swoje ręce. Krzyknął na swoich wojowników. Natychmiast zaczęli ustawiać się w zwartym szyku. Błyskawicznie dołączały do nich kolejne oddziały. Wreszcie, znów byli jednością.

Sharranterdyrwartey ruszył naprzód, na czele zwartej formacji. Uciekający wojownicy, przyłączali się teraz do jedności. Jedność stawała się większa z każdą chwilą. Była już tak duża, że uciekający wojownicy, mogli już, czerpać z niej moc. Zaprzestali ucieczki, zawracali i z furią rzucali się, na ścigającego ich dotąd człowieka. Sharranterdyrwartey nie wierzył własnym oczom. Przecież to był tylko człowiek. Człowiek ten jednak, czynił spustoszenie, godne orklińskiego czempiona. Zabijał z taką łatwością, jak by miał przed sobą, przeznaczone na rzeź króliki.

Sharranterdyrwartey zatrzymał się. Jedność zatrzymała się wraz z nim. Tutaj poczeka na człowieka, tutaj go zabije, przed oczami jedności. Tymczasem człowiek, powalił właśnie ostatnich z atakujących go wojowników.

* * *

Nareszcie nie musiał wrogów gonić. Trochę już zaczynało brakować mu sił. To że zawrócili, było mu bardzo na rękę. Przykucnął, aby wbić krótki miecz w miękkie podbrzusze

nadbiegającego Orklina. Zanim wy dobył ostrze, jeszcze dla pewności obrócił w ranie miecz i pociągnął silnie w dół za sam koniec rękojeści. Ostrze przesunęło się w brzuchu napastnika, powiększając dodatkowo wewnętrzną ranę. Kolejny niewielki obrót i już można było, wydobyć miecz. Nim młot uderzył w ziemię, odturlał się na bezpieczną odległości od rannego wroga. Wyprostował się tylko po to, by wbić ostrze noża w gardło zachodzącego go od tyłu wroga. Ten z rozprutym brzuchem, opadł właśnie na kolana. Czołem dotykał ziemi, rękoma zasłaniał ranę by nie dopuścić do wypadnięcia wnętrzości na zewnątrz. Ax ruszył biegiem, wybił się z pleców klęczącego Orklina i szczupakiem wyskoczył w górę. Opadając głową w dół, wbił jednocześnie oba ostrza w gardła kolejnych dwóch wrogów. Przytrzymał się rękojeści i wykorzystując tę chwilową oś obrotu, jako punkt oporu, opadł stopami na ziemię. Dopiero teraz wydobył obydwie, osadzone w gardłach ostrza. Uskoczył z linii ataku szarżującego wroga i w chwili gdy ten go mijał, ciał go przez kark. Jeszcze jeden unik i kolejny napastnik, bez życia padł na ziemię. Znowu brakowało mu wrogów, a łaknienie krwi wcale nie było mniejsze, chciał więcej. Dużo, dużo więcej. Spojrzał przed siebie. W odległości kilkudziesięciu jardów przed nim, majaczyła jakaś postać. Ruszył naprzód. Postać wciąż stała nieruchomo. Za stojącym najeżdżcą, aż roilo się od wrogów. Pierwszy ich szereg, był niemal idealnie równy. Ax uśmiechnął się sam do siebie. Miał przed sobą mnóstwo

krwi. Orkliński wojownik wciąż stał bez ruchu, sondując go wzrokiem. Axowi szumiało w głowie, pot zalewał mu oczy, zaś płuca piekły niemiłosiernie. Z trudem łapał świszczący w gardle oddech. Hełm uciskał mu czaszkę i ograniczał widoczność. Przeciął nożem skórzany pasek pod brodą. Zdjął hełm z głowy i cisnął nim wprost pod nogi obserwującego go wroga. Wreszcie mógł otrzeć z twarzy wymieszany z krwią pot. Dobrze było czuć łagodny podmuch wiatru. Wróg wyraźnie na niego czekał. Ax schował do pochwy krótki miecz i sięgnął do lewego biodra po długie ostrze. Było teraz wystarczająco dużo miejsca na walkę długim mieczem. Rozległ się charakterystyczny zgrzyt wydobywanej broni. Kapitan wywinął mieczem efektownego młynka, jak by chciał sprawdzić czy Podrzynacz, wciąż jest mu posłuszny. Zwykle tego nie robił, lecz miał dziwne przeczucie że ta chwila jest szczególna i że tak właśnie powinien postąpić. Podrzynacz doskonale leżał w dłoni, jak zawsze gotów służyć swemu panu. Kapitan zatrzymał się kilka kroków przed stojącym najeżdźcą. Nie był to zwykły wojownik. To musiał być ktoś ważny, ktoś wyjątkowy. Świadczyła o tym zarówno zbroja, jak i sama postura Orklina. Był zdecydowanie wyższy od pozostałych, doskonale zbudowany. Nagie ramiona nie zostały osłonięte, prawdopodobnie tylko dlatego, aby nie zasłaniać wspaniałych, potężnych mięśni. Pancerze Orklinów nie posiadały zdobień, ale ten posiadał. Ax nie widział dokładnie, ale było to coś jakby rogaty łeb, chyba ze złota

i dodatkowo zdobiony drogimi kamieniami. Wielki stalowy, wypolerowany, błyszczący naramiennik na prawym barku, również miał złotą obwódkę. Kolczuga od pancerza, sięgała niemal kolan. Nogi były chronione długimi, pancernymi butami. Stał na szeroko rozstawionych nogach, trzymając oburącz, poprzecznie do linii ciała, ogromny dwusieczny topór bojowy. Kiedy Ax się zatrzymał, Orklin zdjął z głowy swój hełm i nie spuszczając z Axa wzroku, cisnął mu go pod nogi.

Przez chwilę obaj stali bez ruchu, bacznie się obserwując. Nadbiegali pierwsi gwardziści. Stawali w szeregu za plecami kapitana. Uwagę Axa przyciągnęła, tkwiąca za pasem najeźdźcy broń. Był pewien że to Śmieszek, bojowy cep Greyna. Już wiedział jaki los spotkał drużynę porucznika. Prawdopodobnie Śmieszek został potraktowany przez Orklina jako trofeum. Dawny strażnik trybunału, bardzo interesował się tym rodzajem oręża. Osiągnął mistrzowski poziom we władaniu tą bronią. Jednakże Śmieszek nie był zwykłym cepem bojowym, został on przez Greyna cokolwiek zmodyfikowany. Krył w sobie pewną, śmiertelnie ważną tajemnicę. Ax postanowił że odzyska Śmieszka, był winien przyjacielowi tę przysługę i przynajmniej tyle mógł teraz dla niego zrobić. Wywinął Podrzynaczem, kolejnego młynka i ruszył na Orklina.

* * *

Sharranterdyrwartey ze spokojem czekał na człowieka. Ludzki wojownik nie mógł mu przecież w żaden sposób zagrozić. Mimo niepojętej odwagi i zasługujących na szacunek umiejętności, był przecież tylko człowiekiem. Mimo wszystko Orklin, był ciekaw zbliżającego się starcia. Sam fakt że zwykły człowiek ośmielił się, rzucić mu wyzwanie, był już czymś niepojętym, lecz niewątpliwie interesującym. Skoro ktoś chciał głowy Orklina, musiał stracić swoją. Taka była tradycja, trwający od zawsze zwyczaj orklińskich wojowników. Sharranterdyrwartey nie spodziewał się jednak, takiego obrotu sprawy. Nawet żaden Orklin, nigdy wcześniej na coś takiego, wobec niego, się nie zdobył. Postanowił, że nie zabije człowieka od razu, najpierw nauczy go pokory. Pokaże zuchwalcowi, gdzie jest jego miejsce. Człowiek musiał ponieść karę za swoją beczelność. Nim umrze, musi zrozumieć, że nie rzuca się hełmu pod nogi lepszych od siebie istot. Ten gest, był jednocześnie najwyższym wyrazem pogardy, w stosunku do przeciwnika. Oznaczał całkowite lekceważenie jego umiejętności: jesteś tak miernym wojownikiem, że stoję przed tobą z odkrytą głową, jesteś jedynie pyłem na mojej drodze, pyłem, który za chwilę zostanie rozdeptany. Moja głowa jest odkryta, weź ją – jeśli potrafisz. Sharranterdyrwartey mógł odpowiedzieć, tylko w jeden sposób na tę zniewagę – dokładnie tym samym gestem.

Ax zamarkował atak z prawego ramienia, lecz zamiast

ciosu, wykonał pełny obrót i ciął z lewej. Orklin w ostatniej chwili zdążył wykonać zasłonę. Ax jednak nie tracił rezonu, kolejny obrót i cięcie z prawej. Udał kolejny atak, lecz tym razem w połowie obrotu, zmienił kierunek i ponownie ciął z prawej. Wprawdzie na ramieniu Orklina, pojawiła się krwawa pręga, lecz ponownie zdążył się zastawić. Ostrze Axa odskoczyło na skutek odbicia od topora.

Ax miał inicjatywę. Ciężki topór był znakomitą bronią ofensywną, każde trafienie rozplątałoby przeciwnika, lecz nie był specjalnie poręczny, gdy chodziło o obronę, tym bardziej że absorbował obydwie ręce. Kapitan doskonale zdawał sobie z tego faktu sprawę. Dopóki inicjatywa należała do niego, przeciwnik mógł się jedynie bronić i trzeba było przyznać, że robił to naprawdę znakomicie. Ciął z nad głowy, lecz klinga ponownie natrafiła na ostrze topora. Tym razem jednak, miecz gładkim ślizgiem, został wycofany. Cięcie było udawane. Ax pchnął. Przeciwnik instynktownie odskoczył. Korzystając z dzielącej ich odległości, Ax rzucił trzymanym ciągle w lewej ręce nożem. Był jednak zbyt wolny, lub przeciwnik wyjątkowo szybki, albowiem nóż został odtrącony. Jednak Ax już szarżował z wzniesionym do góry mieczem. Nie zamierzał oddawać inicjatywy. Wróg chcąc skrócić dystans, skoczył w przód, a jego ręka pochwyciła w porę, uzbrojone ramię człowieka. Było oczywiste, że człowiek powinien unikać zwania, górą mógł w nim być tylko Orklin. Jednakże najeźdźca, miał teraz zajęte obie ręce:

w lewej trzymał przyciśnięty teraz do ciała topór, a prawą ścisnął rękę człowieka. Ax miał wolne lewe ramię. Sięgnął po Śmieszka, wyszarpnął broń Greyna zza pasa Orklina i sierpowym ciosem uderzył go w lewą skroń. Wystarczyło to, na tyle, żeby wróg złuzował nieco uchwyt. Kapitan oderwał się od przeciwnika i natychmiast odskoczył. Znowu stali naprzeciw siebie, mierząc się nienawistnym wzrokiem. Kapitan miał wrażenie, że już kiedyś, widział gdzieś tego potwora. Im dłużej mu się przyglądał, tym bardziej był tego pewien. Olśnienie przyszło samo. To był Orklin z portretu, który wisiał na ścianie w korytarzu – w siedzibie Bestistusa. Było to niewątpliwie ciekawe odkrycie, nie miało ono jednak w tym momencie żadnego znaczenia.

Ax nieznacznie podrzucił jednocześnie trzymaną w jednej i drugiej ręce broń. Błyskawicznie wykonał pół obrotu i pochwycił swój oręż, z tą jednak różnicą, że Śmieszek był teraz w prawej ręce, a Podrzynacz trafił do lewej dłoni. Dalsze pół obrotu i znowu patrzył w twarz swojego wroga. Orklin jakoś nie kwapił się z atakiem. Nie spuszczając z oczu przeciwnika, Ax wzniosł powoli prawą rękę. Najeżona kolcami kula Śmieszka, zaczęła wirować nad jego głową. Ruszył naprzód. Ciął z nad głowy mieczem, a gdy tylko ostrze Podrzynacza znalazło się poniżej celu, wyprowadził cios używając, trzymanego w prawej ręce Śmieszka. Jeszcze dwa razy powtórzył tę sekwencję, która została przerwana przez poprzeczne cięcie bojowego topora

Orklina. Raz jeszcze powtórzył ten sam atak. Zależało mu, aby wróg, poznał dokładnie zasięg jego broni. Jednocześnie kciukiem starał się wymacać, ukryty na rękojeści Śmieszka przycisk. Wszystko wskazywało na to że Orklin go nie znalazł i o niczym nie wie. Śmieszek nie był zwykłym cepem bojowym. Greyn zbudował go dla siebie i na swój użytek. Trzonek Śmieszka był znacznie grubszy i nieco dłuższy niż było trzeba, a to z tego powodu, że był w środku wydrążony. Trzymający kulę łańcuch miał niby standardową długość, niby – bo, był przewleczony był przez całą długość trzonka. Przyciśnięcie przycisku na rękojeści, powodowało zwolnienie blokady i łańcuch stawał się nagle znacznie dłuższy a zasięg broni niepomiarowo wzrastał.

Znalazł. Kciuk spoczywał dokładnie na przycisku. Znowu zaatakował. Wróg cofał się pod naporem ciosów, zachowując bezpieczną odległość. Ostrze i kula na przemian śmigały tuż przed nosem Orklina.

Teraz. Ax wcisnął przycisk. Kolczasta kula trafiła dokładnie w prawą skroń wroga. Wbiła się bardzo głęboko miażdżąc kość policzkową. Jednocześnie z lewej, szło wymierzone w szyję cięcie Podrzynaczem. Tym razem wróg się nie cofnął. Ax ściągnął do siebie Śmieszka. Ucięta głowa Orklina zsunęła się z karku, powodując wychłuienie ogromnej ilości krwi. Głowa najeźdźcy dyndała teraz na końcu długiego łańcucha. Pozbawione głowy ciało, upadło wreszcie na ziemię. Ax schował do pochwy miecz, wolną

ręką pochwycił głowę Orklina za okrwawione kudły, szarpnął za trzonek Śmieszka. Kolczasta kula, została oddzielona od głowy. Kapitan wzniosł w górę obydwie ramiona, prezentując swoje, dopiero co zdobyte trofea. Z piersi wojownika wydobył się krzyk tryumfu. Niemal jednocześnie zawtórowali mu stojący za jego plecami żołnierze.

Znowu stało się coś, czego się nikt nie spodziewał. Armia Orklinów rzuciła się do ucieczki.

* * *

– Stójcie! Nie dogonimy ich. Wracamy do miasta – Ax starał się przekrzyczeć panującą wrzawę.

Żołnierze zaniechali pościgu, zbierali się wokół swojego dowódcy. Dopiero teraz Ax, zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zmęczony. Ledwie stał na nogach, ciężko oddychał. W głowie szumiało mu gorzej niż po pijackiej libacji, starał się uspokoić i wyrównać oddech. Nie pamiętał aby kiedykolwiek w życiu był aż tak zmęczony. Cóż, nie był już młodzieniaszkiem, aczkolwiek taki stan rzeczy, wcale nie przypadł mu do gustu. Strasznie chciało mu się spać. Jakże chętnie, padłby tu gdzie stoi i po prostu zamknął oczy. Tak bardzo potrzebował wypoczynku. Wciąż trzymał w ręku odciętą i częściowo zmiażdżoną głowę Orklina. Uniósł ją do wysokości oczu i przez dłuższą chwilę, bacznie oglądał. Wreszcie niedbałym gestem, odrzucił makabryczne trofeum. Spojrzał po twarzach stojących przy nim żołnierzy – dobra

chłopcy, na dzisiaj wystarczy, wracamy do domu.

Obrócił się na pięcie w stronę miasta, chciał iść, lecz zachwiał się, przy pierwszym postawionym kroku. Natychmiast doskoczył do niego Manders, podtrzymał dowódcę, ratując przed upadkiem. Niemal w tej samej chwili podbiegła Aicha, spojrzała pytająco na porucznika. – Jest ranny? – Manders pokręcił głową. – Nie wiem, być może...

Nieoczekiwanie sam Ax wmieszał się do rozmowy.

– Nic mi nie jest, pozwólcie mi tylko trochę odsapnąć. Każcie ludziom wracać, chyba wszystkim nam przyda się odpoczynek.

– Nie ma pośpiechu kapitanie. Wróg uciekł.

– Wrócą szybciej niż byśmy sobie tego życzyli, chyba urządził jakiś ważny łeb. Może to nawet ich król, albo dowódca, albo jakaś inna ważna cholera... Ale na pewno wrócą. Zorganizują się i wrócą.

Ruszyli powoli naprzód.

– Puśćcie mnie do jasnej cholery! Nie jestem jeszcze taki stary jak się wam wydaje.

– No ja myślę – powiedziała Aicha, puszczając do kapitana oko.

Ax westchnął i tylko pokręcił głową. Stąpał ostrożnie, bo ziemia wciąż wirowała pod jego stopami. Manders i Aicha szli tuż obok niego, gotowi w każdej chwili przyjść swojemu dowódcy z pomocą. Zatrzymał się. Na ziemi u jego stóp leżał hełm Orklina. Był to tylko pretekst, ale mógł chwilę

odpocząć, bez wzbudzania ich podejrzeń. Wskazał palcem na hełm

– Chciałbym to zabrać. – Manders skinął głową, już miał się schylić, lecz Aicha była pierwsza. Chłopak obdarzył dziewczynę gniewnym spojrzeniem, dostrzegł jednak leżący nieopodal hełm kapitana, więc podniósł go z ziemi.

Ax miał wrażenie, że droga powrotna do miasta, nigdy się nie skończy. Zasypiał w czasie marszu. Wreszcie dotarli pod bramę. Powitały ich owacyjne okrzyki stojących na murach żołnierzy. Wciąż jeszcze trwały tutaj prace związane z naprawą bramy, najwyraźniej jednak, wszystko zmierza do szczęśliwego końca.

Naprzeciw trójki oficerów wybiegł Bum-Bam.

– Tak się cieszę, że ci widzę kapitanie...

– A gdzieś ty do cholery był w czasie bitwy z tą swoją magią?

– Byłem przy tobie kapitanie...

– A to ciekawe, bo jakoś cię nie widziałem, a skoro byłeś przy mnie, to czemu nadchodzisz od strony miasta?

– Towarzyszyła ci moja magia kapitanie. To prawda, że byłem na wschodniej wieży, lecz dla zaklęcia nie miało to żadnego znaczenia, a mogłem je bezpiecznie utrzymywać.

– A coś ty do cholery, znowu wykombinował?

– To zaklęcie przyspieszenia ruchów, niby nic takiego, ale bardzo przydatne. Ma niestety swoją cenę, będziesz teraz, spał przez dobę jak niemowlę.

Ax odetchnął z ulgą. – Więc to dlatego ledwie się trzymam na nogach. – Czarodziej przytaknął. Rozpromieniony kapitan zwrócił się do Aichy i Mandersa.

– A widzicie? Mówiłem wam, że nie jestem jeszcze taki stary!

– No, no – podchwyciła Aicha – bo już się zaczynałam martwić – obdarowała kapitana promiennym uśmiechem i znowu puściła oko.

* * *

Było już przedpołudnie następnego dnia. Ax otworzył wreszcie oczy. Nie wiedział jak długo spał, w każdym bądź razie, czuł, że jest rześki i wypoczęty. Na biurku stała taca ze śniadaniem. Kawa była zimna, musiano więc przynieść tacę, już jakiś czas temu. Za specjalnie mu to nie przeszkadzało. Był głodny jak wilk, a wszystko było wyjątkowo smaczne, nawet nie podejrzewał że zimna kawa, może aż tak smakować.

Kiedy jadł, powolutku otwarły się drzwi. Przez wąską szczelinę zajrzała głowa, pełniącego służbę gwardzisty. Żołnierz widząc siedzącego przy śniadaniu kapitana, natychmiast otworzył szerzej drzwi i wszedł do środka.

– No co tam? Długo spałem?

– Nie tak bardzo kapitanie, pół dnia wczoraj i noc.

– A jak długo dzisiaj?

– Jeszcze wcześniej, kończy się właśnie trzecia straż.

– Trzecia straż? To wcale nie jest wcześniej. Zaraz

południe.

– No właśnie kapitanie, bo o piątej straży ma się odbyć narada wojenna zwołana przez królową.

– O! To król raczył zmienić porę narad? Zawsze było w południe... Czekaj, czekaj, czy powiedziałeś królowa?

Żołnierz przytaknął. Wydawał się być zakłopotany.

– Miłościwie nam panująca królowa Melodia, właśnie ze względu na pana kapitana przesunęła rozpoczęcie odprawy na piątą straż.

Kubek kawy, który Ax trzymał w ręku zatrzymał się nagle w połowie drogi do ust. Kapitan spojrzał z niepokojem na żołnierza, czuł lęk przed zadaniem kolejnego pytania, ale musiał wiedzieć.

– Czy?... Co?... Czy coś się stało z królem? Jest ranny?

Żołnierz spuścił wzrok. Milczał dłuższą chwilę, jakby się zastanawiał co właściwie powinien odpowiedzieć. Wreszcie zaczął wyjątkowo niepewnym głosem.

– Król żyje...

Ax odetchnął z ulgą, lecz wyraz twarzy żołnierza, jakby przeczył dopiero co wypowiedzianym przez niego słowom. Ax pobladł, w okolicy serca poczuł bolesne ukucie, wlepił w gwardzistę natarczywe spojrzenie.

– Mów...

– Król żyje, ale, jest nieprzytomny... Ataki szły także na północną i południową bramę, ale nie było ich widać. Na południowej wieży była królowa Melodia. Najpierw

wezwała na pomoc wilki, a potem przyzwała demona z piekła. Demon nie wpuścił Orklinów na mury i zepchnął ich z wieży oblężniczej. Zanim zniknął drużyna królowej, zdążyła spalić wieżę. Odcinek południowy został obroniony, ale, taki sam atak był od północy. Nic nie było widać. Nikt nie wiedział że atakują. Dwie wieże oblężnicze zjawily się z nikąd. Broniliśmy północno-wschodniego odcinka. Najeźdźców zobaczono dopiero wtedy, jak byli już na murach. Król zagroził im drogę, żeby nie zaatakowali nas od tyłu, ale i tak wdarli się do miasta od zachodnich schodów, zanim porucznik Berg był tam z odsieczą... Król został ciężko ranny. Żyje, ale od tamtej pory nie odzyskał jeszcze przytomności. Kandas zrobił co mógł, ale nic więcej nie chce mówić...

Ax siedział jak sparaliżowany. Wiedział z doświadczenia, że jeżeli ktoś nie odzyska przytomności w ciągu doby od walnięcia w głowę, to już w ogóle jej nie odzyska.

– Zawołaj Berga – Ax wypowiedział te słowa cichym, bezbarwnym głosem.

Żołnierz stał niezdecydowany, chciał coś powiedzieć, lecz nie potrafił wydobyć z siebie głosu.

– Zawołaj do mnie porucznika Berga – Ax powtórzył raz jeszcze, tym samym matowym głosem.

– Porucznik Berg nie żyje...

* * *

Ax zmierzał szybkim krokiem do świątyni Ilmetrysy. Altaka zdecydowała się urządzić tam szpital, jeszcze przed przybyciem najeźdźców. Okazało się, że pomysł był jak najbardziej trafny. Szpital Sióstr Kapłanek Ilmetrysy był obecnie najlepszym szpitalem w mieście. Najlepiej wyposażonym i zaopatrzonym, no i oczywiście nigdy nie brakowało chętnych do pracy sióstr. Pracował tutaj również gwardyjski kapłan–medyk, albowiem wszyscy ranni żołnierze trafiali do szpitala Altaki.

Ax miał nadzieję, że Kandas powie mu coś więcej na temat stanu zdrowia Andarandisa, jeżeli ktoś mógł cokolwiek wiedzieć, to właśnie on. Było bardzo możliwe, że to Kandas udzielał królowi pierwszej pomocy. Z całą pewnością, monarcha był teraz w zamku, pod opieką własnego medyka, lecz Kandas musiał coś wiedzieć.

Kiedy kapitan wszedł do wnętrza świątyni, bardzo go zdziwiła panująca tutaj krzątanina. Wszystkie łóżka, które mógł dostrzec, by zajęte. Ranni byli już nawet układani na pokrytej grubą warstwą słomy podłodze. Długie rzędy cierpiących ludzi, ciągnęły się przez całą długość, ogromnej przecież świątyni. Co chwila, rozlegały się skargi i jęki poszkodowanych ludzi, tworząc przygnębiającą i niechcianą żalobną pieśń. Siostry gorączkowo krzątały się między jęczącymi ludźmi. W wielu miejscach wciąż jeszcze panował wzmożony rwetes, Ax domyślał się, że ciągle jeszcze trwają operacje i uzdrawiające zabiegi. Jednak najwyraźniej nie

wszędzie można było osiągnąć pożądane efekty, jacyś mężczyźni wynosili właśnie zawinięte w prześcieradło zwłoki.

Poczuł się jakoś dziwnie nieswojo. Nie pasował do tego miejsca. Było ono dla niego, czymś w rodzaju wyrzutu sumienia, oskarżeniem tego: kim był i czym się zajmował. Jego profesja polegała na zabijaniu, zaś tutaj ratowano ludzkie życie, starano się zniwelować skutki, wyrządzone przez taką jak jego – broń.

Różne myśli chodziły mu po głowie, pocieszał się stwierdzeniem, że przecież robi wszystko, aby leżących tutaj ludzi, było jak najmniej.

Zobaczył wreszcie Kandasę. Właściwie najpierw go usłyszał, a dopiero później zobaczył. Kapłan wrzeszczał na jedną z sióstr:

– Puść go głupia! Słyszysz? Zostaw go! Nie pomożesz mu! Nikt mu już nie pomoże! Nie starczy dla was obojga...

Czerwony na twarzy kapłan, przedzierał się, tak jak mógł najszybciej do klęczącej przy łóżku dziewczyny. Wreszcie dopadł do niej, energicznie szarpnął siostrę za ramię. Dziewczyna bezwładnie osunęła się na ziemię. Kandas natychmiast przyłożył ucho do jej piersi. Nie podobało mu się to co usłyszał, lub to czego nie usłyszał. Ułożył siostrę na podłodze i krzyknął na inną, by natychmiast do niego przyszła. Wydał kapłance jakieś polecenia, ta skinęła głową, przykucnęła przy głowie leżącej na podłodze towarzyszki

i przywarła wargami do ust leżącej dziewczyny. Kandas w tym czasie energicznie w równym rytmie naciskał na jej klatkę piersiową. Co jakiś czas robił krótką przerwę, w czasie której, towarzysząca mu kapłanka, wdmuchiwała powietrze w płuca leżącej.

Ax podszedł do nich, stał bezradnie nie wiedząc co robić, chciał pomóc, lecz potrafił tylko zabijać, o ratowaniu życia nie miał pojęcia, a nie chciał przeszkadzać. Więc tylko stał i patrzył. Zawsze był dumny z tego, że jest wojownikiem. Teraz – odczuwał wstyd.

Wreszcie Kandas ciągle klęcząc, wyprostował się nad leżącą dziewczyną. Patrząc w oczy, pomagającej mu siostry, potrząsnął głową, z oczu kapłana płynęły łzy.

– Ostrzegałem ją, tłumaczyłem jak dziecku, że jak za dużo odda, to dla niej samej nie starczy... Tłumaczyłem, że pomagać, też trzeba umieć. Jeśli lecząc innych zaszkodzi sobie, to na cholerę całe to leczenie... Miała talent, nigdy nie widziałem tak zdolnej kobiety... Tyle jeszcze mogła osiągnąć, tylu ludziom mogła jeszcze pomóc...

Zamilkł. Wciąż klęczał nad leżącą dziewczyną, wpatrując się z czułością w jej nieruchomą, martwą twarz.

Towarzyszająca mu siostra wstała powoli, otarła spływającą po policzku łzę i wróciła do czekających na nią obowiązków.

Ax, miał wrażenie że zna tę martwą dziewczynę, był pewien, że już kiedyś ją widział. Lana! To była Lana. Dziewczyna, która przed laty, przybyła z ojcem do miasta,

w poszukiwaniu lepszego życia. Jej ojca zamordowano, a sama Lana niedługo po tym fakcie, została brutalnie zgwałcona przez jednego z gwardzystów. Żołnierza spotkała zasłużona kara, a skrzywdzoną dziewczynę oddano pod opiekę kapłanek Ilmetrysy. Jak widać, wykorzystała daną jej szansę, została jedną z sióstr i z tego co mówił Kandas, wiele jeszcze mogła osiągnąć.

Ax podszedł do klęczącego kapłana, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Weź się w garść chłopie... Sporo ludzi tutaj wciąż potrzebuje twojej pomocy...

Kandas odwrócił głowę, spojrzał na kapitana i powoli powstał z klęczek.

– Mówiłem jej, prosiłem, ostrzegałem, ale uparła się, że go uratuje...

Mówiąc to Kandas wskazał palcem na leżące na łóżku zwłoki. Ax dopiero teraz dostrzegł gwardyjski mundur. To był jeden z jego ludzi. Spojrzał na twarz. – Barten – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem. Przeniósł wzrok na nieruchome ciało Lany. Na myśl cisnęło mu się tylko jedno słowo: – dlaczego? Przecież tę dziewczynę spotkała wielka krzywda, której sprawcą był żołnierz. Powinna była znienawidzić wszystkich, którzy nosili na sobie mundur. Ona jednak poświęca swoje życie, aby ratować innego żołnierza, noszącego taki sam mundur. Żeby chociaż jej się udało... A tak...Bez sensu. Niepotrzebna bezsensowna śmierć...

Kandas przerwał rozmyślania kapitana.

– Są bohaterowie, o których istnieniu, świat nigdy się nie dowie, a którym zawdzięczamy dużo więcej, niż się nam wydaje. Od tej dziewczyny możemy się uczyć wierności dla własnych zasad, wierności – aż po śmierć.

* * *

Ax podążał w kierunku wewnętrznej forticy. Na temat, stanu zdrowia Andarandisa, zbyt wiele się od Kandas nie dowiedział. Kapłan, niczego więcej nie mógł już zrobić, zaś co do rokowań na przyszłość, był wyjątkowo powściągliwy. Niczego dobrego raczej to nie wróżyło. Do Axa, zaczynała powoli docierać myśl o stracie przyjaciela, lecz jak Melodia miała się pogodzić ze stratą ojca? Śmierć podczas walki była czymś normalnym, czymś oczywistym, tu jednak, było zupełnie inaczej. Król niby żył, lecz chyba już żaden uzdrowiciel, nie zaryzykowałby stwierdzenia, że wróci do zdrowia. Niby żył, lecz będzie umierał powoli na ich oczach. Każdego dnia, będzie coraz bliżej śmierci, a oni będą się mogli jedynie bezradnie temu wszystkiemu przyglądać. W tym wypadku, los, był wyjątkowo złośliwy. Ax wiedział, że Melodia nie zrezygnuje z nadziei, uczepi się jej jak rzepiego ogona i żadne argumenty, żadne tłumaczenia, nic tu nie pomogą. Miał tylko nadzieję że rozsądek dziewczyny, weźmie w końcu górę nad rozpaczą. Oblężone miasto potrzebowało przywódcy, potrzebowało króla. Tym bardziej,

że przyszła pora na ważne decyzje. Wiedział już, że nie są w stanie obronić zewnętrznych murów. To, że przypadkiem wyeliminował jakiegoś ważnego wroga, niczego przecież nie rozwiązało. Musiał to być mocny i celny cios, skoro armia Orklinów dała nogę. Nie mieli jednak środków, żeby ich ścigać. Zresztą może to i lepiej, bo orklińscy wojownicy, zdążyli już otrząsnąć się z szoku i wracali na poprzednio zajmowane pozycje. Perruńscy żołnierze niby odpierali ataki, miasto zaciekle się broniło, lecz cena tych, niby zwycięstw, była już bardzo wysoka. W pierwszym ataku stracili trzech czarodziejów, a przecież była to ich najlepsza broń. W drugim – stracili króla. Nie stać ich już było na kolejne straty. Muszą się wycofać do wewnętrznej fortecy, lub opuścić miasto i uciekać na zachód, do wielkiej puszczy, gdzie przynajmniej przez jakiś czas, powinni być bezpieczni. W obu jednak przypadkach pozostawał problem ludności cywilnej. Nie pomieszczą się wszyscy w zamku, a i w lesie, mało który z cywilów da sobie sam radę, zaś armia, nie będzie w stanie ich wykarmić. Oczywiście, można też było pozostawić wszystko, tak jak było i umrzeć na zewnętrznym murze, a ludność cywilna i tak zostałaby wyrżnięta niedługo po tym fakcie.

Obrona zamku wydawała się być najlepszym rozwiązaniem. Przeniosą tam całe zapasy i wpuszczą do twierdzy tylu ludzi, ile się tylko da. Tylko w ten sposób mogli tę wojnę wygrać. Wewnętrzną fortecę da się utrzymać, wciąż

jeszcze miał do tego celu, wystarczającą ilość żołnierzy. Zamierzał przekonać młodą królową do tego właśnie planu.

Znalazł ją w komnacie ojca. Siedziała nieruchomo na krześle, przy łóżku króla. Nikogo więcej tu nie było. Wojownik podszedł cicho i położył dziewczynie rękę na ramieniu.

– Tak mi przykro dziecinko... To moja wina... Powinienem był to przewidzieć...

Dziewczyna nawet na niego nie spojrzała, pokręciła jednak głową.

– Nie kapitanie, to nie jest twoja wina, ani drużyny, która miała tatę ochraniać... Wszyscy robili to, co do nich należało. Winni są najeźdźcy i ci, za których sprawą się tutaj znaleźli.

Ax nie wiedział co powiedzieć, chciał dziewczynę pocieszyć, dodać w jakiś sposób otuchy, lecz nie miał pojęcia, jak miałby to zrobić. Po prostu stał i trzymał rękę na jej ramieniu. Był z nią. Jego obecność była w tej chwili wszystkim, na co było go stać i wszystkim co mógł dziewczynie ofiarować.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Przybyły żołnierz oświadczył, że są już wszyscy zaproszeni na naradę goście. Melodia skinęła nieznacznie głową. Otarła jeszcze chusteczką twarz ojca i zwróciła się do wojownika.

– Chodźmy kapitanie, czekają na nas.

Kiedy weszli do sali obrad, Ax spostrzegł że nie było to posiedzenie królewskiej rady. Obecni tutaj byli wyłącznie

dowodzący armiami generałowie. Lecz nie był to koniec niespodzianek, o ile obecność porucznik Aichy, można jeszcze było uznać za zasadną, bądź co bądź dowodziła sojuszniczymi siłami, o tyle obecność Bum-Bama, była co najmniej zastanawiająca. Niewątpliwie, musiało mieć to jakiś związek z celem narady.

Dziewczyna zajęła swoje miejsce za stołem.

– Siadajcie proszę, wspólnie z porucznikiem Bum-Bamem przygotowałam pewien plan, który chciałabym wam przedstawić. Jak już zapewne wiecie, nasi wrogowie znowu wracają na zajmowane wcześniej pozycje i jest jedynie kwestią czasu, przeprowadzenie przez nich kolejnego ataku. Niestety, nie jesteśmy w stanie im w tym przeszkodzić. Nawet jeśli teraz, wyprowadzimy za mury, wszystkie nasze siły, to i tak wróg ma nad nami wielokrotną przewagę. Dużo większe szanse mamy w obronie. Musimy jednak wyrównać siły. Problem jednak polega na tym, że nie mamy już skąd brać rekruta. Porucznik Aicha zaproponowała stworzenie oddziałów kobiecych. Otrzymała moją zgodę i zajmie się realizacją tego pomysłu. Będą to oddziały łucznicze. Kazałam już przestawić produkcję z długich – na krótkie łuki. Z długich łuków i tak nie ma komu strzelać. Krótkich łuków praktycznie nie mamy, a mało która kobieta, jest w stanie posługiwać się długim łukiem, dlatego potrzebujemy krótkich. Wyszkolenie tych oddziałów trochę potrwa, ale tylko tak możemy uzupełnić nasze siły. Żadne

sąsiednie królestwo nam nie pomoże. Gdyby jakaś pomoc miała nadejść – to już by była. Jesteśmy sami i sami musimy tę wojnę wygrać.

Ax podniósł rękę, prosząc o głos.

– Słucham kapitanie.

– Proszę o wybaczenie Pani, lecz pozwolę sobie zauważyć że nie jesteśmy w stanie obronić zewnętrznego muru. Wprowadzenie do walki kilku oddziałów łuczniczek, niczego w tej kwestii nie zmieni. Nasza jedyna szansa, to wycofanie się do zamku. Tylko tutaj możemy się skutecznie bronić. Już teraz należałoby przenieść do fortecy całe nasze zapasy. Nie uratujemy wszystkich, zgromadzonych w mieście ludzi, ale uratujemy przynajmniej tych, których możemy uratować. Jeśli zastaniemy na murach, to zginie całe miasto, jeśli przeniesiemy obronę na zamek, to ci, którzy się tam schronią mają dużą szansę przeżycia.

– Jak zdecydujesz o tym, kto ma przeżyć a kto zginąć?

– Tak, oczywiście, że to trudna sprawa, ale myślę że jest sposób. W pierwszej kolejności rodziny naszych żołnierzy i bez znaczenia czy to szlachta, czy zwykli chłopci. Mają prawo do ochrony. Musimy jednak zrobić pewne zastrzeżenie, wpuszczamy tylko ludzi do czterdziestego roku życia i tylko ludzi zdrowych... Wiem że to okrutne, ale konieczne... Jeśli mamy myśleć o przyszłości, to właśnie tak trzeba postąpić. Skoro nie możemy ocalić wszystkich, to ocalmy chociaż niektórych.

Aicha wstała z miejsca.

– Moi żołnierze nie mają tutaj rodzin, lecz jest w mieście duża grupa uciekinierów z Gimuru, co będzie z nimi?

Ax przełknął ślinę.

– Przyłączyło się do nas trzy tysiące gimurskich żołnierzy, to daję wam prawo do ratunku dla trzydziestu cywilów...

– Dla trzydziestu?

Ax przygryzł wargi.

– To sprawiedliwe...

– Sprawiedliwe?

– Bardzo mi przykro, ale takie są proporcje... Wydamy na rzeź kilkaset tysięcy Perruńczyków... Jak mówiłem, nie możemy ocalić wszystkich. Wciąż jeszcze jest wolna droga ucieczki do puszczy, ludzie mogą szukać tam ratunku. Nie możemy zrobić nic więcej... Ty sama zdecyduj, których spośród twoich rodaków, wpuszczymy do twierdzy.

Błada jak płótno Aicha opadła na swoje krzesło.

Królowa Melodia skinęła głową.

– Zatem dobrze. Niech tak będzie. Potraktujemy to rozwiązanie jako ostateczność, do której miejmy nadzieję – nie dojdzie. Mam świadomość kapitanie że pojawienie się kilku oddziałów łuczniczek, niczego nie zmieni i nie o tym chciałam mówić. Wyrównamy nasze szanse w nieco inny sposób i nadal będziemy bronić zewnętrznego muru. Wycofamy się dopiero wtedy, gdy nie będzie już żadnej innej możliwości. Mam nadzieję, że nie dojdzie do tego

typu sytuacji, ale i na taką ewentualność powinniśmy być przygotowani.

Melodia umilkła na chwilę. Całą objętością płuc zaczerpnęła powietrza. Nikt się nie odezwał, wszyscy wpatrzeni byli w swoją nową królową.

– Pewnie wszyscy już wiecie, że podczas ostatniej bitwy przyszły nam z pomocą wilki. To dzięki nim, udało się obronić południową bramę. Nasunęło mi to pewien pomysł, który mam nadzieję, uda się nam przy pomocy porucznika Bum-Bama zrealizować.

Czarodziej skinął głową.

– Jestem do dyspozycji Pani, powinno się udać.

Zebrani w sali żołnierze, patrzyli to na gwardyjskiego czarodzieja, to na młodą królową. Czekali na dalsze wyjaśnienia. Wreszcie Melodia podjęła temat.

– Nie możemy znowu prosić wilków o pomoc, są jednak istoty groźniejsze od wilków i bardziej niebezpieczne.

– Demony – dopiero po chwili Ax spostrzegł, że wypowiedział głośno własne myśli.

– Nie – dziewczyna energicznie potrząsnęła głową. – Żadnych demonów już więcej nie będzie! Nigdy więcej nie popełnię tego błędu. To naprawdę niebezpieczne stworzenia, a mogę kontrolować tylko jednego... Z jednym demonem, Orkliny szybko się uporają. Myślałam o czymś bardziej-subtelnym...

Znowu zrobiła przerwę by zaczerpnąć powietrza, nie

umiała jeszcze występować przed publicznością, tylko z pozoru wydawało się to łatwe.

– W Puszczy Perruńskiej są tysiące rojów dzikich pszczoł, każdy rój to tysiące owadów. Są jadowne i bardzo niebezpieczne. Użądlenie przez kilka pszczoł powoduje u człowieka natychmiastową śmierć. Nie ma w puszczy gorszej rzeczy, jak natknięcie się na rozwścieczone dzikie pszczoły.

Spojrzała po twarzach zebranych, ciekawa była ich reakcji. Nie dostrzegła jednak zrozumienia, żołnierze wciąż, wpatrywali się w nią zaciekawionym wzrokiem. Milczenie przerwał generał Tor.

– To wszystko prawda mają Pani, ale jak niby miałyby to nam pomóc?

– Nie rozumiecie? Kiedy Orkliny spróbują znowu zaatakować, to napuścimy na nich pszczoły.

Po sali przebiegł szmer, jedni się uśmiechali, inni potrząsali głowami. Ax powstał z miejsca.

– Proszę o ciszę panowie. Pozwólcie królowej skończyć. Nie widziałem ani wilków, ani demona, ale wiem, że za sprawą królowej walczyły po naszej stronie. Skoro mówi że załatwi nam pszczoły, to znaczy, że to robi.

Znowu zapanowała cisza, wszystkie oczy znowu zwrócone były na Melodię. Dziewczyna wzięła kolejny, głęboki oddech.

– Razem z czarodziejem gwardii opracowaliśmy plan.

Orkliny użyły magii, aby zamaskować swoje właściwe ataki, a my użyjemy magii, aby napuścić na nich pszczoły.

* * *

Plan wcale nie był, aż tak magiczny jak mogłoby się wydawać a dopracowanie szczegółów, zajęło kolejne dwa dni. Magia znalazła zastosowanie tylko w pierwszej jego części. W sprowadzeniu pszczoł. Właściwie to jeszcze ich nie sprowadzono, miało to nastąpić dopiero we właściwym momencie, dopiero wtedy, gdy atakujący najeźdźcy znajdą się w zasięgu katapult. Pszczoły miały trafić do odpowiednio przygotowanych baryłek. Przygotowanie baryłek polegało na ich luźnym wypełnieniu słomom, w taki sposób by wewnątrz baryłki między słomianymi patyczkami było jak najwięcej niewielkich szczelin, ale na tyle dużych, bo mogła się tam zmieścić pszczoła. Miało to zapobiec przedwczesnemu uśmierceniu owadów przy wyrzucie z katapulty. Kolejnym problemem było uderzenie baryłki o ziemię. Rozwiązano go przy pomocy cienkiej linki, której długość została dobrana, indywidualnie dla każdej katapulty, na podstawie odległości, uzyskanych w próbnym strzałach. Linka musiała być odpowiednio ułożona, tak aby mogła się rozwijać bez żadnych oporów. Jeden jej koniec zamocowany był do katapulty, a drugi do baryłki, ale w taki sposób, że beczka rozpadała się w powietrzu. Najpierw linka zrywała obręcz, potem odpadało denko, a na koniec boczne deszczułki. Na

ziemię, w wolnym locie, spadała sama tylko słomiana kula. Oczywiście poszczególne elementy baryłki należało we właściwej kolejności powiązać, a i sama beczka, musiała mieć odpowiednio zmienioną konstrukcję, tak aby mogła się rozpaść w zaplanowany przez wynalazcę sposób i tuż przed uderzeniem w ziemię. Na czas testów, katapulty zostały obrócone w stronę miasta, a próbne strzały odbywały się w obrębie murów, wróg nie powinien niczego podejrzewać. Wreszcie wszystko było gotowe: beczki, linki i podobno nawet zlokalizowano miejsca przebywania pszczelich rojów.

Tego dnia, wrogie bębny dudniły od wczesnego rana. Ax nawet się temu cokolwiek dziwił, oczywiście miło było ze strony najeźdźcy, że informuje ich o swoich planach. Dzięki temu wiedzieli o ataku, na długo przed jego rozpoczęciem.

Najeźdźcy dopiero się rozstawiali, zanosilo się na totalny atak, okrążali całe miasto.

* * *

Królowa Melodia wraz z kapitanem i jego oficerami stała na wschodnim murze. Siły obrońców zostały podzielone równo na całej długości murów. Dziewczyna, wydawała się być podekscytowana, już niedługo będzie miała okazję sprawdzenia w praktyce wymyślonego przez siebie planu. Została do załatwienia jeszcze tylko jedna sprawa. Spojrzała na stojącego obok Kandasę.

– Roztwór gotowy?

– Co? Roztwór? A roztwór! No gotowy. Chyba..

Kandas sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonego, postawionym mu pytaniem. Rozejrzał się nerwowo i wrzasnął na całe gardło – Garis! – Garis był kadetem i jednocześnie uczniem kapłana, chociaż sam kapłanem nie był i jak zapewniał, nigdy nie zamierzał nim zostać, interesowały go jednak zioła i alchemiczne receptury.

Nie minęło wiele czasu a zjawił się przed swoim mistrzem.

– Czy roztwór jest gotowy?

– Oczywiście zrobiłem wszystko według przepisu.

– A sprawdziłeś czy jest gotowy?

– No, zrobiłem wszystko tak, jak było napisane...

– Kiedyś na płocie było napisane cipa, a jak polizałem, to mi zadra w język wlała! Natychmiast sprawdź czy to działa!

Blady jak płótno Garis skinął głową i pobiegł, aby jak najszybciej wykonać polecenie mistrza. Zaś czerwony od gniewu Kandas, kręcił nerwowo głową.

– Człowiek musi wszystkiego sam dopilnować... To dobry chłopak, ale taki, taki niedbały...

Czując na sobie twarde spojrzenie Melodii, kapłan spuścił głowę i zaczął się jękać.

– Prze, przepraszam Pa, Pani, za ten wybuch...

Dziewczyna starając się ukryć uśmiech, pokręciła tylko głową.

– O czym rozmawiacie? Co za roztwór? – Do rozmowy wtrącił się Ax. Po twarzy dziewczyny przemknął tajemniczy

uśmiech.

– Pamiętasz wujaszku żółty proszek, który przechwyciliśmy od bractwa?

– Oczywiście, że pamiętam.

– No właśnie. Był pomysł, aby zatruć nim strzały, ale pszczoły są mądrzejsze od strzał. Większość grotów zmarnowałaby się na pancerzach i byłby z trucizny niewielki pożytek. Pszczoły są mądre, nie będą żądlić pancerzy, tylko gołe ciało, a Orkliny mają nieosłonięte, całkiem gołe ramiona, doskonałe miejsce dla naszych małych żołnierzy, nawet drobinka trucizny się nie zmarnuje.

– Czekaj, czekaj, bo nie nadążam... Jeżeli zatrujesz pszczoły, to trucizna je zabije...

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie, nie, nie zabije. Nie zatruje pszczoł w ten sposób, żeby je otruć. Zatruje jedynie ich żądła. Samym pszczołom nic nie będzie, nie będą chore, ale będą nosicielami zarazy, umrze każdy, kogo użądla.

– I niby jak chcesz tego dokonać?

Dziewczyna uśmiechnęła się chytrze, przekrzywiając figlarnie głowę.

– O wielkości czarodzieja nie świadczy moc posiadanych przez niego zaklęć, ale umiejętność wykorzystania tych – które posiada. Mistrz Murren tak mówił. Żeby poruszyć piekło, nie trzeba przywoływać demona. Można osiągnąć wiele, bardzo małymi środkami.

– No patrzcie, jakie to się mądre zrobiło – Ax wypowiedział te słowa ledwie słyszalnym głosem i bardziej do siebie, niż do otaczających go towarzyszy. Mimo to, królowa najwyraźniej go usłyszała, bo uśmiechnęła się jeszcze szerzej, zadzierając żartobliwie do góry głowę. W międzyczasie pojawił się Garis – sprawdziłem roztwór, wszystko jest tak jak trzeba. – Melodia skinęła głową.

– W takim razie rozpylcie opary we wszystkich przygotowanych beczkach. Już niedługo będą nam potrzebne.

Kapłan i jego uczeń, natychmiast podążyli, aby zająć się realizacją zadania. Ax widział jak wkładają przez specjalny otwór do każdej z ustawionych tutaj baryłek, dziobek od jakiegoś nieznanego mu przyrządu, potem Garis naciskał na sporej wielkości mieszek, którym zakończony był przyrząd. Kiedy skończyli, biegli natychmiast do kolejnych baryłek, przygotowanych dla sąsiedniej katapulty.

– No to trochę sobie grupcio pobiega – powiedział kapitan śledząc wzrokiem Kandasa.

– Powinni zdążyć – wtrąciła Melodia. – Zanim Orkliny zajmą pozycję na zachodzie, większość baryłek, będzie już gotowa.

– I niech by to zadziało, bo za długo się nie utrzymamy. Tym bardziej że katapulty będą miotać baryłkami ze słomom.

– Uda się wujaszku, na pewno się uda. Nasi mali wysłannicy będą strasznie rozwścieczeni, a ich liczba dorówna liczbie naszych wrogów. Uda się.

– Oby tak się stało, bo spójrz tylko co się dzieje. Ich obóz pustoszeje, w tym ataku rzucą na nas wszystko co mają. Spójrz tylko jak równo rozstawiają maszyny, swoją drogą to ciekawe kiedy zdążyli tyle tego narobić. Nawet drabiny mają... Miotacze z kotwicami też... Najwyraźniej skończyła im się cierpliwość.

– I dobrze. Nasi mali przyjaciele będą mieli co robić.

– A co jeśli pszczoły zwrócą się przeciwko nam?

– To nie powinno się zdarzyć. Beczki rozbiją się wystarczająco daleko od murów, a pszczołki będą miały zajęcie, tam gdzie je zrzucimy, no i giną po użądleniu, więc nie powinny znaleźć się na murach, jeśli jednak będzie trzeba, to potrafimy temu zaradzić.

– Potrafisz się z nimi porozumieć? Wiedzą że mają nas nie ruszać?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Owady są zbyt prymitywne, nie można się z nimi porozumieć, ale jak będzie trzeba, to damy sobie radę.

Ax miał nadzieję, że Melodia wie co mówi, nie znał się na pszczołach, pokładał ufność jedynie w twardej stali.

Melodia zwróciła się do Bum-Bama. – No to chyba przyszła na nas kolej porucznika. Czarodziej skinął głową, poprawił na biodrze swój jajkowaty bęben i już za chwilę, drewniane pałeczki furczały w jego rękach. Razem z dziewczyną ruszyli w kierunku najbliższych, przygotowanych dla owadów baryłek.

Wróg był gotowy. Armia Orklinów czekała już tylko na sygnał do ataku.

– Napiąć katapulty – krzyknął Ax do artylerzystów.

Drewniane belki skrzypnęły przeraźliwie. Ciężkie ramiona zaczęły powoli opadać. Wreszcie rozległy się charakterystyczne trzaski zaskakujących zapadek. Pierwsze baryłki załadowano na wyrzutnie.

Najeżdźcy ruszyli do szturmu. Ax nie cierpiał wrzasku, który towarzyszył ich atakowi, już wcześniej wpadł na pomysł, że dobrze by było zatkać czymś uszy, ale jakoś nigdy tego nie zrobił i za każdym razem żałował.

– Teraz! Wystrzelić pociski!

Jęknęły zwolnione ramiona katapult, zadrżały obrotowe platformy, dwie baryłki zostały wyrzucone w powietrze, furczały zamocowane do nich linki. Obie baryłki rozpadły się w powietrzu, niemal w tym samym momencie. Na ziemię spadły kostropate bryły słomy, odbiły się od podłoża i potoczyły dalej. Ax obserwował tę scenę z zapartym tchem. Przez moment nic się nie działo, Orkliny biegły naprzód roztrzając i tratując słomiane pociski.

Artylerzyści przygotowywali katapulty do kolejnego strzału, napinano ramiona, układano nowe linki, obracano platformę, by oddać strzał w inne miejsce. Katapulty przy sąsiedniej Bramie Niedźwiedzia, także oddały już pierwszą salwę. Ax dostrzegł kątem oka jak Melodia z Bum-Bamem, zbiegają po schodach do czekających na nich, na dole koni.

Korzystając z wierzchowców, dotrą szybko do zachodniej bramy aby uzbroić kolejne pociski. Skupił uwagę na miejscu, w którym upadła pierwsza beczka. Rzeczywiście, coś zaczynało się tam dziać. Żołnierze wroga zaczęli padać. W ich formacji, powstała nagle spora dziura, która powiększała się z każdą chwilą. Wpadający w tę dziurę żołnierze, próbowali natychmiast z niej uciekać, lecz mało który realizował ten zamiar, padali, zanim zdążyli opuścić niebezpieczną strefę. Kolejne dwie beczki wyleciały w powietrze. Dopiero teraz Ax spostrzegł że większość łuczników na murach, zamiast strzelać, przygląda się widowisku. Wrzasnął na najbliższych, przynagляjąc ich do działania. Tymczasem wróg dopadł murów. Pierwsze kotwice uderzyły o kamień. Wyznaczeni żołnierze podpalali już zapalniki przy beczkach z oliwą. Niestety, zapasy oliwy były na wyczerpaniu. Kapitan miał nadzieję że na ten atak, jeszcze wystarczy. Nagle tuż przed nim, o mur uderzyła drabina. Pochwycił leżący na ziemi bosak. Odczekał chwilę, bo nie było sensu odpychać pustej drabiny. Kiedy uznał, że jest już właściwy moment, okazało się że nie jest w stanie odepchnąć drabiny od muru. Krzyknął na swoich żołnierzy, trzech ludzi natychmiast chwyciło za drąg jego bosaka. Nie byli jednak w stanie pokonać ciężaru. Ukazała się głowa pierwszego z napastników. Ax puścił bosak i skoczył ku najeźdźcy. Błysnęło ostrze Podrzynacza, głowa Orklina oderwała się od szyi. Lecz nie to, w tym momencie było

dla kapitana ważne. Chciał wiedzieć, czemu nie można odepchnąć drabiny. Fakt, była wielka. Rozszerzała się ku dołowi. Przy takiej wysokości musiała być strasznie ciężka, nawet Orkliny, nie powinni czegoś takiego postawić do pionu. Na ostatnim, bardzo grubym szczeblu, na samym jego środku, było zamontowane koło z wyżłobionym rowkiem, w ów rowek werżnięty był łańcuch, do którego nieco niżej, przywiązana była lina. Wisiało na niej przynajmniej kilkunastu wrogów, dociskając swoim ciężarem drabinę do muru. Kapitan, wszystko już wiedział. Więc to w ten sposób, wróg stawiał te ogromne cudactwa. Miotacz rzucał kotwicę, która zahaczała o mur. Następnie poprzez wybieranie liny, stawiano drabinę do pionu a łańcuch przy kotwicy, skutecznie zapobiegał odcięciu. Było to rzeczywiście sprytne.

– Dawać mi tu olej!

Musiał utrzymać tę pozycję, wrogowie nie mogli wejść na mur. Jednak w innych miejscach, już na nim byli, rozpoczęła się zażarta, bezpardonowa walka.

* * *

Nikt już nie patrzył na pszczoły, nie było na to czasu. Pierwszy rzut wroga z zawziętością prowadził szturm. Główny wysiłek obrońców, skupił się na ochronie katapult, które nieustannie prowadziły ostrzał. Wschodni odcinek został jednak oczyszczony dość szybko. Kiedy kapitan spojrzał na przedpole, od razu wiedział, co było tego powodem. Wróg

przestał atakować. Ziemia zasłana była trupami. Pierwsze wrogie szeregi, nie doczekały się wsparcia. Na przedpolu, pszczoły siały prawdziwe spustoszenie. Panował tam, niewyobrażalny wręcz chaos. Orklińscy wojownicy daremnie oganiali się przed owadami. Wywijali rozpaczliwie swoimi wielkimi toporami, nierzadko trafiając jeden drugiego. Pszczoły zdominowały cały odcinek frontu. Kolejne oddziały najeźdźców cofały się pod naporem natrętnych i wściekłych owadów. Dodatkowo z murów, cały czas leciały strzały. Kilka najbliższych machin, zostało przez wroga porzuconych. Ponieważ wszystkie wypełnione słomom baryłki zostały już wystrzelone, więc artylerzyści skupili swoją uwagę, na tych właśnie, nieruchomych celach. Tak mniej więcej, wyglądał cały wschodni i północno-wschodni odcinek. Jednak na południu wróg robił zdecydowane postępy. Melodia jeszcze tam nie dotarła, wszystkie przygotowane dla pszczół beczki, stały sobie spokojnie obok katapult, które koncentrowały ostrzał na nadciągających machinach. Jednakże, mimo wysiłku artylerzystów, jeden z taranów był już pod bramą a dwie wieże oblężnicze, lada moment miały dotrzeć do murów. Ax zostawił na wschodnim odcinku, dwa oddziały czwartej armii a sam na czele gwardii i reszty wojska, pospieszył na odsiecz do południowej bramy. Przybył w samą porę, albowiem obrońcy, nie byli już w stanie stawiać skutecznego oporu. Orklińscy wojownicy, spychali Perruńczyków z zajmowanych pozycji. Zdobyli nawet

dostęp do prowadzących na dół schodów. Nie można było pozwolić, aby rozleźli się po mieście, a już nade wszystko, nie dopuścić do otwarcia bramy. Ax podzielił swoje siły na dwie części. Sam, na czele pięciu kolumn, postanowił wyeliminować zagrożenie pod murami, musiał koniecznie odzyskać kontrolę nad schodami i zlikwidować powstałe zagrożenie. Zadaniem Mandersa było oczyszczenie murów.

Ax rozstawił swoich ludzi w półkole. Miał nadzieję, że dzięki takiemu ustawieniu, będzie w stanie szybko odzyskać kontrolę. Wklęsła formacja ruszyła do ataku na schody. Najeźdźcy byli już na dole i wciąż zbiegali po schodach, nie mieli jednak dokąd pójść. Zejście zostało odcięte. Błyskawicznie zrobiło się strasznie ciasno, tłok rósł z każdą chwilą. Oddział Axa został unieruchomiony, nie mniej jednak, siły wroga zostały zatrzymane. Dzięki krótkiej broni, Perruńczycy bardzo powoli zdobywali teren. Depcząc, po trupach wrogów, parli uparcie do schodów, lecz wróg nie zamierzał im tego ułatwiać, orklińscy żołnierze, zdecydowani byli przerwać pierścień. Wszystko zależało teraz od Mandersa, ludzie Axa musieli wytrzymać, dopóki porucznik nie oczyści murów. Jednak i tam sytuacja wyglądała bardzo podobnie. Najeźdźcy tłoczyli się na murze. Wprawdzie taran udało się zniszczyć, jednak dwie oblężnicze wieże, dotarły do celu i teraz za ich przyczyną cały południowy odcinek muru, opanowany był przez napastników. Mur był szeroki, mogły się na nim swobodnie mijać dwa zaprzęgi i cały

wypełniony był Orklinami. Z tego co kapitan mógł zobaczyć wynikało, że od zachodu, również szło po murze perruńskie kontruderzenie. Najeźdźcy znaleźli się w potrzasku. Niby zdobyli fragment fortyfikacji, lecz wszystkie trzy kierunki, zostały dla nich zamknięte. Ax jednak wiedział, że taki stan rzeczy nie utrzyma się długo. Obie strony, chwilowo trzymały się w szachu, lecz zwycięsko z tego starcia, mogły wyjść tylko Orkliny.

Gdzieś z tyłu rozległo się wołanie: – przejście dla królowej! – Stłoczeni żołnierze z trudem rozstępowali się na boki. Melodia i Bum-Bam, z ogromnym wysiłkiem przedzierali się przez ludzką ciżbę. Kiedy dziewczyna dotarła w bezpośrednie sąsiedztwo wroga, gwałtownym ruchem wyrzuciła przed siebie rękę. Z pomiędzy palców jej dłoni, wystrzeliły czerwone języki ognia. Płomień rósł w oczach i przybierał na sile. Przeraźliwe wrzaski Orklinów, zagłuszyły panującą wrzawę, nad polem walki zawisł odór palonego mięsa. Nim płomienie przygasły, niebo nad miastem rozdarła błyskawica. Piorun trafił wprost w okupujących schody orklińskich żołnierzy. Ax widział jak złociste błyskawice przeskakują na kolejnych wrogów. Odskoczył odruchowo w tył. Na schodach zrobiło się nagle bardzo luźno. Dziewczyna prześliznęła się tuż obok kapitana, popędziła naprzód, ginąc w chmurze dymu. Bum-Bam biegł tuż za nią. Ax skoczył za nimi, ktoś przecież musiał pilnować ich pleców. Mur nie był bezpieczny, pełno tam było Orklinów.

Biegł tuż przy lewej krawędzi, tnąc zapamiętałe wszystko, co było po prawej stronie. Nie miał pojęcia, jakim cudem, tak szybko dopadli do katapult, których wciąż jeszcze zajadłe bronili perruńscy żołnierze.

Niewiele widział. Wszystko zasłaniał gryzący, gęsty, czarny dym. Melodia i Bum-Bam, zajęli się baryłkami. Ax wiedział, że są teraz całkowicie bezbronni. Do niego należało zapewnienie im bezpieczeństwa. Skrzyknął kilku ludzi i ruszył do ataku, byle tylko przesunąć walkę, jak najdalej od swojej królowej.

* * *

To nie było łatwe zwycięstwo. Wprawdzie wróg poniósł olbrzymie straty, lecz niebezpieczeństwo, wciąż jeszcze nie zostało zażegnane. Najeźdźcy wciąż byli groźni. Jeszcze tym razem udało się odeprzeć szturm. Pszczoły zrobiły więcej, niż ludzie mogli oczekiwać, lecz nic jeszcze nie było przesądzone. Kapitan miał dziwne wrażenie, że limit szczęścia, został już przez nich, całkowicie wyczerpany. O wiele bardziej jednak, martwił go brak środków do prowadzenia walki. Zapasy oliwy zostały całkowicie wyczerpane, baryłek też już nie było. Zresztą, skoro nie było oleju, to i baryłki nie były potrzebne, tym bardziej, że więcej pszczół też nie sprowadzą. Jak by tego było mało, kończył się kamień. Katapulty nie miały czym strzelać. Szturm pochłonął również cały zapas strzał, już wcześniej rozbierano

w mieście rudery, aby pozyskać drewno do ich produkcji, lecz nie było żelaza na groty. Wykorzystają jako surowiec – broń zabitych w mieście Orklinów, lecz na to trzeba było czasu. Jeśli wróg zaatakuje jutro, to nie pozostanie im nic innego, jak tylko czekać na murach z ostrzem w ręku. Straty w ludziach sięgały dwudziestu tysięcy. Łącznie stracili ponad 50% stanu wszystkich armii. Mimo tego że wygrywali bitwy, to przegrywali wojnę. Ich położenie, z dnia na dzień, stawało się coraz gorsze.

Pomimo skończonej walki, Ax wciąż tkwił na murze. Żołnierze cieszyli się zwycięstwem. Z entuzjazmem rozprawiali o ostatnich wydarzeniach, wznosząc co chwilę, okrzyki na cześć pszczoł i swojej królowej. Nie mieli wątpliwości, byli pewni że królowa Melodia poprowadzi ich do zwycięstwa. Kapitana cieszył ich entuzjazm, żałował tylko, że nie może tego entuzjazmu, dzielić wraz z nimi. Jakiej sztuczki mogli jeszcze użyć? Na co mogli liczyć. Najeżdźcom nie można było odmówić męstwa. Ax był pewien że jutro wznowią atak. On był tak zrobił, należało zwyciężyć lub odejść. Nadszedł czas ostatecznego rozstrzygnięcia. Wiedział, że Orkliny nie odejdą, wiedział, że jutro znów, czeka ich walka. Lecz nie mieli już żadnych atutów, żadnych ukrytych w rękawie asów. To był godny przeciwnik, Ax odczuwał nawet, coś na kształt wstydu... Wojownicy nie powinni ginąć w taki sposób: od ognia, jadu i trucizny. Zastanawiał się nawet, czy kiedykolwiek, wojna

miała coś wspólnego z honorem. Z jednym z Orklinów stoczył honorową walkę, lecz czy coś ona zmieniła? Nic. Absolutnie nic. W końcu, co za różnica w jaki sposób, giną ich wrogowie, najważniejsze żeby ginęli. Tej wojny nie prowadzono dla chwały. Stawką było życie, istnienie królestwa Perrunu. Czy było tu miejsce na skrupuły? Czy właściwszym było umrzeć z honorem, czy walczyć i zwyciężać podstępem? Bo tylko tak, mogli tę wojnę wygrać... Jutro przyjdzie czas honorowej walki i honorowej śmierci.

– Jakież rozkazy kapitanie?

Ax się obejrzał. Ujrzał poruczników: Mandersa i Aichę. Wzruszył ramionami.

– Niech ludzie odpoczną. Myślę że do jutra mamy spokój.

– Czy nie wydaje ci się kapitanie że wrogowie są coraz lepsi? – Ax skinął głową.

– A i owszem, też to zauważyłem.

– Czy nie wydaje się to trochę dziwne?

– Ani trochę, w pierwszej kolejności wysyłają swoich najsłabszych żołnierzy, przeciwko naszym najlepszym. Ich stać na straty – nas nie. Oni pozbywają się ciur obozowych a my tracimy dobrych ludzi. Kiedy do akcji wkraczają ich dobrzy żołnierze, nasza obrona jest już cokolwiek osłabiona. Taka strategia, jak najbardziej ma sens.

– Może powinniśmy zintensyfikować szkolenie naszych żołnierzy?

– Najlepsze co możemy teraz zrobić dla naszych ludzi, to

dać im wypocząć.

– A co ja mam robić?

– Wyśpij się dzieciaku.

– No tak, ale...

– Jak chcesz coś koniecznie robić, to możesz zacząć rozbierać świątynię bractwa, mnóstwo kamienia się tam marnuje, a katapulty nie mają czym strzelać.

– Tak jest kapitanie.

Manders zbierał się do odejścia, lecz Ax pochwycił go za ramię.

– Żartowałem dzieciaku. Ja idę na piwo. Jeśli macie ochotę to chodźcie ze mną.

– Na piwo? Teraz? – Manders sprawiał wrażenie bardzo zdziwionej osoby.

– Tak! Na piwo i właśnie teraz, a potem, walę się spać.

Mówiąc to kapitan ruszył w kierunku schodów.

– I to, to ja rozumiem – powiedziała Aicha i ruszyła za kapitanem. Porucznik Manders stał jeszcze chwilę niezdecydowany, wreszcie pobiegł za oddalającą się dwójką.

* * *

Noc minęła spokojnie, za to wrogie bębny huczały od samego rana. Tym razem wróg nie musiał zajmować pozycji, tkwił na nich od wczoraj, cofnęli się tylko nieco od miasta. Wszystkie maszyny były już rozstawione. Niestety – wszystkie były daleko poza zasięgiem katapult. Wszystkie były gotowe

do użycia, wystarczyło do nich tylko podejść i wprawić w ruch. Najeźdźcy nie spieszyli się zbytnio, tym razem, wydawali się być wyjątkowo skrupulatni. Najwyraźniej, oni również, mieli świadomość ostatecznego rozstrzygnięcia. Szturm na miasto wiele ich już kosztował. Chcąc, nie chcąc, nabrali do obrońców sporego szacunku i z całą pewnością czuli przed nimi pewien respekt. Przynajmniej taką Ax miał nadzieję. Przybyli tu pewni łatwego zwycięstwa, tymczasem spotkała ich cała seria zaskakujących porażek. To musiało podkopać ich morale.

Ax spojrzał na swój wystający z pod pachy kołczan. Były w nim jeszcze cztery strzały. Żaden z obrońców, więcej ich chyba nie miał. Rozdano ludziom, wszystko to, co zdołano wyprodukować w ciągu nocy. Niestety, nie było tego zbyt wiele. Ax miał pewność, że nie zmarnuje żadnej ze swoich strzał. Strzelając z łuku, zabije w tej wojnie jeszcze czterech wrogów. Stał spokojnie na wschodnim murze, obserwując poczynania najeźdźców. Obok niego stała porucznik Aicha. Manders dowodził obroną południowo-wschodniego odcinka. Kapitan, zaczynał się powoli przyzwyczajać do obecności dziewczyny. Kiedy Gimurki nie było w pobliżu, odczuwał jakiś dziwny, nieznany mu dotąd rodzaj niepokoju. Troszczył się i martwił o każdego ze swoich żołnierzy, lecz był to zupełnie inny rodzaj troski. Uczucie, które zaczęło się nieśmiało wyłaniać, było dla wojownika czymś zupełnie nowym i nieznanym. Czymś, czego nie rozumiał i nie potrafił

kontrolować. Czymś – czego się obawiał.

– Coś im nie spieszo dzisiaj – powiedziała z namysłem Aicha. Ax wzruszył ramionami.

– Nie muszą się spieszyć. Miasto jest otoczone... Nigdzie im nie uciekniemy.

– No tak, nie uciekniemy... Nie było odprawy, czy królowa wydała na dzisiaj jakieś rozkazy?

Ax potrząsnął głową.

– Mamy utrzymać miasto i w tej kwestii, nic się raczej nie zmieni. Jak widziałem wczoraj ją i Bum-Bama, to obydwójce wyglądali jak śmierć na chorągwi, nawet nie myślałem że człowiek może być taki blady. Z tego co wiem, magia ma swoją cenę i czarodziej w jakiś sposób zawsze płaci za każde swoje zaklęcie. Myślę że królowa, najzwyczajniej w świecie, nie miała siły na zwołanie odprawy. Przede wszystkim, jej należał się wypoczynek i mam nadzieję że z niego skorzystała...

Milczeli dłuższą chwilę. Ciszę przerwała Aicha;

– Obronimy się, prawda?

Ax spojrzał na nią, przygryzając jednocześnie wargi.

– Nie zamierzam poddawać miasta, ani tanio sprzedawać skóry, A czy to wystarczy? Nie wiem, zobaczymy. Mam nadzieję że tak. Będziemy walczyć do końca... Jaki by on nie był. Stali obok siebie w milczeniu, wpatrując się w wypełniony wrogimi wojskami horyzont. Armia najeźdźców była gotowa do ataku, ustawili w bezpiecznej odległości, wszystkie swoje

oddziały, czekając już tylko na sygnał do szturmu.

Nagle do uszu Axa, dobiegło coś jakby bzyczenie. Zaskoczony wojownik obrócił się w stronę miasta. Widok który ujrzał zaskoczył go do tego stopnia, że stał jak sparaliżowany szeroko otwartymi ustami. Z murów unosiły się w górę miliony pszczoł. Jak okiem sięgnąć, widać było: bzyczącą, niespokojną chmarę owadów. Pszczoły osiągnęły już wysokość murów i kierowały się powoli na zewnątrz miasta. Jeden z owadów, leciał nieco niżej, zmierzał wprost na Axa. W pierwszym odruchu wojownik, chciał strącić owada, lecz zdał sobie w porę sprawę, że w ten sposób może tylko rozdrażnić pozostałe. Na moment wstrzymał oddech mając nadzieję że pszczoła go wyminie. Stało się jednak coś, czego się absolutnie nie spodziewał. Owad przeleciał przez niego. Zdezorientowany wojownik, dotknął ręką swojego pancerza. Czuł opór, jego ciało było rzeczywiste. Inna pszczoła przelatowała tuż obok niego. Oddalona na wyciągnięcie ręki. Ax spróbował ją złapać. Trafił w owada, jednak ręka nie natrafiła oporu, dłoń była pusta. Patrzył, nie wierząc własnym oczom. To była iluzja. Pszczoły nie były prawdziwe. Widział coś, czego tak naprawdę nie było. Rozejrzał się wokół siebie. Z reakcji żołnierzy wnioskował że też to widzą, ktoś próbował się oganiać, ktoś inny kucnął, nakrywając rękoma głowę. Tymczasem widmowe owady, pokonały mur, powoli obniżały lot, kierując się w stronę najeźdźców. Wojownik zrobił kilka kroków, stał tuż przy

zewnątrznych blankach. Nie miał pojęcia o co tutaj chodzi.

Tymczasem chmura owadów zbliżała się powoli do pozycji zajmowanych przez Orkliny. W szeregach wroga zapanowało jakieś poruszenie. Orkliny padały na ziemię lub odwracały się i próbowały uciekać. Ax stał i patrzył jak urzeczony. Ktoś szarpnął go za ramię. Gdy odwrócił głowę napotkał pytające spojrzenie Aichy. Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Królowa przełamała magię Orklinów. Moc ich odwagi przestała istnieć. Byli odważni siłą swojej magii. Murren mówił że jeśli trzy razy zaznają strachu i zmusi się ich do ucieczki, to zaklęcie zostanie odwrócone. Wystraszyli się pszczoł. Ich magia przestała istnieć. Są to teraz najbardziej tchórzliwe istoty na świecie. Umierają ze strachu. Kiedy Murren o tym mówił, uznałem to za brednie. Jak można przestraszyć, kogoś, kto strachu nie zna? Jak można zmusić go do ucieczki? Ale oto dokonało się, dokonało się na naszych oczach. Pierwszy raz, to był czar płomiennej trójcy, kiedy Murren i jego kumple, spopieliłi we trzech trzecią część ich armii, a reszta dała nogę, drugi raz był jak przypadkiem skróciłem o głowę tego ich króla, czy kogoś tam, też dali wtedy nogę. Teraz jest trzeci raz. Pszczoły dały im wczoraj niezły wycisk, a dzisiaj, zżarła ich panika. Chyba wygraliśmy... Nie tak wyobrażałem sobie zwycięstwo. Nigdy bym nie pomyślał, że wojnę można wygrać, poprzez stworzenie iluzji. To nie żołnierze pokonali wroga. Wygrała

iluzja! Jakże jednak ma to znaczenie? Nie ma ich. Wygraliśmy.

Raz jeszcze uśmiechnął się do Aichy. Objął dziewczynę ramieniem i przytulił do siebie.

EPILOG

Królowa Melodia stała na specjalnie ustawionej, na koszarowym placu trybunie, wokół której zebrało się całe miasto. Ludzie wiwatowali na jej cześć. Wzniosła do góry ręce, prosząc poddanych o ciszę.

– Ludu Perrunu! Dziękuję wam! Dziękuję wam wszystkim! W całych krainach nie ma dzielniejszego niż wy narodu. We wszystkich królestwach nie ma dzielniejszych od Perruńczyków żołnierzy. To wasze zwycięstwo! Pracowało na nie wiele pokoleń. To zwycięstwo należy także do naszych ojców i dziadków. Bo to oni zaczęli umacniać miasto. Po to, abyśmy my, mogli je obronić. Chylę czoło przed każdym z naszych żołnierzy, bo dokonali niemożliwego. Czas aby w Perrunie powstały nowe legendy, o prawdziwych bohaterach. Wszyscy nimi jesteście. Wszyscy którzy płacili podatek na umocnienie murów. Wszyscy, którzy w pocie czoła, pracowali przy tym projekcie. Wszyscy, którzy z łukiem czy mieczem w ręku, bronili miasta przed najeźdźcami. Nasi rzemieślnicy pracowali dzień i noc, aby nasi żołnierze mieli czym walczyć. Nasze dzieci roznosiły zaopatrzenie, wszyscy pracowali przy naprawach i pozyskiwaniu surowców. Jestem dumna, że mam zaszczyt być waszą królową!

Nie obyło się bez ofiar. Chyba nie ma rodziny, która by kogoś w tej wojnie nie straciła. Pamiętajmy o nich, bo oddali za nas życie. Nie wolno nam tego zmarnować. Nie zmarnujmy

naszego życia. Żyjmy tak, abyśmy mogli być dumni, aby nasi polegli bohaterowie, mogli być z nas dumni. Miasto jest już bezpieczne, lecz to jeszcze nie koniec. Musimy pozbyć się resztek orklińskich oddziałów. Nasze armie jeszcze dziś ruszą za nimi w pościg. Lecz co najważniejsze, musimy odbudować Perrun. Ze wschodniej części królestwa, została tylko wypalona ziemia. Nie możemy przecież, tak tego zostawić. Królestwo musi odzyskać swoją niedawną świetność! Perrun musi być wielki!

Dziewczyna chciała mówić dalej, lecz wrzawa która się w tym momencie podniosła, skutecznie jej to uniemożliwiła. Musiała odczekać, aż tłum się nieco uspokoi.

Trybuna otoczona była kordonem żołnierzy, ktoś próbował się przez ten kordon przebić. To był starzec: siwe, zmierzwiłone, długie włosy, długa siwa broda, podarte odzienie. Lecz to nie było zwyczajne ubranie. To była szata czarodzieja. Ledwie można było dostrzec charakterystyczny wzór złocistych punkcików. Melodia z zainteresowaniem przyglądała się przybyszowi. Skinęła na żołnierzy.

– Przyprawdźcie go – wskazała starca wzrokiem.

Dwóch gwardzistów ujęło człowieka pod pachy, chcąc doprowadzić go przed oblicze królowej. Starzec szarpał się i wrzeszczał – puście mnie głupcy – jednak żołnierze nie zamierzali przychyłać się do jego życzeń. Po chwili, starzec stał przed Melodią.

– Kim jesteś?

– Jestem Arosto! Wielki Mag Kręgu Natury. Muszę się zobaczyć z Murrenem. Muszę go ostrzec, grozi wam wielkie niebezpieczeństwo.

Dziewczyna zmarszczyła czoło, pamiętała to imię. Murren często wspominał maga Arosto, a zbzikowany, nerwowy starzec, nawet do tego obrazu pasował. Skupiła wzrok, wpatrując się w oczy starca. Ten fuknął gniewnie.

– Mówię, że jestem Arosto i nie próbuj na mnie tych swoich diabelskich sztuczek!

Dziewczyna zawahała się przez chwilę.

– Jesteśmy ci wdzięczni czarodzieju Arosto, za twoją troskę, ale przybyłeś za późno. Już po wszystkim. Zwyciężyliśmy. Skończyło się.

– Skończyło się? Skończyło się? Bo przepędziliście garstkę Orklinów? Głupcy! Jeszcze się nawet nie zaczęło!

Spis treści

<i>PROLOG</i>	<i>4</i>
<i>CZĘŚĆ I</i>	<i>16</i>
<i>CZĘŚĆ II</i>	<i>202</i>
<i>EPILOG</i>	<i>561</i>